

BB

STEFAN
ZWEIG

Niecierpliwość serca



BB

STEFAN
ZWEIG

Niecierpliwość serca

Przełożyła

ZOFIA PETERSOWA



Istnieje litość dwojakiego rodzaju. Jedna, małoduszna i sentymentalna, która właściwie jest tylko niecierpliwością serca, pragnącego się jak najprędzej uwolnić od przykrych wzruszeń, wywołanych przez cudze cierpienie – nie jest to wcale współczucie, lecz instynktowne odsuwanie cudzego cierpienia od własnej duszy. I ta druga – jedynie wartościowa – litość nie sentymentalna, ale twórcza, litość, która wie, czego chce, i zdecydowana jest cierpliwie a współczująco przetrwać aż do kresu sił i nawet poza ich kres.

„Kto posiada, temu będzie dane”, słowa te z *Księgi mądrości* może każdy pisarz spokojnie potwierdzić innymi słowy: „Kto wiele opowiada, temu i inni chętnie opowiadają”. Nie ma biedniejszego, a bardziej rozpowszechnionego przekonania, iż fantazja pisarza pracuje bez przerwy i że z niewyczerpanych jej zasobów czerpie on stale zdarzenia i historie. W rzeczywistości wystarcza, aby obserwował życie i ludzi, a jeżeli zachował wzmoczoną zdolność patrzenia i słuchania, znajdą oni w nim z pewnością swego odtwórcę. Kto niejednokrotnie próbował analizować życie ludzkie, temu chętnie ludzie opowiadają o zmiennych kolejach swego losu.

Niniejsze zdarzenie opowiedziano mi także niemal w całości w takiej formie, jaką tu pozostawiłem, i zrobiono to w sposób zgoła nieoczekiwany. Ostatnio w Wiedniu, zmęczony różnymi sprawunkami, wyszukałem podmiejską restaurację, o której wiedziałem, że od dawna nie jest już w modzie i mało osób w niej bywa. Zaledwie jednak wszedłem, z przykrością skonstatowałem, że się omyliłem. Zaraz od pierwszego stolika wstał pewien znajomy i z oznakami szczerej radości, na którą nie zareagowałem takąż wylewnością, zaprosił mnie, abym zajął przy nim miejsce. Minałbym się z prawdą, twierdząc, iż ów uprzejmy pan był człowiekiem mało obytym lub wręcz niemiłym. Należał do tego rodzaju niewymuszenie towarzyskich ludzi, którzy skwapliwie, jak dzieci zbierające znaczki pocztowe, kolekcjonują znajomości i dlatego specjalnie są dumni z każdego egzemplarza swych zbiorów. Dla tego dobrodusznego dziwaka, zdolnego i wykształconego archiwariusza, cała treść życia ograniczała się do skromnej satysfakcji, aby przy różnych nazwiskach, które się od czasu do czasu wymienia w prasie, mógł powiedzieć z zarozumiałą pewnością siebie: „Mój dobry przyjaciel” albo: „Ach, tego właśnie wczoraj spotkałem”, lub „Mój przyjaciel A. powiedział mi, a mój przyjaciel B. sądzi”, i rzucać tak nazwiskami bez przerwy, aż do ostatniej litery alfabetu. Można było na nim z całą pewnością polegać, iż będzie klaskał na premierach swych przyjaciół, a do każdej artystki zatelefonuje nazajutrz rano z powinszowaniem. Nie zapominał o żadnych urodzinach, przemilczał przykre notatki dziennikarskie, zaś pochlebne przesyłał z serdeczną radością. Nie był więc człowiekiem nieobytym czy niesympatycznym, gdyż oddawał usługi szczerze i czuł się szczęśliwy, gdy go ktoś poprosił o drobną grzeczność, a przede wszystkim, gdy mu umożliwiono powiększenie zbioru jego ciekawych znajomości o nowy obiekt.

Nie trzeba jednak takiego pana „Wszędobylskiego” – żartobliwym tym przezwiskiem obejmuje się zazwyczaj w Wiedniu ów rodzaj dobroduszných trutniów wśród wielorakiej grupy snobów – nie potrzeba więc bliżej opisywać, gdyż każdy go zna i wie, że nie można bez popełnienia nietaktu obronić się jego wzruszającej nieszkodliwości. Zrezygnowany usiadłem więc przy nim i minął już kwadrans na pogawędce, gdy do lokalu wszedł wysoki pan, zwracając uwagę swą rumianą, młodzieńczą twarzą i pikantną siwizną na skroniach; charakterystycznie wyprostowana postawa zdradzała byłego wojskowego. Z właściwym sobie pośpiechem sąsiad mój zerwał się i uklonił; ale obcy pan odpowiedział mu raczej z pewną obojętnością. Nowy gość jeszcze nie zdążył nic zamówić u spiesznie nadbiegłego kelnera, gdy mój przyjaciel Wszędobylski przysunął się do mnie i szepnął:

– Wie pan, kto to jest?

Ponieważ od dawna znałem jego dumę kolekcjonera, jego pragnienie, aby każdym mniej więcej interesującym egzemplarzem mógł w swym zbiorze znajomości czym prędzej się pochlubić, a prócz tego obawiałem się zbyt długich wyjaśnień, odrzekłem krótko:

– Nie! – i dalej spożywałem porcję tortu Sachera.

Moja obojętność wzburzyła jednak jeszcze bardziej zbieracza nazwisk, toteż przezornie zasłaniając sobie usta ręką, szepnął cichutko:

– To przecież Hofmiller z generalnej intendentury, wie pan, ten, który dostał na wojnie Order Marii Teresy.

Ponieważ fakt powyższy wcale mnie nie wzruszył, zaczął mi opowiadać z zapalem godnym patriotycznych wypisów szkolnych, jakich czynów ów rotmistrz Hofmiller dokonał najpierw w kawalerii, potem w czasie wywiadowczego lotu nad Piawą, gdzie podobno sam zestrzelił trzy samoloty, a wreszcie w kompanii karabinów maszynowych, gdy zajął i przez trzy dni sam utrzymywał odcinek frontu. Wszystko to rozmówca mój podawał z wieloma szczegółami (które tu pomijam), wyrażając co chwila bezgraniczne zdziwienie, że nigdy nie słyszałem o tym wspaniałym człowieku, którego przecież sam cesarz Karol osobiście udekorował odznaczeniem najrzadszym w armii austriackiej.

Mimo woli dałem się skusić i spojrzałem na sąsiedni stolik, aby wreszcie ujrzeć z odległości dwóch metrów owego patentowanego bohatera. Ale natknąłem się na twarde, odpychające spojrzenie, które zdawało się

mówić: „Czy ci ten jegomość już coś o mnie nablagował? Nic nie ma we mnie ciekawego!” Jednocześnie pan ów, nie kryjąc niezadowolenia, ostentacyjnie odsunął krzesło na bok i energicznie usiadł plecami do nas. Trochę zażenowany odwróciłem wzrok i starałem się, aby nawet obrusa na sąsiednim stole nie zaczęli więcej spojrzeń. Wkrótce potem pożegnałem się z moim poczciwym gadułą, ale zauważyłem wychodząc, że się już przysiadł do owego bohatera, prawdopodobnie po to, aby teraz jemu z kolei z równą gorliwością udzielić informacji o mnie, jak mnie udzielił o nim.

To było wszystko. Krótka wymiana spojrzeń – i z pewnością byłbym zapomniał o tym pobieżnym spotkaniu, gdyby przypadek nie zrządził, że już nazajutrz w pewnym towarzystwie spotkałem się oko w oko z owym nieprzystępnym panem, który zresztą w smokingu wyglądał jeszcze bardziej reprezentacyjnie i elegancko niż wczoraj w ubraniu sportowym. Obydwaj z trudem powstrzymaliśmy lekki uśmiech, ów niedostrzegalny uśmiech, jaki w liczniejszym gronie wymieniają między sobą ludzie, których łączy wspólna, pilnie strzeżona tajemnica. Poznał mnie, jak i ja jego poznałem, i prawdopodobnie jednakowo złościło nas lub bawiło niepowodzenie wczorajszego pośrednika. Zrazu unikaliśmy rozmowy ze sobą, co zresztą było bezcelowe, gdyż dokoła wrzała dyskusja.

Treść jej będzie zrozumiała, gdy zdradzę, że działo się to w 1938 roku. Późniejsi kronikarze naszych czasów stwierdzą kiedyś, że w roku 1938 prawie każda rozmowa we wszystkich krajach naszej zbulwersowanej Europy tyczyła się domysłów o możliwości czy też niemożliwości wybuchu nowej wojny światowej. Powyższy temat fascynował bezapelacyjnie każde towarzystwo i niekiedy miało się uczucie, że to nie ludzie dążą do wyładowania swego strachu w domysłach i nadziejach, lecz jakby sama atmosfera, podniecająca, pełna tajemniczego napięcia.

Rozmowę zaczął pan domu, adwokat z zawodu, a despota z charakteru. Banalnymi argumentami usiłował udowodnić nonsensowność twierdzenia, że nowe pokolenie zna wojnę i nie da się tak bez przygotowania wciągnąć do niej, jak to uczyniło poprzednie. Już podczas mobilizacji karabiny trzeba będzie skierować na tyły, zwłaszcza tacy starzy żołnierze frontowi, jak on, nie zapomnieli, co ich czeka... Gniewała mnie ta chełpliwa pewność siebie, z którą w czasie gdy dziesiątki czy setki tysięcy fabryk produkowało materiały wybuchowe i gazy trujące, tak niedbale zaprzeczył możliwości wybuchu wojny, jakby strzepywał uderzeniem wskazującego palca popiół ze swego cygara.

– Nie zawsze należy wierzyć, że stanie się to, czego pragniemy – odrzekłem stanowczo. – Urzędy i organizacje wojskowe, zarządzające aparatem wojennym, także przecież nie spały, a podczas gdy myśmy odurzali się utopiami, wykorzystwały czas doskonale, aby tłumy już z góry zorganizować i w pewnym sensie gotowe do strzału ująć w swe ręce. Właśnie teraz, w czasie pokoju, ogólna służbistość wzrosła dzięki doskonałej propagandzie do nieprawdopodobnych rozmiarów, toteż należy liczyć się trzeźwo z faktem, że z chwilą gdy radio rozgłosi po mieszkaniach wezwanie do mobilizacji, nigdzie nie napotka się na opór. Drobnny pyłek, jakim jest dziś człowiek, w ogóle nie liczy się jako poszczególna wola.

Oczywiście wszyscy powstali przeciwko mnie, gdyż praktyka dowiodła, że pęd do samoogłuszenia się mimo wewnętrznej pewności niebezpieczeństwa wyraża się najlepiej w ten sposób, iż uważa się je po prostu za nieważne, za nie istniejące. Moje ostrzeżenie przed tanim optymizmem tym przykrzejsze musiało sprawić wrażenie, iż w sąsiednim pokoju nakryto już do wspaniałej kolacji.

Nieoczekiwanie stanął po mojej stronie ów kawaler Orderu Marii Teresy, jakkolwiek błędny instynkt podpowiadał mi, że jest on chyba moim przeciwnikiem.

– Tak jest – rzekł gwałtownie – liczenie się jeszcze dzisiaj z chęcią czy niechęcią mas ludzkich to czysty nonsens, gdyż w najbliższej wojnie właściwe działanie przypadnie maszynom, zaś ludzie będą poniekąd zdegradowani do roli ich części składowych. Już podczas ostatniej wojny mało spotkałem ludzi, którzy by się na wojnę otwarcie godzili lub otwarcie przeciwko niej występowali. Większość została zagarnięta jak chmura pyłu przez wichurę i trwali tak bezwolnie w tej olbrzymiej zawierusze, przerwani jak groch w wielkim worku. W rezultacie może nawet więcej osób znalazło w wojnie ucieczkę, niż się z niej wyrwało!

Słuchałem zdziwiony, a przede wszystkim zainteresowany gwałtownością, z jaką mówił dalej:

– Nie poddawajmy się złudzeniom! Gdyby dziś w którymkolwiek kraju wzywano do wojny, choćby wybitnie egzotycznej, w Polinezji czy w jakimś zakątku Afryki – tysiące, setki tysięcy rzuciłyby się do niej, nawet nie wiedząc dokładnie dlaczego i może tylko z chęci ucieczki od siebie samych albo od nieprzyjaznych okoliczności. Faktycznego oporu w stosunku do wojny nie mogę określić wyżej niż zerem. Opór jednostki przeciwko

organizacji wymaga o wiele większej odwagi niż poddanie się tłumnej egzaltacji – potrzeba odwagi indywidualnej, ta zaś zanika w naszych czasach rozwijającej się organizacji i zmechanizowania. Podczas wojny spotkałem się wyłącznie ze zjawiskiem odwagi masowej, odwagi w szeregu i gromadzie, a kto bliżej to pojęcie rozpatrzy, ten odkryje dziwne jego składniki. Wiele w nim próżności, wiele lekkomyślności i nawet znudzenia, a przede wszystkim wiele lęku, tak jest, lęku przed pozostaniem w tyle, przed kpinami, przed koniecznością samodzielnego działania, a przede wszystkim lęku przed możliwością znalezienia się w opozycji wobec masowego zapału innych. Większość tych, którzy uchodzili w polu za najodważniejszych, znałem później w cywilu jako nader wątpliwych bohaterów. Owszem – dodał z grzecznym ukłonem w stronę gospodarza – ja sam także nie jestem wyjątkiem.

Podobał mi się jego sposób rozumowania i właśnie miałem chęć zbliżyć się do niego, gdy pani domu poprosiła do stołu, a ponieważ umieściła nas z dala od siebie, nie mogliśmy dalej prowadzić rozmowy. Dopiero przy ogólnym pożegnaniu spotkaliśmy się w przedpokoju.

– Zdaje mi się – uśmiechnął się do mnie – że nasz wspólny znajomy już nas ze sobą pośrednio zapoznał.

– I to dokładnie! – uśmiechnąłem się również.

– Prawdopodobnie nałgał panu, jaki to ze mnie Achilles, i odpowiednio pochłubił się przed panem moim orderem?

– Mniej więcej...

– Tak, diabelnie jest z niego dumny, tak samo jak z pańskich książek.

– Zabawny jegomość! Ale bywają gorsi. Jeżeli pan sobie życzy, możemy kawalek przejść razem, dobrze?

Wyszliśmy. Nagle mój towarzysz zwrócił się do mnie:

– Niech mi pan wierzy, to nie puste słowa, jeżeli powiem że przez długie lata nic nie przysporzyło mi tyle cierpienia, ile ten Order Marii Teresy, w ogóle za bardzo wpadający w oczy, jak na moje upodobania. Właściwie – chciałbym być uczciwy – gdy go wówczas na froncie dostałem, przejęty byłem do głębi. Ostatecznie człowiek wychowany został na żołnierza i w szkole kadetów słuchał o tym orderze jak o legendzie, o tym orderze, który nadawany bywa najwyżej dziesięć razy podczas każdej wojny, więc

rzeczywiście spada jak gwiazda z nieba. Tak, tak, dla dwudziestoosmioletniego chłopca to wielka rzecz! Stoi się przed frontem, wszyscy patrzą zdumieni, na szyi zabłyszczy człowiekowi nagle coś niby małe słońce, a cesarz – ten majestat, do którego ani się zbliżyć! – ściska mu rękę i winszuje. Ale widzi pan, tego rodzaju odznaczenie miało sens i wartość jedynie w naszym świecie wojskowym, lecz po skończonej wojnie wydawało mi się śmieszne takie paradowanie przez całe życie jako patentowany bohater, ponieważ przez dwadzieścia minut postępowało się istotnie odważnie – nie odważniej zapewne niż dziesięć tysięcy innych – i miało się to tylko szczęście, że się zostało zauważonym, a co jeszcze dziwniejsze, że się powróciło żywym! Już po roku, gdy ludzie wpatrywali się w ten kawałek metalu, a potem przenosili z czcią wzrok na moją twarz, miałem dość tego chodzenia jako żywy pomnik, a przykreść, jaką sprawiało mi to ciągle wyróżnianie się wśród innych, była jednym z powodów, dla których po zakończeniu wojny przeszedłem tak szybko do cywila.

Przyspieszył kroku.

– Jednym, powiadam, z powodów, ale powód główny był osobisty i to może będzie dla pana bardziej zrozumiałe. Głównym powodem była okoliczność, że ja sam zwątpiłem gruntownie w moje uprawnienia, a w każdym razie we własne bohaterstwo. Przecież wiedziałem lepiej od tych obcych gapiów, że za tym orderem nie kryje się żaden bohater, a nawet stoi zdecydowany nie-bohater, jeden z tych, którzy tylko dlatego z taką zajadłością rzucili się w wir wojny, że chcieli się wyratować z rozpaczliwej sytuacji; raczej dezercerzy od własnej odpowiedzialności niż bohaterowie z poczucia obowiązku. Nie wiem, jak to jest u was – mnie życie w nimbie i aureoli wydaje się nienaturalne i nie do zniesienia, toteż poczułem się lepiej, gdy przestałem obnosić na mundurze moją biografię bohatera. Jeszcze teraz złości mnie, gdy ktoś odkopuje moją biografię bohatera. Dlaczego nie mam się panu przyznać, że wczoraj o mało nie zerwałem się i nie przybiegłem do was, aby wrzasnąć na tego gadułę: „Chwal się kim innym, a nie mną!” Przez cały wieczór dręczyło mnie wspomnienie pańskich oczu pełnych szacunku, a najchętniej – aby zdemaskować tego blagiera – byłbym pana poprosił, żebyś wysłuchał, jakimi drogami doszedłem w ogóle do tego bohaterstwa. Była to historia osobliwa, a mogłaby zaświadczyć, że odwaga jest często odwrotną stroną słabości. Zresztą nie zawahałbym się jeszcze i teraz opowiedzieć jej panu. Wydarzenia sprzed ćwierćwiecza nie boją już człowieka – od dawna przecież już całkiem innego... Miałby pan czas? A może nudzi to pana?

Oczywiście, że miałem czas, toteż spacerowaliśmy jeszcze długo po opuszczonych ulicach, a dnia następnego przesiedzieliśmy razem długie godziny. W opowiadaniu mego towarzysza zmieniłem bardzo niewiele; może powiedziałem „ułani” zamiast „huzarzy”, aby nie poznano, który to był garnizon, może trochę poszachrowałem na mapie i przezornie pozmieniałem wszystkie nazwiska – ale nic istotnego nie dodałem z mej fantazji i nie ja, lecz mój towarzysz zaczyna teraz opowiadać.

Cała sprawa zaczęła się od niezręczności, od zupełnie niewinnej omyłki, *une gaffe*, jak mówią Francuzi. Potem była próba, aby ową niezdarność naprawić; ale gdy się chce zbyt spieszenie naprawić kółko w zegarze, psuje się zazwyczaj cały mechanizm. Nawet dziś, po latach, nie potrafię rozgraniczyć, gdzie kończyła się moja niezręczność, a zaczynała wina. Prawdopodobnie nigdy tego nie odkryję.

Miałem wówczas lat dwadzieścia pięć i byłem podporucznikiem w pułku ułanów w X. Nie mogę twierdzić, że bym kiedykolwiek odczuwał wybitne upodobanie albo wewnętrzną skłonność do stanu oficerskiego. Ale gdy w austriackiej rodzinie urzędniczej dwie dziewczyny i czterech wiecznie głodnych chłopców zasiada do skąpo zastawionego stołu, nie pyta się ich o powołanie, lecz przedwcześnie pakuje do zawodu, aby zbyt długo nie obciążali budżetu domowego. Mego brata Ulryka, który już w szkole powszechnej zepsuł sobie wzrok, oddano do seminarium duchownego, a mnie ze względu na silną budowę – do szkoły wojskowej. Nić żywota wysnuwa się stamtąd mechanicznie i nic nie trzeba oliwić – państwo troszczy się o wszystko. W kilka lat według przepisanych wzorów z bladego wyrostka formuje się podchorążego z puchem pod nosem i oddaje armii zdatnego do użytku. Pewnego dnia, w urodziny cesarza – nie miałem jeszcze osiemnastu lat – byłem już wymusztrowany i wkrótce z pierwszą gwiazdką na kołnierzu opuściłem szkołę. W ten sposób osiągnąłem pierwszy etap i mogłem teraz spokojnie czekać na właściwe, mechanicznie przypadające w czasie i wysokości awanse, aż do podagry i przeniesienia w stan spoczynku. Służba w kawalerii, w tym niestety najkosztowniejszym rodzaju broni, także nie była moim osobistym pragnieniem, lecz kaprysem ciotki Daisy, drugiej żony starszego mego stryja, który z ministerstwa skarbu przeszedł na bardziej intratne stanowisko prezesa banku. Bogata snobka nie chciała zezwolić, aby ktoś, nosząc nazwisko Hofmiller, miał przynieść wstyd rodzinie, służąc w piechocie. Ponieważ kaprys ten kosztował ją miesięcznie sto koron, które mi przysyłała, musiałem przy każdej sposobności udawać wobec niej wdzięczność. Czy mnie osobiście zadowalała służba w kawalerii i w ogóle kariera wojskowa, o tym nikt nie pomyślał, a ja sam najmniej. Kiedy siedziałem w siodle, czułem się dobrze i nie myślałem wiele.

Owego listopada 1913 roku musiał widocznie jakiś rozkaz przelecieć z jednej kancelarii do drugiej, gdy nagle frrr! – i nasz szwadron przeniesiony został z Jarosławia do innego małego garnizonu nad węgierską granicę.

Obojętne, czy podam właściwą nazwę owego miasteczka, gdyż dwa guziki przy tym samym mundurze nie mogą być do siebie bardziej podobne niż jeden garnizon austriacki do drugiego. I tu i tam takie same rządowe budynki, koszary, maneż, plac ćwiczeń, trzy hotele, dwie kawiarnie, jedna cukiernia, jedna winiarnia i marny kabaret z wynędzniałymi szansonistkami, które wykonując poboczny zawód, czule dzieliły pomiędzy siebie oficerów i jednoroczników. Służba w pułku wszędzie oznaczała skrętność pełną pustej monotonii. Godzina za godziną podzielone były według niewzruszalnego jak stal, odwiecznego regulaminu, zaś czas wolny także nie był zbyt urozmaicony. W menaży oficerskiej stale te same twarze i te same rozmowy, w kawiarni stale te same partie kart i ten sam bilard. Czasem dziwił się człowiek, że Pan Bóg raczył przynajmniej roztoczyć inne niebo i inny krajobraz wokół tych sześciuset czy ośmiuset dachów takiego miasteczka.

Mój nowy garnizon miał jednak jedną przewagę nad poprzednim w Galicji: zatrzymywały się tu pospieszne pociągi i z jednej strony miało się blisko Wiedeń, a niezbyt daleko z drugiej Budapeszt. Kto miał pieniądze – a w kawalerii służą zazwyczaj bogaci chłopcy, często jednorocznicy, arystokracja i synowie fabrykantów – ten mógł, jeśli wyrwał się w porę, pojechać o piątej po południu do Wiednia; a nocnym pociągiem o wpół do trzeciej powrócić. Było więc dosyć czasu, by pójść do teatru, pospacerować po Ringstrasse, udawać eleganta i nawet przeżyć jakąś przygodę; kilku z nas, najbardziej godnych zazdrości, miało tam nawet stałe mieszkania lub *pied à terre*. Niestety tego rodzaju odświeżające eskapady leżały poza granicami mojego miesięcznego budżetu. Jako rozrywka pozostawała mi jedynie kawiarnia lub cukiernia, gdzie najczęściej, gdy partia kart była dla mnie za wysoka, grałem w bilard lub w jeszcze tańsze szachy.

Owego popołudnia siedziałem jak zazwyczaj w cukierni – musiało to być w połowie maja 1914 roku – z przygodnym partnerem, aptekarzem spod „Złotego Anioła”, a zarazem wiceburmistrzem naszego miasteczka. Dawno już rozegraliśmy jak zazwyczaj trzy partie i rozmawialiśmy jedynie z lenistwa, aby nie wstawać – bo dokąd pójść w tej nędznej dziurze? – ale rozmowa wlokła się ospale niby resztki dymu z dopalonego papierosa. Nagle otworzyły się drzwi i wraz z powiewem świeżego powietrza wbiegła wesoła, młoda dziewczyna w szerokiej, szeleszczącej spódnicy; brązowe migdałowe oczy, ciemna cera, doskonała toaleta, wcale nieprovincjonalna, a przede wszystkim – nowa twarz w tej przeklętej jenostajności. Niestety piękna nimfa

nie obdarzyła żadnego z nas, patrzących na nią z szacunkiem i podziwem, ani jednym spojrzeniem. Smukła, rasowa, wysportowanym krokiem przeszła przez cukiernię, mijając wszystkie dziewięć stoliczków o marmurowych blatach, skierowała się prosto do kontuaru i wybrała cały tuzin ciastek, torty i likiery. Natychmiast zauważyłem, z jakim szacunkiem cukiernik skłonił się przed nią – jeszcze nigdy nie widziałem tak naprężonego tylnego szwu w jego surducie. Nawet żona jego, tęga i grubokoścista prowincjonalna parweniuszka, której nadskakiwali wszyscy oficerowie (pod koniec miesiąca bywało się przecież nieraz coś dłużnym), wstała zza kasy i o mało nie rozplynęła się w grzecznościach. Podczas gdy cukiernik notował sobie w książce obstalunek, ładna panna złasowała mimochodem kilka czekoladek, rozmawiając z panią Grossmaier; ale dla nas, którzy może aż niegrzecznie wyciągaliśmy szyje, nie padło ani jedno spojrzenie. Młoda osóbką nie obciążała też swych ładnych rączek ani jedną paczką, a pani Grossmaier zapewniła ją z całym uszanowaniem, że z pewnością wszystko będzie jak najdokładniej odesłane. Elegancka dama ani myślała też zapłacić przy stalowej, automatycznej kasie, jak my, zwykli śmiertelnicy, toteż natychmiast wiedzieliśmy wszyscy, że musi to być specjalnie wytworna klientka.

Po skończonym zamówieniu zwróciła się do wyjścia, a pan Grossmaier wyprzedził ją i sam otworzył drzwi. Mój aptekarz również wstał i z szacunkiem ukłonił się przechodzącej pannie. Odpowiedziała z uprzejmą wyższością – psiakość, jakież aksamitne, sarnie oczy! – a ja ledwo mogłem się doczekać, aby zasypana komplementami opuściła wreszcie sklep, bo musiałem ciekawie wypytać mego partnera, co to za szczupak w tym karpim stawie.

– Ach, nie zna pan jej? To przecież siostrzenica pana – nazwę go panem von Kekesfalva, jakkolwiek nazwisko to brzmi w rzeczywistości inaczej – siostrzenica pana Kekesfalvy. Zna go pan chyba?

Kekesfalva? Rzucił mi to nazwisko niby banknot tysiąc-koronowy, patrząc na mnie, jak gdyby oczekiwał niewątpliwego echa w pełnym czci okrzyku: „Ach, tak! Naturalnie!” Ale jako świeżo tu przeniesiony porucznik, który zaledwie parę miesięcy temu zjawił się w garnizonie, nie miałem pojęcia o tym tajemniczym bogu i grzecznie poprosiłem o dalsze wyjaśnienia, które też z całym zadowoleniem i dumą prowincjonalisty pan aptekarz chętnie mi podał. (Oczywiście znacznie obszerniej i dokładniej, niż tu opisuję).

– Kekesfalva – wyjaśnił – to najbogatszy człowiek w całym okręgu. Należy do niego po prostu wszystko, nie tylko pałac Kekesfalva. Przecież musi go pan znać, bo widać go z placu ćwiczeń, na lewo od szosy, z taką płaską wieżą, w dużym starym parku. Własnością jego jest też ta wielka cukrownia przy drodze do R., tartak w M. i stadnina. Wszystko to należy do niego, a oprócz tego ma jeszcze sześć czy siedem domów w Budapeszcie i Wiedniu. Tak, tak, wcale nie chce się wierzyć, że mamy u siebie tak bogatych ludzi, a ten żyje przy tym jak prawdziwy magnat. W zimie mieszka w małym pałacu w Wiedniu na Jacquingasse, a lato spędza w kąpieliskach; tutaj bywa tylko przez parę miesięcy wiosennych, a dom prowadzi... Wielki Boże! Kwartet z Wiednia, szampan i francuskie wina, wszystko naj-najlepsze!

Jeżeli może tym zrobić mi przyjemność, chętnie mnie do nich wprowadzi – przy tym szeroki gest samochwalstwa – z panem Kekesfalva jest zaprzyjaźniony, w dawnych latach często miewał z nim interesy i wie, iż widuje on zawsze bardzo chętnie u siebie oficerów; tylko słówko, a będę zaproszony.

Dlaczegoż by nie? Przecież w takim zabagnionym stawie z samymi rakami, jakim jest każdy garnizon prowincjonalny, można się udusić. Zna się z widzenia wszystkie panie na promenadzie, każdy ich letni i zimowy kapelusz, każdą codzienną i odświętną suknię – stale i zawsze to samo. Zna się też każdego psa i każdą służącą, i wszystkie dzieci, zna się to z widzenia aż do obrzydliwości. Zna się wszystkie kulinarne sztuki grubej czeskiej kucharki w kasynie, a podniebienie z wolna tępieje na sam widok niezmiennie jednakowych jadłospisów w restauracji. Zna się na pamięć każde nazwisko, każdy szyld, każdy plakat na każdej ulicy, każdy sklep w każdym domu i każdą wystawę w każdym sklepie. Nieomal z dokładnością płatniczego Eugeniusza wiadomo, o której godzinie pan sędzia zjawi się w kawiarni, zajmując miejsce przy lewym oknie i punktualnie o czwartej trzydzięci zamawiając białą kawę, zaś pan rejent przyjdzie dokładnie w dziesięć minut później i obstaluje – jakaż miła odmiana! – ze względu na swój słaby żołądek szklanekę herbaty z cytryną, opowiadając przy stale tym samym cygarze wiecznie te same dowcipy. Ach, zna się wszystkie twarze, wszystkie konie, wszystkich dorożkarzy, wszystkich żebraków z całej okolicy i siebie samego aż do przesytu! Czemuż nie wyrwać się chociaż raz z tego kołowrotu? A owa ładna dziewczyna, owe sarnie oczy! Z udaną obojętnością

(aby tylko nie okazać zbytniego pośpiechu temu pigularzowi!), oświadczyłem więc, że owszem z przyjemnością zawrę znajomość z rodziną Kekesfalwów.

I rzeczywiście poczciwy aptekarz nie nablagował. Już w dwa dni później z gestem łaskawcy, nadęty dumą przyniósł mi do kawiarni drukowaną kartę z wykaligrafowanym na niej moim nazwiskiem, głosząca, że pan Lajos Kekesfalva zaprasza pana porucznika Antoniego Hofmüllera na przyszłą środę o godzinie ósmej na obiad. Chwała Bogu, z niejednego pieca chleb się jadło i wiadomo, co się w takim wypadku robi! Zaraz w niedzielę przed południem włożyłem więc moją najlepszą szatę i lakiery, wygolony „na glanc” opryskałem się wodą kolońską i jadę z pierwszą wizytą. Służący – stary, dyskretny, dobrze wychowany – bierze moją kartę – i uprzejmie przeprasza: państwo będą bardzo żalowali, iż pan porucznik ich nie zastał, ale właśnie są w kościele. „Tym lepiej – myślę sobie – pierwsze wizyty są najstraszniejsze i na służbie, i poza nią. W każdym razie spełniłem swój obowiązek. Pójdę do nich w środę wieczorem i miejmy nadzieję, że będzie przyjemnie. Sprawa Kekesfalwów odwalona więc – myślę – do środy”. Ale w dwa dni później, więc we wtorek, szczerze ucieszony znajduję u siebie zagiętą kartę wizytową pana von Kekesfalva. „Bez zarzutu! – myślę – dobrze wychowani ludzie. W dwa dni po pierwszej mojej wizycie oddać ją mnie, małemu podporucznikowi... więcej uprzejmości i szacunku nie może wymagać nawet generał!” I w prawdziwie dobrym nastroju oczekiwałem teraz na środę wieczór.

Ale zaraz na początku przeszkodził mi figiel losu – właściwie powinno się być przesadnym i więcej zwracać uwagi na drobne znaki. W środę o wpół do ósmej byłem już całkowicie gotowy: w nowym mundurze, w nowych rękawiczkach, w nowych lakierkach i w spodniach tak zaprasowanych, że kant był ostry jak brzytwa, a mój ordynans właśnie układał mi fałdy płaszczka, sprawdzając, czy wszystko w porządku (zawsze robił to ordynans, bo miałem tylko małe, ręczne lustro i marne oświetlenie w pokoju), gdy nagle pukają do drzwi – ordynans. Oficer służbowy, mój przyjaciel hrabia Steinhübel, rotmistrz, każe mnie prosić, żebym zaraz przyszedł do koszar. Dwaj ułani, prawdopodobnie pijani na umór, zaczęli się kłócić, aż wreszcie jeden wyrzucił drugiego karabinem po głowie. Teraz nieborak leży zakrwawiony, nieprzytomny, z otwartymi ustami i w ogóle nie wiadomo, czy czaszkę ma całą, czy rozłupaną. Lekarz pułkowy wyjechał na urlop do Wiednia, a pułkownika nie można znaleźć; poczciwy Steinhübel wybrał więc w swej opresji – niechże go wszyscy diabli! – akurat mnie, żebym mu pomógł. Gdy on będzie się krzątał przy rannym, mam spisać protokół oraz rozesłać

na wszystkie strony ordynansów, którzy by w kawiarni czy gdziekolwiek indziej złapali jakiegoś lekarza prywatnego. Zrobiło się tymczasem trzy na ósmą. Widziałem już, że się nie zwolnię przed upływem pół godziny; psiakość, akurat dziś musiało mi się całe to świństwo przytrafić, dziś, kiedy jestem zaproszony! Coraz niecierpliwiej patrzę więc na zegar; jeżeli jeszcze pięć minut będę tu musiał pozostać, nie zdążę przyjść tam punktualnie. Ale – służba! Przecież pakowano nam przez całe życie do głowy, że ona ma pierwszeństwo przed wszelkimi prywatnymi zobowiązaniami! Nie wolno mi zwiać; robię więc jedyną rzecz możliwą w takiej przeklętej sytuacji i posyłam mego ordynansa (kosztuje mnie ta przyjemność 4 korony!) do państwa Kekesfalvów, prosząc o wybaczenie, jeżeli się spóźnię, ale nieoczekiwany wypadek na służbie i tak dalej, i tak dalej. Na szczęście ten rwetes w koszarach nie trwał już długo, bo zjawił się osobiście pułkownik z jakimś naprędce znalezionym doktorem, i mogłem się wreszcie wycofać nie zwracając niczyjej uwagi.

Lecz oto spotyka mnie nowe niepowodzenie: akurat dziś nie ma przed ratuszem ani jednej dorożki i muszę czekać, aż mi którąś sprowadzą telefonicznie. Nic na to poradzić nie mogę, a wchodząc do wielkiego hallu u Kekesfalvów, widzę, że duża wskazówka na ściennym zegarze zwrócona jest pionowo w dół i jest już wpół do dziewiątej, widzę też, że wieszadła w przedpokoju uginają się pod płaszcami. Orientuję się również, po nieco zakłopotanej twarzy służącego, że przychodzę zbyt późno – nieprzyjemne, bardzo nieprzyjemne, że zdarzyło się to na pierwszej wizycie.

W każdym razie służący – tym razem w białych rękawiczkach i we fraku, o twarzy tak sztywnej jak biały gors u jego koszuli – uspokaja mnie, że ordynans przyniósł już przed pół godziną mój bilet, po czym prowadzi mnie do salonu: czterookienny, ściany obciągnięte czerwonym jedwabiem, żarzący się kryształowymi świeczkami, bajecznie elegancki – nigdy nie widziałem wytworniejszego. Ale ku memu zawstydzeniu nie ma w nim nikogo, zaś z pokoju sąsiedniego słyszę wyraźnie szcęk talerzy. Ach, jak mi przykro! Widocznie poszli już do stołu.

Trudno! Zbieram się na odwagę, służący rozsuwa drzwi, staję w progu jadalni, stukam obcasami i składam ukłon. Wszyscy patrzą na mnie – dwadzieścia, czterdzieści par oczu, same nieznajome, wpatrują się w opóźnionego, który niezbyt pewny siebie stoi w obramowaniu drzwi. Natychmiast zrywa się starszy pan, bez wątpienia gospodarz, szybko odkłada serwetę, zbliża się do mnie i zapraszającym gestem podaje mi rękę.

Wyobrażałem go sobie zupełnie inaczej; nie ma wyglądu węgierskiego, wąsatego ziemianina – pan von Kekesfalva jest otyły i ma pulchną twarz zaczerwienioną od wina. Za złotymi okularami widać lekko zamglone i nieco znużone oczy w oprawie szarych woreczków; jego ramiona wydają się trochę pochylone naprzód, głos brzmi cicho, a pokasływanie jeszcze go ścisza; można by pana von Kekesfalva wziąć za uczonego, patrząc na tę wąską, delikatną twarz, zakończoną cienką, białą bródką w klin. Wybitna uprzejmość starego pana dobrze działa na moją niepewność. Nie, nie, to on powinien przeprosić – przerywa mi w pół słowa – wie przecież, co zająć może na służbie, toteż uważa za szczególną uprzejmość z mojej strony, że go o tym zawiadomiłem; jedynie dlatego, że nie byli pewni mego przybycia, zasiedli do stołu. Niechże jak najprędzej zajmie swe miejsce! Później ze wszystkimi mnie oczywiście zapozna, ale na razie – i podprowadza mnie do stołu – oto jego córka. Od rozmowy ze swym sąsiadem odrywa się młodzianka panienka, delikatna, blada, subtelna jak ojciec i dwoje szarych oczu nieśmiało patrzy na mnie, ale tylko w przelocie rzucam krótkie spojrzenie na wąską, nerwową twarz, składam ukłon dziewczynie, a potem wszystkim, na prawo i na lewo, najwidoczniej zadowolonym, że nie potrzebują odkładać noży i widelców, że ich teraz nie fatygują ceremonią przedstawiania.

Przez pierwsze dwie czy trzy minuty czuję się jeszcze bardzo niewyraźnie. Nie ma nikogo z pułku, ani jednego znajomego, nawet nikogo z notablów miasteczka – sami obcy, najzupełniej obcy ludzie. W większości są to zapewne ziemianie z okolicy, z żonami i córkami, oraz urzędnicy państwowi. Ale wyłącznie cywile, jedyny mundur wojskowy to mój! Boże drogi, jakżeż ja, niezręczny i nieśmiały, mam zacząć z tymi nieznanymi rozmowę? Na szczęście dobrze mnie uplasowano. Obok siedzi owa brązowa, żwawa istota, owa ładna siostrzenica, która musiała jednak wówczas w cukierni zauważyć moje spojrzenie pełne podziwu, bo uśmiecha się do mnie przyjaźnie jak do dawnego znajomego. Oczy ma jak ziarnka kawy, doprawdy, wydaje się, że coś trzeszczy gdy się śmieje, zupełnie jak trzeszczą przypalone ziarna kawy. Uszy ma czarujące, małe, przeświecające pod gęstymi, czarnymi włosami. „Jak cyklameny w mchu” – robię porównanie. Nagie ramiona są pulchne i gładkie, przy dotknięciu pewno sprawiają wrażenie obranych brzoskwiń.

Przyjemnie jest siedzieć obok tak ładnej dziewczyny mówiącej z lekko węgierskim akcentem, który mógłby mnie doprowadzić do utraty głowy. Dobrze jest siedzieć w jasno oświetlonym pokoju i jeść obiad przy wytwornie

nakrytym stole, mając za sobą służących w liberii, a przed sobą najsmakowitsze potrawy. Moja sąsiadka z prawej strony, mówiąca z lekko polskim akcentem, wydaje mi się także bardzo apetyczna, jakkolwiek nieco za tęga. A może to działanie wina złocistego i czerwonego jak krew, a teraz tego perlącego się szampana, który mi od tyłu rozrzutnie nalewa ze srebrnych karafek i brzuchatych butelek służący w białych rękawiczkach. Rzeczywiście, poczciwy aptekarz nie nablagował, wygląda tu jak na cesarskim dworze. Nigdy jeszcze nie jadłem tak wykwintnych, doskonałych i rzadkich potraw. Na nieskończonej ilości półmisków wnoszono coraz droższe i wspanialsze dania; bladoniebieskie ryby, ukoronowane sałatą i obłożone plastrami homara, pływały w złotych sosach; kapłony w piórach siedziały na podściółkach z ryżu; puddingi płonęły w błękicie zapalonego rumu; kolorowe bomby lodów rozpływały się słodyczą na języku; owoce, które zapewne przewędrowały pół świata, całowały się wzajemnie w srebrnych koszykach. Nie było temu końca, nie było końca, aż wreszcie podano całą tęczę kolorowych likierów, zielonych, czerwonych, białych i żółtych, do grubych cygar i przepysznej czarnej kawy.

Wspaniały, zaczarowany dom – Boże, błogosław temu poczciwemu aptekarzowi! Przemily, szczęśliwy, rozdzwiczony wieczór! Sam nie wiem, czy może dlatego czułem się tak swobodny i nieskrępowany, że na prawo, na lewo i naprzeciwko widziałem równie błyszczące oczy i słyszałem podniecone głosy osób, które porzuciwszy wytworne maniery wesoło mówiły jedna przez drugą – w każdym razie moja zwykła nieśmiałość gdzieś się zapodziała. Gawędziłem bez najmniejszego zażenowania, asystowałem jednocześnie obydwom sąsiadkom, piłem, śmiałem się, spoglądałem na wszystkich przekornie i wyzywająco, a gdy nie tylko przypadkiem przesunąłem ręką po pięknym, obnażonym ramieniu Ilony (tak się nazywała owa siostrzenica), nie brała mi tego zbyt za złe, bo była również swobodna, ożywiona i wesoła jak wszyscy przy tej doskonałej uczcie.

Stopniowo uczułem – jednak może to było działanie wspaniałych win, tokaju na przemian z szampanem, do których nie byłem przyzwyczajony? – uczułem taką swobodę ducha, że graniczyło to już prawie ze swawolą i nieopanowaniem. Do całkowitego szczęścia, do wrażenia, że unoszę się na skrzydłach, do stanu nieomal wzniosłego brakowało mi jeszcze tylko jednego; czym zaś to było, za czym nieświadomie tęskniłem, zdałem sobie w następnej chwili jasno sprawę, gdy nagle w trzecim pokoju za salonem – służący otworzył był już niepostrzeżenie rozsuwane drzwi – rozbrzmiała

muzyka, kwartet, a przy tym muzyka, której tak bardzo teraz pragnąłem, muzyka do tańca, rytmiczna a miękka zarazem, walc na troje skrzypiec, podkreślany melodyjnym tonem wiolonczeli i mocnym, ostrym staccato fortepianu poddającego takt. Tak, muzyka, muzyka, tylko jej mi brakowało! Muzyka i taniec! Tańczyć walca, kołysać się do jego wtóru, płynąć i błogo czuć własną lekkość! W istocie – dom Kekesfalva musiał być chyba zaczarowany, bo wystarczyło czegoś zapragnąć, a życzenie natychmiast się spełniało. Gdy wstaliśmy wreszcie od stołu, gdy odsunięto krzesła i para za parą – podałem ramię Ilonie, czując jej chłodną, miękka, młodą skórę – przeszliśmy do salonu, okazało się, że wszystkie stoły znikły, jak gdyby je sprzątnęły dobre duchy, a krzesła ustawiono pod ścianami. Posadzka czekała gładka, błyszcząca, połyskliwie brązowa, idealna ślizgawka do walca, a z sąsiedniego pokoju podniecająco płynęła muzyka.

Zwróciłem się do Ilony, która zaśmiała się i zrozumiała. Oczy jej powiedziały „tak” i oto już dwie, trzy, potem pięć i więcej par zakręciło się po gładkiej posadzce, zaś powściągliwsi i starsi usiedli przyglądając się nam i gawędząc. Tańczę w ogóle chętnie i tańczę dobrze. Płynęliśmy więc we wzajemnym objęciu, a z pewnością przez całe życie nie tańczyłem lepiej. Do następnego walca poprosiłem moją drugą sąsiadkę; ona również tańczyła świetnie, ja zaś lekko nad nią pochylony wdychałem, trochę oszołomiony, zapach jej włosów. Ach, jakże doskonale tańczyła moja partnerka, jakże wszystko było piękne, jak szczęśliwy się czułem – od lat nie było mi tak dobrze! Miałem ochotę każdego uściskać, każdemu powiedzieć coś serdecznego i wdzięcznego, bo czułem się tak lekki, tak bogaty, tak rozkosznie młody! Przebiegałem od jednej tancerki do drugiej, rozmawiałem, śmiałem się, tańczyłem i ogarnięty błogostanem wcale nie dostrzegałem płynącego czasu.

Nagle – przypadkiem spojrzałem na zegar: wpół do jedenastej – z przestraszeniem coś sobie przypomniałem; oto prawie od godziny tańczę i żartuję ze wszystkimi, a zapomniałem, osioł jeden, że nie poprosiłem jeszcze córki domu! Przetańczyłem tylko z moimi obydwoma sąsiadkami i z dwiema czy trzema innymi paniami, które mi się najwięcej podobały, ale o pannie von Kekesfalva najzupełniej zapomniałem. Jakież zaniedbanie, ach, jakież afront! Prędzej więc, prędzej, trzeba to naprawić!

Ale ku memu przerażeniu wcale już sobie nie mogłem przypomnieć, jak ona wygląda. Musnąłem ją przecież tylko przelotnym spojrzeniem i ukłoniłem się, gdy już siedziała przy stole; pamiętałem tylko coś delikatnego

i subtelnego oraz szybkie, ciekawe spojrzenie szarych oczu. Ale gdzież się teraz podziała? Przecież jako córka domu nie mogła wyjść? Niespokojnie przyjrzałem się siedzącym pod ścianami i paniom, i pannom, ale w żadnej nie odkryłem zapamiętanej twarzyczki. Wreszcie wyszedłem do trzeciego pokoju, gdzie ukryty za chińskim parawanem grał kwartet, i odetchnąłem z ulgą. Oto ona – tak, to z pewnością ona – delikatna, szczuplutka, w jasnoblękitnej sukience, siedziała między dwiema starszymi paniami w rogu buduaru za stołem o malachitowym blacie, na którym ustawiono płaską wazę z kwiatami. Wąską główkę trochę spuściła, jak gdyby wsłuchiwała się w muzykę, i jako kontrast do purpurowych róż dojrzałem przezroczystą biel jej czoła pod ciężkimi brązoworudawymi włosami. Dość jednak tego obserwowania! Chwała Bogu, odetchnąłem z ulgą, że ją jednak znalazłem, mogę mój nietakt w porę naprawić.

Zbliżyłem się więc szybko do stołu – obok grała orkiestra – i skłoniłem się na znak grzecznego zaproszenia do tańca. Niespodzianie uderzyło we mnie przerażone spojrzenie, usta panienki zamarły w pół słowa, lecz nie uczyniła najmniejszego ruchu, aby pójść ze mną. Może nie zrozumiała? Ukłoniłem się więc jeszcze raz – moje ostrogi cicho zadźwięczały – i dodałem:

– Czy mogę prosić?

Ale w tej chwili stało się coś okropnego. Pochylona ku przodowi postać rzuciła się raptownie w tył, jak gdyby chciała mi ująć, jednocześnie do bladych policzków buchnęła fala krwi, usta mocno się zacisnęły i tylko oczy wpatrzone były we mnie tak nieruchomo i z takim wyrazem przerażenia, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. W następnej chwili przez całe ciało siedzącej przebiegł wstrząs, dziewczyna oparła się rękami o stół, aż waza zadźwięczała, a jednocześnie z fotela spadło coś na podłogę: drewno albo metal. Jeszcze ciągle wsparta rękami na chybocącym się stoliku dziewczyna nie mogła opanować drżenia wstrząsającego jej dziecinnym ciałem, a jednak nie uciekała. Rozpaczliwie trzymała się ciężkiego blatu, trzęsła się, a drżenie przebiegało od kurczowo zacisniętych rąk aż po korzenie włosów. I nagle coś się w niej wyzwoliło: łkanie, dzikie, żywiołowe łkanie, podobne do zduszonego krzyku.

Ale już z obydwu stron nachyliły się nad nią owe starsze panie, już ją zaczęły obejmować, głaskać, pieścić i uspokajać; wreszcie ręce jej puściły blat stołu, ich uścisk złagodniał i płacząca opadła na fotel. Lecz szloch nie ucichł, raczej stał się silniejszy i podobnie jak krwotok wypływał krótkimi falami z drżącego całym ciałem dziewczęcia. Gdyby muzyka ucichła chociaż

na chwilę – a na razie wszystko zagłuszyła – płacz ten słyszano by aż w salonie.

Stałem ogłupiały i przerażony. Co... co się stało? Bezradnie patrzyłem na obydwie starsze damy, starające się uspokoić szlochającą, która teraz, jakby zawstydzona, złożyła głowę na stole. Mimo to coraz nowe ataki płaczu wybiegały z jej ust, fala za falą wstrząsała szczupłym ciałem aż po ramiona, a przy każdym takim ataku łkania waza na stole cicho brzęczała. Ja zaś ciągle jeszcze stałem; nogi miałem z ołowiu, a kołnierz dusił mnie niby powróż.

– Przepraszam! – wyjąkałem wreszcie półgłosem w powietrze, ale nikt na mnie nie zważał, bo obie panie zajęte były płaczącą.

Powróciłem do salonu jak oszołomiony. Nikt tu widocznie nic nie zauważył, bo pary zapamiętałe wirowały w tańcu, ja zaś musiałem oprzeć się o drzwi, bo cały pokój kręcił się przede mną. Co się stało? Czy zrobiłem coś niewłaściwego? Mój Boże, czyżbym przy stole pił za dużo i za prędko, a teraz w upojeniu popełniłem jakieś głupstwo?

Nagle muzyka ucichła i pary się rozeszły. Starosta tańczący z Iloną podziękował jej ukłonem, a ja natychmiast rzuciłem się do niej i nieomal siłą zawlokłem ją do kąta.

– Proszę, niech mi pani pomoże! Na litość Boga, niech mi pani pomoże, niech mi pani wytłumaczy!

Ilona sądziła zapewne, że ciągnę ją do okna, by opowiedzieć coś wesołego, bo oczy jej nagle stały się surowe; musiałem wyglądać przerażająco albo też budziłem litość, tak byłem wzburzony. Gwałtownie opowiedziałem jej wszystko i oto z okropnym wyrazem w spojrzeniu dziewczyna porwała się na mnie:

– Czy pan oszalał? Czyż pan nie wie? Czy pan nie widział?...

– Nie – wyjąkałem zdumiony tym nowym, a równie niezrozumiałym przerażeniem. – Co miałem widzieć? Przecież nic nie wiem. Przecież jestem tu po raz pierwszy.

– Nic pan nie zauważył... że Edyta... jest kulawa... Nie widział pan jej biednych, pokręconych nóg? Przecież bez kul nie może stąpić dwóch kroków... a pan... pan brut... – zdusiła gniewny wyraz – pan prosi biedactwo do tańca! Och, to straszne! Muszę zaraz do niej pójść...

– Nie – schwyciłem z rozpaczą Ilonę za ramię – jeszcze chwilę, chwileczkę. Niech ją pani w moim imieniu przeprosi. Skądże miałem przypuszczać... widziałem ją tylko przy stole, i to przez chwilę. Proszę, niechże jej pani wytłumaczy...

Lecz Ilona, gniewnie spojrzawszy na mnie, uwolniła się od mej ręki i wybiegła. Stałem z zaciśniętym gardłem, z mdlejącym smakiem w ustach, stałem na progu salonu wirującego i pełnego rozszczebiotanych – a tak mi nagle nienawistnych – swobodnych, rozgadanych i roześmianych ludzi. „Jeszcze pięć minut – myślałem – a wszyscy dowiedzą się o mojej głupocie. Szydercze, pogardliwe, ironiczne spojrzenia będą mnie ze wszystkich stron oglądały i obmacywały. Jutro rozniesiona stu ustami rozbiegnie się po mieście plotka o mojej brutalnej niezręczności, z samego rana przyniosą ją do mieszkań wraz z porannym mlekiem, zaś potem, zniekształcona, przedostanie się do pokojów służbowych, do kawiarni i do urzędów. Jutro będą już wszystko wiedzieli w pułku”.

W tej chwili ujrzałem jak przez mgłę jej ojca. Z zakłopotaną twarzą – czyżby już wiedział? – przemierzał salon w poprzek... Czy szedł do mnie? Nie, żeby się tylko teraz z nim nie spotkać! Ogarnął mnie paniczny strach przed nim i przed wszystkimi. Nie bardzo wiedząc, co robię, ruszyłem potykając się w stronę drzwi do hallu, by wyjść z tego piekielnego domu.

– Pan porucznik już nas opuszcza? – zdziwił się z pełnym szacunku i niedowierzania gestem służący.

– Tak – odpowiedziałem i sam się przeraziłem, wymawiając to słowo.

Czy rzeczywiście chciałem wyjść? W następnej chwili, gdy służący zdejmował mój płaszcz z wieszaka, już sobie zdałem sprawę, iż swoją tchórzliwą ucieczką popełniłem nowe, a może nawet niewybaczalne głupstwo. Ale było już za późno. Nie mogłem przecież oddać płaszcza i teraz, gdy mi z lekkim ukłonem otwierał drzwi wejściowe, powrócić do salonu. Znalazłem się więc przed tym obcym, przeklętym domem, wiatr wiał mi chłodem w twarz, serce nabrzmiwało wstydem, oddychałem z trudem, jak gdybym się dusił.

Taka to była owa nieszczęsna głupota, od której cała sprawa się zaczęła. Teraz, gdy przypominam sobie spokojnie i z odległości lat ów naiwny okres, a przede wszystkim fatalność, z jaką się zaczął, muszę przyznać, iż

wpakowałem się w całe to nieporozumienie właściwie bez żadnej winy. Najmądrzejszemu, najbardziej doświadczonemu mogłaby się przytrafić gafa, że poprosi do tańca kulawą dziewczynę. Ale wówczas, przerażony, uważałem siebie nie tylko za nieuleczalnego głupca, ale i za brutala, za zbrodniarza. Wydawało mi się, że uderzyłem biczem bezbronne dziecko. Można było przytomnością umysłu jeszcze wszystko naprawić, bezpowrotnie zepsułem sytuację – natychmiast zdałem sobie z tego sprawę, gdy pierwszy zimny powiew ochłodził mi czoło – gdyż uciekałem po prostu jak przestępca nie próbując nawet przeprosić.

Nie mam zamiaru malować nastroju, w jakim stałem przed domem Kekesfalvów. Muzyka za oświetlonymi oknami milczała. Prawdopodobnie była przerwa, ale moje przewrażliwione poczucie winy podpowiedziało mi gorączkowo, że to z mego powodu przerwano taniec, że wszyscy tłoczą się w buduarze, aby płaczącą pocieszać, że goście, panie, panowie i dziewczęta pałają za zamkniętymi drzwiami pałacu jednomyślnym oburzeniem na niegodziwego człowieka, który poprosił kalekie dziecko do tańca, a po złośliwym figlu tchórzliwie uciekł. Jutro – pot mnie oblał i poczułem jego chłód pod czapką – całe miasto będzie wiedziało, będzie plotkowało, będzie osądzało ten dyskredytujący postępek. Już widziałem przed sobą moich kolegów: Ferenca, Myśliwca i przede wszystkim Józsię, tego przekłętęgo żartownisia, jak zbliżają się do mnie cmokając: „No, Tolek, doskonale się prowadzisz! Tylko ci cugli popuścić, a zaraz cały pułk blamujesz!” – I przez całe miesiące będzie w oficerskiej menaży trwało to dokuczanie i wyszydzanie. Lat dziesięć, dwadzieścia przeżuwa się w naszym koleżeńskim kole każdą taką głupotę, którą popełnił którykolwiek z nas, uwieczniona jest każda gafa i rozważany bywa każdy dowcip. Jeszcze dzisiaj po szesnastu latach opowiada się niemądrą historię o rotmistrzu Wołyńskim, który powróciwszy z Wiednia chełpił się, że poznał na Ringu hrabinę T. i od razu pierwszą noc spędził w jej mieszkaniu. A w dwa dni później gazety podały wiadomość o skandalu, jaki wywołała jej wydalona służąca, która w różnych okolicznościach podawała się oszukańczo za hrabinę T. Prócz tego biedny Casanova musiał na trzy tygodnie oddać się pod opiekę naszego pułkowego lekarza... Kto się w pułku ośmieszy, ten pozostanie śmiesznym na zawsze – nie ma dlań przebaczenia i zapomnienia. Im dokładniej to sobie wyobrażałem, im lepiej obejmowałem myślą, tym głębiej wpędzałem się w wir gorączkowych, absurdalnych pomysłów. Sto razy łatwiej wydawało mi się w tej chwili zrobić maleńki ruch wskazującym palcem na cynglu rewolweru niż przetrzymać piekielne męki najbliższych dni, bezradne czekanie, czy koledzy

wiedzą już o tym skandalu i czy za moimi plecami nie rozpoczęły się już szeptki i uśmieszki. Ach, znałem siebie dobrze i wiedziałem, że nie będę miał siły wytrwać, gdy zaczną się drwinki, szyderstwa i plotki.

Nie wiem już dzisiaj, w jaki sposób dostałem się do domu. Pamiętam tylko, że natychmiast szarpnąłem drzwi od szafy, gdzie stała dla moich gości butelka śliwowicy, i połknąłem dwa czy trzy razy po pół szklanki tego trunku, aby się pozbyć obrzydliwego smaku w gardle. Potem rzuciłem się w ubraniu na łóżko i próbowałem myśleć. Ale szalone pomysły rozrastają się w ciemnościach jak kwiaty w oranżerii, bujnie i bogato. Splątane i fantastyczne myśli wykwitwały z dusznego podłoża jak mocne, duszące liany, a najbardziej absurdalne, koszmarne obrazy tworzyły się i pędziły z szybkością snów przez rozgorączkowany umysł. „Zblamowany jestem na całe życie – myślałem – odtracony od społeczeństwa, wyszydzony przez kolegów, obmówiony przez całe miasto! Nigdy nie będę już mógł opuścić mego pokoju, nigdy nie odważyć się wyjść na ulicę ze strachu, że spotkam kogoś, kto zna moje przestępstwo”. (Zwykłą niezręczność uważałem tej nocy w pierwszym przeczuleniu za przestępstwo, a siebie widziałem jako szcztą ofiarę ogólnego pośmiewiska). Gdy wreszcie zasnąłem, spałem snem niespokojnym i przerywanym, a pod wpływem lęku umysł mój widocznie gorączkowo pracował nadal, bo natychmiast, ledwie otworzyłem oczy, stanęła przede mną znowu gniewna, dziecięca twarz, zobaczyłem drgające wargi i kurczowo zaciśnięte na stole ręce, usłyszałem stuk spadającego drewna. Domyśliłem się teraz, iż musiały to być jej kule, i napadł mnie dziki strach, że oto nagle otworzą się drzwi i w czarnym fraku, białym gorsie i złotych okularach przyjdzie tu do mnie aż do samego łóżka jej ojciec z kozią bródką. Przerażony zerwałem się, gdy ujrzałem w lustrze moją twarz zroszoną potem ze strachu, miałem chęć wyrznąć prosto w gębę tego błazna ukrywającego się za błyszczącym szkłem.

Na szczęście był dzień, na korytarzu słyszałem kroki, a po bruku toczyły się wozy. Gdy szyby są jasne, myśleć można wyraźniej niż wówczas, gdy się jest zacieśnionym w złej ciemności, snadnie rodzącej widziadła. „Może – pomyślałem sobie – wszystko to nie jest jednak aż tak straszne. Może nikt nic nie zauważył. Ona naturalnie – ona nigdy mi tego nie zapomni, nigdy nie przebaczy biedna, blada, chora kaleka!” Nagle błysnęła mi pomocna myśl. Spiesznie przyglądałem rozwichrzone włosy, narzuciłem mundur i wybiegłem mijając zdumionego ordynansa, wołającego za mną rozpaczliwie swym dziwnym ruskim akcentem:

– Panie porucznik, panie porucznik, kawa gotowa!

Zleciałem po schodach koszar i takim pędem przebiegłem obok ułanów, którzy na wpół ubrani stali na podwórzu, że żaden nie miał czasu stanąć na baczność. Jednym skokiem byłem za bramą i poleciałem – jeżeli w ogóle wypada, aby porucznik „leciał”! – prosto do sklepu z kwiatami na Placu Ratuszowym. Z niecierpliwości zapomniałem zupełnie, że o godzinie wpół do szóstej rano sklepy nie są jeszcze otwarte, ale na szczęście pani Gurtner handlowała nie tylko kwiatami, lecz i warzywami. Przed drzwiami stał właśnie do połowy opróżniony wóz kartofli, a gdy gwałtownie zastukałem do okna, usłyszałem, że pani Gurtnerowa schodzi już po schodach. Pospiesznie wymyśliłem więc historię, jakobym najzupełniej zapomniał, iż dziś są imieniny bliskich moich przyjaciół, że za pół godziny wyruszamy i dlatego chciałem, aby kwiaty odesłano zaraz. Prędko, najpiękniejsze, jakie ma! Gruba kupcowa jeszcze w nocnym kaftaniku i dziurawych pantoflach przyczłapała bliżej, otworzyła sklep i pokazała mi swój skarb, olbrzymi pęk róż na długich łodygach.

– Ile pan chce sztuk?

– Wszystkie – odpowiedziałem – wszystkie! Niechże je pani zwiąże w pęk.

Czy ma tylko lekko związać, czy wolę, aby je ułożyła w koszu?

Tak, tak, w koszu. Cała reszta mojej miesięcznej pensji poszła na wspaniały obstalunek – przez ostatnie dni miesiąca będę zmuszony odmawiać sobie kolacji i kawiarni lub zaciągnąć pożyczkę, ale w danym momencie było mi to obojętne, a nawet cieszyło mnie, że swoją niezręczność muszę tak drogo opłacić, bo przez cały czas czułem złośliwą chęć ukarania siebie, niegodziwca, i słonego zapłacenia za moją podwójną głupotę. Więc wszystko będzie w porządku, prawda? Najpiękniejsze róże, ułożone w koszyku, zostaną natychmiast odesłane. Ale pani Gurtnerowa wybiegła za mną zrozpaczona na ulicę; dokądże i komu ma posłać kwiaty, pan porucznik nic nie powiedział! Prawda, ach, potrójny głupiec ze mnie, z całego wzburzenia zapomniałem o tym.

– Do pałacu państwa Kekesfalvów – zarządziłem, a dzięki owemu przerażonemu okrzykowi Ilony przypomniałem też sobie imię mej biednej ofiary. – Dla panny Edyty Kekesfalva.

– Tak jest, tak jest, dla państwa Kekesfalva – powtórzyła pani Gurtnerowa z dumą – to nasi najlepsi klienci!

Ale jeszcze jedno pytanie – już chciałem pobiec dalej – czy nie napiszę paru słów? Napisać? Ach, prawda! Chociażby wymienić hojnego ofiarodawcę. Skądże mogłaby wiedzieć, od kogo kwiaty pochodzą.

Wszedłem więc jeszcze raz do sklepu, wziąłem kartę wizytową i napisałem: „Z prośbą o wybaczenie”. Nie, to niemożliwe! Byłoby to czwartym nietaktem – po co przypominać o swojej głupocie? Więc cóż napisać? „Ze szczerym żalem” – nie, to jeszcze gorzej! Mogłaby to wziąć za współczucie dla siebie. Najlepiej nie napisać nic, w ogóle nic.

– Niech pani załączy tylko ten bilet pani Gurtner, tylko ten bilecik.

Teraz mi ulżyło. Pobiegłem do koszar, połknąłem kawę i odbyłem jako tako – prawdopodobnie bardzo nerwowo i z większym roztargnieniem niż zazwyczaj – swoje wykłady instruktorskie, ale w wojsku nie bardzo zwraca się na to uwagę, gdy porucznik przyjdzie rano na służbę nie w humorze. Iluż przyjeżdża po przehulanej nocy w Wiedniu tak wymęczonych, że ledwo mogą utrzymać oczy otwarte i zasypiają podczas klusa! Właściwie dobrze się stało, że musiałem przez cały czas komenderować, egzaminować, a potem jechać konno. Służba odrywa od niespokojnych myśli, a jeszcze mi po głowie chodziły przykre wspomnienia, zaś w gardle coś przeszkadzało jak gąbka pełna żółci.

Ale w południe, gdy właśnie miałem pójść na obiad, dogonił mnie mój ordynans wołając:

– Panie porucznik!

W ręku miał list, podłużny z angielskiego papieru, niebieski, delikatnie uperfumowany, z wyciśniętym herbem, list pisany pochyłym, delikatnym pismem kobiecym. Gwałtownie rozerwałem kopertę i przeczytałem:

Serdecznie dziękuję za pąkne kwiaty, na które nie zasłużyłam, ale które sprawiły mi i nadal sprawiają wielką radość. Proszę Szanownego Pana o przyjście któregokolwiek dnia po południu na herbatę. Nie trzeba uprzedzać z góry. Jestem – niestety – zawsze w domu.

Edyta v.K.

Delikatne pismo. Mimo woli przypominałem sobie wąską, dziecięcą rękę, zaciśniętą wówczas na stole, przypominałem sobie bladą twarzączkę

zaczerwienioną nagle purpurowo, jak gdyby do szklanki nalał ktoś bordeaux, przeczytałem jeszcze raz, jeszcze dwa i trzy razy kilka napisanych linijek i odetchnąłem z ulgą. Jak dyskretnie przeszła nad moją niezręcznością! Jak zgrabnie, a zarazem taktownie napomyka o swej ułomności! „Jestem – niestety – zawsze w domu”. Nie można przebaczyć w sposób bardziej wytworny. Ani śladu obrazy! Ciężar spadł mi z serca i czułem się jak oskarżony, który sądził, że będzie skazany na dożywotnie więzienie, a sędzia włożył biret i obwieścił: „Zwolniony od winy!” Naturalnie, że muszę wkrótce do nich pojechać, aby jej podziękować. Dziś mamy czwartek, więc w niedzielę będę tam z wizytą. Albo nie, lepiej już w sobotę.

Ale sam danego sobie słowa nie dotrzymałem. Gnał mnie niepokój, aby wiedzieć, że wina moja została ostatecznie zmazana, że skończyło się przykre uczucie niepewnej sytuacji. Wciąż jeszcze drżał mi w nerwach lęk, że podczas obiadu z kolegami, w kawiarni czy gdziekolwiek indziej zacznie ktoś mówić o moim niepowodzeniu: „No, jak to tam było u Kekesfalvów?” Chciałem móc wtedy chłodno i poważnie odpowiedzieć: „Zachwycający ludzie! Właśnie wczoraj byłem u nich znowu na herbacie”, aby każdy mógł zaraz zobaczyć, że mnie stamtąd nie wyrzucili. Ach, postawić już raz krzyż na całej tej nieszczęsnej aferze! Raz ją wreszcie zakończyć! Wewnętrzny niepokój sprawił wreszcie, iż już nazajutrz, więc w piątek, podczas spaceru z Ferencem i Józsim nagle postanowiłem sobie: „Jeszcze dzisiaj wybiorę się tam z wizytą!” I natychmiast pożegnałem moich trochę zdziwionych kolegów.

Właściwie nie była to daleka droga, najwyżej pół godziny dość spiesznym marszem. Najpierw nudne pięć minut przez miasto, potem szosa pełną kurzu, która prowadziła również na plac ćwiczeń, a na której nasze konie znały już każdy kamień i każdy zakręt. (Można było cugle puścić zupełnie luźno). W połowie drogi, obok małej kaplicy przy mostku, zaczynała się węższa aleja ocieniona starymi kasztanami, właściwie droga prywatna, mało uczęszczana, biegnąca w towarzystwie małego błotnistego strumyka, płynącego bez pośpiechu bokiem po kamieniach.

Dziwne, że w miarę jak zbliżałem się do pałacyku, którego tylko biały dookolny mur i ażurową bramę było widać z daleka, tym szybciej opuszczała mnie odwaga. Czułem się tak, jak czuje się pacjent przed drzwiami dentysty, gdy gorączkowo szuka wymówki, aby jak najprędzej odejść, nie pociągając za dzwonek. Czy dobrze zrobiłem, że już dzisiaj... Czy przykrą sprawę powinienem uważać za definitywnie załatwioną owym listem? Mimo woli

zwolniłem kroku; na zawrócenie zawsze jeszcze będzie dość czasu, a droga okólna zawsze bywa użyteczna, gdy się nie chce iść prosto. Skręciłem więc, przechodząc strumyk po chwiejnych deskach, i ruszyłem w stronę łąk, aby okrążyć pałac.

Za wysokim, kamiennym murem stał długi piętrowy budynek w stylu późnego baroku, według staroaustrackiej mody pomalowany na żółto; okiennice były zielone. Oddzielone podwórzem cisnęły się do siebie inne, mniejsze budynki, widocznie służbowe lub przeznaczone dla administracji i na stajnie, a dochodzące aż do dużego parku, którego podczas poprzedniej wizyty nie zauważyłem. Dopiero teraz dostrzegłem przez tak zwane „wole oczy”, owalne luki w mocnym murze, że ów pałac Kekesfalvów wcale nie jest modną willą, jak przypuszczałem sądząc po urządzeniu wewnątrz, ale typowym, prawdziwym ziemiańskim dworem, szlacheckim gniazdem starej daty, jakich wiele widywałem w Czechach i na manewrach, gdy mijaliśmy je konno. Zwracała tylko uwagę dziwna, czworokątna wieża, trochę przypominająca swym kształtem włoską campanillę, dość wysoka, stanowiąca może pozostałość zamku, który tu stał przed wiekami. Przypomniałem sobie dopiero teraz, że z placu ćwiczeń często widywałem dziwną wieżę, ale myślałem, że jest to wieża kościelna. Teraz zobaczyłem, że nie ma na niej tradycyjnej kopuły, a dziwna bryła kryta jest płaskim dachem, służącym zapewne jako taras lub obserwatorium. Im więcej przekonywałem się o starożytności i pańskości tej szlacheckiej siedziby, tym przykrzej mi się robiło, że właśnie tutaj, gdzie z pewnością bardzo zważają na formy, zadebiutowałem tak idiotycznie!

Jednak po okrążeniu pałacu i ponownym zbliżeniu się do bramy od drugiej strony – zdobyłem się na odwagę, przeszedłem zwirowaną ścieżką pomiędzy starannie strzyżonymi drzewami aż do drzwi domu i ująłem ciężką, brązową kołatkę, służącą tu według dawnego zwyczaju za dzwonek. Natychmiast zjawiał się służący i – o dziwo! – wcale nie wydawał się zdziwiony nie zapowiedzianą wizytą. O nic nie pytając i nie biorąc przygotowanego biletu, poprosił mnie z grzecznym ukłonem, abym poczekał w salonie, bo panie są jeszcze u siebie, ale zaraz zejda; zdawało się więc, że na pewno będę przyjęty. Służący poprowadził mnie dalej jak oczekiwanego gościa; z niemiłym uczuciem poznałem czerwono wytapetowany salon, w którym wówczas tańczono, a gorzki smak w gardle przypomniiał mi, że w sąsiednim pokoju powinien się znajdować ów fatalny zakątek.

Na razie jasnokremowe, rozsuwane drzwi, ozdobione delikatnymi, złotymi ornamentami, zakrywały wprawdzie widok na miejsce mojej porażki, ale już po chwili usłyszałem za nimi szmer przesuwanych krzeseł, szepty i jakieś ściszone kroki, zdradzające obecność kilku osób. Starłem się wykorzystać czas na obejrzenie salonu: duże meble w stylu Ludwika XVI, na prawo i na lewo stare gobeliny między szklanymi drzwiami, prowadzącymi bezpośrednio do ogrodu, i stare obrazy przedstawiające Canale Grande i plac Świętego Marka, które nawet mnie, nieokrzesanemu w tych sprawach, wydawały się kosztowne. Co prawda niezbyt wyraźnie rozróżniałem wszystkie te skarby, bo z wyteżoną uwagą nasłuchiwałem szmerów z sąsiedniego pokoju. Szczękały tam cicho talerze, zaskrzypiały drzwi, a teraz wydawało mi się – i aż mnie mróz przeszedł – że słyszę nieregularny, twardy stuk, i suwanie kul. Wreszcie niewidzialna ręka rozsunała od wewnątrz drzwi. Była to Ilona, która pospieszyła z powitaniem.

– Jak to ładnie z pańskiej strony, panie poruczniku, że pan przyszedł!

I zaprowadziła mnie do znanego mi pokoju. W tym samym kącie buduaru, na tym samym szezlongu, za stołem o malachitowym blacie (czemuż powtarza się tak dręcząco tamta sytuacja?) siedziała sparaliżowana. Białe, futrzane koc ciężko okrywał jej nogi, by nie było ich widać – najwidoczniej nie chciano mi przypominać „tamtego”. Z niewątpliwie wystudiowaną uprzejmością Edyta uśmiechnęła się do mnie ze swego kącika, ale i to spotkanie miało jednak w sobie coś z fatalizmu tamtego, a poznałem od razu po zażenowaniu, z jakim mi, z pewnym wysiłkiem, podała rękę przez stół, że i ona myśli „o tamtym”. Żadne z nas nie umiało wypowiedzieć pierwszego słowa, nawiązującego jakoś rozmowę.

Na szczęście Ilona w to dręczące milczenie szybko rzuciła pytanie:

– Czym wolno pana poczęstować, panie poruczniku? Herbata czy kawa?

– Och, jak sobie pani życzy! – odparłem.

– Nie, panie poruczniku, jak pan woli! Proszę bez ceremonii, przecież to wszystko jedno.

– W takim razie poproszę o kawę – zdecydowałem się słysząc z zadowoleniem, że głos mój brzmi dość równo.

Zręcznie to ta czarnulka zrobiła i tak rzeczowym pytaniem przerzuciła most nad pierwszym zakłopotaniem. Ale jakże była bezwzględna, że właśnie teraz opuściła pokój, aby wydać jakieś zarządzenie służącemu; zostałem

przez to sam ze swoją ofiarą. Trzeba było teraz coś powiedzieć, zacząć za wszelką cenę rozmowę. Ale w gardle mi zaschło, a w spojrzeniu musiało malować się zakłopotanie, gdyż nie miałem odwagi spojrzeć w kierunku szezlonga, aby Edyta nie pomyślała, że przyglądam się futrzanej kołdrze, okrywającej jej bezwładne nogi. Na szczęście dziewczyna okazała się bardziej opanowana ode mnie i z pewną nerwową gwałtownością, jaką po raz pierwszy u niej zobaczyłem, zaczęła sama:

– Dlaczego pan nie siada, panie poruczniku? Niechże pan sobie przysunie fotel. Czemu nie odłoży też pan szabli, przecież utrzymujemy stosunki pokojowe... Tam, na stół albo na okno, jak pan woli.

Bardzo ostrożnie przysunąłem sobie fotel, ale jeszcze mi się nie udało nadać spojrzeniu wyrazu beztróski. Edyta energicznie pomagała mi dalej:

– Muszę panu podziękować za prześliczne kwiaty... Doprawdy, przepiękne róże, proszę spojrzeć, jak ślicznie wyglądają w tym wazonie. I chciałabym... chciałabym przeprosić też pana za swoje głupie nieopanowanie. Zachowałam się strasznie... przez całą noc nie mogłam zasnąć, tak się wstydziłam. Przecież chciał pan jak najlepiej... skądże mógł pan przypuszczać... A poza tym... (roześmiała się nagle ostro i nerwowo) – poza tym odgadł pan wtedy moje najgłębsze życzenie. Usiadłam przecież umyślnie w taki sposób, aby się przyglądać tańczącym, i właśnie kiedy pan przyszedł, niczego tak nie pragnęłam jak zatańczyć. Ja strasznie to lubię! Całymi godzinami mogę patrzeć, jak tańczą... inni. Mogę tak się przyglądać, że czuję każdy cudzy ruch we własnym ciele... naprawdę, każdy ruch. Wtedy nie tańczy tamten, ale ja, ja – ja się kręcę, ja się nachylam, ja poddaję się prowadzącemu, ja wiruję... Ach, jakaż ja potrafię być niemądra, wcale pan tego nie przypuszcza. Dawniej, kiedy byłam dzieckiem, tańczyłam doskonale i bardzo chętnie... a teraz, jeżeli mi się coś śni, to zawsze o tańcu. Może to brzmi niemądrze, ale zawsze we śnie tańczę, a dla tatusia może to i lepiej, że to się stało, bo byłabym uciekła z domu i kształciła się na tancerkę. Nic mnie tak nie pasjonuje, a myślę, że musi to być wspaniałe uczucie, gdy się tak własnym ciałem, każdym ruchem, całą sobą co wieczór ludzi zachwyca, podnosi. To musi być wspaniałe. Żeby pan wiedział, jaka jestem na tym punkcie zwariowana! Pokażę panu, zbieram wszystkie fotografie wielkich artystek. Mam wszystkie – i wspaniałą Pawłową, i Karsawinę. Mam ich fotografie we wszelkich rolach i pozach. Niech pan poczeka, pokażę panu. Tam, w tamtej szkatułce leżą... przy kominku... w tej łąkowej chińskiej. (Głos jej nagle zdradził gniewne zniecierpliwienie). Ależ nie, nie, nie, tam na lewo

przy książkach... Ach, jaki pan niezręczny! Tak, to ta. – Znalazłem wreszcie ową szkatułkę i dałem ją jej do rąk. – Widzi pan, ta na samej górze to moja ulubiona fotografia: Pawłowa w roli umierającego łabędzia. Ach, gdybym mogła pojechać, choć raz ją zobaczyć! Myślę, że byłby to mój najszczęśliwszy dzień.

Drzwi w głębi, którymi Ilona wyszła, lekko poruszyły się w zawiasach. Gwałtownie, jakby zaskoczona, z suchym, twardym stuknięciem Edyta zamknęła szkatułkę, a gdy zawołała do mnie:

– Tylko ani słowa do nikogo! Ani słowa o tym, co tu panu mówiłam! – zabrzmiało to jak rozkaz.

Siwowłosy służący, z pięknie utrzymanymi bokobrodami à la cesarz Franciszek Józef, ostrożnie otworzył drzwi, a za nim Ilona wsunęła bogato nakryty stół na gumowych kółkach. Przysiadła się do nas, podała nam filiżanki i od razu poczułem się pewniejszy. Upragniony temat do rozmowy dał nam olbrzymi kot angorski, który zakradł się niepostrzeżenie za stolikiem z herbatą i ze swobodną poufałością ocierał się teraz o moje nogi. Podziwiałem go, ile mogłem, potem zaczęło się wypytywanie o to i o tamto: jak długo tu już jestem, jak się czuję w garnizonie, czy znam porucznika X., czy często jeżdżę do Wiednia – nawiązała się zwykła łatwa rozmowa, w której znikło całe napięcie. Nabrałem nawet odwagi, aby przyjrzeć się z boku dziewczętom. Jakże były inne! Ilona to już kobieta, zmysłowo ciepła, pulchna, silna, zdrowa. Edyta wyglądała przy niej jak półdziewcko, półdziewczyna, może siedemnastoletnia, w każdym razie jakby jeszcze nie rozwinięta. Dziwny kontrast, z jedną chciałoby się tańczyć i całować ją, drugą rozpieszczać jak chorą, ostrożnie głaskać, opiekować się nią, a przede wszystkim chronić. Płynął od niej niezrozumiały niepokój. Ani przez chwilę twarz dziewczyny nie była spokojna; to na prawo, to na lewo patrzyły jej oczy; cała postać to wyprężała się, to jakby znużona osuwała się w tył; z taką samą nerwowością, z jaką się poruszała, Edyta także mówiła: urywanie, staccato, bez przerwy. „Może – pomyślałem – jej nieopanowanie i niepokój to kompensata za przymusowy bezwład nóg, a może ciągle gorączka podnieca jej gesty i mowę”. Mało miałem jednak czasu na obserwację, gdyż swymi szybkimi pytaniami i lekkim, płynnym sposobem opowiadania potrafiła całkowicie zaabsorbować moją uwagę. Zdziwiony dałem się wciągnąć w żywą, interesującą rozmowę. Trwało to godzinę, może nawet półtorej. Nagle z salonu wślizgnął się jakiś cień, ostrożnie, jak gdyby obawiał się, że przeszkodzi. Był to pan Kekesfalva.

– Ależ proszę, proszę! – posadził mnie z powrotem na fotelu, gdy z szacunkiem wstałem, i pochylił się, aby lekko pocałować w czoło swe dziecko.

Znowu był w czarnym surducie i białej koszuli z niemodnym krawatem (nigdy go inaczej nie widziałem); wyglądał jak lekarz, gdy tak badawczo przyglądał się nam zza swoich złotych okularów. Jak lekarz usiadł też ostrożnie przy sparaliżowanej. Dziwna rzecz, z jego wejściem spadł na pokój jakiś cień melancholii; lękliwy sposób, w jaki od czasu do czasu badawczo i czule spoglądał z boku na córkę, zahamował i przyciemnił rytm naszej swobodnej pogawędki. Wkrótce i on odczuł nasze skrepowanie, toteż zmusił się, żeby prowadzić konwersację; zapytał również o pułk, o rotmistrza i o dawnego pułkownika, który jako dowódca dywizji był teraz w ministerstwie spraw wojskowych. Jak się wydawało, znał zadziwiająco dobrze wszystkie sprawy naszego pułku i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż jakoś celowo przy rozmowie o każdym z wysokich oficerów specjalnie podkreślał łączącą ich zażyłość.

„Jeszcze dziesięć minut – myślałem – a potem grzecznie się pożegnam”. Nagle znów zastukano do drzwi, służący wszedł tak cicho, jak gdyby był bosy, i coś szepnął Edycie na ucho.

– Niech poczeka! – krzyknęła w uniesieniu. – Albo nie! Niech mi dziś w ogóle da spokój. Niech sobie idzie, nie potrzebuję go dzisiaj.

Wszyscy czuliśmy się zażenowani jej wybuchem, ja zaś miałem przykre uczucie, że siedzę już za długo. Ale tak samo bezwzględnie jak na służącego krzyknęła na mnie:

– Nie, niech pan zostanie! To nie ma nic do rzeczy!

Jej rozkazujący ton był właściwie niegrzeczny. Ojciec także wyczuł niemiłą nastrój, bo z bezradnie zasmuconą twarzą napomniał ją:

– Ależ Edyto...

Może widząc jego przestroch, może dojrawszy moje zmieszanie zorientowała się, że nerwy ją poniosły, i nagle zwróciła się do mnie:

– Przepraszam pana, ale Józef mógł doprawdy poczekać, a nie tak wpadać! To tylko ta codzienna męczarnia, masażysta, który przeprowadza ze mną ćwiczenia. Nonsens: raz dwa, w górę – w dół, w górę – w dół; to ma

pomóc. Najnowszy pomysł naszego pana doktora, całkiem niepotrzebna dokuczliwość. Bez sensu jak wszystko!

Patrzała przy tym na ojca wyzywająco, jak gdyby robiła go za wszystko odpowiedzialnym. Zażenowany (wstydził się przede mną), stary człowiek pochylił się nad nią.

– Ależ dziecko, czy rzeczywiście sądzisz, że doktor Condor...

Ale zatrzymał się, bo usta jej zadrgały, a nozdrza zatrzepotały. Tak samo drgały jej wargi wówczas, toteż przeraziłem się, że nastąpi wybuch. Ale nagle dziewczyna zarumieniła się i mruknęła ustępliwie.

– Więc dobrze, już idę, jakkolwiek wszystko to nie ma sensu, absolutnie żadnego sensu. Proszę wybaczyć, panie poruczniku, mam nadzieję, że wkrótce nas pan odwiedzi.

Ukloniłem się i chciałem ją pożegnać, ale już się zastanowiła:

– Nie, niechże pan zostanie z tatusem, a ja odmaszeruję.

Mocno i urywanie podkreśliła ostatnie słowo „odmaszeruję”, jak gdyby chciała nim zagrozić. Potem ujęła mały brązowy dzwonek stojący na stole i zadzwoniła. Dopiero później zauważyłem, że w całym domu w zasięgu jej rąk stały wszędzie na stołach dzwonki, aby mogła w każdej chwili kogoś wezwać. Dzwonek zadźwięczał ostro i przenikliwie. Natychmiast zjawił się znowu służący, który dyskretnie znikł podczas jej wybuchu.

– Pomóż mi – rozkazała zrzucając koc. Ilona schyliła się nad nią, aby jej coś szepnąć, ale chora gwałtownym „nie!” odrzuciła słowa przyjaciółki. – Niech Józef mnie podeprze. Pójdę sama.

To, co teraz nastąpiło, było po prostu okropne. Służący schylił się nad nią i najwidoczniej wyuczonym chwytem ujął oburącz lekkie ciało pod pachy. Stanąwszy przy fotelu i trzymając się jego oparcia chora zmierzyła każdego z nas wyzywającym spojrzeniem, potem chwyciła kule schowane dotychczas pod kocem i mocno zacisnąwszy usta oparła się na nich z dwóch stron. Tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk – wyrzucała naprzód całą postać, wykrzywiona, podobna do czarownicy, a służący szedł za nią z tyłu z wyciągniętymi ramionami, aby ją przy poślizgnięciu czy upadku natychmiast pochwycić. Tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk: znowu krok, jeszcze jeden, jeszcze jeden, a przy tym jakiś cichy szcęk i zgrzyt jakby naprężonej skóry czy metalu. Widocznie – nie miałem odwagi spojrzeć na te biedne nogi – dziewczyna nosiła wokół

stóp jakieś wspierające ją maszynerie. Serce ścisnęło mi się żalem na widok tego forsownego marszu, gdyż natychmiast zrozumiałem demonstracyjną chęć pokazania mi, że nie pozwala sobie pomagać lub wozic się w fotelu. Właśnie mnie, mnie chciała pokazać, że jest kaleką. Z jakiegoś tajemniczego pragnienia rozpaczliwej zemsty, z chęci udręczenia nas własną udręką, oskarżała nas zamiast Boga. Ale właśnie przez straszliwe to wyznanie – czułem to stokroć silniej niż wówczas, gdy moje zaproszenie do tańca wywołało taki atak rozpacz – czułem, jak bezgranicznie musiała biedna dziewczyna cierpieć z powodu swej bezradności. Wreszcie – trwało to wieczność! – dotarła do drzwi, gwałtownie przenosząc z jednej kuli na drugą cały ciężar swego szarpanego, rzucanego ciała. Nie miałem odwagi, aby chociaż raz wprost na nią spojrzeć, bo już samo to twarde, suche uderzenie kul, to wybijanie kroku przy każdym podrzucie oraz szczęk i zgrzyt maszynerii wraz z głuchym zdyszaniem z wysiłku oddechem tak mnie wzburzyły, że czułem, jak serce mi wali o sukno munduru. Biedaczka opuściła już pokój, a ja wciąż jeszcze z zapartym tchem wsłuchiwałem się w okropny odgłos za zamkniętymi drzwiami, aż wreszcie ucichł.

Dopiero wtedy odważyłem się podnieść oczy. Starzec – dostrzegłem to teraz – widocznie cicho wstał i wpatrzył się w krajobraz za oknem, zbyt intensywnie patrzył w szyby. W niewyraźnym świetle widziałem tylko zarys jego postaci, ale zgarbione ramiona drgały chybotliwą linią. I on również, ten ojciec oglądający swe dziecko dzień w dzień w jego męce, zdruzgotany był tym widokiem.

Atmosfera między nami stężała. Po kilku minutach ciemna postać odwróciła się wreszcie i niepewnym krokiem, jak gdyby szła brzegiem przepaści, cicho zbliżyła się do mnie.

– Proszę, niech pan nie ma za złe temu dziecku, panie poruczniku, jeżeli jest czasem opryskliwa, ale... Pan nie wie, ile ją w ostatnich latach namęczono. Ciagle coś innego, coś nowego, a wyzdrowienie idzie bardzo powoli; zrozumiałe, że jest zniecierpliwiona, lecz cóż robić? Trzeba przecież próbować wszystkiego, trzeba przecież...

Zatrzymał się przed nakrytym stolikiem nie patrząc na mnie podczas tych słów i nieruchomo wbijając wzrok w zastawę. Jak we śnie wziął szczyptę do cukru, wyjął nimi czworokątny kawałek, popatrzał nań bezmyślnie i odłożył go z powrotem; w ruchach jego było coś z człowieka pijanego. Długo nie mógł oderwać spojrzenia od stołu, jak gdyby widział tam

coś szczególnego. Bezwiednie wziął łyżeczkę, podniósł ją, znowu odłożył i mówił dalej:

– Gdyby pan wiedział, jaka ona była dawniej! Przez cały dzień biegała po schodach tam i z powrotem, po prostu fruwała po nich i po pokojach, aż czasem baliśmy się o nią. Mając jedenaście lat galopowała na swoim kucyku po wszystkich łakach i nikt nie mógł jej dogonić. Czasem baliśmy się oboje z nieboszczką żoną, że nasza córka jest za swawolna, zanadto zwinna, że wszystko dla niej to fraszka. Stale miało się wrażenie, że niech tylko rozpostrze ramiona, a zaraz polecą... i właśnie jej musiało się to przytrafić, właśnie jej...

Głowa o skąpych, siwych włosach pochyliła się jeszcze niżej nad stołem, a nerwowa ręka manewrowała pomiędzy stojącymi na nim przedmiotami, ująwszy teraz zamiast łyżeczki szczypcę do cukru i kreśląc nimi dziwaczne znaki w powietrzu. (Wiedziałem, że to zażenowanie, zakłopotanie, że boi się na mnie spojrzeć).

– A przy tym jak łatwo można ją rozweselić! Potrafi cieszyć się jak dziecko każdą najmniejszą drobnostką, śmiać się z najgłupszego dowcipu, zachwycać się książką – szkoda, że pan nie widział, jaka była uszczęśliwiona, gdy przyszły kwiaty od pana i gdy pozbyła się obawy, że pan się obraził. Wcale pan nie przypuszcza, jaka jest wrażliwa... wszystko odczuwa o wiele głębiej niż każdy z nas. Doskonale wiem, że jest teraz zrozpaczona, iż była taka nieopanowana. Ale czyż można... jakżeż można się opanować... Jakżeż może dziecko stale zdobywać się na cierpliwość, jeżeli trwa to tak długo... Jakże ma się łagodnie poddawać, gdy jest przez Boga tak doświadczane, a nic nie zrobiło... nikomu nic złego nie zrobiło!

Wciąż jeszcze patrzył na wyimaginowane rysunki zakreślane przez szczypcę i nagle, jakby przerażony, rzucił je na stół, aż zadźwięczały. Wydawało się, że się budzi i że dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż nie jest sam i mówi do człowieka zupełnie obcego. Innym głosem, głosem trzeźwym i ściszym, zaczął się niezręcznie usprawiedliwiać:

– Przepraszam pana, panie poruczniku... skądże... pana obciążam naszymi troskami! To dlatego... to tylko tak... napadło mnie... a chciałem panu tylko wyjaśnić. Nie chciałbym, żeby pan źle o niej myślał, żeby pan...

Nie wiem, skąd wziąłem odwagę, aby jakającemu się z zakłopotania przerwać i zbliżyć się do niego, ale nagle ująłem oburącz rękę tego starego, obcego człowieka i nic nie mówiąc trzymałem ją, zimną i kościstą, lekko mi

się wymykająca, mocno ją ściskając. Popatrzał na mnie ze zdziwieniem, szkła okularów błysnęły ukosem ku górze, a za nimi niepewne, zakłopotane spojrzenie poszukało moich oczu. Bałem się, żeby teraz czegoś nie powiedział, ale nie zrobił tego i tylko czarne okrągłe źrenice rozszerzały się, jakby chciały wypłynąć. Mnie także ogarnęło niezwykle wzruszenie, toteż, aby się zeń otrząsnąć, raptownie się ukloniłem i wyszedłem.

W przedpokoju służący pomógł mi włożyć płaszcz. Nagle poczułem od tyłu chłodny powiew i nawet się nie odwracając wiedziałem, że to ten stary człowiek stanął w drzwiach, aby mi podziękować. Ale nie chciałem, żeby to uczynił, i udawałem, że nie dostrzegam, iż stoi za mną. Szybko, z bijącym sercem, opuściłem tragiczny dom.

Nazajutrz – blada mgła wisiała nad domami, a okiennice były jeszcze pozamykane, by strzec snu pocziwych mieszczan – szwadron nasz wyjechał jak zazwyczaj konno na plac ćwiczeń. Zrazu jechaliśmy stępą przez źle wybrukowane ulice, a moi ułani chwiali się w siodłach jeszcze na wpół śpiący, sztywni i niechętni. Wkrótce minęliśmy pięć czy sześć uliczek, a na szerokiej szosie przeszliśmy w lekki kłus, kierując się na prawo na otwarte łąki. Zakomenderowałem: „Galop!”, i jednym haustem zaczerpnąwszy powietrza konie runęły naprzód. Mądre zwierzęta znały już to miękkie, szerokie pole, nie trzeba ich było popędzać, wystarczyło puścić cugle, a gdy poczuły uścisk łydek, ruszały całym pędem. I one także znały rozkosz podniecenia i odprężenia. Pędziłem na przodzie. Szalenie lubię konną jazdę. Czuję rozgrzaną, rozbujaną krew, płynącą szybko od bioder i niosącą przez rozluźnione mięśnie ciepło życia, podczas gdy chłodne powietrze ze świstem owiewa mi czoło i policzki. Wspaniałe jest powietrze rankiem! Wyczuwa się w nim jeszcze nocną rosę, oddech zoranej ziemi, woń kwitnących pól, a zarazem ciepłą, zmysłową parę, buchającą z dyszących nozdrzy. Stale i co dzień od nowa zachwyca mnie ten pierwszy galop, wstrząsający zeszywniałym, sennym ciałem i zrywający poranne niewyspanie jak gęstą mgłę; niosące mnie uczucie lekkości rozpiera piersi, piję otwartymi ustami świszczące powietrze! Galop! Galop! Czuję, że oczy stają się jaśniejsze i zmysły trzeźwiejsze, a za sobą słyszę regularny rytm szczękających szabel, zdyszany oddech koni, miękkie trzeszczenie siodeł i równy, wybijany takt kopyt. Galopująca grupa mężczyzn i koni staje się wspólnym ciałem Centaura, niesionym jednym pędem. Naprzód, naprzód, naprzód, galop, galop, galop! Ach, pędzić tak aż do końca świata! Pędzić w dumnym

poczuciu, że jest się panem i twórcą tej rozkoszy! Niekiedy odwracałem się, aby spojrzeć na ludzi, a wówczas widziałem, że moi dzielni ułani mieli zupełnie inne twarze – przygnębienie, tępota i niewyspanie znikło z ich oczu. Prostowali się, widząc, że ich obserwuję, i uśmiechem odpowiadali na radość w moim spojrzeniu. Wyczuwałem, że i tych tępych wiejskich chłopaków ogarnęła rozkosz pędu, ów sen o locie człowieka. Wszyscy podobnie jak ja szczęśliwi czuli zwierzęcą radość młodości i sprężonej, wyzwalającej siły.

Tego dnia nagle zakomenderowałem: „Stóóój! Klusem!” Żołnierze nagłym ruchem ściągnęli cugle i bezpośrednio, jak zatrzymana maszyna, wpadli w nakazany rytm. Spojrzeli na mnie trochę zdziwieni, bo zazwyczaj – znali mnie i moją nieposkromioną chęć galopowania – przebywaliśmy ostro całe łąki aż na plac ćwiczeń. Ale wydało mi się, że jakaś obca ręka przyciągnęła mi cugle – nagle sobie coś przypomniałem. Nieświadomie musiałem na lewo, na horyzoncie, dojrzeć biały kwadrat muru, drzewa parkowe i dach na wieży. Przeniknęło mnie coś podobnego do strzału: może mi ktoś się stamtąd przyglądał? Ktoś, kogo dotknąłem chęcią tańca, a teraz znowu obrażam rozkoszą konnej jazdy? Może to ktoś o sparaliżowanych, bezwładnych nogach, który mi zazdrości, że lecę jak ptak? W każdym razie zawstydziłem się nagle, że jestem zdrów, niczym nie hamowany i że mogę tak pędzić; zawstydziłem się tego cielesnego szczęścia jak nienależnego wyróżnienia. Powoli, lekkim klusem lub stępą kazałem jechać za sobą moim zawiedzionym chłopakom, czułem, nie patrząc na nich, że czekali na rozkaz, który by ich znowu poderwał.

Oczywiście w tej samej chwili, gdy napadło mnie dziwne to zahamowanie, wiedziałem, iż tego rodzaju samobiczowanie jest głupie i bezcelowe. Wiedziałem, że nie ma sensu odmawiać sobie przyjemności, tylko dlatego, że komuś innemu nie dane jest takie szczęście, tylko dlatego, że ktoś inny jest nieszczęśliwy. Wiedziałem, że w każdej chwili, gdy śmiejemy się i gadamy głupie dowcipy, gdzieś jakiś chory rzezi i umiera w swym łóżku, że za tysiącami okien czai się nędza i głodują ludzie, że istnieją szpitale, kamieniołomy i kopalnie węgla, że w fabrykach, urzędach i więzieniach niezliczona ilość ludzi wprzęgnięta jest do ciężkich robót, a żadnemu nie będzie przez to lżej, gdy jeszcze inni bezsensownie będą się męczyli. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby ktoś zaczął wspominać całą nędzę świata, przestałby spać, a śmiech zamarłby mu na ustach. A jednak wyimaginowane cierpienia nie wywierają na człowieku tak druzgocącego wrażenia. To sprawy naocznie widziane i oglądane współczującymi oczami najbardziej wstrząsają

duszą. Z bliska i namacalnie niby wizję, ujrzałem nagle wśród mego rozkosznego poczucia lekkości bladą i wykrzywioną twarz, gdy chora wlokła się o kulach przez salę... Usłyszałem stuk, szcęk i zgrzyt ukrytej maszynerii na powykręcanych stawach; właśnie wówczas, przerażony, nie namyślając się i nie zastanawiając ściągnąłem cugle. Nic nie pomogło, że sobie mówiłem: „Komu przyjdzie coś z tego, że zamiast porywającego, podniecającego galopu przejdę w ciężki kłus?” W jakieś miejsce mego serca, w pobliżu sumienia uderzył cios. Nie miałem już odwagi, aby pełnią sił, swobodnie i zdrowo cieszyć się swym ciałem. Powoli, sennie poczłapaliśmy na plac ćwiczeń; dopiero gdy pałac zniknął nam całkowicie z pola widzenia, otrząsałem się powtarzając sobie: „Głupstwo! Precz z tymi głupimi sentymentami!” I zakomenderowałem: „Naaaaprzód! Gaaaalop!”

Zacząło się od owego ściągnięcia cugli. Był to pierwszy symptom dziwnego zatrucia litością. Zrazu wyczuwałem głucho – jak wówczas gdy się podczas choroby budzimy z ciężką głową – że coś się ze mną stało. Dotychczas żyłem zwyczajnie w swym ciasno zakreślonym kole życia. Obchodziło mnie to, co dla moich kolegów i przełożonych było ważne albo zabawne, lecz ani się nigdy osobiście zbytnio nie angażowałem, ani też mną nikt się szczególnie nie interesował. Właściwie nigdy jeszcze nie doznałem bolesnego wstrząsu. Moje stosunki były uregulowane, zawód i karierę miałem ściśle określone i wyznaczone, a beztroska – teraz zdawałem sobie z tego sprawę – uczyniła mnie bezmyślnym. Nagle coś się ze mną stało. Nic widocznego na zewnątrz, pozornie nic istotnego. Ale gniewne spojrzenie, gdy w oczach chorej dojrzałem nie przeczuwaną głębię ludzkiego cierpienia, coś we mnie gwałtownie otworzyło, a teraz przez całą moją istotę przepływało od wewnątrz jakieś ciepło, wywołując ową tajemniczą gorączkę, której sobie sam nie umiałem wytłumaczyć, jak zwykle gdy chory nie pojmuje własnej choroby. Rozumiałem tylko, że przekroczyłem bezpieczny krąg umów społecznych, w których dotychczas tak swobodnie żyłem, i wszedłem w jakieś zakresy, które jak każda nowość podniecały mnie i zarazem niepokoiły. Po raz pierwszy ujrzałem rozwartą otchłań uczucia, która w niewytłumaczony sposób wabiła, abym ją wymierzył, abym się w nią rzucił. Ale jednocześnie jakiś instynkt ostrzegwał mnie przed poddaniem się takiej zuchwałej ciekawości i mówił: „Dosyc! Przeprosiles! Wygladziles cala te glupia sprawe!” Wtedy inny głos szeptał: „Idz tam jeszcze raz! Niech jeszcze raz dreszcz ci zbiegnie po plecach, odczuj to naprezenie i lek!”. „Poczekaj –

radził rozsądek – nie narzucaj się, nie narzucaj! Prostuduszny młody człowiek, jakim przecież jesteś, nie dorósł do takich wyżyn i narobisz jeszcze większych głupstw niż za pierwszym razem”.

Rozstrzygnięcie tej kwestii zostało mi w przedziwny sposób ułatwione, bo w trzy dni później leżał na moim stole list od pana Kekesfalva z zapytaniem, czy nie chciałbym w niedzielę zjeść z nimi obiadu. Tym razem mają być wyłącznie panowie, a wśród nich ów podpułkownik, o którym ze mną rozmawiał; oczywiście, że Edyta i Ilona także bardzo się będą cieszyły. Nie wstydzę się przyznać, że takie zaproszenie skromnego młodzieńca, jakim byłem, napuszyło mnie dumą. Więc nie zapomniano o mnie, zaś uwaga, iż będzie podpułkownik von E., sprawiała wrażenie, że Kekesfalva (zaraz zrozumiałem, iż z uczucia wdzięczności) napomyka, iż chciałby mnie w dyskretny sposób służbowo zaprotegować.

I rzeczywiście, nie pożałowałem natychmiastowego przyjęcia tego zaproszenia. Wieczór był bardzo przyjemny, ja zaś, mizerny oficerek, o którego w pułku właściwie nikt się zbytnio nie troszczył, miałem uczucie, że doznaję od tych starszych, wytwornych panów jakiejś specjalnej, całkiem niezwykłej serdeczności. Prawdopodobnie pan Kekesfalva w jakiś sposób zwrócił ich uwagę na mnie. Po raz pierwszy w życiu wyższy przełożony traktował mnie bez podkreślania przewagi swej rangi. Zapytał, czy jestem zadowolony z pułku i jak wygląda sprawa mego awansu; zachęcił, abym podczas pobytu w Wiedniu lub w ogóle, gdy będę czegoś potrzebował, zwracał się wprost do niego. Rejent, łysy żwawy człowieczek o dobroduszej, błyszczącej twarzy przypominającej pełnię księżyca, zaprosił mnie do siebie; dyrektor cukrowni ciągle mnie o coś pytał. Jakiś całkowicie inny rodzaj rozmowy niż w naszym oficerskim kasynie, gdzie na każde odezwanie się przełożonego trzeba było reagować obowiązującym: „Rozkaz!”. Szybciej, niż przypuszczałem, ogarnęła mnie pewność siebie i już po pół godzinie rozmawiałem bez żadnego zahamowania.

Znowu służący podawali potrawy, które znałem tylko z opowiadań i przechwałek zamożnych kolegów: przepyszny kawior na lodzie, który jadłem po raz pierwszy, pasztet z sarniny oraz bażanty, a do tego znowu wina całkowicie upajające zmysły. Wiedziałem, że to głupio, abym pozwolił imponować sobie takimi rzeczami. Ale czemu mam kłamać? Nic nie znaczący, młody i nie rozpieszczony podporucznik rozkoszował się nieomal z dziecięcą pychą, że może wspaniale ucztować z tak znanymi, starszymi panami. „Psiakość – myślałem ciągle – psiakość, żeby to widział Wawruszka

albo ten rozlazły jednorocznik, który wciąż się chełpi, że tak doskonale jada w Wiedniu u Sachera! Niechby przyszli do takiego domu, dopiero otworzyliby oczy. Ach, gdyby mogli zobaczyć, te zazdrosne osły, jak swobodnie tu siedzę, jak pan podpułkownik wznosi w moją stronę kieliszek, jak przyjaźnie dyskutuję z panem dyrektorem cukrowni, który całkiem poważnie mówi: «Zdumiony jestem, jak się pan na tym zna!»,

Czarną kawę podano w buduarze; wniesiono koniak w dużych, pękatych kieliszkach z lodem, a do tego znowu ów kalejdoskop likierów i oczywiście wspaniałe, grube cygara w pompatycznych opaskach. Wśród rozmowy pan Kekesfalva nachylił się nade mną i spytał, co wolę, czy zagrać w karty, czy porozmawiać z paniami. Oczywiście wolałbym pozostać przy paniach, oświadczyłem skwapliwie, bo nie byłoby mi zbyt przyjemnie, gdybym miał ryzykować robra z podpułkownikiem z ministerstwa spraw wojskowych; gdybym wygrał, mógłby się może rozgniewać, gdybym przegrał, musiałbym nadszarpnąć swój miesięczny budżet. A zresztą przypomniałem sobie, że mam w ogóle w portfelu najwyżej dwadzieścia koron.

Gdy więc rozkładano w sąsiednim pokoju stół do kart, przysiadłem się do dziewcząt – i czy wino, czy dobry humor tak mi wszystko rozjaśniały? – jakoś wydały mi się dzisiaj obydwie bardzo ładne. Edyta nie wyglądała tak blado, żółto i chorowicie jak ostatnio. Może ze względu na gości trochę się uróżnowała, może podniecony nastrój zabarwił jej policzki, w każdym razie nie dostrzegłem naprężonej, nerwowej, drgającej fałdki koło ust i upartego drżenia brwi. Siedziała w długiej, różowej sukni bez żadnego futra ni przykrycia skrywającego jej ułomność, a jednak pomyślałem, że pomimo naszego dobrego nastroju wszyscy myślimy o „tym”. Co do Ilony, to miałem niejakię podejrzenie, że się troszeczkę upiła, bo oczy jej rzucały iskry, a gdy śmiejąc się odrzucała w tył swe piękne, pełne ramiona, musiałem się odsunąć, aby nie ulec pokusie i niby przypadkowo ich nie pogłaskać.

Po dobrym koniaku, doskonale człowieka rozgrzewającym, z doskonałym, ciężkim cygarem, którego dym przyjemnie drażni powonienie, z dwiema ładnymi, podnieconymi dziewczętami i po smacznym obiedzie swobodne prowadzenie rozmowy nie stanowi trudności nawet dla najgłupszego. Wiem, że gdy mnie tylko nie hamuje moja przekłeta nieśmiałość, potrafię w ogóle całkiem dobrze opowiadać. Ale tym razem byłem wybitnie w formie i gawędziłem rzeczywiście interesująco. Naturalnie opowiadałem wyłącznie drobne, naiwne historyjki, nowinki z życia pułku, na przykład jak pułkownik w zeszłym tygodniu, chcąc wysłać spieszny list

kurierem do Wiednia, zawołał ułana, prostego, ruskiego chłopca, i tłumaczył mu, że list musi natychmiast znaleźć się w Wiedniu. Wobec tego bałwan poleciał do stajni, osiodłał konia i pogalopował prosto szosą do Wiednia; gdyby nie zawiadomiono telegraficznie najbliższego posterunku, osioł byłby z pewnością gnał tak przez osiemnaście godzin. Historie, jakimi raczyłem siebie i moje słuchaczki, nie były oczywiście zbyt głębokie. Doprawdy, opowiadania te były raczej głupstewkami wykwitłymi w koszarach ostatnio lub nieco dawniej, ale aż się zdziwiłem, jak bez przerwy śmiały się nieopanowanie obie panny. Śmiech Edyty brzmiał swawolnie wysokim, srebrzystym tonem, przechodzącym niekiedy w lekki dyszkant, ale wesołość ta musiała płynąć rzeczywiście z głębi duszy, bo cienka jak porcelana i przezroczysta skóra na jej szczupłych policzkach przybierała coraz żywszy odcień. Powiew zdrowia i nawet urody rozjaśnił jej twarz i szare oczy, zimne zazwyczaj jak stal, a dziś iskrzące się dziecięcą radością. Przyjemnie było patrzeć na nią, gdy zapominając o swym bezwładnym ciele stawała się coraz swobodniejsza w ruchach i w gestach. Pochylona w fotelu śmiała się, piła i przyciągnawszy do siebie Ilonę, objęła ją ramieniem – doprawdy obydwie bawiły się moimi fraszkami doskonale. Powodzenie zawsze podnieca opowiadającego; przypomniało mi się mnóstwo dykteryjek, o których dawno zapominałem. Zazwyczaj bojaźliwy i zakłopotany czułem, że mam odwagę; śmiałem się więc i doprowadzałem moje słuchaczki do śmiechu. Jak rozswawolone dzieci zaszyliśmy się we troje w kąciaku.

A chociaż tak ustawicznie żartowałem i zdawało mi się, że jestem całkowicie pochłonięty naszym wesołym kółeczkiem, na wpół nieświadomie czułem jednocześnie obserwujące mnie czyjeś spojrzenie. Biegło ono sponad szkielec okularów od stołu karcianego, a było serdeczne i szczęśliwe, podnosiło mój własny błogostan. Ukradkiem (wydawało mi się, że ze wstydu przed gośćmi) i bardzo ostrożnie zerkał ku nam stary człowiek od czasu do czasu sponad kart, a w pewnej chwili, gdy podchwyciłem jego spojrzenie, skinął mi porozumiewawczo głową. Na twarzy jego malował się w tym momencie ów natężony i skupiony wyraz, jaki miewają ludzie słuchający muzyki.

Trwało to do północy; ani razu pogawędka nasza nie ustała. Podano jeszcze raz doskonałą przekąskę: przepyszne kanapki, do których nie tylko ja ostro się zabrałem. Obydwie dziewczyny także sporo nabrały sobie na talerzyki, pijąc przy tym dużo świetnego angielskiego portera. Lecz wreszcie trzeba było się pożegnać. Niby staremu, dobremu przyjacielowi, uścisnęły mi obydwie rękę. Oczywiście musiałem im przyrzec, że przyjdę niezadługo, może

już jutro albo pojutrze. A potem wyszedłem ze starszymi panami do hallu. Miało nas do domu odwieźć auto. Wkładałem właśnie płaszcz, a służący pomagał pułkownikowi, gdy nagle poczułem, że mi ktoś chce płaszcz podać, i zobaczyłem z przestrawieniem, że jest to pan Kekesfalva. Jakżeż ja, młokos, mogłem pozwolić, aby mi usługiwał starszy pan? Bronilem się więc, on zaś nie ustępował i szeptał:

– Panie poruczniku, panie poruczniku, przecież pan sobie sprawy nie zdaje, jaki byłem szczęśliwy, że słyszałem znowu taki szczery śmiech mego dziecka! Ona nie ma żadnych przyjemności, a dziś była taka wesoła, jak gdyby...

W tej chwili zbliżył się do nas podpułkownik.

– No, idziemy? – uśmiechnął się przyjaźnie.

Kekesfalva nie miał naturalnie odwagi, aby mówić dalej w jego obecności, natomiast uczułem, że po moim rękawie lekko, leciutko i nieśmiało przesunęła się ręka, jak gdyby ktoś pieścił dziecko lub kobietę. Niezmierna czułość, niezmierna wdzięczność ukryta była w tym nieśmiałym dotknięciu; wyczułem w nim tyle szczęścia i tyle rozpacz, że znów byłem wstrząśnięty, i schodząc z szacunkiem i po wojskowemu obok pana pułkownika po trzech schodkach do auta, musiałem całą siłą trzymać się na wodzy, aby nikt nie dostrzegł mego wzruszenia.

Owego wieczora nie mogłem od razu pójść spać – zanadto byłem podniecony. Jakkolwiek powód wydawał się, obiektywnie biorąc, błahy – nic się przecież ważnego nie stało i tylko starzec pogłaskał mnie serdecznie po rękawie – ale skryty ten gest wdzięczności wystarczył, aby wzburzyć mnie do głębi. We wzruszającym tym ruchu doświadczyłem ogromu czułości płynącej z nieśmiałości, a jednak tak namiętnej serdeczności, jakiej nie doznałem nawet od żadnej kobiety. Po raz pierwszy miałem pewność, że komuś na świecie pomogłem, i nie mogłem się nadziwić, że średniej miary, nic nie znaczący, nieśmiały oficer może rzeczywiście posiadać tyle mocy, aby kogoś uszczęśliwić. Możliwe, iż upajające wrażenie, jakie mi odkrycie to przyniosło, dałoby się wyjaśnić, gdybym był sobie przypominał, iż od dzieciństwa nic mnie tak nie dręczyło jak przekonanie, że jestem człowiekiem niepotrzebnym i nieciekawym dla nikogo, a w najlepszym razie obojętnym... W korpusie kadetów, w akademii wojskowej zawsze byłem średnim uczniem, nie budzącym specjalnego zainteresowania. Nigdy nie zwracałem na siebie niczyjej uwagi,

nigdy nie przebywałem wśród wyróżnianych i lubianych pupilów, a to samo działo się w pułku. Dlatego byłem głęboko przekonany, że gdybym na przykład teraz nagle znikł, gdybym spadł z konia i złamał kark, towarzysze powiedzieliby może: „Szkoda go” albo „Biedny Hofmiller”, lecz po miesiącu nikomu by mnie już naprawdę nie brakowało. Na moim miejscu, na moim koniu jeździłby ktoś inny, kto równie dobrze lub równie źle pełniłby moje obowiązki. I to samo działo się z kilkoma dziewczynami, z którymi utrzymywałem stosunki w dwóch garnizonach – w Jarosławiu z asystentką dentysty, a w Wiener Neustadt z małą szwaczką. Wychodziliśmy wspólnie wieczorami na zabawę, któregoś razu zabrałem Anetkę do swego pokoju; na urodziny podarowałem jej sznureczek koralu, mówiliśmy sobie zwykle czułe słówka i prawdopodobnie ona również była wówczas szczerą, lecz gdy mnie odkomenderowano, oboje pocieszyliśmy się szybko. Przez pierwsze trzy miesiące pisywaliśmy do siebie obowiązkowe listy, a potem nawiązaliśmy inne przyjaźnie; różnica była ta, że w wybuchach czułości mówiła zapewne do tamtego „Fredku” zamiast „Tolku”. Minęło, zapomniano! Ale nigdy jeszcze nie schwyciło mnie w swe szpony silne i namiętne uczucie, chociaż miałem już lat dwadzieścia pięć. Właściwie ja sam nie oczekiwałem i nie żądałem od życia niczego więcej nad możliwość dokładnego i przyzwoitego spełniania mych obowiązków oraz niewywierania na nikim przykrego wrażenia.

A teraz stało się coś nieoczekiwane i ze zdziwieniem oraz bojaźliwą ciekawością przyglądałem się sobie. Jak to? Nawet taki przeciętny człowiek ma moc nad innymi ludźmi? Ja, który w gruncie rzeczy nie miałem w majątku nawet pięćdziesięciu koron, mogłem bogatemu człowiekowi dać więcej szczęścia niż wszyscy jego przyjaciele? Ja, podporucznik Hofmiller, mogłem komuś pomóc, mogłem kogoś pocieszyć? Gdy wieczór czy dwa przesiedziałem przy kulawej, nieszczęśliwej dziewczynie, gawędząc z nią i rozmawiając, oczy jej stawały się jasne, policzki nabierały życia, a cały posępny dom rozjaśniał się dzięki mojej obecności.

Wzburzony szedłem ciemnymi ulicami tak prędko, że się zgrzałem. Miałem chęć rozpiąć mundur, aby uwolnić bijące serce. Jedna niespodzianka pociągała za sobą drugą: odkryła się przede mną jeszcze jedna, jeszcze bardziej oszałamiająca pewność, a mianowicie, że przecież tak łatwo, tak szalenie łatwo można pozyskać sobie w obcych ludziach przyjaciół. Bo cóż właściwie zdziałalem? Okazałem trochę współczucia, spędziłem w tym domu dwa wieczory, i to wieczory wesołe, pogodne, upojne i – to miało już wystarczyć? Jakaż więc głupotą było marnowanie całego wol-

nego czasu po kawiarniach i graniu w karty z otępiałymi kolegami lub przechadzanie się z nimi tam i z powrotem po promenadzie! Nie, od dzisiaj dość tej tępoty, tego pustego wegetowania. Idąc coraz szybciej wśród mglistej nocy postanowiłem sobie z prawdziwym zapalem, na jaki zdobywa się młody nagle przebudzony człowiek, że zmienię tryb życia. Mniej będę chodził do kawiarni, skończę to głupie bębnienie w taroka i bilard, energicznie położę kres zabijaniu czasu, które nikomu nie przynosi korzyści, a mnie samego oglupia. Raczej będę częściej odwiedzał tę chorą, za każdym razem postaram się też przygotować jakąś historyjkę, abym mógł opowiedzieć dziewczętom coś miłego i wesołego. Będziemy grywali w szachy lub przyjemnie spędzali czas w jakiś inny sposób, już sam zamiar pomagania i od czasu do czasu okazania się pożytecznym wprowadził mnie w zachwyt. Miałem ochotę śpiewać i zrobić jakieś głupstwo z samego tego uczucia wzniosłości. Dopiero gdy wiadomo, że się jest czymś dla innych, czuje się treść i cel własnej egzystencji.

Tak się to stało i dzięki temu spędzałem przez najbliższe tygodnie wszystkie popołudnia zazwyczaj u Kekesfalvów; wkrótce przyjazne te pogawędki stały się przyzwyczajeniem i dość niebezpieczną przyjemnością. Lecz jakąż to pokusa dla młodego człowieka, od lat dziecięcych przerzucanego z jednego wojskowego zakładu do drugiego, gdy nagle znajduje domostwo i przystań dla serca zamiast zimnych sal koszarowych i wspólnych, zadymionych izb! Gdy po służbie o wpół do piątej lub o piątej stawałem przed pałacem i ręka moja lekko ujmowała kołatkę, już służący radośnie otwierał drzwi, jakby obserwował moje przyjście przez magiczne okienko. Wszystko wskazywało w sposób jasny i miły, że uważano mnie tu za członka rodziny; uwzględniano każdą moją drobną słabostkę czy nawyk. Stale leżał przygotowany mój ulubiony gatunek papierosów, jakby przez przypadek znajdowałem na małym taborecie nową, a jednak przezornie rozciętą książkę, o której napomknąłem, że chciałbym ją przeczytać; jeden z foteli naprzeciwko szezlonga Edyty uchodził bezapelacyjnie za „mój”. Były to oczywiście drobnostki, ale takie, które obcy pokój niepostrzeżenie przepajały ciepłem zadomowienia, a umysł rozweselały i uskrzydlały. Siedziałem więc pewniejszy siebie, niż bywałem kiedykolwiek w gronie mych kolegów, gawędziłem i żartowałem beztrosko, pojmując pierwszy raz, że każda forma zależności krępuje właściwie siły duszy, a prawdziwa miara człowieka uwydatnia się dopiero wówczas, gdy jest swobodny.

Ale coś jeszcze bardziej tajemniczego składało się na to uskrzydlające uczucie, jakim mnie darzyło codzienne przebywanie w towarzystwie obydwóch dziewcząt. Od chwili gdy zbyt wcześnie może oddano mnie do wojskowego zakładu, a więc od dziesięciu czy piętnastu lat, żyłem stale w otoczeniu mężczyzn. Od rana do wieczora, od nocy do rana, w sypialni akademii wojskowej, w namiotach podczas manewrów, w lokalach publicznych, przy stole i w drodze, w ujeżdżalni i w pokoju szkolnym – stale, stale wdychałem w siebie atmosferę wyłącznie męską: najpierw chłopców, potem wyrostków, ale zawsze mężczyzn, mężczyzn. Przyzwyczajony więc byłem do energicznych ruchów, głośnego, mocnego chodu, głębokich głosów, specyficznie silnego zapachu, nieskrępowania, a czasem nawet do ordynarności. Oczywiście, że niektórych kolegów serdecznie lubiłem i nie powinienem się skarżyć, bo i oni odpłacali mi równą serdecznością. Lecz atmosferze tej brak było właśnie owej lekkości: nie zawierała dość ozonu, sił podniecających, drażniących, elektryzujących, jak przepyszna nasza orkiestra pułkowa pomimo swego rytmicznego polotu pozostaje jednak zimną orkiestrą dętą więc twardą, urywaną i opartą jedynie na rytmie, a brak jej delikatnych, zmysłowych tonów skrzypiec – tak nawet najmilsze godziny naszego koleżeństwa pozbawione były owego łagodnego fluidu, jaki zawsze niewidzialnie roztacza obecność lub choćby bliskość kobiet. Już jako czternastoletni chłopcy, spacerując parami po mieście, odziani w nasze zapięte na wszystkie guziki zgrabne uniformy, odczuwaliśmy nieokreśloną tęsknotę na widok innych młodych chłopców flirtujących lub rozmawiających z dziewczętami. Czuliśmy, że przez owo zakoszarowanie – jak w seminarium – przemocą odbiera się naszej młodości coś, co rówieśnikom naszym na ulicy, na promenadzie, na ślizgawce czy w sali tańca dane było codziennie jako rzecz zrozumiała – swobodne obcowanie z młodymi dziewczętami. Odseparowani, wciśnięci za kratę, spoglądaliśmy na te elfy w krótkich spódniczkach jak na istoty zaczarowane, marząc o rozmowie z dziewczyną jak o czymś niedościgłym. Tego rodzaju wyrzeczeń nigdy się nie zapomina. Późniejsze szybkie i zazwyczaj tanie przygody z różnymi usłużnymi niewiastami nie mogły zastąpić sentymentalnych chłopięcych marzeń. Toteż gdy w towarzystwie przypadkowo zetknąłem się z młodą panią (jakkolwiek spałem już z kilkunastoma kobietami), moja niezręczność i nieśmiałość uświadamiały mi, że przez nadmiernie długi brak kobiecej atmosfery straciłem na zawsze ową naiwną i naturalną swobodę.

I oto teraz w najbardziej doskonały sposób spełniło się moje chłopięce marzenie, nie wyznane nawet sobie samemu, aby zamiast z wąsatymi i

nieokrzesanymi kolegami, zawrzeć raz wreszcie przyjaźń z młodymi kobietami. Niby kogut na podwórku siedziałem teraz każdego popołudnia między dwiema dziewczętami. Jasność i miękkość ich głosów sprawiały mi po prostu fizyczne zadowolenie – nie umiem tego inaczej wyrazić – i z uczuciem szczęścia trudnym do opisania rozkoszowałem się po raz pierwszy brakiem zażenowania wobec młodych panien. Wybitny błogostan naszych stosunków dzięki specjalnym okolicznościom podnosiło całkowite wyłączenie owego elektrycznego kontaktu, który niewątpliwie powstaje przy każdym zetknięciu się młodych ludzi różnej płci. Nasze długie godziny pogawędek pozbawione były zupełnie owego naprężenia, które zwykle tak niebezpiecznym czynią wszelkie *tete à tete*. Z początku – chętnie przyznaję – stulone jak do pocałunku ładne usta, krągłe ramiona Ilony i jej węgierska zmysłowość, wyrażająca się w miękkich powiewnych ruchach, bardzo mnie, młodziaka, w przyjemny sposób podniecały. Musiałem nieraz mocno zważać na swe ręce, aby nie ulec pokusie, nie przyciągnąć do siebie tego ciepłego, miękkiego stworzenia o czarnych roześmianych oczach i nie wycałować jej z całej siły. Ale Ilona zwierzyła mi się zaraz w pierwszych dniach naszej znajomości, że od dwóch lat zaręczona jest z pomocnikiem rejenta, panem Beckeretem, i czeka tylko na poprawę lub powrót do zdrowia Edyty, aby wyjść za męża. Domyśliłem się, że Kekesfalva obiecał ubogiej krewnej posag, jeżeli do tego czasu pozostanie przy jego córce. A zresztą, jakaż byłaby to perfidia, jak brutalność, gdybyśmy za plecami tej wzruszającej, a bezwładnie przykutej do fotela naszej towarzyszki wymieniali całusy lub drobne pieszczoty bez prawdziwej miłości! Bardzo prędko więc ustał ten początkowy zmysłowy urok, a cała moja tkliwość skierowała się w jak najszczerzy sposób ku tamtej, bezradnej i pokrzywdzonej, gdyż w tajemniczej chemii uczuć litość dla chorego wiąże się niewidzialnie z czułością. Siedziałem przy sparaliżowanej, rozweselałem ją rozmową, uspokajałem jej wąskie, niespokojne wargi uśmiechem, a niekiedy – gdy poddając się jakiemuś gwałtownemu kaprysowi niecierpliwiła się – samym ujęciem za rękę wywoływałem zawstydzoną uległość wraz z wdzięcznym spojrzeniem szarych oczu. Tego rodzaju drobne poufałości, jako oznaki duchowej przyjaźni, więcej mnie uszczęśliwiały w towarzystwie tej bezradnej i bezsilnej istoty, niż dałoby mi zadowolenie namiętne przeżycie z tamtą, zdrową. Dzięki drobnym tym wstrząsom – jak wiele doznań zawdzięczałem już tym kilku dniom! – odkryłem absolutnie mi nie znane i nie przeczuwane sfery uczuć.

Nieznane i subtelne, lecz jakże niebezpieczne! Daremne są najbardziej usilne starania: stosunki między zdrowym a chorym, swobodnym a

uwięzionym, nie pozostają nigdy na stałe czyste i nieskażone. Nieszczęście wyrabia drażliwość, a bezustanne cierpienie – niesprawiedliwość. Podobne to jest do nieprzewycięzonego uczucia przykrości, jakie zawsze powstaje między dłużnikiem a wierzycielem, ponieważ jednemu przypadła rola dającego, a drugiemu biorącego. W chorym stale gotowe jest do ataku ukryte rozdrażnienie wywołane każdą widoczną troskliwością. Trzeba więc było mieć się bardzo na baczności, aby nie przekroczyć granic, za którymi współczucie zamiast uspokajać raniło dziewczynę tak drażliwą. Z jednej strony żądała, żeby ją rozpieszczano, żeby wszyscy jej służyli jak królownie i obchodzili się z nią jak z dzieckiem, ale każdy wzgląd na jej chorobę mógł ją rozgoryczyć, bo uprzytomniał z całą dokładnością jej bezradność. Gdy przysuwałem trochę bliżej stół, aby zaoszczędzić jej trudnego sięgnięcia po książkę czy filiżankę, nagle wybuchła z płonącymi oczami:

– Czy pan myśli, że sama nie potrafię sobie wziąć, co zechcę?

Jak zwierzę w klatce, które czasem bez przyczyny rzuca się na troskliwego dozorcę, i ją również napadała od czasu do czasu złośliwa chęć, aby nasz pogodny, nieskrępowany nastrój zniszczyć niespodzianym uderzeniem, gdy zaczynała mówić o sobie jako o nędznej kalece. W takich chwilach trzeba było rzeczywiście zbierać wszystkie siły, aby nie stać się niesprawiedliwym wobec jej agresywnej niegrzeczności.

Ku memu własnemu zdumieniu stale odnajdywałem w sobie te siły. Pierwsze rozpoznanie człowieka zawsze w tajemniczy sposób pociąga za sobą następne, a komu dane było chociażby jedną jedyną formę ziemskiego cierpienia przeżyć z kimś wspólnie, ten zrozumie dzięki tej magicznej nauce wszystkie jego odmiany, nawet najrzadsze i pozornie przeciwne rozumowi. Nie dawałem się więc wyprowadzać z równowagi przez jej chwilowe bunty; przeciwnie, im niesprawiedliwsze i bardziej nieoczekiwane były te wybuchy, tym bardziej mną wstrząsały. Stopniowo rozumiałem też, czemu moje odwiedziny, czemu moja obecność tak chętnie widziana była przez ojca i Ilonę, przez cały dom. Długotrwała choroba nuży nie tylko chorego, ale obniża dla niego litość u innych; mocnych uczuć nie można przedłużać w nieskończoność. Ojciec i przyjaciółka zapewne żalowali z głębi duszy biednej, zniecierpliwionej dziewczyny, ale cierpieli już teraz znużeni i zrezygnowani. Uważali chorą za chorą, fakt sparaliżowania za fakt dokonany i ze spuszczonej oczami czekali, aż krótka burza nerwów minie. Nie przerażali się jednak za każdym razem tak jak ja. Za to wyłącznie przede mną, dla którego jej cierpienia były jeszcze stale nowym wstrząsem, wstydziła Edyta

się swego nieopanowania. Wystarczyło, abym powiedział parę krótkich słów, gdy wybuchła gwałtownie, na przykład:

– Ależ, panno Edyto! – a już posłusznie gasły jej szare oczy.

Czerwieniała się i widać było, że gdyby nie miała bezwładnych nóg, najchętniej uciekłyby przed samą sobą. Nigdy też nie zdarzyło się, aby przy pożegnaniu nie powiedziała mi w sposób błagalny, który mnie przenikał do głębi:

– Ale przyjdzie pan jutro? Pan się na mnie nie gniewa za te wszystkie głupstwa, które dziś powiedziałam?

W takich chwilach odczuwałem jakieś zagadkowe zdumienie, że nie mając nic do ofiarowania prócz bezgranicznej litości, posiadałem tyle mocy nad innym człowiekiem.

Ale właśnie cechą młodości jest wyolbrzymianie każdego nowego doznania. Zaczęła dokonywać się we mnie jakaś przemiana, gdy odkryłem, że w moim współczuciu kryje się siła, która nie tylko mnie rozkosznie podnieca, ale też działa dobroczynnie i poza mną. Od chwili gdy po raz pierwszy odkryłem w sobie owe nie znane mi zdolności, wydawało mi się, że jakaś toksyna wtargnęła mi do krwi, rozgrzewając ją, popędzając, dodając jej czerwieni i pulsującej szybkości. Przestałem nagle pojmować, jak mogłem dotąd żyć, pogrążony w tępcie i obojętności. Zaczęły mnie wzruszać i zajmować setki spraw, obok których przechodziłem dawniej bez zwracania na nie uwagi. Dostrzegłem, że to pierwsze wejście w cudzy ból obudziło we mnie jakieś inne, czujne, rozumiejące oko, jakieś doznania, które zajmowały mnie, zachwycały i które mną wstrząsały. A ponieważ cały nasz świat, każda ulica, każdy pokój pełne są ludzkiej niedoli i przepojone do głębi bolesną udręką, żyłem ciągle w stanie szczególnie czujnego napięcia. Dziwne, zorientowałem się przy ujeżdżaniu remontów*, że nie mogę teraz, jak dawniej, potężnie wyrznąć w zad narowistego konia, bo pełen winy czułem ów zadany ból w sobie samym, a pręga od uderzenia paliła mnie na własnym ciele. Niekiedy bezwiednie zaciskały mi się pięści, gdy wybuchowy rotmistrz bił w twarz biednego ruskiego chłopca za to, że nieborak źle siedział w siodle, a chłopak stał przed nim na baczną, z rękami przy szwach spodni. Wokoło przypatrywali się temu lub głupio chichotali inni żołnierze, a tylko ja, ja jedyny, widziałem, że u wstydliwie spuszczonej powiek skarconego rzesy wilgotniały. Nagle nie mogłem już znieść w naszym oficerskim kasynie

* Remonty – konie zakupione dla wojska, nie wyćwiczone jeszcze w służbie wojskowej.

dowcipów o niezgrabnych albo niezaradnych kolegach. Od czasu, gdy dzięki bezwładnej dziewczynie pojąłem mękę bezsiły, każda brutalność wywoływała we mnie nienawiść, a każda bezradność chęć pomocy. Mnóstwo drobiazgów, których dotychczas nie dostrzegałem, zauważyłem nagle od chwili, gdy mi przypadek wpuścił do oczu gorącą kroplę współczucia; były to może zwykle drobne sprawy, ale z każdej płynął ku mnie wstrząs i naprężenie. Zwróciło na przykład moją uwagę, że właścicielka sklepu z tytoniem, u której kupowałem papierosy, zbliżała podane sobie monety zastanawiająco blisko do swych okrągłych okularów. Zaniepokoiło mnie podejrzenie, czy staruszcze nie grozi katarakta, i postanowiłem wypytać ją jutro ostrożnie, a może nawet poprosić doktora Goldbauma, pułkowego lekarza, aby ją zbadał. Dostrzegłem też, że jednorocznicy w ostatnich czasach ostentacyjnie unikali małego rudowłosego K., i przypomniałem sobie, że gazety podały, jakoby jego wuj (cóż winien biedny chłopiec?) został za jakieś malwersacje osadzony w więzieniu. Umyślnie przysiadłem się podczas obiadu do niego i nawiązałem z nim długą rozmowę, orientując się natychmiast po jego wdzięcznym spojrzeniu, że zrozumiał, iż robię to tylko dlatego, aby pokazać innym, jak niesprawiedliwie i ordynarnie względem niego postępują. Pewnego razu wybłagałem darowanie kary jednemu z żołnierzy i w ten sposób przy pomocy coraz innych, coraz nowych prób rozkoszowałem się odkrytą tak nagle chęcią pomagania. Powiedziałem sobie: „Od dzisiaj będę pomagał, ile zdołam, i to każdemu! Nie będę już tak gnuśny i obojętny! Wznosić się przez ofiarowanie siebie, wzbogacać się przez braterskie jednoczenie się w cierpieniu, rozumienie każdego bólu przez pryzmat współczucia i zapobieganie mu w miarę możliwości!” A moje zdziwione serce aż drżało z wdzięczności dla chorej biedaczki, którą niegdyś bezwiednie zraniłem, a która przez swe cierpienia nauczyła mnie twórczej magii współczucia.

Och, z romantycznych tych uczuć zostałem wkrótce obudzony, i to gruntownie. A stało się to w sposób następujący. Owego popołudnia graliśmy w domino, potem długo gawędziliśmy i tak zajmująco spędzaliśmy czas, że żadne z nas nie zauważyło, iż zrobiło się późno. Wreszcie o wpół do dwunastej spojrzalem z przestraczem na zegarek i szybko się pożegnałem. Ale gdy ojciec odprowadzał mnie do hallu, usłyszeliśmy nagle na dworze szmer i szum jakby setek tysięcy trzmieli – prawdziwe oberwanie chmury, a woda aż bębniła po daszku nad wejściem.

– Szofer pana odwiezie – uspokoił mnie pan Kekesfalva.

Zaprotestowałem, że to niepotrzebne. Rzeczywiście przykro mi było, iż z mego powodu szofer musiałby teraz, o wpół do dwunastej, jeszcze raz się ubrać i wyciągnąć wóz z garażu. (Wszystkie te subtelności i względy w stosunku do innego człowieka były dla mnie czymś całkiem nowym i nauczyłem się ich dopiero w ostatnich tygodniach). Ale jednak wielką pokusą była myśl wygodnego powrotu do domu, podczas takiej psiej pogody, w miękkim samochodzie na doskonałych resorach zamiast człapania przez pół godziny w cienkich lakierkach przez rozmokłą szosę – dałem więc za wygraną. Pomimo deszczu starszy pan nie omieszkał odprowadzić mnie osobiście do auta i zawinąć w pled. Szofer ruszył i pojechaliśmy szybko do domu w dudniącej ulewie.

Nadzwyczaj przyjemna i wygodna była ta jazda w bezszelestnie sunącym wozie. Gdy jednak z czarodziejską szybkością zbliżaliśmy się już do koszar, zapukałem w szybę i poprosiłem szofera, aby zatrzymał wóz na Placu Ratuszowym; wolałem nie podjeżdżać w eleganckim samochodzie Kekesfalvów pod same koszary. Wiedziałem, że nie było to dobrze widziane: podporucznik zajeżdżający jak arcyksiążę wspaniałym samochodem i pozwalający pomagać sobie przy wyjściu szoferowi w liberii. Tego rodzaju chęć imponowania była zawsze źle widziana, a zresztą od dawna radził mi instynkt, abym jak najmniej łączył obydwie moje światy: luksus w pałacu, gdzie byłem człowiekiem swobodnym, niezależnym i rozpieszczanym, i ten świat drugi, służbowy, któremu musiałem, nieborak, ulegać szczęśliwy, kiedy miesiąc miał trzydzieści dni, a nie trzydzieści jeden. Jedno moje „ja” podświadomie nie chciało nic wiedzieć o drugim. Niekiedy wcale już nie rozróżniałem, kto był właściwie prawdziwym Tolkiem Hofmillerem – czy ten na służbie, czy tamten u Kekesfalvów, ten z koszar czy ten z pałacu.

Szofer zatrzymał się posłusznie na Placu Ratuszowym, w odległości dwóch ulic od koszar. Wyszedłem, podniosłem kołnierz i zamierzałem już przejść plac na ukos, gdy w tejże chwili ulewa runęła ze wzmożoną siłą, a wiatr mokrymi rzutami ciskał mi się prosto w twarz. Uznałem, że lepiej przeczekać parę minut w bramie. A może otwarta będzie jeszcze kawiarnia, gdzie posiedziałbym spokojnie, aż nie przestanie lać strumieniami. Dzielilo mnie od kawiarni sześć domów i oto za zalanymi wodą szybami ujrzałem niepewne światło gazowej lampy. Może koledzy są jeszcze przy naszym stoliku? Doskonała okazja, aby niejedno naprawić, bo należałoby się znowu pokazać w ich gronie. Wczoraj, onegdaj i przez cały ubiegły tydzień nie

zjawiałem się przy naszym stole. Właściwie mieliby prawo gniewać się na mnie; jeżeli ktoś jest niewierny, niechże przynajmniej zachowa jakieś formy.

Otworzyłem drzwi. W pierwszej części lokalu ze względów oszczędnościowych pogaszono już lampy, gazety leżały porozrzucone dookoła, a płaćniczy Eugeniusz zliczał dzienny utarg. Tylko w pokoju do gry dojrzałem jeszcze światło i blask mundurowych guzików. Doprawdy, jeszcze tam siedzieli moi odwieczni kompanii do taroka: porucznik Józsi, podporucznik Ferenc i lekarz pułkowy, Goldbaum. Widocznie skończyli już swoją partyjkę i siedzieli gnuśnie, pogrążeni w znanym mi kawiarnianym lenistwie, obawiając się wstać od stolika. Moje przyjście przerywające nudę, było dla nich prawdziwym darem nieba.

– Halo, Tolek! – zaalarmował Ferenc kolegów.

A na to doktor:

– Jakiż splendor na nas spada! – zawołał.

Trzy pary zaspanych oczu spojrzały na mnie wesoło.

– Serwus! Jak się masz!

Radość ich sprawiała mi rzetelną przyjemność. „Jacyż to porządni chłopcy – pomyślałem – wcale mi za złe nie wzięli, że przez cały czas się nie pokazywałem, zaniechawszy nawet przeproszenia ich i tłumaczenia się”.

– Czarną! – rzuciłem sennemu kelnerowi i przysunąłem sobie krzesło z niezmiennym, a otwierającym każde zebranie: – No, co nowego?

Ferenc rozciągnął swą szeroką twarz jeszcze bardziej, aż połyskujące oczki prawie całkowicie znikły w czerwonych policzkach. Powoli otworzył usta, jak gdyby były z ciasta.

– Najnowsza nowość to chyba ta – uśmiechnął się z zadowoleniem – że wasza wielmożność łaskawie raczył się znów pokazać w naszym skromnym gronie.

A doktor pochylił się na krzesło i dodał tonem Kaintza*:

– Mahomet, Bóg świata, zszedł po raz ostatni na ziemię, aby stać się ludziom podobny i znosić wraz z nimi rozkosz i mękę...

* Kaintz – sławny aktor wiedeński (przyp. tłum.).

Wszyscy trzej patrzyli na mnie rozweseleni i nagle ogarnęło mnie przykre uczucie: „Najlepiej – pomyślałem – do wszystkiego od razu się przyznać, zanim zaczną wypytywać, czemu tyle dni mnie nie było i skąd dziś przychodzę. Lecz zanim zdążyłem zacząć, Ferenc dziwnie zamrugał oczami i trącił Józsięgo.

– Popatrz no – wskazał pod stół – co ty na to? Przy takiej świńskiej pogodzie w lakierkach i w eleganckim mundurze! Ho, ho, Toluś potrafi żyć, doskonale się urządził. Podobno strasznie tam elegancko u tego machera? Po pięć potraw co wieczór, opowiadał aptekarz, kawior, bażanty, prawdziwe likiery Bolsa i pierwszorzędne cygara. Tak, tak, to lepsze od naszego żarcia „Pod Czerwonym Lwem”. Ho, ho, nie docenialiśmy naszego Tolka, to szczwana sztuka!

Józsi natychmiast mu zawtórował:

– Tak, tylko jakoś z tym koleżeństwem nietęgo... Tak, kochany Toleczku, zamiast powiedzieć temu staremu: „Słuchaj no, stary, mam paru pysznych kolegów, porządnych i uczciwych chłopaków, którzy także nie jedzą nożem ryby, kiedyś ich panu przyprowadzę...” – myślisz sobie: „A niechże żłopia swego kwaśnego pilznera i paprykują sobie gardła nudnym wołowym gulaszem!” No, tak, rzeczywiście, to prawdziwe koleżeństwo, trzeba przyznać. Dla siebie wszystko, a dla innych nic! No, przyniosłeś mi przynajmniej porządne cygaro? Wybaczyłbym ci na dzisiaj resztę.

Wszyscy trzej żartowali ze śmiechem, ale mnie nagle krew uderzyła do skroni. Bo skądże, u wszystkich diabłów, mógł ten Józsi odgadnąć, że Kekesfalva w przedpokoju – robił to zawsze – wsunął mi do kieszeni jedno ze swych wspaniałych cygar. Czyżby wyglądało spomiędzy guzików na piersiach? Gdyby je zauważyli! Zmieszany zmusiłem się do śmiechu:

– Naturalnie, mam dla ciebie najlepsze! Inaczej nie możesz? Myślę, że papieros trzeciego gatunku także ci wystarczy! – i podałem mu otwartą papierośnicę.

Ale w tejże chwili zadrżała mi ręka. Onegdaj były moje dwudzieste piąte urodziny, a dziewczęta w jakiś sposób to wykombinowały i podczas kolacji, gdy chciałem zdjąć z talerza serwetę, poczułem, że włożono w nią coś ciężkiego: papierośnicę jako podarunek urodzinowy. Ale Ferenc już ją zauważył, w naszym szczupłym gronie każda drobnostka stawała się wydarzeniem dnia.

– Oho, co to jest? – mruknął. – Nowe uzbrojenie? – wyjął mi po prostu papierośnicę z rąk. Cóż mogłem na to poradzić? – Słuchaj no – zwrócił się do doktora – zdaje mi się, że nawet jest prawdziwa. Masz przyjrzyj się dobrze, twój szanowny rodzic handluje przecież takimi rzeczami, więc coś niecoś się na tym znasz.

Pułkowy lekarz, rzeczywiście syn złotnika z Drohobycza, włożył binokle, wziął papierośnicę, zważył ją w ręku, obejrzał ze wszystkich stron i wyuczonym ruchem postukał w nią zgiętym palcem.

– Prawdziwa – postawił diagnozę. – Prawdziwe złoto z próbą i bardzo ciężkie. Można by za nią całemu pułkowi zaplombować zęby. Cena od siedmiuset do ośmiuset koron.

Po tym orzeczeniu, które i mnie zdziwiło (sądziłem, że jest pozłacana) oddał papierośnicę Józsiemu, który ujął ją z o wiele większym szacunkiem niż tamci. (Ach, jakąż cześć mamy, biedacy, dla wszelkich kosztowności!) Obejrzał ją, spojrzął na nią pod światło, otworzył nacisnąwszy rubin w zamku i zaskoczony pochylił się nad nią.

– Oho, napis! Słuchajcie! *Naszemu miłemu towarzyszowi Antoniemu Hofmillerowi na urodziny – Ilona i Edyta.*

Wszyscy trzej wpatrywali się teraz we mnie.

– Psiakość! – sapnął wreszcie Ferenc. – Nieżle sobie towarzyszy wybierasz! Moje uznanie! Ode mnie dostałbyś najwyżej tombakową zapalniczkę zamiast takiego prezentu.

Miałem ściśnięte gardło. Jutro z pewnością cały pułk będzie wiedział o nieprzyjemnej nowinie ze złotą papierośnicą, którą dostałem od rodziny Kekesfalvów na urodziny, i będzie umiał napis na pamięć. „Pokaż no tę twoją elegancką papierośnicę!” – powie przy stole Ferenc, aby się mną pochwalić, i posłusznie będę musiał pokazać ją panu rotmistrzowi, panu majorowi, panu pułkownikowi. Wszyscy będą ją ważyli w ręku, oceniali, ironicznie uśmiechali się na widok napisu, a potem posypie się bez wątpienia grad pytań i żartów, ja zaś nie mogę wobec przełożonych zachować się niegrzecznie.

Zmieszany, aby zakończyć szybko te rozmowę, spytałem:

– No, mielibyście jeszcze chętkę na partyjkę?

Ale ich dobroduszne uśmiechy zmieniły się w głośny śmiech.

– Słyszałeś kiedy coś podobnego, Ferenc? – trącił go w bok Józsi – teraz, o wpół do pierwszej, kiedy budę zamykają, chciałby jeszcze zacząć partię!

A doktor pochylając się na krześle dodał:

– Tak, tak, szczęśliwi nie liczą godzin!

Śmiali się, żartując na temat tego oklepanego dowcipu, lecz wreszcie z nieśmiałą stanowczością zbliżył się płatniczy. Zamykali – trzeba było wyjść, bo deszcz ustał, dojść razem do koszar i na pożegnanie uścisnąć sobie ręce. Ferenc klepnął mnie po ramieniu.

– Dobrze żeś znowu przyszedł – powiedział i poczułem, że mówi to z serca.

Ale czemu byłem taki wściekły na nich? Jeden w drugiego byli rzeczywiście porządny i dzielny chłopcy, nie znającymi ani cienia zazdrości lub niechęci. A jeżeli trochę ze mnie żartowali, nie robili tego przez złość.

Zrobili to rzeczywiście nie przez złość, mili chłopcy, ale jednak swym głupim podziwem i napomknieniami coś we mnie bezpowrotnie zniszczyli: moją pewność siebie. Jak dotąd miłe stosunki z Kekesfalvami w przedziwny sposób wzmagaly moje dobre samopoczucie. Po raz pierwszy w życiu czułem się człowiekiem dającym, pomagającym – teraz zdałem sobie sprawę, w jaki sposób inni patrzą na ten stosunek i jak przez nieznamość wszystkich okoliczności patrzeć nań muszą. Cóż mogli zrozumieć z tego subtelnego, litosnego współczucia, w którego pęta – nie mogę teraz inaczej tego nazwać – wpadłem jak w szpony ciemnej namiętności. Dla nich było to oczywiste, że tylko dlatego zagnieździłem się w tym bogatym, gościnnym domu, aby przyjaźnić się z zamożnymi ludźmi, zaoszczędzić sobie kolacji i przyjmować podarunki. W gruncie rzeczy nie brali mi nawet za złe – poczciwe chłopaki – że zdobyłem ciepły kąć i miałem dobre cygara. Bezsprzecznie – i właśnie to mnie tak złościło – nie widzieli w tym nic niehonorowego lub nieprzyzwoitego, że pozwalam się fetować przez tych bogaczy, bo z ich punktu widzenia każdy z nas robił zaszczyt takiemu jegomościowi, jeżeli jako oficer kawalerii siadał za jego stołem. Gdy więc Ferenc i Józsi podziwiali papierośnicę, nie było w tym najmniejszej nagany, przeciwnie, wzbudziło to poniekąd ich szacunek, że potrafiłem tak „nabrać” moich protektorów. Najwięcej mnie dręczyło, że ja sam przestałem się rozumieć. Czy rzeczywiście nie zachowuję się w gruncie rzeczy jak pieczeniarsz? Czy jako oficerowi, jako

doroślemu człowiekowi, wypada być co wieczór na czyimś utrzymaniu i godzić się na podobne nadszaskakiwanie? Tej złotej papierošnicy takŹe nie powinienem być przyjać ani jedwabnego szala, którym owinęły mi szyję, gdy ostatnio było tak wietrzno. Oficer, oficer kawalerii, nie moŹe pozwolić, aby mu przy poŹegnaniu wsuwano do kieszeni cygara i... na litość boską!... Zaraz jutro trzeba będzie wyperswadować temu Kekesfalvie jego pomysł à propos konia! Przypomniało mi się bowiem, Źe dnia poprzedniego starzec wspomniał, iŹ mój wałach-kasztan (którego naturalnie spłacałem ratami) nie jest juŹ w dobrej formie, i właœciwie miał słuŹszość. Ale pan Kekesfalva chciał mi wobec tego poŹyczyć ze swej stadniny wspaniałego trzylatka, który na pewno nie przyniósłby wstydu swemu panu; nie, to mi się nie podobało. Ach, znałem to „poŹyczanie” i wiedziałem, co to u Kekesfalvy znaczy. Tak samo, jak przyrzekł Ilonie posag, aby jako pielęgniarka przebywała przy jego dziecku, tak chciał teraz kupić mnie, zapłacić mi za moje współczucie, za moje Źarty, za dotrzymywanie towarzystwa. A ja, naiwny, byłbym się na to dał wziąć, nie dostrzegając, Źe staje się wyzyskiwaczem!

„Głupstwo” – powtarzałem sobie, pamiętając, z jakim wzruszeniem stary człowiek pogłaskał wtedy rękaw mojego płaszcza i przypominając sobie jego rozjašnioną twarz, gdy wchodziłem do pokoju. Uprzytomniłem sobie bratersko-siostrzane koleŹeństwo, wiążące mnie z obydwoma dziewczętami. Z pewnością nawet uwagi nie zwróciły, czy piję o kieliszek wina więcej, a jeŹeli nawet dostrzegły, z pewnością tylko się cieszyły, Źe się tak dobrze u nich czuję. „Nonsens, wariactwo – myślałem wciaŹ od nowa. – Nonsens, ten stary człowiek kocha mnie więcej niŹ mój własny ojciec”.

Ale cóŹ pomoŹe wmawianie w siebie i podnoszenie się na duchu, jeŹeli zachwiała się wewnętrzna równowaga! Czułem, Źe swym cmokaniem i podziwianiem Józsi i Ferenc zmarnowali mi moją przyjemną, uskrzydłającą swobodę. Ciągle pytałem sam siebie, czy rzeczywiœcie bywam w pałacu wyłączenie z litości dla tych bogaczy. Czy nie ma w tym pychy i chęci uŹycia? W kaŹdym razie musiałem zyskać pewność, w tym celu postanowiłem robić przerwy w moich wizytach i juŹ od razu zaniechać jutrzejszych odwiedzin po południu.

I nazajutrz nie poszedłem do Kekesfalwów. Zaraz po skończonej słuŹbie wybrałem się z Józsim i Ferencem do kawiarni, gdzie zajęliśmy się czytaniem gazet i nieodłącznym tarokiem. Ale grałem bardzo źle, bo właœnie naprzeciwko mnie wisiał na ścianie okrągły zegar: czwarta dwadzieœcia, trzydzieœci, czterdzieœci, pięćdziesiąt... i zamiast liczyć karty, liczyłem

godziny. Pół do piątej – zazwyczaj wtedy wybierałem się na herbatę, wszystko stało już nakryte i gotowe, a gdy czasem spóźniłem się o kwadrans, zaraz pytali: „Co to się dziś stało?” Punktualne moje przychodzenie stało się już takim zwyczajem, że na nie liczone. Pewno i teraz spoglądają tam niespokojnie na zegar i czekają, czekają... Czy jednak nie należałoby zatelefonować i wyjaśnić, czemu nie przyszedłem? A może posłać ordynansa...

– Tolek, to przecież skandal, jak ty dziś faszerujesz. Uważaj że! – zirytował się Józsi patrząc na mnie ze złością.

Moje roztargnienie kosztowało go robra. Trzeba się było skupić.

– Słuchaj, czy mógłbym się przesiąść?

– Naturalnie, ale dlaczego?

– Nie wiem – skłamałem – zdaje mi się, że ten hałas tutaj tak mnie denerwuje.

W rzeczywistości był to zegar, na który nie chciałem patrzeć, oraz nieubłagane posuwanie się minuty za minutą. Uczucie niepokoju opanowało mi nerwy, a myśli wciąż uciekały; dręczyło mnie, czy nie należałoby jednak pójść do telefonu i przeprosić. Po raz pierwszy zrozumiałem, że prawdziwe współczucie nie da się włączać i wyłączać jak kontakt elektryczny, i że każdemu, kto bierze udział w cudzym losie, częściowo zostaje odebrana jego własna wolność.

„Ale do wszystkich diabłów – wyrzucałem sobie – przecież nie jestem obowiązany codziennie tam łązić!” i w myśl tajemnego prawa przesuwania uczuć, zgodnie z którym człowiek zirytowany często bezwiednie przenosi swój gniew na kogoś niewinnego – niby kula bilardowa przekazująca odebrane uderzenie, moja niechęć wyładowała się na Kekesfalvach, zamiast na Józsim i Ferencu. Niech na mnie czekają! Niech zobaczą, że podarunkami i grzecznościami nie można mnie kupić, że nie przychodzę na oznaczoną godzinę jak masażysta czy nauczyciel gimnastyki. Nie trzeba stwarzać precedensów, przyzwyczajenie zobowiązuje, a ja nie mam zamiaru się wiązać. W niemądrym więc uporze przesiedziałem w kawiarni trzy i pół godziny, do pół do ósmej, tylko po to, aby siebie przekonać i dowieść sobie, iż jedynie ode mnie zależy przychodzenie i wychodzenie od Kekesfalvów, kiedy chcę, oraz że dobre jedzenie i szlachetne gatunki cygar są mi zupełnie obojętne.

O wpół do ósmej wyszliśmy razem, a Ferenc zaproponował mały spacer po promenadzie. Lecz ledwo z obydwoma moimi kolegami wyszedłem z kawiarni, gdy nagle znajome oczy mijające nas spoczęły na mnie. Czy to nie Ilona? Naturalnie, nawet gdybym był właśnie wczoraj nie podziwiał czerwonej jak wino sukni i szerokiej panamy, poznałbym ją od razu po miękkim, kołyszącym się chodzie. Ale dokąd tak się spieszy? Przecież to nie jest spacerowy krok, lecz gwałtowny bieg. W każdym razie trzeba szybko pobiec za tym ładnym ptakiem, aby nie uciekł.

– Przepraszam was! – rzuciłem zaskoczonym kolegom dość obcesowo i pospieszyłem za powiewającą spódnicą.

Naprawdę ucieszyłem się bardzo, że chociaż raz mogłem przebywać z siostrzenicą Kekesfalvów w moim świecie garnizonowym.

– Panno Ilono! Ilono, hop-hop! – krzyknąłem za dziewczyną idącą zadziwiająco szybko.

Wreszcie zatrzymała się – nie była wcale zaskoczona. Oczywiście zauważyła mnie już przedtem.

– Jak to ślicznie, panno Ilono, że panią przyłapałem tu, w mieście. Od dawna już pragnąłem pospacerować z panią po tej stolicy. A może wejdziemy do naszej cukierni?

– Nie, nie! – odparła zmieszana. – Spieszę się, czekają na mnie w domu.

– Och, to poczekają pięć minut dłużej. W najgorszym razie dam pani list z wyjaśnieniem, aby nie postawiono pani do kąta. Chodźmy i niech pani nie patrzy na mnie tak surowo.

Najchętniej byłbym ją wziął pod rękę, a jeśli mnie koledzy spotkają z tą prześliczną panną, tym lepiej. Lecz Ilona nie mogła opanować zdenerwowania.

– Nie, muszę jechać do domu – rzekła gwałtownie – tam czeka samochód.

I rzeczywiście, z Placu Ratuszowego z szacunkiem kłaniał się szofer.

– Ale przynajmniej wolno mi odprowadzić panią do auta?

– Naturalnie – mruknęła z dziwnym roztargnieniem. – Naturalnie... Ale, ale właściwie czemu pan dziś po południu do nas nie przyszedł?

– Dziś po południu? – spytałem z rozmyślną powolnością, jak gdybym musiał się zastanowić. – Dziś po południu? Ach, tak zdarzył się taki wypadek... po południu? Pułkownik chciał sobie kupić nowego konia i musieliśmy pójść wszyscy, żeby go obejrzyć i wypróbować.

Zdarzyło się to w rzeczywistości przed miesiącem. Kłamię istotnie bardzo nieudolnie.

Zawahała się, jakby chciała mi coś odpowiedzieć. Ale czemu szarpała coś przy rękawiczce i nerwowo tupiała nogą? Nagle rzekła szybko:

– Nie chciałby pan przynajmniej teraz pojechać ze mną na kolację?

„Wytrzymać! – zakomenderowałem sobie. – Nie poddać się! Chociażby jeden dzień”. Westchnąłem więc z żalem:

– Jaka szkoda! Pojechałbym chętnie, ale cały dzień mam już zajęty. Wieczorem będzie zebranie towarzyskie, na którym muszę być koniecznie.

Spojrzała na mnie przenikliwie – dziwne, że pomiędzy jej brwiami utworzyła się taka sama zmarszczka zniecierpliwienia jak u Edyty – i nie odrzekła ani słowa; nie wiem, czy wynikało to z umyślnej niegrzeczności czy zakłopotania. Szofer otworzył drzwiczki, zatrzasnęła je mocno i spytała przez szybę:

– A jutro pan przyjdzie?

– Tak, jutro z pewnością.

I już auto odjechało.

Nie byłem z siebie zbyt zadowolony. Skąd ten nagły pośpiech Ilony, to skrępowanie, jak gdyby się obawiała, że ją ktoś ze mną zobaczy? Skąd ten raptowny odjazd? A poza tym mogłem być przez grzeczność przesłać ukłony ojcu i parę miłych słów Edycie, przecież mi nic nie zrobili! Z drugiej strony cieszyłem się ze swego zachowania pełnego rezerwy. Wytrzymałem! Teraz mogą przynajmniej zdać sobie sprawę, że im się nie chcę narzucać.

Jakkolwiek przyrzekłem Ilonie, iż nazajutrz przyjdę o zwykłej godzinie, przezornie zapowiedziałem moją wizytę przez telefon. Lepiej zachować formy, formy to zabezpieczenie. Chciałem zaznaczyć, że nie przychodzę do nikogo, gdy mnie nie chcą, i postanowiłem, że za każdym razem każę spytać, czy moja wizyta będzie chętnie widziana. Tym razem nie mogłem w to wątpić, bo

służący czekał w otwartych drzwiach i poufnie szepnął mi zaraz przy wejściu z pewnym naciskiem:

– Panienska jest na tarasie i kazała prosić pana porucznika, żeby był łaskaw zaraz tam pójść. – Po czym dodał: – Sądzę, że pan porucznik jeszcze nigdy nie był na wieży i zdziwi się, jak tam pięknie.

Rację miał poczciwy, stary Józef. Nigdy jeszcze nie byłem na tarasie, jakkolwiek zadziwiający i trochę osobliwy ten budynek często mnie zaciekał. Początkowo – powiedziałem to już uprzednio – narożna wieża zamku od dawna już zrujnowanego i rozwalonego (nawet dziewczęta nie znały dokładnie jego historii), potężna czworokątna wieża stała przez długie lata pusta i służyła za spichrz. W dzieciństwie Edyta często ku przerażeniu rodziców wchodziła po bardzo już chwiejnych drabinach aż pod dach, gdzie pomiędzy starymi gratami sennie fruwały nietoperze, a przy każdym kroku ze starych, zmurszałych belek kurz i pył wznosiły się gęstą chmurą. Ale obdarzone fantazją dziecko właśnie dlatego wybrało specjalnie jako świat zabaw i schowków ten nie używany budynek, z którego zakurzonych okien rozciągał się daleki widok, że było w tym coś tajemniczego, gdy zaś potem przyszło nieszczęście i dziewczątka straciło nadzieję, że jeszcze kiedyś na swych całkowicie bezwładnych nogach będzie mogło się dostać do tej wysokiej, romantycznej rupieciarni, poczuło się jak obrabowane. Ojciec nieraz obserwował, jak z goryczą w spojrzeniu córka jego spoglądała w górę ku temu ukochanemu, a tak nagle utraconemu rajowi swego dzieciństwa.

Aby więc zrobić jej niespodziankę, Kekesfalva kazał budowniczemu w przeciągu trzech miesięcy, jakie Edyta miała przebyć w niemieckim sanatorium, przebudować wieżę i urządzić na niej wygodny taras z widokiem na okolicę. Kiedy Edyta na jesieni po ledwo dostrzegalnym polepszeniu stanu zdrowia przywieziona została do domu, wysoka wieża zaopatrzona już była w windę, szeroką jak sanatoryjna, a dającą chorej w każdej chwili możliwość pojechania w fotelu na górę i rozkoszowania się ulubionym widokiem; świat dzieciństwa został jej w niespodziewany sposób przywrócony.

Pracując w pośpiechu architekt nie zwracał co prawda tyle uwagi na czystość stylu, ile na techniczne udogodnienia. Nagi sześcian, który dodano do prostej w liniach, czworokątnej wieży, pasował swymi geometrycznymi kształtami raczej do portowych doków albo do elektrowni niż do tego pałacyku o bogatych i ozdobnych formach barokowych, pochodzącego prawdopodobnie z czasów Marii Teresy. Ale zasadnicze życzenie ojca zostało

spełnione; Edyta uszczęśliwiona była tarasem, który ją tak niespodziewanie wyzwał z ciasnoty i jednostajności pokoju. Ze swojej wieży mogła przez lornetkę patrzeć w daleki, płaski jak talerz krajobraz, widzieć co się dokoła dzieje, oglądać siewy i żniwa, obserwować krzątanie ludzką i zabawy. Po nieskończenie długim oderwaniu od świata – znowu była z nim połączona. Patrzała godzinami ze swej strażnicy na pociągi, maleńkie zabawki żwawo mknące, przemierzające okolice wśród drobnych pierścieni dymu. Żaden wóz na szosie nie uszedł jej ciekawości, a jak się później dowiedziałem, przypatrywała się też często przez teleskop naszym konnym wyjazdom, ćwiczeniom i parodom. Powodowana jednak dziwną zazdrością zachowywała ten ukryty kącik w tajemnicy przed wszystkimi gośćmi, jako swój własny, prywatny świat, zaś po impulsywnej radości wiernego Józefa poznałem, iż zaproszenie mnie do tej strażnicy, dokąd wszyscy mieli wstęp wzbroniony, uważał za specjalne wyróżnienie.

Służący chciał mnie zawieźć windą: znać było po nim dumę, że powierzono mu prowadzenie tego kosztownego wehikułu, ale odmówiłem, gdy mi powiedział, że na taras prowadzą również małe kręcone schody, oświetlone bocznymi otworami w wykuszach na każdym piętrze. Natychmiast wyobraziłem sobie, jak interesujące musiało być stopniowe odsłanianie się coraz dalszego widoku na poszczególnych odcinkach schodów; rzeczywiście każda z tych nie oszklonych luk w murze otwierała coraz to inną, zachwycającą panoramę. Nad okolicą skapaną w letnim żarze rozciągał się niby złota przedza bezwietrzny, przezroczysty, upalny dzień. Dym z rzadkich domów i zagród wznosił się prawie nieruchomymi spiralami i widać było chaty kryte słomą, z nieodłącznym bocianim gniazdem na szczycie. Sadzawki, pełne kaczek przed stodołami, połyskiwały ostro jak szlifowany metal, a każdy kontur malował się na tle stalowobłękitnego nieba jak wycięty ostrym nożem. Po żółtych jak wosk polach poruszały się lilipucie postacie ludzkie, łaciate, pasące się krowy, pielące i piorące kobiety, wozy ciężko naładowane, zaprzężone w woły, oraz wózki zręcznie uwijające się wśród starannie uprawionej szachownicy pól. Przeszedłszy mniej więcej dziewięćdziesiąt stopni, objąłem spojrzeniem całą tę węgierską płaszczyznę aż po horyzont. Gdzieś w dali ciemniał wzniesiony pas, może Karpaty, zaś z lewej strony widniało zabawnie skupione nasze miasteczko z kopulastą wieżą. Gołym okiem dojrzałem nasze koszary, ratusz, szkołę, plac ćwiczeń i po raz pierwszy od czasu mego przeniesienia tutaj odczułem bezpretensjonalny wdzięk tego zakątka kraju.

Ale nie mogłem długo cieszyć się miłym widokiem, gdyż wszedłszy na taras musiałem przygotować się na powitanie chorej. Zrazu jej nie dostrzegłem, bo miękki, trzcinowy fotel, na którym leżała, odwrócony był do mnie szerokim oparciem, które niby kolorowa, wklęsła muszla całkowicie krył jej szczupłą postać. Jedynie po stoliku z książkami, stojącym obok, i po otwartym gramofonie poznałem jej obecność. Zawahałem się, czy mam podejść od tyłu – mogłoby to wypoczywającą czy też pogrążoną w myślach dziewczynę przestraszyć. Przeszedłem więc wzdłuż ścian czworoboku, aby zbliżyć się do niej od przodu, ale gdy się tak ostrożnie zacząłem do niej skradać, spostrzegłem, że Edyta śpi. Szczuplutkie ciało ułożono pieczołowicie, a na nogi narzucono miękki pled; na białych poduszkach, nieco pochylona na bok, spoczywała owalna, dziecięca twarz, obramowana rudawozłocistymi włosami, a zachodzące słońce nadawało jej bursztynowy odblask zdrowia.

Mimo woli zatrzymałem się, korzystając z chwili niepewnego oczekiwania przyglądałem się śpiącej jak obrazowi. W czasie naszych częstych pogawędek nie miałem bowiem nigdy jeszcze okazji, aby popatrzeć na nią wprost, gdyż jak wszyscy ludzie przewrażliwieni unikała tego mimo woli. Nawet gdy spojrzałem na nią przypadkowo, zaraz pojawiała się między jej brwiami mała zmarszczka niezadowolenia, oczy się płoszyły, wargi nerwowo drgały i ani przez chwilę nie pozwalała popatrzeć na swój profil. Dopiero teraz gdy leżała tak z zamkniętymi oczami, bezbronna i nieruchoma, mogłem (mając przy tym uczucie, że popełniam coś niegodziwego, jakąś kradzież) przyjrzeć się tej nieco kanciastej twarzy, o rysach jakby jeszcze niezupełnie uformowanych, na których naiwność dziecka mieszała się w sposób pociągający z kobiecością i chorobliwym wycieńczeniem. Wargi nieco otwarte, jak u spragnionej, lekko oddychały, ale nawet ten minimalny wysiłek wznosił i opuszczał jej dziecięco drobną pierś, zaś blada twarz leżała na białych poduszkach wśród rudawych włosów pozbawiona kropli krwi. Ostrożnie podszedłem bliżej. Cienie pod oczami, niebieskie żyłki na skroniach, różowo przeświecające delikatne nozdrza – wszystko to zdradzało, jak cienką i delikatną była alabastrowa skóra, wzbraniająca dostępu zewnętrznym podnieciom. „Jakże bardzo musi się być wrażliwym – pomyślałem – gdy nerwy nieomal bez pokrycia pulsują tak blisko pod powierzchnią, jak niezmiernie musi cierpieć takie lekkie jak puch ciało efeba, stworzone do uskrzydłonego biegu, do tańca, do kołysania się w powietrzu, a tak okrutnie przygwożdżone do twardej, ciężkiej ziemi!”

Biedne, skrępowane stworzenie – znowu uczułem od wewnątrz napływ ciepła, owego boleśnie wyczerpującego, a zarazem okrutnie podniecającego wzlotu współczucia, które zawsze mnie ogarniało, gdy myślałem o jej nieszczęściu. Aż mi ręce drżały z chęci, by delikatnie pogłaskać ją po ramieniu, schylić się nad nią i uszczknąć z jej warg uśmiech, gdy się obudzi i pozna mnie. Potrzeba tkliwości, mimo woli wiążąca się stale z gorącym współczuciem, gdy na dziewczynę spojrzałem lub gdy o niej pomyślałem, kazała mi się do niej zbliżyć. Aby tylko nie spłoszyć snu, który odrywa ją od niej samej, od namacalnej rzeczywistości! Właśnie to jest tak błogie, że można czuć się serdecznie bliskim choremu, który śpi, kiedy wszelkie lęki są w nim poskromione, kiedy zapomniał o swym kalectwie, kiedy na jego rozchylnych wargach osiada uśmiech jak motyl na chwiejącym liściu, uśmiech obcy i wcale do niego nie należący, który przy pierwszym przebudzeniu natychmiast lękliwie pierzcha. „Jakież szczęście dane od Boga – rozmyślałem – że ułomni, okaleczeni, obrabowani przez los przynajmniej we śnie wcale sobie nie zdają sprawy z foremności czy zniekształcenia swych ciał, że dobrotliwy oszust, sen, przynajmniej wówczas pozwala im łudzić się, że ich własne postacie są piękne i proporcjonalne, że chory przynajmniej w tym ciemnym świecie marzeń sennych może uciec od przekleństwa, któremu został wydany na pastwę”. Najbardziej jednak dla mnie wzruszające były jej ręce skrzyżowane na pledzie, delikatnie pożyłkowane, wysmukłe ręce o kruchych, cienkich stawach i wąskich, niebieskawych paznokciach; subtelne, bezkrwiste, bezwładne ręce, mające zapewne tylko tyle sił, aby pogłaskać jakieś małe stworzonko, gołębia albo królika, lecz zbyt słabe, by coś utrzymać lub uchwycić. „Jak można – myślałem wstrząśnięty – takimi bezradnymi rękami bronić się przeciw prawdziwemu życiu? Jakże można wywalczyć sobie, przytrzymać i zachować szczęście?” Nieomal wstręt mnie ogarniał, gdy myślałem o moich własnych rękach, tych mocnych, ciężkich, muskularnych i silnych rękach, umiejących jednym przyciągnięciem cugli poskromić opornego konia. Mimo woli spojrzenie moje przywarło do pledu kosmatego i ciężkiego, ach, o wiele za ciężkiego dla spiczastych kolan tej istoty o lekkości ptaka. Pod nieprzejrzystym przykryciem leżały martwe – nie wiem, zmiażdżone, sparaliżowane czy też po prostu słabe, bo nigdy nie miałem odwagi, aby o to zapytać – leżały te bezwładne nogi wciśnięte w ową stalową czy skórzaną maszynę. Przypomniałem sobie, że przy każdym ruchu zwisał u nieposłusznego stawu ciężki, jak kula u kajdan, okrutny aparat. Właśnie ona, akurat ona, taka delikatna, słabiutka, musi wlec za sobą bezustannie ze zgrzytem i chrzęstem coś tak wstrętne, ona, o której

myślałoby się raczej, iż fruwanie, bieganie i wzlatywanie byłoby dla niej znacznie naturalniejsze niż chodzenie. Mimo woli wzdrygnąłem się na tę myśl, drzenie przebiegało mnie aż do stóp i ostrogi moje lekko zadźwięczyły. Może był to szmer minimalny, ledwo dosłyszalny, srebrzysty podźwięk czy leciutki brzęk, lecz widocznie przebił lekki sen. Edy nieszpokojnie odetchnęła, ale nie otworzyła jeszcze oczu – dopiero ręce jej zaczęły się budzić. Lekko rozchyliły się, rozwarły i wyprostowały; wydawało się, że ręce te budząc się ziewają. Potem powieki zadrgały próbując światła i wreszcie oczy otworzyły się zdziwione.

Nagle wzrok chorej odkrył mnie i Edyta natychmiast stężała; kontakt optyczny jeszcze nie zapalił w niej świadomej myśli i wspomnienia. Nagły wstrząs – i już poznając mnie, przebudziła się całkowicie; purpurową falą nabiegła jej krew do policzków, jednym gwałtownym pchnięciem wpompowana przez serce. Znowu mi się wydawało, że do kryształowego kielicha nalano czerwonego wina.

– Ach, cóż za głupota! – rzekła z mocno zsuniętymi brwiami i nerwowym ruchem podciągnęła pled, jak gdybym zastał ją obnażoną. – Jakam ja głupia! Widocznie zasnąłam na moment. – I w tejże chwili zaczęło się, znałem już te oznaki! – lekkie drzenie. Patrzała na mnie wyzywająco: – Dlaczego mnie pan od razu nie obudził? Nie obserwuje się człowieka śpiącego! Nie powinno się tego robić. Śpiący wygląda zawsze śmiesznie.

Przykro dotknięty, że moją delikatnością wywołałem jej niezadowolenie, spróbowałem ucieczki w niemądrym żarcie:

– Lepiej, jeżeli się tak wygląda we śnie niż na jawie! – rzekłem.

Ale Edyta już wsparła się oburącz na poręczach i zmarszczka na czole zarysowała się jeszcze głębiej; teraz delikatne drganie ogarnęło również jej wargi. Ostro zmierzyła mnie wzrokiem:

– Dlaczego nie przyszedł pan wczoraj?

Cios był zbyt niespodziewany, abym mógł odpowiedzieć natychmiast. A chora już powtórzyła jak inkwizytor:

– No, chyba miał pan jakiś specjalny powód, że pozwolił nam pan tak siedzieć i czekać. W przeciwnym razie byłby pan chociaż zatelefonował.

Ach, głupiec ze mnie! Właśnie powinienem był to pytanie przewidzieć i z góry ułożyć sobie nań odpowiedź. Zamiast odpowiedzieć przestępowałem z

nogi na nogę i zacząłem się tłumaczyć oklepaną wymówką, że mieliśmy niespodzianą inspekcję remontów, że jeszcze o piątej miałem nadzieję, iż uda mi się zemknąć, ale pułkownik chciał nam zaprezentować nowego konia i tak dalej, i tak dalej.

Jej surowe, szare, ostre spojrzenie ani na chwilę nie odrywało się ode mnie, a im więcej paplałem, tym stawała się bardziej nerwowa. Widziałem, że palce jej drgają na poręczach.

– Aha! – odparła wreszcie chłodno i sucho. – I jakżeż się skończyła ta wzruszająca historia o inspekcji remontów? Czy pułkownik kupił wreszcie tego konia, czy nie?

Uczułem, że się niebezpiecznie zagalopowałem. Raz, drugi i trzeci uderzyła rękawiczką po stole, potem spojrzała na mnie srogo:

– Dość tych głupstw! Nie ma w tym ani słowa prawdy! Jak pan śmie opowiadać mi takie bzdury?

Coraz gwałtowniej uderzała po stole, aż wreszcie rękawiczka szerokim łukiem wyleciała w powietrze.

– Ani słowa nie ma prawdy w pańskiej głupiej paplaninie! Ani słowa! Nie był pan w ujeżdżalni i nie było żadnej inspekcji remontów. Już o pół do piątej siedział pan w kawiarni, a o ile wiem, nie ujeżdża się tam koni. Niech mi pan nie mydli oczu! Nasz szofer widział pana przypadkiem o szóstej przy kartach.

Nie mogłem powiedzieć ani słowa, ale Edyta znów zaczęła:

– Zresztą czemu mam się przed panem krępować? Czy dlatego, że pan mówi nieprawdę, mam się kryć przed panem? Ja przecież nie boję się powiedzieć prawdy. Więc, żeby pan wiedział: nie, wcale nie przez przypadek widział pana nasz szofer w kawiarni, bo specjalnie po to wysłałam go do miasta, aby się dowiedział, co się z panem stało. Myślałam, że pan może chory albo coś się panu przytrafiło złego, bo nawet pan nie zatelefonował i... Tylko niech pan sobie nie wmawia, że z pańskiego powodu zdenerwowałam się... Nie znoszę czekania... po prostu nie znoszę tego... dlatego wysłałam szofera. Ale w koszarach powiedziano mu, że pan porucznik w najlepszym zdrowiu poszedł do kawiarni na karty, więc poprosiłam Ilonę, żeby się dowiedziała, czemu nas pan tak szorstko potraktował. Może pana czymś wczoraj obraziłam? Przecież czasami jestem nieodpowiedzialna w moim idiotycznym nieopanowaniu... No tak, widzi pan, ja się nie wstydzę przyznać

do tego. A pan wymawia się tak naiwnie! Czy nie czuje pan sam, jak to marnie jest okłamywać tak przyjaciół?

Chciałem odpowiedzieć, byłbym się nawet zdobył na odwagę i opowiedział jej całą historię z Józsim i Ferencem, ale rozkazała gwałtownie:

– Tylko bez żadnych nowych wykrętów!... Bez nowych kłamstw, tego nie wytrzymam! Przeładowana jestem kłamstwami do tego stopnia, że o mało nimi nie wymiotuję! Od rana do wieczora dają mi je co godzina po łyżeczce: „Jak dobrze dziś wyglądasz, jak doskonale dziś maszerujesz... naprawdę, już jest o wiele, wiele lepiej” – ciągle te same uspokajające pigułki od rana do wieczora i nikt nie widzi, że już się tym duszę. Czemu pan nie powie zwyczajnie: „Nie miałem wczoraj czasu czy chęci”. Przecież nie wzięliśmy abonamentu na pana, a nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, niż gdyby mi pan kazał powiedzieć przez telefon: „Dziś nie przyjdę, bo idę z kolegami do miasta...” Czy uważa mnie pan za tak naiwną, iż nie rozumiem, że pan musi mieć dosyć tej roli codziennego, dobroczyнного samarytanina albo że dorosły mężczyzna woli jeździć konno lub na swych zdrowych nogach chodzić na spacer... zamiast siedzieć przy cudzym fotelu? Jedno jest tylko dla mnie wstrętne i tego nie znoszę: wykrętów, oszustw i kłamstw – mam tego po szyję! Nie jestem tak głupia, jak wszyscy myślicie, i doskonale mogę znieść szczerłość. Wie pan, przed paru dniami przyjęliśmy nową kobietę, Czeszkę, do służby; dawna służąca umarła, a ta nowa zaraz pierwszego dnia – nikt jej tego nie powiedział – zauważyła, że wlokę się o kulach do mego fotela. Z przerażenia upuściła szczołkę do szorowania i wrzasnęła na cały głos: „O Jezu, co za nieszczęście, co za nieszczęście! Taka bogata, taka elegancka panienska... i kaleka!” Ilona rzuciła się na tę prawdomówną kobietę jak szalona i chciała biedaczkę natychmiast zwolnić ze służby. Ale mnie, mnie to ucieszyło, mnie dobrze zrobiło to jej przerażenie, bo było szczerze, ludzkie, bo rzeczywiście można się przerazić, gdy się nieprzygotowanym zobaczy taką rzecz. Zaraz dałam jej dziesięć koron, a ona pobiegła do kościoła, żeby się za mnie pomodlić... Przez cały dzień cieszyłam się, faktycznie cieszyłam się, że wiem nareszcie, co obcy człowiek naprawdę o mnie myśli, gdy widzi mnie po raz pierwszy... Ale wy... wy myślicie, w waszej bezrozumnej delikatności, że musicie mnie „oszczędzać”, i sądzą, że ta wasza przekłeta życzliwość dobrze mi robi. Czy myślicie, że nie mam oczu? Czy myślicie, że za waszą paplaniną i jakaniami nie czuję takiego samego strachu i niepewności, jak u tamtej poczciwej, a jedynie uczciwej kobiety? Myślicie, że nie widzę waszych zaskoczonych zakłopotanych spojrzeń, gdy biorę kule do rąk, i jak forsownie

podtrzymujecie rozmowę, abym tylko nic nie dostrzegła? Czy nie znam was na wylot? Tej waszej waleriany i cukru, cukru i waleriany, tego waszego obrzydliwego cackania się ze mną... Doskonale wiem, że za każdym razem oddychacie z ulgą, kiedy zamykacie za sobą drzwi i zostawiacie mnie samą jak trupa... Doskonale wiem, jak wzdychacie przy tym i przewracacie oczami: „To biedne dziecko”, a jednocześnie jesteście zadowoleni, jesteście sami z siebie zadowoleni, bo tak troskliwie poświęciliście temu biednemu, choremu dziecku godzinę czy dwie. Ale ja ofiar nie chcę! Nie chcę, abyście myśleli, że jesteście obowiązani do podawania mi codziennej porcji współczucia! Gwiżdżę na to wasze najlaskawsze współczucie, raz na zawsze zrzekam się współczucia! Jeżeli pan chce przyjść, to niech pan przyjdzie, a jeżeli nie, to nie! Ale uczciwie i bez żadnych kłamstw o remontach i próbowaniu koni! Nie mogę...nie mogę już znieść tych błag i tej waszej wstrętnej troskliwości!

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, nie panując nad sobą, szara na twarzy z płonącymi oczami. I nagle kurczowe napięcie minęło. Głowa jej z wyczerpania opadła na fotel, a krew dopiero po chwili zaczęła barwić drżące z podniecenia wargi.

– Tak – rzekła cichutko i jakby zawstydzona – to trzeba było kiedyś wypowiedzieć! A teraz skończone! Nie mówmy więcej o tym... Proszę mi dać... proszę mi dać papierosa.

Ale wówczas ze mną stało się coś dziwnego. Zasadniczo jestem dość opanowany i mam mocne ręce, ale niespodziewany ten wybuch tak mną wstrząsnął, że miałem uczucie, jakbym był sparaliżowany; nic w życiu jeszcze mnie tak nie zaskoczyło. Z trudem wyjąłem papierosa z papierośnicy i podałem go jej wraz z ogniem. Ale przy podawaniu zapalniczki palce drżały mi tak bardzo, że ledwie mogłem ją utrzymać, a płomień zadrgał i zgasł. Musiałem zapalić drugą zapalniczkę, ta również zachwiała się w niepewnej ręce, zanim się od niej zajął papieros Edyty. Musiała oczywiście dostrzec tę widoczną niezręczność, wynikłą z mego wzruszenia, toteż głosem zupełnie innym, zdziwionym i zaniepokojonym, spytała cicho:

– Co panu? Przecież pan drży... Co... co pana tak zirytowało? Cóż to wszystko pana obchodzi?

Mały płomień zapalniczki zgasł. Usiadłem bez słowa, ona zaś szepnęła zaskoczona.

– Jak można tak się przejmować moim głupim... gadaniem? Tatuś ma rację, pan jest rzeczywiście... bardzo... bardzo dziwnym człowiekiem.

W tejże chwili rozległ się za nami cichy szelest. Była to winda prowadząca na nasz taras. Kabina otworzyła się i wyszedł z niej Kekesfalva w swój zwykły nieśmiały sposób, jakby w poczuciu winy, które bez żadnego sensu zawsze go przygniatało, ilekroć się zbliżał do chorej.

Wstałem czym prędzej, aby go powitać. Odkłonił się jak gdyby stropiony i zaraz pochylił się nad Edytą, aby ucałować jej czoło. W dziwnym tym domu wszyscy wszystkich wyczuwali, starzec musiał więc natychmiast wyczuć między nami obojgiem niebezpieczne napięcie, toteż stanął ze spuszczoną głową. Zauważyłem, że najchętniej byłby uciekł z powrotem. Edyta pospieszyła z pomocą:

– Wyobraź sobie tatusiu, że pan porucznik po raz pierwszy widzi dziś nasz taras.

Potwierdziłem: „Tak jest, prześliczny tu widok”, zdając sobie sprawę natychmiast z tego, że powiedziałem frazes zawstydzająco banalny i urwałem. Aby ukryć zakłopotanie, Kekesfalva schylił się nad fotelem.

– Obawiam się, że wkrótce będzie tu już dla ciebie za chłodno. Może byśmy zeszli na dół?

– Owszem – zgodziła się Edyta.

Wszyscy uczyliśmy się ulgę, że mamy trochę nieważnych i odwracających uwagę zajęć: zapakowanie książek, owinięcie chorej szalem, potrząśnięcie dzwonkiem, jednym z wielu porozmieszczanych na stołach w całym domu. W dwie minuty później z szelestem przyjechała winda i Józef ostrożnie przesunął fotel z chora do kabiny.

– Zaraz przyjdziemy za tobą – skinął jej Kekesfalva z czułością – może przygotujesz się tymczasem do kolacji? Pospacerujemy przez ten czas z panem porucznikiem po ogrodzie.

Służący zamknął drzwi windy i fotel ze sparaliżowaną osunął się na dół, niby do grobu. Mimo woli obydwaj ze starcem odwróciliśmy się od tego widoku. Milczeliśmy obaj, lecz nagle poczułem, że pan Kekesfalva nieśmiało zbliżył się do mnie.

– Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, panie poruczniku, chciałbym z panem pomówić... to znaczy, jeżeli nie sprawi to panu przykrości... Możemy też... możemy pospacerować po parku.

– Ależ to zaszczyt dla mnie, szanowny panie – odparłem.

W tejże chwili nadjechała winda, aby nas zabrać na dół.

Zjechaliśmy i przeszliśmy w poprzek przez podwórze do administracji. Zwróciło moją uwagę, że pan Kekesfalva szedł ostrożnie, przyciśnięty do ściany, że starał się jakoś spłaszczyc, jak gdyby się obawiał, że będzie na czymś przychwycony. Mimo woli – przecież nie byłem niczemu winien – szedłem za nim takimiż cichymi, ostrożnymi krokami.

Przy końcu niskiego i niezbyt porządnie wybielonego budynku otwarły się drzwi; prowadziły do kantoru Kekesfalvy, niewiele lepiej urządzonego od mego własnego pokoju w koszarach: tandetne, zmurszałe i zniszczone biurko, stare poplamione trzciniowe fotele, na ścianie o porozdzieranych tapetach parę starych i widocznie od lat nie używanych zestawień. Stęchły zapach przypominał mi nasze własne rządowe biura. Na pierwszy rzut oka – ileż nauczyłem się rozumieć w ciągu kilku tych dni! – poznałem, że stary ten człowiek gromadzi cały luksus, wszelkie wygody tylko dla swego dziecka, a dla siebie skąpi wszystkiego jak chłop sknera. Po raz pierwszy zauważyłem także, ponieważ szedł przede mną, że zniszczony surdut świeci mu się na łokciach; widocznie nosił go już z dziesięć albo z piętnaście lat.

Kekesfalva przysunął mi szeroki, skórą obity fotel biurowy, jedyny wygodny sprzęt w pokoju.

– Niech pan siada, panie poruczniku, proszę, niech pan usiądzie – rzekł z pewną serdecznością, a zarazem z naciskiem, sam zaś, zanim zdażyłem mu pomóc, przyniósł sobie wątpliwej mocy trzciniowy fotel.

Usiedliśmy tuż obok siebie. Mógłby i powinien był teraz przemówić, ja zaś czekałem z pewnym niepokojem, bo o cóż mógł prosić mnie, biednego porucznika, ten bogaty człowiek, milioner? Kekesfalva trzymał jednak głowę uparcie zwieszoną, jak gdyby przyglądając się swym trzewikom. Słyszałem tylko jego oddech z pochylonej ku przodowi piersi; oddychał ciężko, z wysiłkiem.

Wreszcie starzec uniósł czoło pokryte kropelkami potu, zdjął zwilgotniałe okulary, a twarz jego bez połyskującej ochrony szkielec nabrała raptownie innego wyrazu, stając się jakby obnażona, uboższa i tragiczniejsza. Oczy jego, jak to często bywa u krótkowzrocznych, stały się bardziej zmęczone i matowe niż pod wzmacniającymi szklami. Widoczne było także wobec lekko zaczerwienionych powiek, że stary ten człowiek musiał zapewne mało i źle sypiać. Znów poczułem ów ciepły przyływ od wewnątrz –

wiedziałem już, że to objaw współczucia. Nagle wydało mi się, że nie siedzę naprzeciwko pana Kekesfalvy, lecz obok starego i strapionego człowieka.

– Panie poruczniku – zaczął odchrząknawszy, ale głos jakby mu zardzewiał i odmawiał posłuszeństwa – chciałbym prosić pana o wielką przysługę... Oczywiście, wiem, że nie mam prawa trudzić pana, przecież pan nas ledwo zna... zresztą, może pan odmówić... naturalnie, że może pan odmówić!... Prawdopodobnie jest to z mojej strony zarozumiałość, może nawet natarczywość, ale od pierwszej chwili nabrałem do pana zaufania. Od razu można wyczuć, że jest pan człowiekiem dobrym, skorym do pomocy. Tak, tak, tak – widocznie zrobiłem gest przeczenia – pan jest dobry. Coś w panu jest takiego, co dodaje odwagi, a niekiedy... mam wrażenie, iż został mi pan zesłany... – utknął, ja zaś pomyślałem, że chciał powiedzieć „od Boga”, lecz nie miał na to dość odwagi – że został mi pan zesłany jak ktoś, z kim mogę mówić otwarcie... nie jest to wielka rzecz, o którą chciałem prosić... Ale... ja tak mówię i mówię, a wcale nie spytałem, czy chce mnie pan słuchać?

– Ależ oczywiście.

– Dziękuję panu... gdy się jest starym, wystarcza tylko spojrzeć na człowieka, aby go poznać na wylot... Ja wiem, co to znaczy dobry człowiek, wiem dzięki mojej nieboszczce żonie... Gdy umarła, było to moje pierwsze nieszczęście, a mimo to powtarzam sobie dzisiaj, iż może lepiej się stało, że nie musi patrzeć na nieszczęście naszego dziecka... nie wytrzymałaby tego. Wie pan, gdy to się przed pięciu laty stało... zrazu nie wierzyłem, że się to przeciągnie... Jak można sobie wyobrazić, aby dziecko, które jak wszystkie inne biega, bawi się i kręci jak bąk... nagle... hm... że... nagle wszystko to miałyby się skończyć... skończyć na zawsze! A przecież wyrosłem w czci dla lekarzy. W gazetach czytuje się, jakie to potrafią zdziałać cuda: umieją zeszywać serca, transplantować oczy... Więc wierzyłem, oczywiście, że potrafią rzecz najprostszą na świecie: dziecko... dziecko zdrowo urodzone, dziecko, które nigdy nie chorowało, szybko uleczyć. Dlatego z początku wcale nie byłem przerażony, gdyż nie wierzyłem jeszcze, ani na sekundę nie wierzyłem, aby Bóg mógł uczynić coś tak strasznego, aby dziecko, niewinne dziecko, na całe życie dotknął kalectwem... Ach, gdyby to mnie się zdarzyło – dość mnie nogi po świecie nosiły! Cóż mi jeszcze potrzeba?... Przecież nie byłem dobrym człowiekiem, zrobiłem wiele złego... a także... Lecz o czymże to przed chwilą mówiłem? Tak, tak, więc... gdyby to uderzyło we mnie, jeszcze bym zrozumiał, ale jakże Bóg mógł uderzyć obok w istotę niewłaściwą, w niewinną!... Jakże można pojąć, że człowiek żyjący, że dziecko... ma nagle nogi

obumarłe? „Bakcyl, jakieś «nic», – powiedzieli doktorzy i myśla, że tym coś pomogli... Ale to przecież tylko słowa, wykręty, a prawdą jest, że dziecko leży, że ciało ma bezwładne, że nie może ani chodzić, ani się ruszać, że jest bezradne... Przecież tego nie można zrozumieć! – Gwałtownie starł sobie wierzchem dłoni pot z mokrych, rozwichrzonych włosów.

– Naturalnie zapytywałem wszystkich doktorów... Jeździliśmy wszędzie, gdzie mieszka jakaś znakomitość... Sprowadzałem wszystkie sławy do nas... Badali, rozmawiali po łacinie, dyskutowali i odbywali konsylia, jeden próbował tego, a drugi tamtego, potem mówili, że „mają nadzieję i spodziewają się”, brali pieniądze i odchodzili, a wszystko pozostawało po dawnemu. To jest, trochę się polepszyło, właściwie nawet polepszyło się wybitnie. Przecież dawniej musiała bez ruchu leżeć na plecach i miała sparaliżowane całe ciało... Teraz przynajmniej ręce i górna część tułowia są normalne, może więc chodzić o kulach... Trochę jest lepiej, właściwie nawet o wiele lepiej, nie powinienem być niesprawiedliwy! Ale całkowicie nie pomógł żaden... Wzruszali ramionami i mówili: „Cierpliwości, cierpliwości, cierpliwości...” Jeden jedyny z nią wytrzymał: doktor Condor... Nie wiem, czy pan kiedykolwiek o nim słyszał. Przecież pan także pochodzi z Wiednia.

Zaprzeczyłem. Nigdy tego nazwiska nie słyszałem.

– Oczywiście, skąd by je miał pan znać, przecież pan jest człowiekiem zdrowym, a on nie należy do tych, którzy się troszczą o reklamę... Zresztą, on nie jest profesorem ani nawet docentem... Nie przypuszczam też, żeby miał dużą praktykę... to znaczy, on jej nie szuka. To bardzo dziwny, bardzo niezwykły człowiek. Nie wiem, czy dobrze to panu wyjaśnię. Nie interesują go przypadki zwykłe, takie, które każdy lekarz w uzdrowisku może mieć w swej praktyce... Zajmują go tylko wypadki ciężkie, takie, wobec których inni lekarze przechodzą wzruszając ramionami. Oczywiście, że ja, niewykształcony człowiek, nie mogę twierdzić, jakoby doktor Condor był lepszym lekarzem niż inni... Wiem tylko, że jest lepszym niż inni człowiekiem. Po raz pierwszy zobaczyłem go wtedy, gdy chora była moja żona, i widziałem, jak o nią walczył... On jedyny do ostatniej chwili nie chciał się poddać i wtedy wyczułem, że ten człowiek żyje i umiera z każdym chorym. Ma on – nie wiem, czy dobrze się wyrażam – ma on jakąś pasję, aby być mocniejszym od choroby... Nie tak jak inni, mający wyłącznie ambicje, aby zarobić pieniądze i zostać profesorem czy radcą. Nie myśli o chorobie ze stanowiska swojego, lecz stara się wejść w położenie pacjenta... Och, to wspaniały człowiek! – Starzec rozgrzał się: oczy jego, dotąd zmęczone, nabrały gorączkowego

blasku. – Wspaniały człowiek, mówię panu, człowiek który chorego nie opuszcza. Dla niego każdy przypadek to zobowiązanie... nie wiem, nie potrafię tego tak dobrze wyjaśnić... ale ma się uczucie, jak gdyby czuł się za każdym razem winny, jeżeli nie może choremu przynieść ulgi... jak gdyby on sam czuł się winnym... I dlatego – nie uwierzy pan, ale przysięgam, że to prawda – pewnego razu miał przypadek... i nie udało mu się to, co chciał osiągnąć... To była ślepnąca kobieta, a przyrzekł jej, że będzie widziała... i kiedy jednak oślepla całkowicie, ożenił się z nią. Niech pan pomyśli! Ożenił się, on, młody człowiek, z kobietą o siedem lat od niego starszą, nieładną, bez pieniędzy, histeryczką, która teraz ciąży mu i nawet nie jest wdzięczna. Prawda, że to wykazuje, jakim człowiekiem jest doktor Condor, toteż pan rozumie, jak jestem szczęśliwy, że znalazłem kogoś... człowieka, tak troszczącego się o moje dziecko. Pomyślałem też o nim w moim testamencie... Jeżeli ktokolwiek może jej pomóc, to tylko on. Oby Bóg dał! Oby Bóg dał!

Starzec złożył ręce jak do modlitwy. Potem nagłym ruchem przysunął się do mnie.

– A teraz niech pan posłucha, panie poruczniku. Chciałem pana o coś prosić. Powiedziałem już panu, jakim głęboko współczującym człowiekiem jest doktor Condor. Ale widzi pan, rozumie pan... właśnie to, że jest taki dobry, niepokoi mnie... Ciągłe się obawiam, rozumie pan... obawiam się, że ze względu na mnie całej prawdy mi nie mówi... Całej prawdy!... Ciągłe obiecuje i pociesza, że będzie z pewnością lepiej, coraz lepiej, że dziewczyna zupełnie wyzdrowieje. Ale zawsze, gdy go zaczynam wypytywać, kiedy to będzie i jak długo może jeszcze trwać, wykręca się i mówi tylko: „Cierpliwości, cierpliwości! Przecież trzeba mieć pewność...”. Jestem starym, chorym człowiekiem i muszę wiedzieć, czy jeszcze dożyję tej chwili, gdy Edyta w ogóle będzie zdrowa, zupełnie zdrowa. Nie, proszę mi wierzyć, panie poruczniku, nie mogę tak dłużej żyć... muszę wiedzieć, nie zniosę dłużej tej niepewności!

Wstał targany wzburzeniem i gwałtownymi, szybkimi krokami zbliżył się do okna. Znałem to już: ilekroć napływały mu łzy do oczu, zawsze ratował się takim nagłym odwrotem. Nie chciał litości – jakżeż był w tym podobny do córki! Niezręcznie prawą ręką pomacał z tyłu w kieszeni smętnego czarnego surduta, wyjął chustkę i udał, że ociera pot z czoła, ale widziałem najwyraźniej zaczerwienione powieki. Dwa czy trzy razy przeszedł się po pokoju: coś stękało i pojękiwało – nie wiadomo, czy spróchniałe deski

pod jego krokami, czy on sam, zmęczony, stary człowiek. Niby pływak przed skokiem nabrał głęboko oddechu.

– Proszę wybaczyć... nie o tym miałem mówić... Cóż to ja chciałem? Aha... Jutro znowu doktor Condor przyjedzie z Wiednia, zamówił się telefonicznie... Przyjeżdża regularnie co dwa, trzy tygodnie, aby Edytę zbadać. Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie wypuściłbym go od nas... przecież mógłby tu w domu mieszkać, a zapłaciłbym mu każdą sumę. Ale mówi, że potrzebna mu pewna perspektywa w obserwacji... pewna perspektywa, aby... Co to ja chciałem powiedzieć? Aha, już wiem... więc jutro przyjedzie i po południu zbada Edytę; zostaje wtedy zawsze na kolacji i nocnym kurierem wraca do Wiednia. Więc pomyślałem sobie, że może by ktoś zupełnie obcy, ktoś nie zainteresowany, ktoś, kogo on w ogóle nie zna, przypadkowo... zapytał go, jak ma się sprawa z tym paralizem... Czy sądzi, że dziewczyna jeszcze kiedyś w ogóle będzie zdrowa, całkiem zdrowa. Słyszy pan: całkiem zdrowa... i jak myśli, czy to będzie jeszcze długo trwało. Mam takie wrażenie, że panu by nie skłamał... Przecież nie ma powodu oszczędzać pana, panu może spokojnie powiedzieć całą prawdę... Może go coś w stosunku do mnie krępuje, bo jestem jej ojcem, starym, chorym człowiekiem, a przy tym wie, że mi to rozdziera serce. Ale nie wolno się panu zdradzić, że pan ze mną o tym rozmawiał... Całkiem przypadkowo musi pan zacząć rozmowę, jak zwykle, kiedy się wypyujemy doktora o stan chorej... Czy zrobi to pan... czy zrobi pan to dla mnie?

Jakżeż mogłem się wahać? Przede mną siedział ze łzami w oczach stary człowiek, czekający na moje „tak” jak na znak sądu ostatecznego. Oczywiście, że wszystko mu przyrzekłem. Nagłym ruchem wyciągnęliśmy do siebie ręce.

– Wiedziałem od razu... już wtedy, gdy pan powrócił do nas i taki był dobry dla mojego dziecka po tym... no, wie pan przecież!... Wtedy od razu wiedziałem, że jest pan człowiekiem, który mnie zrozumie... tylko pan, wyłącznie pan zapyta doktora. A przyrzekam panu, przysięgam panu, nikt o tym się nie dowie... ani przedtem, ani potem, ani Edyta, ani Ilona.... Tylko ja, tylko ja będę wiedział, jak wielką oddał mi pan przysługę.

– Ależ to nic trudnego... przecież to drobnostka!

– Nie, to nie drobnostka... To bardzo duża, to ogromna przysługa, jaką mi pan oddaje. A jeżeli – zgarbił się i nawet głos mu nieśmiało przycichł – jeżeli kiedyś będę mógł z mojej strony... coś dla pana zrobić... Może pan...

Widocznie zrobiłem przestraszony ruch (czyżby chciał mi zapłacić?), bo dodał jakąś się, co zawsze zdradzało u niego mocne zdenerwowanie:

– Nie, niech mnie pan źle nie zrozumie... Nie myślę... nie myślę o niczym materialnym... myślę tylko... myślę... że mam stosunki... znam mnóstwo osób w ministerstwach, również w ministerstwie spraw wojskowych... A przecież to nie szkodzi, gdy ma się w dzisiejszych czasach kogoś, na kogo można liczyć... Tylko to oczywiście myślałem. Dla każdego może przyjść taka chwila. Tylko to... tylko tyle chciałem powiedzieć.

Nieśmiałe zakłopotanie, z jakim zaofiarował mi swą pomoc, zawstydziło mnie głęboko. Przez cały czas na mnie nie patrzył, wzrok miał skierowany w dół, na swoje ręce. Dopiero teraz niespokojnie podniósł oczy, namacał odłożone okulary i włożył je drżącymi rękami.

– Może byłoby lepiej – szepnął – żebyśmy teraz poszli, w przeciwnym razie Edyta zauważy, że nie ma nas tak długo. Niestety trzeba się z nią mieć stale na baczności! Od czasu gdy jest chora, ma... ma jakoś więcej wyostrzone zmysły niż my wszyscy. Siedząc u siebie w pokoju, wie wszystko, co się w domu dzieje... wszystko odgaduje, zanim jej ktoś powie... Mogłaby... Dlatego proponuję, abyśmy teraz przeszli do niej, zanim zacznie coś podejrzewać.

Poszliśmy do domu. W salonie czekała już Edyta na swoim fotelu. Gdy weszliśmy, podniosła na nas przenikliwe, szare oczy, jak gdyby chciała z naszych spuszczonej twarzy wyczytać, o czym mówiliśmy. A ponieważ nic o tym nie napomykaliśmy, była przez cały wieczór zastanawiająco małomówna i zamyślona.

Nazwałem „bagatelką” życzenie pana Kekesfalvy, które zobowiązywało mnie do wypytania nieznanego lekarza w sposób jak najmniej zwracający uwagę o możliwości wyzdrowienia sparaliżowanej pacjentki i właściwie, obiektywnie biorąc, był to trud rzeczywiście nieznaczny. Ale nie potrafię wyjaśnić, czym było dla mnie niespodziane to zlecenie. Przecież nic tak nie podnosi w młodzieńcu pewności siebie, nic nie przyczynia się tak do uformowania charakteru, jak niespodziane postawienie go wobec zadania, które rozwiązać może tylko przy pomocy własnej inicjatywy i własnymi siłami. Oczywiście, nieraz już miewałem do spełnienia poważne zadania, ale zawsze były to sprawy służbowe, wojskowe polecenia, które na rozkaz moich przełożonych musiałem wykonać w ściśle wyznaczonym zakresie: komen-

derowanie szwadronem, prowadzenie transportu, zakup koni lub załagodzenie zatargu wśród żołnierzy. Wszystkie jednak takie rozkazy oraz ich przeprowadzanie ograniczały się do terenu urzędowego. Związane były z pisanymi lub drukowanymi instrukcjami, a w razie wątpliwości wystarczyło zwrócić się do starszego i doświadczonego kolegi, aby móc spełnić rozkaz jak najdokładniej. Prośba Kekesfalvy nie dotyczyła jednak oficera, lecz mego niezbyt mi jeszcze znanego „ja”, którego zdolności oraz granic wydolności jeszcze nie odkryłem. A fakt, że ten obcy człowiek wybrał w potrzebie właśnie mnie zamiast kogoś z przyjaciół czy znajomych, że miał do mnie zaufanie, uszczęśliwiał mnie więcej niż jakakolwiek dotychczas pochwała ze strony przełożonych lub kolegów.

Co prawda do uczucia zadowolenia mieszało się też zakłopotanie, gdyż znów się okazywało, jak gnuśny i niedbały był dotąd mój udział w życiu przyjaciół. Jakżeż mogłem przez całe tygodnie bywać w tym domu i nie zadać pytania najnaturalniejszego, najistotniejszego: czy biedactwo będzie już na zawsze sparaliżowane? Czy sztuka medyczna nie znajdzie lekarstwa na bezwład jej ciała? Wstyd nie do zniesienia, ani razu nie zapytałem się o nic Ilony, ani ojca, ani naszego lekarza pułkowego; fatalistycznie przyjąłem fakt sparaliżowania za coś dokonanego i dlatego niepokój, od lat dręczący jej ojca, przeszył mnie jak strzała. Co by to było, gdyby ten lekarz rzeczywiście wyzwolił ją z tych cierpień! Gdybyż to biedne, skrupowane stworzenie mogło znowu swobodnie chodzić! Gdybyż ta istota przez Boga tak gorzko doświadczona mogła znów latać, znów biegać po schodach, gonić własny śmiech! Myśl o tej możliwości opanowała mnie jak upojenie; jakaż rozkoszą było wyobrażenie sobie, że we dwoje, we troje moglibyśmy galopować, że zamiast czekać na mnie w swym więzieniu, witałaby mnie już w bramie i towarzyszyła na spacerach! Niecierpliwie liczyłem teraz godziny, aby wybadać obcego doktora, niecierpliwiej może od samego Kekesfalvy; żadne zadanie własnego życia nie było mi ważniejsze.

Wcześniej zatem niż zazwyczaj (specjalnie dlatego się zwołałem) przyszedłem nazajutrz do pałacu. Przyjęła mnie tym razem Ilona sama. Przyjechał lekarz z Wiednia, wyjaśniła mi, siedzi teraz u Edyty i, jak się zdaje, bardzo gruntownie ją bada. Jest tu już przeszło dwie godziny, a prawdopodobnie Edyta będzie później zanadto zmęczona, aby zejść; muszę się więc zadowolić nią samą, o ile – dodała – nie mam oczywiście nic lepszego do roboty.

Zrozumiałem ku mej radości (zawsze pychę napęła przekonanie, że się ma jakąś tajemnicę), iż Kekesfalva rzeczywiście nie wtajemniczył jej w naszą umowę. Naturalnie pozostałem. Zagraliśmy w szachy, aby spędzić czas, i minęło parę godzin, zanim usłyszeliśmy wyczekiwane kroki w przyległym pokoju. Wreszcie wszedł doktor Condor zajęty ożywioną rozmową z Kekesfalwą, ja zaś musiałem się opanować, aby nie okazać zdziwienia, bo pierwsze wrażenie, gdy stanąłem przed doktorem Condorem, było wielkim zawodem. Kiedy o człowieku, którego jeszcze nie znamy, opowiadają nam dużo ciekawego, nasza wizualna fantazja zawsze przecież maluje nam jego wizerunek, zużywając nań rozrzutnie swój najkosztowniejszy i najbardziej romantyczny materiał wspomnień! Aby sobie wyobrazić genialnego lekarza, za jakiego mi Kekesfalva podał Condora, trzymałem się owych schematycznych cech, z których pomocą przeciętny reżyser oraz teatralny fryzjer przedstawiają „doktora”: uduchowiona twarz, bystre i przenikliwe oczy, pewna siebie postawa, błyskotliwa, rozumna mowa, padamy zawsze nieuchronnie ofiarą przekonania, że przyroda jakąś specjalną cechą już na pierwszy rzut oka wyróżnia nieprzeciętnego człowieka.

Przykro mnie więc uderzyło, gdy musiałem się niespodziewanie uklonić krępemu, krótkowzrocznemu i łysemu panu w pogniecionym, szarym, przyprószonym popiołem ubraniu oraz źle związanym krawacie; miast wymarzonego przeze mnie, surowego, zdecydowanego wzroku musnęło mnie zza tanich binokli w stalowej oprawie – niedbałe, raczej zaspane spojrzenie. Zanim Kekesfalva poznał nas ze sobą, Condor podał mi małą wilgotną rękę i zaraz się odwrócił, aby ze stolika z przyborami do palenia wziąć papierosa. Leniwie się przy tym przeciągał.

– No, załatwione! Ale muszę się przyznać, drogi przyjacielu, że jestem strasznie głodny; dobrze by było, gdybyśmy zaraz coś dostali do jedzenia. Jeżeli obiad niegotowy, mógłby mi Józef przynieść jakąś drobnostkę, kanapkę albo coś takiego. – I rozwalił się w fotelu. – Za każdym razem zapominam, że w kurierze popołudniowym nie ma wagonu restauracyjnego. Ach, ta prawdziwa austriacka obojętność! O, doskonale! – przerwał szybko, wstając, gdyż służący rozsunał drzwi do jadalni. – Na twojej punktualności, Józefie, można polegać. Za to ucieszę dziś waszego kucharza. Przez ten przekłety pośpiech nawet jeszcze dziś obiadu nie jadłem.

Jednocześnie ciężko ruszył z miejsca, zasiadł przy stole nie czekając na nikogo, wetknął serwetę za kołnierz i zaczął szybko – według mnie nieco za głośno – jeść zupę. W czasie tego zajęcia ani do mnie, ani do Kekesfalwy nie

wyrzekł ani słowa. Interesowało go widocznie tylko jedzenie, a krótkowzroczne oczy badały jednocześnie butelki win.

– Świetne to wasze czerwone, zwłaszcza z 79-go! Popijałem je ostatnim razem. Choćby dla niego warto tu do was przyjeżdżać. Nie, Józefie, jeszcze nie, wolę przed tym szklanę piwa... Tak, dziękuję.

Jednym, długim haustem opróżnił szklanę i nabrawszy sobie na talerz kilka potężnych kawałów ze spiesznie podanego półmiska, zaczął z satysfakcją żuć mięso. Ponieważ wydało mi się, iż w ogóle nie dostrzega naszej obecności, miałem dość czasu, aby z boku przyjrzeć się jedzącemu. Z uczuciem zawodu skonstatowałem, że ten sławny człowiek ma szeroką, mieszczańską twarz, która przypomina księżyc w pełni, a którą drobne wypukłości i krostki pokrywały nierównościami, że ma perkaty nos, wystająca brodę, czerwone policzki, przyciemnione mocnym zarostem i krótką, grubą szyję; wiedeńczycy nazywają takiego dobrodusznego, mrukliwego żarłoka „misiem”. Właśnie wygodnie się rozsiadł i do połowy rozpiął pogniecioną kamizelkę. Jego obojętna, wygodna pozycja i sposób żucia zaczynały mnie stopniowo irytować. Może dlatego, że sobie przypomniałem, z jak uprzedzającą grzecznością przy tymże stole traktował mnie pułkownik i ów fabrykant, a może dlatego, iż rodziła się we mnie pewna wątpliwość, czy od takiego żarłoka i pijusa, który stale najpierw podnosił wino pod światło, zanim je mlaszcząc skosztował, zdołam wyciągnąć dokładną odpowiedź na tak poufne pytanie.

– No, co tu u was nowego w okolicy? Jak tam żniwa? Nie było za sucho podczas ostatnich tygodni, nie za gorąco? Czytałem coś o tym w gazecie. A co słyhać w fabryce? Znowu podbijacie ceny w kartelu cukrowym?

Takimi niedbałymi i chciałoby się powiedzieć leniwymi pytaniami, nie wymagającymi właściwie dokładnej odpowiedzi, przerywał sobie Condor od czasu do czasu spieszne żucie i połykanie. Wydawało mi się, że mojej obecności uporczywie nie dostrzegał i jakkolwiek słyszałem już rozmaite rzeczy o typowej ordynarności medyków, zbudziła się we mnie pewnego rodzaju złość na tego dobrodusznego grubianina; z irytacji nie przemówiłem ani słowa. Natomiast jego nie interesowała absolutnie nasza obecność, a kiedy przeszliśmy wreszcie do salonu, gdzie czekała już czarna kawa, rzucił się z zadowolonym stęknieniem właśnie na fotel Edyty, wyposażony w specjalne udogodnienia: ruchomą półkę do książek, popielniczki i poręcze do przestawiania. Ponieważ złość dodaje człowiekowi nie tylko uszczypliwości, ale i bystrości, nie mogłem się oprzeć, by nie stwierdzić z pewnym

zadowoleniem, że rozparty w fotelu wygodniś ma krótkie nogi w opadających skarpetkach i tłusty, duży brzuch. Aby mu dać do zrozumienia, jak mało mi zależy na bliższej z nim znajomości, odwróciłem swój fotel w taki sposób, że właściwie usiadłem tyłem do niego. Okazał jednak całkowitą obojętność zarówno wobec mojego ostentacyjnego milczenia, jak wobec nerwowego chodzenia Kekesfalvy po pokoju. (Starzec bez ustanku uwijał się koło niego, aby mu jak najwygodniej ustawić cygara, zapalniczkę i koniak). Condor wyjął sobie z pudełka od razu trzy importowane cygara i dwa położył jako rezerwę przy filiżance z kawą, a jakkolwiek wygodny fotel usłużnie dopasował się do jego ciała, wydawało się, że doktorowi wciąż jeszcze nie jest dość wygodnie. Kręcił się i wiercił, dopóki nie znalazł najdogodniejszej pozycji. Dopiero gdy wypił drugą filiżankę kawy, odetchnął błogo jak nasycone zwierzę. „Wstrętny, obrzydliwy!” – pomyślałem. A Condor wyciągnął się nagle na całą długość i zamrugął ironicznie w stronę Kekesfalvy.

– No, wygląda pan jak zdjęty z krzyża i pewnie mi źle życzy w powodu tego cygara, bo nie może się pan doczekać, abym wreszcie złożył raport. Ale zna mnie pan przecież i wie, że nie lubię mieszać jedzenia z medycyną, a zresztą byłem rzeczywiście taki głodny, taki zmęczony... Od wpół do ósmej rano bez ustanku jestem na nogach i tak się już czułem jakbym nic nie miał nie tylko w żołądku, ale i w głowie. Więc (powoli zaciągnął się cygarem i wypuścił błękitny dym małymi kólkami) więc, kochany panie, zaczynajmy! Wszystko jest dobrze. Ćwiczenia w chodzeniu, ćwiczenia w wyciąganiu nóg – wszystko doskonale. O mały włos może nawet lepiej niż ostatnio. Możemy być, jak mówię, całkiem zadowoleni. Tylko (znów zaciągnął się cygarem) w ogólnym stanie... w tym, co nazywamy psychiką, znalazłem dziś... ale proszę, niech się pan zaraz nie przeraża, drogi panie, znalazłem dziś pewne zmiany.

Pomimo ostrzeżenia Kekesfalva przeraził się bezgranicznie. Widziałem, że łyżeczka, którą trzymał w ręku, zaczęła drżeć.

– Zmiany?... Co pan przez to rozumie? Jak to... zmiany?

– No, zmiany to znaczy zmiany! Przecież nie powiedziałem, drogi panie pogorszenie. Niechże mi pan nic nie wmawia i niczego nie stara się w moich słowach doszukać. Na razie jeszcze sam nie wiem dokładnie, co się stało... ale coś się zmieniło.

Starzec trzymał nadal łyżeczkę w ręku, widocznie nie mając siły, aby ją położyć.

– Co... co się zmieniło?

Doktor Condor podrapał się po głowie.

– Hm, żebym to ja wiedział! W każdym razie niech się pan uspokoi. Mówimy przecież po akademicku i bez blagi, toteż wolę panu jeszcze raz powiedzieć zupełnie jasno: zmieniony wydał mi się nie obraz chorobowy, lecz coś w niej samej. Coś, sam nie wiem co, ale coś jej dzisiaj było. Po raz pierwszy miałem wrażenie, iż jakoś wymknęła mi się z rąk (pociągnął cygaro i przenikliwie spojrzał małymi, bystrymi oczkami na Kekesfalwę). Wie pan, najlepiej, żebyśmy się do tej sprawy zabrali od razu uczciwie. Nie potrzebujemy krępować się siebie i możemy grać w otwarte karty. A więc... niechże mi pan powie drogi panie – ale proszę szczerze i otwarcie – czy powodowani tą waszą ciągłą niecierpliwością nie wezwaliście innego lekarza? Czy podczas mojej nieobecności ktoś inny nie badał albo nie leczył Edyty?

Kekesfalwa zerwał się, jak gdyby go ktoś obwinił o potworność.

– Ależ na litość Boską, panie doktorze, przysięgam panu na życie mego dziecka...

– No, już dobrze, dobrze... tylko bez przysięg! – Przerwał mu szybko Condor. – I tak panu wierzę. Skończone! Omyliłem się! Fałszywa diagnoza! Zdarza się to nawet radcom i profesorom. Głupia historia... A byłbym przysięgł, że... No, to widocznie coś innego... dziwne, bardzo dziwne... bardzo, bardzo dziwne... Pan pozwoli przecież? – Nalał sobie trzecią filiżankę kawy.

– Ale co jej jest? Co się zmieniło? Jakie jest pańskie zdanie? – wyjąkał stary człowiek wyschniętymi wargami.

– Drogi panie, doprawdy trudno z panem mówić. Wszelki niepokój jest zbyteczny, daję słowo, słowo honoru. Gdyby to było coś poważnego, nie mówiłbym o tym przy obcym... przepraszam pana, panie poruczniku, nie chciałbym pana oczywiście dotknąć, tylko tak, w ogóle... Nie mówiłbym więc o tym, siedząc tak wygodnie w fotelu i pijąc pański dobry koniak. Doprawdy wyśmienity koniak!

Rozparł się i na chwilę przymknął oczy.

– Tak, niełatwo wythumaczyć na poczekaniu, co się w niej zmieniło. Niełatwo, bo cała ta sprawa leży gdzieś na dolnej albo górnej peryferii wythumaczalnego. Ale jeżeli przypuszczałem początkowo, że obcy doktor wmieszał mi się do leczenia – nie, już teraz tego nie przypuszczam, panie Kekesfalva, przysięgam panu, że nie! – to dlatego, że dziś po raz pierwszy coś między mną a Edytą źle funkcjonowało; nie było normalnego kontaktu... Niech pan poczeka... może zdołam to wyrazić jaśniej. Otóż podczas dłuższego leczenia powstaje nieodzownie między lekarzem a pacjentem pewien kontakt... Może nazwanie tego stosunku kontaktem jest już zbyt dosadne, gdyż ostatecznie kontakt oznacza coś cielesnego, jakiś dotyk. W tego rodzaju stosunku zaufanie przedziwnie łączy się z nieufnością, jedno walczy z drugim: przyciąganie i odpychanie, a oczywiście zmienia się to za każdym razem; do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Niekiedy doktor wydaje się pacjentowi inny, a niekiedy pacjent doktorowi, niekiedy rozumieją się samym spojrzeniem, a niekiedy mówią różnymi językami... Tak, tak, bardzo dziwne są to rzeczy, nie można ich ująć, a jeszcze mniej wymierzyć. Najlepiej wyjaśnię to panu na przykładzie, choćby miał to być przykład wulgarny. Więc z pacjentem sprawa ma się tak jak z panem, gdy po parodniowej nieobecności siada pan do swej maszyny do pisania i wydaje się panu, że pozornie wcale nie jest zmieniona, że działa doskonale jak zwykle; a mimo to czuje pan coś, czego nie umiałby pan określić: ktoś inny na niej pisał. Albo pan, panie poruczniku, zauważy pan bezsprzecznie, że coś się zmieniło w koniu, którego pan na dwa dni komuś pożyczył; coś jest innego w chodzie, w postawie, jakoś dziwnie wymknął się panu z rąk i prawdopodobnie nie potrafiłby pan zdefiniować tak samo, po czym się to właśnie poznaje, tak nieuchwytnie są te zmiany... Wiem, że nie jest to porównanie właściwe, bo stosunek lekarza do pacjenta jest oczywiście o wiele subtelniejszy. Powiedziałem już panom, że byłbym w dużym kłopotcie, gdybym musiał jasno wythumaczyć, co się od ostatniego razu w Edycie zmieniło, ale coś – a napęłnia mnie goryczą, że nie mogę tego uchwycić – coś się stało, coś się w niej zmieniło.

– Ale jakże... w czym się to objawia? – wysapał Kekesfalva.

Widziałem, że wszystkie zapewnienia Condora nie były w stanie go uspokoić i czoło mu zwilgotniało.

– Jak się objawia? Och, w drobnostkach, w bagatelkach. Już przy próbach wyciągania nóg dostrzegłem w niej pewien opór w stosunku do mnie; zanim rozpocząłem właściwe badania, już się zbuntowała: „Nie

potrzeba, nic się nie zmieniło!” A przecież dotychczas czekała zawsze niecierpliwie na moje orzeczenie. Potem, kiedy zaproponowałem specjalne ćwiczenia, zaczęła robić głupie uwagi: „Ech, to przecież i tak nic nie pomoże!” albo: „I to także do niczego nie doprowadzi!” Uznaję – tego rodzaju uwagi nie mają znaczenia – uznaję humor i podrażnione nerwy, ale jak dotąd, drogi panie, Edyta nigdy jeszcze nic podobnego mi nie powiedziała. No, może oczywiście był to tylko zły humor... To się przecież może zdarzyć każdemu.

– Ale... na gorsze chyba się nie zmieniło?

– Ileż razy mam panu jeszcze dać słowo honoru? Gdyby się stało coś złego, byłbym przecież jako lekarz tak samo zaniepokojony jak pan, ojciec, a przecież pan widzi, że jestem zupełnie spokojny. Przeciwnie, takie buntowanie się przeciwko mnie właśnie mi się podoba. Zgadzam się, pańska córeczka jest drażliwsza, gwałtowniejsza i niecierpliwsza niż przed paru tygodniami – pewno i pan ma niejedną orzech do zgryzienia – ale tego rodzaju rewolta wykazuje z drugiej strony pewne wzmocnienie jej woli, jej chęci wyzdrowienia. Im silniejszy jest organizm, im normalniej zaczyna funkcjonować, tym gwałtowniej oczywiście pragnie zmóc wreszcie chorobę. Niech mi pan wierzy, wcale tak nadmiernie, jak pan przypuszcza, nie lubimy tych grzecznych, posłusznych pacjentów. Pomagają oni lekarzom z własnej woli bardzo mało. Energiczny i nawet buntowniczy opór chorego widzimy bardzo chętnie, bo w jakiś dziwny sposób takie pozornie bezsensowne reakcje osiągają więcej efektu niż nasze najmądrzejsze lekarstwa. A więc powtarzam raz jeszcze: wcale nie jestem niespokojny. Gdyby obecnie na przykład trzeba było rozpocząć jakiś nowy rodzaj kuracji, można by zaryzykować każdy wysiłek Edyty. Może by nawet była teraz właściwa chwila, żeby wyzyskać siły psychiczne, które w jej wypadku są tak decydujące. Nie wiem – podniósł głowę i spojrzał na nas – czy panowie mnie rozumiecie.

– Naturalnie – powiedziałem mimo woli.

Było to pierwsze słowo, jakie do niego wyrzekłem. Wszystko, co mówił, wydało mi się oczywiste i jasne.

Ale pan Kekesfalva nie wyrwał się jeszcze ze swego zamyślenia. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Poczulem, że wyjaśnień, które Condor nam dał, w gruncie rzeczy starzec nie rozumiał, bo zrozumieć nie chciał, bo z napiętą uwagą i strachem wyczekiwał jedynie decyzji: czy córka jego będzie zdrowa? Czy będzie zdrowa wkrótce i kiedy?

– Jaka kurację? – jękał się i zacinał jak zawsze, ilekroć był wzburzony.
– Jaka nową kurację?... Przecież pan mówił coś o jakiejś kuracji... Jaka nową kurację chciałby pan zastosować?

Dostrzegłem od razu, że uchwycił się wyrazu „nowa”, bo spoczywała w tym jego nadzieja.

– Proszę pozostawić mnie, drogi przyjacielu, co zastosuję i kiedy zastosuję. Tylko nie nalegać i nie wymuszać siłą niczego, co się wyczarować nie da! Wasz przypadek, jak się to tak nieprzyjemnie u nas mówi, jest i pozostanie moją największą troską. Ale damy sobie z nim radę.

Starzec patrzył przed siebie bez słów, strapiiony. Widziałem, z jakim trudem się opanowywał, aby nie zadać znów jakiegoś bezsensownego, a natarczywego pytania. Condor również musiał wyczuć ten milczący i ciężki nastrój, gdyż nagle wstał.

– No, dość na dzisiaj, prawda? Opowiedziałem panu moje wrażenia, a wszelka dalsza rozmowa byłaby pustą gadaniną i błagą. Nawet gdyby Edyta w najbliższym czasie stała się jeszcze bardziej drażliwa, proszę się tym nie przerażać; już ja wyszperam, jaka to śrubka w niej się rozkręciła. Ma pan tylko jedno zadanie: nie kręcić się przy chorej stale z takim strachem i niepokojem! A poza tym pilnować własnych nerwów, wygląda pan na dość wyczerpanego, a obawiam się, że tym ciągłym dociekaniem i dręczeniem siebie samego zmarnuje się pan więcej, niż wolno to panu uczynić wobec stanu tego dziecka. Najlepiej niech pan zacznie zaraz od dzisiaj – proszę się wcześniej położyć. Zażyć przed snem parę kropel waleriany i być jutro wypoczętym. To wszystko. No, na dziś pan doktor więcej nie przyjmuje! Wypalę jeszcze cygaro i poczlapię dalej.

– Pan rzeczywiście... rzeczywiście już chce iść?

Doktor Condor nie ustąpił.

– Tak jest, drogi panie, na dzisiaj dosyć! Mam wieczorem jeszcze jednego, ostatniego, a dość wymizerowanego pacjenta, któremu zaordynowałem porządny spacer. Od wpół do ósmej bez przerwy jestem na nogach! Przez całe przedpołudnie sterczałem w szpitalu, miałem tam ciekawy przypadek, mianowicie... Ale nie mówmy o tym... Potem siedziałem w pociągu, potem to badanie tutaj, a trzeba od czasu do czasu przewietrzyć płuca, żeby głowa mogła jasno myśleć. Więc dzisiaj dziękuję za pański samochód, wolę na stację przespacerować się pieszo! Przecież mamy

wspaniałą pełnię. Oczywiście nie zamierzam zabrać panu pana porucznika; jeżeli mimo lekarskiego nakazu nie chce się pan jeszcze położyć, na pewno dotrzyma panu towarzystwa.

W tej chwili przypomniałem sobie o swojej misji.

– Nie – oświadczyłem spiesznie – jutro z rana mam wyjątkowo wcześnie służbę, a zresztą i bez tego chciałem się już od dawna pożegnać.

– W takim razie, jeżeli pan ma chęć, pomaszerujemy razem.

Po raz pierwszy ujrzałem błysk w martwym spojrzeniu Kekesfalvy: zlecenie, wywiad! On także to sobie przypomniał.

– A ja rzeczywiście lepiej zaraz położę się spać – rzekł z niespodziewaną uległością dając mi za plecami Condora ukradkiem znak oczami.

Przypomnienie jednak nie było mi potrzebne. I bez niego czułem mocne uderzenie pulsu; wiedziałem, że teraz rozpoczyna się moje zadanie.

Wyszędłszy z bramy, mimo woli stanęliśmy zaskoczeni na najwyższym stopniu schodów, gdyż ogród przed pałacem przedstawiał zadziwiający widok. W czasie gdy pełni napięcia przebywaliśmy w pokojach, nikomu nie przyszło do głowy, aby spojrzeć przez okno; obecnie zdumiała nas całkowita zmiana na dworze. Pośrodku rozgwieżdżonego nieba, niby gładko oszlifowana tarcza, stał nieruchomo olbrzymi księżyc w pełni; nasycone dzisiejszym słońcem powietrze owiewało nas ciepłem, a jednocześnie promienny blask nadawał światu magiczny wygląd zimy. Żwir, niby świeżo spadły śnieg, połyskiwał wśród równo przystrzyżonych szpalerów, bramujących czarnym cieniem jasne ścieżki; to kąpiąc się w świetle, to kryjąc się w mroku, drzewa stały sztywne jak zjawy, jakby były z mahoni i szkła. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek w życiu odczuł światło księżycy tak niesamowicie jak tutaj, w tym ogrodzie zatopionym w martwej ciszy, nieruchomym i zalanym lodowym poblaskiem. Ach, tak sugestywne było to pozornie zimowe światło, że niechcący z pewnym wahaniem szliśmy po lśniących schodach, jak gdyby były ze śliskiego szkła. Lecz nagle, idąc przez tę zasypaną śniegiem, a chrzęszczącą żwirem aleję, ujrzeliśmy, że jest nas nie dwóch, lecz czterech, bo w ostrym księżycowym świetle ciągnęły się przed nami wyraźnie zarysowane nasze cienie. Mimo woli musiałem się przyglądać tym obydwom wytrwałym, czarnym towarzyszom, których wędrujące zarysy wyznaczały z góry nasz krok. Pewnym uspokojeniem – odczucia nasze są niekiedy zadziwiająco dziecinne! – była dla mnie świadomość, że cień mój był

dłuższy, smuklejszy i nieomal powiedziałbym „lepszy” niż mego grubawego, niskiego towarzysza. Poczulem się dzięki mojej wyższości nieco pewniejszy – wiem, że trzeba mieć pewną odwagę, aby samemu sobie przyznać się do takiej naiwności. Najdziwaczniejsze przypadki mają przecież wpływ na nasze nastroje i właśnie najbliższe zewnętrzne przypadki często wzmacniają lub osłabiają naszą odwagę.

Bez słowa doszliśmy do furtki. Aby ją zamknąć, musieliśmy się odwrócić. Niby pomalowany błękitnym fosforem lśnił front domu jak blok połyskliwego lodu, a nadmiar księżycowego światła tak oślepił, że nie można było rozróżnić, które z okien oświetlone było od wewnątrz, a które z zewnątrz. Dopiero twarde trzaśnięcie klamki przerwało ciszę. Ośmielony tym ziemskim szmerem wśród niezemskiego milczenia Condor zwrócił się do mnie z prostotą, której się u niego nie spodziewałem.

– Biedny Kekesfalva! Przez cały czas robię sobie wyrzuty, czy nie byłem wobec niego zbyt brutalny. Wiem naturalnie, że chciałby zatrzymać mnie jeszcze przez długie godziny i wypytać o mnóstwo rzeczy, a właściwie ciągle o to samo – ale po prostu nie miałem już sił. Ciężki to był dzień. Od rana do wieczora chorzy i chorzy, a przy tym same przypadki, z którymi trudno sobie poradzić.

Weszli tymczasem w aleję, której drzewa splatały się u góry w zmowie przeciwko sączącemu się przez nie księżycowemu światłu. Tym jaskrawiej błyszczał pośrodku szosy żwir biały jak śnieg, my zaś szliśmy tą jasną ścieżką światła. Milczałem z szacunkiem, ale Condor widocznie tego nie dostrzegł.

– A zresztą... niekiedy jakoś nie mogę znieść jego natarczywości. Wie pan, najcięższą sprawą w naszym zawodzie wcale nie są chorzy, bo człowiek nauczy się wreszcie obchodzić z nimi i przyswaja sobie technikę w tym zakresie. A ostatecznie, jeżeli pacjenci skarżą się, pytają i nalegają, należy to po prostu do ich stanu – jak gorączka lub ból głowy. Liczymy z góry na ich niecierpliwość, jesteśmy przeciwko temu uzbrojeni i na to przygotowani, a każdy z nas ma w pogotowiu uspokajające słówka oraz blagi, tak samo jak środki nasenne i uśmierzające krople. Nikt jednak tak nam życia nie utrudnia jak rodzina, jak krewni, którzy nieproszeni wtłaczają się między lekarza a pacjenta i stale chcą wiedzieć „całą prawdę”. Zachowują się, jak gdyby w danej chwili tylko ten jeden jedyny człowiek na świecie był chory i tylko o tego jedynego trzeba się było troszczyć. Naprawdę nie biorę Kekesfalwie za złe tego wypytywania, ale, wie pan, gdy niecierpliwość staje

się chroniczna, wówczas cierpliwość łatwo opuścić może człowieka. Sto razy mu wyjaśniałem, że mam teraz w mieście ciężki przypadek, w którym chodzi o śmierć lub życie. A chociaż wie o tym, telefonuje dzień w dzień i błaga, i nalega, i chce przemocą zdobyć nadzieję. Jednocześnie jako jego lekarz wiem, jak fatalne jest dla niego każde wzruszenie, i jestem o wiele bardziej zaniepokojony, niż on sam przypuszcza... o wiele, wiele bardziej. Na szczęście nie ma pojęcia, jak jest niedobrze.

Przeraziłem się. A więc było aż tak źle! Szczerze i spontanicznie Condor udzielił mi wyjaśnień, które miałem od niego wydostać podstępnie. Głęboko wstrząśnięty zacząłem szybko:

– Proszę wybaczyć, panie doktorze, ale rozumie pan, że mnie to niepokoi... Nie miałem pojęcia, że tak zły jest stan Edyty...

– Edyty? – Condor odwrócił się do mnie zdziwiony. Wydawało się, iż dopiero teraz zauważył, że mówi do kogoś. – Jak to Edyty? Przecież ani słowa nie powiedziałem o Edycie... Pan mnie zupełnie źle zrozumiał... Nie, nie, stan Edyty jest właściwie ustalony, niestety ustalony. Ale martwi mnie Kekesfalva, i to bardzo! Czy pan nie zauważył, jak bardzo zmienił się w przeciągu ostatnich paru miesięcy, jak źle wygląda, jak z tygodnia na tydzień coraz bardziej szczupleje?

– Nie mogę tego ocenić... Mam zaszczyt dopiero od kilku tygodni znać pana von Kekesfalva i...

– Ach, prawda! Przepraszam... W takim razie rzeczywiście nie mógł pan tego zaobserwować. Ale ja, znając go od lat, przeraziłem się dziś nie na żarty, gdy przypadkiem spojrzałem na jego ręce. Nie zauważył pan, jakie są przezroczyście i kościste? Wie pan, gdy się widziało mnóstwo rąk nieboszczyków, wówczas pewien charakterystyczny, sinawy odcień na ręku żywego człowieka zawsze sprawia przykre wrażenie. A poza tym... jego pobudliwość wcale mi się nie podoba. Najmniejsze uczucie napełnia mu oczy łzami, przy najmniejszym niepokojem twarz mu blednie. Tego rodzaju poddawanie się wrażeniom u mężczyzn, których znało się dawniej jako zapobiegliwych i energicznych, musi zastanawiać. Niestety, gdy ludzie mocni nagle miękną, nie oznacza to nic dobrego, a jeżeli w ogóle stają się nagle dobrzy... nie, to mi się wcale nie podoba. Coś tam nie jest w porządku, coś tam się wewnątrz obłuzowało. Oczywiście mam już od dawna zamiar zbadać go gruntownie, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć, aby z nim pomówić. Mój Boże, trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby go jeszcze teraz naprowadzono na myśl, że i

on jest chory, a może nawet, że mógłby umrzeć i opuścić swe sparaliżowane dziecko. I bez tego dość jest podminowany wiecznym rozmyślaniami i tą wściekłą niecierpliwością. Nie, nie panie poruczniku, nie zrozumiał mnie pan – to nie Edyta jest moją największą troską... Obawiam się, że ten stary człowiek niedługo już pociągnie. Byłem zupełnie zdruzgotany. Nigdy o tym nie pomyślałem. Miałem wówczas dwadzieścia pięć lat i nie widziałem jeszcze śmierci żadnego bliskiego człowieka. Dlatego nie mogłem od razu pojąć, że ktoś, z kim dzisiaj siedzi się przy stole, z kim się rozmawia i pije, już jutro może leżeć sztywny na śmiertelnym pościeli. Jednocześnie po delikatnym nagłym ukłuciu w sercu poczułem, iż prawdziwie pokochałem tego starego człowieka. Wzruszony i zmieszany czułem, że należało cokolwiek odpowiedzieć.

– Okropność – powiedziałem przejęty. – To by było okropne. Taki wytworny, wielkoduszny, dobrotliwy człowiek, taki prawdziwie węgierski szlachcic, jakiego jeszcze nigdy nie spotkałem...

Lecz tu stało się coś niespodziewanego. Condor stanął tak raptownie, że mimo woli i ja się zatrzymałem. Wbił we mnie spojrzenie, a szkła binokli ostro zabłyszczały. Dopiero odetchnawszy głęboko spytał ze zdumieniem:

– Szlachcic?... I do tego prawdziwy?... Kekesfalva? Przepraszam pana, kochany panie poruczniku, ale czy pan to mówi... poważnie o tym... prawdziwym węgierskim szlachcicu?

Nie zrozumiałem zapytania; miałem tylko uczucie, że powiedziałem coś dziwnego. Odrzekłem więc z zakłopotaniem:

– Mogę tylko sądzić po wrażeniu, jakie na mnie wywarł, bo pana von Kekesfalva poznałem z najbardziej szlachetnej i dobrej strony... Węgierskich magnatów malowano nam w pułku jako ludzi wyjątkowo zarozumiałych. Ale ja nigdy nie spotkałem równie dobrego człowieka. Ja... ja...

Zamilkłem, czując, że mnie Condor wciąż jeszcze uważnie z boku obserwuje. Jego okrągła twarz bieląca w świetle księżyca, szkła binokli połyskiwały nadmiernie powiększone, a dociekliwe oczy niewyraźnie się za nimi ukrywały. Miałem przykre uczucie, jakbym był drgającym owadem, wziętym pod ostrą lupę. Gdyby nie było wokoło tak pusto, dziwny stanowiłaby widok ta stojąca po środku szosy grupa. Wreszcie Condor spuścił głowę i ruszył naprzód, mrużąc jakby do siebie:

– Ależ z pana rzeczywiście... rzeczywiście dziwny człowiek!... Proszę wybaczyć, nie mam oczywiście nic złego na myśli. Jednak to zadziwiające, musi pan sam przyznać, zadziwiające. Słyszę, że bywa pan od kilku tygodni w tym domu, poza tym mieszka pan w małym miasteczku, w kurniku, i to w kurniku porządnie gdaczącym – a uważa pan Kekesfalva za magnata! Czyż pan nigdy od kolegów nie słyszał żadnych uwag, niekoniecznie dyskredytujących, że to jego szlachectwo nie jest tak bardzo starej daty? Przecież cośkolwiek musiało dojść do pana.

– Nie – odparłem energicznie, czując, że ogarnia mnie gniew. (Nie jest przyjemnie, gdy ktoś nas uważa za „dziwnych” lub „dziwacznych”). – Żałuję bardzo, ale nikomu nie pozwalałem na opowiadanie sobie plotek. Z żadnym kolegą nigdy nie mówiłem o panu von Kekesfalva.

– Dziwne – mruzczał Condor – dziwne! Sądziłem zawsze, że Kekesfalva przesadzał w opisie pańskiej osoby. A muszę szczerze powiedzieć, mam widocznie dziś szczęście do wyłącznie fałszywych diagnoz, że byłem trochę nieufny w stosunku do jego entuzjazmu. Nie mogłem uwierzyć, że poszedł pan do nich jedynie ze względu za ową niezręczność podczas tańców i że zaczął pan potem stale bywać jedynie przez sympatię i współczucie. Wcale pan nie wie, jak ten starzec jest wyzyskiwany, toteż postanowiłem – czemu nie mam panu tego powiedzieć? – postanowiłem zbadać, co pana właściwie ciągnie do tego domu. Myślałem, że jest pan albo – jakby to grzecznie wyrazić? – chłopcem mającym wyraźne zamiary i chcącym sobie przy okazji upiec własną pieczeń, albo jeżeli myśli pan uczciwie, musi pan być bardzo młodym człowiekiem, bo tylko na młodych ludzi tragizm i niebezpieczeństwo wywierają tak dziwny, pociągający wpływ. Zresztą ów instykt nie myli młodzieży i właściwie dobrze pan wyczuł – ten Kekesfalva jest rzeczywiście osobliwym człowiekiem. Wiem doskonale, co można mu zarzucić, ale pan nazwał go szlachcicem... Wydało mi się to, proszę wybaczyć, trochę śmieszne. Niech pan jednak wierzy człowiekowi, lepiej znającemu tego szlachcica niż wszyscy tutejsi mieszkańcy, i proszę się nie wstydzić, że temu biednemu dziecku okazał pan tyle przyjaźni. Cokolwiek by panu donieśli, niech to pana nie zrazi; nie będzie to doprawdy dotyczyło tego wzruszającego człowieka, jakim Kekesfalva jest dzisiaj.

Condor mówił idąc przed siebie i nie patrząc na mnie; dopiero po jakimś czasie zwolnił kroku. Czuję, że nad czymś się zastanawia, i nie chciałem mu przeszkadzać. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu obok siebie. Naprzeciw nas jechał wóz, któremu musieliśmy ustąpić z drogi, a

powożący chłop gapił się z ciekawością na dziwną parę: porucznika i niskiego tęgiego pana w binoklach, późną nocą w milczeniu spacerujących po szosie. Przepuściliśmy wóz, a wtedy Condor nagle się do mnie zwrócił:

– Proszę posłuchać, panie poruczniku, najgorszym złem są sprawy połowiczne i napomknienia do połowy wypowiedziane. Całe zło na świecie wypływa z połowiczności. Może mi się już za wiele wypsnęło, a nie chciałbym zachwiać pana życzliwości dla nich. Z drugiej strony zbyt mocno już pana zaciekawilem, aby pan nie zasięgnął wiadomości u kogoś innego, i niestety obawiam się, że nie dostanie pan informacji zgodnych z rzeczywistym stanem rzeczy. Niemożliwa przecież byłaby sytuacja, aby się stale bywało w czyimś domu, a nie wiedziało, kim ci ludzie są – zresztą w przyszłości nie mógłby pan prawdopodobnie przychodzić do nich tak swobodnie jak dawniej. Jeżeli więc to pana naprawdę interesuje i chciałby się pan czegoś o naszym przyjacielu dowiedzieć – proszę, panie poruczniku, jestem do pańskiej dyspozycji.

– Ależ oczywiście.

Condor wyjął zegarek.

– Trzy na jedenastą. Mamy dwie pełne godziny. Mój pociąg odchodzi dopiero o pierwszej dwadzieścia, ale zdaje mi się, że takie rzeczy trudno opowiadać na szosie. Może zna pan jakiś cichy kąt, gdzie można spokojnie porozmawiać.

Zastanowiłem się.

– Najlepiej w „Tyrolskiej Winiarni”. Są tam małe łóżka, w których można spokojnie posiedzieć.

– Świetnie! To będzie odpowiednie – odparł przyspieszając kroku.

Bez słowa poszliśmy dalej szosą. Wkrótce ukazały się pierwsze domy, bielejące w świetle księżyca, a dzięki szczęśliwemu przypadkowi na zupełnie pustych ulicach nie spotkaliśmy ani jednego z mych kolegów. Nie wiem dlaczego, ale byłoby mi nieprzyjemnie, gdyby mnie nazajutrz pytano o mego towarzysza. Od czasu, gdy dostałem się w splot tak dziwnych okoliczności, trwożliwie ukrywałem wszelkie nici, mogące wskazać dojście do labiryntu, a czułem, że wabi mnie on w nowe i tajemnicze głębiny.

Owa „Tyrolska Winiarnia” była wygodnym, małym lokalem, o niezbyt dobrej opinii. Położona trochę na uboczu, w staroświeckiej krętej uliczce,

należała do hotelu drugo- czy trzeciorzędnego, który w naszych kołach bardzo był ceniony ze względu na pobłażliwe roztargnienie portiera, który usłużnie zapominał podawać gościom, żądającym nawet w biały dzień podwójnego pokoju, policyjną kartę meldunkową. Dalsze zapewnienie dyskrecji dla naszych dłuższych lub krótszych godzin gruchania stanowiła doskonale przewidziana druga okoliczność, a mianowicie: dążąc do owych gniazdek miłości nie trzeba było przechodzić przez nazbyt widoczne wejście (małe miasto ma tysiąc oczu), lecz swobodnie przechodziło się wprost z winiarni na schody prowadzące nas dyskretnie do celu. Natomiast doskonale wina podawano w tym podejrzanym lokalu; co wieczór siadywali tu obywatele za ciężkimi, niczym nie przykrytymi drewnianymi stołami i przy kilku ćwiartkach omawiali w sposób więcej lub mniej gwałtowny bieżące sprawy gminy i całego świata. Wokół prostokątnego, nieco ordynarnego lokalu, który wypełniali goście przychodzący tu na wino lub dla wspólnego przepędzenia czasu, zbudowana była o stopień wyżej galeryjka, tak zwane łoże, izolowane od siebie przez dość grube i nie przepuszczające odgłosów drewniane ściany, niepotrzebnie ozdobione malowidłami i naiwnymi, pijackimi przypowiadkami. Grube portiere odgradzały osiem kabin od środka lokalu tak całkowicie, że można by je było nazwać gabinetami; toteż w pewnym sensie służyły też takim celom. Gdy oficerowie lub jednorocznicy z garnizonu chcieli bez zwracania uwagi zabawić się z dziewczętami z Wiednia, kazali sobie rezerwować jedną z owych łóż. Nawet nasz pułkownik, bardzo zważający na obyczajność, uznawał tę mądrą ostrożność, zabezpieczającą od wglądania cywilów w wesole chwile podległej mu młodzieży. Dyskrecja była tu również najwyższym prawem w zwyczajach domowych; na wyraźne zarządzenie właściciela, niejakiego pana Ferleitnera, kelnerki odziane w tyrolskie stroje miały surowy nakaz, aby nigdy nie odsuwały uświęconych portier bez poprzedniego mocnego chrząknięcia i aby w żaden inny sposób nie przeszkadzały panom wojskowym, dopóki nie zostaną wezwane dzwonkiem. W ten sposób honor armii chroniony był wespół z jej przyjemnościami.

W annałach winiarni nader rzadko zapewne notowano, aby któraś łoża służyła wyłącznie spokojnej rozmowie. Byłoby mi jednak nieprzyjemnie wobec obiecujących zapowiedzi doktora Condora, gdyby któryś z wchodzących kolegów przeszkodził mi ukłonem lub ciekawością lub żebym na widok któregoś z przełożonych musiał się zerwać służbiście. Nawet myśl o wspólnym przejściu z Condorem przez winiarnię była mi dość przykra. Jakież to byłyby nazajutrz drwiny, że się z obcym, tęgim panem przekradam

do tak intymnej separatki! Ale już przy wejściu stwierdziłem z wielkim zadowoleniem, że w lokalu panuje pustka, jakiej z reguły winien jest koniec miesiąca w małym garnizonie. Nie było nikogo z naszego pułku i wszystkie łóżka stały do wyboru.

Widocznie, aby się ustrzec przed ciągłym wchodzeniem kelnerki, doktor natychmiast zażądał po litrze białego wina, od razu je zapłacił i rzucił dziewczynie taki napiwek, że z wdzięcznym „dziękuję” znikła bezpowrotnie. Portiera opadła i tylko niekiedy słyszeliśmy od stołów na środku sali niewyraźne klaskanie, głośne słowa lub śmiech. Byliśmy w naszej kabynie zupełnie odseparowani i bezpieczni.

Condor nalał najpierw mnie, następnie sobie kieliszek; po niejkiej powolności w ruchach zauważyłem, iż wszystko, co chciał mi powiedzieć, a może i przemilczeć, układał sobie z góry. Gdy się wreszcie do mnie zwrócił, znikł z jego twarzy wszelki wyraz senności i gnuśności, który mnie przedtem tak irytował; w jego spojrzeniu widoczne było skupienie.

– Najlepiej zaczniemy od początku i na razie całkowicie pominiemy szlchetnego pana Lajosa von Kekesfalva. Bo wówczas jeszcze go nie było. Nie było właściciela majątku w czarnym surducie i złotych okularach, nie było szlachcica, a tym bardziej magnata. W nędznej wiosce nad węgiersko-słowacką granicą żył sobie taki szczupły, bystrooki, mały Żydek, Leopold Kanitz, którego zdaje mi się, nazywano powszechnie Lämmel Kanitz.

Musiałem chyba drgnąć lub okazać w jakiś inny sposób moje zdumienie, bo przygotowany byłem na wszystko, tylko nie na to! Lecz Condor uśmiechnięty i pewny siebie ciągnął dalej.

– Tak jest, Kanitz, Leopold Kanitz, nic na to nie poradzę. Dopiero później na rozkaz ministra zmieniono mu nazwisko na tak dźwięczne węgierskie i ozdobiono je przysłówkiem oznaczającym szlachectwo. Prawdopodobnie uleciało panu z pamięci, że człowiek mający wpływy i stosunki, mieszkający długo w tym kraju, może tu zmienić skórę, może zmienić nazwisko na węgierskie, a nawet stać się szlachcicem. Zresztą skądże pan, młody człowiek, może o tym wiedzieć, strasznie dużo wody upłynęło w Lecie od czasu, gdy ten smarkacz, ten bystrooki, przebiegły żydowski chłopak, pilnował koni i wozów chłopskich – kiedy wieśniacy pili w karczmach – lub za parę garści kartofli taszczył przekupkom koszyki do domu.

Ojciec Kekesfalvy, a właściwie Kanitza, nie był więc w żadnym razie magnatem, lecz biednym jak mysz kościelna pejsatym, żydowskim pachciarzem w karczmie przy drodze wiejskiej tuż w pobliżu owego miasteczka. Drwale i woźnice zatrzymywali się tam rano i wieczorem, aby się przed drogą w góry lub jazdą podczas mrozu rozgrzać kilkoma szklaneczkami siedemdziesięcioprocentowej wódki. Niekiedy ten płynny ogień otumaniał ich zmysły tak mocno, że rozwalali krzesła, rozbijali szkło, a kiedyś podczas takiej awantury ojciec Kanitza został śmiertelnie pobity. Kilku chłopów, przyszedłszy z rynku, po pijanemu rozpoczęło bójkę, a gdy pachciarz, chcąc ratować swe nędzne urządzenie, zaczął ich rozdzielać, jeden z nich, olbrzymi woźnica, cisnął nim tak mocno w kąt, że Żyd upadł z jękiem. Od tego dnia zaczął pluć krwią, a po roku umarł w szpitalu. Pieniądzy po nim nie było, a matka, dzielna kobieta, żywiła siebie i małe dzieci zarabiając jako praczka i akuszerka. Trochę także handlowała po domach, a Leopold nosił wówczas za nią paczki na plecach. Prócz tego, gdzie mógł, zarabiał po parę groszy: pomagał kupcowi jako goniec lub biegał od wsi do wsi jako posłaniec. W wieku, gdy inne dzieci z uciechą bawią się szklanymi kulami, wiedział już dokładnie, ile co kosztuje, gdzie i jak się towar kupuje lub sprzedaje, w jaki sposób można być pożytecznym i nieodzownym; a jednocześnie znajdował zawsze czas, aby się uczyć. Rabin uczył go czytać i pisać, on zaś pojmował wszystko tak szybko, że mając trzynaście lat mógł pomagać od czasu do czasu jako pisarz u adwokata, a drobnym straganiarzom za parę groszy wypisywać podania i wezwania podatkowe. Aby oszczędzać na świetle, bo każda kropla nafty była dla ubożego gospodarstwa rozrzutnością, siadywał noc w noc przy sygnałowej lampce dróżnika – w wiosce była stacja kolejowa – studiował podarte lub wyrzucone gazety. Już wówczas starszyzna w gminie z aprobatą kiwała brodami, przepowiadając, że z tego chłopca coś wyrośnie.

Jak to się stało, że wy dostał się ze słowackiej wioski i przybył do Wiednia, nie wiem. Lecz gdy mając lat dwadzieścia zjawił się tu w okolicy, był już agentem poważnego towarzystwa ubezpieczeniowego, a zgodnie ze swą wytrwałością prócz oficjalnego zajęcia interesował się też mnóstwem innych drobnych spraw handlowych. Stał się tym, co w Galicji nazywają „faktor”, człowiekiem handlującym wszystkim, pośredniczącym we wszystkim stanowiącym pomost między podażą a popytem.

Zrazu go tolerowano, a wkrótce zaczęto go dostrzegać i nawet potrzebować, gdyż znał się na wszystkim i wszystko wiedział. Jeżeli wdowa

chciała wydać za mąż córkę, natychmiast przedstawiał się jako pośrednik małżeństw; jeżeli ktoś chciał wywędrować do Ameryki i potrzebował papierów oraz informacji, Leopold je przynosił. Poza tym skupował stare odzienie, zegary, antyczne przedmioty, oceniał i zamieniał grunta, towary i konie, a gdy któryś z oficerów potrzebował poręczyciela, Leopold zawsze się o kogoś wystarał. Z roku na rok rozszerzały się zarazem jego wiadomości i zakres działania.

Będąc tak niez mordowanym i wytrwałym można dużo zarobić. Ale prawdziwe majątki powstają tylko przez specjalny stosunek między wpływem a rozchodem, między zarobkami a wydatkami. Tajemnicą powodzenia naszego przyjaciela Kanitza było to, że w ciągu wszystkich tych lat wydawał niewiele, wspierał tylko cały szereg krewnych, a swemu bratu kazał studiować. Jedyne sprawunki, na jakie sobie w ogóle pozwolił, to był czarny surdut i dobrze panu znane złocone okulary, dzięki którym nabrał w oczach chłopów wyglądu „uczonego”. Lecz nawet gdy już od dawna był zamożny, ciągle jeszcze przez ostrożność udawał małego agenta. Bo agent to przedziwne słowo, szeroki płaszcz, który ukryć może najrozmaitsze sprawy, a Kekesfalva ukrywał przed ludźmi przede wszystkim fakt, że od dawna już nie był pośrednikiem, lecz bankierem i przedsiębiorcą. O wiele ważniejsze wydawało mu się być bogatym niż uchodzić za bogatego (jak gdyby czytał mądre *Parerga und Paralipomena* Schopenhauera, o tym, czym człowiek jest lub jakim się wydaje).

Zbyteczne jest chyba wszelkie filozoficzne rozważanie nad człowiekiem, który będąc zarazem pracowitym, mądrym i oszczędnym, prędzej czy później dochodzi do pieniędzy, a poza tym nie jest to wcale godne podziwu. My, lekarze, wiemy ostatecznie najlepiej, że w decydujących chwilach konto bankowe niewiele pomaga. Od początku jednak imponowało mi poczucie rzeczywistości w naszym Kanitzu, ta po prostu demoniczna wola, aby wraz z majątkiem pomnożyć swe wiadomości. Wszystkie noce w pociągu, każdą wolną godzinę podczas jazdy, każdą chwilę w hotelach i na ulicy spędzał na czytaniu i nauce. Studiował wszystkie książki o prawodawstwie, prawo handlowe i przemysłowe, aby sobie samemu móc być adwokatem, nie opuszczał żadnej licytacji w Londynie i Paryżu jak zawodowy antykwariusz, a w zakresie wszelkich lokat i transakcji doświadczony był jak bankier; rozumiał więc, iż jego interesy nabierały stopniowo coraz większego rozmachu. Od chłopów przeszedł do pachciarzy, a od pachciarzy do poważnych arystokratycznych ziemian. Wkrótce zaczął pośredniczyć w

sprzedaży zbiorów i lasów, dostarczać fabrykom surowców i organizować konsorcja, a nawet otrzymał niektóre dostawy dla wojska. Wreszcie zaczęto coraz częściej widywać w poczekalniach ministerstw jego czarny surdut i złote okulary. Ale jeszcze ciągle, jakkolwiek miał już wtedy ćwierć, a może i pół miliona koron w majątku, obywatele uważali go za podrzędnego agenta i nadal niedbale odpowiadali na jego ukłon. Aż wreszcie powiodło mu się pewne wielkie przedsięwzięcie i z Lämmela Kanitza zrobił się pan von Kekesfalva. – Condor zamilkł. – Wszystko, co panu opowiadam, wiem pośrednio od kogoś innego. Ale ostatnią historię poznałem już osobiście. Opowiedział mi ją sam Kekesfalva w nocy, gdy po operacji jego żony czekaliśmy w sanatorium od dziesiątej wieczorem do świtu. Za każde słowo w tej opowieści mogę ręczyć, gdyż w podobnych chwilach człowiek nie kłamie.

Powoli, w zamyśleniu, łyknął nieco wina i zapalił sobie nowe cygaro; zdaje się, że było to już czwarte tego wieczora, a ustawiczne to palenie zwróciło moją uwagę. Zaczynałem pojmować, że jego umyślny niedbale jowialny sposób bycia, jego powolna i pozorna ospałość były specjalną pozą, aby mógł spokojnie zastanawiać się (a może nawet obserwować). Trzy, cztery razy jego grube i ospałe zwieszane wargi pociągnęły cygaro, a oczy sennie patrzyły za unoszącymi się kólkami dymu. Nagle skupił się i ciągnął dalej:

– Przygoda, w wyniku której Leopold – czy raczej Lämmel – Kanitz stał się panem von Kekesfalva i ziemianinem, rozpoczęła się w pociągu osobowym z Budapesztu do Wiednia. Jakkolwiek miał już wówczas czterdzieści dwa lata i siwiejące włosy, nasz przyjaciel w owych latach spędzał noce zazwyczaj w podróży – skąpcy oszczędzają nawet czas – a nie potrzebuję dodawać, że jeździł wyłącznie trzecią klasą. Jako stary praktyk od dawna wyrobił sobie pewną technikę nocnych podróży. Najpierw rozciągał na drewnianej ławce szkocki pled, który pewnego razu tanio nabył na wyprzedazy, potem starannie wieszał na haku swój nieodzowny czarny surdut, aby się nie niszczył, chował złote okulary do pochewki, z płóciennej torby – nigdy nie dochrapał się skórzanej walizy! – wyjmował włochaty, stary szlafrok, po czym głęboko osuwał na twarz czapkę, aby go światło nie raziło w oczy. Wreszcie wtulał się w kąt przedziału, przyzwyczajony od dawna do spania w tej pozycji; jeszcze jako dziecko wiedział, że nie potrzeba na noc łóżka, a do spania nie są konieczne wygody.

Tym razem przyjaciel nasz nie spał, bo w przedziale siedziało jeszcze trzech jegomościów rozmawiających o interesach. A gdy ktokolwiek

rozmawiał o interesach, Kanitz nie mógł nie słuchać. Zarówno jego żądza nauki, jak chciwość nie zmniejszyły się przez wszystkie te lata; niby dwie części szczypiec połączone były żelazną śrubą.

Właściwie od dawna już zaczynał drzemać, gdy nagle usłyszał słowo, które go wyrwało ze snu niby konia słyszającego trąbkę; była to liczba.

– Niech pan pomyśli, właściwie tylko przez nieprawdopodobną głupotę szczęściarz zarobił od razu sześćdziesiąt tysięcy koron!

„Jakie sześćdziesiąt tysięcy?! Kto – sześćdziesiąt tysięcy?” Sen natychmiast odleciał, jak gdyby ktoś na oczy nalał Kanitzowi zimnej jak lód wody. Kto zarobił i jak zarobił sześćdziesiąt tysięcy – o tym musiał się przecież dowiedzieć! Oczywiście pilnował się, aby trzech podróżni nie spostrzegli, że ich podsłuchuje. Przeciwnie, naciągnął czapkę głębiej na czoło, aby cień zakrył mu oczy całkowicie i aby tamci myśleli, że zasnął. Jednocześnie korzystając ostrożnie ze wstrząsów wagonu przysunął się do rozmawiających, żeby pomimo turkotu kół nie stracić ani słowa.

Młody człowiek, który tak gwałtownie opowiadał i wydał tak głęboki jęk oburzenia, że aż Kanitza obudził, był, jak się okazało, dependentem u wiedeńskiego adwokata, zaś irytacja z powodu nadzwyczajnego powodzenia szefa doprowadziła go do pełnej wzburzenia perory.

– A przecież całą rzecz z gruntu zmarnował i chybił! Z powodu głupiej sprawy, która może by mu przyniosła pięćdziesiąt koron, o tydzień później pojechał do Budapesztu, a tymczasem tamta oślica dała się nabić w butelkę. Wszystko było w najzupełniejszym porządku, testament zrobiono bez zarzutu, obecni byli dwaj szwajcarscy świadkowie i załączono dwa niemożliwe do obalenia lekarskie orzeczenia, iż księżna Orosvár przy sporządzaniu testamentu była w pełni władz umysłowych. Cała banda siostrzeńców z drugiej linii i mnóstwo rozmaitych pseudokrewnych nie dostało ani grosza, pomimo skandalicznych artykułów, które ich adwokat zamieszczał w pismach. A mój baran-szef był tak swego pewien, że najspokojniej pojechał jeszcze raz do Wiednia na jakieś głupie posiedzenie, bo rozprawa miała być dopiero w piątek. Tymczasem ten przebiegły łajdak jakoś się do niej dostał, poszedł jako adwokat strony przeciwnej z przyjacielską wizytą, a ona, naiwna idiotka, nie wytrzymała nerwowo: „Wcale mi nie potrzeba tak strasznie dużo pieniędzy, chcę tylko spokoju!” – sparodiował kogoś, naśladowując obcą wymowę. – No tak, teraz ma ten swój spokój, którego tak pragnęła, a inni dostali najzupełniej niepotrzebnie trzy

czwarte spadku! Nie czekając, aż przyjedzie mój szef, głupie cielę podpisało umowę, najidiotyczniejszą, najgłupszą umowę od początku świata; ten jeden podpis kosztował ją co najmniej pół miliona.

– A teraz niech pan uważa, panie poruczniku – zwrócił się Condor do mnie. – Podczas całej tej rozmowy nasz przyjaciel Kanitz siedział w swym kącie cicho jak zwinięty jeź. Czapkę miał głęboko nasuniętą na oczy, a uważał jak szpicel na każde słowo. Zrozumiał od razu, o co chodzi, bo proces o spadek po księżnej Orosvár – podaję tu nazwisko zmyślane, bo rzeczywiste jest nazbyt znane – stanowił wówczas największe zainteresowanie wszystkich węgierskich pism i był istotnie niezwykłą aferą. Opowiem ją panu pokrótce:

Stara księżna Orosvár, niezwykle bogata, przyjechała skądś z Ukrainy i przeżyła swego męża co najmniej o trzydzieści pięć lat. Nieustępliwa jak żelazo, a złośliwa jak diabeł – od czasu gdy dwoje jedynych jej dzieci umarło na dyfteryt jednej nocy – z całego serca nienawidziła wszystkich Orosvárów, bo przeżyli jej biedne maleństwa. Można wierzyć opinii, że tylko z żalu i złości, aby jej niecierpliwi siostrzeńcy i siostrzenice nic nie odziedziczyli, dożyła lat osiemdziesięciu czterech. Gdy któryś z krewnych, czekających na dziedzictwo, przybywał do niej z wizytą nie przyjmowała go, a nawet najprzyjemniejszy list od rodziny wrzucany był bez odpowiedzi do kosza. Mizantropka, zdziwaczała od śmierci swych dzieci i męża, mieszkała tylko przez dwa lub trzy miesiące rocznie w pałacu Kekesfalva i nikt u niej nie był. Przez cały pozostały czas jeździła po świecie, prowadziła wielkopański dom w Nicei i Montreux, ubierała się, rozbierała, czesała, szminkowała, robiła manicure, czytała francuskie romanse, kupowała mnóstwo sukien i chodziła od sklepu do sklepu targując się i wymyślając sprzedającym jak rosyjska straganiarka. Jedyna osoba, którą przy sobie zносиła, jej panna do towarzystwa, nie miała oczywiście łatwego życia. Biedna ta, cicha osóbka musiała codziennie karmić, szczotkować i wyprowadzać na spacer trzy szkaradne, warczące pinczerki, grać starej dziwaczce na fortepianie, czytać jej książki i pozwalać, aby bez żadnego powodu łajano ją w najstraszliwszy sposób. Gdy stara złośnica wypijała czasem o parę kieliszków wódki czy koniaku za dużo, biedna towarzyszka musiała nawet nieraz cierpieć plagi. We wszystkich luksusowych miejscowościach, w Nicei i w Cannes, w Aix les Bains i w Montreux znano starą, tęgą damę o twarzy mopsa, wyszminkowaną i wylakierowaną, z farbowanymi włosami, która stale głośno mówiła, bez zwracania uwagi, czy ktoś ją słucha, awanturowała się z kel-

nerami jak sierżant, a w stronę ludzi, którzy się jej nie podobali, robiła impertynenckie miny. Niby cień na wszystkich tych straszliwych spacerach szła za nią – musiała iść z tyłu prowadząc psy i nie wolno jej było iść obok chlebobdawczyni – szła szczuplutka, blada, jasnowłosa osoba o wystraszonych oczach, stale zawstydzona wulgarnym zachowaniem się swej pani, a jednocześnie bojąca się jej jak wcielonego diabła.

I oto pewnego dnia w hotelu Territet, tym samym, w którym zawsze zatrzymywała się cesarzowa Elżbieta, siedemdziesięciokilkuletnia księżna Orosvár dostała silnego zapalenia płuc. Niezrozumiale pozostaje do dzisiaj, w jaki sposób wiadomość o tym dostała się aż na Węgry. I oto nie umawiając się ze sobą, wszystkimi pociągami ponadjeżdżali jej krewni, zajęli hotel, oblegali lekarza z prośbą o wiadomości i czekali, czekali na śmierć bogatej ciotki.

Ale złośliwość konserwuje! Szkaradny, stary dragon wyzdrowiał. A niecierpliwi krewni, dowiedziawszy się pewnego dnia, że rekonwalescentka po raz pierwszy ma zejść do hallu, natychmiast znikli. Lecz księżna orientowała się w nadmiernej troskliwości swych spadkobierców: podejrzliwa i złośliwa przekupiła kelnerów oraz pokojowe, aby donosili jej o każdym słowie, które wypowiadali życzliwi krewni. Tak, zgadzało się całkowicie, nazbyt spieszący się spadkobiercy żarli się już między sobą jak wilki, kto ma dostać Kekesfalva, kto Orosvár, kto majątki na Ukrainie, kto perły, a kto pałac na Ofnerstrasse. Był to pierwszy strzał. W miesiąc później z Budapesztu nadszedł list od dyskontera, niejakiego Dessauera, zawiadamiający, iż zobowiązania jej siostrzeńca z drugiej linii, pana Deszó, nie mogą być dłużej prolongowane, chyba że księżna zechce pisemnie potwierdzić, iż pan Deszó jest jej spadkobiercą. To przepełniło czarę. Księżna telegraficznie wezwała swego adwokata z Budapesztu i sporządziła nowy testament, a przy tym – złośliwość jest przewidująca! – zrobiła to w obecności dwóch lekarzy, którzy wyraźnie zaświadczyli, iż księżna była w pełni władz umysłowych. Testament ów zabrał adwokat do Budapesztu i przez sześć lat przechowywał go zapieczętowany w swym depozycie, bo stara Orosvár ani myślała umierać. Gdy go wreszcie można było otworzyć, ujawniła się wielka niespodzianka. Jako generalną spadkobierczynię zmarła ustanowiła swą pannę do towarzystwa, Annę Beatę Marię Dietzenhof z Westfalii, której nazwisko po raz pierwszy straszliwie rozbrzmiało w uszach wszystkich krewnych. Jej dostał się zamek Kekesfalva, jej – Orosvár, jej – cukrownia, jej – stadnina i jej – pałac w Budapeszcie; jedynie ukraińskie

majątki i gotówkę zapisała stara księżna swemu rodzinnemu miastu na Ukrainie, aby wybudowano prawosławną cerkiew. Z całej rodziny nikt nie dostał ani grosza. Postępek ten był w niegodziwy sposób wyraźnie w testamencie umotywowany słowami: „Bo nie mogli się doczekać mojej śmierci”.

Zrobił się ogromny skandal. Krewni wrzeszczeli, polecili do adwokatów, a ci wnieśli odpowiednie zażalenia: zmarła nie była przy zdrowych zmysłach, gdyż sporządzała testament w czasie swej ciężkiej choroby, a prócz tego stosunek jej do towarzyszk oparty był na patologicznym posłuszeństwie względem panny Dietzenhof; nie ulega wątpliwości, że panna do towarzystwa w podstępny sposób sugestią wpłynęła na wolę chorej. Jednocześnie usiłowali całą historię rozdać do rozmiarów sprawy narodowej – węgierskie posiadłości, od czasu Arpada znajdujące się w posiadaniu rodziny Orosvárów, miały przypaść cudzoziemce, Prusaczce, a pozostały majątek prawosławnemu kościołowi! Cały Budapeszt o niczym innym nie mówił, a pisma zapełniały owym skandalem całe szpalty. Ale pomimo rozgłosu i awanturowania się zainteresowanych sprawa stała źle. W dwóch instancjach spadkobiercy proces przegrali; na ich nieszczęście obydwaj lekarze w Territet jeszcze żyli i znów zaświadczyli ówczesną przytomność umysłu księżnej. Inni świadkowie w czasie badań krzyżowych również musieli przyznać, że wprawdzie stara księżna była w ostatnich latach nieco zdziwaczała, ale zachowała pełnię władz umysłowych. Wszystkie kruczki adwokackie, wszystkie próby zastraszenia zawiodły, i z dziewięćdziesięciodziewięcioprocentową pewnością należało oczekiwać, że królewska kuria dotychczasowych wyroków na korzyść panny Dietzenhof nie obali.

Kanitz czytał oczywiście cały proces, ale bacznie uważał teraz na każde słowo, bo cudze sprawy jako obiekty, na których można się było niejednego nauczyć, interesowały go namiętnie; prócz tego znał majątek Kekesfalva, z czasów gdy był agentem.

– Możesz sobie wyobrazić – opowiadał dalej dependent – że mojego szefa o mało szlag nie trafił, gdy po powrocie do domu dowiedział się, jak nabrano głupią babę. Pisemnie zrzekła się już Orosváru i pałacu na Ofnerstrasse, dając się wykiwać majątkiem Kekesfalva i stadniną. Podobno największe wrażenie wywarła na niej obietnica tego cwane go łajdaka, że nie będzie już miała do czynienia z sądami, a spadkobiercy wielkodusznie biorą nawet na siebie koszt jej adwokata. Z punktu widzenia prawnego można było umowę

tę jeszcze zakwestionować, bo przecież nie była zrobiona u rejenta, lecz tylko wobec świadków, i można było ze śmieszną łatwością chciwą bandę usunąć od wszystkiego, bo nie mieli już ani grosza, aby wytrzymać dalsze przeciąganie sprawy przez nowe instancje. Naturalnie psim obowiązkiem mego szefa było wykazanie tego i zakwestionowanie umowy w interesie spadkobierczyni. Ale banda potrafiła dobrać mu się do skóry i ofiarowała cichaczem sześćdziesiąt tysięcy koron jako honorarium, by nie pisnął ani słowa. A ponieważ głupia baba, która w przeciągu pół godziny pozwoliła się zagadać i odebrać sobie okrągłe pół miliona, rozgniewała go, oświadczył, że umowa jest ważna, i schował zarobione pieniądze do kieszeni. Sześćdziesiąt tysięcy koron – jak ci się to podoba? I właściwie tylko za głupie wybranie się do Wiednia, które całą sprawę jego klientki sfuszerowało! Tak, tak, trzeba mieć szczęście! Niejeden zbiera ani siejąc, ani orząc! A teraz z milionowego spadku oślica ma za ledwie Kekesfalva, a i to wkrótce zmarnuje. Znam ją przecież – skończona idiotka!

– A co teraz zrobi z tym majątkiem? – spytał tamten.

– Zmarnuje, przecież ci mówię! Z pewnością zrobi jakieś głupstwo! Już mi się nawet obilo o uszy, że panowie z kartelu cukrowego chcą od niej wy dostać cukrownię. Zdaje mi się, że właśnie pojutrze ma z Budapesztu przyjechać generalny dyrektor. Majątek – o ile sobie przypominam ma wydzierżawić niejaki Petrovic, który tam był rządca; ale ci kombinatorzy z kartelu cukrowego może go wezmą do własnego zarządu. Nie czytał pan w gazetach, że pieniędzy mają dosyć, bo przygotowywana jest fuzja francuskiego banku z czeskim przemysłem...

Rozmowa zeszła na tematy ogólne. Ale Kanitz dość już usłyszał i aż go uszy paliły. Mało kto znał majątek Kekesfalva tak gruntownie jak on; był tam już przed dwudziestu laty, aby ubezpieczyć ruchomości. Znał też Petrovica, znał go nawet bardzo dobrze i to z czasów swych najpierwszych interesów. Ten pozornie rzetelny jegomość za jego pośrednictwem umieszczał na hipotekach u doktora Golingera grubsze sumy, które zarządzając majątkiem corocznie chował do własnej kieszeni. Szczególną jednak wagę przypisywał Kanitz doskonale zapamiętanej szafie z chińską porcelaną, pewnej glazurowanej rzeźbie oraz jedwabnym haftem, pochodzącym jeszcze z czasów pradziada księżnej Orosvár, który był rosyjskim posłem w Pekinie. Jeszcze za życia księżnej próbował Kanitz, znając olbrzymią wartość tych rzeczy, kupić je dla Rosenfelda w Chicago. Były to sztuki niesłychanej rzadkości, warte po dwa lub nawet po trzy tysiące funtów. Stara księżna nie

miała naturalnie pojęcia, jakie ceny płacono od kilkudziesięciu lat w Ameryce za dzieła sztuki ze wschodniej Azji – brutalnie krzyknęła na Kanitza, że nic nie sprzedaje i żeby poszedł do diabła. Gdyby okazy te jeszcze istniały – Kanitz zadrżał na samą tę myśl – można by je przy zmianie właściciela nabyć za śmieszna cenę. Najlepiej oczywiście zapewnić sobie prawo pierwszeństwa przy kupnie całego inwentarza.

Udał, że się nagle obudził – trzech pasażerowie od dawna rozmawiali o zupełnie innych sprawach – kunsztownie ziewnął, przeciągnął się i wyjął zegarek: za pół godziny pociąg miał stanąć na tutejszej stacji. Kanitz szybko zwinął szlafrok, włożył nieodłączny surdut i przygotował się do wyjścia. Punktualnie o drugiej trzydzieści wysiadł z wagonu, pojechał do hotelu „Pod Czerwonym Lwem” i kazał sobie dać pokój, a nie trzeba dodawać, że niby wódz przed niepewną bitwą spał tej nocy bardzo źle. Wstał o siódmej i, aby nie stracić ani minuty, ruszył natychmiast do pałacu aleją, którą szliśmy przed chwilą. „Aby tylko zdażyć przed innymi, aby innych ubiec! – myślał. – Załatwić wszystko zanim zlecą się te sępy z Budapesztu! Przekabacić jak najszybciej Petrovica, ażeby natychmiast go zawiadomił, gdyby miało przyjść do sprzedaży ruchomości. W ostatecznym wypadku całą sprawę nakręcić wspólnie z nim i przy podziale zysków zapewnić sobie inwentarz”.

Od śmierci księżnej nie było już w pałacu wiele służby. Toteż Kanitz mógł zakraść się spokojnie i wszystko sobie dokładnie obejrzeć. „Piękna posiadłość – pomyślał – i właściwie doskonale utrzymana. Żaluzje świeżo pomalowane, mury pięknie pobielone, nowy parkan – tak, tak, Petrovic ma swe wyrachowanie w remontach; przy każdym rachunku wpadają mu do kieszeni niezłe prowizje. Ale gdzież on jest?” Główna brama była zamknięta, a na podwórzu nikt się nie ruszał, chociaż Kanitz mocno stukał. Psiakość, może ten łajdak już sam pojechał do Budapesztu, aby zawrzeć umowę z tą Dietzenhofówną.

Kanitz niecierpliwie chodził od jednych drzwi do drugich, wołał, klaskał – nikogo, ani żywej duszy! Wreszcie wsunawszy się przez małą, boczną furtkę, ujrzał w oranżerii jakąś kobietę. Przez szyby zobaczył, że podlewa kwiaty – znalazł się wreszcie ktoś, kto mógłby mu dać informacje. Kanitz zapukał mocno w szybę.

– Hej, hej! – krzyknął klaszcząc przy tym w ręce, aby go zauważono.

Kobieta zajęta kwiatami przestraszyła się i minęła dłuższa chwila zanim nieśmiało, jak gdyby robiła coś złego, odważyła się zbliżyć do drzwi. Była to

jasnowłosa, niemłoda, szczupła postać w skromnej, ciemnej bluzce i perkalowym fartuchu; stanęła w drzwiach, trzymając w ręku ogrodowe nożyce.

– Ale pani długo daje czekać na siebie! – z pewną niecierpliwością krzyknął Kanitz. – Gdzie jest Petrovic?

– Przepraszam, kto? – spytała chuda dziewczyna patrząc zmieszana, mimo woli cofnęła się, chowając nożyce za plecami.

– Kto?! A iluż to jest tych Petroviców?! No, Petrovic, administrator!

– Ach, przepraszam... pan... pan administrator... Ja sama jeszcze nie widziałam pana administratora... Zdaje się, że pojechał do Wiednia... Ale jego żona mówiła, że podobno ma wrócić przed wieczorem.

„Podobno, podobno!” – myślał Kanitz ze złością. Czyż ma tu czekać do wieczora? Zmarnować jeszcze jedną noc w hotelu? Mieć niepotrzebne wydatki, a przy tym wcale nie być pewnym, co z tego wyniknie.

– Głupia historia! Akurat dzisiaj musiał ten łobuz wyjechać! – mruknął półgłosem i zwrócił się znów do dziewczyny. – Można by tymczasem obejrzyć pałac? Czy ktoś ma klucze?

– Klucze? – spytała zaskoczona.

– No tak, do diabła, klucze! „Czemu ta baba udaje głupią – pomyślał. – Pewno ma rozkaz od Petrovica, żeby nikogo nie wpuszczała. No, ostatecznie trzeba będzie dać tej bojaźliwej owcy na piwo”. Przybrał natychmiast jowialną minę i odezwał się nieco z chłopska:

– No, no, czego się panna tak bojasz? Nic pannie nie zwędzę! Aby popatrzeć! No, jakże? Są te klucze czy nie?

– Klucze... Naturalnie, że mam klucze – wyjąkała – ale... nie wiem, kiedy pan administrator...

– Już pannie powiedziałem, że mi ten wasz Petrovic niepotrzebny. No, dosyć tych kumedii, znasz panna pokoje pałacu?

Zmieszana panna okazała jeszcze większe zakłopotanie.

– Chyba... tak... owszem, pokoje znam...

„Idiotka! – pomyślał Kanitz, – Cóż za marną służbę zgodził ten Petrovic!”
I zakomenderował głośno:

– No, to dalej! Nie mam czasu.

Ruszył naprzód, a ona poszła za nim skromna i jakaś niepewna. Przy drzwiach wejściowych znów się zawahała.

– No, do kroćset, niechże pani otwiera!

„Czemu ona udaje taką głupią i zakłopotaną?” – irytował się w duchu. Wyjmowała właśnie ze zniszczonej skórzanej torebki klucze, gdy przezornie spytał jeszcze raz:

– A co pani tu właściwie robi?

Onieśmielona stanęła i mocno się zarumieniła.

– Jestem... – zaczęła i zaraz się poprawiła – byłam... ja byłam panną do towarzystwa księżnej.

W Kanitzu zamarł oddech (a przysięgam panu, że wyprowadzenie z równowagi człowieka jego pokroju nie było rzeczą łatwą). Mimo woli cofnął się o krok.

– Pani... pani chyba nie jest panną Dietzenhof?

– Owszem – odparła tak przestraszona, jak gdyby ją obwiniano o przestępstwo.

Kanitz nie doznał dotąd w życiu tylko jednego uczucia: zmieszania. Ale w tej chwili zmieszał się nieprawdopodobnie, widząc, że bezwiednie napadł na ową legendarną pannę Dietzenhof, spadkobierczynię pałacu Kekesfalva. Natychmiast zmienił ton.

– Przepraszam – wyjąkał zupełnie wyprowadzony z równowagi i szybko zdjął kapelusz. – Przepraszam, szanowną panią... Ale nikt mnie nie objaśnił, że szanowna pani raczyła już tu przybyć... Nie miałem pojęcia... proszę mi wybaczyć... proszę mi wybaczyć... przyszedłem tu tylko, aby...

Urwał, bo należało teraz znaleźć jakiś wiarygodny powód.

– Przyszedłem ze względu na ubezpieczenie... Byłem tu już kilkakrotnie przed laty za życia nieboszczki księżnej. Niestety, nie miałem wówczas sposobności spotkać się z szanowną panią... Tylko dlatego, tylko z powodu ubezpieczenia... żeby zobaczyć, czy wszystko jest w nienaruszonym stanie... Przecież jesteśmy do tego zobowiązani... Ale to ostatecznie nic spiesznego.

– Ależ proszę, proszę... – rzekła bojaźliwie. – Ja się, co prawda, nie znam na tych rzeczach... Może pan to lepiej omówi z panem Petrovicem...

– Oczywiście, naturalnie – odparł Kanitz nie mogąc jeszcze ochłonać ze zdziwienia. – Zaczekam oczywiście na pana Petrovica. „Po co mówić jej prawdę?” – pomyślał. – Ale gdyby łaskawa pani zechciała się pofatygować, mógłbym może rzucić okiem na pałac, załatwiłbym to w sekundę. Pewno się nic w inwentarzu nie zmieniło?

– Nie, nie – rzekła spiesznie – nic się nie zmieniło. Jeżeli pan chce się przekonać...

– Szanowna pani bardzo łaskawa – skłonił się Kanitz i weszli do pałacu.

Pierwsze jego spojrzenie w salonie padło na cztery obrazy Guardiego, które pan przecież zna, jak również – w dzisiejszym buduarze Edyty – na serwantkę z chińską porcelaną i małe rzeźby z jaspisu. Ach, jakaż ulga! Wszystko stoi na miejscu! Petrovic nic jeszcze nie ukradł, bo głupiec wolał zarabiać na owsie, koniczynie, kartoflach i remontach. Panna Dietzenhof, widocznie zakłopotana, że przeszkadza obcemu panu przy jego nerwowych oględzinach mieszkania, podniosła tymczasem opuszczone żaluzje. Przez wysokie szklane drzwi szeroką strugą wpłynęło światło. Odsłonił się daleki widok na park. „Trzeba o czymś porozmawiać – zastanawiał się Kanitz. – Nie można jej wypuścić z rąk! Trzeba się z nią bliżej poznać”.

– Piękny jest ten widok na park – zaczął odetchnąwszy głęboko. – Przyjemnie musi być tu mieszkać.

– Tak, bardzo przyjemnie – przytaknęła mu panna Dietzenhof posłusznie, lecz odpowiedź ta nie brzmiała zupełnie szczerze. Kanitz natychmiast wyczuł, że zahukana panna oduczyła się wszelkiego sprzeciwu. Dopiero po chwili dodała na usprawiedliwienie: – Księżna, co prawda, nigdy się tu dobrze nie czuła. Mówiła zawsze, że płaszczyzna usposabia ją melancholijnie. Właściwie wolała góry albo morze. Okolica tutejsza była dla niej za pusta, a ludzie...

Znów urwała.

„Trzeba rozmawiać, trzeba koniecznie rozmawiać! – przypomniał sobie Kanitz. – Trzeba z nią za wszelką cenę utrzymać kontakt”.

– Ale pani, mam nadzieję, pozostanie z nami?

– Ja? – mimo woli podniosła ręce, jak gdyby chciała odepchnąć od siebie coś nie milego. – Ja?... Nie! Och, nie! A cóż ja bym tu robiła sama w tym wielkim domu?... Nie, nie, natychmiast stąd wyjadę, jak tylko wszystko będzie uporządkowane.

Kanitz ostrożnie zerknął na nią. Biedna właścicielka! Jakże nikle wyglądała w tej wielkiej komnacie! Gdyby nie bladość i onieśmienie można by ją było nieomal nazwać ładną. Ta podłużna, wąska twarz ze spuszczonej powiekami przypominała krajobraz za mgłą, oczy miały kolor delikatnych chabrów, a były ciepłe i łagodne; ale nie promieniały serdecznością, lecz nieśmiało chowały się pod powiekami. Kanitz jako doświadczony obserwator od razu się zorientował: była to istota o złamanym stosie pacierzowym, człowiek bez woli, którego można owinać dookoła palca. „Rozmawiać! Za wszelką cenę prowadzić konwersację!” I współczująco zmarszczywszy czoło pytał dalej:

– A cóż się stanie z tą piękną posiadłością? Taki majątek potrzebuje ręki, mocnej ręki!

– Nie wiem, nic nie wiem! – odparła nerwowo.

Kanitz odczuł niepokój wstrząsający jej delikatnym ciałem i w tejże chwili zrozumiał, że ta kobieta od tylu lat pozbawiona samodzielności nigdy nie nabierze odwagi i że jest raczej przestraszona niż uradowana schedą, która spadła nagle jak worek trosk wprost na jej szczupłe ramiona. Pomyślał o tym wszystkim z błyskawiczną szybkością. Nie darmo przez lat dwadzieścia nauczył się kupować i sprzedawać, nalegać i odmawiać! Kupującego trzeba namawiać, zaś sprzedającemu odmawiać – jest to zasada agenta. Natychmiast więc nastroił swą umiejętność odmawiania, aby spadkobierczyni całą sprawę obrzydzić. Mógłby może wszystko razem wydzierżawić dla siebie i ubiec Petrovica. Może to właśnie szczęście, że ten szczywany lis akurat dziś jest w Wiedniu? Na twarzy Kanitza pojawił się natychmiast wyraz zrozumienia i współczucia.

– Tak, ma pani rację! Wielka posiadłość to zawsze wielki kłopot. Nigdy się nie ma spokoju. Dzień w dzień trzeba się klócić z rządcami, ze służbą i z sąsiadami, a prócz tego – te podatki i prawnicy! Gdy tylko ludzie poczuja, że ktoś ma trochę majątku i pieniędzy, zaraz chcą wydusić z niego ostatnie grosze, a choćby człowiek był dla nich jak najlepszy, otoczony jest ze wszystkich stron wrogami. I nic na to poradzić nie można: gdzie są pieniądze, zaraz zjawiają się złodzieje. Niestety, niestety, pani ma rację, przy

takiej posiadłości trzeba mieć żelazną rękę, w przeciwnym razie nie można sobie dać rady. Trzeba się takim urodzić, choć nawet i wtedy jest się w wiecznej walce.

– Ach tak! – odetchnęła głęboko i widać było, że przypomina sobie coś okropnego. – Jeżeli chodzi o pieniądze, ludzie są straszni, straszni! Nie wiedziałam o tym.

Ludzie? Co Kanitza obchodzili ludzie? Co go obchodziło, czy byli dobrzy, czy źli? Aby tylko wydzierżawić posiadłość, i to możliwie jak najprędzej, jak najkorzystniej. Słuchał i grzecznie potakiwał, a słuchając i potakując, jednocześnie w innym zakątku mózgu obliczał. W jaki sposób można by szybko sprawę ubić? Czy zorganizować konsorcjum, które by przejęło dzierżawę pałacu, gospodarstwa rolnego, cukrowni i stadniny? Dobrze by było poddzierżawić całość Petrovicowi, a zachować dla siebie urządzenie. Najważniejsze jednak, aby natychmiast zaproponować gotowość wydzierżawienia i porządnie pannę zastraszyć – weźmie wszystko, co się jej zaproponuje. Nie umie liczyć, nigdy pieniędzy nie zarabiała i dlatego nie zasługuje, aby dostać tych pieniędzy za dużo. Mózg jego pracował wszystkimi fibrami i nerwami, a usta mówiły dalej z pozornym współczuciem:

– Ale najstraszliwsze są procesy; nie pomoże tu zgodne usposobienie, bo nie można się uwolnić od ciągłych sporów. Właśnie to mnie odstraszało od kupna jakiegokolwiek posiadłości na własność. Ciągłe procesy, adwokaci, ciągle zatargi, sprawy i skandale... Nie, wolę mieć swoje zabezpieczenie i nie irytować się bez końca. Posiadając taki majątek człowiek miałby prawo przypuszczać, że wreszcie może mieć spokój, a w rzeczywistości staje się tylko psem gończym dla innych i nigdy spokoju nie ma. W gruncie rzeczy ten pałac, taka piękna stara posiadłość... można by tu żyć wspaniale... ale trzeba mieć przy tym postronki zamiast nerwów i żelazną pięść, w przeciwnym razie będzie się miało tylko ciągłą udrękę...

Słuchała ze spuszczoną głową. Nagle spojrzała mu prosto w twarz i westchnęła z głębi serca:

– Tak, straszna udręka! Och, gdybym mogła to wszystko sprzedać!

Doktor Condor umilkł.

– Muszę tu przerwać, panie poruczniku, aby panu wyjaśnić, jakie znaczenie miało to krótkie zdanie w życiu naszego przyjaciela. Mówiłem już panu, że Kekesfalva opowiedział mi tę historię podczas najcięższej nocy swego życia, gdy umierała jego żona, a więc w chwili, jaką człowiek przeżywa dwa lub trzy razy w życiu, w chwili gdy najbardziej przebiegły czuje potrzebę, aby stanąć przed innym człowiekiem otwarcie i szczerze jak przed Bogiem. Widzę go przed sobą wyraźnie... Siedzieliśmy w poczekalni sanatorium, przysunął się do mnie zupełnie blisko i opowiadał po cichu, gwałtownie, wzruszony, nie przerywając ani na chwilę. Czułem, że w potoku opowiadania usiłował zapomnieć, iż żona jego na górze umiera, że się ogłuszał tym opowiadaniem bez pauzy. Ale gdy doszedł do momentu, kiedy panna Dietzenh powiedziała mu: „Och, gdybym mogła wszystko sprzedać!” – nagle się zatrzymał. Niech pan pomyśli, panie poruczniku: jeszcze w piętnaście czy szesnaście lat później wspomnienie owego momentu, gdy nic nie podejrzewająca, starzejąca się panna przyznała mu się tak impulsywnie, że chce prędko, prędko, prędko Kekesfalwę sprzedać, wzburzało go do takiego stopnia, że zbladł jak ściana. Powtórzył mi dwa czy trzy razy powyższe zdanie, prawdopodobnie ściśle naśladując jej intonację: „Och, gdybym mogła wszystko to sprzedać!” Ówczesny Leopold Kanitz obdarzony zdolnością szybkiej apercpcji pojął natychmiast, że wpada mu w ręce największy interes w jego życiu i że wystarczy tylko sięgnąć, aby wspaniałą posiadłość po prostu kupić, zamiast wydzierżawić. Ukrywając wzburzenie pod obojętną pogawędką, gorączkowo rozmyślał. Oczywiście, kupić, zanim zjawi się Petrovic albo ów dyrektor z Budapesztu! Nie można jej wypuścić z rąk... Trzeba jej zamknąć wszelki odwrót. „Nie wyjdę stąd – postanowił – dopóki nie będę panem na Kekesfalvie”. I z ową tajemniczą dwutorowością, jaka dana jest naszemu intelektowi w pewnych sekundach szczególnego napięcia, myślał wyłącznie o sobie, a jednocześnie z wyrachowaną powolnością wymawiał słowa przeciwne jego zamiarom:

– Sprzedać... Oczywiście, naturalnie, szanowna pani, sprzedać można zawsze wszystko... to nic trudnego, ale dobrze sprzedać to sztuka!... O to chodzi, żeby dobrze sprzedać! Znaleźć kogoś uczciwego, kto zna okolice, glebę i ludzi... kogoś, kto ma stosunki... Broń Boże, któregoś z tych adwokatów, wpędzających w niepotrzebne procesy!... I jeszcze jedno, niezwykle ważne w tym wypadku: sprzedać za gotówkę. Znaleźć kogoś, kto nie da weksli i zobowiązań, z którymi trzeba się męczyć przez całe lata. Sprzedać człowiekowi pewnemu i za właściwą cenę.

A jednocześnie obliczał: „Mogę dojść do czterystu tysięcy koron, najwyżej do czterystu pięćdziesięciu, bo ostatecznie, są tu obrazy, które także mają wartość pięćdziesięciu, może stu tysięcy, jest dom, jest stadnina. Trzeba tylko zobaczyć, jakie są obciążenia, i dowiedzieć się od niej, czy jej już ktoś przede mną nie robił propozycji..”. I nagle zdecydował się.

– Czy szanowna pani, przepraszam za moją niedykcję, czy szanowna pani mniej więcej zdaje sobie sprawę z wysokości sumy? To znaczy, czy pani liczyła już na jakąś określoną sumę?

– Nie – odparła bezradnie i spojrzała na niego zaskoczona.

„Ojej, niedobrze! – pomyślał Kanitz. – Bardzo niedobrze! Najgorzej omawia się interesy z tymi, którzy nie podają swojej ceny. Tacy chodzą potem od Annasza do Kajfasza, żeby się o nie dowiedzieć, a każdy im doradza, gada i namawia. Jeżeli pozostawi jej się czas na zasięgnięcie wiadomości, wszystko będzie stracone”. A podczas tego wewnętrznego popłochu usta jego płynnie mówiły nadal:

– Ale szanowna pani chyba myślała w przybliżeniu o jakiejś cenie?... Ostatecznie trzeba wiedzieć, czy i jakie hipoteki obciążają posiadłość...

– Hipo... hipoteki – powtórzyła i Kanitz natychmiast zorientował się, że jego rozmówczyni po raz pierwszy w życiu słyszy to słowo.

– Chcę przez to powiedzieć, że przecież... musi być jakaś tymczasowa cena... Chociażby ze względu na podatek spadkowy. Czy adwokat pani, przepraszam, że pewno wydaje się pani natarczywy, ale chciałbym poradzić uczciwie, czy adwokat szanownej pani nie podał żadnych cyfr?

– Adwokat? – Widać było, że dziewczyna coś sobie z trudem przypomina. – Tak, tak... Niech pan czeka. Tak, coś mi pisał, coś mówił o jakimś oszacowaniu. Tak, ma pan rację. Pisał też o podatku, ale... było to po węgiersku, a ja węgierskiego nie znam. Aha, prawda, nawet sobie przypominam: pisał, żebym to sobie kazała przetłumaczyć, a ja – mój Boże! – w całym tym chaosie zupełnie o tym zapomniałam! Wszystkie te listy leżą jeszcze pewno w mojej tece... tam... Mieszkam w domu administratora, bo przecież nie mogę spać w pokoju, w którym mieszkała księżna pani. Gdyby pan jednak był tak dobry i chciał ze mną pójść, pokazałabym panu wszystko. To jest... – urwała nagle – jeżeli nie trudzę pana z nadto moimi sprawami.

Kanitz aż drżał ze wzburzenia. Wspaniały interes szedł mu w rękę tak niespodziewanie i z taką szybkością, jakby to było we śnie. Ona sama chciała pokazać akta i oszacowanie! Wobec tego bezsprzecznie będzie miał pierwszeństwo do kupna. Ukłonił się więc pokornie:

– Ależ, wielce szanowna pani, przecież to dla mnie przyjemność, że wolno mi dać jej kilka dobrych rad. A mogę powiedzieć bez przesady, że mam w tych sprawach trochę doświadczenia. Księżna pani – skłamała z premedytacją – zawsze się do mnie zwracała, gdy potrzebowała informacji finansowych, bo wiedziała, że nie miałem żadnych innych zainteresowań nad dokładne poradzenie jej, aby...

Poszli do domu administratora. Rzeczywiście wszystkie papiery dotyczące procesu leżały w nieładzie, wtłoczone do teki wraz z całą korespondencją adwokata, przepisami prawnymi i kopią umowy ze spadkobiercami. Nerwowo przerzucała dokumenty, a Kanitzowi, który ciężko oddychając patrzył na to, drżały ręce. Wreszcie rozłożyła jakiś arkusz.

– Zdaje się, że to ten list.

Kanitz wziął arkusz, do którego przyczepiono węgierski załącznik. Było to krótkie pismo wiedeńskiego adwokata:

Mój węgierski kolega właśnie mnie zawiadomił, iż powiodło mu się dzięki stosunkom uzyskać znaczne obniżenie szacunku, w celu odpowiedniego wymiaru podatku. Według mnie podana suma szacunkowa wynosi mniej więcej trzecią część, a w niektórych wypadkach nawet czwartą prawdziwej wartości...

Drżącymi rękami Kanitz wziął listę szacunkową. Interesowało go w niej tylko jedno: majątek Kekesfalva. Oceniony był na sto dziewięćdziesiąt tysięcy koron.

Kanitz zbladł. Właśnie tak samo wykalkulował; prawie trzykrotną wartość miał majątek w stosunku do sztucznie obniżonej ceny, a więc sześćset do siedmiuset tysięcy koron, a przy tym adwokat nie miał pojęcia o chińskich wazach... Ile zaproponować jej teraz? Cyfry wirowały i drgały mu przed oczami.

Głos obok niego spytał bojaźliwie:

– Czy to ten właściwy papier? Zrozumiał pan coś z niego?

– Oczywiście – ocknął się Kanitz. – Tak jest... więc... adwokat zawiadamia panią, że... suma szacunkowa Kekesfalva wynosi sto dziewięćdziesiąt tysięcy koron. Jest to, naturalnie, tylko suma szacunkowa.

– Szacunkowa?... Przepraszam pana... ale co to znaczy „szacunkowa”?

Albo teraz, albo nigdy! Kanitz z wysiłkiem się pohamował.

– Suma szacunkowa... hm, suma szacunkowa to taka... to taka niepewna, taka wątpliwa sprawa... b... b... urzędowa cena nigdy nie odpowiada właściwej cenie sprzedażnej. Nie można na to nigdy liczyć, to jest na pewno liczyć, że się osiągnie całą właściwą wysokość... W niektórych wypadkach, naturalnie, można ją dostać, w niektórych nawet jeszcze wyższą... Ale to tylko w specjalnych okolicznościach... To zawsze pewnego rodzaju rzecz szczęścia... jak przy wszystkich licytacjach... Suma szacunkowa jest właściwie punktem wyjścia, momentem orientacyjnym... naturalnie bardzo niepewnym... na przykład... weźmy, na przykład – Kanitz drżał; żeby tylko nie powiedzieć za dużo albo za mało! – jeżeli obiekt tutejszy urzędowo oceniony został na sto dziewięćdziesiąt tysięcy koron... można w każdym razie przypuścić, że... że... w wypadku sprzedaży osiągnęłoby się w każdym razie sto pięćdziesiąt tysięcy! Na to można by w każdym razie liczyć.

– Ile? Ile pan powiedział?

Kanitzowi zaszumiało w uszach od nagłego napływu krwi. Panna Dietzenhof zwróciła się do niego tak gwałtownie, jak ktoś, kto pyta powstrzymując resztkami sił wybuch gniewu. Czyżby przejrzała całą kłamiwą komedię? Może by prędko coś do stu pięćdziesięciu tysięcy koron dodać? Ale wewnętrzny głos mówił: „Spróbuj!” – i Kanitz postawił wszystko na jedną kartę. Jakkolwiek pulsy waliły mu w skroniach uderzeniami młota, powiedział skromnie:

– Tak, tyle można by w każdym razie dostać. Sądzę, że sto pięćdziesiąt tysięcy na pewno by się osiągnęło.

Ale w tejże chwili serce mu stanęło i pulsy przestały uderzać. Panna Dietzenhof, nic nie podejrzewając, z najgłębszym zdziwieniem podniosła na niego oczy:

– Tyle? Naprawdę pan tak myśli? Tyle?...

Kanitz musiał hamować się przez dłuższą chwilę. Z wysiłkiem starał się oddychać równomiernie, odpowiadając z pełnym uczciwości przekonaniem:

– Tak jest, szanowna pani. Mógłbym za to ręczyć. Tyle można by osiągnąć.

Doktor Condor znowu przerwał. Zrazu sądziłem, że zrobił przerwę, aby zapalić cygaro, lecz nagle dostrzegłem, że jest zdenerwowany. Zdjął binokle, znów je włożył, odsunął z czoła rzadkie włosy, jak gdyby mu przeszkadzały, i spojrzał na mnie; było to spojrzenie długie, niespokojne, badawcze. Potem raptownym ruchem wyciągnął się w fotelu:

– Panie poruczniku, może zwierzyłem się panu już ze zbyt wielu rzeczy, a w każdym razie powiedziałem więcej niż zamierzałem początkowo. Ale sądzę, że mnie pan źle nie zrozumiał. Nie miałem zamiaru źle usposabiać pana do Kekesfalvy, opowiadając szczerze całą tę szacherkę, jaką omotał był wówczas ową nic nie podejrzewającą osobę. Ten biedny starzec, z którym jedliśmy dziś kolację, ten nieborak chory na serce i zgryziony, ten człowiek, który powierzył mi swe dziecko i który oddałby ostatni grosz, aby biedactwo uzdrowić, ten starzec nie jest już przecież od dawna tym samym człowiekiem, który zawarł ów wątpliwej uczciwości interes, ja zaś byłbym ostatnim, który by go dziś oskarżał. Właśnie teraz, gdy biedak w swej rozpaczycy rzeczywiście potrzebuje pomocy, wydaje mi się ważne, ażeby pan ode mnie dowiedział się prawdy, zamiast od ludzi złośliwych plotek. Proszę zatem, by pan jedno wziął pod uwagę: Kekesfalva (a właściwie jeszcze wówczas Kanitz) nie pojechał owego dnia do pałacu z zamiarem, by tę całkowicie mu obcą osobę zagadać i tanio wydostać od niej majątek. Chciał tylko mimochodem załatwić jeden ze swych drobnych interesów i nic więcej. Olbrzymia szansa po prostu na niego spadła, a nie byłby sobą, gdyby z niej nie był skorzystał jak najgruntowniej. Ale zobaczy pan, jak się w pewnym sensie karta odwróciła.

Nie chcę się zbyt rozwódzić i wolę niektóre szczegóły pominąć. Mogę jednak panu zdradzić, iż były to w jego życiu chwile największego napięcia i wzburzenia. Niech się pan wczuje w sytuację: na człowieka, który był dotąd średniej miary agentem, spada szansa nieprawdopodobnego wzbogacenia się w przeciągu doby. W dwadzieścia cztery godziny mógł zarobić więcej, niż zdobył dotąd przez dwadzieścia cztery lata najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych szacherek, a czyż nie olbrzymią pokusą była okoliczność, że nie po-

trzebował za swą ofiarą gonić, omotać ją i oszałamiać, lecz przeciwnie, ona własnowolnie szła mu w pętlę, liżąc po prostu rękę, która trzymała nóż. Jedyne niebezpieczeństwo polegało na tym, że ktoś mógłby mu w tym wszystkim przeszkodzić. Dlatego nie należało spadkobierczyni ani na chwilę wypuścić z rąk, dać jej czasu do namysłu. Musiał ją wywieźć z Kekesfalvy przed powrotem administratora, a jednocześnie, obok tych ostrożności, nie powinien się być zdradzić ani na sekundę, że osobiście jest zainteresowany w tej sprzedaży.

Wzięcie oblężonej twierdzy Kekesfalva szturmem, zanim nadejdzie odsiecz było przedsięwzięciem wymagającym odwagi napoleońskiej i równie niebezpiecznym jak napoleońskie bitwy. Ale hazardującemu się graczowi przypadek bywa często pomocnikiem i sprzymierzeńcem. Okoliczność, której Kanitz w ogóle nie podejrzewał, utorowała mu potajemnie drogę; była nią całkiem naturalna, lecz okrutna rzeczywistość, że nieszczęsna spadkobierczyni już zaraz w pierwszych chwilach tyle w odziedziczonym pałacu zniosła poniżeń i zetknęła się z taką nienawiścią, że miała teraz tylko jedno jedyne marzenie: uciec stąd jak najprędzej, uciec! Nie ma niechęci w równie przykry sposób objawianej jak niechęć natur służalczych, gdy ktoś z ich otępiełego środowiska, niby na skrzydłach anielskich wyniesiony zostanie nagle na wyżyny. Małe dusze wybaczą raczej księciu jego szalone bogactwo niż skromną wolność towarzyszowi tej samej doli. Służba w Kekesfalvie nie mogła powściągnąć złości, że właśnie ta Niemka, której jak świetnie pamiętano, wybuchowa księżna nieraz rzucała w głowę podczas czesania szczotkę i grzebień, miała stać się teraz niespodzianie dziedziczką Kekesfalvy, a więc ich panią. Na wiadomość o przybyciu spadkobierczyni Petrovic wyjechał, żeby uniknąć powitania, a jego żona, osoba ordynarna, dawna podkuchenna z pałacu, przywitała ją słowami: „No, u nas to panna nie będzie chyba mieszkała, za mało tu pannie będzie aligancko!” Lokaj cisnął jej walizkę przed drzwi, a panna Dietzenhof, widząc, że rządczyni nie rusza palcem, aby jej pomóc, musiała swój bagaż sama zawlec na schody. Nikt nie przygotował obiadu, nikt się o nią nie zatroszczył, a w nocy słyszała przez okno dość głośne rozmowy o niejakej „oszustce” i „kombinatorce”, co „wycygała spadek”.

Już po tym pierwszym przyjęciu biedna, nieśmiała spadkobierczyni zrozumiała, że nie zazna w tym domu ani chwili spokoju. Kanitz nie miał pojęcia, że tylko dlatego z zachwytem przyjęła jego propozycję, żeby jeszcze tego samego dnia wyjechać do Wiednia, gdzie jakoby przebywał pewien

kupiec godny zaufania; ten poważny, uczynny, obrotny człowiek o melancholijnym spojrzeniu wydał jej się zesłańcem niebios. Nie pytała więc o nic więcej. Oddała mu z wdzięcznością wszystkie papiery i patrząc na niego w milczeniu błękitnymi oczami słuchała rad w sprawie ulokowania osiągniętych ze sprzedaży sum. Powinna umieścić je w papierach państwowych, w akcjach pewnych i wartościowych; ani okruszyny z swego majątku nie powinna powierzyć osobie prywatnej; wszystko musi być złożone w banku, a zarząd winien przejąć rejent, cesarsko-królewski rejent. W każdym razie nie byłoby sensu sprowadzać w tym celu jej adwokata. Czyż praca adwokacka nie polega na wykoślawieniu rzeczy jasnych i dokładnych? Oczywiście, oczywiście, wtrącał płynnie od czasu do czasu, możliwe, iż za trzy czy za pięć lat osiągnęłoby się sumę wyższą. Lecz ileż miałyby się kosztów, ileż kłopotów z sądem i urzędami! Ujrzawszy znowu wyraz przestachu w jej oczach zrozumiał, że cicha ta dziewczyna ma wstręt do sądów i interesów, podał więc całą litanie argumentów, prowadzących do wyводу końcowego: załatwić szybko, jak najszybciej!

O czwartej po południu, przed powrotem Petrovica, pojechali zgodnie kurierem do Wiednia. Stało się to wszystko z taką piorunującą szybkością, że panna Dietzenhof nie miała nawet sposobności spytać o nazwisko tego obcego pana, któremu powierzała sprzedaż całego swego dziedzictwa.

Pojechali pierwszą klasą, a Kanitz jeszcze nigdy w życiu nie siedział w pociągu na czerwonej, aksamitnej ławce. W mieście zawiózł pannę Dietzenhof do przyzwoitego hotelu i wziął tam również dla siebie pokój. Jeszcze tego samego wieczora trzeba było mieć w ręku akt kupna sporządzony przez adwokata Golingera, współnika Kanitza, aby już nazajutrz wspaniała tę okazję ująć w formy prawnie nienaruszalne. Lecz Kanitz nie miał odwagi pozostawić swej ofiary ani na chwilę samej. Wpadł więc na pomysł, trzeba mu to przyznać, genialny. zaproponował pannie Dietzenhof, aby skorzystała z wolnego wieczora i poszła do Opery, gdzie zapowiedziany był czyjś fascynujący występ, on zaś postara się jeszcze tegoż wieczora znaleźć owego pana, o którym wie, że szuka dużego majątku. Panna Dietzenhof wzruszona taką troskliwością chętnie przystała. Zaprowadził ją do Opery, gdzie unieruchomiona została na cztery godziny, zaś Kanitz wziął dorożkę – również po raz pierwszy w życiu – i jak najspieszniej pojechał do swego kompana oraz powiernika, doktora Golingera. Nie było go w domu. Znalazł go w winiarni i obiecał mu dwa tysiące koron, jeżeli teży nocy

sporządzi szczegółowy akt kupna, a potem z gotowym dokumentem zamówi rejenta na dzień następny, na siódmą wieczór.

Po raz pierwszy w życiu rozrzutny, Kanitz kazał dorożkarzowi podczas całej rozmowy z adwokatem czekać przed domem; wydawszy dyspozycje popędził z powrotem do Opery, dokąd na szczęście przybył w porę, zabrał z westibulu nieprzytomną z zachwytu pannę Dietzenhof i zawiózł ją do domu. Zaczęła się druga bezsenna noc; im bliżej był celu, tym więcej się denerwował, tym większe miał obawy, że posłuszna sprzedawczyni mogłaby jednak jutro, tuż przed metą, cofnąć się. Ciągłe wstawał z łóżka i w najdrobniejszych szczegółach wypracował strategiczny plan na dzień następny. Przede wszystkim nie wolno jej ani na chwilę pozostawić samej. Trzeba będzie wynająć fiakra i nakazać mu, by wszędzie na nią czekał, panna Dietzenhof nigdzie nie powinna chodzić pieszo, żeby przypadkiem nie spotkała na ulicy swego adwokata. Należało też zapobiec, aby nie dostała do ręki jakiejś gazety – mogłaby przecież wyczytać zamieszczoną w niej wiadomość o zakończeniu procesu Orosvár i zorientować się, że po raz drugi ją oszukano. Lecz w rzeczywistości wszystkie te niepokoje i ostrożności były zbyteczne, bo ofiara wcale nie chciała mu uciec. Niby jagnię na różowej wstążeczce posłusznie biegła za niedobrym pasterzem, a gdy nasz przyjaciel zmęczony po marnie spędzonej nocy wszedł do restauracji hotelowej, siedziała już w swej skromnej, własnoręcznie uszytej sukience, cierpliwie na niego czekając. I zaczęła się dziwna karuzela, w której nasz przyjaciel najzupełniej niepotrzebnie od rana do wieczora włókł za sobą biedną kobietę, aby oszołomić ją wszystkimi sztucznymi przeszkodami, które sobie podczas bezsennej nocy z trudem wymyślił.

Opuszczam tu szczegóły, ale dodam, że powlókł ją do swego adwokata, skąd telefonował na wszystkie strony w zupełnie innych sprawach. Pojechał z nią do banku, kazał sprowadzić prokurenta, aby naradzić się z nim w sprawie lokaty i otworzyć jej konto. Zaciągnął ją do dwóch czy trzech biur, zajmujących się umieszczaniem pieniędzy na hipotekach, oraz do podejrzanego przedsiębiorstwa handlu nieruchomościami, jakoby po informacje. Ona zaś szła wszędzie, czekając cichutko i cierpliwie w przedpokojach, gdy on prowadził zmyślane pertraktacje. Przez dwanaście lat niewolnictwa u księżnej czekanie stało się dla niej sprawą normalną, nie ciążyło jej i nie poniżało. Toteż czekała, czekała cicho, z założonymi rękami, spuszczając błękitne oczy, gdy ktoś obok niej przechodził. Cierpliwie i posłusznie jak dziecko robiła wszystko, co jej Kanitz kazał. Podpisywała w

banku formularze, nawet nie rzuciwszy na nie okiem, i kwitowała bez namysłu sumy, których jeszcze w ogóle nie widziała, aż wreszcie Kanitza zaczęły dręczyć złe myśli, czy ta idiotka nie byłaby się zadowolila stu czterdziestoma, a może nawet stu trzydziestoma pięcioma tysiącami koron. Gdy jej prokurent radził nabycie papierów kolei żelaznej, powiedziała „dobrze”, gdy jej proponował akcje banku, powiedziała „dobrze”, a za każdym razem trwożliwie spoglądała na swą wyrocznie, Kanitza. Widać było wyraźnie, że wszystkie sprawy dotyczące interesów, wszystkie podpisy i formularze, a nawet widok pieniędzy wywołują w niej przykry niepokój oraz pewną trwożliwą cześć i że nieboraczka marzy o wydostaniu się z tych niezrozumiałych kombinacji, aby usiąść sobie cichutko w pokoju, czytać, robić na drutach albo grać na fortepianie, zamiast z niepewnością w sercu podejmować decyzje – nic z tego nie rozumiejąc.

Lecz Kanitz niezmordowanie ciągnął ją za sobą w tym sztucznym kręgu interesów, częściowo rzeczywiście dlatego, aby – jak przyrzekł – pomóc jej w najkorzystniejszym ulokowaniu osiągniętej sumy, częściowo aby ją oszołomić. Trwało to od dziewiątej rano do pół do szóstej wieczorem. Wreszcie oboje byli tak wyczerpani, że zaproponował jej odpoczynek w którejś kawiarni. Sprawy najważniejsze zostały już przecież załatwione, a sprzedaży prawie dokonano; jeszcze tylko o siódmej miała podpisać u notariusza umowę i dostać gotówkę. Twarz dziewczyny natychmiast się rozjaśniła.

– Ach w takim razie mogłabym wyjechać już jutro rano? – chabry jej oczu aż promieniały.

– Naturalnie – uspokoił ją Kanitz. – Za godzinę będzie pani wolna jak ptak i nie potrzebuje się kłopotać ani o pieniądze, ani o posiadłość. Sześć tysięcy koron renty ma pani świetnie ulokowane i może sobie pani teraz mieszkać na całym świecie, gdzie i jak się pani podoba.

Z grzeczności zapytał ją, dokąd ma zamiar pojechać. Na rozjaśnioną twarz spadł cień.

– Myślę, że na razie zrobię najlepiej, jeżeli pojedę do krewnych w Westfalii. Zdaje mi się, że jutro rano idzie jakiś pociąg przez Kolonię.

Kanitz gorąco się tym zainteresował. Kazał podać rozkład pociągów i wyszukał oraz zestawiał wszystkie połączenia: pospiesznym z Wiednia przez Frankfurt do Kolonii, a potem przesiąść się w Osnabrück. Najlepiej jutro rano o dziewiątej dwadzieścia, żeby nazajutrz wieczorem być we Frankfurcie,

gdzie należałoby przemocować, aby się nie przemęczyć. Z nerwowym pośpiechem przerzucał kartki i w dziale ogłoszeń znalazł jej od razu pensjonat ewangelicki. Niech się też nie troszczy o bilet – on sam wszystko załatwi i z całą pewnością odprowadzi ją jutro na dworzec. Na takich rozmowach czas przeszedł prędzej, niż przypuszczał. Można było wreszcie spojrzeć na zegarek i spiesźnie nalegać:

– No, musimy już iść do rejenta.

W przeciągu niecałej godziny wszystko zostało załatwione. W przeciągu niecałej godziny nasz przyjaciel oskubał spadkobierczynię z trzech czwartych majątku. Gdy adwokat, jego sojusznik i wspólnik, ujrzał w akcie nazwę pałacu Kekesfalva a przy tym minimalną cenę kupna, ukradkiem, nie zwracając uwagi panny Dietzenhof, z podziwem mrugnął w stronę swego starego kompana. Koleżeńskie to zdziwienie znaczyło w słowach: „Wspaniale, łajdaku! To ci się udało!” Rejent również z zainteresowaniem spojrzął znad okularów na pannę Dietzenhof. I on, jak wszyscy, znał z gazet walkę o spadek po księżnej Orosvár, toteż jako prawnikowi spieszna ta sprzedaż wydała mu się nienaturalna. „Biedaczko – pomyślał – wpadłaś w złe ręce!” Lecz do obowiązków notariusza nie należy przy zawieraniu aktu kupna ostrzeżenie sprzedawcy ani nabywcy. Powinien dokument ostemplować, akt sprzedaży wnieść do ksiąg i ściągnąć właściwe opłaty. Dobroduszny ten człowiek widywał już niejedną sprawę wątpliwej wartości, którą musiał ostemplować cesarskim orłem, toteż spuścił głowę, skrupulatnie rozwinął umowę sprzedaży i grzecznie poprosił pannę Dietzenhof, aby ją pierwsza podpisała. Nieśmiałe stworzenie złękło się. Z wahaniem spojrzała na swego mentora, Kanitza, i dopiero na jego skinienie zbliżyła się do stołu i podpisała dokument swym porządnym, wyraźnym, prostopadłym gotykiem: Anna Beata Maria Dietzenhof. Po niej podpisał sam Kanitz. Wszystko więc zostało załatwione, akt przygotowany, należna suma doręczona rejentowi, ustalone konto bankowe, na które dnia następnego miała zostać przekazana. Jednym posunięciem pióra podwoił Kanitz, a nawet potroił swój majątek, został jedynym, wyłącznym panem, właścicielem Kekesfalvy.

Rejent troskliwie osuszył wilgotne podpisy, po czym wszyscy troje uścisnęli sobie ręce. Zeszli schodami na dół. Pierwsza szła panna Dietzenhof, za nią wstrzymując oddech Kanitz, mający za sobą doktora Golingera, przy czym kompan denerwował Kanitza do najwyższego stopnia, gdyż stale uderzał go laską z tyłu w plecy i swym ochryplym od piwa głosem mruczał (to tylko słyszał Kanitz): „Ach, ty łotrze! Ty łajdaku!” Kanitzowi

zrobiło się nieprzyjemnie, gdyż doktor Golinger już w bramie domu pożegnał się ironicznym, niskim ukłonem, pozostawiając go sam na sam z jego ofiarą, co go wprost przerażało.

Musi pan, panie poruczniku, zrozumieć tę niespodziewaną zmianę w nastroju. Nie chciałbym się wyrazić patetycznie, mówiąc, że w naszym przyjacielu zbudziło się nagle sumienie, lecz od owego pociągnięcia piórem sytuacja między obydwojema partnerami zdecydowanie się zmieniła. Proszę pomyśleć: przez dwa dni Kanitz jako kupiec walczył z tą biedną dziewczyną jako sprzedawczynią. Była jego przeciwniczką, którą musiał strategicznie podchodzić, oblegać i zmusić do kapitulacji, ale teraz ten finansowo-wojskowy manewr był skończony. Napoleon-Kanitz zwyciężył, zwyciężył całkowicie i dlatego owa biedna, cicha dziewczyna, idąca obok niego w skromnej sukience, nie była już jego przeciwnikiem, wrogiem. Dziwnie to może brzmieć, lecz w chwili tak szybko odniesionego zwycięstwa przykro uderzył naszego przyjaciela fakt, iż jego ofiara zbyt mu to zwycięstwo ułatwiła. Człowiek, popełniający nieprawość, czuje w jakiś dziwny sposób ulgę, wynajdując coś lub wyobrażając sobie, że oszukany również w jakiejś drobnostce postąpił źle lub niewłaściwie; gdy można oszukanemu przypisać chociażby małą winę, sumienie nasze bywa odciążone. Lecz Kanitz nie mógł swej ofierze zarzucić nic, absolutnie nic. Ze skrzepowanymi rękami poddała mu się całkowicie, a przy tym swymi chabrowymi oczami ustawicznie spoglądała ku niemu z wdzięcznością i zaufaniem. Cóż mógłby jej teraz powiedzieć? Może powinszować sprzedaży, a raczej straty? Robiło mu się coraz nieprzyjemnie). „Odprowadzę ją jeszcze do hotelu – zastanawiał się szybko – a potem koniec, raz na zawsze koniec!”

Lecz i ofiara u jego boku wydawała się jakaś niespokojna. I jej krok stał się również niepewny, wahający. Uwagi Kanitza – jakkolwiek głowę miał spuszczone – nie uszła ta zmiana. Po sposobie, w jaki ociągając się szła naprzód (nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz), czuł, że dziewczyna z wysiłkiem nad czymś się zastanawia. Zdjął go przestraszony. „Dopiero teraz zrozumiała – powiedział sobie – że to ja jestem kupcem... Prawdopodobnie zaczną mi teraz robić wyrzuty, prawdopodobnie już żałuje swego głupiego pośpiechu i może już jutro z rana poleci do adwokata”.

Lecz nagle, gdy przeszli wspólnie, niby milczące cienie, całą ulicę, panna Dietzenhof zebrała odwagę, chrząknęła i odezwała się:

– Przepraszam pana bardzo... lecz ponieważ już jutro wyjeżdżam, chciałabym wszystko uporządkować.... Chciałabym panu przede wszystkim

podziękować za tyle starań i... i... prosić pana, aby mi był łaskaw powiedzieć od razu... ile jestem panu winna za tyle fatygi? Stracił pan mnóstwo czasu przy tym pośrednictwie, a ja... ja wyjeżdżam jutro rano... wolałabym wszystko uporządkować.

Naszemu przyjacielowi z wrażenia stanęło serce, a nogi wrosły w ziemię. Tego było już za dużo! Na to nie był przygotowany. Ogarnęło go przykre uczucie, jakie się miewa, gdy w złości bijąc psa widzi się nagle, że zwierzę czołga się na brzuchu, patrzy na pana błagalnym wzrokiem i liże okrutną rękę.

– Nie, nie – bronił się zmieszany – nic... absolutnie nic mi pani nie jest winna – i poczuł, że się poci.

Spotkało go coś, na co nigdy nie liczył. Jemu, który przyzwyczajony był od lat do przewidywania każdej reakcji z góry, zdarzyło się coś zupełnie nowego! W czasie gorzkich doświadczeń ze swej kariery agenta znał zamykanie mu drzwi przed nosem, znał niedostrzeżenie jego ukłonu, a nawet w niektórych dzielnicach były ulice, które wolał omijać – ale żeby mu ktoś dziękował? Nie, to mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Po prostu zawstydził się przed tym pierwszym człowiekiem, który mimo wszystko, mimo wszystko tak mu ufał. Uczuł nagle potrzebę, aby się usprawiedliwić.

– Nie – wyjąkał – ależ... na litość Boga, nie!... Nic mi pani nie jest winna... nic nie przyjmę... Mam tylko nadzieję, że zrobiłem wszystko dobrze i postępowałem zgodnie z pani życzeniami. Może by było lepiej poczekać... tak, sam zaczynam się tego obawiać. Bo może... może... dostałoby się trochę więcej, gdyby się pani tak nie spieszyła. Ale pani chciała przecież sprzedać majątek jak najprędzej, a myślę, że tak lepiej się stało dla pani. Jak Boga kocham, lepiej tak dla pani! – Odetchnął swobodnie i doprawdy był w tej chwili szczery. – Ktoś, kto jak pani wcale się na interesach nie zna, najlepiej robi, trzymając się od nich z daleka. Powinien... powinien raczej mieć mniej, ale coś pewnego. Tylko niech się pani – przełknął gwałtownie – niech się pani, proszę o to usilnie, niech się pani teraz nie pozwoli zagadać innym, jeżeli będą chcieli w panią wmówić, że sprzedała pani źle albo za tanio. Po każdej sprzedaży zjawiają się rozmaici pośrednicy, narzucający się i przekonujący, że daliby więcej, o wiele więcej, ale gdy do czego dochodzi – nie płacą. Wkręciliby pani weksle albo zobowiązania i udziały... To nie byłby dla pani dobry interes, naprawdę, przysięgam pani, to nie jest dla pani. Aby zawierać interesy, trzeba... trzeba być twardym właśnie jak pieniądze, a przy tym zręcznym i doświadczoneym... A pani taka nie jest. Dla pani lepiej mieć

mniej, ale coś pewnego... I pieniądze ulokowane są doskonale, przysięgam pani, przysięgam na wszystko, bo bank jest pierwszorzędny i pieniądze w nim są pewne. Będzie pani co do godziny otrzymywała regularnie swą rentę i nic temu nigdy nie stanie na przeszkodzie. Proszę mi wierzyć... przysięgam pani... lepiej tak dla pani!

Doszli tymczasem do hotelu. Kanitz zawahał się: „Powiniennem ją przynajmniej gdzieś zaprosić – pomyślał – może na kolację albo do teatru?” Ale panna Dietzenhof wyciągnęła do niego obie ręce.

– Sądzę, że nie wolno mi dłużej pana zatrzymywać. Już i tak bardzo mi przykro, że się pan przez wszystkie te dni tak poświęcał. Przez dwa dni zajmował się pan wyłącznie moimi sprawami i doprawdy mam uczucie, że nikt nie uczyniłby tego z większym oddaniem. A więc raz jeszcze... dziękuję, dziękuję panu bardzo. Jeszcze nigdy – lekko się zarumieniła – nigdy jeszcze nikt nie był dla mnie taki dobry i troskliwy... Nie przypuszczałam, że tak szybko uwolniona będę od całej tej sprawy, że mi ktoś to wszystko tak ułatwi... dziękuję, dziękuję bardzo!

Kanitz ujął jej rękę zmuszony teraz spojrzeć wprost na nią. Ciepłe uczucie stopiło trochę jej zwykle onieśmienie. Błada i zazwyczaj wystraszona twarz jaśniała blaskiem ożywienia i przybrała wygląd dziecięcy; pełne wyrazu oczy błękitniały, a małe usta uśmiechały się dziękczynnie. Kanitz daremnie szukał jakiegoś słowa. Ale panna Dietzenhof skinęła mu już głową i odeszła lekka, smukła, spokojna; zmienił się też jej chód, były to teraz kroki człowieka odciążonego, uwolnionego. Kanitz niepewnie patrzył za nią. Wciąż jeszcze miał uczucie, że musi jej coś powiedzieć. Lecz oto portier podał jej klucz, chłopiec zaprowadził ją do windy... Skończone!

Było to pożegnanie ofiary z oprawcą, ale Kanitz miał uczucie, że topór uderzył w jego własną głowę; oghuszony stał przez chwilę i patrzył w pusty hall. Wreszcie wartki potok ulicy zagarnął go ze sobą, ale nowy właściciel Kekesfalvy nie wiedział, dokąd idzie. Jeszcze nigdy żaden człowiek nie patrzył na niego tak po ludzku, tak dziękczynnie. Jeszcze nikt nigdy tak do niego nie przemówił. Ciągłe dźwięczało mu w uszach: „Dziękuję panu bardzo!”, a właśnie tego człowieka ograbił, akurat tego oszukał! Co chwila stawał i ocierał sobie pot z czoła. Aż nagle w wielkim oknie wystawowym, obok którego przechodził zataczając się jak we śnie, ujrzał własną twarz. Wpatrzył się w siebie, jak patrzy się na fotografię przestępcy w gazecie, aby dojrzeć, w czym maluje się wyraz przestępczości: w wydatnej brodzie, w złym wyrazie ust czy w twardym spojrzeniu. Wpatrywał się w siebie, widząc za

szkłami okularów własne trwożliwie rozwarte oczy, i nagle przypomniał sobie tamte, niedawno oglądane, „Człowiek powinien mieć właśnie takie oczy – pomyślał wzruszony – nie takie w czerwonych obwódkach, chciwe i nerwowe! Powinno się mieć oczy niebieskie, błyszczące, uduchowione wewnętrzną wiarą. (Matka tak czasem patrzała, przypominał sobie, w piątkowe wieczory...). Tak, takim człowiekiem powinno się być; raczej niech mnie oszukują, niż żebym ja miał oszukiwać – powinno się być przyzwoitym, ufnym, prostym. I tylko takiemu Bóg błogosławi. Wszystkie moje mądrości – rozmyślał – nie uszczęśliwiły mnie; jestem zdruzgotanym, zapędzonym człowiekiem”. I poszedł dalej ulicą; poszedł obcy samemu sobie, a nigdy w życiu nie czuł się tak biedny jak właśnie w owym dniu swego największego triumfu.

Wreszcie usiadł w kawiarni, mając wrażenie, że jest głodny, i zamówił jedzenie. Ale czuł wstręt do każdego kęsa. „Zaraz ten pałac sprzedam – rozmyślał zapatrzony przed siebie – sprzedam go dalej. Po co mi majątek ziemski, przecież nie jestem rolnikiem. Mam samotny mieszkać w osiemnastu pokojach i klócić się z tym łajdakiem rządcą? Zrobiłem głupstwo, trzeba było Kekesfalwę kupić dla Towarzystwa Hipotecznego i nie występować pod własnym nazwiskiem... bo gdy kiedyś wyjdzie na jaw, że to ja byłem kupcem... Zresztą wcale nie mam zamiaru zarobić na tym dużo! Jeżeli się zgodzi, oddam jej cały majątek za dwadzieścia lub nawet za dziesięć procent zysku. Jeżeli żałuje, może go ode mnie w każdej chwili odkupić”.

Myśl ta jakoś go uspokoiła. Jutro jej o tym napisze, a zresztą może przecież zaraz rano, zanim odjedzie, zaproponować jej ten interes. Tak, to była droga właściwa: z własnej woli dać jej opcję na odkupienie majątku. Sądził, że teraz będzie mógł spać spokojnie. Ale mimo ostatnich dwóch bezsennych nocy Kanitz i tę przespał źle; ciągle dźwięczało mu w uszach to „bardzo”, to „dziękuję panu bardzo”, wypowiedziane obcym akcentem, ale przepojone szczerością, i wzburzenie doprowadzało Kanitza do nerwowego drżenia. Żaden interes w ciągu dwudziestu pięciu lat nie sprowadził na naszego przyjaciela tylu trosk, ile ten największy, najszcześniejszy, najbezwzględniejszy.

O wpół do ósmej stał już na ulicy. Wiedział, że pociąg pospieszny odchodzi o dziewiątej dwadzieścia. Zamierzał naprędce kupić trochę czekolady lub bombonierkę; pragnął zobaczyć gest uznania, a może nawet w skrytości ducha chciał usłyszeć jeszcze raz te nowe dlań słowa: „Dziękuję

panu bardzo!” – wypowiedziane wzruszającym, obcym akcentem. Kupił duże pudełko, najpiękniejsze i najdroższe, jakie mógł dostać, ale żadne nie wydało mu się dość ładne jako upominek pożegnalny. Dlatego w najbliższym sklepie kupił kwiaty, ogromny jaskrawoczerwony pęk róż. Z paczkami w prawej i lewej ręce wrócił do hotelu i kazał portierowi natychmiast posłać to wszystko panie Dietzenhof do pokoju. Ale portier, wiedeńskim zwyczajem nadając mu tytuł z góry, odrzekł uprzedzając go:

– Proszę bardzo, panie baronie, tak jest, panie baronie, ale jaśnie pani jest już na śniadaniu.

Kanitz przez chwilę się zastanawiał. Pożegnanie wczorajsze wzburzyło go do tego stopnia, iż obawiał się, że nowe spotkanie mogłoby zaćmić jego wspomnienie, a jednak zdecydował się i trzymając bombonierkę oraz kwiaty w obydwóch rękach, wszedł do restauracji hotelowej.

Siedziała odwrócona tyłem. Nie widząc nawet jej twarzy wyczuł coś tak wzruszającego w skromnej i spokojnej pozycji, w jakiej szczupła postać samotnie siedziała za stołem, że mimo woli ogarnęło go dziwne ciepło. Nieśmiało zbliżył się i szybko położył przed nią bombonierkę oraz kwiaty:

– Drobnostka... na podróż...

Przestraszona podniosła głowę i mocno się zaczerwieniła. Po raz pierwszy w życiu dostawała od kogoś kwiaty, bo właściwie tylko jeden jedyny raz któraś z krewnych jej chlebodawczyni, czyhających na spadek, posłała jej do pokoju kilka nędznych róż, w nadziei, że zdobędzie sobie w niej sojuszniczkę, ale wściekła bestia, księżna, natychmiast kazała je odesłać. A teraz przyszedł ktoś z własnej woli i przyniósł jej kwiaty, a nikt nie mógł zabronić, aby je przyjęła.

– Ach, Boże – wyjąkała – skądże... dla mnie? To bardzo... bardzo ładnie z pańskiej strony.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Czy był to refleks od kwiatów, czy napływ krwi – w każdym razie różowy odblask pokrył zmieszana twarz. Starzejąca się panna wyglądała w tej chwili prawie ładnie.

– Może pan usiądzie? – rzekła zakłopotana i Kanitz niezręcznie usiadł naprzeciwko niej.

– Więc naprawdę pani wyjeżdża? – spytał, a w głosie mimo jego woli drgał ton szczerego żalu.

– Tak – odparła i spuściła głowę.

Nie było w owym „tak” ani radości, ani smutku, ani nadziei, ani zawodu. Wypowiedziane było cicho, z rezygnacją, bez jakiegokolwiek specjalnej intonacji.

Zmieszany, pragnąc jej w jakiś sposób oddać usługę Kanitz spytał, czy zawiadomiła już kogoś telegraficznie o swym przyjeździe. Nie, och, nie, to przecież tylko by tamtych wystraszyło, bo przez całe lata nie dostają znikąd depesz.

Ale to są chyba jej bliscy krewni – pytał Kanitz dalej.

Bliscy? Nie, wcale nie. W pewnym sensie jest to jej siostrzenica, córka zmarłej przyrodniej siostry. Jej męża w ogóle nie zna. Mają mały mająteczek z pasieką i oboje napisali do niej bardzo życzliwie, że może u nich dostać pokój i pozostać, jak długo będzie chciała.

– Ale co pani będzie robiła w takiej dziurze? – spytał Kanitz.

– Nie wiem – odrzekła ze spuszczonej oczami.

Nasz przyjaciel stopniowo zaczął się ożywiać. Tyle pustki i opuszczenia było wokół tej istoty, tyle rezygnacji malowało się w bezradności, z jaką poddawała się losowi, że przypomniało mu to jego samego, jego nieustanne, bezdomne życie. W bezcelowości egzystencji tej kobiety czuł własną bezcelowość.

– Ale to przecież nie ma sensu! – rzekł nieomal gwałtownie. – Nie powinno się mieszkać u krewnych, to niedobrze. A zresztą nie potrzebuje już pani zagrzebywać się w takiej małej dziurze.

Spojrzała na niego wdzięcznie i ze smutkiem.

– Owszem – westchnęła – trochę się tego boję. Ale co mam robić?

Powiedziała to jakoś bezdźwięcznie i podniosła na niego błękitne oczy jakby się spodziewała jakiejś rady. (Właśnie wczoraj Kanitz mówił sam do siebie, że człowiek powinien mieć takie oczy). I nagle, nasz przyjaciel sam nie wiedział, jak to się stało, zjawiała się myśl zmuszająca go do wypowiedzenia:

– Więc niechże pani lepiej zostanie tutaj! – i mimo woli ciszej: – Niech pani zostanie ze mną.

Wlepiała w niego oczy z takim przestraszaniem, że dopiero teraz pojął, że powiedział coś, czego właściwie nie pragnął. Słowa spłynęły mu z warg bez

zwykłego wyrachowania, obliczenia i kontroli. Pragnienie, którego dokładnie sam jeszcze sobie nie uświadomił, przyoblekło się w głos, w nastrój, w intonację. Poznał po jej gwałtownym rumieńcu, co powiedział i natychmiast przeraził się, że mogłaby go źle zrozumieć. „Pewno pomyślała – wystraszył się – że chcę, aby została tu jako moja kochanka!” I aby nie dopuścić do zrodzenia się w niej myśli, która by ją mogła obrazić, dodał spieszenie:

– Niech pani zostanie jako... jako moja żona.

Panna Dietzenhof drgnęła i wyprostowała się. Usta jej drżały, gotowe nie wiadomo, czy do płaczu, czy do złego słowa. Nagle zerwała się i wybiegła z pokoju.

Był to najstraszliwszy moment w życiu naszego przyjaciela. Dopiero teraz zrozumiał niezręczność, jaką popełnił. Poniżył, obraził, dotknął dobre stworzenie, jedyne, które obdarzyło go zaufaniem. Bo jakżeż on, człowiek już prawie stary, Żyd, nędzny, nieładny, przeciętny agent, kombinator, mógł zbliżyć się do istoty tak wytwornej duchowo, tak delikatnej i subtelnej! Mimo woli przyznał jej rację, że uciekła z takim wstrętem. „Słusznie – powiedział sobie posępnie – dobrze mi tak! Na koniec mnie poznała, nareszcie okazała pogardę, na jaką zasługuję. Lepiej się stało, niż gdyby mi dziękowała za moje łajdactwo”. Nie był absolutnie tą ucieczką obrażony, przeciwnie – sam mi się do tego przyznał! – czuł się w tej chwili po prostu zadowolony. Czuł, że go ukarano. Słusznie od tej chwili będzie myślała o nim z pogardą, jaką sam dla siebie odczuwa.

Lecz panna Dietzenhof niespodziewanie zjawiała się znowu we drzwiach; miała mokre oczy i była głęboko wzburzona. Gdy zbliżyła się do stołu, ramiona jej drżały. Musiała obydwoma rękami przytrzymać się krzesła, zanim usiadła. Nie podnosząc oczu i ledwo oddychając szepnęła:

– Przepraszam... Proszę mi wybaczyć moją niegrzeczność... że się tak zerwałam, ale tak się przeraziłam! Bo jakżeż pan może? Przecież pan mnie wcale nie zna... Nie zna mnie pan wcale...

Kanitz zbyt był zdumiony, żeby odpowiedzieć. Ze wzruszeniem zobaczył tylko, że nie była zła, ale przestraszona, że bezsensownością tych nagłych oświadczeń była równie przerażona jak on sam. Żadne nie miało odwagi, aby się odezwać, aby spojrzeć na siebie. Lecz owego ranka panna Dietzenhof nie wyjechała i odtąd całe dni przebywali razem. Po trzech tygodniach Kanitz powtórzył swą propozycję i pobrali się po dwóch miesiącach.

Doktor Condor przerwał.

– No, ostatni łyk, a jednocześnie koniec historii. I jeszcze jedno: plotkują tu po okolicy, że nasz przyjaciel chytrze zakradł się w łaski spadkobierczyni i ożenił się z nią, by zawładnąć jej majątkiem. Powtarzam, to nieprawda! Jak pan teraz wie, Kanitz miał już wówczas pałac w ręku, nie potrzebował się z nią żenić i w jego małżeństwie nie było ani krzty wyrachowania. Nigdy by ten drobny agent nie znalazł dość odwagi, aby świadomie starać się o tę błękitnooką wytworną dziewczynę – mimo woli zaskoczyło go własne uczucie, uczucie szczere, które – o dziwo! – pozostało tak głębokie do końca.

Z absurdałnego tego pomysłu wywiązało się rzadko szczęśliwe małżeństwo. Z przeciwności, o ile dopełniają się odpowiednio, wynika zawsze doskonała harmonia, a pozornie dziwaczne sprawy okazują się często najbardziej naturalne. Pierwszą reakcją uczuciową tej niespodzianej pary był oczywiście wzajemny strach przed sobą. Kanitz drżał, aby ktoś nie doniósł jej o jego ciemnych aferach, bo w ostatniej chwili mogłaby go była od siebie pogardliwie odepchnąć. Z niesamowitą energią robił wszystko, aby swą przeszłość ukryć. Zaniechał wszelkich dwuznacznych kombinacji, ze stratą pozbył się wszystkich posiadanych weksli i odsunął się od dawnych kompanów. Ochrzcił się, wybrał sobie wpływowego chrzestnego ojca, a przy pomocy wysokiej sumy pieniężnej osiągnął, iż do nazwiska Kanitz pozwolono mu dodać szlachetniej brzmiące „von Kekesfalva”; zaś jak zwykle przy takich zmianach dawne nazwisko wkrótce bez śladu znikło z kart wizytowych. Jednak aż do ślubu żył pod wrażeniem, że dziś, jutro, pojutrze narzeczona mogłaby mu z przerażeniem cofnąć swe zaufanie. Zaś ona, której dawniejsza pani, bestia, przez dwanaście lat zarzucała dzień w dzień niedołęstwo, głupotę, złośliwość i ograniczenie, łamiąc w dziewczynie z diabelską tyranią wszelkie poczucie własnej wartości, czekała, aby jej nowy władca zaczął ją też ustawicznie łajać, drwić z niej, poniżać ją i wrzeszczeć. Z góry zrezygnowana, liczyła na niewolnictwo jak na los nieunikniony. Lecz oto cokolwiek zrobiła, było właściwe! Człowiek, któremu oddała w ręce swe życie, codziennie jej dziękował traktując ją stale z pełną czci nieśmiałością. Młoda kobieta była zdumiona – nie mogło jej się pomieścić w głowie tyle tkliwości. Stopniowo na wpół zwiędła dziewczyna rozkwitła, wyładniała i z lekka się zaokrągliła. Minał rok i dwa, zanim odważyła się uwierzyć, że i ona, ta pogardzana, kopana i uciemieżana, mogła cieszyć się szacunkiem i miłością

jak wszystkie inne kobiety. Lecz prawdziwe szczęście zaczęło się dla obojga dopiero z przyjściem na świat dziecka.

Kekesfalva rzucił się w owych latach ze wzmożoną energią w wir interesów. Nie był już małym agentem – jego praca nabrała rozmachu. Zmodernizował cukrownię, zakupił udziały w walcowni w Wiener Neustadt i przeprowadził ową świetną transakcję w kartelu spirytusowym, o której wówczas dużo mówiono. Fakt, że stał się teraz bogaty, rzeczywiście bogaty, nic nie zmienił w odosobnionym, oszczędnym życiu tej pary. Jak gdyby nie chcąc zbyt przypominać się ludziom, rzadko zapraszali gości, a dom, który przecież pan zna, wyglądał wtedy bez porównania skromniej i bardziej po wiejsku. Był też, co prawda, o wiele szczęśliwszy niż dzisiaj!

Bo oto nadszedł pierwszy cios. Już od dłuższego czasu pani Kekesfalva cierpiała na bóle wewnętrzne; jedzenie napawało ją wstrętem, schudła i stawała się coraz bardziej zmęczona, coraz bardziej wyczerpana. Z obawy jednak, aby zaabsorbowanego interesami męża nie zajmować swą mało znaczącą osobą, zaciskała usta, gdy nadchodził atak, i w milczeniu znosiła straszne bóle. Gdy okazało się wreszcie, iż nie może nadal cierpieć w skrytości, było już za późno. Przewieziono ją w pozycji leżącej do Wiednia, aby zoperować wrzód w żołądku, który w rzeczywistości był rakiem. Wtedy właśnie poznałem się z Kekesfalwą, a nigdy u nikogo nie widziałem tak straszliwej, tak tragicznej rozpacz. Nie mogłem, po prostu nie chciałem zrozumieć, że medycyna nie może już uratować jego żony. Okoliczność, iż nic już nie robiliśmy, nic zrobić nie mogliśmy, uważał za niedbalstwo, za obojętność, za nieudolność lekarzy. Dawał profesorowi pięćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy koron, aby ją wyleczył. W dzień przed operacją telegraficznie sprowadził z Budapesztu, z Monachium i z Berlina największe sławy, aby tylko znaleźć kogoś, kto orzekłby, iż można ją od noża uchronić. Nigdy w życiu nie zapomnę jego błędnych oczu, gdy krzyczał, że jesteśmy wszyscy mordercami, bo pacjentka, której nie można już było uratować, skonała, jak przewidywano, pod nożem.

Stało się to w życiu Kekesfalwy punktem zwrotnym. Od owego dnia coś się zmieniło w tym ascecie świata interesów. Umarł bóg, któremu służył od dziecka – pieniądź. Teraz pozostało mu na ziemi tylko jedno – dziecko. Zgodził guwernantki i służbę, kazał przebudować dom, a żaden luksus obecnie nie wydawał się temu tak oszczędnemu człowiekowi za duży. Woził dziewięcioletnią, a potem dziesięcioletnią dziewczynkę do Nicei, Paryża i Wiednia, rozpieszczał ją i psuł z małpią miłością, a tak samo namiętnie, jak

zbierał dotychczas pieniądze, teraz pogardliwie rozrzucał je dookoła. Może nawet ma pan pewną słuszość, nazywając go wytwornym i szlachetnym, gdyż rzeczywiście od wielu lat ogarnęła go niezwykła obojętność dla strat i zysków. Nauczył się pogardzania pieniędzmi od czasu, gdy wszystkie te miliony nie mogły mu żony uratować.

Robi się późno, nie będę więc panu malował bałwochwalczego uwielbienia, jakim otoczył swe dziecko. Lecz było to zrozumiałe, bo dziewczynka wyrastała na uroczą panienkę o postaci rusałki, delikatnej i wiotkiej, o szarych oczach, promieniejących jasno i przyjaźnie. Po matce odziedziczyła nieśmiałą łagodność, po ojcu przenikliwy rozum. Pogodna, dla każdego życzliwa, rozkwitała z przedziwną swobodą, właściwą jedynie dzieciom, które nigdy nie doświadczyły od życia wrogości i zła. Toteż każdy, kto widział zmianę w tym starszym człowieku, nie spodziewającym się, że z jego ciężkiej, ciemnej krwi zrodzi się takie swawolne, miłe światu stworzenie, mógł zrozumieć jego rozpacz, gdy spadło nań to drugie nieszczęście. Nie mógł, nie chciał pojąć – jak i dzisiaj! – że właściwie to dziecko, jego dziecko dotknął taki cios, że miało pozostać kaleką. Doprawdy, waham się, czy zdradzić tu wszystkie nonsensy, jakie obecnie popełnia w swej fanatycznej desperacji. Nie trzeba nadmieniać, że doprowadza do rozpacz wszystkich lekarzy świata swą natarczywością, że najfantastyczniejszymi sumami usiłuje wymóc natychmiastowe uzdrowienie chorej, że co drugi dzień telefonuje do mnie najzupełniej bezcelowo i tylko po to, aby uśmierzyć swą szalejącą niecierpliwość. Jeden z kolegów opowiadał mi niedawno w zaufaniu, że starzec co tydzień przesiaduje w bibliotece uniwersyteckiej wśród studentów, wypisuje sobie bezradnie wszystkie obce słowa z leksykonu, a potem całymi godzinami wertuje podręczniki medyczne łudząc się próżną nadzieją, że może on sam znajdzie coś, czego lekarze nie dojrżeli lub o czym zapomnieli. Z innej strony opowiedziano mi – zapewne się pan uśmiechnie, lecz dziwaczność pomysłu zawsze zdradza rozmiar namiętności – iż zarówno synagodze, jak tutejszemu proboszczowi obiecał wielkie sumy jako ofiarę za wyzdrowienie dziecka. W niepewności, do którego Boga ma się zwrócić – do opuszczonego Boga ojców, czy do nowego – gnany okrutnym strachem, że mógłby zepsuć sprawę bądź u tego, bądź u tamtego, zaprzysiągł się obydwom jednocześnie. Ale – pan mnie rozumie? – nie opowiadam panu tych szczegółów, graniczących ze śmiesznością, wyłącznie z chęci szerzenia plotek. Chciałbym, aby pan zrozumiał, co znaczy dla tego złamanego, zmarnowanego człowieka ktoś, kto w ogóle go słucha, ktoś, w kim czuje wyrozumiałość dla swego bólu lub kto przynajmniej chce go zrozumieć.

Wiem, że czasem ciężko z nim wytrzymać wobec jego natarczywości, jego egocentrycznego opętania, dzięki któremu wydaje mu się, iż na całym naszym świecie, przepelnionym przecież po brzegi niedolą, istnieje tylko jego nieszczęście, nieszczęście jego dziecka. Ale właśnie teraz, właśnie teraz nie wolno go opuścić, bo szalejąca bezradność doprowadza go już do choroby. Pan, kochany panie poruczniku, pan doprawdy, doprawdy robi dobry uczynek, wnosząc trochę swej młodości, witalności i beztroski w ten tragiczny dom. Tylko więc dlatego, tylko z obawy, że ktoś inny mógłby na pana źle wpłynąć, opowiedziałem panu więcej z prywatnego życia Kekesfalvy, niżby właściwie należało. Ale sądzę... mam chyba prawo wierzyć, iż wszystko, z czego się panu zwierzyłem, pozostanie ściśle między nami?

– Oczywiście! – rzuciłem machinalnie.

Było to pierwsze słowo, jakie wyrzekłem przez cały czas jego opowiadania. Byłem oszołomiony, i to oszołomiony nie tylko zdumiewającymi wiadomościami, które całkowicie zmieniały moje wyobrażenie o panu von Kekesfalva – zaskoczyła mnie jednocześnie własna głupota i naiwność. Mając lat dwadzieścia pięć szedłem zatem przez świat z zawiązanymi oczami! Będąc od kilku tygodni codziennym gościem w tym domu, byłem całkowicie zaślepiony swą litością i przez głupią dyskrecję nie odważyłem się nigdy zapytać ani o chorobę, ani o matkę, której nieobecność w domu była przecież widoczna. Nie zapytałem też, skąd pochodzi bogactwo tego dziwnego człowieka. Jakżeż mogłem nie dojrzeć, że te matowe, migdałowe, melancholijne oczy nie są oczami węgierskiego arystokraty, że jest to bystre, a zarazem zmęczone spojrzenie rasy żydowskiej trwającej od tysiący lat w tragicznej walce! Jak mogłem nie dostrzec, iż w Edycie ujawniają się inne elementy! Jak mogłem nie odczuć, że w tym domu musiało być coś tajemniczego, obciążonego dziwną przeszłością! Z szybkością błyskawicy przypomniałem sobie cały szereg szczegółów: nasz pułkownik odpowiedział kiedyś na ukłon Kekesfalvy zimnym spojrzeniem, podnosząc do czapki ledwo dwa palce, zaś innym razem moi koledzy w kawiarni nazwali dziedzica Kekesfalvy „starym kombinatorem”! Czułem się jak człowiek, któremu w ciemnym pokoju odsłonięto gwałtownie okno i słońce rażąco zaświeciło mu w oczy, aż z nadmiaru oślepiającego blasku ujrzał pod powiekami czerwień i zatoczył się.

Jakby przeczuwając, co się ze mną dzieje, Condor nachylił się do mnie troskliwie. Jego mała, miękka ręka dotknęła uspokajająco, po lekarsku, mego ramienia.

– Nie mógł pan, naturalnie, o tym wiedzieć, panie poruczniku, bo skądże? Wychował się pan w świecie zamkniętym, całkowicie odosobnionym, a oprócz tego jest pan w tym szczęśliwym wieku, w którym człowiek jeszcze nie nauczył się patrzeć z nieufnością na dziwaczne sprawy. Niech mi pan jako starszemu wierzy: nie trzeba się wstydzic, jeżeli życie od czasu do czasu wystrychnie człowieka na dudka. To raczej łaska, gdy nie ma się jeszcze w spojrzeniu owej nadmiernej bystrości, owego diagnostycznego *malocchio*, i raczej z zaufaniem patrzy się na miłych bliźnich oraz na ich sprawy. W przeciwnym razie nie byłby pan nigdy w stanie tak istotnie pomóc temu starcowi i jego biednemu, choremu dziecku! Nie, niech się pan nie dziwi, a przede wszystkim proszę się nie wstydzic – powodowany instynktem, zrobił pan rzecz najwłaściwszą!

Rzucił niedopałek cygara w ką, przeciągnął się i odsunął fotel.

– Ale teraz, zdaje mi się, już czas na mnie.

Wstałem wraz z nim, jakkolwiek trochę kręciło mi się w głowie. Działo się ze mną coś dziwnego. Wzburzony byłem do najwyższego stopnia, a zdumiewające wiadomości wprowadziły mnie w stan jakiejś przeczulonej, wzmożonej czujności. Jednocześnie czułem w mózgu tępy ucisk. Przypomniałem sobie wyraźnie, iż w czasie opowiadania Condora chciałem go o coś zapytać, nie miałem jednak dość przytomności umysłu, aby mu przerwać: w którymś specjalnie ważnym miejscu miałem go spytać o jakiś szczegół. Teraz, gdy mogłem to pytanie zadać, uleciało mi całkowicie z pamięci; wzburzenie je zmiotło. Na próżno przechodziłem w myśli wszystkie fazy rozmowy, byłem jak człowiek, który czuje w ciele wyraźny ból i nie może go zlokalizować. Cały czas, idąc obok doktora przez na wpół opuszczoną winiarnię, starałem się usilnie przypomnieć sobie owo pytanie.

Wyszliśmy na ulicę i Condor spojrzał w górę.

– Aha – uśmiechnął się z pewną satysfakcją – właściwie tak przypuszczałem, bo światło księżyca było zbyt jaskrawe. Będzie burza, i to porządna! Trzeba się pospieszyć.

Miał słusność. Wprawdzie powietrze między śpiącymi domami stało jeszcze duszne i nieruchome, lecz po niebie pędziły od wschodu ciemne, nabrzmiałe chmury i pasmami zakrywały żółtawy, zmęczony księżyc. Połowę firmamentu zasnuły już ciemne chmury; skłębiona, metaliczna masa jak olbrzymi żółw pełzał na przód, od czasu do czasu roziskrzona daleką

błyskawicą, a przy każdym rozbłysku światła pomrukiwało coś groźnie, jak rozdrażnione, złe zwierzę.

– Za pół godziny będzie już lało – zaopiniował Condor. – Ja w każdym razie dojdę na dworzec jeszcze suchy, ale pan, panie poruczniku, niech pan zawróci, bo pan przemoknie.

Ja jednak wiedziałem, czułem wyraźnie, że muszę go wpierw o coś zapytać, a wciąż jeszcze nie mogłem sobie przypomnieć, co by to być mogło. Pamięć o tym zatonęła w głuchej czerni, jak księżyc w pędzącej nawale chmur. Jeszcze ciągle czułem niejasne pytanie, drgające mi w mózgu; było to uczucie podobne do stałego, świdrującego bólu.

– Nie, zaryzykuję – odparłem.

– No, to prędko. Im szybciej pomaszujemy, tym lepiej. Z takiego siedzenia nogi sztywnieją.

Nogi sztywnieją! Tak, to było owo pytanie. Błysk rozjaśnił najgłębsze tajniki mojej świadomości. Przypomniałem sobie natychmiast, o co chciałem Condora spytać, o co spytać go musiałem: zlecenie, zlecenie Kekesfalvy! Widocznie przez cały czas podświadomie myślałem o tym, żeby go zapytać, czy ów paraliż jest uleczalny; teraz trzeba je było zadać. Rozpocząłem z ostrożną idąc pustymi ulicami:

– Przepraszam, panie doktorze... Wszystko, co mi pan opowiedział, było naturalnie bardzo zajmujące... a dla mnie bardzo ważne. Toteż pan zrozumie, że właśnie dlatego chciałbym pana jeszcze o coś zapytać. O coś, co ciąży mi już od dawna. Pan jest lekarzem i zna chorobę jak nikt inny... a ja jestem laikiem i nie mam o niej właściwego wyobrażenia... Chciałbym się dowiedzieć, co pan właściwie o tym sądzi. Czy paraliż Edyty to choroba przejściowa, czy nieuleczalna?

Condor spojrzał na mnie raptownie i srogo. Szklą binokli zabłysły, ja zaś mimo woli cofnąłem się przed gwałtownością tego spojrzenia, które przeniknęło mnie jak igła. Czyżby podejrzewał, że jest to zlecenie Kekesfalvy? Czyżby się domyślał? Lecz doktor spuścił głowę i nie zwalniając szybkiego tempa, a nawet pędząc jeszcze szybciej, zamruczał:

– Naturalnie! Właściwie powinienem był na to być przygotowany! Na tym kończy się zawsze. Uleczalne czy nieuleczalne, czarne czy białe. Jak gdyby to było takie proste! Dwóch tych słów „zdrowy” i „chory” powinien przyzwoity, sumienny lekarz w ogóle nie wymawiać, bo gdzież zaczyna się

choroba, a gdzie kończy się zdrowie? A cóż tu mówić o „uleczalnym” i „nieuleczalnym”! Naturalnie oba te wyrażenia są w stałym użyciu i nie można się bez nich w praktyce obejść. Ale nigdy nie zmusi mnie pan do wypowiedzenia słowa „nieuleczalny”. Mnie nigdy! Wiem, że najmędrszy człowiek ubiegłego stulecia, Nietzsche, napisał straszliwe słowa: „Nie powinno się czynić wysiłków, aby leczyć chorych nieuleczalnie”, lecz jest to właściwie najbłędniejsze zdanie wśród wszystkich innych paradoksalnych i niebezpiecznych, jakie dał nam do rozwiązania. Właśnie przeciwne stanowisko jest słuszne i twierdzę dlatego, że właśnie leczyć należy nieuleczalnie chorych, i nawet jeszcze więcej – jedynie w wypadku tak zwanej nieuleczalności lekarz może okazać swą umiejętność. Lekarz, który akceptuje z góry pojęcie nieuleczalności, dezertuje przed swym właściwym zadaniem, kapituluje przed bitwą. Wiem oczywiście, iż łatwiej, wygodniej bywa w niektórych wypadkach po prostu orzec „nieuleczalny” i wykręcić się ze zrezygnowaną twarzą, chowając do kieszeni honorarium – tak, tak, bardzo to łatwe i dochodowe, gdy się ktoś zajmuje jedynie wypadkami prostymi i możliwymi do wyleczenia, gdy można w odpowiedniej księdze na stronie takiej a takiej przeczytać całą odpowiednią terapię. No, niech tak sobie postępuje każdy, komu sprawia to przyjemność! Mnie osobiście tego rodzaju postępowanie wydaje się równie bezsensowne, jak kiedy poeta usiłuje powiedzieć coś, co dawno już zostało powiedziane, zamiast próbować ujarzmić i ująć w słowa istotę czegoś, co nigdy jeszcze nie zostało sformułowane, a nawet w ogóle nie jest możliwe do uchwycenia. Przypomina to też filozofa, który po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty tłumaczy sprawę od dawna znaną, zamiast wglębiać się w Nieznane, w zawilość nierozwiązalną. Nieuleczalny! Nie jest to pojęcie absolutne, lecz względne; przypadki nieuleczalne są dla medycyny – jako dla wiedzy stale kroczącej naprzód – jedynie czymś chwilowym w naszych czasach, wobec poziomu nauki, a więc w zakresie naszej ograniczonej, ciasnej perspektywy... żaby! Ale nie chodzi tu przecież o chwilę obecną. W stu wypadkach, w jakich nie mamy jeszcze dzisiaj możliwości leczenia, nasza wiedza, pędząca w szalonym tempie może znaleźć terapię jutro lub pojutrze. Niechże więc pan łaskawie zapamięta – powiedział to z takim niezadowoleniem, jak gdybym go obraził – że dla mnie choroby nieuleczalne nie istnieją, że z zasady nie odstępuję żadnego chorego i że nikt nigdy nie zmusi mnie do wypowiedzenia słowa „nieuleczalny”. Mógłbym w ostateczności, w wypadku rozpaczliwym, nazwać chorobę „jeszcze nieuleczalną”, a więc nieuleczalną według stanu naszej dzisiejszej wiedzy.

Pędził takimi krokami, że z trudem mogłem za nim nadążyć. Nagle stanął.

– Może wyrażam się w sposób zbyt skomplikowany, zanadto abstrakcyjny. Takie sprawy rzeczywiście trudno wytłumaczyć w drodze między restauracją a dworcem. Może jednak mały przykład uzmysłowi panu tę myśl, fakt z mego życia osobistego, bardzo dla mnie bolesny. Przed dwudziestu dwoma laty byłem młodym studentem medycyny – mniej więcej w pana wieku – na czwartym semestrze. Nagle zachorował mój ojciec, człowiek dotąd silny, najzupełniej zdrowy i niezmordowanie czynny, którego namiętnie kochałem i uwielbiałem. Lekarze zaopiniowali: *diabetis* zna pan prawdopodobnie tę chorobę, cukrzycę, jedną z najokrutniejszych i najbardziej podstępnych, jakie spaść mogą na człowieka. Bez żadnej przyczyny organizm przestaje nagle przerabiać pożywki, nie przekazuje ciału tłuszczów i cukru, a chory żyjąc umiera z głodu, niszczeje. Nie chcę pana nudzić szczegółami, które mi zrujnowały trzy lata mej młodości... Ale niech pan posłucha – tak zwana wiedza nie знаła jeszcze wówczas kuracji przeciwdiabetycznej. Dręczono chorych specjalną dietą, ważono każdy gram, wymierzano każdy łyk, lecz doktorzy wiedzieli – ja zaś jako medyk wiedziałem równie dobrze – iż odsuwano tym jedynie koniec, że owe dwa, trzy lata okropnej udręki oznaczały marne zagłodzenie, gdy świat obfituje w potrawy i napoje. Może pan sobie z łatwością wyobrazić, że jako student, jako przyszły lekarz, biegałem od jednej sławy do drugiej i studiowałem wszystkie książki oraz dzieła specjalne. Lecz wszędzie odpowiadał mi w piśmie lub słowie nieznośny wyraz: nieuleczalny, nieuleczalny. Od owego dnia znienawidziłem to słowo, gdyż z całą świadomością, a bezradnie musiałem patrzeć, jak człowiek, którego najbardziej na świecie kochałem, nędznie ginie niby otepiałe zwierzę. Umarł na trzy miesiące przed moją promocją.

A teraz niech pan uważnie słucha: przed paru dniami w Towarzystwie Lekarskim jeden z najwybitniejszych naszych chemików wygłosił odczyt, w którym poinformował nas, że w Ameryce oraz w laboratoriach kilku innych krajów udały się już dość dobrze próby znalezienia środka zastępującego sekrecję gruczołów. Prelegent twierdził, iż *diabetis* w przeciągu lat dziesięciu uważana będzie z całą pewnością za chorobę zwalczoną. Może pan sobie wyobrazić, jak wzburzyła mnie myśl, iż wystarczyłoby było wówczas paręset gramów owej substancji, a najdroższy mi na świecie człowiek nie męczyłby się, nie umarł lub przynajmniej mielibyśmy nadzieję, że można go wyleczyć,

uratować. Niech pan zrozumie, jak rozgoryczył mnie ówczesny wyrok: nieuleczalny! Dniem i nocą myślałem, że powinien, że musi na to być środek, że komuś, może mnie, uda się go wynaleźć. Syfilis, przed którym w czasach, gdy chodziliśmy na uniwersytet, ostrzegano nas, studentów, z naciskiem, jako przed chorobą nieuleczalną, jest przecież teraz możliwy do wyleczenia. Nietzsche, Schumann, Schubert i Bóg wie kto jeszcze nie byli więc tragicznymi ofiarami choroby nieuleczalnej. Tak więc, jak pan widzi, zmarli oni przedwcześnie w podwójnym sensie. Ileż nowego, niespodziewanego, fantastycznego, czegoś, o czym wczoraj nawet myśleć nie było można, przynosi nam, lekarzom, każdy dzień! I dlatego ilekroć stoję w obliczu przypadku, nad którym inni wzruszają ramionami, serce mi się ściska z gniewu, że nie znam jeszcze właściwego środka, który wynaleziony będzie jutro lub pojutrze, i jednocześnie drga we mnie nadzieja, że może ja, może ktoś inny znajdzie go w chwili właściwej, w ostatnim momencie życia tego chorego. Wszystko jest możliwe, nawet rzeczy niemożliwe, bo na przykład ilekroć wiedza nasza dzisiejsza stoi przed zatarasowanymi drzwiami, tyle razy od tyłu całkiem niespodziewanie otwierają się jakieś inne, nie znane dotąd furtki, gdy metody nasze zawodzą, trzeba próbować i znajdować inne, a gdzie nie pomoże wiedza, tam pozostają jeszcze cuda, cuda przy jaskrawym, elektrycznym świetle, wbrew logice i doświadczeniu, a niekiedy można je nawet sprowokować. Czy pan przypuszcza, że dręczyłbym tę dziewczynę i że sam dałbym się tak dręczyć, gdybym nie miał nadziei, że jednak coś osiągnę, że jej pomogę? Przypadek jest ciężki, przyznaję, jest oporny, ja zaś od lat nie mogę przyspieszyć toku wyzdrowienia w takim tempie, w jakim był pragnął. A mimo to, mimo to nie wypuszczę go z rąk!

Słuchałem z natężeniem; wszystko, co mówił, wydawało mi się jasne i zrozumiałe, lecz niecierpliwość i strach tamtego starca bezwiednie przeniosły się na mnie. Chciałem usłyszeć jeszcze coś więcej.

– Więc pan jednak wierzy w poprawę? – zapytałem. – To znaczy... przecież pewnego rodzaju poprawę już pan osiągnął?

Doktor Condor nie odpowiadał. Moja uwaga najwidoczniej była mu nieprzyjemna. Na swych krótkich nóżkach biegł coraz prędzej, coraz gwałtowniej.

– Jakżeż pan może przypuszczać, że osiągnąłem pewną poprawę? Czy pan to skonstatował? I w ogóle co pan z całej tej sprawy rozumie? Zna pan chorą dopiero od paru tygodni, a ja lecę ją od pięciu lat. – I nagle stanął. – Więc żeby pan wiedział – i to raz na zawsze! – nic istotnego nie osiągnąłem.

Próbowałem tego i tamtego, kurowałem ją jak znachor, a wszystko bez celu, bez skutku. Nic, absolutnie nic nie osiągnąłem.

Przeraziła mnie ta gwałtowność – najwidoczniej uraziłem jego ambicję lekarza.

– Ale pan von Kekesfalva opowiadał mi – spróbowałem go uspokoić – że elektryczne kąpiele bardzo Edytę ożywiły, a zwłaszcza od czasu zastrzy...

Lecz Condor raptownie stanął i przerwał mi w pół słowa.

– Zawracanie głowy! Nonsens! Niechże pan nie daje sobie nic wmawiać przez tego starego głupca! Czyż pan rzeczywiście przypuszcza, że elektrycznymi kąpielami i innymi tego rodzaju zabiegami można opanować paraplegię? Nie zna pan naszego starego wybiegu lekarskiego? Gdy nie wiemy, co robić dalej, usiłujemy zyskać na czasie i zajmujemy pacjenta głupstwami, aby nie dostrzegł naszej bezradności; zaś na szczęście sama natura chorego zaczyna wówczas kłamać wraz z nami i staje się naszym sojusznikiem. Naturalnie, że Edyta czuje się lepiej! Każda kuracja, czy to będą cytryny do jedzenia, czy mleko do picia, czy woda zimna, czy gorąca, sprowadza zrazu niektóre zmiany w organizmie, dając nowe podrażnienia, które chorzy, nastroszeni zawsze optymistycznie, uważają za poprawę. Ta pewnego rodzaju autosugestia jest naszym najlepszym pomocnikiem, pomaga nawet największym osłom wśród lekarzy. Lecz jest w tym pewne „ale”: gdy podnieta nowość stępuje, nadchodzi reakcja, a wówczas trzeba jak najszybciej terapię zmienić i znaleźć nową. Tego rodzaju oszustwami manipulujemy nieraz w rozpaczliwych przypadkach tak długo, aż niespodzianie trafia się niekiedy na metodę właściwą, na dobrą. Nie, bez komplementów, sam wiem najlepiej, jak mało dotąd Edycie pomogłem! Wszystko, czegokolwiek próbowałem – niech się pan nie łudzi! – wszystkie te zawracania głowy z elektryzowaniem i masowaniem nie polepszyły jej stanu w rzeczywistym znaczeniu tego słowa.

Doktor Condor wybuchnął z taką wehemicją, że uczułem potrzebę obronienia go przed jego własnym sumieniem. Dodałem więc nieśmiało:

– Ale... sam przecież widziałem, że dzięki owym maszynom chodzi... dzięki nowym wyciągom...

Lecz doktor Condor już nie mówił, ale krzyczał, i to z taką złością, tak bez pohamowania, że dwaj spóźnieni spacerowicze ciekawie się za nami obejrzel.

– Oszustwo – powiedziałem już panu – zwyczajny szwindel! To są aparaty pomocnicze dla mnie, a nie dla niej! Te maszyny zajmują tylko jej uwagę, wyłącznie absorbują jej uwagę, rozumie pan! Nie potrzebuje ich ta mała, ale ja, bo Kekesfalva nie ma już cierpliwości! Jedyne dlatego, że nie zdołałem oprzeć się ich natarczywości, musiałem temu starcowi dać znowu iniekcję nadziei. A cóż mi pozostało, musiałem zniecierpliwionej dziewczynie zawiesić cetnar u nogi, jak opornemu więźniowi, którego skuwa się w kajdany. Uwiesić ciężar całkiem niepotrzebny... zresztą może te aparaty trochę wyciągną mięśnie... ale nic więcej zrobić nie mogłem – przecież musiałem zyskać na czasie. Nie, nie wstydzę się trików i wybiegów, bo przecież sam pan widzi ich skutek: Edyta wmawia sobie, że chodzi lepiej, jej ojciec triumfuje, że jej pomogłem, wszyscy zachwycają się nadzwyczajnym, genialnym cudotwórcą i nawet pan sam wypytuje mnie, jakbym był wszytkowiedzącym!

Przerwał i zdjął kapelusz, aby przesunąć dłonią po mokrym czole; potem chytrze spojrzał na mnie z ukosa.

– Obawiam się, że niezbyt się panu to wszystko podoba. Zdzieram iluzję z lekarza jako człowieka niosącego pomoc oraz prawdomównego, co? W młodzięcym uwielbieniu inaczej pan sobie wyobrażał lekarską moralność, a teraz – przecież widzę! – tego rodzaju praktyki otrzeźwiły pana i nawet w pewnym względzie przyprawiły o niesmak? Bardzo żałuję – medycyna nic nie ma wspólnego z moralnością, bo każda choroba jest w swej istocie objawem anarchii, rewoltą przeciwko naturze, a dlatego wolno przeciwko niej wyzyskać wszystkie środki, wszystkie. Nie, nie wolno litować się nad chorym, bo chory jest ponad prawem, obalając porządek rzeczy, a właśnie dla przywrócenia owego porządku i dla uzdrowienia pacjenta trzeba, jak przy każdej rewolcie, chwytać się środków bezwzględnych. Trzeba korzystać ze wszystkiego, co się nawinie pod rękę, gdyż przez samą dobroć i prawdę ani ludzkość, ani nawet jeden jedyny człowiek nie został jeszcze uleczony. Jeżeli oszustwo pomaga, to nie jest już ono nędznym oszustwem, lecz pierwszorzędnym medykamentem, a dopóki w danym przypadku nie mogę pomóc faktycznie, muszę dokładać starań, aby co najmniej przynieść ulgę. A i to również, panie poruczniku, nie jest łatwą sprawą: niełatwo wynajdywać przez pięć lat coraz coś nowego, zwłaszcza wówczas, gdy się już samemu powątpiewa we własną umiejętność. W każdym razie wypraszam sobie wszelkie dalsze komplementy!

Mały, tęgi jegomość stał przede mną tak wzburzony, jak gdyby na pierwsze słowo zaprzeczenia chciał się na mnie rzucić. W tej chwili na zaciemnionym horyzoncie zaiskrzyła się jak wąż szafirowa błyskawica, a za nią rozbrzmiał głęboki, twardy pomruk grzmotów. Condor nagle wybuchnął śmiechem.

– Widzi pan, samo niebo daje odpowiedź swym gniewem. Nie, biedaku, dosyć dziś panu nadokuczałem, a zoperowałem też panu jedną iluzję po drugiej: najpierw w stosunku do tego węgierskiego magnata, a potem co do pieczołowitości i nieomylności lekarza. Musi pan jednak pojąć, jak człowieka irytują owe hymny pochwalne tego starego durnia! Właśnie w przypadku Edyty wszystkie te sentymentalne skomlenia specjalnie mnie oburzają, bo przecież dosyć sam się gryzę, że wszystko idzie tak opornie, że nic decydującego nie znalazłem, a właściwie nie wynalazłem.

Przez chwilę szedł w milczeniu, aż nagle zwrócił się do mnie serdeczniej:

– Nie chciałbym zresztą, aby pan przypuszczał, że odstąpiłem od tego przypadku, jak się to o lekarzach mawia. Przeciwnie, właśnie tutaj nie ustąpię, nawet w razie gdyby to miało trwać rok albo pięć lat. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie owego wieczora, kiedy mieliśmy odczyt, znalazłem w paryskim piśmie lekarskim opis terapii w przypadku paraliżu, bardzo ciekawy przypadek czterdziestoletniego człowieka, który przez dwa lata leżał w łóżku sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć, a którego profesor Viennot w cztery miesiące doprowadził do tego, że pacjent żwawo wbiega na piąte piętro. Niech pan pomyśli – w ciągu czterech miesięcy takie uzdrowienie, i to w wypadku zupełnie podobnym, z którym ja męcę się przez pięć lat! Myślałem, że padnę, gdy to przeczytałem! Oczywiście nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z etiologii i metody przypadku. Wygląda to, jak gdyby profesor Viennot połączył w jakiś dziwny sposób rozmaite sposoby leczenia: naświetlanie słońcem w Cannes, aparaturę i jakąś gimnastykę. Wobec szczupłości opisu nie mam wyobrażenia, czy nowe te metody dałyby się zastosować w naszym przypadku. Napisałem zaraz osobiście do profesora Viennota, aby go poprosić o dokładne dane. Jedynie ze względu na tę okoliczność tak bardzo wymęczyłem dziś Edytę dokładnym badaniem – przecież trzeba mieć możliwość porównania. Widzi więc pan, że nie zwijam chorągiewki, lecz przeciwnie, chwytam się każdej deski ratunku. Może rzeczywiście w nowej tej metodzie są jakieś możliwości, mówię może,

nic więcej nie mówię, bo w ogóle za dużo panu nagadałem. I dość już o tym moim przeklętym zawodzie!

Byliśmy już niedaleko dworca. Nasza rozmowa kończyła się, toteż zapytałem jeszcze niemal natarczywie:

– Więc pan sądzi, że...

Ale mały, grubawy pan raptownie stanął.

– Nic nie myślę! – syknął na mnie. – I w ogóle żadne „więc”! Czego wy wszyscy ode mnie chcecie? Nie mam telefonu do Pana Boga! Nic nie powiedziałem! Nic pewnego! Nic nie sądzę, nic nie wiem, nic nie myślę i nie obiecuję! W ogóle za dużo już powiedziałem! Basta, dość! Dziękuję za towarzystwo. Niech pan zawraca, bo przemoknie pan do nitki.

I nie podając mi ręki, zirytowany – nie mogłem pojąć dlaczego – pobiegł na swych krótkich nóżkach prosto na dworzec.

Condor dobrze przewidział. Burza od dawna przeczuwana nerwami zbliżała się teraz szybko. Gęste chmury, łomocząc jak ciężkie, czarne skrzynie, sunęły ponad niespokojnie drżącymi koronami drzew, niekiedy blado rozświetlane połyskującą krechą błyskawicy. Powietrze wilgotne i od czasu do czasu wzburzane gwałtownymi porywami wiatru pachniało spalenizną. Miasto, ulice inaczej wyglądały podczas mego szybkiego odwrotu niż wówczas, gdy leżały spokojnie w bladym świetle księżyca. Wywieszki, niby wystraszone ciężkim snem, obijały się o ściany i dźwięczały niespokojnie, drzwi trzaskały, dymniki jęczały, a w niektórych domach zbudziły się ciekawe światła i gdzieś widać było człowieka w koszuli, przezornie zamykającego okno przed nadchodzącą burzą. Nieliczni spóźnieni przechodnie pędzili szybko, jakby niesieni wichrem strachu, a nawet przestronny główny plac, zazwyczaj nawet w nocy dość zaludniony, był zupełnie opustoszały. Jasno oświetlony zegar na ratuszu wpatrywał się głupim, białym spojrzeniem w niezwykłą pustkę. Najważniejszą jednak dla mnie sprawą było, że dzięki ostrzeżeniu Condora mogłem dobiec do domu przed burzą. Jeszcze dwie ulice, a potem w poprzek przez ogród do koszar, aby w swym pokoju przemyśleć do końca wszystkie te zadziwiające sprawy, o których dowiedziałem się w ciągu ostatnich paru godzin.

Ogródek przed koszarami był ciemny, pod niespokojnym listowiem powietrze stało duszne i parne. Od czasu do czasu ze świstem przebiegał wśród liści krótki podmuch wicheru, a potem robiło się znów niesamowicie

cicho. Szedłem coraz prędzej. Już byłem nieomal przy wejściu, gdy zza drzewa ukazała się jakaś postać i wyszła z cienia. Zawahałem się, lecz nie stanąłem – ech, to pewno jedna z ulicznic, które tu w ciemnościach czekały zazwyczaj na żołnierzy. Lecz z irytacją poczułem, że czyjeś obce kroki szybko skradają się za mną. Chcąc bezczelną dziewczuchę, która tak bezwstydnie mnie zaczepia, ostro zgromić, odwróciłem się i... w świetle błyskawicy, która właśnie w tej chwili oślepiająco przecięła ciemność, ujrzałem z bezgranicznym przerażeniem starego, trzęsącego się człowieka, który ciężko dysząc, bez kapelusza, błyskając w świetle łysiną i złotymi okularami spieszył za mną – Kekesfalva!

W pierwszej chwili zdumiony nie uwierzyłem własnym oczom. Kekesfalva w naszym ogrodzie koszarowym – to przecież niemożliwe! Przecież gdy wychodziłem z Condorem, zostawiłem go przed trzema godzinami śmiertelnie znużonego w domu! Czy miałem halucynacje, czy też starzec zwariował? Czyżby wstał w gorączce i teraz bez płaszcza i kapelusza, w cienkim odzieniu błędził jak lunatyk? Nie, nie można się było omylić, to on! Wśród stu tysięcy poznałbym jego nachyloną sylwetkę, jego trwożliwy, niepewny sposób chodzenia!

– Na litość boską, pan von Kekesfalva! – rzekłem zdumiony. – Skąd się pan tu wziął? Czy pan nie poszedł spać?

– Nie... a właściwie... nie mogłem zasnąć. Więc chciałem jeszcze...

– Musi pan teraz jak najszybciej pojechać do domu! Niech pan patrzy, lada chwila będzie burza. Nie ma pan samochodu?

– Tam... na lewo od koszar...

– Świetnie! W takim razie prędko! Jeżeli szofer pospieszy się, zdąży pan jeszcze w porę do domu. Chodźmy, drogi panie! – a ponieważ zawahał się, ująłem go pod ramię pociągając za sobą; wyrwał mi się jednak przemocą.

– Zaraz, zaraz! Już jadę, panie poruczniku... ale... ale niech mi pan wpierw powie, co panu powiedział?

– Kto?

Moje pytanie i zdziwienie było szczere. Z coraz większą pasją świszczal nad nami wicher, drzewa jęczały i gięły się, jakby chciały pnie oderwać od korzeni, lada chwila mógł lunąć deszcz, mnie zaś zaprzętała oczywiście tylko jedna, najnaturalniejsza myśl w tym momencie: jak odtransportować do

domu tego starego, a najwidoczniej nieprzytomnego człowieka, który nie dostrzegł zbliżającej się nawałnicy. Lecz Kekesfalva wyjąkał niemal z oburzeniem:

– Doktor Condor! Przecież pan z nim mówił...

Dopiero teraz zrozumiałem. Oczywiście to spotkanie w ciemności nie było czymś przypadkowym. Tuż przy wejściu do koszar, w ciemnym parku, niecierpliwy starzec czekał umyślnie, aby jak najprędzej zdobyć pewność. Tutaj, tuż u wejścia, gdzie nie mogłem się wymknąć, wreszcie mnie przydybał. Przez dwie czy trzy godziny w strasliwym niepokoju chodził tam i z powrotem ledwo ukryty w cieniu ogródka, gdzie się w nocy spotykały jedynie służące ze swymi kochankami. Prawdopodobnie przypuszczał, iż będę towarzyszył Condorowi tylko na dworzec, a potem wrócę zaraz do koszar. Ja zaś, nic o tym nie wiedząc, pozwoliłem mu czekać, czekać, czekać przez dwie czy trzy godziny, które przesiedziałem z doktorem w winiarni, zaś chory, stary człowiek czekał tu na mnie, jak niegdyś czekał na swych dłużników: cierpliwie, wytrwale, nieustępliwie. W fanatycznej tej wytrzymałości było coś, co mnie jednocześnie drażniło i wzruszało.

– Wszystko w porządku – uspokoiłem go. – Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien. Jutro po południu opowiem panu więcej, powtórzę dokładnie każde słowo. Ale teraz niech pan jak najprędzej wsiada do auta. Przecież pan widzi, że nie ma czasu do stracenia...

– Tak, tak... już idę.

Opierając się szedł ze mną. Przeprowadziłem go w ten sposób dziesięć czy dwadzieścia kroków, lecz nagle uczułem, że mi ciąży na ramieniu.

– Chwileczkę... – jęknął. – Chwileczkę... Na ławkę... Nie mogę... już dłużej nie mogę...

Istotnie starzec chwiał się jak pijany. Musiałem zebrać wszystkie siły, aby dociągnąć go w ciemnościach do ławki, a grzmot huczał coraz bliżej, coraz bliżej. Ciężko oddychając usiadł. Długie czekanie musiało go całkowicie wyczerpać – i nic dziwnego. Przez trzy godziny ten stary i chory na serce człowiek chodził tam i z powrotem, przez trzy godziny wyczekując stał niespokojny na swych zmęczonych nogach, toteż dopiero teraz, gdy udało mu się mnie przychwycić uświadomił sobie swe znużenie. Wyczerpany i złamany opierał się o poręcz ławki, na której w południe robotnicy zjadali swój nędzny posiłek, gdzie po południu siadywali drobni emeryci i ciężarne

kobiety, a w nocy chichotały prostytutki z żołnierzami... On, starzec, najbogatszy człowiek w mieście, właśnie tutaj czekał, czekał, czekał... Wiedziałem, na co czeka, zrozumiałem od razu, że nie pozbędę się tego uparłego człowieka. (Jakaż przykra sytuacja, gdyby mnie któryś z kolegów zastał na tej dziwnej, poufalej rozmowie!) Wiedziałem, że go się nie pozbędę, dopóki nie pokrzepię go wewnątrz. Trzebo było nieboraka wpieryw uspokoić. Znowu zdjęła mnie litość, znów buchnęła na mnie od wnętrza przekłeta, gorąca fala, która mi za każdym razem odbierała całą siłę i wolę. Schyliłem się do starca i zacząłem do niego przemawiać.

Wokoło nas świszcział, gwizdał i szumiał wicher, ale starzec niczego nie dostrzegł, nie istniało dla niego niebo, nie istniały chmury ani deszcz – na świecie istniało tylko jego dziecko, tylko problem wyzdrowienia jego córki. Jakżeż więc mogłem temu wzburzonemu, drżącemu z osłabienia starcowi przekazać suche fakty, powiedzieć jedynie prawdę, że doktor Condor wcale nie jest pewny swej sprawy? Przecież nieborak potrzebował czegoś, czego mógłby się ucześcić, jak przed chwilą, gdy upadając przytrzymał się mego pomocnego ramienia. Szybko zatem zgarnąłem w pamięci okruchy pocieszających obietnic, które z takim trudem wymogłem na Condorze, i powiedziałem, że doktor słyszał o nowej kuracji, którą profesor Viennot z wielkim powodzeniem zastosował we Francji. Natychmiast uczułem w ciemnościach obok siebie szelest i ruch; bezsilnie oparte o poręcz ciało przysunęło się do mnie, jak gdyby szukając ciepła. Właściwie nie powinienem był nic więcej obiecywać, lecz litość podpowiedziała mi słowa, za które nie mogłem odpowiadać. Tak jest, owa kuracja dała niezwykle wyniki, zacząłem starcowi dodawać odwagi, w trzy czy cztery miesiące osiągnięto zastanawiający postęp w leczeniu, toteż prawdopodobnie – ach, nie, z całą pewnością! – i Edycie kuracja ta pomoże. Stopniowo własne, przesadne opowiadanie zaczęło budzić we mnie coraz większe zadowolenie, bo widziałem, jaki miało skutek. Za każdym razem, gdy starzec chciwie pytał: „Naprawdę pan tak myśli?” albo „Naprawdę tak powiedział? Sam tak powiedział?”, pod wpływem zniecierpliwienia i współczucia gorąco potakiwałem, a nacisk ciała obok mnie stawał się lżejszy. Czułem, że jego pewność siebie rośnie wraz z moimi słowami, i po raz pierwszy, a zarazem ostatni w życiu odczuwałem w owej chwili oszałamiającą rozkosz właściwą twórcy.

Nie wiem i nigdy nie będę już wiedział, co wówczas na tej nędznej ławce obiecywałem nieszczęśliwemu człowiekowi. Moje słowa budziły w nim

pragnienie, by usłyszeć coś więcej, zaś jego pełne nabożeństwa milczenie i chciwa uwaga podniecały mnie, aby rzucać coraz to nowe obietnice. Obydwaj nie widzieliśmy błyskawic, wybuchających błękitem dookoła nas, nie zważaliśmy na coraz groźniejsze grzmoty. Siedzieliśmy przyciśnięci do siebie, mówiąc i słuchając, słuchając i mówiąc, ja zaś wciąż od nowa zapewniałem go z najszczerzą wiara: „Tak, tak, ona wyzdrowieje, będzie wkrótce zupełnie zdrowa, z całą pewnością zupełnie zdrowa” – a mówiłem to dlatego, aby wciąż słuchać tego jękliwego: „Ach!” oraz „Bogu niech będą dzięki!”, aby czuć tę upajającą ekstazę szczęścia. I kto wie, jak długo siedzielibyśmy tak razem, gdyby nagle nie zadał gwałtowny wichur, zwykle poprzedzający burzę i torujący jej drogę. Drzewa zgięły się, aż pnie zaskrzypiały, kasztany zarzuciły nas kanonadą swych pocisków, a olbrzymia chmura kurzu pochwyliła nas w swój wir.

– Do domu! Teraz musi pan jechać do domu! – wykrzyknąłem, zaś Kekesfalva nie stawiał oporu.

Moje słowa pocieszenia wzmocniły go i uzdrowiły. Już teraz się nie chwiał; nieomal pędząc, nieomal w popłochu pobiegł do czekającego samochodu, a szofer pomógł mu wsiąść. Dopiero teraz uczułem ulgę wiedząc, że starzec jest bezpieczny, że go pocieszyłem – biedny, wstrząśnięty człowiek będzie mógł wreszcie zasnąć spokojnie, szczęśliwie, głęboko.

Lecz oto w krótkiej tej chwili, gdy szybko otulałem mu nogi pledem, aby się nie przeziębził, stało się coś przerażającego. Nagłym, szybkim ruchem chwycił obydwie moje ręce, prawą i lewą, i zanim zdołałem się obronić, podniósł je do ust, całując na przemian to lewą, to prawą, to prawą, to lewą.

– Do jutra, do jutra! – wyjąkał i już samochód pędził, jak gdyby go uniósł zimny, nadlatujący wiatr.

Stałem osłupiały. Lecz oto spadły pierwsze krople – zaszumiało, zadźwięczało, na czapkę posypał mi się gęsty grad, a kilkadziesiąt kroków dzielących mnie od domu przebiegłem już w ulewnym deszczu. Gdy przemoczony do nitki stanąłem w bramie koszar, olbrzymia błyskawica rozświetliła burzliwą noc, a za nią z taką siłą huknął piorun, jak gdyby spadło z nim pół nieba. Widocznie uderzył gdzieś bardzo blisko, bo ziemia się chwiała, a szyby zadźwięczały. Chociaż jednak oczy moje na razie osłepły pod wpływem raptownego blasku, nie czułem się tak przerażony jak przed chwilą, gdy starzec nieprzytomny z wdzięczności chwycił i ucałował moje ręce.

*

Po głębokich wzruszeniach sen bywa również mocny i głęboki. Nazajutrz rano zorientowałem się po stanie, w jakim się obudziłem, jak dalece naładowana dusznością atmosfera przed burzą oraz elektryczne naprężenie nocnej rozmowy oszołomiły mnie. Wypłynąłem z niezmiernych głębin, patrzyłem zrazu nieobecny duchem na znajomy, koszarowy pokój i daremnie wysiłałem się, aby sobie przypomnieć, kiedy i w jaki sposób zapadłem w ten sen bez dna. Lecz na uporządkowanie moich myśli nie miałem czasu – dryl wojskowy, funkcjonujący niezależnie od pamięci na użytek prywatny, a działający z niezawodną gorliwością, uprzytomnił mi natychmiast, że wyznaczono na dziś specjalne ćwiczenia. Na dole słysząc już było trąbki, kopyta koni biły o bruk, a po niecierpliwiej minie mego ordynansa poznałem, że już najwyższy czas, abym się zbierał. Czym prędzej narzuciłem na siebie przygotowany mundur, zapaliłem papierosa, pędem zbiegłem ze schodów i w chwilę później na czele szwadronu wyjeżdżałem już z podwórza.

Człowiek wcielony w kolumnę nie istnieje jako jednostka; w łomocie setek kopyt nie można ani jasno myśleć, ani marzyć. Klusując w grupie nie czułem właściwie nic innego niż radość jazdy w dzień letni, najcudniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Deszcz zmył z nieba najmniejsze obłoczki, słońce jasno świeciło, lecz jeszcze nie paliło, wszystkie kontury występowały ostro w przezroczystym powietrzu. Każdy dom, każde drzewo, każdy kawałek pola widziało się w dalekiej perspektywie wyraźnie jak na dłoni. Każdy bukiet kwiatów w oknie, każda smuga dymu na dachu występowała ostrzej w tym mocnym a czystym kolorycie. Ledwo poznawałem nudną szosę – którą przecież co tydzień podążaliśmy w tym samym tempie i do tegoż celu – ponieważ listowie obrzeżających ją drzew jaśniało nad naszymi głowami niby świeżo pomalowane, bardziej zielone i jakby obfitsze. Siedziałem w siodle lekki, pozbawiony wszelkiego duchowego ciężaru; niepokój, uczucie niepewności i głuche niezadowolenie z siebie, które mi w ostatnich dniach i tygodniach tak dręczyło nerwy, gdzieś znikły. Sądzę, iż rzadko kiedy pełniłem swą służbę tak dobrze jak owego promiennego, letniego przedpołudnia. Wszystko wydawało się łatwe i zrozumiałe, wszystko mi się udawało, wszystko mnie uszczęśliwiała: i niebo, i łąki, i zgrzane konie, posłuszne każdemu naciskowi lędźwi oraz przyciągnięciu cugli, nawet własny głos, którym wydawałem rozkazy.

Stany silnego poczucia szczęścia, jak wszystko, co upaja, dają pewne oszołomienie. Intensywne rozkoszowanie się bieżącą chwilą zawsze pozwala zapomnieć o przeszłości. Toteż kiedy po orzeźwiających godzinach, spędzonych w siodle, pomaszerowałem znajomą drogą po południu do pałacu, niezbyt jasno przypominałem sobie nocne spotkanie. Cieszyłem się własną lekkością serca i cudzą radością – będąc szczęśliwym, myśli się o innych ludziach jako o istotach również szczęśliwych.

Istotnie, gdy tylko zapukałem do znajomej bramy, służący, zwykle oficjalny i służbisty, przywitał mnie z jakąś specjalną serdecznością w głosie.

– Czy pan porucznik zechce od razu pójść na wieżę? – zapytał. – Jaśnie panienska już tam czeka.

Ale czemu ręce jego były tak niecierpliwe, czemu patrzył na mnie tak rozpromieniony? Czemu pobiegł zaraz przodem tak zaaferowany? Co się stało? – zadałem sobie mimo woli pytanie, stając u wejścia kręconych schodów na taras. Co się dziś staremu Józefowi stało? Przecież widzę, że pali go niecierpliwość, abym jak najprędzej był już na górze. Co się temu poczciwcowi stało?

Przyjemnie odczuwać taką radość życia: przyjemnie więc było w ten promienny dzień czerwcowy zdrowymi, młodymi nogami wspinać się po schodach i przez boczne okienka spoglądać to na północ, to na południe, to na wschód, to na zachód w szeroką dal, na okolicę skąpaną w letnim słońcu. Pozostawało mi już tylko dziesięć czy dwanaście stopni, gdy nagle zatrzymało mnie coś niespodzianego. Oto w ciemnej klatce schodowej rozbrzmiała nagle lekka, płocha melodia taneczna, niesiona przez skrzypce, podkreślana wiolonczelą, a nad nią dominowała perlista koloratura kobiecych głosów. Zdziwiłem się – skądże ta muzyka tak bliska, a zarazem tak daleka, muzyka jakby nie z tego świata, a jednak tak ziemską, skąd ten przebój operetkowy płynący jak gdyby z nieba? Czy w niedalekim ogrodzie przy karczmie gra kapela i wiatr przywiewa ostatnie, delikatne akordy dźwięcznej melodii? Lecz już poznałem, że zwiewna ta orkiestra płynie z tarasu, ze zwykłego gramofonu. „Jakżeż to głupio – pomyślałem – że wszędzie dziś widzę cuda i czary! Przecież na tak wąskim tarasie nie można zainstalować całej orkiestry!” Ale jeszcze parę stopni i znów ogarnęła mnie niepewność. Bezsprzecznie na górze grał gramofon, ale jednak... to były głosy śpiewaczek, głosy zbyt prawdziwe i swobodne, aby mogły pochodzić z małego, szumiącego pudła. To były prawdziwe dziewczęce głosy, kipiące dziecięcą wesołością!

Zatrzymałem się i nadstawiłem uszu; mocny sopran – to był głos Ilony, piękny, pełny, miękki jak jej ramiona, ale głos, który jej towarzyszył? Do kogo należy? Nie znałem go – widocznie Edyta zaprosiła jakąś przyjaciółkę, młodziutką, swawolną, rozbawioną dziewczynę. Ogarnęła mnie chęć, aby jak najprędzej ujrzeć tą swiergotliwą jaskółeczkę, spadła tak niespodzianie na naszą wieżę. Tym większe było moje zdumienie, gdy wszedłszy na taras dostrzegłem, że siedziały tu tylko obie panienki, Ilona i Edyta, i że to Edyta śmiała się i nuciła zupełnie nowym, swobodnym, srebrzystym głosikiem. Przeraziłem się, gdyż tego rodzaju zmiana z dnia na dzień wydała mi się czymś nienaturalnym – z taką beztróską mógł śpiewać tylko w nadmiarze szczęścia człowiek zdrowy i pewny siebie. Z drugiej strony, niemożliwe przecież, aby to dziecko, ta chora nagle wyzdrowiała, chyba że w okresie między wieczorem a rankiem zdarzył się rzeczywiście cud... Co ją tak upoiło? – dziwiłem się – co ją zachwyca do tego stopnia, że błogi ten nastrój wyrывa się z jej gardła, z duszy, radosnym śpiewem? Nie potrafię wyjaśnić mego pierwszego uczucia. Zrobiło mi się tak niemiło, jak gdybym zaskoczył dziewczęta nagie, bo albo chora ukrywała dotąd swą prawdziwą istotę, albo też w przeciągu nocy zrodził się w niej nowy człowiek. Ale dlaczego, z jakiego powodu?

Ku memu zdziwieniu obydwie panienki wcale się nie mieszały ujrzawszy mnie na tarasie.

– Zaraz, zaraz! – zawołała do mnie Edyta i rzuciła Ilonie:

– Odstaw prędko ten gramofon! – a potem skinęła na mnie:

– No, nareszcie, nareszcie, czekam na pana już tak długo! A teraz prędko! Niech pan opowie wszystko, ale naj-naj-najdokładniej! Tatuś opowiadał mi tak beładnie, że nic nie zrozumiałam. Przecież pan wie, że gdy ojciec jest wzruszony, nie potrafi nic opowiedzieć dokładnie. W nocy, gdy do mnie przyszedł na górę, nie mogłam z powodu tej straszliwej burzy zasnąć, zimno mi było okropnie, z okna płynął chłód, a ja nie miałam siły, aby wstać. Przez cały czas pragnęłam, żeby się ktoś obudził, przyszedł i zamknął mi okno, aż tu nagle słyszę kroki – coraz bliżej i bliżej. W pierwszej chwili przestraszyłam się, bo przecież była to druga albo trzecia w nocy, i ze zdziwienia wcale tatusia nie poznałam, tak był zmieniony, a on przybiegł do mnie i nie można go było uspokoić. Szkoda, że go pan nie widział, śmiał się i płakał... tak, niech pan pomyśli – tatuś śmiejący się, śmiejący się głośno, radośnie i przeskakujący z nogi na nogę jak duży chłopak! Naturalnie gdy zaczął opowiadać, tak byłam zdumiona, że z początku wcale nie mogłam

uwierzyć. Myślałam, że tatuś spał, że coś mu się śniło i że śni mu się dalej. Ale przyszła Ilona i potem gadaliśmy i śmialiśmy się do rana. Ale niechże pan mówi... niech pan opowie... jakże to jest ta nowa kuracja?

Niby wobec silnej fali, która wali się na człowieka tak mocno, że trzeba się zatoczyć, i daremnie stawia się jej opór tak i ja musiałem się twardo trzymać, by nie okazać bezgranicznego zdumienia. To jedno jedyne słowo niczym błyskawica rozjaśniło mi wszystko. To ja, tylko ja wyczarowałem ów nowy, dźwięczny głos; ja, tylko ja dałem dziewczynie tę nieszczęsną pewność, widocznie Kekesfalva opowiedział jej, czego dowiedziałem się od Condora. Lecz cóż mi doktor właściwie powiedział? Wszystko, co podałem dalej, Condor wypowiedział przecież nader ostrożnie, a ja – głupiec, ulegając własnej litości! – dodałem widocznie tyle z własnej fantazji, że cały tutejszy dom rozjaśnił się, zdesperowani ludzie odmłodzieli, a cierpiący poczuli się uzdrowieni. Musiałem chyba...

– No, więc? Na co pan czeka? – spytała niecierpliwie Edyta. – Przecież pan wie, jak ważne jest dla mnie każde słowo. Zatem co panu Condor powiedział?

– Co powiedział? – powtórzyłem, aby zyskać na czasie.

– Hm... przecież pani wie... Przecież już pani wie, same pomyślne rzeczy. Doktor Condor spodziewa się z czasem jak najlepszych rezultatów. Jeżeli się nie mylę, ma zamiar spróbować jakiejś nowej kuracji, o którą już się dowiadywał... bardzo skutecznej... o ile... o ile go dobrze zrozumiałem. Wcale się naturalnie na tym nie znam, ale w każdym razie może pani na nim polegać. Bo doktor... przypuszczam, mam głębokie przekonanie, że postąpi właściwie...

Albo nie dostrzegła mojego wymijającego tonu odpowiedzi, albo jej niecierpliwość zmiatała z drogi wszelki opór.

– A widzi pan! Ja zawsze wiedziałam, że dotychczasowymi zabiegami nic się nie osiągnie. Przecież człowiek sam siebie zna najlepiej... Przypomina pan sobie, jak mówiłam, że wszystkie te masaże, elektryzacje i wyciągi to nonsens? Poprawa jest niewielka, a jakże można czekać tak długo! O, niech pan patrzy, od razu dzisiaj, nawet go nie pytając, zdjęłam te głupie maszyny. Nie może pan sobie wyobrazić, jaka to ulga... zaraz mogłam lepiej chodzić. Zdaje mi się, że tylko te przeklęte ciężary tak mnie hamowały. Nie, do tego trzeba się zabrać inaczej, od dawna to już wiedziałam... Ale teraz niech pan prędko opowiada! Jaka to metoda tego francuskiego profesora? Czy

rzeczywiście trzeba wyjechać, nie można tego przeprowadzić tutaj? Ach, ja tak nienawidzę tych sanatoriów, tak ich nie cierpię! I w ogóle nie chcę widzieć chorych! Dość mam siebie samej. Więc jakże to jest? No, niechże pan już gada! A przede wszystkim, czy to trwałoby długo? Rzeczywiście wyzdrowienie idzie tak prędko? Bo tatuś mówił, że ów profesor wyleczył swego pacjenta w cztery miesiące! Po czterech miesiącach ten pan może chodzić po schodach, może się ruszać, może biegać! To jest... to byłoby nie do wiary! No, niechże pan nie siedzi jak niemowa, niechże pan opowiada! ... Kiedy doktor chce zacząć i jak długo ma to potrwać?

„Trzeba koniecznie całą tę historię odkręcić! – powiedziałem sobie. – Dziewczyna wmawia w siebie bezsensowne urojenia, bo wszystko jest nieistotne i niepewne”. Toteż ostrożnie zacząłem ostudzać jej radość.

– Określonego terminu nie może naturalnie żaden doktor z góry przewidzieć... Nie sądzę, żeby już teraz można było mówić o tym z całą pewnością. A zresztą... pan doktor Condor opowiadał o tej metodzie tylko tak... ogólnie... Podobno dała świetne rezultaty, jak mówił, ale czyż można całkowicie na niej polegać? Wydaje mi się, że należy takie rzeczy próbować indywidualnie. W każdym razie trzeba przeczekać, aż doktor...

Lecz jej gwałtowność i entuzjazm już pokonały mój niepewny opór.

– Ech, pan go nie zna! Z niego nic nigdy pewnego wyciągnąć nie można. Doktor Condor zawsze jest tak strasznie ostrożny. Ale jeżeli obiecuje coś chociażby połowicznie, wszystko się zawsze zgadza od początku do końca. Można na nim polegać. A pan wcale nie wie, jak bardzo chciałabym już raz z tym wszystkim skończyć albo przynajmniej mieć pewność, że się to kiedyś skończy... Wszyscy mi mówią: „Cierpliwości, cierpliwości!” Ale przecież trzeba wiedzieć, jak długo, do jakiego czasu tę cierpliwość mieć! Gdyby mi ktoś powiedział, że będzie to trwało jeszcze sześć miesięcy, jeszcze rok, powiedziałabym – dobrze, zgadzam się i będę robiła, czego ode mnie zażądata... Ale chwała Bogu, że to już koniec, że do czegoś się doszło! Nie wyobraża pan sobie, jak lekka się czuję od wczoraj. Zdaje mi się, że w ogóle dopiero teraz zaczęłam żyć. Dziś z rana pojechaliśmy do miasta – dziwi się pan, prawda? – ale teraz, od kiedy wiem, że najgorsze minęło, wszystko mi jedno, co ludzie mówią i myślą, czy oglądają się za mną i czy się nade mną litują. Będę teraz wychodziła codziennie, żeby samej sobie udowodnić, że to już koniec tego głupiego czekania i cierpliwości. A jutro, w niedzielę – przecież pan wolny? – mamy zamiar zrobić coś nadzwyczajnego! Tatuś obiecał mi, że pojedziemy do stadniny. Nie byłam tam od lat, od czterech czy

pięciu... Bo przecież nie chciałam w ogóle wychodzić. Ale jutro jedziemy, a pan naturalnie z nami. Zdziwi się pan, jaką wymyśliłyśmy z Iloną niespodziankę! A może... – zwróciła się ze śmiechem do Ilony – może zdradzić tę wielką tajemnicę?

– Naturalnie! – roześmiała się Ilona. – Żadnych sekretów!

– Więc niech pan słucha, drogi panie! Tatuś chciał, żebyśmy pojechali autem. Ale to tak prędko i jazda taka nudna, więc przypomniałam sobie, co Józef opowiadał mi o tej starej, zdziwaczalej księżnej – wie pan, o tej, do której dawniej należał nasz pałac, szkaradnej osoby. Podobno jeździła zawsze czwórką i wielką podróżną kolosą, pomalowaną na brązowo... tą, która stoi w wozowni... żeby każdy wiedział, że to jedzie księżna. Kazała zawsze zaprzęgać czwórkę koni, chociażby jechała tylko na dworzec, a nikomu w okolicy nie wolno było tak jeździć. Niech pan pomyśli, jakby to było zabawnie przejechać się tak jak nieboszczka księżna! Żyje przecież nawet jeszcze jej stangret... Ach, prawda, nie zna pan tego starego, bo przeszedł na emeryturę od czasu, gdy mamy samochód. Szkoda, że pan go nie widział, kiedy mu powiedziano, że chcemy pojechać na spacer czwórką. Ledwo trzymając się na nogach przyłazł tu do mnie i płakał z radości, że jeszcze tego dożył. Wszystko jest już omówione, wyjeżdżamy o ósmej... Wstaniemy bardzo wczesnie, a pan naturalnie zostanie u nas na noc. Nie może pan odmówić! Dostanie pan tu na dole przyjemny, gościnny pokój, a wszystko, co panu potrzeba, przywiezie panu z koszar nasz służący! Aha, jeszcze jedno: on także będzie jutro przebrany w liberię lokaja z czasów księżnej... Nie, żadnych wymówek! Musi pan nam zrobić tę przyjemność koniecznie, koniecznie, nie ma żadnych wykrętów...

Słowa płynęły z ust dziewczyny, jak gdyby obluźowała się w niej jakaś sprężyna. Słuchałem oszołomiony, nie mogąc jeszcze pojąć tej zmiany w jej usposobieniu. Głos był inny, sposób prowadzenia rozmowy zazwyczaj nerwowo zastanawiał lekkością i płynnością, nawet tak mi znana twarzyczka była zmieniona. Chorobliwą żółtość cery rozjaśniał żywy, zdrowy rumieniec, zniknął niepokój w jej ruchach. Siedziała oto przede mną jakby lekko pijana, z błyszczącymi oczami, śmiejąca się i pełna życia. Mimo woli ożywienie dziewcząt i mnie się udzieliło, pokonując, jak każde upojenie, mój wewnętrzny opór. „Może to jednak – zacząłem siebie przekonywać – może to jednak prawda lub przynajmniej prawdą się stanie. Może wcale jej nie okłamałem, może biedaczka faktycznie wyzdrowieje tak szybko? Ostatecznie nie nakłamałem przecież tak bardzo, Condor rzeczywiście czytał coś o jakimś

nagłym wyzdrowieniu. Dlaczegoż nie mogłoby to być możliwe w przypadku tego tak żarliwie i wzruszająco wierzącego dziecka, tej istoty tak uczuciowej, że sama możliwość wyzdrowienia już ją uszczęśliwia i uskrzydla? Czemu więc hamować ten ogrom rozjaśniającej ją radości, czemu dręczyć ją niepewnością, gdy biedactwo i bez tego męczy się już tak długo?” I jak to czasem bywa z mówcą, którego rykoszetem porywa fala entuzjazmu wywołanego jego pustą mową, tak ufność, powstała wyłącznie na skutek mego przesadnego opowiadania i wywołana jedynie przez litość, zwycięsko zaczęła mnie pokonywać. Gdy wreszcie zjawił się ojciec, zastał nas wszystkich troje w doskonałym humorze; gawędziliśmy i snuli projekty, jak gdyby Edyta już była uleczona i wyzdrowiała. Pytała mnie, gdzie będzie się mogła uczyć konnej jazdy i czy mamy instruktora pułkowego, który by mógł jej dać wskazówki. Aha, i czy ojciec ma zaraz posłać proboszczowi pieniądze, które mu obiecał na nowy dach w kościele? Omawiając wszystkie te śmiałe plany, z góry uważając wyzdrowienie za fakt dokonany, śmiała się i żartowała z taką swobodą, że umilkł we mnie ostatni opór. Dopiero wieczorem, gdy znalazłem się sam w swym pokoju, oddalone wspomnienie zaczęło z cicha pukać do mego serca: „Czy nie obiecałem jej zbyt wiele? Czy nie powinienem zachwiać w niej tej niebezpiecznej ufności?” Lecz myśl tę odsunąłem od siebie. Po co się kłopotać, czy powiedziałem za dużo, czy za mało. Jeżeli nawet obiecałem znacznie więcej, niż mi było wolno, zwykłe kłamstwo z litości już ją uszczęśliwiło. A uszczęśliwienie człowieka nie może być ani grzechem, ani złym uczynkiem.

Już z samego rana, w radosnym nastroju, rozpoczęły się przygotowania do zapowiedzianej wycieczki. Obudziwszy się w pokoju gościnnym zalanym jasnymi promieniami słońca, usłyszałem od razu roześmiane głosy. Pobiegłem do okna i ujrzałem, że cała zgromadzona służba podziwiała potężną, w nocy wyciągniętą z wozowni kolasę starej księżnej, wspaniałą okaz muzealny sprzed stu, a może nawet stu pięćdziesięciu lat, wykonany przez wiedeńskiego, nadwornego stelmacha, dla jakiegoś jej przodka. Karoca, zabezpieczona od wstrząsów ogromnych kół sprawnymi, kunsztownymi resorami, pomalowana była na wzór starych tapet w pasterskie scenki i starożytne alegorie, lecz barwne niegdyś kolory zbladły. Wewnątrz jedwabiem wybita karoca w czasie przejażdżki mieliśmy dość okazji, aby wypróbować te urządzenia – zaopatrzona była w rozmaite wyrafinowane udogodnienia, jak opuszczane stoliczki, lusterka i flakony do perfum. Naturalnie olbrzymia ta

zabawka z ubiegłych stuleci sprawiała wrażenie rekwizytu maskaradowego, lecz to właśnie podnosiło zabawny efekt, a służący, również w wesołym karnawałowym nastroju, starali się niezdarny wehikuł jak najlepiej przysposobić do jazdy po szosie. Maszynista z cukrowni oliwił ze specjalną troskliwością koła i uważnie ostukiwał żelazne obręcze, czwórka koni przystrojona w kwiaty jak do ślubu stała gotowa do zaprzęgu, zaś Jonak, stary stangret, miał okazję z dumą udzielać objaśnień. Odziany w wyblakła książęcą liberię i nadspodziewanie ruchliwy na swych zartretyzmowanych nogach tłumaczył arkana swej sztuki młodzieży, umiejacej wprawdzie jeździć na rowerze i nawet obchodzić się z motorem, lecz nie mającej pojęcia o powożeniu czwórką. Jego też zasługą było, że jeszcze ubiegłej nocy kucharz dowiedział się, iż honor domu wymaga, aby na polowaniach lub innych eskapadach nawet w miejscach najodleglejszych, w lesie lub na łące, przekąska podana była z taką samą punktualnością i tak obficie, jak w pałacowej jadalni. Toteż pod jego nadzorem służący załadował adamaszkowe obrusy, serwetki i srebro z niegdyś książęcego skarbcza, w pudłach ozdobionych herbami. Dopiero wtedy pozwolono kucharzowi w białej płóciennej czapce z rozpromienioną twarzą przynieść właściwy prowiant: pieczone kury, szynki i pasztety, świeżo upieczony chleb i całą baterię butelek, z których każda z oddzielną zapakowana była w słomę, aby się ostała niebezpieczeństwom wyboistej, wiejskiej drogi. W zastępstwie kucharza zabrano do podawania młodego chłopaka, któremu wskazano miejsce z tyłu karocy, gdzie w dawnych czasach obok dyżurnego lokaja stał książęcy laufer w kapeluszu z barwnym pióropuszem.

Dzięki tej całej paradzie już same przygotowania do wyjazdu miały coś z wesołej atmosfery teatralnej, a ponieważ wiadomość o naszej osobliwej wycieczce szeroko rozeszła się po okolicy nie brak było widzów na tym uciesznym widowisku. Z sąsiednich wsi nadciągnęli chłopci w jaskrawym, odświętnym odzieniu, a z pobliskiego przytułku dla ubogich zjawily się stare, zasuszone kobieciny i wyszarzali mężczyźni z nieodłącznymi, glinianymi fajkami. Przede wszystkim okrzyki nas gromady bosych dzieci, nadbiegłych z bliska i z daleka, z podziwem gapiących się na przystrojone konie i stangreta, w którego suchych, lecz silnych jeszcze rękach zbiegały się długie, tajemniczo zasupłane lejce. Nie mniejszy zachwyty wywoływał Pista, którego znano dotychczas jedynie w granatowym szoferskim mundurze, a który obecnie w staroksiążęcej liberii trzymał już w ręku srebrny róg myśliwski, aby dać nim znak do odjazdu. Zjedliśmy przedtem śniadanie, a gdy wreszcie zbliżyliśmy się do uroczystego pojazdu, musieliśmy z uciechą

stwierdzić, że wyglądamy w każdym razie mniej odświeżenie niż pompatyczna karoca i świetni lokaje. Kekesfalva w zwykłym swym surducie wyglądał nieco komicznie, gdy sztywno, niby czarny bocian wsiadał do kolasy ozdobionej cudzymi emblematami szlachectwa. Młode panienki powinny być właściwie mieć na sobie rokokowe kostiumy, czarne plasterki na policzkach i barwne wachlarze w rękach – mnie zaś byłoby zapewne bardziej do twarzy w śnieżnobiałym uniformie kawalerzysty z czasów Marii Teresy niż w mojej błękitnej kurtce ułańskiej. Lecz i bez tych historycznych kostiumów wyglądaliśmy w oczach zebranych na pewno dość uroczyście, gdy wreszcie usadowiliśmy się w ciężkim, niezdarnym wehikule. Pista podniósł do ust róg myśliwski, jasny ton rozbrzmiał wśród podnieconych okrzyków i pożegnań zgromadzonej służby, a stangret: kunsztownie zatoczył biczem w powietrzu olbrzymią pętlę, aż huknęło, jak gdyby ktoś wystrzelił. Masywna kolasa ruszyła z gwałtownym wstrząsem i wszyscy ze śmiechem powpadaliśmy na siebie, a potem dzielny woźnica tak zręcznie przeprowadził czwórkę przez kratę bramy, że brzuchata karoca wbrew naszym obawom gładko i szczęśliwie wydostała się na szosę.

Nic właściwie dziwnego, iż budziliśmy zdumienie i szacunek na całej naszej drodze. Od dziesiątków lat nie widziano w całej okolicy książęcej karocy, zaprzężonej w czwórkę, toteż niespodziane jej pojawienie się wydawało się chłopom zapowiedzią zdarzeń nieomal nadnaturalnych. Myśleli, że może jedziemy na dwór królewski, że przyjechał cesarz lub że w ogóle zdarzyło się coś niepojętego, i kapelusze spadały z głów, jakby je wiatr porywał, zaś boscie dzieci z zachwytem biegły za nami. Gdy spotykaliśmy na drodze jakiś wóz naładowany sianem lub lekką, wiejską bryczkę, obcy woźnica czym prędzej zeskakiwał z kozła i z kapeluszem w ręku przytrzymywał swe konie, aby nas przepuścić. Wyłącznie do nas należała cała droga, do nas – jak w feudalnych czasach – cała piękna, kołysząca się łąkami zbóż, bogata okolica, do nas ludzie i zwierzęta. Co prawda podróż w masywnym wehikule nie szła prędko, lecz dawała nam sposobność do obserwacji i śmiechu z wielu rzeczy, co specjalnie bawiło obydwie dziewczyny. Nowość zawsze młodzież zachwyca, i niezwykłość wycieczki, nasz osobliwy pojazd, pełna pokory czołobitność ludu na widok starodawnej kolasy oraz sto innych drobnych incydentów spowodowało, że panienki oszołomione słońcem i powietrzem były jak pijane. Zwłaszcza Edyta, która od miesiący nie wychodziła z domu, zachwycała swawolą w ten wspaniały letni dzień.

Pierwszy postój zarządziliśmy w małej wiosce, gdzie rozkołysane dzwony zwoływały na niedzielne nabożeństwo. Na polach widać było ostatnie gromadki chłopów spieszących miedzami do wsi. Wśród wysokiego, dojrzewającego zboża płynęły płaskie jedwabne kapelusze mężczyzn i kolorowe haftowane czepki kobiet. Ze wszystkich stron ciągnęły sznury ludzi niby wędrujące, ciemne gąsienice wśród falującego złota pól, a właśnie gdyśmy jechali niezbyt czystą główną drogą, pełną wrzasku i popłochu rozgęganych gęsi, dzwony umilkły. Zaczynało się nabożeństwo. Niespodzianie Edyta zażądała gwałtownie, abyśmy wysiedli i wzięli w nim udział.

Wśród poczciwych chłopów zapanowało ogromne podniecenie, że właśnie na ich skromnym placu zatrzymała się ta niewiarygodna karoca, a pan dziedzic, którego znali tylko ze słyszenia, wraz z całą rodziną – widocznie i mnie do niej zaliczali – właśnie w ich kościółku chciał być na nabożeństwie. Szybko wybiegł kościelny, jak gdyby dawniejszy Kanitz był samym księciem Orosvar, i gorliwie oznajmił, że ksiądz zaczeka z rozpoczęciem mszy. Ludzie, z szacunkiem pochylając głowy, utworzyli szpaler i widać było wzruszenie, jakie wywołało w nich kalectwo Edyty, którą Józef z Iloną podpierali i prowadzili. Właśnie prostych ludzi głęboko wzrusza fakt, że nieszczęście nie omija i bogatych, złośliwie chwytając ich w swe szpony. W tłumie przebiegł szept i wkrótce kobiety troskliwie naniósł poduszek, aby sparaliżowana mogła usiąść wygodnie, oczywiście w pierwszym rzędzie, który się szybko opróżnił. Nieomal wywierało to wrażenie, że ksiądz celebrytuje mszę dla nas specjalnie uroczyście. Prostota i ubóstwo kościółka serdecznie mnie wzruszyły; i dyszkant kobiet, szorstkie, chropawe basy mężczyzn i naiwne głosiki dzieci świadczyły o prostszej i bezpośredniejszej wierze niż wszystkie te wspaniałe obrzędy, do jakich byłem przyzwyczajony w wiedeńskiej katedrze Świętego Stefana lub w kościele Augustianów. Lecz mimo woli skupienie moje było niecałkowite, gdyż przypadkowo spojrzałem na sąsiadkę, Edytę, i dostrzegłem z prawdziwym przestrawieniem, z jaką żarliwą pobożnością chora się modli. Żadna oznaka nie pozwalała mi dotychczas przypuszczać, że dziewczynę wychowano pobożnie i że była wierząca. Teraz widząc, w jaki sposób się modli, zrozumiałem, iż nie było to przyzwyczajenie; pochyliwszy bladą twarz, jak człowiek stawiający czoło wielkiej burzy, uczepliwszy się rękami pulpitu, nieobecna wszystkimi zmysłami, bezwiednie szepcząc jakieś słowa, zdradzała swą postawą naprężenie człowieka, pragnącego całą mocą i siłą wywalczyć coś niesłychanie ważnego, a nieosiągalnego. Niekiedy ciemna, drewniana ławka aż drżała – martwe

drewno przejmowało głębokie wstrząsy tej ekstatycznej modlitwy. Zrozumiałem od razu, że Edyta zwraca się do Boga, prosząc Go o coś całkiem określonego, że czegoś od Niego chce, a nietrudno było pojąć, czego ta chora, ta sparaliżowana, tak pragnie.

Gdy po skończonym nabożeństwie pomogliśmy jej wsiąść do powozu, przez dłuższy jeszcze czas zaszuchana była w sobie i nie odzywała się ani słowem. Nie rozglądała się też ciekawie i swawolnie na wszystkie strony: zdawać by się mogło, że te pół godziny żarliwej walki wyczerpało, zmęczyło wszystkie jej zmysły. Oczywiście i my zachowywaliśmy powściągliwe milczenie. Jazda zrobiła się cicha i nieco senna, aż wreszcie tuż przed południem przybyliśmy do stadniny.

Czekało tu nas specjalne przyjęcie. Chłopcy z najbliższej okolicy, widocznie zawiadomieni o naszych odwiedzinach, powiadali na nie osiodłane konie i niby grupa arabskich jeźdźców ostrym galopem wyjechali nam naprzeciw. Wspaniały był to widok: opaleni, radośnie pokrzykujący chłopcy, w otwartych koszulach, z barwnymi długimi wstążkami, rozwiewającymi się u niskich kapeluszy, w białych szerokich spodniach niby horda Beduinów pędzili na oklep wprost na karoce, jak gdyby chcieli nas jednym skokiem przesadzić. Już konie u kolasy stuliły niespokojnie uszy, a stary Jonak, mocno wpierając się nogami w przód kozła musiał silnie przyciągnąć cugle, gdy dzika banda na raptowne gwizdnięcie uformowała się sprawnie w orszak, który nam towarzyszył aż do domu kierownika zarządzającego stadniną.

Jako zapalony kawalerzysta miałem tu niemało do oglądania. Obydwom panienkom sprowadzono źrebięta i zarówno Edyta, jak i Ilona nie mogły się nacieszyć bojaźliwymi, a ciekawymi zwierzątkami na wysmukłych nóżkach i ich głupimi mordkami, jeszcze nie umiejącymi wziąć podawanego cukru. W czasie gdyśmy się tak wesoło zabawiali, chłopak kuchenny pod troskliwym dozorem Jonaka przygotował doskonałą przekąskę na otwartym powietrzu. Wkrótce się okazało, iż wino było tak dobre i mocne, że nasza trochę dotąd przytłumiona wesołość buchnęła znowu jasnym płomieniem. Gawędziliśmy, bardziej rozmowni, bardziej towarzyscy i swobodniejsi, niż dotychczas. Na jedwabistym niebie nie było ani obłoczka, a mego nastroju również przez wszystkie te godziny nie zaciemniała myśl, że tę szczupłą dziewczynę, śmiejącą się najserdeczniej, najgłośniej i najbardziej beztrosko, znałem jedynie jako cierpiącą, zropaną i zdesperowaną. Nie myślałem też, że ten starszy pan, badający i poklepujący konie ze

znajomością weterynarza, żartujący z chłopakami stajennymi i rozdający napiwki, był tym samym człowiekiem, który przed dwoma dniami, nieprzytomny z lęku, napadł mnie nocą jak lunatyk. Nawet siebie samego ledwie poznawałem, tak lekko było mi na duszy, a wszystkie członki ciała miałem tak giętkie, jak gdyby były naoliwione. Po południu, gdy Edytę ułożono w pokoju żony zarządzającego na krótki spoczynek, wypróbowałem kolejno kilka koni. Na wyścigi z młodymi chłopcami galopowałem przez łąki, a gdy luźno puszczałem cugle, świadom własnej lekkości, ogarniało mnie nieznane mi dotąd uczucie wolności. Ach, gdybyż tu pozostać, nikomu nie być podległym, pędzić swobodnie jak ptak szerokimi polami! Smutno mi się zrobiło, gdy z dala – zagalopowałem się ponad miarę – usłyszałem nawoływanie myśliwskiego rogu, przypominające o powrocie.

Doświadczony Jonak wybrał na drogę powrotną inną trasę, ponieważ prowadziła przez mały, chłodny laszek. Wszystko nam się w tym udanym dniu szczęściło, toteż czekała nas jeszcze jedna, ostatnia, a najmilsza niespodzianka. Wjechawszy do niepozornej wsi, zabudowanej ledwo dwudziestoma chatami, ujrzałem, że jedyna droga w tej zacisznej osadzie zatarasowana jest pustymi, drabiniastymi wozami. Ku naszemu zdziwieniu nie było nikogo, kto zrobiłby miejsce olbrzymiej landarze; wydawało się, że w dalekim kręgu ziemia wszystkich pochłoneła. Wkrótce wyjaśniła się jednak ta pustka, niezwykła nawet w niedzielę; Jonak umiejętnie wywinał olbrzymim batem, który strzelił jak z pistoletu, zewsząd nadbiegli przerażeni ludzie i wywiązało się nader ucieszne nieporozumienie. Okazało się, że syn najbogatszego chłopca w okolicy świętuje swe wesele z ubogą krewną z innej wsi. Zatarasowaną drogą, przy której jedną ze stodół wypożyczono do tańca, biegł teraz do nas z powitaniem purpurowy z przejęcia, tęgi ojciec narzeczonego. Może sądził szczerze, iż szeroko znany dziedzic Kekesfalvy kazał specjalnie zaprząć czwórkę, aby jemu i jego synowi wyświadczyć honor swą obecnością na weselu, może korzystał jedynie z naszego przypadkowego przejazdu, aby się wywyżżyć w wiejskiej opinii – w każdym razie kłaniając się bez przerwy zaczął prosić, aby pan von Kekesfalva i jego goście raczyli łaskawie wypić za zdrowie młodej pary szklaneczkę węgierskiego wina z jego własnej winnicy, my zaś byliśmy w zbyt dobrych humorach, aby odmówić tak szczeremu zaproszeniu. Ostrożnie wysadzono więc Edytę z karocy i wśród podziwiającej nas, szepczącej i z czcią rozstępującej się gawiedzi weszliśmy niby triumfatorzy na wiejską salę tańca.

Przyjrząwszy się bliżej, zobaczyliśmy, że była to opróżniona stodoła, w której po obu stronach na pustych beczkach po winie zbudowano z desek estradę. Na prawo, przy stole nakrytym białym wiejskim płótnem i obficie zastawionym butelkami oraz potrawami, siedzieli wokół młodej pary członkowie jej rodziny i nieodzowna arystokracja wiejska: proboszcz i komendant posterunku żandarmerii. Na przeciwległym wzniesieniu rozsiedli się muzykanci, wąsaci i dość romantyczni Cyganie ze skrzypcami, basetlą i cymbałami. Na klepisku tłoczyli się goście, a dzieci, których nie wpuszczono do przepełnionego lokalu, przyglądały się uroczystości bądź przez drzwi, bądź przez szpary w dachu, skąd widać było zwieszające się gołe nogi.

Natychmiast mniej godni krewni musieli opuścić mniej honorowe podwyższenie, aby nam zrobić miejsce, a gdy beztrąsko wmieszaliśmy się w tłum pocziwych wieśniaków, podziwiano łaskawość jaśnie oświeconych państwa. Słaniając się ze wzruszenia ojciec narzeczonego własnoręcznie przyniósł potężny dzban wina, nalał nam szklanki i wznosił okrzyk:

– Na zdrowie wielmożnego pana! – co natychmiast rozległo się entuzjastycznym echem daleko na drodze.

Potem przyprowadził swego syna i jego nowo zaślubioną połowicę, nieśmiałą, nieco zbyt szeroką w biodrach dziewczynę, której odświętny barwny strój i biały wianek mirtowy nadawał wzruszający wygląd. Czerwona jak burak ze wzruszenia dygnęła niezręcznie przed panem Kekesfalva i z czcią pocałowała rękę Edyty, która nagle bardzo się zdenerwowała. Na młode dziewczęta widok ceremonii weselnej wywiera przecież zawsze wrażenie przejmujące, gdyż dusze ich ogarnia w tej chwili jakaś tajemnicza solidarność płci. Edyta zarumieniła się i przyciągnęła do siebie onieśmiałą dziewczynę, pocałowała ją, zastanowiła się chwilę, zdjęła z palca pierścioneł – wąski, staromodny i nie bardzo kosztowny – i podała go pannie młodej, którą ten niespodziewany dar nieomal pozbawił zmysłów. Przestraszona spojrzała pytająco na teścia, czy wolno jej przyjąć tak drogi prezent, a gdy zobaczyła jego dumne skinienie głową, z radości wybuchnęła płaczem. Popłynęła ku nam nowa fala zachwyty i wdzięczności; ze wszystkich stron cisnęli się prości ludzie, nie znający zbytku, i widać było, że uczyniliby z chęcią coś niezwykłego, aby okazać nam swą wdzięczność. Lecz nikt nie odważył się słowem odezwać do „wielmożnych państwa”. Wśród tłumu kręciła się ze łzami w oczach, jak pijana, od gościa do gościa, stara chłopka oszołomiona honorem, jaki spadł na jej syna, zaś zmieszany pan młody spoglądał to na żonę, to na nas, to na swe ciężkie, błyszczące, wysokie buty.

Kekesfalva, aby przerwać te objawy czci, które zaczęły nas już krępować, serdecznie uściskał rękę ojcu pana młodego, oblubieńcowi i kilku innym wieśniakom, prosząc, aby z naszego powodu nie przerywano sobie wesołej zabawy. Niechże młodzież dalej tańczy do woli; zrobią nam największą przyjemność, jeżeli nie będą się krępowali. Jednocześnie skinał na pierwszego grajka, który ze skrzypcami pod pachą stał przed estradą zgięty w ukłonie, rzucił mu banknot i dał znak, aby zaczynali. Widocznie był to duży banknot, gdyż chłopak drgnął, jak tknięty elektrycznym prądem, rzucił się ku swoim, mrugnął na muzykantów i w tejże chwili wszyscy czterej pokazali, co umieją prawdziwi Węgrzy i Cyganie. Już pierwszy dźwięk cymbałów zmiotł swą porywającą siłą wszelkie skrępowanie. Natychmiast uformowały się pary i buchnął taniec bardziej dziki i entuzjastyczny niż poprzednio, gdyż nie zdając sobie z tego sprawy wszyscy ci chłopcy i dziewczęta chcieli się popisać, pokazać państwu, jak tańczą prawdziwi Węgrzy. W przeciągu minuty cicha i milcząca z nadmiaru szacunku sala zmieniła się w rozruchany kłęb wirujących, skaczących, tupiących ciał, a rozweselona młodzież zapłonęła tak szaloną i spontaniczną werwą, aż za każdym taktem dźwięczały wszystkie szkła na estradzie.

Błyszczącymi oczami przyglądała się Edyta tańczącym. Nagle poczułem jej rękę na ramieniu.

– Pan także musi zatańczyć! – rozkazała.

Na szczęście panna młoda nie była jeszcze wciągnięta w wir taneczny, stała i oszołomiona wpatrywała się w pierścionek na palcu. Gdy się przed nią skłoniłem, zarumieniła się zrazu wobec tak niezasłużonego zaszczytu, ale dała się uprowadzić. Nasz przykład dodał odwagi nowożeńcowi. Mocno popchnięty przez ojca podbiegł do Ilony, a cymbalista jak oszalały załomotał w swój instrument, podczas gdy czarny, wąsaty diabeł rznął na skrzypcach. Sądzę, że nigdy przedtem ani potem nie tańczono w owej wsi tak ochoczo jak na owym weselu.

Lecz pełen niespodzianek róg obfitości jeszcze się nie opróżnił. Zwabiona hojnym prezentem, jaki otrzymała panna młoda, wcisnęła się na estradę jedna ze starych Cyganek, jakich nigdy nie brak na takich zabawach, i gwałtownie nalegała, aby Edycie powróżyć z ręki. Widać jednak było, że dziewczyna jest zażenowana – z jednej strony szczerze ją to zaciekało, z drugiej wstydziła się w obecności mnóstwa widzów poddawać takim sztuczkom. Szybko przybyłem więc na pomoc, zmuszając pana von Kekesfalva i wszystkich pozostałych do zejścia z estrady, aby nikt nie mógł

podszuchać tajemniczych przepowiedni. Ciekawscy musieli ze śmiechem przyglądać się w oddaleniu, jak stara ukłękła, wzięła rękę Edyty i zapatrzyła się w jej linie. Wszyscy na Węgrzech znają aż nadto dobrze odwieczne sztuczki tych bab, które każdemu mówią same tylko rzeczy najprzyjemniejsze, a potem wykorzystują dobry nastrój. Lecz ku memu zdumieniu wszystko, co koślawa Cyganka szeptała Edycie chropowatym głosem, zdawało się ją głęboko wzburzać; zaczęło się już drżenie nozdrzy, które stale towarzyszyło u niej gwałtownemu napięciu. Pochylona do wróżki coraz niżej, słuchała jej słów oglądając się co chwila bojaźliwie, czy ktoś nie podsłuchuje, potem przywołała skinieniem ojca, szepnęła mu coś rozkazująco, a starzec, posłuszny jak zawsze, sięgnął do kieszeni na piersi i podał Cygance kilka banknotów. Zapłata musiała według wiejskich pojęć być niezmiernie wysoka, bo chciwa baba niby podcięta padła na kolana i schwyciwszy jak nieprzytomna skraj sukni Edyty zaczęła go całować, coraz gwałtowniej przesuwając rękami po jej sparaliżowanych nogach i mrużąc niezrozumiałe zaklęcia. Potem zerwała się i jednym skokiem wybiegła za wrota, jakby się bała, że ktoś mógłby jej zabrać otrzymane pieniądze.

– Chodźmy już – szepnąłem panu von Kekesfalva, dostrzegłszy błąd Edyty.

Sprowadziłem lokaja, który wraz z Iloną poprowadził chorą, wspartą na kulach, do powozu. Muzyka się urwała – wszyscy tutejsi poczciwcy nie omieszkali towarzyszyć naszemu odjazdowi, krzycząc i machając rękami. Muzykanci okrzykami nasz powóz, aby zagrać jeszcze ostatni tusz, a cała wieś szalała i krzyczała „wiwat” i „niech żyje”. Doprawdy, stary Jonak z trudnością panował nad końmi odzwyczajonymi od takiego wojennego zgiełku.

Byłem niespokojny o Edytę siedzącą naprzeciwko mnie. Wciąż jeszcze drżała całym ciałem i widać było, że jest pod mocnym wrażeniem. Nagle wybuchnęła łkaniem. Lecz był to szloch szczęścia; płakała śmiejąc się i śmiała się płacząc. Niewątpliwie chytra Cyganka wywróżyła jej rychłe wyzdrowienie, a może i coś więcej.

– Ach, dajcież mi spokój, dajcie mi spokój! – Wydawało się, że znajduje w tym łkaniu jakąś nową, a dziwną rozkosz. – Dajcie mi spokój – powtarzała. – Wiem, że to stara oszustka, ach, sama to wiem, ale czemu nie wolno mi być raz w życiu głupią! Dlaczego nie mam pozwolić, aby mnie uczciwie oszukano!

Był już późny wieczór, gdyśmy wjeżdżali w bramę pałacową. Nalegano, abym koniecznie został na kolacji, ale nie chciałem; czułem, że na dziś dość, że może tych wrażeń jest już nawet za dużo. Przez cały złocisty dzień letni czułem się tak szczęśliwy, że wszystko inne mogłoby tylko popsuć mój nastrój. Wolałem wrócić do domu znajomą aleją zachowując w sercu słodycz pełną uroku, jak chłód nocny po rozżarzonej drodze. Nie, nie trzeba żądać więcej, tylko z wdzięcznością wspominać przeżyte chwile i rozmyślać nad nimi! Pożegnałem się dość wcześnie. Gwiazdy błyszcząły, a mnie się zdawało, że patrzą na mnie pieśczośliwie. Niosąc świeży powiew płynął nad zagasłymi polami wiatr, a mnie się zdawało, że śpiewa dla mnie. Ogarnęło mnie uczucie zupełnego szczęścia, kiedy to wszystko dookoła wydaje się dobre i zachwycające, ludzie i świat, gdy chciałoby się uścisnąć każde drzewo, głaskać jego korę jak ciało ukochanej, gdy chciałoby się wejść do byle jakiego obcego domu, przysiąc do nieznanym ludzi i wszystko im opowiedzieć, bo własna pierś staje się za wąska, a uczucie za silne; gdy chciałoby się z kimś podzielić swe wrażenia, wylać przed nim serce, oddać siebie całkowicie, ach, rozdarować, roztrwonić ten nadmiar szczęścia!

Gdy przyszedłem wreszcie do koszar, ujrzałem przed drzwiami czekającego na mnie ordynansa. Po raz pierwszy zobaczyłem (wszystko dziś widziałem po raz pierwszy!), jak wierną, pyzată twarz ma ten ruski chłopak wiejski. „Zrobię mu jakąś przyjemność – pomyślałem – a najlepiej dam mu parę groszy, aby mógł kupić piwa sobie i swojej dziewczynie. Zwolnię go też dzisiaj na cały wieczór, a jutro i przez cały tydzień... na wszystkie popołudnia”. Sięgnąłem do kieszeni, gdy nagle chłopak wyprężył się i zameldował stojąc na baczność:

– Telegram dla pana porucznika.

Telegram? Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Kto na całym szerokim świecie mógłby czegoś ode mnie chcieć? W tak szybki sposób dosięgnąć mnie mogła jedynie zła wiadomość. Podbiegłem do stołu, na którym leżał czworokątny, zapieczętowany papier. Ociągając się rozerwałem go i kilkanaście słów wyjaśniło mi wszystko dobitnie:

Wezwany na jutro przez Kekesfalwę. Koniecznie przed tym muszę porozmawiać. Czekam o piątej. Winiarnia Tyrolska

Condor

Już raz w życiu doświadczyłem, że w przeciągu jednej tylko sekundy największe oszołomienie może się raptownie zmienić w najzupełniejszą trzeźwość. Działo się to zeszłego roku na pożegnalnej uczcie, wydanej przez jednego z kolegów, który żenił się z córką niezwykle bogatego fabrykanta z północnych Czech i zafundował nam przed tym wspaniałą kolację. Porządny chłopak naprawdę nie szczędził wydatków, kazał przynosić jedną baterię flaszek po drugiej, najcięższe, gęste bordeaux i wreszcie szampana w takiej ilości, że zależnie od temperamentu jedni z nas stali się bardzo głośni, inni zaś sentymentalni. Całowaliśmy się, śmiali, awanturowali, hałasowali i śpiewali. Toastowano, wychylano koniaki po likierach, kopcono cygara i papierosy, grube kłęby dymu przepelniały siną mgłą nadmiernie nagrzanego lokalu i wreszcie nikt nie zauważył, że za zmatowiałymi oknami niebo się rozjaśniło. Była trzecia czy czwarta, a wielu z nas nie mogło już usiedzieć prosto, niektórzy ciężko oparci o stoły wpatrywali się szklanymi, załzawionymi oczami w kolegów wznoszących wciąż nowe toasty, a gdy któryś musiał wyjść, zataczał się w stronę drzwi lub potknąwszy się padał jak pełny worek. Nikt nie był w stanie wyraźnie mówić ani myśleć.

Nagle szarpnięto z zewnątrz drzwi, pułkownik (o którym jeszcze później będę mówił) wszedł z brzękiem ostróg, a ponieważ w dzikim hałasie ledwo paru z nas poznało go lub zauważyło, gniewnie zbliżył się do stołu, wyrzucił pięścią w zalany blat, aż talerze i szklanki zadźwięczały, i zakomenderował swym najsurowszym, najostrzejszym tonem:

– Cisza!

Natychmiast, jak gdyby piorun uderzył, uspokoiło się wszystko, a nawet najbardziej pijani otrzeźwiali i zamrugali oczami. Pułkownik zawiadomił krótko, że na przedpołudnie wyznaczona została niespodzianie inspekcja generała dywizji, spodziewa się więc, że wszystko będzie w najzupełniejszym porządku i żaden z nas nie przyniesie wstydu pułkowi. I właśnie wówczas stało się coś bardzo dziwnego: raptem odzyskaliśmy wszyscy przytomność. Jak gdyby otworzył ktoś wewnątrz nas okna, opary alkoholu rozwiały się, zapuchnięte twarze zmieniły wyraz i stężały pod wpływem wezwania do obowiązku. W przeciągu sekundy każdy z nas wyprężył się, po dwóch minutach opuściliśmy zdewastowany stół, a każdy od razu wiedział dokładnie, co do niego należy. Zbudzono żołnierzy, ordynansi rozbiegli się na wszystkie strony, wszystko aż do ostatniej sprzączki przy siodle szybko jeszcze raz oczyszczono i przejrzano, a w parę godzin później inspekcja, której się tak obawiano, przeszła nienagannie.

Z taką samą szybkością spadło ze mnie miękkie rozmarzenie, gdy przeczytałem ów telegram. W przeciągu sekundy pojąłem to, z czego nie chciałem zdawać sobie sprawy przez wszystkie te godziny: oto całe owo upojenie było wynikiem kłamstwa, ja zaś przez swą słabość, przez fatalną litość, stałem się winny, współwinny oszustwa. Zorientowałem się od razu, iż doktor przybywał, aby żądać ode mnie usprawiedliwienia. Trzeba było zapłacić, trzeba było zapłacić za własne i cudze uczucie szczęścia.

Z punktualnością wypływającą z niecierpliwości – nawet o kwadrans za wcześnie – stałem już o wyznaczonej godzinie przed winiarnią, kiedy właśnie w tym samym czasie nadjechał Condor dwukonną dorożką z dworca. Pomijając wszelkie formalności zwrócił się do mnie od razu:

– Doskonale, że pan jest taki punktualny, wiedziałem, że można na panu polegać. Skryjmy się szybko w jakimś kącie, bo sprawy, które mamy omówić, nie nadają się dla cudzych uszu.

Coś wydało mi się zmienione w jego niedbalej postawie. Wzburzony, a zarazem opanowany, poszedł szybko naprzód i nadbiegłej kelnerce rzucił nieomal brutalnie:

– Litr wina! Tego samego, które piliśmy onegdaj! I proszę nikogo tu nie wpuszczać! Sam zawołam.

Usiedliśmy, a zanim kelnerka postawiła przed nami wino, doktor już zaczął:

– A więc krótko i węzłowato, muszę się pospieszyć, żeby tamci nie zwąchali, że tu coś knujemy. Pozbycie się szofera, który mnie *coûte que coûte* natychmiast chciał wieźć do pałacu, było także porządną robotą. Więc do rzeczy, aby pan od razu wiedział, o jaką stawkę chodzi. Onegdaj z rana dostałem telegram.

*Drogi panie, proszę przyjechać natychmiast. Czekamy z niecierpliwością.
Ufni i wdzięczni*

Kekesfahowie

Już te określenia „natychmiast” i „niecierpliwie” wcale mnie nie zachwyciły. Skąd nagle ta niecierpliwość? Przecież dopiero przed paroma dniami Edytę badałem. Jeszcze jedno: skąd aż to telegraficzne zapewnienie o

wdzięczności i specjalnym zaufaniu? Nie bardzo się tą sprawą przejąłem i odłożyłem telegram *ad acta*, bo starzec dość często pozwalał sobie na takie niespodzianki. Ale wczorajszy ranek zastanowił mnie poważnie. Bo oto przyszedł także nieskończenie długi list od Edyty, zupełnie zwariowany i egzaltowany list *expres*: że od początku wiedziała, iż jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może ją uratować, że nie potrafi mi powiedzieć, jak szczęśliwa się czuje, że doszliśmy nareszcie do czegoś pozytywnego, że pisze tylko po to, aby mnie zapewnić, iż w każdym razie mogę na niej polegać. Wszystko, cokolwiek zaordynuję, nawet najtrudniejsze ćwiczenia, przyjmie z całkowitym zaufaniem. Abym tylko zaczął wkrótce, jak najszybciej, nową kurację, bo aż się pali z niecierpliwości. I jeszcze raz: przygotowana jest na wszystko, abym tylko zaraz rozpoczął, i tak dalej, i tak dalej.

Słowa o jakiejś nowej kuracji zastanowiły mnie. Zrozumiałem natychmiast, że ktoś widocznie albo staremu, albo jego córce nagadał o kuracji profesora Viennota, bo przecież nie wyssali sobie tego z palca. A tym kimś nie mógł być oczywiście nikt inny, tylko pan, panie poruczniku.

Musiałem widocznie zrobić jakiś ruch mimowolny, gdyż doktor natychmiast ostro mi przerwał.

– Proszę, żadnych dyskusji na ten temat! Z nikim innym nie mówiłem o metodzie profesora Viennota. Wyłącznie pan wziął to na swe sumienie, iż ci ludzie przypuszczają, że w przeciągu paru miesięcy wszystko będzie zmazane, jakby ktoś wytarł ścierką. Ale jak już powiedziałem, oszczędźmy sobie wszelkich wymówek, wygadaliśmy się obydwoj, ja przed panem, a pan – aż nadto! – przed tamtymi. Powinienem być być ostrożniejszy wobec pana, no, ostatecznie leczenie nie jest pana zawodem. Skądże ma pan wiedzieć, że pacjenci oraz ich rodziny mają inny słownik niż ludzie normalni, że każde „może” zmienia się u nich natychmiast w „na pewno” i dlatego nadzieję trzeba im podawać w ostrożnie destylowanych kroplach, aby nie upili się optymizmem i nie zaczęli się buntować.

Ale tego nie zmienimy – co się stało, to się nie odstanie. Postawmy krzyż na temacie „odpowiedzialność”! Nie poprosiłem pana po to, aby perorować, czuję się natomiast w obowiązku teraz, gdy się pan wtrącił do mojej sprawy, wyjaśnić panu jej okoliczności i dlatego tu pana zaprosiłem.

Condor po raz pierwszy podniósł oczy i spojrzał mi w twarz. Lecz w spojrzeniu jego nie było surowości, przeciwnie, wydało mi się, że mnie żałuje. Głos jego także złagodniał.

– Wiem, kochany panie poruczniku, że to, co panu teraz powiem, dotknie pana boleśnie. Lecz jak już powiedzieliśmy, na sentymenty i sentymentalności nie ma czasu. Opowiedziałem panu, że przeczytawszy artykuł w piśmie lekarskim natychmiast zwróciłem się do profesora Viennota o bliższe wyjaśnienia i – o ile sobie przypominam – nic więcej nie powiedziałem. Wczoraj z rana nadeszła jego odpowiedź, i to razem z ekstatycznym listem Edyty. Jego wyjaśnienia na pierwszy rzut oka wydają się pozytywne. Rzeczywiście w leczeniu tamtego pacjenta oraz kilku innych osiągnął zadziwiające rezultaty. Ale niestety – i to jest właśnie ta smutna okoliczność – jego metoda jest u naszej chorej niemożliwa do zastosowania. W przypadkach zagranicznych chodziło o chorobę szpiku kostnego w kręgosłupie na podłożu tuberkulicznym. Wolę oszczędzić panu szczegółów fachowych, lecz powiem tylko tyle, że przez zmianę ucisku na nerwy motoryczne doprowadzono je do ponownego funkcjonowania. W przypadku naszym – porażenia centralnego systemu – wszelkie procedury profesora Viennota, jak nieruchome leżenie w gorsecie przy jednoczesnym naświetlaniu słońcem oraz specjalny rodzaj gimnastyki, nie mogą być wzięte pod uwagę. Jego metoda – niestety! – nie jest dla nas w praktyce możliwa. Narazanie biednego dziecka na wszystkie te uciążliwe terapie byłoby prawdopodobnie niepotrzebną udręką. No, uważałem za swój obowiązek powiedzieć panu o tym! Teraz pan wie, jak sprawa stoi i jak lekkomyślnie wzbudził pan w tej biednej dziewczynie szaloną nadzieję, że za parę miesięcy będzie mogła znowu tańczyć i skakać! Ode mnie nikt by nigdy nie usłyszał takiego bezsensownego twierdzenia. Ale Kekesfalwowie będą się teraz pana, który tak przedwcześnie obiecał im gwiazdkę z nieba, trzymali i będą mieli rację. Ostatecznie tylko pan, wyłącznie pan, narobił tego całego zamętu.

Uczułem, że mi palce sztywnieją. Wprawdzie podświadomie wszystko to przeczuwałem od chwili, gdy zobaczyłem ów telegram na stole, jednak teraz, gdy Condor tak krótko i dobitnie wyjaśnił mi sytuację, miałem uczucie, jakby tępą siekierą uderzono mnie po głowie. Instynktownie zapragnąłem obronić się przeciwko zarzutom. Nie chciałem, aby obciążyla mnie cała odpowiedzialność. Lecz słowa, na które się zdobyłem, zabrzmiały jak jąkanie uczniaka zaskoczonego na złym uczynku:

– Ależ, jak to? ... Przecież chciałem jak najlepiej... Opowiedziałem Kekesfalvie, co nieco tylko z... z...

– Wiem, wiem – przerwał Condor – oczywiście że wymusił to, wydusił z pana, wiem, że istotnie potrafi on człowieka obezwładnić swą rozpaczliwą natarczywością. Tak, wiem, wiem, że osłabł pan jedynie z litości, a więc z motywu jak najprzyzwoitszego, najlepszego. Ale – zdaje mi się, że już pana raz ostrzegłem – ta przeklęta litość to broń obosieczna, a kto nie umie się z nią obchodzić, niech do niej nie przykładają ręki a przede wszystkim serca. Z początku litość jest dobrodziejstwem dla chorego, jak morfina, środkiem leczniczym, środkiem pomocniczym, lecz gdy się jej nie potrafi dozować i przerwać we właściwym czasie, staje się zabójczą trucizną. Pierwsze zastrzyki sprowadzają ulgę, uspokajają, paraliżują ból. Lecz organizm ludzki, zarówno ciało, jak dusza, posiada na nieszczęście dziwną siłę przystosowywania się. Jak nerwom potrzeba coraz więcej morfiny, tak uczucie wymaga coraz większej litości, a wreszcie tyle, ile w ogóle dać nie można. I przychodzi nieunikniona chwila, gdy trzeba powiedzieć „nie” i nie wolno się zastanawiać, czy za tę odmowę nie będziemy bardziej znienawidzeni, niż gdybyśmy nie pomogli wcale. Tak, kochany panie poruczniku, litość należy mocno trzymać w karchach, aby nie narobiła gorszych szkód niż wszelka obojętność. Wiemy o tym dobrze my, doktorzy, wiedzą o tym sędziowie, i komornicy, i właściciele lombardów. Gdyby chcieli powodować się wyłącznie litością, świat nasz stanąłby w swym rozwoju. Litość to niebezpieczna rzecz, niebezpieczna! Sam pan widzi, co narobiła pańska słabość.

– Ale... nie można przecież... nie można pozostawić człowieka w rozpacz. Ostatecznie nic się nie stało, że spróbowałem...

Lecz Condor nagle wybuchnął.

– Owszem... stało się, i to nawet bardzo dużo! Narodziła się odpowiedzialność, bo jeżeli się z człowieka przez litość robi głupca, to się bierze na siebie wszelką odpowiedzialność. Dorosły człowiek powinien się zastanowić, zanim weźmie udział w jakiejś sprawie, i musi wiedzieć, do czego zdecydował się dojść. Nie ma igraszek cudzymi uczuciami! Załóżmy, że nablagował pan tym pocziwcom z przesłanek jak najprzyzwoitszych, jak najlepszych, lecz na świecie nie chodzi o to, czy się człowiek do sprawy zabiera z wahaniem, czy ze zdecydowaniem, lecz o to, co się tym osiągnie i jaki będzie tego skutek. Litość to piękna rzecz. Ale istnieje litość dwojakiemu rodzaju. Jedna, małoduszna i sentymentalna, która właściwie jest tylko niecierpliwością serca, pragnącego się jak najprędzej uwolnić od przykrych

wzruszeń, wywołanych przez cudze cierpienie – nie jest to wcale współczucie, lecz instynktowne odsuwanie cudzego cierpienia od własnej duszy. I ta druga – jedynie wartościowa – litość niesentymentalna, ale twórcza, litość, która wie, czego chce, i zdecydowana jest cierpliwie a współczująco przetrwać aż do kresu sił i nawet poza ich kres. Jedynie w wypadku, gdy się idzie z człowiekiem aż do końca, aż do ostatecznego, a gorzkiego końca, jedynie wówczas, gdy się ma tę wielką cierpliwość, można komuś pomóc. I tylko wtedy, gdy siebie samego przy tym poświęcamy, tylko wtedy!

W głosie jego drżał ton gorzkości. Mimo woli przypomniało mi się, że Kekesfalva opowiadał mi, iż Condor ożenił się jakoby dla pokuty ze ślepa kobieta, której nie zdołał wyleczyć, zaś ona, zamiast mu być wdzięczna, dręczy go sobą. Lecz na ramieniu mym spoczęła ciepła i nieomal pieszczotliwa ręka.

– No, nie bierzmy tego tak tragicznie! Zmogło pana uczucie, a to się może zdarzyć każdemu. Teraz jednak do rzeczy, do sprawy pańskiej i mojej. Nie zaprosiłem tu pana ostatecznie po to, aby gadać o psychologii. Należy wrócić na teren praktyczny. Trzeba zatem, abyśmy w tej sprawie szli ręką w rękę. Po raz drugi zdarzyć się nie może, aby pan za moimi plecami włąził mi w mój zakres działania! A więc, słuchajże pan! Po liście Edyty muszę niestety sądzić, iż nasi przyjaciele wmówili w siebie szaloną tę *idée fixe*, że przez kurację, której zastosować nie można, całą tę skomplikowaną chorobę zdołamy zmasać, jakbyśmy ją starli gąbką. Gdyby nawet zwariowana ta myśl zagnieździła się w ich umysłach już bardzo głęboko, nie pozostaje nic innego, jak ją natychmiast operacyjnym zabiegiem usunąć. Im prędzej, tym lepiej dla nas wszystkich! Oczywiście, będzie to mocny szok, bo prawda jest zawsze gorzkim lekarstwem, lecz nie można pozwolić na rozrośnięcie się takiego wariactwa. Załatwienie tej sprawy w sposób jak najogłędniejszy proszę zostawić mnie!

A teraz pańska sprawa! Oczywiście, że najdogodniejszym rozwiązaniem dla mnie byłoby zrzucenie całej winy na pana. Mógłbym powiedzieć, że mnie pan źle zrozumiał, przesadził pan albo że poniosła pana fantazja. Ale nie zrobię tego, wolę raczej wszystko wziąć na siebie, lecz – mówię to panu od razu – że nie wyeliminuję pana całkowicie. Zna pan naszego starego i jego okropny upór. Gdybym mu nawet sto razy sprawę wyjaśniał i pokazał ów list, jęczałby za każdym razem od nowa: „Ale pan przecież obiecał panu porucznikowi..”, albo: „Pan porucznik mi przecież powiedział..”. Ustawicznie powoływałyby się na pana, aby siebie i mnie łudzić, że mimo wszystko jakaś

nadzieja istnieje. Bez pana jako świadka nie dam sobie z nim rady. Iluzji nie można strząsnąć tak łatwo jak rtęci w termometrze. Gdy choremu, którego w tak okrutny sposób nazywamy nieuleczalnym, pokazuje się okrucuch nadziei, stworzy on sobie z niego całą deskę, a z tej deski – dom. Lecz tego rodzaju zamki na lodzie są dla chorego bardzo niewskazane, a obowiązkiem moim jako lekarza jest jak najszybsze ich zniszczenie, zanim się w nich zagnieżdżą egzaltowane nadzieje. Musimy się zatem wziąć do rzeczy ostro i nie tracić czasu.

Condor umilkł, widocznie czekając na moją zgodę. Nie miałem jednak odwagi zetknąć się z jego spojrzeniem, zaś w duchu – podtrzymywane gwałtownym biciem serca – widziałem obrazy z dnia wczorajszego. Jechaliśmy w takiej pogodzie ducha przez rozslonecznioną okolicę, a twarz chorej jaśniała słońcem i szczęściem. Głaskała małe źrebięta... siedziała, jak królowa, na weselnej uroczystości... jej ojcu płynęły po twarzy łzy, ściekając do roześmianych, drgających ust. Zniszczyć to wszystko jednym jedynym ciosem! Odmienić znów tę nieszczęsną dziewczynę? Tak niespodzianie zmienioną, tak niespodzianie wyrwaną z rozpacz strącić jednym słowem w piekło niecierpliwości? Nie, wiedziałem, że nigdy do tego ręki nie będę mógł przyłożyć.

– Czy nie można by raczej... – rzekłem z wahaniem i urwałem pod wpływem badawczego spojrzenia doktora.

– Co? – rzucił cicho.

– Myślę, czy nie można by... przeczekać chociażby parę dni, bo wczoraj... wczoraj miałem wrażenie, jak gdyby Edyta całkowicie już nastawiła się na tę nową kurację. Myślę... że nastawiła się wewnętrznie... A teraz nie miałyby dość... jak pan to kiedyś powiedział, nie miałyby dość sił psychicznych. Chcę przez to powiedzieć, że byłaby teraz w stanie sama o wiele więcej z siebie wydobyć, gdyby... gdyby ją jeszcze przez jakiś czas pozostawić w przekonaniu, że owa nowa kuracja, po której się tyle spodziewa, pomoże definitywnie... Pan... pan przecież nie widział... pan sobie nie może nawet wyobrazić, jak wpłynęła na nią już sama wiadomość o niej! Wydawało mi się, że nawet o wiele lepiej mogła się poruszać. Myślę więc... czy nie należałoby tego wpływu pozostawić. Oczywiście... – głos mi opadł, gdyż wyczułem, że Condor ze zdziwieniem na mnie spojrzał – oczywiście, nie znam się na tym wcale...

Doktor wciąż się jeszcze we mnie wpatrywał.

– Patrzcie państwo, mędrzec wśród proroków! jak mi się zdaje, gruntownie się pan w tę historię uwikłał. Zapamiętał pan sobie nawet te „siły psychiczne”. A przy tym te kliniczne spostrzeżenia! Nawet nie wiedziałem, że sobie niespodzianie takiego asystenta i konsyliarza sprowadziłem. A zresztą – nerwowo podrapał się po głowie – spostrzeżenie pańskie wcale nie jest takie głupie – przepraszam, chcę naturalnie przez to powiedzieć głupie w sensie medycznym. Dziwne, doprawdy dziwne, otrzymawszy ten egzaltowany list Edyty, przez chwilę zastanawiałem się sam, czy nie należałoby teraz, gdy pan jej wmówił, że wyleczenie może przyjść siedmiomilowymi butami, czy nie należałoby skorzystać z jej entuzjazmu. Niezła myśl, panie kolego! Można by to zainscenizować niesłychanie łatwo. Posłałbym ją do Engadinu, gdzie mam zaprzyjaźnionego lekarza, i pozostawilibyśmy ją w błogosławionym przekonaniu, że jest poddana nowej kuracji, która w rzeczywistości byłaby kuracją dawną. W pierwszym okresie efekt mielibyśmy prawdopodobnie wspaniałe i dostawalibyśmy stosy zachwyconych, wdzięcznych listów. Autosugestia, zmiana powietrza i miejsca oraz wzmożona energia – wszystko to w istocie bardzo by nam pomogło, kłamiąc wraz z nami. Owe dwa tygodnie w Engadinie znacznie podniosłyby też mnie i pana na duchu. Ale, kochany poruczniku, jako lekarz muszę myśleć nie tylko o początku, ale o rozwoju, a przede wszystkim o rezultacie kuracji. Muszę się liczyć z nawrotem, który przy takich szalonych, egzaltowanych nadziejach jest nieunikniony – tak jest, nieunikniony! Nawet jako lekarz pozostaję szachistą, stawiam na cierpliwość i nie wolno mi się hazardować zwłaszcza wówczas, gdy ktoś inny musi za to zapłacić.

– Ale... przecież pan sam jest zdania, że można by osiągnąć znaczną poprawę...

– Oczywiście, w pierwszym rozpędzie przebieglibyśmy duży kawał drogi; przecież kobiety reagują zawsze w zadziwiający sposób na uczucia i iluzje. Ale niech pan sobie tę sytuację wyobrazi za parę miesięcy, gdy tak zwane siły psychiczne, o których mówiliśmy, będą wyczerpane, gdy wzmożona wola zużyje się i egzaltacja minie, a po tygodniach, po wielu tygodniach denerwującego naprężenia nie nastąpi wyzdrowienie, całkowite wyzdrowienie, z którym obecnie chora liczy się jako z osiągalną pewnością. Proszę, niech pan sobie wyobrazi katastrofalny wpływ tego wszystkiego na istotę tak wrażliwą, już i tak prawie doszczętnie zadrażoną przez niecierpliwość! Bo przecież w całej tej kuracji nie chodzi o drobną poprawę, lecz o coś zasadniczego, o przestawienie się z metody powolnej, lecz pewnej, wymagającej cierpliwości,

na zuchwałą, a niebezpieczną niecierpliwość! Czyż będzie mogła jeszcze kiedykolwiek mieć zaufanie do mnie, do innego lekarza lub do innego człowieka, gdy się zorientuje, że została z rozmysłem oszukana? Lepsza więc będzie w tym wypadku prawda, jakkolwiek wydaje się okrutna: nóż w medycynie bywa czasem terapią najłagodniejszą. Aby tylko nie zwlekać! Nie mógłbym z czystym sumieniem wziąć odpowiedzialności za taki podstęp. Niech się pan zastanowi! Czy pan na moim miejscu miałby odwagę?

– Tak! – odparłem bez namysłu i od razu przeraziłem się tego nazbyt spieszego słowa. – To jest... – dodałem ostrożnie – przyznałbym się jej do całej sytuacji dopiero wówczas, gdyby chociaż trochę poczuła się lepiej. Przepraszam, panie doktorze... może to brzmi zarozumiale... ale pan nie zaobserwował w ostatnich czasach tak jak ja, że bardzo tym ludziom potrzeba czegokolwiek, aby mogli jakoś żyć dalej. Oczywiście, że należy im prawdę powiedzieć... ale przynajmniej... przynajmniej wtedy, gdy będą ją mogli znieść. Nie teraz, doktorze, zaklinam pana... tylko nie teraz... nie w tej chwili!

Zawahąłem się zmieszany wyrazem ciekawości i zdziwienia w oczach Condora.

– Więc kiedy? – zastanowił się. – A przede wszystkim, kto ma jej to powiedzieć? Przecież kiedyś wyjaśnienie będzie potrzebne, a obawiam się, że rozczarowanie nastąpi wówczas stokroć okrutniejsze i niebezpieczniejsze. Czy pan rzeczywiście wzięłby na siebie taką odpowiedzialność?

– Tak jest! – odrzekłem twardo. (Sądzę, że jedynie lęk przed natychmiastowym towarzyszeniem mu do Kekesfalvów podsunął mi tę nagłą decyzję). – Biorę na siebie tę odpowiedzialność całkowicie. Wiem z całą pewnością, że w tej chwili Edycie przyniesie olbrzymią ulgę nadzieja na całkowite uzdrowienie. Gdy się potem okaże, iż trzeba ją będzie uświadomić, że... że może obiecywałem zbyt wiele, przyznam się do tego szczerze i jestem przekonany, że mnie zrozumie.

Condor patrzył na mnie ze zdumieniem.

– Do kroćset! – mruknął wreszcie. – Ależ ma pan odwagę! A najdziwniejsze, że innych pan również tą błogosławioną wiarą zaraża; najpierw tamtych, a teraz doprawdy nawet i mnie. No, jeżeli pan rzeczywiście bierze na siebie odpowiedzialność za równowagę Edyty w wypadku kryzysu, to... naturalnie cała sprawa bierze inny obrót. Należałoby więc zaryzykować i przeczekać parę dni, aż wzmocnią się jej nerwy. Ale przy zobowiązaniach

tego rodzaju nie ma odwrotu, panie poruczniku! Uważam za swój obowiązek ostrzec pana przed tym z góry. My, lekarze, przed każdą operacją zwracamy uwagę zainteresowanych na groźące niebezpieczeństwo, zaś obiecywanie sparaliżowanemu, że w przeciągu krótkiego czasu będzie całkowicie uleczony, to zabieg nie mniej odpowiedzialny niż operacja skalpelem. Niech się pan dobrze zastanowi, na co się pan waży; trzeba niezmiernych sił, aby podnieść człowieka, który został oszukany. Nie lubię spraw niewyraźnych! Zanim odstąpię więc od zamiaru natychmiastowego, uczciwego zawiadomienia Kekesfalvów, iż owa metoda w naszym wypadku jest niewykonalna i że musimy się jeszcze zdobyć na długą cierpliwość, chcę wiedzieć, czy mogę na panu polegać. Czy mogę więc bezwzględnie liczyć na to, że pan mnie wówczas nie odstąpi?

– Tak jest!

– Doskonale. – Condor gwałtownym ruchem odsunął kieliszek. (Żaden z nas nie wypił ani kropli). – A raczej miejmy nadzieję, że wszystko skończy się szczęśliwie, bo nasza decyzja odłożenia momentu wyznania jej prawdy, napędza mnie niepokojem. A teraz powiem panu dokładnie, jak daleko mam zamiar się posunąć: ani o krok nie odstąpię od prawdy. Doradzę kurację w Engadinie, lecz zaznaczę, że metoda Viennota nie jest całkowicie wypróbowana, oraz podkreślę wyraźnie, że nie powinni spodziewać się cudu. Gdyby mimo to, pokładając w panu zaufanie, oszłamiali się bezsensownymi nadziejami, sprawą pańską – mam zgodę! – sprawą pańską będzie, aby we właściwym czasie kwestię tę wyjaśnić. Możliwe, iż jest to z mojej strony ryzyko, że mam zamiar więcej zaufać panu niż memu lekarskiemu sumieniu – trudno, biorę to na siebie. Przecież w gruncie rzeczy obydwaj chcieliśmy dla tej biednej chorej jak najlepiej... – Condor wstał. – Gdyby zatem na skutek rozczarowania nastąpił jakikolwiek kryzys, mogę, jak powiedziano, liczyć na pana i miejmy nadzieję, że pańska niecierpliwość dokona więcej niż moja cierpliwość. Pozostawmy więc temu biedactwu jeszcze parę tygodni wiary! I rzeczywiście osiągniemy przez ten czas widoczną poprawę, a gdyby nastąpiła, wówczas pomógłby pan, a nie ja. Basta! Czas na mnie najwyższy. Już tam czekają pewno niecierpliwie.

Wyszliśmy z winiarni, przed którą stała dorożka. W ostatniej chwili, gdy Condor wsiadł, wargi mi drgnęły, jak gdybym chciał go odwołać. Lecz konie już ruszyły i powóz – a zarazem nieodwracalne wydarzenia – potoczyły się szybko naprzód.

Trzy godziny później znalazłem na moim stole w koszarach szybko skreślony bilecik, przywieziony mi przez szofera:

Niech pan przyjdzie jutro jak najwcześniej. Mam panu strasznie dużo do opowiedzenia. W tej chwili był tu doktor Condor. Za dziesięć dni wyjeżdżamy. Jestem okropnie szczęśliwa

Edyta

Dziwne, że właśnie tej nocy wpadła mi do ręki owa książka. Na ogół niezbyt wiele czytałem; na chwiejącej się półce w moim pokoju stało tylko sześć czy osiem dzieł o tematyce wojskowej, dotyczących regulaminu służbowego i schematów wojskowych, będących dla nas alfą i omegą. Obok nich zliczyć by można było ze dwa tuziny klasyków, których nigdy nie otwierałem, a wlokłem za sobą od korpusu kadetów do wszystkich garnizonów może tylko dlatego, aby nagim, obcym pokojom, w których musiałem mieszkać, nadać charakter bardziej osobisty. Tu i ówdzie leżało parę na wpół rozciętych, marnie drukowanych i źle zbroszurowanych książek, które się do mnie dostały w szczególny sposób. Od czasu do czasu zjawiał się mianowicie w naszej kawiarni mały, garbaty domokrażca, o dziwnie melancholijnych, zażawionych oczach, który natarczywie proponował papier listowy, ołówki i tanie wydawnictwa brukowe, mając nadzieję, że znajdą one w naszych kawaleryjskich kołach największy zbył. Była to tak zwana literatura galancka, jak: miłosne przygody Casanovy, *Dekameron*, *Pamiętniki śpiewaczki* lub wesołe opowiadania o życiu garnizonowym. Z litości – znów z tej litości! – a może chcąc się obronić jego melancholijnej natarczywości, kupiłem pewnego razu trzy czy cztery brudnawe, fatalnie drukowane zeszyty i niedbale rzuciłem je na półkę.

Lecz owego wieczora zmęczony i nerwowo podrażniony nie mogłem ani spać, ani o niczym myśleć, toteż poszukałem jakiejś lektury, aby się rozerwać i wywołać senność. W nadziei, że naiwne, błyskotliwe opowiadania, które przypomniałem sobie jeszcze mgliście z dzieciństwa, będą najlepszym narkotykiem, wziąłem tom bajek z *Tysiąca i jednej nocy*. Położyłem się i zacząłem czytać, będąc w stanie jakby półsnu, kiedy to jest się zbyt leniwym, aby przerzucać stronicę, i przez niedbałość omija się nie rozcięte kartki. Przeczytałem niezbyt uważnie początkową bajkę o Szeherezadzie i królu, machinalnie przebiegając oczami coraz dalsze rozdziały. Nagle

przestraszyłem się – trafiłem na ową dziwną bajkę o młodzieńcu, który ujrzał na drodze sparaliżowanego starca. Na słowo „sparaliżowany” drgnęło coś we mnie jakby pod wpływem nagłego bólu; skutkiem niespodziewanej asocjacji któryś nerw dotknięty został piekącym ogniem. Sparaliżowany starzec z bajki wołał do młodzieńca z rozpaczą, iż nie może chodzić, i prosi, aby go wziął na plecy i poniósł; młody człowiek z litości („Znów z litości, głupcze, po co ci ta litość?” – pomyślałem), schyla się z całą gotowością i bierze starca na ramiona. Lecz ów pozornie bezradny kaleka jest złym duchem, niegodziwym czarownikiem; dostawszy się na plecy młodzieńca niespodziewanie ściska szyję swego dobroczyńcy nagimi, owłosionymi udami, nie dając się zrzucić. W okrutny sposób zmusza swego obrońcę do pełnienia roli wierzchowca, nie ma dla niego żadnych względów, popędza Nielitościwie człowieka, który mu litość okazał, i nie daje mu chwili wytchnienia. Nieborak musi nieść swego dręczyciela tam, gdzie tamten żąda, i nie ma odtąd własnej woli. Staje się jego rumakiem, staje się niewolnikiem łotra, a chociaż kolana mu drżą i wargi wyschły z pragnienia, musi teraz jako ofiara swej litości biec coraz dalej i dalej, dźwigając na sobie niegodziwego, podstępного starca, niby własny nieuchronny los.

Zatrzymałem się; serce mi biło, jakby chciało z piersi wyskoczyć. Jeszcze czytając miałem nagłą, nieznośną wizję podstępного starca, leżącego na ziemi, patrzącego ze łzami w oczach na przechodnia, aby wyblagać od niego odruch litości, i widziałem tego łotra na plecach jego dobroczyńcy. Nikczemny czarownik miał siwe włosy z przedziałem i złote okulary... Z błyskawiczną szybkością, z jaką jedynie sny potrafią mieszać obrazy i twarze, nadałem starcowi z bajki instynktownie rysy Kekesfalvy, sam niespodziewanie stając się nieszczęsnym rumakiem, którego ponaglano biczem. Wokół szyi uczułem ucisk tak namacalny, że aż mi oddech zaparło, książka wypadła z rąk, raptownie zrobiło mi się zimno, a serce uderzało o żebra mocno jak o twarde drewno. Jeszcze we śnie gnał mnie straszliwy jeździec coraz dalej i dalej, a ja nie wiedziałem, dokąd pędzę. Gdy nazajutrz obudziłem się, miałem mokre włosy i byłem zmęczony i wyczerpany jak po niezmiernie dalekiej podróży.

Nic nie pomogło, że przedpołudnie spędziłem z kolegami, że zgodnie z przepisami pełniłem służbę skrupulatnie i czujnie. Gdy po obiedzie szedłem znajomą drogą do pałacu, czułem znów na plecach niesamowity ciężar, gdyż miałem nieczyste sumienie i wiedziałem, że odpowiedzialność, która się dla mnie z tą chwilą rozpoczynała, była nowa, a niezmiernie uciążliwa. Gdy owej

nocy na ławce w ogrodzie przedstawiłem Kekesfalvie wyzdrowienie jego dziecka jako sprawę najbliższej przyszłości, moja przesada wpływała jedynie z litości, z chęci uniknięcia prawdy, powstała bez mej woli, a nawet wbrew niej – nie była świadomym omamieniem, lecz pospolitym oszustwem. Lecz od chwili obecnej, gdy wiedziałem, iż bliskiego wyzdrowienia nie można się spodziewać, musiałem udawać, udawać chłodno, wytrwale, z wyrachowaniem i cierpliwie, musiałem z nieprzeniknioną twarzą i pewnym głosem kłamać jak wytrawny przestępca, który przez tygodnie i miesiące z całym wyrachowaniem obmyśla każdy szczegół swej zbrodni i swej obrony. Po raz pierwszy zacząłem rozumieć, że winę za najgorsze na świecie sprawy ponosi nie tylko zło i brutalność, lecz prawie zawsze słabość.

Wszystko odbyło się właśnie tak, jak się obawiałem; gdy wszedłem na taras, czekało mnie entuzjastyczne powitanie. Umyślnie przyniosłem kilka kwiatów, aby odwrócić od siebie uwagę.

– Na litość boską, po co mi pan przynosi kwiaty? Przecież nie jestem primadonną! – zawołała Edyta z niecierpliwością i kazała mi usiąść przy sobie.

Po czym zaczęła natychmiast opowiadać, nie przerywając sobie ani na chwilę. W głosie jej był jakiś ton gorączkowego majaczenia. Doktor Condor – och, ten wspaniały, jedyny na świecie człowiek! – znów dodał jej odwagi. Za dziesięć dni pojedą do Szwajcarii, do sanatorium w Engadinie, bo po co tracić choćby jeden dzień, gdy można się do sprawy zabrać ostro? Zawsze przecież wiedziała, iż dotychczasowe zabiegi były błędne, że elektryzowaniem, masowaniem i wszystkimi tymi idiotycznymi aparatami do niczego się nie doprowadzi. Najwyższy już czas, aby się coś zmieniło, bo wprawdzie dotąd nie przyznała mi się do tego, ale dwukrotnie już próbowała położyć kres wszystkiemu, dwukrotnie, a wciąż nadaremnie. Nie można tak żyć stale – ani chwili samotnej, zawsze zdana przy każdym ruchu i kroku na łaskę innych, ciągle podglądana, ciągle pilnowana i ciągle pod wrażeniem, że jest dla wszystkich ciężarem, balastem, czymś niemożliwym do zniesienia. Tak, czas już, najwyższy już czas, ale teraz zobaczę, że gdy się lekarze wezmą do rzeczy właściwie, wyzdrowienie pójdzie szybko. Cóż znaczą te wszystkie głupie, drobne poprawy, które na nic się nie zdają! Trzeba wyzdrowieć całkowicie, w przeciwnym razie ciągle się jest chorą. Ach, i to uczucie, że wszystko uda się wspaniale, cudownie...

Słowa płynęły bez końca niby burzliwy, pieniący się potok ekstazy. Czulem się jak lekarz słuchający bredzeń majaczącego chorego i liczący

nieufnie z obojętnym zegarkiem w ręku gorączkowe uderzenia pulsu, gdyż właśnie ów żar i gwałtowność ocenia z niepokojem jako najdobitniejszy, kliniczny dowód choroby. Gdy wesoły śmiech dziewczyny niby lekka piana pokrywał rozpędzony potok jej wymowy, wzdrygałem się znając przecież prawdę, której ona nie знаła; wiedziałem, że się oszukuje, że oszukujemy ją wszyscy. Gdy wreszcie umilkła, miałem uczucie człowieka z przerażeniem budzącego się nocą w pociągu, gdyż koła nagle stanęły. Lecz Edyta przerwała sobie sama:

– No, co pan na to? Czemu pan siedzi z taką głupią.. och, przepraszam! ... z taką przestraszoną miną? Dlaczego pan nic nie mówi? Czyż pana to wcale nie cieszy?

Uczułem się przychwycony na gorącym uczynku. Właśnie teraz należało znaleźć ton serdeczny i odpowiednio uradowany. Lecz byłem marnym nowicjuszem, nie potrafiłem jeszcze kłamać i nie znałem sztuki codziennej blagi. Z trudem wyjąkałem więc parę słów:

– Jakże pani może tak mówić? Jestem po prostu zaskoczony... powinna to pani zrozumieć. U nas w Wiedniu mówią, że wielka radość paraliżuje mowę. Naturalnie, cieszę się ogromnie.

Aż mnie wstręt ogarnął, jak sztucznie i zimno to zabrzmiało! I ona również musiała natychmiast dostrzec moje skrepowanie, bo nastrój jej raptownie się zmienił. Coś z irytacji człowieka, którego przemocą budzą ze snu, zaciemniło jej radość. Oczy, przed chwilą iskrzące się entuzjazmem, nagle stwardniały, a zmarszczka między brwiami zarysowała się głęboko.

– No, niewiele z tej pańskiej radości zauważyłam!

Ja również wyczułem w swym tonie możliwość obrazy, toteż pospieszyłem, by ją uspokoić.

– Ależ, dziecko...

Lecz Edyta gwałtownie się wyprostowała.

– Niech pan nie mówi do mnie stale „dziecko”. Przecież pan wie, że tego nie znoszę. O ileż to pan starszy ode mnie? Chyba mam prawo dziwić się, że wcale pan tą nowiną nie jest zdumiony, a przede wszystkim, że nie okazuje pan... zainteresowania. Chociaż właściwie... czemuż miałby się pan cieszyć? Ostatecznie i pan będzie miał wreszcie urlop, gdy dom na parę miesięcy zamkniemy. Będzie pan mógł spokojnie siedzieć z kolegami po kawiarniach,

grać w karty i być zadowolonym, że się pozbył tej nudnej służby samarytanina. Owszem, owszem, chętnie wierzę, że się pan cieszy – czeka pana swoboda!

Był to wybuch tak brutalny, że cios jego ugodził mnie głęboko, aż w moje nieczyste sumienie. Najwidoczniej się zdradziłem. Aby skierować rozmowę na inne tory – znałem już przecież jej niebezpieczną drażliwość w takich chwilach! – spróbowałem nadać przykrej scenie charakter lekko żartobliwy.

– Swoboda! Ach, jak to sobie ludzie wyobrażają! Swoboda dla ułana w lipcu, sierpniu i wrzeźniu! Czyż pani nie wie, że to jest właśnie sezon na wszelkie Bośnie i Galicje, na manewry i wielkie parady. Zdenerwowani oficerowie, wymęczeni żołnierze, pełna subordynacji, jaśnie oświecona służba w najdoskonalszym ekstrakcie od rana do wieczora. I tak aż do wrzeźnia!

– Do końca wrzeźnia? ... – Edyta nagle się zamyśliła. Najwidoczniej coś ją zastanowiło. – Ale w takim razie – dodała wreszcie – kiedyż pan przyjedzie?

Nie rozumiałem. Doprawdy, nie rozumiałem, o czym mówi, i spytałem zupełnie naiwnie:

– Dokąd?

Brwi jej zsunęły się znowu.

– Niechże pan nie pyta zawsze tak niemądrze! Z wizytą do nas! Do mnie!

– Do Engadinu?

– A dokądże? Przecież nie na księżyc!

Dopiero teraz zrozumiałem, o czym myśli. Pomysł był w moim zrozumieniu wręcz absurdalny, jakżeż mogłem pozwolić sobie na podróż do Engadinu, poruczniczek, który właśnie wydał ostatnie siedem koron na przyniesione kwiaty i dla którego każda wycieczka do Wiednia, pomimo że opłacał tylko połowę biletu, stanowiła już pewnego rodzaju luksus.

– No, no, patrzcie państwo – roześmiałem się zupełnie szczerze – jak wy sobie, cywile, wyobrażacie życie wojskowe! Kawiarnia, bilard, spacer po promenadzie, a gdy się ma chęć, włożenie cywilnego ubrania i po prostu wyjazd w świat na parę tygodni. Tak, tak, taka wycieczka to rzecz nie-

słuchanie łatwa... dwa palce u czapki: „Do widzenia, panie pułkowniku, nie mam w tej chwili chęci być wojskowym! Do zobaczenia, gdy mi przyjdzie ochota”. Ładne macie wyobrażenie o tym, jak to się wszystko u nas odbywa! Czy pani wie, że gdy któryś z nas chce mieć chociażby godzinę wolną, musi z podpinką pod brodą stanąć do raportu i „posłusznie” przedstawić swą prośbę? Tak jest, tyle kłopotów i ceremonii dla uzyskania jednej jedynej godziny! Zaś aby dostać cały dzień, trzeba co najmniej śmierci cioci albo jakiegoś innego pogrzebu w rodzinie! Chciałbym zobaczyć minę mego pułkownika, gdybym tak w najgorętszym okresie w czasie manewrów najposłuszniej go zawiadomił, że mam właśnie chęć wyjechać na tydzień urlopu do Szwajcarii. Usłyszałyby pani kilka wyrażań, których nie ma w żadnym przyzwoitym słowniku. Nie, droga panno Edyto, pani to traktuje zbyt lekko.

– E, jeżeli się czegoś rzeczywiście pragnie, wszystko staje się lekkie. Niech się pan tak nie stawia! Można by przypuszczać, że się bez pana nie obejdzie. Inny oficer tresowałby zamiast pana te ruskie baranie głowy! A zresztą sprawę pańskiego urlopu załatwi tatuś w pół godziny. Zna przecież w ministerstwie spraw wojskowych kilkanaście osób i wystarczy jedno słowo, wypowiedziane przez kogoś z góry, aby panu dano wszystko, czego pan zażąda. I doprawdy nic panu nie zaszkodzi, jeżeli pan zobaczy inny świat niż tę ciągłą ujeżdżalnię i plac ćwiczeń. Więc proszę bez wymówek. Skończone! Tatuś to załatwi.

Może zachowałem się głupio, ale zirytował mnie niedbały jej ton. Kilka lat służby wyrabia przecież w człowieku pewne poczucie godności, toteż czułem się dotknięty, że taka młoda, niedoświadczona dziewczyna rozporządza samowolnie i z góry generałami w ministerstwie (dla nas pewnego rodzaju bóstwami!), jakby to byli prywatni urzędnicy jej ojca. Mimo przykrego uczucia potrafiłem utrzymać jednak pogodny ton.

– A więc doskonale, Szwajcaria, urlop, Engadin... wcale nieźle! Byłoby nawet doskonale, gdyby w istocie, jak sobie to pani wyobraża, wszystkie te świetności podano mi gotowe na tacy bez „posłusznych próśb” z mej strony. Ale trzeba by też było, aby szanowny tatuś pani wyjednał w ministerstwie spraw wojskowych prócz urlopu dla pana porucznika Hofmillera specjalne stypendium na jego podróż.

Teraz ona spojrzała na mnie ze zdumieniem. Czują w mych słowach coś, czego nie mogła pojąć. Brwi nad zniecierpliwionymi oczami ściągnęły się mocniej. Widziałem, że muszę się wyrazić dokładniej.

– Bądźmy rozsądni, dziecko... och przepraszam, panno Edyto. Sprawa niestety wcale nie jest taka prosta, jak pani przypuszcza. Niech mi pani powie, czy zastanowiła się już pani kiedyś nad tym, ile kosztuje taka eskapada?

– Ach, pan myśli o tym? – rzekła całkiem swobodnie. – To nie może być nic wielkiego. Najwyżej paręset koron. To nic ważnego.

Nie mogłem dłużej powściągnąć niezadowolenia, bo dotknęła mojej słabej strony. Zdaje mi się, że już mówiłem, jaką było dla mnie męką należeć do grona oficerów nie posiadających ani grosza własnego majątku i być skazanym jedynie na gażę i na skąpą miesięczną zapomogę od ciotki. Nawet w naszym najbliższym koleżeńskim kółku bardzo mnie zawsze irytowało, gdy w mojej obecności mówiło się pogardliwie o pieniądzach, jakby to były śmiecie. To był mój czuły punkt, pod tym względem ja byłem kaleką i musiałem chodzić o kulach. I jedynie dlatego zirytowałem się bezgranicznie, że to rozpieszczone, psute przez wszystkich stworzenie, które przecież tak piekielnie cierpiało nad własnym odosobnieniem, nie mogło pojąć mojego położenia.

– Najwyżej paręset koron! – rzekłem mimo woli nieomal brutalnie. – Drobnostka, prawda? Marna bagatelka dla oficera! A pani prawdopodobnie uważa, iż jest to z mojej strony w ogóle niegodne, że o takim głupstwie wspominam? Niegodne, małostkowe i niskie, prawda? Czy pani pomyślała kiedykolwiek, z czego my się utrzymujemy? Na czym musimy poprzestawać i jak się męczyć!

A ponieważ patrzyła na mnie podejrzliwie i, jak mi się wydawało, z pogardą, porwała mnie chęć, aby jej bez osłonek przedstawić całe swe ubóstwo. Wypływało to z tych samych przesłanek, jakie powodowały i nią, gdy w celu dręczenia nas, umyślnie przed nami, zdrowymi, wlokła się z wysiłkiem przez pokój, aby przy pomocy tej wyzywającej demonstracji mścić się na nas za nasze zdrowie. Ja również uczułem pewnego rodzaju niegodziwą radość w odsłanianiu przed nią ekshibicjonistycznie szczupłości moich zasobów materialnych i zależności mej egzystencji.

– Czy pani w ogóle wie, jaka jest gaża porucznika? – rzuciłem gwałtownie. – Czy pani kiedyś o tym pomyślała? Więc niechże pani wie: dwieście koron co pierwszego, przeznaczonych na trzydzieści albo trzydzieści jeden dni z obowiązkiem życia „odpowiednio do godności oficera”. Z nędznej tej sumy trzeba zapłacić: utrzymanie, mieszkanie, krawca, szewca i

wszystkie luksusy „odpowiednio do godności oficera”. Nie wspominając już o tym, że broń Boże stać się coś może koniowi! Gdy się rozumnie rozporządzi wielką tą sumą, pozostaje zaledwie parę groszy, aby się rozkoszować rajem w kawiarni, którym mi pani stale tak dokucza. Jeżeli się przez cały miesiąc oszczędza niby robotnik pracujący na dniówkę, można tam wówczas zdobyć za to wszystkie wspaniałości tej ziemi przy filizance kawy!

Dzisiaj wiem, że poddanie się takiej goryczy było z mej strony głupota, a nawet przestępstwem. Bo skądże siedemnastoletnia dziewczyna, rozpieszczona i wychowana w nieznajomości świata, skądżeż sparaliżowana i przykuta do swego pokoju istota miała wiedzieć o wartości pieniądza lub gaży i o naszej nędzy pokrytej blichtrzem? Lecz chęć, aby za mnóstwo drobnych poniżeń zemścić się wreszcie na kimkolwiek, napadła mnie zdradziecko, toteż uderzałem bez zastanowienia, na ślepo, jak się bije w złości, nie wyczuwając potęgi ciosu zadawanego własną ręką.

Podniósłszy jednak na nią oczy zrozumiałem od razu, jak brutalne było to uderzenie. Z subtelnością ludzi chorych Edyta natychmiast wyczuła, iż nieświadomie dotknęła mego najczulszego miejsca. Zarumieniła się mimo woli, ja zaś widziałem, że sprawiło jej to przykrość, i szybko zasłoniła twarz ręką. Widocznie jakaś myśl napędziła jej krew do policzków.

– A pan... pan kupuje mi tak drogie kwiaty?

Chwila była przykra i trwała dość długo Edyta wstydziła się mnie, ja zaś jej. Oboje mimo woli zraniliśmy się nawzajem i obawialiśmy się teraz każdego słowa. Słysząc było poszum ciepłego wiatru, wiejącego wśród drzew, na dole w podwórzu gdakały kury, a w oddali głucho dudnił wóz na szosie. Edyta otrząsnęła się pierwsza z wrażenia:

– Ach, jakaż ja jestem głupia, że się przejmuję pańskimi nonsensami! Doprawdy, głupia jestem, że się tak zdenerwowałam. Co pana obchodzi, ile taka podróż może kosztować? Jeżeli przyjeżdża pan do nas, jest pan oczywiście naszym gościem. Czyż pan przypuszcza, że tatuś zgodziłby się, aby pan, chcąc nas odwiedzić... aby pan ponosił koszty? Przecież to nie ma sensu. Nie pozwolę, żeby pan uważał mnie za tak głupią. Ani słowa o tym więcej! już powiedziałam!

Lecz był to punkt, z którego nie chciałem zrezygnować. Jak mówiłem, już sama myśl, iż mógłbym wydać się pieczeniarem, była mi nieznośna.

– Przeciwnie, jeszcze słowo! Nie chcemy przecież między sobą nieporozumień. A więc jasno i dobitnie: nie pozwolę, aby się ktoś wstawiał za mną w moim pułku, i nie pójdę na niczyje utrzymanie. Wszelkie wyjątki i przyjemności są dla mnie przykre, chcę stać w szeregu wraz z moimi kolegami i nie być wyjątkiem ani korzystać z protekcji. Rozumiem dobrze chęci pani i ojca, lecz są ludzie, którym życie nie podaje wszelakiego dobra na srebrnej tacy... Nie mówmy o tym więcej!

– Więc pan nie chce przyjechać?

– Nie powiedziałem, że nie chcę. Wy tłumaczyłem pani dokładnie czemu nie mogę.

– Nawet wtedy, gdy poprosi pana ojciec?

– Nawet wtedy.

– I nawet... nawet, gdy ja pana poproszę? Jeżeli poproszę serdecznie, po przyjacielsku?

– Niech pani tego nie robi. Nie miałyby celu.

Spuściła głowę. Drganie i drzenie wokół jej ust świadczyły nieomylnie o zwykłej w takich wypadkach niebezpiecznej irytacji. Biedne, rozkapryszone dziecko, na którego skinienie i życzenie działo się w domu wszystko, stało niespodzianie wobec czegoś nowego, natknęło się na opór. Ktoś powiedział „nie”, to je rozgoryczyło. Gwałtownym ruchem porwała moje kwiaty i ze złością cisnęła je szerokim łukiem za balustradę.

– Dobrze! – rzekła przez zęby. – Teraz przynajmniej wiem, jak wielka jest ta pańska przyjaźń. Dobrze się stało, że ją wreszcie wypróbowałam. Tylko dlatego, że paru kolegów w kawiarni będzie plotkowało, wykręca się pan wymówkami! Jedynie ze strachu, że może by się miało w pułku trochę gorszą opinię, psuje pan przyjacielom całą radość! A więc dobrze! Sprawa załatwiona. Nie będę żebrała. Nie ma pan chęci – doskonale! Załatwione!

Czułem, że wzburzenie jej nie minęło jeszcze całkowicie, bo powtórzyła kilkakrotnie z pewnym uporem „dobrze”, a jednocześnie oparła się z wysiłkiem obydwoma rękami na poręczach, jakby chciała podciągnąć się wyżej, jakby zamierzała przejść do ataku. Nagle zwróciła się do mnie surowo:

– A więc dobrze. Uważam sprawę za załatwioną. Nasza najuniżeńsza prośba została odrzucona. Nie odwiedzi nas pan, bo pan nas odwiedzić nie chce. Bo to panu nie na rękę. Doskonale. Jakoś to przeżyjemy. Ostatecznie i

dawniej przecież dawaliśmy sobie radę bez pana. Ale jedno chciałabym wiedzieć... czy pan odpowie szczerze?

– Oczywiście.

– Ale szczerze! Pod słowem honoru! Niech mi pan da słowo honoru!

– Jeżeli się pani przy tym upiera, dam słowo honoru.

– Dobrze! Dobrze! – Powtarzała to ostre tnące „dobrze”, jakby nim coś przecinała jak nożem. – Doskonale! Niech się pan nie obawia, nie proszę już więcej o pańską najjaśniejszą wizytę! Ale jedno chciałabym wiedzieć, a pan mi dał słowo! ... tylko to jedno... Czy nie chce pan do nas przyjechać bo sprawia to panu przykrość, bo jest pan skrupowany, czy może z jakichś innych powodów, które... które dotyczą mnie? Dobrze, dobrze tamto już załatwione! A teraz jasno i szczerze – dlaczego pan w ogóle do nas przychodzi?

Byłem przygotowany na wszystko, lecz nigdy na takie pytanie. Aby zyskać na czasie, wyjąkałem zaskoczony i zmieszany:

– Ależ... ależ to zupełnie proste... do tego nie trzeba było słowa honoru...

– Tak? Proste? Dobrze! Tym lepiej! A więc?

Nie mogłem odpowiedzi uniknąć. Najprościej byłoby podać prawdę, lecz zorientowałem się już, że powinienem ją wystylizować ostrożnie. Zacząłem więc z pozorną swobodą:

– Ależ, kochana panno Edyto, niechże pani nie szuka jakichś przyczyn tajemniczych. Zna mnie pani przecież na tyle, aby wiedzieć, że nie jestem człowiekiem, który zbyt wiele zastanawia się nad sobą. Przysięgam pani, że nigdy nie przyszło mi do głowy, czemu bywam u tych czy tamtych, dlaczego jednych lubię, a drugich nie znoszę. Daję słowo, nie mogę w tej chwili powiedzieć nic mądrzejszego ani głupszego nad to, że bywam u was dlatego, że... że chętnie do was przychodzę i czuję się tu stokroć lepiej niż gdziekolwiek indziej. Zdaje mi się, że wyobrażacie sobie kawalerzystów troszkę według wzorców operetkowych – zawsze eleganccy, zawsze weseli, w wiecznym karnawałowym nastroju. Och, sprawy te oglądane od wewnątrz nie są tak świetne, a osławiona koleżeńskość także bywa czasem nader chwiejna. Gdy do jednego wozu wprzęgniętych jest kilkadziesiąt ludzi, zawsze jeden ciągnie mocniej od drugiego; tam gdzie chodzi o awanse i rangi

– nadeptuje się swemu poprzednikowi na pięty. Trzeba uważać na każde wypowiedziane słowo, a nigdy nie można być pewnym, czy się nie wywołało niezadowolenia zwierzchników. Zawsze wisi w powietrzu burza! „Służba” pochodzi od słowa „służyć”, a służyć to znaczy być zależnym. Poza tym koszary i stół w restauracji nie są przecie właściwym domostwem, nikt tu ciebie nie potrzebuje i nikomu na tobie nie zależy. Owszem, owszem, czasem stosunki z kolegami są bardzo miłe, lecz ostatecznej pewności nie ma się nigdy. Natomiast gdy przychodzę do państwa, odkładam wraz z szablą wszelkie zastrzeżenia i kiedy tak tu przyjemnie gawędzę, wówczas...

– No... co wówczas? – pytanie zabrzmiało z najwyższą niecierpliwością.

– Wówczas... może pani uzna mnie za bezczelnego, że tak szczerze o tym mówię... wówczas wmawiam sobie, że widzicie mnie u siebie chętnie, że się z tym domem zżyłem, że się w nim czuję stokroć bardziej u siebie niż gdziekolwiek indziej. Gdy tak na panią patrzę, zawsze ogarnia mnie uczucie...

Mimo woli urwałem, lecz Edyta powtórzyła natychmiast z taką samą gwałtownością:

– No, cóż takiego?

– ...że istnieje ktoś, dla kogo nie jestem tak straszliwie niepotrzebny jak dla kolegów w pułku... Naturalnie, wiem, że nie przedstawiam specjalnej wartości, a czasem nawet się obawiam, czy od dawna już nie stałem się dla państwa nudny. Często... – państwo nawet nie wiecie jak często! – lękam się, że może macie mnie dość. Ale zawsze sobie przypominam, że pani siedzi tak samotnie w tym wielkim, pustym domu i że może się pani ucieszy, jeżeli ktoś przyjdzie. I widzi pani, to mi zawsze dodawało odwagi. Kiedy panią zastawałem na wieży albo w pokoju, wmawiałem w siebie, że może to lepiej, iż przyszedłem, niż żeby pani siedziała samotna przez cały dzień. Czy pani tego rzeczywiście nie rozumie?

I oto stało się coś nieoczekiwanego. Szare oczy znieruchomiały tak raptownie, jak gdyby moje słowa sparaliżowały ich źrenice. Natomiast palce dziewczyny stawały się coraz bardziej niespokojne, przesuwaly się po poręczy w dół i w górę, zaczęły zrazu cicho, a potem coraz gwałtowniej bębnić po wypoliturowanym drzewie. Usta lekko się skrzywiły i Edyta rzekła nagle cierpko:

– Owszem, rozumiem. Rozumiem doskonale, co pan chce przez to powiedzieć. Zdaje mi się nawet, że pan powiedział rzeczywiście prawdę. Wyraził się pan bardzo, bardzo uprzejmie i bardzo retorycznie. Mimo to zrozumiałam pana dokładnie. Zrozumiałam całkowicie... Przychodzi pan, jak pan mówi, bo jestem taka „samotna”, co można wyrazić innymi słowami: że jestem przygwożdżona do tego przeklętego fotela. Więc jedynie dlatego przychodzi pan tu codziennie! Jako litościwy samarytanin, odwiedzający „biedne chore dziecko”! Pewnie za moimi plecami nazywacie mnie tak wszyscy, wiem o tym dobrze, wiem. Przychodzi pan tylko z litości... owszem, owszem, chętnie panu wierzę. Czemu pan chce teraz zaprzeczyć? Przecież jest pan tak zwanym dobrym człowiekiem, a słyszy pan to tak chętnie od mojego ojca. Tacy „dobrzy ludzie” litują się nad każdym bitym psem i nad każdym parszywym kotem, czemuż nie mają się litować nad kaleką?

I nagle wyprostowała się, a ciało jej przebiegł dreszcz.

– Ale ja dziękuję za to! Gwiżdżę na przyjaźń, którą zawdzięczam jedynie mojemu kalectwu. Nie, niech pan tak na mnie nie patrzy! Naturalnie, teraz panu przykro, że się panu cała prawda wyrwała, że się pan przyznał, bo „litość bierze”, jak powiedziała tamta służąca – tylko ona, jedynie ona powiedziała szczerze i uczciwie, co myśli! A pan jako „dobry człowiek” wyraża się oględniej i „subtelniej”, tak jakoś... wykrętniej: że jakoby dlatego pan przychodzi, bo sterczę tu cały dzień sama. Od dawna przecież czułam, że bywa pan u nas tylko z litości i że chciałby pan być podziwiany za to łaskawe poświęcenie. Bardzo załużę, ale nie chcę, żeby się dla mnie ktoś poświęcał! Nie zniosłabym tego od nikogo, a chyba najmniej od pana... Zabraniam panu tego, słyszy pan, zabraniam! Czy pan myśli, że naprawdę skazana jestem na wasze łaskawe wysiadywanie przy mnie, na wasze „współczujące”, zażawione spojrzenia albo na wasze „ogłędne” gadaniny? Nie, dzięki Bogu, nie potrzebuję nikogo z was... Sama sobie dam radę, sama! A jeżeli nie wytrzymam, to przecież wiem, w jaki sposób mogę się od was uwolnić. Niech pan patrzy – wyciągnęła do mnie nagle rękę dłonią do góry – niech pan spojrzy na tę bliznę! Już raz spróbowałam, ale zrobiłam to niezręcznie i nie natrafiłam tępyimi nożyczkami na puls, toteż na nieszczęście jeszcze zdążyli nadbiec i przewiązali mi ranę, bo w przeciwnym razie byłabym się nareszcie pozbyła was i waszej podłej litości! Ale na przyszły raz zrobię to lepiej, może pan być pewny. Nie myślcie, że jestem bezbronna i wydana na waszą łaskę. Lepiej zdechnąć niż być przedmiotem współczucia. Niech pan spojrzy – zaśmiała się nagle, a śmiech ten zabrzmiał ostro i

świszcząco jak piła – mój troskliwy ojciec o czymś zapomniał, gdy kazał zbudować dla mnie tę wieżę, myślał tylko o pięknym widoku, bo przecież doktor powiedział: „Dużo, dużo słońca i powietrza!” Ale nikomu nie przyszło do głowy, ani ojcu, ani lekarzowi, ani inżynierowi, że ten taras mógłby mi kiedyś posłużyć do... Niech pan spojrzy na dół... – gwałtownie pociągnęła się w górę i niespodziewanym ruchem rzuciła swe chwiejne ciało aż na balustradę, którą ujęła teraz obydwoma rękami – cztery, pięć piętér... a na dole są twarde kamienie... to wystarczy. A tyle siły mam jeszcze, Bogu dzięki, żeby przedostać się przez poręcz... tak, tak od chodzenia na kulach ma się w ramionach mocne mięśnie! Wystarczy jeden ruch i raz na zawsze pozbędę się waszego przekłętą współczucia, a dla was byłoby to ulgą... i dla ojca, i dla Ilony, i dla pana, dla was wszystkich, na których ciąży jak zły sen. Niech pan patrzy, to bardzo łatwo, trzeba się troszkę przechylić i już!

Zerwałem się w najwyższym przerażeniu, gdyż z pałającymi oczami przewiesiła się niebezpiecznie przez balustradę, i chwyciłem ją za ramię. Lecz jak gdyby miała ogień w żyłach drgnęła i krzyknęła:

– Precz! Jak pan śmie mnie dotykać! Precz! Mam prawo robić, co chcę! Puścić! W tej chwili proszę mnie puścić!

Ponieważ nie usłuchałem i usiłowałem przemocą oderwać ją od balustrady, raptownie skręciła głowę tułowia i niespodziewanie uderzyła mnie w pierś. A wówczas stała się rzecz okropna. Nagły cios pozbawił ją oparcia i równowagi, jak podcięta kosa ugięła się w kolanach, a ponieważ padając uczepliła się stołu, pociągnęła za sobą cały blat. Chciałem jeszcze w ostatniej chwili niezręcznie ją pochwycić, lecz już zadźwięczał tłukący się wazon, poleciały na ziemię talerze i filiżanki, posypały się łyżeczki. Z głośnym brzękiem uderzył o podłogę duży, brązowy dzwonek i dzwierząc potoczył się po tarasie.

Sparaliżowana dziewczyna leżała teraz bezbronna jak drgający kłębek, szlochając ze złości i wstydu. Próbowałem podnieść jej lekkie ciało, lecz bronila się z krzykiem:

– Precz... precz... precz, ordynarny, brutalny człowieku!

Ramiona jej wykonywały dzikie ruchy, starając się podnieść ciało bez niczyjej pomocy, a za każdym razem, gdy się zbliżałem, aby ją unieść, kulila się stawiając opór i krzycząc na mnie z nieprzytomną, bezbronną złością:

– Precz... nie dotykać mnie... niech się pan wynosi!

Nigdy w życiu nie przeżyłem sceny równie okropnej!

W tej chwili rozległ się za nami cichy szmer. Była to wjeżdżająca na górę winda, gdyż dzwonek spadając narobił tyle hałasu, że wezwał służącego będącego zawsze w pogotowiu. Zbliżył się do nas szybko, natychmiast dyskretnie spuszczać przerażone oczy; nie patrząc na mnie podniósł drgające ciało – widocznie przyzwyczajony był do pewnych wyuczonych ruchów – i zaniósł szlochającą na fotel. Jeszcze chwila i winda pojechała na dół. Zostałem sam wśród przewróconego stołu, potłuczonych filiżanek i rozsypanych przedmiotów, leżących dookoła w takim nieładzie, jak gdyby z jasnego nieba padł piorun i gwałtownym uderzeniem wszystkie rozbił.

Nie wiem, jak długo stałem tak na tarasie wśród potłuczonych talerzy i filiżanek, całkowicie nieprzytomny, pod wrażeniem tego żywiołowego wybuchu, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Cóż powiedziałem tak głupiego? Czym wywołałem tę niezrozumiałą wściekłość? Lecz oto znów rozległ się dobrze mi już znany lekki szum, nadjechała winda i wyszedł z niej Józef, służący, z wyrazem smutku na gładko wygolonej twarzy. Sądziłem, że przyjechał, aby sprzątnąć, i było mi przykro, że stoję wśród pobojowiska i przeszkadzam mu w pracy. Lecz pocziwiec ze spuszczonej oczami zbliżył się do mnie, podnosząc jednocześnie z podłogi serwetkę.

– Przepraszam pana poruczniku – rzekł dyskretnie swym stłumionym głosem, który sprawiał wrażenie, jak gdyby służący wypowiadał swe słowa zawsze z ukłonem (Ach, był to służący starego pokroju!) – pan porucznik pozwoli, że go trochę obetrę.

Przyglądając się jego zręcznym palcom zobaczyłem dopiero teraz, że na bluzie i jasnych spodniach mam ogromną, mokrą plamę. Widocznie w chwili gdy się schyliłem, by padającą przytrzymać, wylała się na mnie herbata z którejś przewróconej filiżanki. Służący starannie ocierał i wysuszał serwetą mokre miejsca, ja zaś patrzyłem w milczeniu na klęczącego, na jego dobrą, siwą, pochyloną głowę. Nie mogłem oprzeć się podejrzeniu, że starzec umyślnie schyla się tak nisko, abym nie widział jego twarzy i wzruszenia w jego spojrzeniu.

– Nie, nie będzie można wysuszyć tego w ten sposób – rzekł wreszcie ze smutkiem, nie podnosząc głowy. – Może by, panie poruczniku, posłać szofera do koszar po inny mundur? Nie będzie pan porucznik mógł tak wyjść. Ale proszę być spokojnym, za godzinę wszystko wyschnie, a ja spodnie odprasuję.

Skonstatował to pozornie z fachową obojętnością, lecz w głosie jego brzmiał zdradziecko ton współczucia i zakłopotania. Gdy zaoponowałem, że to niepotrzebne i że raczej należałoby zatelefonować po dorożkę dla mnie, gdyż miałem właśnie i bez tej przygody pojechać do domu, odchrząknął i podniósł na mnie błagalnie swe dobre, zmęczone oczy.

– Proszę, niech pan porucznik będzie łaskaw jeszcze chwilkę pozostać. To byłoby okropne, gdyby pan porucznik teraz wyszedł. Wiem na pewno, że panna Edyta strasznie by się zdenerwowała, gdyby pan porucznik nie zaczekał. W tej chwili jest jeszcze u niej panna Ilona i... położyła ją do łóżka. Ale panna Ilona kazała mi powiedzieć, że zaraz przyjdzie, i prosi, aby pan porucznik koniecznie zaczekał.

Byłem mimo woli głęboko wzruszony. Jakże tu wszyscy tę chorą kochali! Jak ją rozpieszczali i usprawiedliwiali! Chciałem koniecznie powiedzieć coś serdecznego temu dobrotliwemu starcowi, który zaskoczony własną odwagą zabrał się znowu pilnie do czyszczenia mojej bluzy. Poklepałem go lekko po ramieniu:

– Proszę dać spokój, kochany Józefie, nie warto! Na słońcu wyschnie szybko, a mam nadzieję, że wasza herbata nie jest tak mocna, aby pozostawiła widoczną plamę. Dajmy temu spokój, Józefie, i raczej proszę zebrać te szczątki. Zaczekam na pannę Ilonę.

– Och, jak to dobrze, że pan porucznik zaczeka! – odetchnął z widoczną ulgą. – Pan von Kekesfalva też powróci niezadługo i na pewno będzie się cieszył, że może pana porucznika u nas powitać. Polecił mi wyraźnie...

Ale już zatrzeszczały schody pod lekkimi krokami – była to Ilona. Jak uprzednio służący, tak teraz ona zbliżając się do mnie miała spuszczone oczy.

– Edyta prosi, aby pan na chwileczkę zeszedł do jej sypialni. Tylko na chwilę! Kazała panu powiedzieć, że bardzo serdecznie prosi.

Poszliśmy razem schodami na dół. Żadne nie wyrzekło ani słowa mijając salon i przechodząc przez drugi pokój do długiego korytarza, prowadzącego widocznie do pokoi sypialnych. Od czasu do czasu w ciemnym tym pasażu niechcący dotykały się nasze ramiona, a może nie był to przypadek, gdyż szedłem wzburzony i niespokojny. Przy drugich bocznych drzwiach Ilona zatrzymała się i szepnęła z naciskiem:

– Niech pan teraz będzie dla niej dobry. Nie wiem, co się na górze stało, ale znam te nagłe wybuchy. Znamy je wszyscy. Nie można jednak brać jej tego za złe, doprawdy, nie można! Czyż ktokolwiek z nas potrafi sobie wyobrazić, czym jest takie beznadziejne leżenie od rana do wieczora? Oczywiście, że niepokój musi się w nerwach biedaczki nagromadzić i wybucha bez jej woli i wiedzy. Ale proszę mi wierzyć, że jest ona później najniezwyklejsza z nas wszystkich! Toteż właśnie wtedy, gdy się wstydzi i dręczy, trzeba być dla niej podwójnie dobrym.

Nie odpowiedziałem, lecz nie było to potrzebne, bo Ilona musiała chyba dostrzec moje wzburzenie. Ostrożnie zapukałem do drzwi, a gdy usłyszeliśmy w odpowiedzi cichutkie i nieśmiałe „proszę”, Ilona dodała jeszcze szybko:

– Ale niech pan nie pozostaje zbyt długo. Tylko chwilkę!

Wszedłem przez lekko uchylone drzwi. Na razie w obszernym pokoju, przyciemnionym od strony ogrodu pomarańczowymi zasłonami, dojrzałem tylko czerwony półmrok. Dopiero po chwili rozróżniłem w głębi jaśniejący prostokąt łóżka. Dobiegł mnie samą nieśmiały, znajomy głos:

– Proszę... tutaj, proszę usiąść. Zatrzymam pana tylko na chwilę.

Zbliżyłem się do leżącej. Wśród poduszek jaśniała wąska twarz pod ciemnymi włosami. Barwna kołdra zahaftowana w kwiaty okrywała dziewczynę aż po chudą, dziecięcą szyjkę. Z pewną obawą Edyta czekała, aż usiądę, i dopiero wtedy nieśmiało zaczęła:

– Przepraszam, że pana przyjmuję tutaj, ale miałam zawrót głowy... Nie powinnam była tak długo leżeć na słońcu, bo zawsze mi się potem kręci w głowie. Sądzę, że byłam chyba nieprzytomna, gdy... ale... ale prawda? ... zapomni pan o wszystkim? Nie bierze mi pan za złe mojej... niegrzeczności?

W głosie jej brzmiało tyle lęklivego błagania, że szybko przerwałem:

– Ależ, jak pani może! Przecież to była moja wina. Nie powinienem był pozwolić pani tak długo leżeć w tym upale.

– Więc mogę być pewna, że pan... nie wziął mi tego za złe? Naprawdę – nie?

– Ależ z całą pewnością!

– I będzie pan przychodził... jak dawniej?

– Zupełnie tak samo. Ale pod jednym warunkiem.

Spojrzała niespokojnie.

– Jakiż to warunek?

– Że będzie pani miała do mnie więcej zaufania i że nie będzie się pani zaraz martwiła, czy mnie przypadkiem nie dotknęła albo czy się nie obraziłem? Cóż to za bezsensowne myśli pomiędzy przyjaciółmi! Gdyby pani wiedziała, jak inaczej pani wygląda, kiedy jest serdeczna i pogodna, jak wszyscy czujemy się wtedy szczęśliwi, ojciec i Ilona, i ja, i cały dom! Szkoda, że nie mogła pani sama siebie obserwować onegdaj na wycieczce, kiedy była pani tak wesoła i cieszyliśmy się z tego wszyscy! Myślałem o tym jeszcze przez cały wieczór.

– Przez cały wieczór myślał pan o mnie? – Patrzyła na mnie jakby niepewna. – Naprawdę?

– Przez cały wieczór. Ach, jakiż to był dzień! Nigdy go nie zapomnę! To była wspaniała wycieczka, po prostu wspaniała.

– Tak – powtórzyła rozmarzona. – To było wspaniałe... Najpierw jazda przez pola, potem te małe źrebaczki i uroczystość wiejska... wspaniałe od początku do końca! Ach, powinnam częściej tak wyjeżdżać! Może to istotnie wina tego głupiego siedzenia w domu, tego idiotycznego zamykania się przed ludźmi, że zmarnowałam sobie nerwy. Ale ma pan słuszność, jestem zbyt nieufna. To znaczy, stałam się taka od czasu, gdy mi się to przytrafiło... Dawniej, mój Boże, wcale sobie nie mogę przypomnieć, abym się kogośkolwiek obawiała! Dopiero teraz, gdy stałam się tak straszliwie niepewna siebie... wmawiam sobie, że każdy patrzy na moje kule i każdy się nade mną lituje. Wiem, że to głupie, wiem, że to duma niemądra i dziecinna i że sama sobie swym uporem szkodzę, wiem też, że to się mści i rujnuje nerwy, ale czyż można być ufną, gdy choroba trwa tak nieskończenie długo! Ach, gdybyż się już raz skończyła, gdybyż nie stać się przez tę okropną sprawę złym, złym i nieopanowanym człowiekiem!

– Ależ to się skończy niedługo! Trzeba tylko trochę odwagi. Odwagi i cierpliwości.

Lekko uniosła się na poduszkach.

– Sądzi pan... sądzi pan szczerze, że ta nowa kuracja da dobre wyniki? Niech pan pomyśli, onegdaj, gdy tatuś przyszedł do mnie, byłam już tego zupełnie pewna. Ale dziś w nocy – sama nie wiem skąd – ogarnął mnie nagle strach, że może doktor się myli, że może powiedział mi coś nieprawdziwego.

Coś sobie przypomniałam... Dawniej wierzyłam doktorowi Condorowi jak samemu Bogu. Ale zawsze tak bywa – na początku lekarz obserwuje pacjenta, lecz gdy trwa to długo, chory nauczy się też obserwować lekarza, a wczoraj – ale mówię to jedynie panu! – wczoraj, gdy mnie badał, wydawało mi się... jakby to powiedzieć? ... wydawało mi się, że grał przede mną jakąś komedię. Był taki szczerzy i serdeczny jak zazwyczaj. Nie wiem czemu, ale miałam uczucie, jak gdyby się przede mną czegoś wstydził. Naturalnie ucieszyłam się strasznie, gdy usłyszałam, że chciałby mnie zaraz wysłać do Szwajcarii, a mimo to... jakoś skrycie – ale mówię to jedynie panu! – napadł mnie ten bezsensowny strach... tylko, na litość boską... niech mu pan tego czasem nie powtórzy! – napadł mnie strach, że może ta nowa kuracja nie jest odpowiednia... że doktor chce mnie tylko nią omamić, otumanić... albo może... uspokoić tatusia. Widzi pan, nie mogę się pozbyć tej okropnej nieufności. Ale czyż jestem temu winna? Jakżeż można mieć zaufanie, jeżeli tyle razy było się okłamywaną, że to już koniec, a potem znów wszystko ciągnęło się tak długo, tak strasznie długo. Nie, doprawdy, nie mogę już znieść tego wiecznego czekania!

Wzburzona usiadła, a ręce jej zaczęły drżeć. Szybko pochyliłem się ku niej.

– Nie, nie! Nie trzeba się znów denerwować! Proszę sobie przypomnieć, co mi pani przed chwilą obiecała...

– Tak, tak ma pan słuszność! Nic nie pomoże samoudręka, a dręczy się tym innych. Któż jest winien mojej chorobie! Przecież wiem, że ciężę wszystkim... Ale wcale nie o tym chciałam mówić, doprawdy, nie o tym... Chciałam panu tylko podziękować, że się pan na mnie nie gniewa za mój głupi wybuch i... że pan w ogóle jest dla mnie taki dobry, taki... wzruszająco dobry, a ja na to nie zasługuję. Przecież właśnie pana... Ale nie będziemy już o tym mówili, prawda?

– Nie, nigdy. Może pani na mnie polegać. A teraz proszę dobrze wypocząć.

Wstałem, aby jej podać rękę. Wyglądała wzruszająco, gdy tak na poły lękliwa, na poły uspokojona spoglądała ku mnie ze swych poduszek: dziecko, dziecko przed zaśnięciem! Wszystko się wyjaśniło, atmosfera była wypogodzona jak niebo po burzy. Zbliżyłem się do niej swobodnie i nieomal wesoło. Nagle Edyta z przerażeniem usiadła.

– Na litość boską, co to jest? Pana mundur...

Dostrzegła na mojej bluzie dużą, moką plamę i widocznie ze skruchą przypomniała sobie, że to jej upadek i rozlana herbata spowodowały tę drobną katastrofę. Oczy jej natychmiast uciekły pod powieki, a wyciągnięta ręka bojaźliwie się cofnęła. Lecz właśnie fakt, że taka drobnostka była dla niej czymś tak poważnym, wstrząsnął mną głęboko. Aby ją uspokoić, zacząłem lekkim tonem:

– Ech, to nic, to nic ważnego. Niedobre dziecko wylało na mnie herbatę.

W spojrzeniu jej widać było wciąż jeszcze zmieszanie, lecz z wdzięcznością uchwyciła się mego płóczego tonu:

– A dał pan za to niedobremu dziecku porządnie w skórę?

– Nie – odparłem wesoło. – Nie było potrzeby, bo dziecko znów jest zupełnie grzeczne.

– I pan rzeczywiście wcale się na mnie nie gniewa?

– Ani troszeczkę. Trzeba było posłuchać, jak ślicznie przepraszało: „Już nigdy nie będę!”

– I wcale mu pan tej niegrzeczności nie pamięta?

– Nie, przebaczyłem i zapomniałem. Ale, naturalnie, musi być nadal grzeczne i robić wszystko, co mu każą.

– A co ma robić?

– Musi być cierpliwe i miłe, zawsze pogodne. Nie siedzieć zbyt długo na słońcu, jeździć na długie spacery i dokładnie spełniać wszystko, co lekarz zaleci. A przede wszystkim dziecko musi spać, nie rozmawiać dłużej i nie rozmyślać. Dobranoc!

Podąłem jej rękę. Wyglądała uroczo, gdy leżała tak spokojnie i śmiała się ku mnie rozradowanymi, błyszczącymi oczami. Wąskie paluszki spoczęły w mej dłoni ciepłe i przyjazne. Odwróciłem się chcąc wyjść, a w sercu czułem ulgę. Już dotykałem klamki, gdy rozperlił się za mną cichy śmiech:

– A czy dziecko było teraz grzeczne?

– Bez zarzutu! Na piątkę! Ale teraz spać i nie myśleć o niczym złym!

Już na wpół otworzyłem drzwi, gdy ponownie dobiegł mnie ten dziecięcy, figlarny śmiech. Spośród poduszek rozległ się jej głos:

– Czy pan zapomniał, co się daje grzecznemu dziecku, gdy idzie spać?

– No?

– Grzeczne dziecko dostaje na dobranoc buzi!

Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie. W głosie jej drgał wyzywający ton, który mi się nie podobał; już przedtem oczy jej błyszczały gorączkowo... Ale nie chciałem zepsuć nastroju drażliwej dziewczyny.

– Ach, prawda, naturalnie – rzekłem z pozorną niedbałością. – Byłbym nieomal zapomniał!

Zrobiłem kilka kroków z powrotem do jej łóżka i w nagłej ciszy wyczułem, że wstrzymała oddech. Jej oczy nie odrywały się ode mnie, lecz głowa czekała nieruchomo w poduszkach. Nie poruszyła palcem i jedynie badawcze jej oczy szły za mną i nie odstępowały mej twarzy.

„Prędzej, prędzej” – pomyślałem z rosnącym, uczuciem zakłopotania. Szybko schyliłem się i lekko, pobieżnie musnąłem wargami jej czoło. Z rozmysłem zaledwie skóry dotknąłem, czując teraz blisko oszałamiający zapach ciemnych jej włosów.

Nagle obydwie ręce chorej, leżące na kołdrze widocznie w pogotowiu, podniosły się, chwyciły z dwóch stron jak w kleszcze moją głowę i zanim zdążyłem ją odwrócić, szarpnęły nią w ten sposób, że usta moje ześliznęły się z jej czoła na wargi. Tak gorąco, tak żarłocznie wpiły się jej usta w moje, że zęby dotknęły zębów, a pierś dziewczyny wzniosła się i wyprężyła, aby dotknąć mego schylonego ciała. Nigdy w życiu nie pocałował mnie nikt tak dziko, tak rozpaczliwie, z takim pożądaniem, jak to sparaliżowane dziecko, ta kaleka.

Lecz było jej wciąż jeszcze za mało! Z oszałamiającą siłą przycisnęła się do mnie tak mocno, że straciła oddech. Wreszcie uścisk jej zelżał, ręce gorączkowo zaczęły zsuwać się z mych skroni i wicherzyć mi włosy. Ale mnie nie puszczała. Na mgnienie oka odrzuciła się tylko na poduszki i jak oczarowana wpatrzyła się w moje oczy, a potem znów szarpnęła mnie ku sobie, całując na oślep i gorąco moje policzki, czoło, oczy i usta z dziką, nieprzytomną chciwością.

– Głuptas... głuptas... głuptas! – jąkała w przerwach, a potem coraz goręcej: – Och, ty, ty, ty!

Napad jej stawał się coraz bardziej namiętny, coraz gwałtowniejszy; trzymała się mnie i całowała coraz spazmatyczniej, aż wreszcie, jak gdyby

ktoś przedarł raptownie sukno, przebiegł ją nagły wstrząs. Puściła mnie, głowa jej opadła na poduszki i tylko oczy iskrzyły się triumfująco.

Odwracając się ode mnie wyczerpana i już zawstydzona szepnęła:

– Idź już teraz, idź, ty głuptasie... no, idź!

Wyszedłem, a raczej zataczając się odnalazłem drzwi. W ciemnym korytarzu opuściła mnie resztkę sił. Uczułem taki zawrót głowy, że musiałem przytrzymać się ściany. A więc to było to! To była więc tajemnica, która zbyt późno odsłoniła niepokój i niezrozumiałą dla mnie agresywność Edyty. Przerazenie moje było bezgraniczne. Czułem się jak człowiek, który bez złej myśli pochyła się nad kwiatem, a na którego niespodzianie wyskakuje zeń żmija. Gdyby mnie ta wrażliwa dziewczyna uderzyła, zwymyślała, opluła, nie przeraziłoby mnie to tak, zawsze bowiem byłem przygotowany na niepoczytalne wybryki jej rozigranych nerwów! Tylko tego jednego – że ta chora, ta nieszczęsna istota może kochać i chce być kochana, nie, tego się nie spodziewałem! Nie przypuszczałem, że dziecko, podlotek, niedorosłe i bezsilne stworzenie odważy się (nie mogę tego inaczej nazwać) kochać i pożądać świadomą i zmysłową miłością prawdziwej kobiety. Przewidywałem wszystko, lecz nie pomyślałem o jednym – że dotknięta przez los dziewczyna, nie mająca dość siły, by unieść własne ciało, może zamarzyć o człowieku kochającym, o ukochanym, że tak całkowicie mnie nie rozumiała, mnie, który przecież wyłącznie z litości tu bywałem. Ale w tejże sekundzie pojąłem z nowym przerażeniem, że właśnie moja litość ponosi w tym wszystkim największą winę. Ta oderwana od świata i opuszczona dziewczyna oczekiwała ode mnie, jedyne go mężczyzny odwiedzającego ją dzień w dzień w jej więzieniu, czułości i miłości, a byłem przecież jedynie ofiarą swego własnego współczucia. Ja zaś, naiwny człowiek, nieuleczalnie głupi, w swej nieświadomości widziałem w niej tylko cierpiące, sparaliżowane dziecko, a nie kobietę! Nawet przez chwilę, nawet pobieżnie przez myśl mi nie przeszło, że pod tą kołdrą oddycha, czuje i czeka nagie ciało, ciało kobiece, chcące jak wszystkie inne być pożądanym i pożądać. Ja, dwudziestopięcioletni mężczyzna, nie wyobrażałem sobie, iż chorzy, kaleki, niedojrzałe podlotki, kobiety przekwitłe, pokrzywdzone i przez los doświadczone zdobywają się na odwagę, aby kochać! Młody, a niedoświadczony człowiek imaginuje sobie i kształtuje świat, prawdziwe życie i realne przeżycia zawsze i wyłącznie pod wpływem zasłyszanych opowiadań lub lektury, a zanim zdobędzie własne doświadczenie posługuje się cudzymi wzorami i obrazami. W książkach, w sztukach teatralnych i kinach (w tej

spłyconej i uproszczonej rzeczywistości) występują zawsze młodzi, piękni, pożądanicy się wzajemnie wybrańcy losu. Dlatego sądziłem – stąd pochodził też mój lęk przed przygodami – że trzeba być wybitnie pociągającym, specjalnie uprzywilejowanym i przez los wyróżnionym, aby wzbudzić w kobiecie sympatię. Przecież tylko dlatego byłem w stosunku do obydwóch panien tak swobodny i naturalny, że nic nie podejrzewałem i że wszelki erotyzm wydawał mi się tu z góry wyeliminowany. Nigdy nie przyszło mi na myśl, by mogły we mnie widzieć coś więcej niż miłego kolegę. Jakkolwiek zmysłowa piękność Ilony działała niekiedy na mnie, nigdy nie pomyślałem o Edycie jako o istocie odmiennej płci. Nigdy nawet cień podejrzenia nie powstał w moim umyśle, że w tym zniekształconym ciele działają takie same organy, a w duszy burzą się takie same pożądanicy jak u innych kobiet. Dopiero od owej chwili zacząłem z wolna pojmować (sprawy zazwyczaj przez autorów przemilczane!), że właśnie ci odsunięci od życia, ci naznaczeni przez los, brzydki, przekwitli, zniekształceni i odtrąceni mogą pożądanicy z żarłocznością bardziej namiętną i niebezpieczną niż szczęśliwi i zdrowi; że kochają fanatyczną, ponurą, czarną miłością, a żadna namiętność ziemską nie wybucha z większą rozpaczą, jak właśnie owa beznadziejna, bezcelowa miłość tych pasierbów Boga, którzy swą ziemską egzystencję mogą uważać za usprawiedliwioną jedynie wtedy, kiedy kochają i są kochani. Nigdy jako człowiek niedoświadczony nie śmiałybym przypuszczać, że właśnie z najgłębszej otchłani rozpaczki płynie jęk najposępniejszej, a potężnej chęci życia. Zrozumienie tego, niby cios zadany rozżarzoną nożem, ugodziło mnie właśnie w owej sekundzie.

„Głuptasie!” Również i to zrozumiałem dopiero teraz; pojąłem dopiero teraz, czemu ten wyraz wyrwał się z jej warg w burzy uczuć, czemu na wprost rozwinięta pierś tak się do mnie przyciskała. „Głupiec!” Tak, miała słuszną ocenę mnie w ten sposób! Prawdopodobnie wszyscy od pierwszej chwili sprawę przejrzeni – i ojciec, i Ilona, i służący, i cała pozostała służba. Prawdopodobnie od dawna wszyscy domyślali się jej miłości, może z przerażeniem, a w każdym razie przeczuwając coś złego. Tylko ja, głupiec, ofiara własnej litości, odgrywający rolę dobrego, poczciwego, łagodnego kolegi, ja, żartujący z nią płocho, wcale się nie domyślałem, jak jej gorąca dusza dręczyła się moim niezrozumieniem, moją niepojętnością. W marnej komedii zdarza się czasem smutny bohater intrygi, o którym każdy na widowni wie od dawna, w jakich się opałach znalazł, on zaś jedyny, naiwny i głupi, dalej gra ze śmiertelną powagą swą rolę, nie zwraca uwagi na nic i nie dostrzega sieci, w jaką się zaplątał. (Gdy inni od początku widzieli każdą jej

nić i każde w niej oko). I ja również wobec całego domu Kekesfalvów błądziłem na oślep w tej niemądrej grze w ciuciubabkę, aż wreszcie Edyta sama zerwała mi gwałtownie opaskę z oczu. Wystarczy zapalić jedno światło, aby w całym pokoju rozjaśnić jednocześnie wszystkie przedmioty; ze wstydem zrozumiałem dopiero teraz – niestety za późno, za późno! – liczne wydarzenia z ostatnich tygodni. Dopiero w tej chwili zorientowałem się nagle, czemu rozgoryczała ją zawsze, gdy żartobliwie nazywałem ją dzieckiem. Przecież właśnie przede mną nie chciała uchodzić za dziecko, lecz za kobietę, pragnęła być moją ukochaną. Dopiero teraz pojąłem, czemu wargi biedactwa drżały niekiedy niespokojnie, gdy jej kalectwo nazbyt widocznie mną wstrząsało, czemu z taką zawziętością nienawidziła mojej litości. Jasnowidzącym, kobiecym instynktem odgadywała zapewne, że litość jest zbyt łagodnym, siostrzanym uczuciem i stanowi smutną namiastkę prawdziwej miłości. Jakże gorąco musiała nieboraczka pragnąć jakiegoś słowa, jakiejś oznaki mego zrozumienia, które nie nadchodziło. Jak musiała cierpieć, podczas gdy ja gawędziłem beztrąsko, jak rozżarzała się jej niecierpliwość i nieszczęśliwa dziewczyna czekała na najmniejszy gest pieszczoty lub spodziewała się przynajmniej, iż dostrzegę wreszcie jej namiętność. Ja zaś nic nie mówiłem, nic nie czyniłem, a jednak nie unikałem tego domu, utrzymując ją codziennymi wizytami w bezsensownej nadziei, a jednocześnie rujnując jej nerwy przez swą ślepotę! jakże zrozumiałe jest więc, iż wreszcie załamała się i sięgnęła po mnie jak po zdobycz.

Wszystko to uświadomiłem sobie nagle w stu obrazach, opierając się o ścianę w ciemnym korytarzu, jak gdyby mnie wybuch poraził. Oddech miałem zahamowany, a nogi jak sparaliżowane. Dwukrotnie próbowałem ruszyć się z miejsca i dopiero za trzecim razem dosięgnąłem klamki. „To są drzwi do salonu – pomyślałem szybko – na lewo jest wyjście do hallu, gdzie leży moja szabla i czapka. Trzeba szybko przebiec przez pokój i uciec, uciec! Trzeba ratować się z tego domu, zanim nadejdzie ktoś, z kim trzeba będzie rozmawiać i zdać sprawę z mych odwiedzin u chorej. Aby tylko nie spotkać Ilony lub Józefa, nikogo z tych, którzy pozwolili mi jak głupcowi zaplątać się w te sieci. Uciec, uciec jak najszybciej!”

Lecz było już za późno. W salonie, widocznie usłyszawszy moje kroki, czekała już Ilona. Na mój widok wyraz jej twarzy zmienił się raptownie.

– Jezus Maria, co się stało?! Jakież pan błady! Czy... Edycie znowu coś się stało?

– Nie, nic – znalazłem jeszcze siły, żeby wyjąkać, i ruszyłem w stronę wyjścia. – Zdaje mi się, że teraz śpi. Pani wybaczy, ale muszę już iść.

W mojej brutalności musiało być coś przerażającego, bo Ilona rezolutnie wzięła mnie pod rękę i popchnęła na fotel.

– Zaraz! Niech no pan przede wszystkim usiądzie. Wpierw musi pan przyjść do siebie. A pańskie włosy! Jak wygląda pańska fryzura! Jaki pan potargany! Nie, niech pan siedzi – dodała szybko, gdy zerwałem się z miejsca – przyniosę koniaku.

Pobiegła do szafy i napełniła kieliszek, ja zaś wychyliłem go jednym haustem. Z niepokojem patrzyła, jak odstawiałem go drżącą ręką, bo nigdy w życiu nie czułem się tak słaby, tak wyczerpany. Potem usiadła przy mnie i czekała nic nie mówiąc i od czasu do czasu rzucając na mnie z boku ostrożne, niespokojne spojrzenie, jakim obserwuje się chorego. Wreszcie spytała:

– Czy Edyta... mówiła panu coś... to jest... coś, co... dotyczy pana?

Wyczułem ze współczującego tonu jej głosu, że wszystkiego się domyśla, byłem zaś zbyt słaby, aby się bronić.

– Tak – szepnąłem.

Nie uczyniła żadnego ruchu, nie odpowiedziała. Spostrzegłem tylko, że oddech jej stał się płytszy. Ostrożnie nachyliła się nade mną.

– A pan... pan rzeczywiście dopiero teraz to zauważył?

– Skądże mógłbym przypuszczać! Taki nonsens! Takie szaleństwo! Jakim sposobem? Dlaczego właśnie ja! Dlaczego?

Ilona westchnęła.

– Och, mój Boże, a ona sądziła, że pan przychodzi tylko z jej powodu. Żeby tylko dlatego... Ja osobiście... ja tego nigdy nie przypuszczałam, ponieważ był pan zawsze taki... prosty, swobodny i taki... taki serdeczny w sposób... w inny sposób. Od pierwszej chwili obawiałam się, że powoduje panem wyłącznie litość. Ale czy mogłam to biedactwo ostrzec, czyż mogłam być tak okrutna, aby perswadować jej tę szaloną myśl, która ją tak uszczęśliwiała? Od wielu tygodni żyje przecież tylko tą nadzieją, że pan... A gdy mnie tak ciągle pyta i sonduje, jakiego jestem zdania, czy rzeczywiście pan ją... lubi – nie mogę być tak brutalna. Musiałam ją przecież uspokajać i podtrzymywać.

Ale moje nerwy nie wytrzymały.

– Nie, przeciwnie, musi pani jej to wytłumaczyć, bezwzględnie wyperswadować! Przecież to szaleństwo, brednie, dziecinny kaprys, zwykły zachwyty podlotka nad mundurem, i gdy jutro przyjdzie ktoś inny, będzie adorować tamtego. Musi jej pani to wytłumaczyć... wytłumaczyć w porę. Przecież to jedynie przypadek, że przychodziłem ja, właśnie ja, nie kto inny, na przykład któryś z moich kolegów, miłszy ode mnie. W jej wieku takie rzeczy mijają szybko.

Ale Ilona smutnie potrząsnęła głową.

– Nie, kochany panie, niech pan się nie łudzi. Jest to poważne, straszliwie poważne, z dnia na dzień staje się niebezpieczniejsze. Nie, kochany poruczniku, nie mogę ze względu na pana upraszczać spraw trudnych. Ach, gdyby pan wiedział, co się teraz dzieje z tego powodu w domu! Trzy, a czasem cztery razy w nocy rozlega się dzwonek, Edyta budzi nas wszystkich bez litości, a my biegniemy do niej przerażeni, że coś się stało, znajdujemy ją siedzącą w łóżku roztrzęsioną, patrzącą przed siebie nieprzytomnie i powtarzającą bez ustanku: „Jak myślisz, czy on może mnie kochać chociaż troszeczkę? Przecież nie jestem taka brzydka!” Potem każe sobie podać lusterko, natychmiast je odrzuca, w tejże chwili zdaje sobie sama sprawę, że popełnia szaleństwo, a po dwóch godzinach zaczyna się wszystko od początku. W swej rozpaczycy pyta o to ojca, Józefa, służące, a przedwczoraj – pamięta pan tę Cyganekę? – kazała jej przyjść po kryjomu jeszcze raz, by jej znowu wróżyła. Napisała już do pana pięć listów, które podarła. Od rana do wieczora, od świtu do nocy o niczym innym nie myśli i nie mówi. Żąda, abym poszła do pana i dowiedziała się, czy pan ją kocha... chociaż troszeczkę czy też... czy jest panu niemiła, gdyż właśnie tego dnia unikał jej pan jakoby i milczał. Mam więc do pana pojechać natychmiast, w tej chwili mam pana przychwycić po drodze, a szofer musi biec i natychmiast przygotować auto. Powtarza mi sto razy każde słowo, które mam panu powiedzieć, którym mam pana wypytać, a w ostatnim momencie, gdy stoję już przed domem, gwałtownie dzwoni i muszę w kapeluszu i płaszczu biec do niej, aby jej przysiąc na życie mej matki, że nie napomknę o tym wszystkim nigdy nikomu ani słowa. Ach, nie ma pan pojęcia! Przecież dla niej kończy się wszystko, gdy drzwi zamykają się za panem! Natychmiast po pana wyjściu powtarza mi każde słowo, które pan powiedział, a potem zaczyna pytać, co sędzę i jak sędzę. Gdy mówię: „Przecież widzisz, jak bardzo cię lubi!” – zaczyna krzyczeć: „Kłamiesz! To nieprawda! Nie powiedział mi

dzisiaj ani jednego dobrego słowa!” Ale jednocześnie chce to usłyszeć ode mnie jeszcze raz i muszę powtarzać wszystko po trzykroć, muszę przysięgać... A ten starzec! Przecież od pewnego czasu jest całkiem nieprzytomny, a kocha pana i ubóstwia zupełnie tak samo jak swe dziecko. Gdyby pan widział, jak zmęczony siedzi godzinami przy jej łóżku, głaszcze ją i uspokaja, aż wreszcie Edyta zasypia. A potem on sam przez całą noc chodzi niespokojnie tam i z powrotem, tam i z powrotem po pokoju. I pan... pan rzeczywiście nic z tego nie zauważył?

– Nie! – wykrzyknąłem głośno z niewymowną rozpaczą. – Nie, przysięgam pani, nic! Nawet najdrobniejszego objawu! Czy pani sądzi, że w ogóle byłbym tu przychodził, że mógłbym przesiadywać z wami, grać w szachy i domino lub słuchać gramofonu, gdybym w najmniejszym stopniu przeczuwał, co się dzieje? Ale jakże ona mogła uwikłać się w taką myśl szaloną, że ja... że właśnie ja! Jakże mogła przypuszczać, że będę tolerował taki nonsens, taką dziecinadę! Nie, nie, nie!

Chciałem się zerwać z krzesła na samą tę dręczącą myśl, że mogłem być kochany wbrew mej woli, lecz Ilona energicznie chwyciła mnie za rękę.

– Spokojnie, zaklinam pana, drogi poruczniku, niech się pan nie denerwuje, a przede wszystkim, błagam, trochę ciszej! Edyta potrafi słyszeć przez ściany. I proszę, niech pan, na litość boską, nie będzie niesprawiedliwy. Biedaczka uważała to za znak od Boga, iż owa wiadomość przyszła właśnie przez pana, że to pan, właśnie pan pierwszy powiedział jej ojcu o tej nowej kuracji. Przecież wpadł do niej pośród nocy i obudził ją... Gdyby pan mógł sobie wyobrazić, jak oboje płakali, jak dziękowali Bogu, że straszliwy ten okres zbliża się ku końcowi, i jak oboje są przekonani, iż z chwilą gdy Edyta będzie wyleczona, gdy stanie się człowiekiem jak inni, pan... pan... ach, przecież nie trzeba panu tego tłumaczyć! I właśnie dlatego nie wolno panu teraz denerwować tego biednego dziecka, teraz gdy Edyta potrzebuje wszystkich sił do nowej kuracji. Musi pan być niezwykle ostrożny i broń Boże nie dać jej do zrozumienia, że sama ta myśl jest dla pana tak... tak... okropna.

Lecz rozpacz nie pozwoliła mi na żadne względy.

– Nie, nie, nie! – gwałtownie załomotałem ręką w poręcz. – Nie, nie mogę... nie chcę być kochany, tak kochany! Nie mogę już teraz udawać, że nic nie dostrzegam, nie mogę przesiadywać tu spokojnie i gadać o głupstwach... nie mogę! Przecież pani nie wie, co się stało... tam, u niej!

Edyta mnie wcale nie rozumie. Przecież było mi jej tylko żal... Tylko żal i nic, nic więcej.

Ilona milczała patrząc przed siebie. Wreszcie westchnęła.

– Tak, tak, obawiałam się tego od początku. Przeczynałam to przez cały czas. Ale mój Boże, co teraz będzie? Jak jej to powiedzieć?

Siedzieliśmy w milczeniu. Powiedziane zostało wszystko i wiedzieliśmy oboje, że nie ma teraz ani drogi z tej sytuacji, ani wyjścia. Nagle Ilona wyprostowała się nasłuchując czegoś z wytężeniem i prawie jednocześnie usłyszałem szmer nadjeżdżającego samochodu. Widocznie powracał Kekesfalva. Zerwała się raptownie.

– Lepiej, żeby pan się z nim teraz nie spotkał. Jest pan zanadto zdenerwowany, aby mówić z nim swobodnie. Niech pan czeka, przyniosę tu pańską szablę i czapkę... najprościej będzie, gdy pan umknie przez tylne drzwi do parku. Znajdę jakąś wymówkę, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie mógł pan zostać u nas.

Jednym skokiem przyniosła moje rzeczy. Na szczęście służący pospieszył do auta i mogłem nie zauważony przekraść się wśród dworskich zabudowań, zaś nieopanowany strach przed rozmową z kimkolwiek przyspieszył moje kroki w parku. Po raz drugi, schylony i strwożony jak złodziej, uciekałem z tego fatalnego domu. Jako młody i mało doświadczony człowiek uważałem dotąd tęsknotę i pragnienie miłości za najstraszniejszą mękę. W owej chwili jednak zacząłem pojmować, że istnieje udręka inna, może nawet gorsza od tęsknoty i pożądania: miłość wbrew woli człowieka kochanego i jego bezbronność wobec czyjejś natarczywej namiętności. Jakaż bowiem męką jest widzieć obok siebie żar pożądania i nie móc udzielić pomocy, nie móc znaleźć siły i zdolności, by cierpiącego wyrwać z trawiących go płomieni! Kto kocha nieszczęśliwie, potrafi niekiedy miłość swą okiełznać, będąc nie tylko ofiarą, lecz i twórcą własnego cierpienia; jeżeli człowiek kochający nie umie swej namiętności powściągnąć, cierpi przede wszystkim z własnej winy. Natomiast bez ratunku zgubiony bywa ten, kto kochany jest bez możliwości odwzajemnienia tego uczucia, ponieważ nie od niego zależy miara i granica miłości szalejącej poza obrębem jego działania. Cudza wola, chcąc nas zagarnąć, nie da się opanować przez naszą wolę. Możliwe, iż tylko mężczyzna może odczuć całą beznadziejność i tragizm takiego stosunku i że tylko dla niego staje się on męczarnią, a zarazem przewiną narzucona mu konieczność oporu. Gdy bowiem kobieta broni się przed

niepożądaną namiętnością, w głębi duszy posłuszna jest prawu swej płci. Gest początkowego oporu jest odwieczny, a właściwy każdej niewieście, gdy broni się więc chociażby najgorętszemu pragnieniu mężczyzny, nie można jej nazwać nieludzką. Jakże jednak fatalnie się dzieje, gdy los odwróci karty, gdy kobieta, pokonawszy wstydlivość, zdecyduje się okazać ukochanemu swą miłość, gdy mu się całkowicie ofiaruje, nie mając żadnej pewności, czy będzie odwzajemniona, zaś on, wybraniec, pozostaje zimny i odpychający! Nie odwzajemnione uczucie kobiety staje się zawsze nierozwiązalnym powikłaniem i jest obrazą jej dumy, naruszeniem wstydlivości; kto odmawia siebie pożądaną go kobiecie, rani ją w najszlachetniejszych jej porywach. Gdy zdradzi mu ona swe uczucie, daremne bywa oględne usuwanie się w cień, bezsensowne są wszelkie grzeczne, a wymijające słowa, obrazą zaś każda propozycja przyjaźni. Opór mężczyzny jest wówczas bezgranicznym okrucieństwem, gdyż odrzucając miłość staje się winnym bez winy. Jakże straszliwe to okowy, nic nie jest w stanie ich zerwać! Oto byłeś wolny, należałeś do siebie samego i żadnej winy nie wyrzucało ci sumienie, aż nagle, szczuty i osaczony, stajesz się zdobyczą i celem nieupragnionego pożądanego. I wiesz, dotknięty w najgłębszych tajnikach swej duszy, że oto w dzień i w nocy czeka ktoś na ciebie. Myśli o tobie, tęskni do ciebie i jęczy za tobą kobieta, obca ci istota! Chce, żąda, woła cię każdym odruchem swej duszy, każdym fibrem swego ciała, całą swą krwią. Pragnie twych rąk, twych włosów, twych warg, twego ciała, chce twych nocy i dni, twego uczucia i płci, wszystkich twych myśli i snów. Chce wszystko dzielić z tobą, chce zabrać ci wszystko, chce wessać cię całego swym oddechem. Stale, w dzień i w nocy, czy śpisz, czy czuwasz, ktoś czeka na ciebie, ktoś widzi cię na jawie, ktoś o tobie śni. Na próżno bronisz się myśli o niej – ona myśli o tobie, na próżno chcesz jej się wymknąć – nie jesteś już panem siebie. Niby chodzące zwierciadło nosi cię niespodzianie w sobie obcy człowiek – nie, nie jak zwierciadło, które odbija twój obraz jedynie wówczas, gdy z własnej woli przed nim stajesz, ona, kobieta, obca istota, która cię kocha, wessała cię samowolnie w swą krew. Ma ciebie stale w swej duszy i nie rozstaje się z tobą, chociażbyś uciekł na kraj świata. Stale uwiązany jesteś w innym człowieku, nie możesz już być sobą, nie jesteś wolny i niezależny – jesteś bez swej winy osaczony i zobowiązany. Niby palące ssanie wciąż czujesz to ustawiczne rozmyślanie o tobie. Z nienawiścią i przerażeniem musisz znosić tęsknotę obcej kobiety, która cierpi przez ciebie. Tak, najbardziej bezsensownym, a nieuniknionym konfliktem dla mężczyzny jest miłość, której nie może odwzajemnić, największą udręką i grzechem niezawinionym.

Nawet w najzwieźniejszych snach nie przypuszczałem, żeby i mnie mogła kobieta tak bezgranicznie pokochać. Wprawdzie często w mojej obecności koledzy chępliwi się, że tamta lub owa „lata za nimi”. Przy tych niedyskretnych opowiadaniach śmiałem się wesoło wraz z innymi, gdyż wówczas jeszcze nie wiedziałem, że każda forma miłości, nawet najśmieszniejsza i najbardziej absurdalna, jest przeznaczeniem człowieka, zaś obojętnością można popełnić przestępstwo w stosunku do tego wielkiego uczucia. Ale przecież wszelkie zasłyszane opowieści i przeczytane historie mijają bez śladu – jedynie dzięki własnym przeżyciom serce człowieka poznaje istotę uczucia. Musiałem dopiero sam znaleźć się w opresji, jaka zawsze się zjawia i obciąża sumienie wraz z nie odwzajemnioną miłością, aby współczuć obojgu: temu, który narzuca siebie przemocą, i tamtemu, który broni się gwałtownie przeciwko takiemu nadmiarowi uczuć. Jakże jednak niesłychana spadła na mnie odpowiedzialność! Jeżeli bowiem fakt rozczarowania kochającej kobiety jest okrucieństwem i nieomal brutalnością serca, o ileż straszliwszym stać się musiało teraz owo „nie”, „nie chcę”, które trzeba było powiedzieć temu rozgorączkowanemu dziecku! Miałem obrazić chorą, musiałem biedaczkę tak boleśnie przez życie dotkniętą zranić jeszcze głębiej, musiałem istocie tak niepewnej siebie odebrać nadzieję, ostatnią deskę ratunku, której się trzymała. Zdawałem sobie sprawę, że uciekając od miłości tej dziewczyny, budzącej we mnie jedynie litość, narażałem ją na niebezpieczeństwo, a może nawet przyczyniałem się do jej zguby. Z przerażającą jasnością widziałem ogrom zbrodni, jaką popełniłbym wbrew woli, gdybym, nie będąc zdolnym do ohotnego przyjęcia tej niespodziewanej namiętności, przynajmniej nie udawał, że odwzajemniam jej uczucie.

Ale wyboru nie miałem. Zanim jeszcze umysł mój uświadomił sobie niebezpieczeństwo, ciało już się broniło. Instynkty zawsze są czujniejsze od naszych najbardziej trzeźwych myśli. W pierwszej sekundzie, przerażony, gdy wyrwałem się zaborczej pieszczocie Edyty, mglisto przeczuwałem już wszystko. Już wiedziałem, że nigdy nie znajdę w sobie dość sił, by kochać tę nieszczęsną kalekę, tak jak ona mnie kochała, i że nie zdobędę się prawdopodobnie na tyle współczucia, aby jej denerwującą namiętność chociażby znosić. Już w owym pierwszym momencie przeczułem, że nie ma wyjścia z tej sytuacji, że nie istnieją tu żadne półśrodki. Ta bezsensowna miłość musiała któreś z nas unieszczęśliwić: jedno albo drugie, albo oboje razem.

Dotąd nie potrafię zdać sobie sprawy, w jaki sposób powróciłem wówczas do miasta. Wiem tylko, że biegłem powtarzając sobie wraz z każdym uderzeniem pulsu: „Prędeż, prędeż, prędeż! Aby tylko uciec z tego domu, wyrwać się z tych macek, wymknąć się, uciec, zniknąć! Nigdy już nie przestąpić progu tego pałacu, nie oglądać tych ludzi, nikogo w ogóle nie widzieć. Skryć się, stać się niewidzialnym, nie być zobowiązanym względem nikogo, nie być z nikim związanym”. Pamiętam, że myślałem nawet, żeby podać się do dymisji, zdobyć gdziekolwiek pieniądze i uciec w świat tak daleko, aby ta szaleńcza miłość nie mogła mnie już dosięgnąć. Wszystko to jednak było raczej majaczeniem niż jasnym rozmyśleniem, gdyż w skroniach pulsowało mi nadal tylko jedno słowo: „Uciec, uciec, uciec!”

Po zakurzonych butach i po zadarciach od ostów na spodniach zorientowałem się później, że widocznie pędziłem na przełaj przez pola i łąki: w każdym razie gdy znalazłem się na szosie, słońce stało już za dachami. Jak lunatyk przeraziłem się, gdy mnie ktoś niespodzianie poklepał z tyłu po ramieniu.

– No, Tolek, jesteś nareszcie! Najwyższa pora, żebyśmy cię złapali! Przeszukaliśmy każdy zaułek i właśnie chcieliśmy telefonować do twego zamczyska.

Okrażyli mnie koledzy, wśród nich znajdował się nieodzowny Ferenc oraz Józsi i rotmistrz hrabia Steinhübel.

– No, prędeż! Wyobraź sobie, zjawił się nagle Balinkay, wiesz, ten z Holandii czy z Ameryki, Bóg raczy wiedzieć, skąd on jest! Zaprosił na dzisiejszy wieczór wszystkich oficerów i jednoroczniaków z naszego pułku. Ma być pułkownik i major na wielkiej uczcie „Pod Czerwonym Lwem” o wpół do dziewiątej. Chwała Bogu, to szczęście, żeśmy cię złapali, bo stary byłby wściekły, gdybyś był zwią! Wiesz przecież, że jest zwariowany na punkcie Balinkaya, na jego przyjęcie musi się odbyć cała parada.

Nie mogłem jeszcze zebrać myśli. Zaskoczony spytałem:

– Kto... przyjechał?

– No, Balinkay! Nie rób takiej głupiej miny, nie znasz Balinkaya?

– Balinkay, Balinkay?

Wszystko mi się w głowie poplątało, niby spośród zakurzonych śmieci z trudem wydostałem z pamięci to nazwisko. Ach, prawda, Balinkay, przecież

to ten syn marnotrawny pułku! Jeszcze przed moim przybyciem do garnizonu służył tu jako porucznik, był najlepszym jeźdźcem, największym zuchwalcem, szalonym graczem i pożeraczem serc niewieścich. A potem coś się z nim stało, ale nigdy o to nie pytałem; w każdym razie trwało to krótko: zawiesił mundur na kołku, a potem wyjechał i kołatał się po świecie wzdłuż i wszerz, zaś wśród kolegów szeptano sobie o nim rozmaite dziwne rzeczy. Wreszcie znowu wypłynął dzięki temu, że w Hotelu Shepherd w Kairze złowił sobie bogatą Holenderkę, wdowę z ogromnymi milionami, właścicielkę jakiejś kompanii okrętowej, posiadającej siedemnaście okrętów i obszerne plantacje na Jawie i Borneo. Od tej chwili stał się naszym niewidzialnym opiekunem i protektorem.

Pułkownik Bubencic najwidoczniej wyratował wówczas owego Balinkaya z jakichś grubszych opałów, bo wierność zamorskiego kolegi dla niego i dla pułku była rzeczywiście wzruszająca. Ilekroć zjawiał się w Austrii, przyjeżdżał specjalnie do naszego garnizonu i w tak szalony sposób rzucał pieniędzmi, że opowiadano o tym w mieście całymi tygodniami. Można się ubrania się chociażby na jeden wieczór w stary mundur, można przebywania wśród kolegów jak równy z równymi była dlań widocznie pewnego rodzaju potrzebą serca. Gdy siedział przy naszym stole oficerskim, swobodny i zadowolony, każdy z nas czuł, że w tej źle wybielonej, zadymionej sali „Pod Czerwonym Lwem” zamorski milioner czuje się stokroć lepiej niż w swym feudalnym pałacu przy pierwszorzędnej ulicy w Amsterdamie; byliśmy jego dziećmi, jego braćmi, jego prawdziwą rodziną. Rokrocznie wyznaczał nagrody na nasze polowania z nagonką, regularnie na każde Boże Narodzenie przychodziły od niego dwie lub trzy skrzynie barwnych wódek oraz kosze szampana, a pułkownik mógł z absolutną pewnością na każdy Nowy Rok zainkasować w banku dla naszej kasy koleżeńskej czek na grubszą sumę. Kto nosił mundur naszego pułku, a na kołnierzu jego odznaki, ten mógł liczyć na Balinkaya, a gdy się zdarzyło, iż któryś z nas miał jakieś trudności, wystarczył list, aby wszystko było natychmiast załagodzone.

Kiedy indziej ucieszyłbym się szczerze z okazji, że poznam owego sławnego kolegę, lecz obecnie myśl o wesołej zabawie, krzykach, toastach i mowach wydawała mi się w moim zdenerwowaniu czymś niemożliwym do zniesienia. Spróbowałem wymówić się od biby, twierdząc, że czuję się niezdrowy, lecz Ferenc krzyknął wulgarnie:

– Cicho bądź! Dziś nie ma żadnych wykrętów! – ujął mnie pod rękę i mimo woli musiałem mu się poddać.

Na wpół przytomny, zagarnięty przez kolegów, słuchałem ich opowiadań o tym, w jaki sposób i komu Balinkay pomógł już w opresji. Szwagrowi Ferencego ofiarował posadę, a właściwie każdy z nas zrobiłby karierę o wiele szybciej, gdyby mógł zaciągnąć się na jego okręt i wyjechać do Indii. Józsi, chudy zgryźliwy jegomość, zaprawiał od czasu do czasu octem powątpiewania wdzięczny zachwyty pocziwego Ferencego. Nie wiadomo, czy pułkownik przyjmowałby tak serdecznie swego ulubieńca, drwił głośno, gdyby Balinkay nie złapał był sobie tej grubej holenderskiej ryby... Podobno jest ona o dwanaście lat starsza od niego, ale:

– Jeżeli się człowiek sprzedaje, to przynajmniej drogo! – roześmiał się hrabia Steinhübel.

Dziwnym mi się dzisiaj wydaje, że pomimo zdenerwowania tak dokładnie pozostało mi w pamięci każde słowo z tej rozmowy. Niekiedy wraz z osłabieniem zdolności myślenia jakieś naprężenie nerwów idzie z nim tajemniczo ręka w rękę. Toteż gdy weszliśmy do wielkiej sali „Pod Czerwonym Lwem”, dzięki dyscyplinie wywiązałem się dość sprawnie z nałożonych na mnie obowiązków. A pracy było bardzo dużo. Sprowadzono cały magazyn transparentów, chorągwi i emblematów, zazwyczaj wywieszanych tylko na pułkowy bal. Ordynansi gorliwie łomotali i przybijali to wszystko na ścianach, a w sąsiednim pokoju Steinhübel pouczał trębacza, kiedy i w jaki sposób ma zagrać tusz. Józsi, który pisał z nas najładniej, musiał pięknie wykaligrafować menu, w którym wszystkie potrawy otrzymały humorystyczne nazwy, mnie zaś kazano wyznaczyć kolejność gości przy stole. Służący ustawiał stoły i krzesła, a kelnerzy znosili dzwiczące baterie win i szampana, które Balinkay sprowadził swym autem prosto z Wiednia. Zamieszanie sprawiło mi jakby ulgę, gdyż hałas i gwar zagłuszały pulsowanie w skroniach i nie wyjaśnione pytania w myślach.

Wreszcie o ósmej przygotowania zostały zakończone. Pobiegliśmy do koszar, aby się czym prędzej przebrać. Ordynans zawiadomiony o uroczystości przygotował mi już galowy mundur i lakierowane buty, szybko zanurzyłem głowę w zimną wodę i rzuciłem spojrzenie na zegar. Pozostawało dziesięć minut, a nasz pułkownik nie znał żartów i wymagał punktualności. Błyskawicznie zrzuciłem zakurzony mundur i buty, lecz właśnie gdy stałem przed lustrem nie ubrany, czesząc rozwichrzone włosy, zapukano do drzwi.

– Nie ma mnie dla nikogo! – rzuciłem ordynansowi rozkazującym tonem.

Chłopak posłusznie skoczył i usłyszałem w przedpokoju jakieś szepty. Po chwili Kuźma wrócił z listem w ręku.

List dla mnie? W koszuli i kalesonach wzięłem niebieską, podłużną kopertę, grubą i ciężką jak paczka, i natychmiast uczułem, że... trzymam w ręku ogień. Nie potrzebowałem spojrzeć na pismo, aby się domyślić, kto do mnie pisał.

„Później, później – podszeptał mi nagły instynkt. – Nie czytać, nie czytać teraz!” Lecz o to wbrew wewnętrznemu nakazowi już rozerwałem kopertę i chciwie zacząłem czytać list, szeleszczący coraz mocniej w moim ręku.

Skreślony był pospiesznie nerwowym pismem na szesnastu stronicach i zawierał treść, na jaką można się zdobyć tylko raz w życiu, list, jaki tylko raz w życiu człowiek dostaje. Niby krew z rozwartej rany płynęły słowa bez opamiętania, bez ustępów, bez interpunkcji, tłoczyły się i prześcigały wzajemnie. Nawet teraz, po tylu latach, widzę przed sobą każdy wiersz, każdą literę. Jeszcze teraz mógłbym o każdej porze dnia i nocy stronę po stronie wyrecytować z pamięci cały ten list od początku do końca, bo czytałem go niezliczoną ilość razy. Przez długie miesiące, przez całe długie miesiące nosiłem ten złożony niebieski papier w kieszeni, wyjmując go bądź w domu, bądź w barakach, bądź w okopach, bądź przy ognisku w czasie wojny; dopiero podczas odwrotu z Wołynia, gdy dywizja nasza okrążona została przez wroga z obydwu stron i gdy ogarnęła mnie obawa, że to ekstatyczne wyznanie mogłoby się dostać w obce ręce, list ów zniszczyłem.

Sześć razy – zaczynał się – pisałam już do Ciebie i za każdym razem list podarłam. Bo nie chciałam się zdradzić, nie chciałam! Trzymałam się na wodzy, dopóki mogłam znaleźć siły. Przez długie tygodnie walczyłam z sobą, aby się przed Tobą maskować. Ilekroć przychodziłeś do nas taki przyjazny i swobodny, kazałam swoim rękoma, by leżały spokojnie, i swoim oczom, by spoglądały obojętnie, żebyś się nie czuł zmieszany. Często z rozmysłem byłam w stosunku do Ciebie surowa lub szydercza, lecz tylko dlatego, abyś się nie domyślił, jak serce me goreje – próbowałam wszystkiego, co jest w mocy ludzkiej i co było ponad moje siły. Ale dziś stało się, a przysięgam Ci, że zwalczyło mnie to wbrew mojej woli, napadło mnie zdradziecko. już sama teraz nie pojmuję, jak to się stać mogło; gdybym mogła, biłabym siebie i katowała, bo tak bardzo wstydzę się Ciebie. Przecież wiem, że narzucanie się Tobie byłoby szaleństwem. Kulawa, kaleka nie ma prawa kochać czy więc ja, zmarnowane, rozbite stworzenie, magłabym stać Ci się ciężarem, gdy sama

dla siebie jestem wstrętna i obrzydliwa? Istota tego rodzaju nie ma prawa kochać – wiem! – i nie ma prawa oczekiwać miłości. Powinna zaszyć się w kąt i zdechnąć, żeby swą obecnością nie rozbijać cudzego życia. Tak, wiem o tym, wiem, a właśnie dlatego, że o tym wiem, ginę przez tę myśl. Toteż nie byłabym się nigdy odważyła napaść na Ciebie. Któż jednak dał mi nadzieję, że nie będę już długo tym nędznym stworem? Kto powiedział, że będę się mogła poruszać, chodzić jak inni ludzie, jak miliony obojętnych ludzi, którzy wcale nie wiedzą, że każdy krok jest łaską i cudem niezwykłym. Z żelazną wolą postanowiłam milczeć, dopóki nie stanę się człowiekiem, kobietą jak inne, i może, może, godną Ciebie, Ty Ukochany! Jednak moja niecierpliwość, moje pragnienie, aby wyzdrowieć były tak szalone, iż w owej chwili, gdy schyliłeś się nade mną, już wierzyłam, szczerze wierzyłam, uczciwie i niemądrze wierzyłam, że jestem tą inną, tą nową, tą ozdrowiałą! Może zbyt długo pragnęłam tego i marzyłam o tym, a kiedy zbliżyłeś się do mnie, zapomniałam na sekundę o mych podłych nogach i widziałam tylko Ciebie, czując siebie taką, jaką chcę być dla Ciebie. Czyż nie rozumiesz, że wśród białego dnia można na chwilę ulec złudzeniu, gdy się tak rok po roku przez całe dni i noce marzy tylko o tym jednym? Wierz mi, Ukochany, że tylko przez tę szaloną myśl, iż jestem uwolniona od kalectwa, zachowałam się tak nieprzytomnie. Tylko niecierpliwość, aby nie być już tą odtrąconą od życia, tą kaleką, pozwoliła memu sercu oszaleć tak raptownie. Zrozum, że przecież już tak dawno i tak bardzo tęsknię za Tobą!

Ale teraz wiesz to, o czym nie miałaś się dowiedzieć, zanim nie zmartwychwstanę, i wiesz także, dla kogo chcę wyzdrowieć, dla kogo, jedyne na całym świecie, chcę być uleczona: tylko dla Ciebie, tylko dla Ciebie! Wybacz mi, bezgranicznie Ukochany, moją miłość, a przede wszystkim błagam Cię – nie obawiaj się mnie i nie przerażaj się mną! Nie sądz, że gdy się raz zdarzyło, iż byłam natarczywa, będę się dalej narzucała, że chora sama sobie wstrętna, będę się starała utrzymać Cię przy sobie. Nie, przysięgam Ci, nie odczujesz z mej strony nigdy żadnego naglenia, nigdy nie zaciąży Ci moja obecność. Będę tylko czekała, cierpliwie czekała, aż Bóg zlituje się nade mną i zechce mnie uzdrowić. Dlatego proszę, dlatego błagam, nie bój się ani mnie, Ukochany, ani mojej miłości, i pomyśl, Ty, który okalałeś mi więcej współczucia niż ktokolwiek inny, jak rozpaczliwie jestem bezradna, jak przygwożdżona do mego fotela, jak niemocna, by zrobić chociażby jeden krok, jak niezdolna pójść za Tobą, biec Ci naprzeciw. Pomyśl, pomyśl przecież, że jestem więźniem, który czekać musi uwięziony, stale cierpliwie, a z niecierpliwością czekać na Twoje przyjście, na tę godzinkę., którą mi

ofiarujesz, w ciągu której pozwalasz, abym patrzyła na Ciebie, słuchała Twego głosu, oddychała tym samym powietrzem, którym ty oddychasz, i czuła Twą obecność, to jedyne, pierwsze szczęście dane mi od wielu lat. Wyobraź to sobie i zastanów się nad tym: człowiek leży i czeka w dzień i w nocy, a każda godzina rozciąga się, rozciąga i w końcu nie można już jej znieść. Wreszcie przychodzisz, a ja nie mogę, jak każda inna dziewczyna, zerwać się, biec Ci na spotkanie, objąć Cię, utrzymać Cię przy sobie. Muszę siedzieć, opanowywać się, powściągać i milczeć, muszę zważać na każde słowo, każde spojrzenie, każdy odcień głosu, abyś nie zorientował się, iż odważyłam się pokochać Ciebie. Ale wierz mi, Ukochany, nawet to szczęście pełne męki było dla mnie szczęściem, a zawsze chwaliłam siebie, kochałam siebie samą, gdy mi się powiodło utrzymać w ryzach. Ty zaś odchodziłeś nie mając o niczym pojęcia, swobodny i wolny, nie wiedząc o mojej miłości. Jedynie mnie, wyłączcie mnie pozostawała męka świadomości, że kocham Cię bez ratunku. Ale teraz stało się... i teraz, Ukochany, gdy nie mogę już kłamać lub zaprzeczać uczuciu, które mam dla Ciebie, błagam Cię, nie bądź dla mnie okrutny. Nawet najbiedniejsze, najnędzniejsze stworzenie ma swoją dumę, a nie zniosłabym, gdybyś mną pogardzał za to, że nie potrafiłam utrzymać swego serca na wodzy! Nie odwzajemniaj mojej miłości – nie, przysięgam na Boga, który ma mnie uzdrowić i wyratować! – nawet nie ważę się myśleć o takiej zuchwałości. Nawet we śnie nie zdobyłabym się na odwagę, aby mieć nadzieję, że mógłbyś mnie już dziś taką, jaką jestem pokochać. Nie chcę – wiesz o tym! – ani ofiary, ani Twojej litości. Chcę tylko, abyś znosił moje oczekiwanie, milczące moje oczekiwanie, aż przyjdzie wreszcie czas. Wiem, że to bardzo dużo. Lecz czyż rzeczywiście zezwolenie człowiekowi na takie drobne, pożalowania godne szczęście, które dane jest każdemu psu, na szczęście patrzenia czasem ku swemu panu niemyim spojrzeniem, to tak dużo? Czy należy go odtrącać przemocą, czy trzeba go uderzać biczem pogardy? A tego jednego, mówię Ci z góry, tego nie zniosłabym – gdybym w dzisiejszym mym stanie stała Ci się wstrętą, jedynie dlatego, że się zdradziłam. Gdybyś chciał mnie ukarać ponad mój wstyd i moją rozpacz, miałabym tylko jedno wyjście, a ty je znasz. Pokazałam Ci je przecież.

Ale nie, nie przerażaj się, nie mam zamiaru grozić! Nie chcę Cię przestraszyć, nie chcę w zamian za miłość wymuszać od Ciebie litości, tego jedyne uczucia, które mi dotąd dawałeś. Pragnę, abyś się czuł swobodny i wolny od trosk. Nie chciałabym za nic na świecie obciążać Ciebie sobą, kłaść Ci na duszę winę, której nie jesteś winny. Chcę tylko tego jednego: abyś mi

przebaczył i całkowicie zapomniał o tym, co się stało, zapomniał, co Ci powiedziałam, co Ci zdradziłam. Daj mi tylko tę jedną pewność, tę małą, ubogą pewność! Powiedz mi ~ ach, wystarczy mi przecież jedno, jedyne Twoje słowo! – że nie jestem ci wstrętna, że będziesz do nas przychodził, jak gdyby się nic nie stało. Nawet wyobrazić sobie nie możesz mojego strachu, że mogłabym Cię utracić! Od chwili, gdy zamknęły się drzwi za Tobą, dręczy mnie, nie wiem dlaczego, śmiertelny strach, że byłeś tu po raz ostatni. Byłeś wówczas taki blady, miałeś w oczach, gdy Cię puściłam, tyle przerażenia, że przejął mnie mróz, choć byłam taka rozpalona. Wiem, służący mi powiedział, że natychmiast uciekłeś od nas. Niespodzianie zniknąłeś i Ty, i Twoja szabla, i czapka. Daremnie szukał Cię w moim pokoju, i wszędzie, toteż wiem, że uciekłeś przede mną jak przed trędem, jak przed zarazą. Ale nie, Ukochany mój, nie robię Ci wyrzutów. Przecież Cię rozumiem! Sama przerażam się sobą, widokiem tych kłoców u moich nóg, toteż wiem, jaka jestem zła, kapryśna, męcząca, nieznośna przez mą niecierpliwość. Właśnie ja sama najlepiej rozumiem, że można się mnie bać, och, doskonale rozumiem, że można ode mnie uciekać, że można cofnąć się z przerażeniem, gdy taki potwór na człowieka napada. A mimo to błagam Cię, abys mi przebaczył, gdyż bez Ciebie nie ma dla mnie dnia ani nocy – jest tylko rozpacz. Przyślij mi chociaż kartkę, malutką karteczkę albo przynajmniej listek czy kwiat, jakikolwiek, jakikolwiek daj mi znak, coś, po czym poznam, że mnie nie odtrącasz, że nie stałam Ci się wstrętna. Pomyśl, za parę dni mnie tu nie będzie na długie miesiące – za tydzień, za dziesięć dni skończy się Twoja udręka. Chociaż dla mnie zacznie się stokroć większa, bo będę się Ciebie musiała wyrzec na tygodnie, na długie miesiące. Nie myśl o tym, myśl tylko o sobie, jak ja myślę o Tobie, tylko o Tobie! Za tydzień będziesz wolny – przyjdź więc chociaż raz, a tymczasem przyślij mi jedno słowo, daj mi jakiś znak! Nie mogę myśleć, nie mogę oddychać ani czuć, dopóki nie wiem, że mi przebaczyłeś. Nie chcę i nie mogę żyć dłużej, jeżeli odmawiasz mi prawa kochania Ciebie!

Czytałem i odczytywałem ten nieszczęsny list. Kończyłem go i zaczynałem od początku. Ręce mi drżały, a w skroniach pulsowało coraz gwałtowniej ze zgrozy i wzruszenia, iż kochany jestem tak rozpaczliwie.

– No wiesz! Stoisz w kalesonach, a na dole wszyscy czekają! Cała banda już siedzi i tylko czeka, żeby zacząć. Balinkay także już jest, lada chwila przyjedzie pułkownik, a przecież wiesz, co ten diabeł wyprawia, jeżeli się ktoś spóźni, Fred umyślnie mnie tu przysłał, żebym zobaczył, czy ci się coś nie

stało, a ty stoisz i czytasz miłosne liściki... No, prędzej, tempo, bo dostaniemy obydwaj burę, aż będzie grzmiało!

Był to Ferenc, który wpadł do mojego pokoju jak burza. Nie zauważyłem go, dopóki jego ciężka łapa nie uderzyła mnie po bratersku w ramię. W pierwszej chwili nic nie mogłem zrozumieć. Pułkownik? Przysłano go? Balinkay? Ach, prawda, przypomniałem sobie, przecież t.o przyjęcie dla Balinkaya! Spiesznie schwyciłem spodnie i bluzę, z szybkością wyuczoną w korpusie kadetów mechanicznie wszystko na siebie narzuciłem, nie bardzo wiedząc, co robię, a Ferenc patrzył na mnie z dziwnym wyrazem w oczach:

– Słuchaj no, co ci jest? Ruszasz się jak mucha w ukropie. Dostałeś jakieś złe wiadomości?

– Ależ nie! – zamachałem gwałtownie ręką, – Już idę.

Trzema skokami znaleźliśmy się na schodach, ale nagle stanąłem.

– No, do wszystkich diabłów, co ci się znowu stało? – ryknął na mnie Ferenc ze złością.

Lecz już byłem w pokoju i schwyciwszy ze stołu zapomniany list wsunąłem go do kieszeni na piersiach. Przyszliśmy na salę rzeczywiście w ostatniej chwili. Wokół stołu ustawionego w podkowę zgrupowani już byli koledzy, lecz żaden nie ważył się jeszcze na prawdziwą wesołość, zanim przełożeni nie zajęli miejsc. Przypominali uczniaków, gdy dzwonek szkolny zadzwoni i lada chwila do klasy ma wejść nauczyciel.

Ordynansi nagle otworzyli drzwi i brzęcząc ostrogami wszedł sztab. Zerwaliśmy się z miejsc i stanęli na baczność. Pułkownik siadł po prawej, najstarszy rangą major po lewej stronie Balinkya i natychmiast zebranie ożywiło się. Zadźwięczały talerze, zaszczękały łyżki, rozległ się gwar i wszyscy zabrali się do jedzenia. Tylko ja siedziałem jakby nieobecny wśród rozbawionych kolegów, ciągle dotykając bluzy w miejscu, gdzie biło coś i uderzało niby drugie serce. Przez miękkie, uginające się sukno czułem za każdym razem szelest papieru, jak gdyby żarzył się tam ogień. Tak, był przy mnie, poruszał się niby coś żywego, drgał mi na piersi, a gdy wokoło wszyscy rozmawiali i jedli, myślałem wyłącznie o nieszczęsnym liście i o rozpaczliwym cierpieniu człowieka, który go napisał.

Daremnie kelner podawał mi potrawy. Wszystko zostawało na talerzu nie ruszone, zaś ustawiczne wsłuchiwanie się w siebie samego wprowadzało mnie w pewnego rodzaju sen z otwartymi oczami. Z prawa i z lewa słyszałem

dalekie słowa, lecz nie rozumiałem ich i wydawało mi się, że rozmawiają dookoła w jakimś obcym języku. Widziałem przed sobą twarze, wąsy, oczy, nosy, mundury, lecz obrazy miały charakter zamglony, jak gdybym oglądał je na wystawie przez szklaną szybę. Byłem obecny, lecz czułem się obco wśród kolegów, oszołomiony, a jednak zajęty, gdyż wciąż powtarzałem sobie półgłosem pojedyncze słowa nieszczęsnego listu. Gdy któreś wymykało się mej pamięci lub nie pamiętałem dalszej treści, drżącą ręką sięgałem skrycie do kieszeni, jak w korpusie kadetów, gdy podczas lekcji taktyki wydostawałem zakazane książki.

Nagle energicznie zadzwoniono nożem w kieliszek i jak gdyby ostra stal przecięła hałas, raptownie się uciszyło. Pułkownik wstał i zaczął przemawiać. Mówił, trzymając się z wysiłkiem stołu i pochylając korpus to naprzód, to w tył, jakby siedział na koniu. Rozpoczął twardym wezwaniem: „Koledzy!” Dobitnie skandował słowa i, wymawiając „r”, jak gdyby uderzał w bęben, wypowiadał przygotowany *speech*. Słuchałem uważnie, ale nie mogłem się skupić. Słyszałem mocno rzucane poszczególne wyrazy jak: „Honorr armii, austriacki duch kawaleryjski... wierność dla pułku... stary kolega...”, lecz wciąż mieszały się do tej mowy niby szeptane przez jakiegoś ducha inne słowa: cichymi, błagalnymi, pieszczotliwymi, słowami z innego świata, z głębi duszy odzywał się do mnie list: „Ukochany... nie bój się mnie... nie mogę żyć, jeżeli odbierzesz mi prawo kochania Ciebie..”. I znów ostro warczące „r”: „Nie zapomniał w oddali o swych kolegach... Nie zapomniał ojczyzny, Austrii..”. A potem od nowa głos obcy, podobny do szlochu, do zgłuszonego okrzyku: „Pozwól mi tylko, abym Cię kochała... daj mi jakiś znak...”.

Nagle rozległ się z hukiem gromki okrzyk: „Niech żyje, niech żyje!” Wszyscy, jakby poderwani wzniesionym kieliszkiem pułkownika, zerwali się, a z sąsiedniego pokoju buchnął zapowiedziany tusz. Zaczęto trącać się kieliszkami i toastować na cześć Balinkaya, który, przeczekawszy grad okrzyków, podziękował lekko, wesoło, w dowcipny sposób. Chciałby powiedzieć – tak zaczął – tylko parę prostych słów, tylko tyle, że pomimo wszystko nigdzie na świecie nie czuje się tak doskonale jak wśród starych kolegów. Zakończył okrzykiem: „Niech żyje jego królewsko-cesarska mość najłaskawiej nam panujący wódz i cesarz! Niech żyje pułk!” Steinhübel dał po raz drugi znak i rozległ się nowy tusz, a chór podchwycił hymn narodowy, po którym zaintonowano nieodzowną pieśń wszystkich austriackich pułków:

Jesteśmy wszyscy ce-ka ułanów pułk...

Balinkay ruszył wokół stołu, trącąc się kieliszkiem z każdym kolegą. Uczułem nagle, że sąsiad dał mi energicznie kuksańca w bok, i zobaczyłem przed sobą jasne, roześmiane oczy:

– Serwus, kolego!

Zmieszany skinąłem głową i dopiero po chwili, gdy Balinkay zatrzymał się przy następnym, przypomniałem sobie, że zapomniałem trącić się z nim. Ale wszystko znów utonęło w kolorowej mgłę, roztapiającej dziwnie twarze i mundury. Do diabła, cóż to raptem za błękitny dym przed oczami? Czyżby zaczęto już palić i dlatego zrobiło mi się nagle tak gorąco i duszno? Napić się czegoś, szybko się czegoś napić! Nie wiedząc, co piję, połknąłem dwa czy trzy kieliszki wina. Aby tylko pozbyć się tej goryczy w ustach i przykrego niesmaku! A teraz zapalić! Sięgnąłem do kieszeni po papierośnicę i poczułem szelest papieru: list! Ręka cofnęła się mimo woli i znów usłyszałem wśród ogólnego hałasu i wrzawy błagalne, rozszlochane słowa: „Pozwól mi tylko kochać Ciebie... wiem przecież, iż narzucanie się Tobie jest szaleństwem...”.

Znów zastukał widelec o szkło nakazując ciszę. Major Wondraczek, korzystający z każdej okazji, aby popisać się swymi poetyckimi zdolnościami, łatwością komponowania humorystycznych wierszy i fraszek, poprosił o głos. Wiedzieliśmy wszyscy, że z chwilą kiedy Wondraczek wstanie oprze swój wydatny brzuszek o stół i ułoży twarz w przebiegły, żartobliwy uśmiech, zacznie się niechybnie „wesola część” koleżeńskiego wieczoru.

Już stanął w ulubionej pozycji, zsunął binokle z dalekowzrocznych oczu i rozwinął arkusz. Był to nieodzowny w takich okazjach wiersz, którym, jak sądził, uświetniał każdą uroczystość, a który miał za zadanie dowcipne przedstawienie historii życia Balinkaya. Niektórzy sąsiedzi, bądź przez służbistość i uprzejmość, bądź dlatego że byli już podpici, wybuchali śmiechem przy każdym zręcznym zwrocie. Wreszcie nastąpił koniec i cały stół rozbrzmiał ochoczymi okrzykami: „Brawo, brawo!”

Zdjęła mnie nagle zgroza, a wulgarny śmiech kolegów schwycił mi serce jak w szpony. Jak można się tak śmiać, gdy ktoś jęczy, ktoś bezgranicznie cierpi? Jak można głupio żartować, dowcipkować i drwić, gdy ktoś marnieje i ginie? Wiedziałem przecież, że teraz, gdy Wondraczek skończył swoje głupstwa, zacznie się z pewnością wielka pijatyka, wrzawa i uciecha, zaczną się śmiechy, śmiechy bez końca... Nagle uczułem, że nie mogę dłużej patrzeć

na te dobrotliwe, błyszczące twarze. Czyż ta nieszczęśliwa dziewczyna nie prosiła mnie o kartkę, chociażby o jedno słowo? Może pójść do telefonu i zadzwonić? Przecież nie można człowieka narażać na tak okrutne czekanie! Trzeba mu coś powiedzieć, trzeba...

„Brawo, brawo!” Posypały się oklaski, runęły przewracane krzesła, podłoga zatrzeszczała, aż podniosła się z niej chmura pyłu, gdy nagle zerwało się czterdziestu czy pięćdziesięciu rozweselonych i dobrze podpitych mężczyzn. Major stał dumny zdjęwszy binokle i składając arkusz; dobrodusznie i z odcieniem pychy kiwał głową oficerom cisnącym się do niego z powinszowaniami. Skorzystałem z chwili zamieszania i ukradkiem wybiegłem, nie żegnając się z nikim. Może nie zauważą? A gdyby nawet zauważyli, było mi to obojętne, bo nie mogłem dłużej znieść tych śmiechów, tej swobodnej, sytej wesołości. Nie mogłem, nie mogłem!

– Pan porucznik już wychodzi? – spytał w garderobie zdziwiony ordynans.

„Idź do diabła” – mruknąłem w myślach i przeszedłem mu przed nosem bez słowa. Aby tylko przez ulicę, za róg i do koszar na moje piętro, a potem chcę być sam, sam, sam!

Korytarze ziały pustką, słychać było gdzieś w oddali miarowe kroki warty, z któregoś kranu kapiała woda, gdzieś z hukiem upadł rzucony but, a z sypialni żołnierzy, gdzie stosownie do regulaminu było już ciemno, płynęły jakieś miękkie i obce dźwięki. Mimo woli zacząłem słuchać: kilku Rusinów śpiewało razem czy nuciło po cichu melancholijną piosenkę. Przed zaśnięciem, gdy zdejmowali barwny, obcy im mundur z mosiężnymi guzikami, gdy stawali się znowu tylko ludźmi – jak wtedy gdy leżeli na słomie u siebie w domu – przypominali sobie ojczyznę, pola i może dziewczęta, które kochali. Wówczas, by zapomnieć, śpiewali żałosne melodie, wypowiadając swój żal, że zapędzono ich tak daleko. Zazwyczaj nie zwracałem uwagi na to nucenie i śpiewy, ponieważ nie rozumiałem słów, ale tym razem cudzy smutek wzruszył mnie po bratersku. Ach, gdyby tak można było usiąść wśród nich, porozmawiać z tymi ludźmi, którzy nie zrozumieliby mnie, a jednak ze współczującym spojrzeniem swych dobrych, cielejących oczu byli mi bliżsi niż tamci, weseli, przy stołach ustawionych w podkowie! Gdybyż mieć kogoś, kto potrafiłby znaleźć wyjście z tego fatalnego powikłania! Na palcach, aby nie obudzić Kuźmy, mego ordynansa, chrapiącego ciężko w sieni, przekradłem się do pokoju, zrzuciłem w ciemnościach czapkę, odpiąłem szablę, szarpnąłem kołnierz duszący mnie i

uciskający od dawna, zapaliłem lampę i zbliżyłem się do stołu, aby przeczytać wreszcie w spokoju ów list, pierwszy wstrząsający list, który do mnie, młodego, naiwnego człowieka, napisała kobieta.

Lecz w tejże chwili wzdrygnąłem się ujrawszy, że na stole w kręgu światła – jakże to możliwe?! – leży list, ów list, który przecież miałem schowany w kieszeni na piersiach! Tak, to on: niebieska podłużna koperta, zaadresowana dobrze mi znanym pismem.

Aż się zatoczyłem. Czyżbym był pijany? Czy śnię z otwartymi oczami? Straciłem zmysły? Przecież przed chwilą przy odpinaniu bluzy wyraźnie czułem szelest papieru. Czyżbym był tak nieprzytomny, że go wyjąłem i w chwilę potem już o tym zapomniałem? Sięgnąłem do kieszeni. Nie – oczywiście! – list w niej leżał. Dopiero teraz zrozumiałem, co się stało, dopiero teraz otrzeźwiałem. List na stole był nowy i przyszedł widocznie później, a poczciwy Kuźma położył go przezornie obok termosu, abym go po powrocie natychmiast znalazł.

Jeszcze jeden! Drugi list w przeciągu dwóch godzin. Gniew i złość zacisnęły mi gardło. Czyżby miało się to teraz powtarzać co dzień i co noc, list za listem, jeden za drugim? Jeżeli jej odpiszę, odpowie natychmiast, jeżeli nie odpiszę, będzie żądała odpowiedzi. Co dzień, co dzień będzie ode mnie czegoś żądać! Będzie posyłała gońców i telefonowała, będzie na mnie czyhała, każe obserwować każdy mój krok, żeby wiedzieć, kiedy wychodzę i wracam, z kim przestaję, co mówię i co robię. Jestm zgubiony, tak, zrozumiałem to teraz, nie wypuszczą mnie ze swoich szponów! Och, jak ów stary z bajki i jak ów kaleka. Nie będę już nigdy wolny. Ci zachłanni, zrozpaczeni ludzie nie dadzą mi spokoju, dopóki ktoś z nas przez tę bezsensowną, fatalną miłość nie zmarnieje – Edyta albo ja.

„Nie przeczytam! – pomyślałem. – W każdym razie nie dzisiaj. I w ogóle dość tego! Nie mam już sił do tej szarpaniny i udręczeń, które mnie rozdierają. Lepiej po prostu list zniszczyć lub odesłać go nie otwarty. Nie dam się przemocą wciągnąć w świadomą odpowiedzialność, nie dam obciążyć sobie sumienia, bo jakaś obca istota mnie kocha. Niech idą do wszystkich diabłów! Nie znałem Kekesfalwów dawniej i mogę ich nie znać i nadal”. Lecz nagle błysnęła mi przerażająca myśl: „Może Edyta, nie otrzymawszy ode mnie odpowiedzi, coś złego sobie zrobiła? Może coś sobie zrobi? Nie wolno zrozpaczonego człowieka pozostawiać w niepewności. Może by obudzić Kuźmę i posłać go z jakimś słowem uspokojenia i potwierdzenia? Aby tylko nie brać na siebie odpowiedzialności i winy!” Rozerwałem kopertę.

Chwała Bogu był to krótki list, jedna stroniczka, dziesięć wierszy bez nagłówka:

Proszę natychmiast zniszczyć list poprzedni! Byłam szalona, całkowicie nieprzytomna. Wszystko, co napisałam jest nieprawdą. I proszę jutro nie przychodzić do nas! Z naciskiem o to proszę! Muszę się ukarać za to, że tak nędznie poniżyłam się przed Panem. Więc niech Pan w żadnym wypadku jutro nie przychodzi, zabraniam tego, nie chcę! I proszę nie odpowiadać! Nie chcę odpowiedzi. Niech Pan na pewno mój list poprzedni zniszczy i zapomnie każde słowo! Proszę też o tym więcej nie myśleć.

Nie myśleć o tym – dziecinny rozkaz! Jak gdyby wzburzone nerwy mogły się poddać cugłom i nakazom woli. Nie myśleć, gdy myśli, niby spłoszone konie, boleśnie bijące kopytami, pędzą w wąskiej przestrzeni między skroniami! Nie myśleć, gdy wspomnienie bez ustanku gorączkowo wyczarowuje obraz za obrazem, gdy nerwy drżą z napięcia, gdy wszystkie zmysły prężą się w obronie i oporze. Nie myśleć, gdy ów list nieszczęsny parzy dłoń rozżarzonymi słowami, gdy obydwaj, i poprzedni, i obecny, zmuszają do czytania i odczytywania ich bez końca, do porównywania, odkładania i znów brania w ręce, aż każde ich słowo wryje się jak palące piętno w mózg. Nie myśleć, gdy stale od nowa trzeba, koniecznie trzeba rozmyślać, jak umknąć, jak się obronić? Jak się ratować przed namiętym atakiem, przed niepożądanym nadmiarem uczucia?

Nie myśleć! Sam przecież tego chciałem i dlatego zgasilem lampę, ponieważ światło utrzymuje myśli w trzeźwości i czujności. Usiłowałem schować się, skryć w ciemności, zerwałem ubranie, by oddychać swobodniej, rzuciłem się na łóżko, by nie czuć tych myśli tak dotkliwie. Lecz nie chciały mnie opuścić; jak nietoperze, jak widma przelatywały mi zmieszane przez znużony umysł i chciwie, niby szczury, przegryzały się przez zmęczenie ciężące mi ołowiem na zmysłach. Im spokojniej leżałem, tym bardziej gorączkowe stawały się wspomnienia, a obrazy tym gęściej zapełniały ciemność dookoła. Wstałem i znów zapaliłem światło, by spłoszyć złe widziadła. Lecz krąg lampy wrogo rozjaśniał przede mną jasny czworokąt listu, a przewieszona przez krzesło, zaplamiona bluza przypominała mi ubiegłe chwile. Nie myśleć – ach, jakże tego pragnąłem, nie mając dość siły woli, by się opanować! Chodziłem po pokoju jak błędny tam i z powrotem, otworzyłem wszystkie szafy i szuflady, znalazłem małą, szklaną tubkę ze środkiem nasennym i wróciłem do łóżka. Lecz i to nie było ucieczką. Nawet

przez sen, nawet przez czarną pokrywę snu przegryzały się niestrudzone szczury ciemnych myśli, wciąż te same, wciąż te same, a gdy obudziłem się nazajutrz, czułem się rozbity i wyczerpany, jak gdyby wyszał mnie wampir.

Jakim wielkim dobrodziejstwem była pobudka i codzienna służba – lepsze, łagodniejsze więzienie! Jakim szczęściem był koń, na którym można było pogalopować wraz z innymi, stale uważając na siebie i trzymając się na wodzach. Trzeba było słuchać, trzeba było wydawać rozkazy! Trzy godziny ćwiczeń, cztery godziny konnej jazdy, można uciec przed samym sobą!

Zrazu wszystko szło dobrze. Na szczęście mieliśmy tego dnia dużo pracy: ćwiczenia przed manewrami i wielka próba defilady, gdy szwadrony w rozwiniętym szyku galopują przed komendantem, a każdy łeb koński i każde ostrze szabli musi iść równo jak pod sznur! Przy paradach tego rodzaju bywa mnóstwo roboty, należało po dwadzieścia razy zaczynać wszystko od początku, baczyć na każdego ułana, a ćwiczenie wymaga od nas, oficerów, tak wytężonej uwagi, że niewątpliwie trzeba być całą duszą oddanym pracy, zapominając o wszystkim. Chwała Bogu!

Podczas dziesięciu minut przerwy, zarządzanej dla odpoczynku koni, spojrzenie moje przebiegło po widnokręgu. Pola w stalowym błękitnie połyskiwały zbożem i stogami, a płaski horyzont ciągnął się czystym półkolem. Tylko z daleka znaczyła się wąską jak wykałaczką sylwetką dziwaczna linia wieży. Wzdrygnąłem się gwałtownie – to przecież jej wieża z tarasem! I znowu narzuciła mi się myśl, narzuciła się konieczność, by patrzeć i przypominać sobie: „Ósma, pewno się teraz obudziła i myśli o mnie. Może do jej łóżka przyszedł ojciec, a ona mówi o mnie? Może pyta i popędza Ilonę albo służącego, by zobaczyli, czy nie przyszedł list, owa tęsknie oczekiwana wiadomość. (Powiniennem był jednak do niej napisać!) A może kazała już zawieźć się na wieżę, patrzy stamtąd i wygląda uczepiona poręczy, patrzy tak samo w moją stronę, jak ja spoglądam w kierunku pałacu”. I przypomniawszy sobie, że ktoś w oddali tęskni za mną, znów uczułem w piersiach dobrze mi znane szarpnięcie, przekłete szpony litości. Zaczęły się ćwiczenia, krzyżowały się ze wszystkich stron wykrzykiwane rozkazy, a rozmaite grupy w galopie lub kłusem formowały się i rozwijały w przepisane szyki, ja zaś, wołając „w prawo” i „w lewo”, czułem, że wewnątrz zaabsorbowany jestem czymś zupełnie innym. W najgłębszej, najistotniejszej świadomości myślałem znowu wyłącznie o sprawie, o której nie chciałem myśleć, o której myśleć mi zabroniono.

– Do stu tysięcy diabłów! Psiakrew, co to za świństwo! Cofnąć się! Wróć! Głupia banda!

Nasz pułkownik Bubencic, czerwony jak indyk, podjechał galopem, wrzeszcząc, aż się rozlegało po całym placu. I miał słuszość. Widocznie padła wadliwa komenda, bo dwa szwadrony, a wśród nich i mój, mające złączyć się we wspólny front, całym pędem wpadły na siebie i niebezpiecznie splątały. Kilka koni spłoszyło się w chaosie, inne stanęły dęba, jeden z ułanów spadł i dostał się pod kopyta, zewsząd rozległy się okrzyki i zmieszane nawoływania podoficerów. Rżenie koni, szczęk broni, wrzask ludzi oraz łomot kopyt zlały się niby w prawdziwej bitwie w ogłuszający hałas. Nadbiegający oficerowie stopniowo zdołali jako tako rozplatać kłęb ludzi i zwierząt, a na ostry sygnał trąb na nowo sformowane szwadrony zbiegły się znowu w wyciągnięty front. Zapanowała trwoźna cisza, a każdy z nas wiedział co teraz nastąpi. Konie drżały spienione jeszcze z przestachu, może odczuwając skrywane zdenerwowanie jeźdźców, długa linia hełmów, podobna do stalowego, wyciągniętego drutu telegraficznego, połyskiwała w lekkim wietrze. W owej ciszy pełnej niepokoju wyjechał przed front pułkownik. Po sposobie siedzenia w siodle (ze wzburzenia stał w strzemionach, uderzając szpicrutą po sztylpach) przeczuwaliśmy nadciągającą burzę. Krótko przyciągnął cugle i koń stanął. Przez cały plac, jak gdyby uderzenie toporem, rozległo się ostre wezwanie:

– Podporucznik Hofmiller!

Dopiero teraz zrozumiałem, w jaki sposób wszystko to się stało. Niewątpliwie ja sam wydałem błędny rozkaz – nie byłem dość skupiony, nie mogłem utrzymać myśli, zagarnęła mnie znowu moja straszliwa, głęboko denerwująca sprawa. Byłem więc winien całemu zamieszaniu i sam za nie musiałem odpowiadać. Lekko ścisnąłem konia łydkami i przed frontem kolegów, z zakłopotaniem odwracając oczy, na moim wałachu ruszyłem prosto do pułkownika stojącego bez ruchu w odległości trzydziestu kroków. Zatrzymałem się w przepisany dystansie. Poza mną zamarł wszelki szczęk i dźwięk. Na placu panowała owa martwa chwila ciszy, jak w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem, po której pada komenda: „Ognia!” Wszyscy, nawet najgłupszy ruski chłop w ostatnim szeregu, wiedzieli, co mnie czeka.

Nie mam ochoty przypominać sobie, co wówczas nastąpiło. Wprawdzie pułkownik umyślnie ściszył suchy, donośny głos, aby żołnierze nie dosłyszeli wulgarnych słów, skierowanych do mnie, jednak od czasu do czasu jakiś soczysty wyraz, podyktowany wściekłością – jak „bydłectwo” i „świńskie

komenderowanie” – wymykał mu się głośno, przecinając panującą ciszę. W każdym razie po sposobie, w jaki pieniał się na mnie czerwony jak rak, wyrzucając słowa urywanym głosem i podkreślając je gwałtownymi uderzeniami szpicruty po butach, każdy, nawet w ostatnim rzędzie musiał zrozumieć, że łaje mnie jak uczniaka. Czuję, że plecy moje przebija sto ciekawych i może ironicznych spojrzeń, a cholerycznie usposobiony dowódca zalewał mnie potokiem ordynarnych wyzwisk. Od długich miesięcy na żadnego z nas nie spadł taki grad łajañ, jaki dostał się właśnie mnie owego rozjaśnionego błękitem, wesołego dnia czerwcowego, pod lazurowym niebem przecinanym czarnymi, śmigającymi jaskółkami.

Ręce trzymające cugle drżały mi z niecierpliwości i obrazy. Miałem chęć wyrzucić konia po zadzie i galopem umknąć z placu ćwiczeń. Ale zgodnie z regulaminem musiałem bez ruchu, ze skamieniałą twarzą czekać, aż Bubencic zakończy swą litanię ostatnim energicznym stwierdzeniem, że takiemu marnemu fuszerowi nie pozwoli, aby mu zepsuł całe ćwiczenia. Jutro dowiem się, co postanowił, a dziś nie życzy sobie oglądać nadal mego oblicza. Potem ostre i suche jak kopnięcie, pogardliwe: „W tył zwrot!”, przy czym raz jeszcze szpicruta wyraziście uderzyła po cholewach.

Musiałem posłusznie przyłożyć rękę do hełmu; kiedy zawróciłem i odjechałem na miejsce, nie spotkało mnie ani jedno spojrzenie kolegów, którzy z zakłopotaniem kryli oczy w cień daszków. Wstydzili się za mnie lub może mi się tak wydawało. Na szczęście nowy rozkaz skrócił moją udrękę. Sygnał trąbki rozpoczął następne ćwiczenie i front rozpadł się na pojedyncze szwadrony. Z chwili tej skorzystał Ferenc – dlaczego najgłupszy są zarazem najpocziwsi? – aby podjechać do mnie niby przypadkowo i szepnąć:

– Nic sobie z tego nie rób! To się może każdemu zdarzyć! Ale pocziwiec źle się wybrał ze swą pociechą; grubiańsko rzuciłem mu:

– Bądź łaskaw troszczyć się o własne sprawy! – i brutalnie zwróciłem konia w inną stronę.

W owej sekundzie po raz pierwszy w życiu doświadczyłem na własnej skórze, że niezręcznie podaną litością można zranić. Po raz pierwszy i – za późno!

„Rzucić to wszystko, rzucić – myślałem, gdy powracaliśmy do miasta. – Wyjechać! Aby tylko wyjechać, wszystko jedno dokąd, gdzie nikt mnie nie zna, gdzie mogę być wolny od wszystkich i wszystkiego! Uciec, wymknąć się, skryć! Nie widzieć nikogo, nie pozwolić, aby mnie uwielbiano i aby mnie

poniżano!” U-ciec, u-ciec – nieświadomie słowo to przeszło w rytm kłusa. Przybywszy do koszar rzuciłem cugle jakiemuś ułanowi i szybko opuściłem podwórze. Nie chciałem siedzieć dzisiaj przy wspólnym oficerskim stole i pozwalać na drwinki, a jeszcze mniej na słowa współczucia.

Ale nie miałem dokąd pójść. Nie miałem żadnego celu: wyszedłem z obydwóch moich światów: i z wojskowego, i z... tamtego. Puls bił mi słowem „uciec”, wyraz ten uderzał w skroniach. Wszystko jedno dokąd, aby tylko z tych przeklętych koszar, z tego miasta. Trzeba przejść szkaradną, główną ulicą i wydostać się w pola! Lecz nagle ktoś z bliska krzyknął ku mnie serdecznie: „Serwus!” Mimo woli spojrzałem w tę stronę. Któż to kłania mi się tak przyjaźnie? Jakiś wysoki pan po cywilnemu, w bryczesach, szarej kurtce i szkockiej czapce. Nie widziałem go nigdy, a w każdym razie nie przypominałem go sobie. Stał obok samochodu, przy którym dwaj mechanicy w granatowych fartuchach zajęci byli naprawą. Widocznie zorientowawszy się w moim zakłopotaniu, nieznajomy zbliżył się do mnie. Był to Balinkay, którego widziałem dotąd wyłącznie w mundurze.

– Znowu ten katar pęcherza! – roześmiał się wskazując auto. – Zdarza mi się to w każdej podróży. Myślę, że minie chyba dobrych lat dwadzieścia, zanim będzie można z całym spokojem jeździć tymi pudłami. Lepsze były czasy, gdy się używało starych rumaków, na których się przynajmniej każdy z nas dobrze znał.

Mimo woli uczułem sympatię dla tego obcego człowieka. Z każdego jego ruchu biła pewność siebie, a w jasnym, ciepłym spojrzeniu malowała się lekkomyślność i żywotność. W tejże chwili po tym niespodzianym powitaniu przebiegła mi przez głowę błyskawiczna myśl: „Jemu można by się zwierzyć!” W drobnym ułamku sekundy, z szybkością, z jaką mózg nasz funkcjonuje w chwilach naprężenia, z pierwszej myśli wywiązał się już cały ich łańcuch. „Cywil, pan swojej woli! I on również przeżył jakieś ciężkie sprawy... Dopomógł szwagrowi Ferencego, każdemu chętnie pomaga, czemuż i mnie nie miałby pomocy tej okazać?” Zanim zdążyłem zaczerpnąć oddechu, raptowny a nie powiązany łańcuch szybkich skojarzeń splótł się w nagłą decyzję. Zebrałem odwagę i zbliżyłem się do Balinkaya.

– Wybacz – rzekłem podziwiając własną swobodę – czy nie mógłbyś poświęcić mi pięciu minut?

Zastanowił się przez moment, po czym ukazał połyskujące zęby:

– Ależ z największą chęcią, kochany Hof... Hof...

– Hofmiller – podpowiedziałem.

– Jestem do twojej dyspozycji. A cóż by to było, gdyby się nie miało czasu dla kolegi! Chcesz pójść do restauracji czy wolisz na górę do mego pokoju?

– Jeżeli ci wszystko jedno, to lepiej do ciebie i doprawdy... tylko na pięć minut. Nie będę cię długo zatrzymywał.

– Ależ jak długo chcesz! Reperacja potrwa co najmniej z pół godziny. Ale nie przypuszczaj, że ci będzie u mnie bardzo wygodnie. Wprawdzie gospodarz chciał mi dać elegancki pokój na pierwszym piętrze, ale przez sentyment biorę zawsze dawny. Kiedyś w nim... No, lepiej nie mówmy o tym!

Poszliśmy na górę. Rzeczywiście pokój, w którym zamieszkał człowiek tak bogaty, był zadziwiająco skromny. Jedno łóżko, bez szafy, bez fotela, a między stołem i łóżkiem stały dwa marne trzcinowe krzesła. Balinkay wyjął złotą papierośnicę; zaproponował mi papierosa i przyjaźnie ułatwił sprawę, zaczynając prosto z mostu:

– No, mój drogi, czym można ci służyć?

„Co tu długo owijać w bawełnę!” – pomyślałem i rzekłem wprost:

– Chciałbym cię prosić o radę. Chcę opuścić służbę i wyjechać z Austrii. Może miałbyś coś dla mnie?

Balinkay raptownie spoważniał. Twarz mu zeszywniała i odrzucił papierosa.

– Nonsens, taki chłopak jak ty? Co ci przyszło do głowy!

Ale mnie ogarnął nagle twardy upór. Czułem, że decyzja, o jakiej nie myślałem jeszcze przed dziesięcioma minutami, staje się we mnie mocna i nieugięta jak stal.

– Mój kochany – rzekłem krótko, przecinając wszelką dyskusję – bądź tak dobry i oszczędź mi wszelkich wyjaśnień. Każdy wie, czego chce i co powinien robić. Nikt inny nie może tego zrozumieć. Wierz mi, że powinienem postawić krzyż na wszystkim.

Balinkay spojrzał na mnie badawczo. Widocznie zauważył, że mówię poważnie.

– Nie mam zamiaru wtrącać się do twoich spraw, ale wierz mi, mój drogi, że popełniasz głupstwo. Nie wiesz, co robisz. Masz teraz, jak

przypuszczam, lat dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć i niezadługo zostałbyś porucznikiem. To w każdym razie coś znaczy. Masz tutaj stanowisko i jesteś kimś. Ale w chwili gdy zacząłbyś coś nowego, ostatni bydlak i najgłupszy subiekt byłby mądrzejszy od ciebie, chociażby dlatego, że nie taszczy ze sobą wszelkich naszych głupich przesądów jak balastu na plecach. Wierz mi, że gdy któryś z nas zdejmuje mundur, niewiele pozostaje w nim z tego, czym był, i dlatego proszę cię o jedno: nie łudź się jedynie dlatego, że akurat mnie się udało wyleźć z błota. Był to prawdziwy przypadek, zdarzający się raz na tysiąc, a za to chciałbym wiedzieć, co się dzieje z tymi wszystkimi, dla których Pan Bóg nie był tak dobry i nie podał im ręki.

W jego pewności siebie było coś przekonywającego, ale czułem, że nie mogę ustąpić.

– Wiem – potwierdziłem – wiem, że jest to zdeklasowanie. Ale wyjechać muszę i nie mam wyboru. Bądź więc łaskaw i nie staraj się mnie przekonywać, że mój zamiar jest niesłuszny. Wiem, że nie jestem kimś wybitnym i że niczego specjalnego się nie uczyłem, lecz gdybyś mnie chciał komuś polecić, przyrzekam, że nie zrobię ci wstydu. Wiem, że nie byłbym pierwszym, dałeś przecież posadę szwagrowi Ferencego.

– Jonaszowi? – pogardliwie machnął Balinkay ręką. – Ależ, proszę cię, czymże on był? Drobnym urzędniczkiem na prowincji. Takemu łatwo jest pomóc. Wystarczy, aby człowiek jego pokroju siedział na innym stołku i nieco wygodniej, a już mu się zdaje, że jest samym Panem Bogiem. Cóż to szkodzi, czy gdzie indziej będzie wysiadywał stołki; nie był przyzwyczajony do niczego lepszego. Ale wytrzasnąć coś dla człowieka, który nosił już gwiazdki na kołnierzu – tak, to coś zupełnie innego. Mój kochany, wszelkie górne piętra są zawsze pozajmowane. Kto chce zrobić karierę cywilną, musi zacząć od samego dołu, może nawet od piwnicy, gdzie nie pachnie samymi różami...

– Nic nie szkodzi.

Powiedziałem to widocznie bardzo gwałtownie, gdyż Balinkay spojrzał na mnie zrazu ciekawym, a potem jakimś dziwnie tępym spojrzeniem, jak gdyby powracającym z nieznanых dali. Wreszcie przysunął swój fotel i położył mi rękę na ramieniu.

– Słuchaj, chłopcze, nie jestem twoim opiekunem i nie mam prawa cię pouczać. Ale uwierz koledze, który dużo już przeszedł: przeciwnie, to bardzo dużo znaczy, gdy się tak raptownie spada z góry na dół, z oficerskiego

rumaka prosto w błoto... Mówię ci to jako ktoś, kto w tym nędznym, małym pokoju siedział kiedyś od dwunastej w południe do zmierzchu i wmawiał w siebie zupełnie tak samo jak ty, że „to nic nie znaczy”. Tuż przed wpół do dwunastej stanąłem do ostatniego raportu; nie chciałem więc już usiąść z innymi oficerami do wspólnego obiadu ani biegać po cywilnemu w biały dzień po ulicach. Wziąłem ten pokój – rozumiesz teraz, czemu zawsze do niego powracam – i czekałem, aż się ściemni, by nikt nie mógł z litością patrzeć, jak Balinkay w marnym paletku i meloniku opuszcza miasto. O tam, przy tym oknie stałem, właśnie przy tym oknie, i po raz ostatni spoglądałem na ożywiony ruch. Przechodzili koledzy, każdy w mundurze, wyprostowany, swobodny, z otwartym czołem, podobny do jakiegoś boga, świadom, kim jest i jakie zajmuje miejsce na świecie. Dopiero wtedy uczułem, że jestem zerem – wraz z mundurem zdarłem z siebie skórę. Naturalnie myślisz teraz, że to nonsens; jedno sukno może być granatowe, a inne czarne lub szare, i że właściwie wszystko jedno, czy się chodzi z szablą, czy z parasolem. Ale jeszcze do dziś pamiętam ten wstrząs, gdy w nocy, kiedy skradałem się w stronę dworca, spotkałem na rogu dwóch ułanów, którzy minęli mnie, a żaden nie zasalutował. A potem taszczyłem swoją walizeczkę do trzeciej klasy i zająłem miejsce między pocącymi się chłopami i robotnikami... Tak, wiem, że wszystko to jest głupie i niesprawiedliwe, a nasz tak zwany honor oficerski jest także sztucznym wytworem – ale po ośmiu latach służby i czterech latach korpusu kadetów przechodzi to w krew. Człowiek czuje się z początku jak okaleczony, jakby miał wrzód pośrodku twarzy. Niechże Bóg chroni, abys i ty musiał to przejść! Za nic na świecie nie chciałbym przeżyć jeszcze raz owego wieczora, gdy skradałem się ulicami do dworca, omijając szerokim kręgiem każdą latarnię. A przecież był to tylko początek.

– Ależ, Balinkay, przecież właśnie dlatego chcę dokądkolwiek wyjechać, gdzie nie ma tego wszystkiego i gdzie nikt o mnie nic nie wie.

– I ja tak samo, mój drogi, mówiłem, tak samo myślałem! Aby tylko wyjechać, aby wszystko zatrzeć za sobą, *tabula rasa!* Raczej w Ameryce być pucybutem albo pomywaczem, jak się to zawsze czyta w gazetach o wielkich milionerach. Ale i do tego trzeba mieć pieniądze, a nie masz pojęcia, czym dla człowieka naszego pokroju jest zginanie karku! Gdy stary ułan nie czuje już na szyi kołnierza z gwiazdkami, nie umie nawet przyzwoicie stać na nogach, a jeszcze mniej potrafi mówić inaczej, niż był dawniej przyzwyczajony. Siedzi wówczas wśród najlepszych przyjaciół otępiały i

zakłopotany, a gdy chce o coś poprosić, duma zamyka mu usta. Tak, tak, mój kochany, przeżyłem wtedy takie rzeczy, o których raczej wolę nie myśleć. Kompromitacje i poniżenia, o których z nikim jeszcze dotąd nie mówiłem.

Wstał i zrobił ramionami gwałtowny ruch, jak gdyby raptownie marynarka stała mu się za ciasna. Nagle odwrócił się do mnie.

– A zresztą tobie mogę to powiedzieć! Dzisiaj już się tego nie wstydzę, a tobie się może przyda, jeżeli w porę zgaszę romantyczne oświetlenie tej sprawy.

Usiadł i przysunął się do mnie.

– Prawdopodobnie opowiadano ci tę całą historię o moim zwycięskim polowie – prawda? – gdy poznałem moją żonę w Hotelu Shepherd? Wiem, że gadają o tym po wszystkich pułkach i że najchętniej kazaliby to wydrukować w podręcznikach szkolnych jako bohaterski czyn cesarsko-królewskiego oficera. Otóż sprawa wcale nie była tak chwalebna i jeden tylko szczegół jest w tej historii prawdziwy, a mianowicie, że poznałem moją żonę w owym hotelu. Ale w jaki sposób ją poznałem, to wiem tylko ja i ona, zaś ona nikomu jeszcze o tym nie opowiadała, a ja również się tym nie chełpię. Opowiadam ci to tylko dlatego, żebyś zrozumiał, iż oficerowi nie spadają pieczone gołąbki do gąbki... Więc krótko mówiąc, gdy poznałem moją żonę w owym hotelu, byłem w nim – ale nie przerażaj się! – byłem kelnerem na którymś piętrze, tak jest, mój kochany, zwyczajnym, skromnym kelnerem. Nie stałem się nim oczywiście z przyjemności, tylko przez głupotę i to nasze fatalne niedoświadczenie. W Wiedniu, gdzie mieszkałem w nędznym pensjonacie, poznałem współlokatora, Egipcjanina, który mi nablagował, że jego szwagier jest dyrektorem Royal Polo Club w Kairze, a jeżeli mu dam dwieście koron prowizji, może mi u niego wyrobić posadę trenera. Chodziło tam jakoby przede wszystkim o dobre wychowanie i pierwszorzędne nazwisko. Grałem w polo doskonale, a gaża, jaką mi wymienił, była świetna – w przeciągu trzech lat mógłbym sobie tyle zaoszczędzić, że miałbym możliwość pokusić się później o coś przyzwoitszego. Poza tym – Kair! Przecież to daleko, a przy grze w polo ma się do czynienia z ludźmi z dobrego towarzystwa. Zgodziłem się więc z zapalem. Nie chcę cię nudzić opowiadaniem, ilu klamek musiałem się czepiać i ilu wysłuchać zakłopotanych wykretów od tak zwanych starych przyjaciół, zanim zebrałem te paręset koron na przejazd i wyekwipowanie. W tak eleganckim klubie trzeba mieć przecież ubranie do konnej jazdy i frak, żeby się dobrze prezentować. Pomimo jazdy na międzypokładzie bardzo było krucho z

gotówką. W Kairze miałem jeszcze w kieszeni siedem piastrów, a gdy zadzwoniłem do Royal Poloclub, czarna gęba murzyńska wytrzeszczyła na mnie gały i powiedziała, że nie zna żadnego pana Efdopulosa i żadnego szwagra, że nie potrzeba trenera, a klub w ogóle ma być zlikwidowany. Domyślasz się, że ów Egipcjanin był oczywiście skończonym łajdakiem, który nabrał mnie, osła na dwieście koron, ja zaś nie byłem tak szchwany, aby żądać, by mi pokazał jakiegokolwiek listy albo telegram. Tak, tak mój drogi, nie znamy się na takich kanałach, a przecież nie po raz pierwszy wybrałem się na poszukiwanie posady. Tym razem jednak był to cios mocny, bo stałem teraz samotny w Kairze, nie znając nikogo, i miałem aż siedem piastrów w kieszeni, a jest to miasto, gdzie panuje nie tylko upał, ale i wściekła drożyzna. Oszczędzę ci wyznań, jak tam mieszkalem i co żarłem przez pierwsze sześć dni; sam się dziwię, że można takie chwile przeżyć. I widzisz, inny w takim wypadku poszedłby do konsulatu i żebrałby, aby go odesłano do domu, ale na tym polega cała rzecz, że człowiek naszego pokroju nie może się na to zdobyć. Nie potrafimy antyszambrować siedząc na ławce pospołu z robotnikami portowymi i zwolnionymi kucharkami, nie możemy znieść spojrzenia jakiegoś drobnego urzędniczyny w konsulacie, gdy przesyłabizuje w paszporcie: „Baron Balinkay”. Raczej zejść na psy! Wyobraź więc sobie, jakim szczęściem w tym pechu była przypadkowa wiadomość, że w Hotelu Shepherd potrzeba kelnera. A ponieważ miałem frak, i to frak nowy (z ubrania do konnej jazdy żyłem przez pierwsze dni), a mówiłem po francusku, wzięto mnie łaskawie na próbę. Ostatecznie wygląda to na pozór całkiem znośnie: stoi się we fraku i śnieżnobiałym gorsie, podaje się potrawy, kłania się gościom i robi honory domu... A mniejsza o to, że kelnerzy z pokoiów sypiają po trzech w mansardzie, tuż pod rozpalonym dachem, wśród milionów pcheł i pluskiew, że z rana myją się również po trzech w tej samej blaszanej misce... że człowieka krew zalewa, gdy mu wsuwają do ręki napiwek, i tak dalej, i tak dalej. Dość, że to przeżyłem, dość, że wytrzymałem!

A potem – ta historia z moją żoną. Była od niedawna wdową: z siostrą oraz szwagrem przyjechała do Kairu. Ow szwagier był najordynarniejszym drabem, jakiego sobie możesz wyobrazić; gruby, tłusty, nadęty, pyszałkowaty, a coś go we mnie irytowało. Może byłem na jego gust za elegancki, może nie dość nisko kłaniałem się temu mynheerowi, aż oto pewnego razu, gdy nie przyniosłem mu śniadania na ściśle oznaczoną minutę, krzyknął na mnie: „Ty durniu!”... Widzisz, gdy się było oficerem, tego rodzaju rzeczy wchodzi w krew; nie zdążyłem się zastanowić, gdy

przeszedł mnie wstrząs, jak konia niespodzianie zdartego uzda, wyprostowałem się i – doprawdy brakowało ułamka sekundy, a byłbym go wyrzwał pięścią w twarz. Ale opanowałem się resztką przytomności. Cała ta historia mojego kelnerstwa zawsze przypominała mi maskaradę, toteż – nie wiem, czy to zrozumiesz? – uczułem pewnego rodzaju sadystyczną uciechę, że akurat ja, Balinkay, muszę znieść takie chamstwo od tego gruboskórnego handlarza serów. Stałem więc spokojnie i tylko leciutko się uśmiechałem. Wiesz, patrzałem na niego tak z góry, z uśmieszkiem, aż drab zzieleniał ze złości, czując, że biorę nad nim górę. A potem chłodno wyszedłem z pokoju, złożony przed nim specjalnie ironiczny, a uprzejmy ukłon. O mało nie pękł z wściekłości! Ale była przy tym obecna moja żona, to znaczy moja dzisiejsza żona. Widocznie zrozumiała, co się między nami dwoma działo, i zorientowała się – przyznała mi się później – po sposobie, w jaki się wyprostowałem, że jeszcze nikt w życiu nie pozwolił sobie w stosunku do mnie nigdy na coś podobnego. Wybiegła za mną na korytarz ze słowami, że szwagier jej troszkę jest zdenerwowany i że nie powinienem się na niego obrażać. Spróbowała nawet – dowiedźże się całej prawdy, mój kochany – wsunąć mi w dłoń banknot, aby wszystko załagodzić.

Gdy ów banknot odrzuciłem, zrozumiała po raz drugi, że coś z tym moim kelnerstwem nie jest w porządku. Cała sprawa byłaby się na tym skończyła, bo przez kilka tygodni zebrałem sobie już tyle, że mogłem powrócić do domu nie żebrząc w konsulacie (poszedłem tylko raz jeden po jakąś wiadomość), ale na pomoc przyszedł mi przypadek, właśnie taki przypadek, jaki się zdarza raz wśród tysięcy razy. Oto przez przedpokój przechodził konsul, w którym poznałem naszego Elemera von Juhacz, z którym Bóg wie, ile razy siadywałem w Jockey Club. Uściskał mnie i natychmiast zaprosił do siebie. I znów przypadkowo – policz, przypadek plus przypadek, opowiadam ci to dlatego, abys wiedział, ile nieprzewidzianych przypadków musi się zebrać, by człowieka wyciągnąć z błota! – w klubie jego była moja dzisiejsza żona. Gdy Elemer przedstawił mnie jako swego przyjaciela, barona Balinkaya, zaczerwieniła się jak rak. Oczywiście poznała mnie natychmiast i przykro jej się zrobiło z powodu owej historii z napiwkami, natomiast ja ze swej strony wyczułem od razu, jaka to wytworna i szlachetna kobieta, gdy wcale nie udając, iż o niczym nie wie, szczerze i uczciwie przyznała się do swego nietaktu. Reszta ułożyła się nader szybko i nie będę ci już o tym opowiadał. Wierz mi jednak, że taki zbieg okoliczności nie powtarza się codziennie, a pomimo pieniędzy i pomimo mojej żony, za

którą rano i wieczorem tysiącrotnie Bogu dziękuję, nie chciałbym po raz drugi przeżyć tego, co przeżyłem.

Odruchowo wyciągnąłem do Balinkaya rękę.

– Dziękuję ci serdecznie, że mnie ostrzegłeś. Teraz jeszcze lepiej wiem, co mnie czeka. Ale daję ci słowo, że nie mam innego wyjścia. Czy rzeczywiście nie miałbyś dla mnie posady? Podobno prowadzisz duże interesy.

Balinkay przez chwilę milczał, potem westchnął współczująco.

– Biedaku, musieli ci dobrze zalać sadła za skórę! Nie bój się, nie będę wypytywał, sam przecież widzę aż nadto. Gdy przyjdzie tego rodzaju moment, nie pomoże ani namawianie, ani odmawianie. Trzeba po koleżeńsku pomóc, a że nie zaniedbam niczego, na to nie trzeba ci chyba specjalnych przysiąg. Ale słuchaj, mój kochany, tyle jednak masz rozsądku, że sobie nie wmawiasz, iż będę ci mógł u nas od razu pchnąć na najwyższy szczebel? W przyzwoitym interesie nie zdarzają się takie rzeczy, a wszystkich zirytowałyby, gdyby niespodzianie ktoś obcy przeskoczył inne stanowiska. Musisz zacząć od samego początku i możesz przez kilka miesięcy przesiedzieć w biurze nad głupią pisaniną, zanim będę mógł ci posłać gdzieś na plantację albo wyczarować dla ciebie coś innego. W każdym razie już ci powiedziałem, że jakoś to zrobię. Jutro oboje z żoną wyjeżdżamy, tydzień albo dziesięć dni pohulamy w Paryżu, a potem przez parę dni będziemy w Hawrze i w Antwerpii na inspekcji agentur. Ale za trzy tygodnie wrócę i napiszę do ciebie zaraz z Rotterdamu. Nie bój się – nie zapomnę! Na Balinkayu możesz polegać.

– Wiem – odparłem – i z góry ci dziękuję.

Ale widocznie wyczuł w moich słowach cień zawodu. Prawdopodobnie sam doświadczył podobnych chwil, bo tylko człowiek, który przeszedł życiowe cięgi, może dosłyszeć takie półtony.

– A może... może to dla ciebie za późno?

– Nie – zawahałem się ~ jeżeli jest to tylko coś pewnego, to nie. Ale... ale, oczywiście, byłoby mi przyjemniej, gdybyś...

Balinkay chwilę się zastanawiał.

– A nie miałbyś czasu dzisiaj? ... Bo widzisz, moja żona jest jeszcze w Wiedniu, a ponieważ firma należy do niej, a nie do mnie, więc powinna chyba wypowiedzieć swą decyzję.

– Owszem, naturalnie, że jestem wolny – odparłem szybko.

Przypomniało mi się, że pułkownik nie chciał przecież widzieć dzisiaj mojego „oblicza”.

– Brawo! Świetnie! Najmądrzej zrobisz, jeżeli pojedziesz razem ze mną tym gruchotem! Przy szoferze jest jeszcze jedno miejsce. Nie możesz siedzieć z tyłu, bo zaprosiłem także mojego starego przyjaciela barona Lajosa z rodziną. O piątej staniemy przed „Bristolem”, pomówię od razu z żoną i najważniejsza sprawa będzie załatwiona. Jeszcze mi nigdy nie odmówiła, jeżeli poprosiłem o coś dla kolegi.

Uścisnąłem mu rękę i zesliśmy ze schodów. Mechanicy zdjęli już fartuchy i auto stało gotowe do drogi, a w dwie minuty później pędziliśmy szosą w stronę Wiednia.

Szybki ruch ma coś oszalamiającego i upajającego zarówno duchowo, jak fizycznie; ledwo wyjechaliśmy z ulic w otwarte pola, gdy uczułem dziwną ulgę. Szofer jechał ostro. Drzewa i słupy telegraficzne pochylały się wstecz – jakby ukośnie zrąbywane – we wsiach domy zbiegały się w zamazany obraz, kamienie przydrożne niespodzianie białeły i natychmiast chowały się w mroku, zanim zdołałem odczytać na nich cyfrę. Po sile powietrza, gwałtownie uderzającego mi w twarz, czułem, że jedziemy w szalonym tempie. Jednak jeszcze większym podziwem przejmowała mnie świadomość szybkości, z jaką pędziło jednocześnie moje własne życie. Ileż w ciągu tych kilku godzin zmieniło się i rozstrzygnęło! Pomiedzy zuchwałym pragnieniem, zarysowującym się zamiarem a ostatecznym wykonaniem wahają się zazwyczaj niezliczone odcienie najrozmaitszych uczuć, zaś igranie decyzją, zanim się ją świadomie urzeczywistni, należy do tajemnych rozkoszy serca. Jednak tym razem spadło na mnie wszystko ze zbyt nieprawdopodobną szybkością. Wsie i drogi, drzewa i łąki roztapiały się za huczącym autem w nicość bezpowrotną, zaś to, co nazywałem codziennym życiem: koszary, kariera, koledzy, Kekesfalwowie, ich pałac, mój pokój, plac ćwiczeń, moja cała pozornie tak pewna i uregulowana egzystencja – wszystko to umykało teraz raptownie wstecz jak droga po bokach auta.

O wpół do szóstej stanęliśmy przed hotelem „Bristol”. Byliśmy wprawdzie oszołomieni i zakurzeni, ale jednak dziwnie odświeżeni szalonym tempem jazdy.

– Nie możesz taki brudny iść do mojej żony! – roześmiał się Balinkay patrząc na mnie. – Wyglądasz przecież, jakby wysypano na ciebie worek

małki! I może w ogóle będzie lepiej, jeżeli pomówię z nią najpierw sam. Mogę być wówczas swobodniejszy, a tobie zaoszczędzę pewnego skrępowania. Najlepiej zrobisz, jeżeli pójdziesz do garderoby, gruntownie się umyjesz i usiądziesz w barze. Przyjdę za parę minut i powiem ci, co zrobiłem. A nie martw się z góry! Nakręcę wszystko według twego życzenia.

Rzeczywiście nie kazał mi zbyt długo na siebie czekać. Po chwili wszedł uśmiechnięty.

– No, nie powiedziałem? Wszystko w porządku, to znaczy, o ile się zgodzisz. Czas do namysłu masz nieograniczony, a wymówić możesz w każdej chwili. Moja żona to naprawdę rozumna kobieta i wymyśliła najlepsze rozwiązanie. A więc skierowany będziesz od razu na statek, żebyś się nauczył języków i mógł wszystko na miejscu obejrzeć. Dostaniesz miejsce asystenta kasjera, ubierzemy cię w mundur, będziesz jadał przy stole oficerskim, przejedziesz się parę razy tam i z powrotem do Indii Holenderskich i będziesz pomagał w pisaninie. A potem damy ci tutaj albo tam – jak będziesz wolał – jakieś stanowisko. Moja żona dała mi na to słowo.

– Dzięku...

– Nie ma za co! Przecież to zupełnie zrozumiałe, że ci chcę irochę pomóc. Ale powtarzam raz jeszcze: nie rób nic bez namysłu! Jeżeli chcesz, możesz pojechać do biura chociażby pojutrze i zameldować się u dyrektora, którego telegraficznie na wszelki wypadek zawiadomię, żeby sobie zanotował twoje nazwisko. Naturalnie lepiej by jednak było, żebyś się przespał i gruntownie sprawę przemyślał. Wolałbym cię widzieć w pułku. Ale *chacun à son goût*. Więc ustaliliśmy: jeżeli przyjedziesz, no to będziesz, a jeżeli nie, to nie podamy cię do sądu... Więc – wyciągnął do mnie rękę – tak czy inaczej, jakkolwiek by się stać miało, cieszę się szczerze, żeś się do mnie zwrócił. Serwus!

Patrzałem rzeczywiście wzruszony na tego człowieka, którego mi los zesłał. Swą przedziwną serdecznością zdjął mi z serca najcięższe kłopoty, prośby i wahania oraz dręczące napięcie przed ostateczną decyzją. Pozostawała mi teraz jedna jedyna formalność – napisanie prośby o zwolnienie z wojska – i byłem wolny, uratowany!

Tak zwany papier kancelaryjny, arkusze przepisowo co do milimetra wymierzone podług oznaczonego formatu, był w austriackim zarządzie cywilnym oraz wojskowym może najbardziej nieodzownym rekwizytem. Każda prośba, każdy akt, każdy meldunek musiał być podawany na owym

przepisowym papierze, którego indywidualna forma wyróżniała wszystkie dokumenty urzędowe od prywatnych. Według tych milionów i miliardów kartek leżących w kancelariach może kiedyś będzie można z całą dokładnością odcyfrować historię życia i cierpienia monarchii habsburskiej. Nie brano pod uwagę żadnej wiadomości, jeżeli nie została podana na owym przepisowym, białym prostokącie. Toteż pierwszym moim zakupem były dwa takie arkusze i tak zwane rygi, liniowany arkusz do podkładania, oraz właściwa koperta. Poszedłem szybko do kawiarni, gdyż w wiedeńskiej kawiarni załatwia się wszystko, rzeczy najpoważniejsze i najzabawniejsze. Za dwadzieścia minut, o szóstej, podanie mogło już być gotowe, a wówczas stawałem się człowiekiem wolnym, zależnym tylko od siebie.

Z niesamowitą dokładnością – chodziło przecież o najważniejszą decyzję w całym moim dotychczasowym życiu – przypominam sobie każdy szczegół tych denerwujących chwil przy małym, okrągłym, marmurowym stoliku, w oknie kawiarni przy Ringstrasse. Przypominam sobie tekę, na której rozłożyłem arkusz, pamiętam nóż, jakim ostrożnie papier wygładziłem, aby nie było żadnego załamania. Jeszcze dzisiaj z fotograficzną dokładnością widzę ciemnognatowy, nieco wodnisty kolor atramentu i czuję lekki wstrząs, jaki mnie przeszedł, gdy stawiałem pierwsze okrągłe litery tego patetycznego pisma. Pragnąłem właśnie tę ostatnią wojskową czynność spełnić ze specjalną dokładnością; ponieważ treść ustanowiona była z góry w formułce, mogłem uroczystość aktu zaznaczyć tylko specjalnie starannym i pięknym pismem.

Ale już przy pierwszych wierszach zadumałem się głęboko. Zatrzymałem się i zacząłem sobie wyobrażać, co się będzie jutro działo, gdy moje podanie przyjdzie do kancelarii pułkowej. Prawdopodobnie spotka je najpierw zdumione spojrzenie sierżanta, a potem zdziwiony szept pisarzy, bo przecież takie porzucanie szarży przez podporucznika nie należy do codziennych wydarzeń. Później arkusz pobiegnie drogą urzędową z pokoju do pokoju, aż dotrze do samego pułkownika. Zobaczyłem go nagle jak żywego: na krótkowzrocznych oczach miał binokle, zastanawiał się nad pierwszymi słowami mego podania i wreszcie w swój zwykły, gwałtowny sposób rąbnął pięścią w stół. Brutalny jegomość był przyzwyczajony, że jego podwładni, których obrzucał zazwyczaj gradem wyzwisk, lizali mu uszczęśliwieni stopy, gdy następnego dnia dał im jakimś żartobliwym słówkiem do zrozumienia, że burza minęła. Ale tym razem musi pojąć, że trafiła kosa na kamień i że owym kamieniem jest nic nie znaczący

podporucznik Hofmiller, który nie pozwoli, aby go łajano. A potem, gdy rozejdzie się wieść, że poprosiłem o dymisję, dwadzieścia, a może czterdzieści głów mimo woli podniesie się ze zdziwieniem. Każdy z kolegów pomyśli: „Ach, do diaska, to ci chłop! Ten sobie nie da w kaszę dmuchać!” Hm, dla pana pułkownika Bubencka może to być bardzo nieprzyjemne – w każdym razie nikt jeszcze nie wyszedł z jego pułku z takim honorem. Nikt jeszcze, o ile sobie przypominam, w równie przyzwoity sposób nie wydostał się z tarapatów.

Nie wstydzę się przyznać dzisiaj, że owe myśli wzbudziły we mnie uczucie dziwnego zadowolenia. Najmocniejszym motorem we wszystkich poczynaniach jest przecież ambicja, a zwłaszcza natury słabsze ulegają pokusie, aby uczynić coś, co wywrze wrażenie siły, odwagi i zdecydowania. Po raz pierwszy miałem sposobność dowieść kolegom, że jestem człowiekiem, którego należy szanować, chłopem na schwał. Coraz szybciej – jak sądziłem – coraz energiczniej pisałem owe dwadzieścia linijek. Sprawa, która zrazu wydawała mi się przykrą koniecznością, stawała się teraz rozkoszą.

Jeszcze tylko podpis i wszystko będzie skończone! Spojrzałem na zegar: wpół do siódmej. Trzeba zawołać kelnera i zapłacić, potem jeszcze raz, po raz ostatni, przespacerować się w oficerskim mundurze po Ringstrasse i nocnym pociągiem wrócić do domu. Z rana oddam pismo, aby nic nie można już było odwołać, i rozpocznie się dla mnie inna egzystencja.

Złożyłem arkusz wzdłuż, potem w poprzek, zamierzając ważny dokument schować troskliwie w kieszeni na piersiach. W tej chwili nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Oto stała się rzecz następująca: w owym ułamku sekundy, gdy pewny siebie i nawet zadowolony (każde załatwienie sprawy sprawdza zadowolenie) wsuwałem dość sporej objętości kopertę do kieszeni, uczułem w niej szeleszczący opór. „Cóż to jest?” – pomyślałem i mimo woli wsunąłem rękę głębiej. Ale w tejże chwili palce moje cofnęły się, jak gdyby pojęły wcześniej, zanim zdążyłem sobie wszystko przypomnieć – to były listy Edyty, jej dwa listy wczorajsze, pierwszy i drugi.

Nie potrafię opisać uczucia, jakiego doznałem na to niespodziane przypomnienie. Zdaje mi się, że nie było to przerażenie, lecz raczej bezgraniczny wstyd. Rozwiała się mgła – czy raczej pewne otumanienie – i pojąłem błyskawicznie, że wszystko, co uczyniłem i o czym myślałem w ciągu tych ostatnich godzin, było najzupełniej błędne: irytacja z powodu

ośmieszenia się i duma z bohaterskiego zamiaru opuszczenia służby. Jeżeli zamierzałem tak niespodziewanie zemknąć, nie było to przecież dlatego, że pułkownik mnie zwymyślał. (Zdarzało się to ostatecznie co tydzień!). W rzeczywistości bałem się Kekesfalwów, lękałem się własnego oszustwa, własnej odpowiedzialności. Chciałem uciec, bo nie mogłem znieść, by mnie kochano wbrew mojej woli. Jak śmiertelnie chory, który dzięki przypadkowemu bólowi zębów zapomina o właściwym, a dręczącym go cierpieniu, tak i ja zapomniałem (lub chciałem zapomnieć) o prawdziwej przyczynie udręki, o tym, co było powodem, że stałem się tchórzem, że chciałem uciec. Starłem się mało znaczące niepowodzenie na placu ćwiczeń wysunąć jako główny motyw, zmuszający mnie do zażądania dymisji. Ale teraz przejrzałem – nie był to odważny czyn, podyktowany zranioną ambicją, lecz tchórzliwa, nędzna ucieczka.

Jednak rzecz dokonana ma zawsze swą wymowę. Teraz, gdy prośbę o zwolnienie z wojska już napisałem, nie chciałem zdementować samego siebie. „Cóż u diabła – rzekłem sobie z gniewem – może mnie obchodzić, że ta dziewczyna siedzi, czeka i beczy! Dosyć się przez nią nazłościłem, dość mi w myślach sprawiła zamęt. Co mnie to obchodzi, że kocha mnie obcy człowiek. Ma milionowy majątek, znajdzie sobie kogoś innego, a jeżeli jej się to nie uda, to i tak wszystko mi jedno! Dość, że rzucam wszystko, że zdejmuję mundur. Cóż mnie obchodzi cała ta sprawa wyzdrowienia czy niewyzdrowienia dziewczyny? Przecież nie jestem lekarzem...”.

Lecz w chwili gdy wypowiedziałem w duchu słowo „lekarz”, wszystkie moje myśli stanęły raptownie jak rozpedzona maszyna, która zatrzymuje się na dany sygnał. Ujrzałem w wyobraźni Condora. „To jego sprawa, to jego rzecz! – powiedziałem sobie natychmiast. Za to mu płacą, aby chorą leczył. To jego pacjentka, a nie moja, niechże wypije, co nawarzył. Najlepiej zrobię, gdy od razu do niego pójde i wyjaśnię mu, że wycofuję się z tej gry”.

Spojrzałem na zegar: trzy na siódmą, a pociąg pospieszny odchodził dopiero po dziesiątej. Pozostało więc dość czasu, bo niewiele miałem do wyjaśnienia; parę słów, że na moją osobę nie może liczyć. Ale gdzie on mieszka? Czy mi nie powiedział, czy może zapomniałem? Zresztą jako praktykujący lekarz powinien być wymieniony w książce telefonicznej – trzeba zatem szybko pobiec do kabiny i poszukać w spisie! Be... Bi... Bu... Co...o, już mam: Condor Antoni, kupiec... Condor E., dr med. Florianigasse 97. Nie ma innego na całej stronicy, więc to chyba ten, którego szukam. Wybiegając powtórzyłem w pamięci jeszcze kilkakrotnie adres – nie miałem

ołówka, bo wszystko zapomniałem w tym zabójczym pośpiechu – przywołałem najbliższą dorożkę i kołysząc się na miękkich, gumowych kołach układałem po drodze plan. Miałem zamiar krótko i energicznie powiedzieć mu wszystko. Aby tylko nie sprawiać wrażenia, że się waham! Nie nasunąć mu nawet cienia przypuszczenia, że zmykam przed Kekesfalvami; z góry postawić kwestię dymisji jako fakt dokonany. Powiem mu, że sprawa była w toku od miesiący, lecz dopiero dzisiaj otrzymałem wyśmienitą posadę w Holandii, a jeżeli by jeszcze wypytywał, odmówię wyjaśnień i nie powiem nic więcej. Ostatecznie i on także nie zdradził mi wszystkiego. Trzeba wreszcie skończyć z tymi wiecznymi względami w stosunku do innych.

Dorożka stanęła. Czyżby dorożkarz omylił się? Albo może w pośpiechu podałem błędny adres? Czyżby Condor mieszkał tak nędznie? Przecież u samych Kekesfalwów musi zarabiać szalone sumy, a w takim baraku nie mieszka chyba lekarz jego pokroju! Lecz nie, jednak tu mieszka, bo w sieni wisi szyldzik: „Doktor Emmerich Condor, drugie podwórze, III piętro. Od 2-ej do 4-ej”. Od drugiej do czwartej, a teraz już siódma. W każdym razie można z nim chyba pomówić. Szybko zapłaciłem dorożkarzowi i przeszedłem przez źle wybrukowane podwórze. Jakież marne, kręcone schody, stopnie wydeptane, ściany porysowane, z odpadającym tynkiem, zapach ubogiej kuchni i źle pozamykanych klozetów, kobiety w brudnych szlafrokach, rozmawiające w korytarzach i nieufnie przyglądające się oficerowi kawalerii, który, nieco zmieszany, z dźwiękiem ostróg mija je w półmroku.

Wreszcie stanąłem na trzecim piętrze w długim korytarzu; na prawo i na lewo drzwi, czworokąt trzecich drzwi bielił się pośrodku. Właśnie chciałem wyjąć z kieszeni zapalniczki, aby stwierdzić, gdzie mam zadzwonić, gdy z lewej strony wyszła dość niechlujnie ubrana służąca, z pustym dzbankiem w rękę, idąca prawdopodobnie po piwo do kolacji. Spytałem o doktora Condora.

– Tak, mieszka tutaj – odrzekła czeskim akcentem – ale nie ma go w domu. Pojechał do chorego i niedługo wróci. Powiedział pani, że na pewno będzie z powrotem na kolację. Niech pan wejdzie i poczeka.

Nie dała mi się zastanowić i wprowadziła mnie do przedpokoju.

– Niech pan się rozbierze – wskazała stary wieszak, jedyny przedmiot w małym ciemnym pokoju, po czym otworzyła drzwi do poczekalni umeblowanej nieco pokaźniej: cztery czy pięć foteli stało wokoło stołu, a lewa ściana była pełna książek.

– Niech pan siądzie – zaproponowała mi łaskawie jeden z foteli.

Zrozumiałem natychmiast, że praktyka Condora składa się widocznie z biedoty; pacjenci bogaci bywają przyjmowani inaczej. „Dziwny człowiek, dziwny człowiek – pomyślałem znowu. – Przecież gdyby chciał, mógłby się wzbogacić wyłącznie na Kekesfalvach”.

Przygotowałem się do czekania. Było to zwykle nerwowe wyczekiwanie w przedpokoju lekarza, gdy nie czytając przerzuca się zniszczone stare pisma, aby oszukać własną niecierpliwość pozorem zajęcia, gdy wstaje się, by znów usiąść i znów spojrzeć na zegar tykający w kącie pokoju zaspanym wahadłem: siódma dwanaście, siódma czternaście, szesnaście... Jak zahipnotyzowany patrzyłem ciągle na klamkę w drzwiach prowadzących do gabinetu doktora. Przesiadłem się już dwa razy z fotela na fotel, wstałem więc i zbliżyłem się do okna. Na dole w podwórzu jakiś stary, kulawy człowiek, prawdopodobnie posłaniec, oliwił koła ręcznego wózka; za oświetlonymi kuchennymi oknami jedna kobieta prasowała, a druga kąpała małe dziecko w balii. Na którymś piętrze – nie mogłem stwierdzić gdzie, ale prawdopodobnie było to tuż nade mną lub pode mną – ktoś grał gamy, ciągle te same, ciągle te same. Znów spojrzałem na zegar: siódma dwadzieścia pięć, siódma trzydzieści. Dlaczego Condor nie przychodzi? Nie mogłem i nie chciałem dłużej czekać! Czułem, że tracę pewność siebie, że staję się bezradny.

Wreszcie odetchnąłem, gdy w sąsiednim pokoju zatrzasnęły się drzwi. Stałem skupiony powtarzając sobie, że muszę zachować swobodną postawę. Miałem zamiar powiedzieć mu, iż wstąpiłem po drodze, żeby się pożegnać i poprosić go, aby pojechał wkrótce do Kekesfalvów, a gdyby podejrzewali coś złego, wytłumaczył im, że musiałem rzucić wojsko i wyjechać do Holandii. Wielki Boże, czemuż naraża mnie ten człowiek na tak długie czekanie! Słyszałem wyraźnie, że w sąsiednim pokoju przesunięto krzesło. Czyżby to głupie popychadło mnie nie zaanonsowało?

Już chciałem wyjść i przypomnieć się dziewczynie, gdy nagle stanąłem zrozumiawszy, że nie mógł to być Condor. Znałem jego chód; pamiętałem dokładnie z owej nocy, gdy mu towarzyszyłem, że ma krótkie nogi, oddycha astmatycznie i stąpa ciężko, niezdarnie, a buty ma skrzypiące – natomiast kroki, stale zbliżające się lub oddalające, były zupełnie inne, wahające się, sunące niepewnie. Nie wiedziałem, czemu tak mnie zdenerwowały i czemu przysłuchiwałem się im z takim naprężeniem. Zdawało mi się jednak, że ów człowiek w sąsiednim pokoju z taką samą niepewnością i niepokojem

nasłuchuje moich ruchów. Wreszcie rozległ się przy drzwiach lekki szelest, jak gdyby ktoś naciskał lub bawił się klamką; rzeczywiście lekko się poruszyła. W zapadającym zmierzchu błysnęła sztabka mosiądzu i drzwi otworzyły się tworząc wąską, czarną szparę. „Może to przeciąg, może tylko wiatr – powiedziałem sobie – bo normalny człowiek nie otwiera drzwi w tak ostrożny sposób, chyba włamywacz w nocy”. Ale szpara stopniowo się rozszerzała. Widocznie od wewnątrz czyjaś ręka powoli odsuwała drzwi i dostrzegłem wreszcie wśród zmroku zarys ludzkiej postaci. Patrzyłem w nią jak urzeczony, gdy nagle odezwał się nieśmiały głos kobiety:

– Jest tam... jest tu ktoś?

Nie mogłem wydobyć słowa z gardła, gdyż od razu zorientowałem się, że tylko człowiek niewidomy może w ten sposób chodzić i pytać. Jedynie ślepi chodzą pociągając w ten sposób nogami, tylko oni stąpają tak ostrożnie i cicho, tylko oni mają ten niepewny ton w głosie. I w tejże chwili olśniło mnie przypomnienie: czyż Kekesfalva nie mówił, że Condor ożenił się z niewidomą? Widocznie była to ona. Tylko ona mogła stać w półotwartych drzwiach, pytać i nie dostrzegać mej obecności. Z wysiłkiem wpatrzyłem się w mrok, by dojrzeć zarys jej postaci, i rozróżniłem wreszcie w ciemnościach szczupłą kobietę w szerokim szlafroku, z siwymi, nieco potarganymi włosami. Och, Boże, ta niepowabna, nieładna kobieta jest jego żoną! Jakie to straszne, gdy patrzą na człowieka te całkowicie martwe źrenice i ma się świadomość, że go nie widzą. Po sposobie, w jaki nieszczęsna podniosła teraz głowę nasłuchując, zorientowałem się, jak wysila wszystkie zmysły, aby w niewidzialnym dla niej pokoju wyczuć obcego człowieka; napięcie wykrzywiło jej duże, ciężkie usta w jeszcze brzydszą linię.

Przez sekundę stałem oniemiały. Wreszcie podniosłem się i ukloniłem – tak jest, ukloniłem się, jakkolwiek kłanianie się ociemniałej było przecież nonsensem! – i wyjąkałem:

– Czekam... czekam tu na pana doktora.

Otworzyła całkiem drzwi, trzymając się lewą ręką klamki, jak gdyby szukała oparcia w tym ciemnym pokoju. Wreszcie ruszyła naprzód, brwi nad zgasłymi oczami zbiegły się surowo i głosem zupełnie innym, twardym i szorstkim, powiedziała gwałtownie:

– Już po godzinach przyjęć. Gdy mój mąż wróci do domu, musi wpierw coś zjeść i odpocząć. Nie może pan przyjść jutro?

Twarz jej za każdym słowem stawała się coraz bardziej niespokojna i widać było, że niewidoma ledwo się może opanować. „Histeryczka – pomyślałem natychmiast – i nie należy jej drażnić”. Toteż znowu ukłoniwszy się niepotrzebnie wyjąkałem:

– Przepraszam szanowną panią... ale naturalnie wcale nie miałem zamiaru prosić pana doktora tak późno o poradę. Chciałem tylko podzielić się z nim wiadomością... chodzi tu o jedną z jego chorych.

– Jego chorzy! Ciągłe jego chorzy! – gorzki ton zmienił się w płaczliwy. – Dziś w nocy przysłano po niego o wpół do drugiej, a z rana wyszedł o siódmej i po godzinach przyjąć jeszcze nie wrócił. Nie dacie mu spokoju, dopóki sam się nie rozchoruje. Ale dość tego! Już jest, jak panu powiedziałam po godzinach przyjąć. O czwartej chorych się nie przyjmuje. Niech pan napisze, o co panu chodzi, a jeżeli to bardzo pilne, niech pan idzie do innego doktora. Dość jest lekarzy w mieście, na każdym rogu mieszka po czterech.

Zbliżyła się, ja zaś jak gdybym czuł się winny, cofnąłem się przed tą gniewną, wzburzoną twarzą, w której szeroko otwarte oczy zabłyszczały nagle jak oświetlone, białe kule.

– Powiedziałam już, żeby pan sobie poszedł! Niech pan idzie! Dajcież mu jeść i spać jak każdemu innemu człowiekowi! Czemu tak się go czepiacie? W dzień i w nocy, przez cały czas tylko chorzy i chorzy. Męczy się ze wszystkimi, a wszystko na próżno. Czujecie, że jest słaby, i dlatego wieszacie się na nim, tylko na nim... Ach, jacyż wy wszyscy jesteście niegodziwi! Tylko wasze choroby, tylko wasze troski – nic innego was nie obchodzi. Ale dość tego – nie pozwolę! Niech pan idzie, powiedziałam już panu, niech pan sobie idzie! Niech mu pan da spokój chociaż przez tę jedną godzinę wieczorem!

Zbliżyła się do stołu. Instynktownie wyczuła, w którym mniej więcej miejscu stoję, bo oczy jej wpatrzone były prosto we mnie, jak gdyby mogły coś widzieć. W jej gniewie było tyle prawdziwej, a zarazem chorobliwej rozpacz, że mimo woli uczułem zawstydzenie.

– Oczywiście, proszę pani – rzekłem pojednawczo. – Zgadzam się całkowicie, że pan doktor musi mieć spokój... toteż nie będę dłużej przeszkadzał. Może jednak pani pozwoli, abym zostawił dla niego parę słów lub może za pół godziny zatelefonował.

– Nie! Nie! – wykrzyknęła niewidoma z rozpaczą. – Niech pan nie telefonuje! Dzwonią tu przez cały dzień, wszyscy od niego czegoś chcą, wszyscy skarżą się na coś i wypytyują! Z ostatnim kęsem w ustach zrywa się od obiadu. Niech pan przyjdzie jutro w godzinach przyjęć, jak powiedziałam. To z pewnością nic pilnego. On także ma prawo do spokoju. A teraz dosyć! Powiedziałam: niech się pan wynosi!

Z zaciśniętymi pięściami, stąpając niepewnie, ruszyła na mnie. Sytuacja była wstrząsająca. Miałem uczucie, że za chwilę niewidoma chwyci mnie w swe wyciągnięte ręce, ale w tym momencie stuknęły drzwi od sieni i głośno trzasnął zamek – wracał Condor. Ślepa kobieta stanęła nasłuchując. Rysy jej zmieniły wyraz, ciało zaczęło drżeć, a ręce przed sekundą ściśnięte w pięści nagle złożyły się błagalnym gestem.

– Niech pan go teraz nie zatrzymuje – szepnęła. – Niech pan z nim teraz nie mówi! Z pewnością jest zmęczony, bo przez cały dzień biegał po mieście... Proszę, niech pan ma wzgląd na niego. Niech pan się zli...

W tej chwili drzwi się otworzyły i Condor wszedł do pokoju. Bezsprzecznie na pierwszy rzut oka pojął sytuację, ale nawet na sekundę nie stracił panowania nad sobą.

– Ach, zabawiałaś pana porucznika! – rzekł w ów jowialny sposób, którym pokrywał zazwyczaj zdenerwowanie, wiedziałem o tym już od dawna – to ładnie z twojej strony, Klaro.

Zbliżył się do niewidomej i łagodnie przesunął ręką po jej siwych, zwichrzonych włosach. Pod jego dotykiem zmienił się całkowicie wyraz jej twarzy. Lęk, który przed chwilą wykrzywił jej duże, ciężkie usta, ustąpił pod wpływem tej lekkiej pieszczoty i zaledwie wyczuła jego bliskość, ślepa zwróciła się do niego bezradnie, zawstydzona, z uśmiechem nieomal narzeczeńskim. Jej kanciaste czoło zajaśniało czysto i jasno w refleksie światła. Nie potrafię opisać tego wyrazu nagłego upojenia i pewności po tak gwałtownym wybuchu. Pod wpływem szczęścia, że czuje obecność męża, widocznie zapomniała o mnie zupełnie. Jej ręka jakby magnetycznie pociągana wyprostowała się w powietrzu i szukające palce natrafiwszy na marynarkę doktora zaczęły głaskać jego ramię. Rozumiejąc, że całe jej ciało szuka jego bliskości, Condor przysunął się do niej, a niewidoma przytuliła się do niego jak człowiek całkowicie wyczerpany, szukający odpoczynku. Z uśmiechem objął ją ramieniem i powtórzył nie patrząc na mnie:

– Jak to ładnie z twojej strony, Klaro! – W głosie jego brzmiała pieszczota.

– Wybacz – zaczęła pokornie – ale chciałam temu panu wytłumaczyć, że musisz wpierw coś zjeść, bo chyba jesteś strasznie głodny. Przez cały dzień biegasz po mieście, a telefonowano tu do ciebie z piętnaście razy... Nie gniewaj się, że powiedziałam temu panu, żeby przyszedł jutro, ale...

– Tym razem, moje dziecko – roześmiał się przesuwając ręką po jej włosach (zrozumiałem, że robi to po to, aby jego śmiech nie uraził jej) – tym razem omyliłaś się gruntownie. Ten pan, pan porucznik Hofmiller, nie jest na szczęście pacjentem, tylko przyjacielem, który od dawna przyrzekł, że mnie odwiedzi, gdy przyjedzie do miasta. Bywa wolny tylko wieczorem, bo w dzień ma służbę. Pozostaje teraz pytanie najważniejsze, czy masz i dla niego coś dobrego na kolację?

Jej rysy sprężyły się bojaźliwie i pojąłem po impulsywnym przest్రachu, że chciała być sama z tak długo oczekiwanym mężem.

– Och, nie, dziękuję – wymówiłem się szybko. – Muszę zaraz wracać i nie mogę spóźnić się na nocny pociąg. Chciałem tylko oddać pozdrowienia, a mogę to załatwić w parę minut.

– Czy wszystko tam w porządku? – spytał doktor, badawczo patrząc mi w oczy. Widocznie musiał dostrzec, że coś jednak w porządku nie było, gdyż szybko dodał: – A więc, kochany panie, moja żona wie lepiej ode mnie, czego mi potrzeba. Jestem rzeczywiście okropnie głodny i dopóki nie zjem kolacji i nie zapalę cygara, nie będzie pan miał ze mnie pociechy. Jeżeli chcesz, Klaro, pójdziemy teraz oboje coś zjeść i poprosimy pana porucznika, żeby tymczasem zaczekał. Dam mu jakąś książkę albo niech sobie wypocznie, pewno ma pan za sobą ciężki dzień? – zwrócił się do mnie. – Wrócę tu do pana z cygarem, w pantoflach i szlafroku. Nie będzie pan wymagał ode mnie wytwornej toalety, panie poruczniku, prawda?...

– A ja posiedzę najwyżej dziesięć minut, niech się szanowna pani nie obawia... muszę spieszyć na kolej.

Kilka tych słów rozjaśniło znowu jej twarz. Zwróciła się do mnie prawie przyjaźnie.

– Jaka szkoda, że nie chce pan zjeść z nami, panie poruczniku. Ale mam nadzieję, że nas pan jeszcze odwiedzi.

Wyciągnęła do mnie rękę bardzo delikatną, wąską, już trochę przekwitłą i pomarszczoną. Pocałowałem ją z szacunkiem. Ze szczerym podziwem patrzyłem, jak Condor ostrożnie prowadzi niewidomą do drzwi, zręcznie pilnując, aby się z lewej lub prawej strony o nic nie potknęła. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby trzymał w rękach coś niewypowiedzianie łamliwego i kosztownego.

Przez dwie czy trzy minuty drzwi pozostawały otwarte i słyszałem oddalające się posuwiste kroki, a potem Condor jeszcze raz wrócił. Twarz jego była czujna i skupiona wbrew poprzedniemu wyrazowi – znałem ten objaw dużego, wewnętrznego napięcia. Niewątpliwie zrozumiał, że bez naglącego powodu nie byłbym wpadł do jego domu nie zapowiedziany.

– Przyjdę za dwadzieścia minut i wówczas szybko wszystko omówimy. Najlepiej będzie, jeżeli się pan tymczasem położy na sofie albo wyciągnie tutaj w fotelu. Nie podoba mi się pan, kochany poruczniku, wygląda pan na straszliwie znużonego, a przecież musimy obaj być rześcy i skoncentrowani.

I zupełnie innym tonem dodał głośno, aby go usłyszano w trzecim pokoju:

– Zaraz, Klaro, zaraz idę. Dałem tylko panu porucznikowi książkę, żeby się nie nudził.

Doświadczonym wzrokiem Condor dobrze ocenił mój stan. Dopiero teraz, gdy sam mi to powiedział, uczułem, jak straszliwie jestem przemęczony nie przespaną nocą i dniem pełnym wzruszeń. Usłuchawszy jego rady (byłem już całkowicie pod jego władzą), wyciągnąłem się w fotelu w jego gabinecie, oparłem głowę wygodnie i złożyłem ręce na miękkich poręczach. W czasie mego niecierpliwego czekania zapadł już widocznie na dworze całkowity zmierzch. Rozróżniałem w pokoju tylko srebrny błysk instrumentów w wysokiej szklanej szafce, a w kątach, za fotelem, w którym spoczywałem, ciemniała już noc. Mimo woli zamknąłem oczy i natychmiast, jak w latarni magicznej, ukazała mi się przerażona twarz niewidomej, rozjaśniająca się nagle blaskiem szczęścia, gdy dotknęła ją ręka Condora i gdy objął ją ramieniem. „Wspaniały lekarz – pomyślałem – gdybyż i mnie mógł tak pomóc!” Jednocześnie uczułem niejasno, że chciałbym myśleć o kimś innym, równie zakłopotanym i niespokojnym, równie bojaźliwie patrzącym, że chcę myśleć o kimś, z czyjego powodu tutaj przyszedłem. Ale już mi się to nie udało...

Nagle dotknęła mnie dłoń Condora. Widocznie wszedł cichutko do pokoju napełnionego mrokiem, podczas gdy spałem. Chciałem wstać, lecz energicznie, a zarazem łagodnie przytrzymał mnie za ramiona.

– Niech pan siedzi. Usiądę przy panu, w ciemnościach dobrze się rozmawia. Proszę tylko o jedno, mówmy po cichu! Zupełnie cichutko! Przecież pan wie, że u ślepców rozwija się w jakiś magiczny sposób słuch, a poza tym specjalny, tajemniczy instynkt odgadywania. Więc – ręka jego jakby hipnotyzująco przesunęła się od mojego ramienia aż do ręki – niechże pan opowiada i proszę się nie krępować. Od razu dostrzegłem, że coś się panu stało.

Dziwna rzecz, w tej chwili przypomniła mi się dawno zapomniana sytuacja. Miałem niegdyś w korpusie kadetów kolegę, nazywał się Erwin; był delikatny i jasnowłosy jak dziewczynka; zdaje mi się, że nawet w pewien nieświadomy sposób byłem w nim trochę zakochany. W dzień nie rozmawialiśmy ze sobą prawie nigdy albo mówiliśmy o rzeczach obojętnych. Prawdopodobnie wstydziliśmy się obydwaj naszej ukrywanej i nie wyznawanej sympatii. Tylko czasem w sali sypialnej, gdy pogaszono światła, nabieraliśmy odwagi i oparli na łokciach w sąsiadujących ze sobą łóżkach wyznawaliśmy sobie w opiekuńczych ciemnościach, wśród kolegów, śpiących w tym pokoju, nasze dziecinne myśli i obserwacje, a nazajutrz z rana znów się omijaliśmy z tym samym zakłopotaniem. Przez długie lata nie pamiętałem o wyznaniach wypowiedzianych szeptem, których tajemniczość uszczęśliwiała mnie za moich lat chłopięcych. Teraz, gdy leżałem tak, wyciągnięty w fotelu wśród gęstych ciemności, zapomniłem zupełnie o mym postanowieniu, aby się przed Condorem maskować. Mimo woli stałem się szczery i jak niegdyś opowiadałem koledze w szkole o gorzkich rozczarowaniach i wielkich zwyczajnych snach naszej naiwnej młodości (była w tym skryta rozkosz wyznania), tak i teraz wyjawilem doktorowi niespodziany wybuch Edyty i moje przerażenie, mój lęk, moją wewnętrzną rozterkę. W milczącym mroku, w którym poruszały się i niewyraźnie błyskały binokle, gdy Condor odwracał głowę, opowiedziałem mu wszystko. Zapadła cisza, a potem usłyszałem dziwny szmer. Widocznie doktor tak mocno załamał ręce, aż stawy zatrzeszczały.

– A więc to było to... – mruknął niechętnie – Jakżeż ja głupiec mogłem tego nie dostrzec! Zawsze ta sama historia, poza chorobą pacjenta nie widzi się jego samego. Wśród badań i dociekań, wśród szukania symptomów przeoczą się sprawy najistotniejsze, te, które wyjawiają, co się dzieje w

samym człowieku. Właściwie od razu wyczułem, że coś się dziewczynie stało. Czy pan pamięta, jak po zbadaniu jej spytałem ojca, czy ktoś inny nie zajął się leczeniem Edyty? Zastanowiło mnie nagle, a niecierpliwe pragnienie, by jak najprędzej wyzdrowieć. Wyczułem więc zupełnie dobrze, że ktoś obcy wmieszał się w tę sprawę, ale naiwnie sądziłem, że to może jakiś cyrulik albo magnetyzer, jakiś szarlatan przewrócił jej w głowie. Nie pomyślałem tylko o rzeczy najprostszej, o najlogiczniejszej, o tym, co jasne było jak na dłoni. Przecież miłość u dorastających dziewcząt jest sprawą niemal ich organizmu. Przekleństwo tylko, że musiało się to zdarzyć właśnie teraz i że przyszło tak gwałtownie! O Boże, biedne dziecko!

Wstał. Usłyszałem jego kroki, po czym powtórzył z westchnieniem:

– Okropność, że musiało się to zdarzyć właśnie teraz, gdy rozpoczęliśmy tę historię z podróżą. A przecież nie ma takiej siły, która by mogła to teraz zmienić, gdyż Edyta wmówiła sobie, że musi być zdrowa nie dla siebie, tylko dla pana. Jakież straszliwe, jak straszne ocknienie! Teraz, gdy tyle się spodziewa i wymaga, nie wystarczy jej drobna poprawa, nie zadowoli jej drobne polepszenie w jej stanie zdrowia. Mój Boże, jakąż straszną odpowiedzialność wzięliśmy na siebie!

Uczułem budzący się we mnie opór. Rozgniewało mnie to wciąganie mojej osoby do całej sprawy. Przecież przyszedłem, by się od niej uwolnić!

– Jestem całkowicie pańskiego zdania – przerwałem mu w sposób zdecydowany. – Skutków nie można przewidzieć i trzeba w porę przerwać to bezsensowne ludzenie się. Musi pan doktor energicznie zabrać się do tego. Musi jej pan powiedzieć...

– Co?

– No... że ta jej miłość jest po prostu dziecinadą, nonsensem. Musi jej pan to wyperswadować.

– Wyperswadować? Co wyperswadować? Wyperswadować kobiecie jej miłość? Powiedzieć, aby nie czuła, gdy czuje? Żeby nie kochała, gdy kocha? Byłoby to postępowanie jak najbardziej błędne, a przy tym najgłupsze, jakie można sobie wyobrazić. Czy pan kiedy słyszał, aby logikę przeciwstawiać namiętności? Słyszał pan kiedy, aby można było powiedzieć gorączce: „Nie wzmagaj się” lub ogniewi: „Nie parz!” Piękna i doprawdy ludzka myśl, aby choremu, sparaliżowanemu, krzyżać prosto w twarz: „Nie wmawiaj sobie, na miłość boską, że wolno ci kochać. Nie masz prawa ani okazywać uczucia,

ani go oczekiwać! Leżeć, gdy się jest kaleką. Marsz do kąta! Wyrzecz się i odstaw od tej myśli! Poświęć siebie!” Prawdopodobnie życzy pan sobie, abym właśnie w ten sposób porozmawiał z tym biedactwem. Niechże pan łaskawie pomyśli o tragicznych skutkach takiej perory!

– Ale właśnie pan musi...

– Dlaczego ja? Przecież pan wyraźnie wziął na siebie całą odpowiedzialność, więc czemu właśnie ja?

– Przecież nie mogę ja sam jej powiedzieć, że...

– Bo też to niepotrzebne! I wcale panu tego nie wolno! Najpierw doprowadzić dziewczynę do wariacji, a potem żądać od niej raptownie, aby była rozsądna... Tylko tego by jeszcze brakowało! Oczywiście nie wolno panu ani pisać, ani jakimkolwiek bądź znakiem dać nieboraczce do zrozumienia, że jej uczucie jest dla pana tak przykre, przecież to byłoby jak uderzenie siekierą po głowie!

– Ależ... – głos mi się załamał – przecież ktoś jej ostatecznie musi to wyjaśnić...

– Co wyjaśnić? Niech pan będzie łaskaw wyrażać się dokładniej!

– Bo myślę... że... że to nie ma żadnej przyszłości... że to absurd... więc żeby potem... gdy ja... gdy ja...

Urwałem, Condor także milczał. Widocznie czekał. Potem zrobił dwa zdecydowane kroki w stronę drzwi i przekreślił wyłącznik. Trzy białe ognie zapłonęły w żarówkach ostro i bezlitośnie, a jaskrawe uderzenie światła zmusiło mnie do mimowolnego zamknięcia oczu. W pokoju zrobiło się raptownie jasno jak w dzień.

– Tak! – rzekł Condor surowo. – Tak, panie poruczniku! Widzę już, że nie wolno panu zbytnio pomagać w mazgajstwie. W ciemnościach można się chować, lecz przy niektórych sprawach lepiej jest, gdy się patrzy sobie w oczy. Dość zatem tego bezsensownego gadania o tym i o owym! Panie poruczniku, coś tu nie jest w porządku. Nie dam sobie wmówić, że przyszedł pan tylko po to, aby mi pokazać ów list. Jest jeszcze coś poza tym, czuję, że powziął pan jakąś decyzję. Albo wypowie się pan szczerze i uczciwie, albo będę musiał zrezygnować z pańskiej wizyty.

Szkła jego binokli ostro błyskały, zdjął mnie lęk przed ich lustrzaną okrągłością i spuściłem oczy.

– Pańskie milczenie nie jest chwalebne, panie poruczniku. Nie mówi ono o czystym sumieniu. Ale... już mi się coś zarysowuje, do czego pan zmierza. Tylko bez wykrętów proszę, czyżby nosił się pan z zamiarem, żeby ze względu na ten list lub może... na tamto... nagle zerwać tak zwaną przyjaźń?

Czekał na odpowiedź. Podniosłem oczy. Jego głos nabrał tonu egzaminatora.

– A czy pan wie, czym byłaby dziś pańska ucieczka? Teraz gdy pan tą swoją chwalebna litością przewrócił dziewczynie w głowie?

Milczałem.

– No, w takim razie pozwolę sobie wyjawić panu moje osobiste zakwalifikowanie takiego czynu: wycofanie się obecnie byłoby nędznym tchórzostwem... Ech, daj pan spokój, nie zrywaj się pan tak od razu z tym wojskowym wigorem! Nie mówimy teraz o panu oficerze ani o kodeksie honorowym. Chodzi tu o żyjącego, młodego i wartościowego człowieka, za którego poza tym jestem odpowiedzialny. W takich okolicznościach nie mam ani chęci, ani humoru, aby się bawić w grzeczności. W każdym razie – żeby się pan nie oszukiwał i wiedział, co bierze na sumienie przez swoją ucieczkę – oświadczam panu dobitnie: odejście od niej w tak krytycznej chwili byłoby – proszę słuchać, co mówię! – byłoby podłą zbrodnią, popełnioną na niewinnym stworzeniu, a obawiam się, że może nawet czymś więcej – morderstwem!

Niski, krępy człowiek stał pochylony nade mną z pięściami ściśniętymi jak bokser. Może kiedy indziej wyglądałby śmiesznie w swoim puchatym szlafroku i przydeptanych pantoflach, lecz w jego szczerym oburzeniu było coś porywającego.

– Morderstwo! – krzyknął znowu. – Morderstwo! Morderstwo! Tak jest i pan sam dobrze o tym wie. A może sądzi pan, że ta drażliwa i dumna istota zniosłaby to, że kiedy po raz pierwszy otworzyła swe serce przed mężczyzną, ów dżentelmen w odpowiedzi zwał w takim popłochu, jak gdyby zobaczył diabła? Trochę więcej fantazji! Czyż nie czytał pan tego listu, czyż nie ma pan ani oczu, ani serca? Przecież nawet normalna – zdrowa kobieta nie zniosłaby podobnej wzgardy! Taki cios zachwiałyby jej równowagę na długie lata! Czyż pan sądzi, że ta dziewczyna, trzymająca się przecież na powierzchni jedynie bezsensowną nadzieją wyzdrowienia, którą pan sam w nią zresztą wmówił, mogłaby taką rzecz przeżyć? Jeżeli jej ten szok nie

złamie, to targnie się sama na swe życie. Tak, zrobi to z pewnością, bo zrozpaczony człowiek nie zniesie tego rodzaju poniżenia. Jestem przekonany, że Edyta nie przeżyje tego rodzaju brutalności, a pan, panie poruczniku, wie o tym równie dobrze! I właśnie dlatego, że pan o tym wie, ucieczka pańska byłaby nie tylko słabością i tchórzostwem, ale zwykłym morderstwem z premedytacją!

Mimo woli cofnąłem się przed nim. W chwili gdy powiedział „morderstwo”, miałem błyskawiczną wizję: ujrzałem balustradę na tarasie, której tak kurczowo trzymała się obydwoma rękami. Jakże mocno musiałem ją uchwycić i w ostatniej chwili siłą oderwać! Wiedziałem, że Condor nie przesadza, i ja byłem tego sprawcą. Widziałem w głębi kwadratowe kamienie podwórza, widziałem w tej sekundzie wszystko, jak gdyby się to już stało, a w uszach usłyszałem szum, jakbym sam spadał z wysokości tych czterech czy pięciu pięter.

Lecz Condor nie ustawał.

– No? Niech pan zaprzeczy! Niech pan okaże odwagę, której wymaga przecież pański zawód!

– Ale, panie doktorze... cóż mam robić? ... Nie mogę się przecież zmusić... nie mogę mówić czegoś, czego nie chcę! Jakżeż mogę udawać, że się zgadzam na to bezsensowne szaleństwo. – I nie panując już nad sobą nagle wybuchnąłem: – Nie, ja tego nie ścierpię! Nie mogę tego znieść! Nie mogę, nie chcę, nie mogę!

Widocznie krzyczałem zbyt głośno, gdyż uczułem na ramieniu żelazny uścisk palców Condora.

– Ciszej, na litość boską!

Skoczył do wyłącznika i zgasił światło. Jedyne lampka na biurku rozsiewała spod żółtawego abażura skąpy krąg światła.

– Do diaska! Z panem trzeba mówić rzeczywiście jak z chorym. Niech pan przede wszystkim spokojnie usiądzie, w tym fotelu omawiane już były gorsze sprawy.

Zbliżył się do mnie.

– A więc bez zdenerwowania, spokojnie i powoli. Proszę jedno po drugim! Przede wszystkim jęczy pan: „Nie mogę tego znieść!” To mi nic nie

mówi. Muszę wiedzieć, czego pan nie może znieść? Właściwie co pana tak przeraża w owym fakcie, że biedne dziecko szalenie się w panu zadurzyło?

Zaczerpnałem oddechu, by odpowiedzieć, ale Condor przerwał szybko:

– Tylko nie za spiesznie! A przede wszystkim niech się pan nie wstydzi! Ostatecznie rozumiem, że można w pierwszym momencie być przerażonym, gdy na kogoś spada tego rodzaju namiętne wyznanie. Tak zwane powodzenie u kobiet uszczęśliwia jedynie durniów i tylko głupcy nim się pysznia. Prawdziwy człowiek będzie raczej zaskoczony, stwierdziwszy, że jakaś kobieta straciła dla niego głowę, a on nie może odwzajemnić jej uczucia. Wszystko to rozumiem. Ale pan jest tak głęboko, tak niezwykle wstrząśnięty, że muszę spytać, czy w danym wypadku nie gra roli coś specjalnego, jakaś niezwykła okoliczność...

– Jaka okoliczność?

– No... że Edyta... bardzo trudno sformułować tego rodzaju pytanie! Myślę, czy... czy fizyczna ułomność nie przyprawia pana o pewien wstręt... o fizyczne obrzydzenie.

– Nie... wcale nie! – zaprotestowałem gwałtownie. Przecież właśnie bezradność i słabość Edyty pociągała mnie tak mocno, a gdy w pewnych chwilach miałem dla niej uczucie dziwnie zbliżone do czułości człowieka kochającego, działało się to jedynie dlatego, że jej cierpienie, samotność i kalectwo tak mną wstrząsnęły. – Nie, nigdy! – powtórzyłem z nieomal gorzkim przeświadczeniem. – Jak pan może myśleć coś podobnego!

– Tym lepiej, to mnie poniekąd uspokaja. Jako lekarz mam okazję obserwowania takich psychicznych zahamowań u natur pozornie najnormalniejszych. Co prawda nigdy nie pojmowałem mężczyzn, w których najmniejsze niedomaganie kobiety wywołuje pewnego rodzaju idiosynkrazję, ale istnieje niezliczona ilość osobników, dla których wszelka ewentualność erotycznego związku staje się niemożliwa, gdy ciało ludzkie, składające się z milionów, z miliardów komórek, ma bodaj na przestrzeni szerokości jednego palca zmieniony pigment. Tego rodzaju odruchy są jak wszystkie instynkty nie do opanowania i dlatego jestem podwójnie zadowolony, że nie ma to miejsca u pana i że nie odpycha pana od tej dziewczyny sama istota jej kalectwa. W takim razie mogę przypuszczać, że... ale czy wolno mi mówić szczerze?

– Oczywiście.

– ... że przerażenie pańskie nie pochodzi z samego skonstatowania faktu, lecz z jego konsekwencji. Chcę przez to powiedzieć, że nie tyle obawia się pan miłości tego biednego dziecka, ile raczej lęka się pan, że inni mogliby dowiedzieć się o tym i drwić. Według mego mniemania pańskie bezgraniczne wzburzenie jest pewnego rodzaju obawą, aby – proszę mi wybaczyć – aby się nie stać śmiesznym wobec tamtych, pańskich kolegów.

Wydawało mi się, że Condor wbija mi w serce ostrą igłę, gdyż wszystko, co mówił, czułem już nieświadomie od dawna i tylko nie miałem odwagi, aby o tym myśleć. Już od pierwszego dnia bałem się, że moje dziwne stosunki z kulawą dziewczyną staną się przedmiotem drwin kolegów, owego dobrodusznego, a jednak morderczego „nabierania”. Wiedziałem dobrze, jak wyśmiewali każdego, kogo przyłapano kiedykolwiek z jakąś brzydulą lub osobą nieelegancką. Przecież jedynie dlatego instynktownie przeciągnąłem linię podziału między życiem koleżeńskim a tamtym, między pułkiem a Kekesfalwami. W istocie Condor słusznie podejrzewał. Od pierwszej chwili, gdy dowiedziałem się o miłości dziewczyny, przede wszystkim zacząłem się wstydzić przed ludźmi, przed ojcem, przed Iloną, przed służącym i kolegami nawet przed sobą samym wstydziłem się swej fatalnej litości.

Lecz oto uczułem na kolanie kojący dotyk głaszczącej mnie ręki Condora.

– Nie, niech się pan nie wstydzi! Nikt tak dobrze jak ja nie pojmuje lęku człowieka, gdy coś nie odpowiada jego zwyczajowemu wyobrażeniu. Widział pan przecież moją żonę. Nikt nie rozumiał, czemu się z nią ożeniłem, a wszystko, co się nie mieści w wąskiej tak zwanej normalności, zrazu ludzi ciekawi, a potem ich gniewa. Moi panowie koledzy zaczęli zaraz szeptać, że źle ją leczyłem i ożeniłem się jedynie ze strachu, zaś przyjaciele, ci tak zwani przyjaciele, rozsiewali wieści, że moja żona ma dużo pieniędzy i że spodziewa się spadku. Matka, moja własna matka przez dwa lata nie chciała jej przyjąć, gdyż miała już dla mnie inną partię w zanadrzu, siostrę jednego z profesorów, wówczas najslawniejszego internisty na uniwersytecie. Gdybym się był z nią ożenił, zostałbym w trzy tygodnie później docentem, profesorem i na całe życie miałbym spokój oraz dobrobyt. Ale wiedziałem, że jeżeli tę kobietę porzucę, zmarnuje się natychmiast. Wierzyła we mnie, a gdybym jej zaufanie zawiódł, nie byłaby w stanie dłużej żyć. Muszę się szczerze przyznać, że nie żałuję wyboru, bo proszę mi wierzyć, iż lekarz, właśnie lekarz, rzadko kiedy ma czyste sumienie. Przecież wiemy, że mało można człowiekowi pomóc, że w pojedynkę nie można zwyciężyć nieograniczonego

cierpienia ludzkiego. Z ogromnego jego morza wyczerpujemy jedynie parę kropeł małym naparstkiem, a ludzie, których uważa się dziś za uzdrowionych, nazajutrz chorują na coś innego. Zawsze mamy uczucie, że postąpiło się niedbale lub za mało starannie, a przy tym te błędy, te omyłki, których popełnianie jest nieuniknione! Dobrze więc działa na samopoczucie lekarza świadomość, że uratował przynajmniej jednego człowieka, że nie zawiódł jednego zaufania, że jedną rzecz wykonał dobrze. Ostatecznie trzeba przecież wiedzieć, czy się żyło tępo i głupio, czy też miało się cel! Niech mi pan wierzy – uczułem nagle jego ciepłą i nieomal serdeczną bliskość – opłaca się wziąć na siebie sprawę ciężką, jeżeli innemu człowiekowi przez to się ją ułatwi.

Wzruszył mnie głęboki ton w jego głosie. Nagle uczułem w piersiach lekkie palenie, owo dobrze mi znane rozszerzanie się i sprężanie serca. Uczułem, że wspomnienie rozpaczliwej samotności tego nieszczęsnego dziecka znów budzi moją litość. Wiedziałem, iż rozpocznie się teraz owo dążenie do wylewności, któremu nie umiałem się oprzeć. Ale nie poddałem się, rzekłem sobie: „Nie dasz się wciągnąć z powrotem w to wszystko!” Spojrzałem zdecydowany.

– Panie doktorze, każdy zna do pewnego stopnia granice swych sił i dlatego ostrzegam pana – proszę niech pan na mnie nie liczy! Nie moja rzecz, lecz pańską jest obecnie pomoc Edycie! Zapędziłem się w tej sprawie o wiele dalej, niż początkowo chciałem, i mówię panu szczerze: nie jestem tak dobry, tak pełen poświęcenia, jak pan przypuszcza. Doszedłem do kresu sił! Nie wytrzymam, aby się ktoś do mnie modlił i aby mnie ubóstwiał. Nie będę udawał, że sobie tego życzę lub że to znoszę. Lepiej, aby Edyta pojęła całą sytuację teraz, niż żeby później miała być rozczarowana. Daję panu żołnierskie słowo honoru, że ostrzegam pana szczerze, zapewniając jeszcze raz: niech pan na mnie nie liczy, niech mnie pan nie przecenia.

Mówiłem najwidoczniej bardzo stanowczo, bo Condor patrzył na mnie trochę zaskoczony.

– Brzmi to nieomal tak, jak gdyby się pan na coś zdecydował.

Nagle wstał.

– Proszę o całą prawdę, z połowicznej nic mi nie przyjdzie! Czy pan uczynił już coś, czego odwołać nie można?

Podniosłem się również.

– Tak jest – odparłem wyciągając z kieszeni moje podanie o dymisję. – Proszę, niech pan przeczyta.

Condor ociągając się wziął papier i rzucił nań niespokojne spojrzenie, zanim zbliżył się do kręgu światła. Czytał cicho i powoli, po czym złożył arkusz i rzekł rzeczowym tonem:

– Przypuszczam, że po tym, co panu uprzednio powiedziałem, jest pan całkowicie świadomy wszystkich konsekwencji. Stwierdziłszy bowiem przed chwilą, że pańskie odejście wywarłoby na tym biednym dziecku zabójcze wrażenie... Zabójcze lub samobójcze... a myślę, iż zdaje sobie pan sprawę, że ten papier nie jest wyłącznie pańską prośbą o dymisję, lecz i... wyrokiem śmierci na Edytę.

Nie odpowiedziałem.

– Zadałem panu pytanie, panie poruczniku! Pytam po raz drugi: czy zdaje pan sobie sprawę z tych konsekwencji i czy bierze pan na swe sumienie całkowitą odpowiedzialność?

Milczałem. Zbliżył się podając mi złożony arkusz.

– Dziękuję! Nie chcę z tą sprawą mieć dalej nic wspólnego. Proszę niech pan to zabierze.

Ramię moje było jak sparaliżowane i nie miałem siły go podnieść. Nie mogłem też zdobyć się na odwagę, by wytrzymać badawcze spojrzenie doktora.

– Więc może ma pan zamiar... nie podać do wykonania... tego wyroku śmierci?

Odwróciłem się zakładając ręce za plecy. Doktor zrozumiał.

– Zatem mogę je podrzeć?

– Tak – odparłem – proszę, niech pan to zrobi.

Wrócił do biurka. Nie patrząc słyszałem ostry szelest przedzieranego papieru, raz, drugi i trzeci, a potem szelest kartek spadających do kosza. Zrobiło mi się nagle lekko na duszy. Znowu – już po raz drugi tego doniosłego dnia – ktoś inny powziął za mnie decyzję. Ja jej nie rozstrzygałem, dokonała się we mnie samoistnie.

Condor zbliżył się i łagodnie posadził mnie na fotelu.

– No, zdaje mi się, że zapobiegliśmy wielkiemu nieszczęściu, bardzo dużemu nieszczęściu. A teraz do rzeczy! Dzięki tej sprawie miałem okazję w pewnej mierze poznać pana. Nie, niech się pan nie broni, nie przeceniam pana, a w każdym razie nie uważam za owego „wspaniałego i dobrego człowieka”, jak o panu głosi Kekesfalva. Sądzę, że jest pan partnerem, na którym niezbyt można polegać... z powodu niestałości jego uczuć i wybitnej niecierpliwości serca. Jakkolwiek zadowolony jestem, że przeszkodziłem panu w bezsensownej eskapadzie, nie podoba mi się jednak sposób, w jaki się pan decyduje i w jaki równie szybko porzuca pan te decyzje. Ludziom, ulegającym takim nastrojom, nie należy nakładać poważnych obowiązków. A pan byłby chyba ostatnim ze wszystkich ludzi na świecie, którego zobowiązałbym do czegoś, co wymaga stałości i wytrzymałości.

Niech pan zatem słucha. Nie żądam od pana zbyt wiele, tylko tego, co najważniejsze, bezsprzecznie najważniejsze. Namówiliśmy przecież Edytę do rozpoczęcia nowej kuracji, którą ona uważa za nową. Ze względu na pana zdecydowała się wyjechać, wyjechać na długie miesiące i jak panu wiadomo, wyjadą już za tydzień. Otóż na te osiem dni potrzebna mi pańska pomoc i mówię od razu dla uspokojenia pana, że jedynie na ten okres! Chcę od pana tylko jednego, aby mi pan przyrzekł, że w przeciągu tego tygodnia aż do wyjazdu Kekesfalwów nie uczyni pan nic brutalnego, nic nagłego, a przede wszystkim ani słowem, ani najmniejszym gestem nie zdradzi pan, że miłość tego biedactwa przeraża pana do tego stopnia. Na razie nie chcę od pana nic więcej, a sądzę, że jest to żądanie skromne – tydzień opanowania, gdy chodzi o życie innego człowieka.

– A... a potem?

– O „potem” na razie nie myślimy. Gdy operuję tumor, również nie wolno mi myśleć, czy nie odnowi się za parę miesięcy. Gdy mnie wzywają na pomoc, powinienem zrobić tylko jedno: wziąć się bez wahania do ratunku. W każdym wypadku jest to najwłaściwsze i najbardziej ludzkie. Wszystko poza tym bywa sprawą przypadku, a jak mówią pobożni, spoczywa w ręku Boga. Ileż się w ciągu kilku miesięcy może zmienić! Albo stan chorej poprawi się rzeczywiście szybciej, niż przypuszczam, albo jej miłość przygaśnie na skutek rozstania – nie mogę przewidzieć wszystkich możliwości, a pan może o tym wiedzieć z pewnością jeszcze mniej! Niech pan skoncentruje całą swą wytrzymałość tylko na tym, aby w ciągu tego decydującego okresu nie zdradzić się, że miłość tej dziewczyny jest dla pana taka... taka okropna... Niech pan sobie powtarza: „Jeszcze osiem dni, jeszcze siedem, sześć... Ratuję

człowieka, nie przyczyniam mu bólu, nie obrażam go, nie niszczę, nie odbieram mu odwagi”. Tydzień męskiej, zdecydowanej postawy! Czy pan to wytrzyma? Jak pan sądzi?

– Owszem – rzekłem spontanicznie i dodałem stanowczo:

– Z pewnością, z całą pewnością! – Znając granice zadania uczułem teraz pewnego rodzaju napływ świeżych sił.

Usłyszałem, że Condor głęboko odetchnął.

– Chwała Bogu! Mogę się panu teraz przyznać, że byłem bardzo niespokojny. Niech mi pan wierzy, iż Edyta rzeczywiście nie byłaby zniosła, żeby pan w odpowiedzi na jej list, na jej wyznanie, uciekł po prostu. Właśnie najbliższe dni są rozstrzygające, a wszystko ułoży się później. Na razie pozwólmy temu biedactwu na troszkę szczęścia. Przecież na ten jeden jedyny tydzień daje mi pan słowo, prawda?

Podąłem mu rękę.

– W takim razie sądzę, że wszystko jest w porządku i możemy spokojnie pójść do mojej żony.

Nie wstawał jednak i uczułem, że się waha.

– Jeszcze jedno – dodał po cichu. – My, lekarze, jesteśmy zmuszeni do przewidywania wszystkiego z góry, do przygotowania się na wszelką ewentualność. Gdyby więc miało się coś zdarzyć (mówię oczywiście o sprawie niemożliwej), gdyby więc na przykład miały pana zawieść siły lub gdyby nieufność Edyty miała ją doprowadzić do jakiego kryzysu – niech mnie pan natychmiast zawiadomi. W tym krótkim, ale niebezpiecznym okresie nie powinno się pod żadnym pozorem zdarzyć nic nieodwołalnego. Gdyby pan uczuł, że nie sprostą zadaniu, lub gdyby w ciągu tego tygodnia miał się pan nieświadomie zdradzić, niech się pan nie wstydzi – na litość boską, niech się pan aby przede mną nie wstydzi, bo dość już widziałem nagich ludzi i załamanych dusz! O każdej porze dnia i nocy może pan do mnie przyjść lub zatelefonować. Będę zawsze do dyspozycji, bo wiem, o jaką stawkę chodzi. A teraz – fotel obok mnie posunął się i poczułem, że Condor wstał – przenieśmy się do jadalni. Mówiliśmy dość długo, a moja żona łatwo się niepokoi. Po tylu latach zawsze jeszcze muszę uważać, aby się nie zirytowała; kogo los tak srogo dotknie, ten na zawsze pozostaje wrażliwy.

Zrobił znowu dwa kroki w stronę wyłącznika – żarówki rozbłysły światłem. Gdy się teraz do mnie odwrócił, twarz jego wydała mi się zmieniona; może jaskrawe światło wymodelowało jej kontury tak ostro – w każdym razie po raz pierwszy dostrzegłem głębokie bruzdy na jego czole, a w postawie zmęczenie i wyczerpanie. („Rozdał siebie innym” – pomyślałem i moja chęć ucieczki od tej pierwszej życiowej przykrości wydała mi się nagle podłością. Spojrzałem na doktora wdzięczny i wzruszony. Musiał to zauważyć, bo się uśmiechnął.

– Jak to dobrze – poklepał mnie po ramieniu – że pan do mnie przyszedł i mogliśmy się wygadać! Niech pan sobie wyobrazi, co by to było gdyby pan bez zastanowienia po prostu zwał. Myśl ta ciążyłaby panu przez całe życie, bo uciec można przed wszystkim, lecz nigdy przed sobą. A teraz chodźmy! Chodźmy, mój kochany.

Wyraz „kochany”, jakim mnie nazwał ten człowiek, głęboko mną wstrząsnął. Doktor wiedział przecież, że jestem słaby i tchórzliwy, a jednak mną nie pogardzał. Tym jednym słowem starszy i doświadczony obdarowywał łaską ufności niepewnego, stawiającego w życiu swe pierwsze kroki. Poszedłem za nim i lekko mi było na duszy.

Minęliśmy poczekalnię, po czym Condor otworzył drzwi do następnego pokoju. Przy nie sprzątniętym jeszcze stole w jadalni siedziała jego żona i robiła na drutach. Pracowała wytrwale i nic nie zdradzało, że ręce, które tak lekko i pewnie prowadziły druty, były rękami ślepej; koszyczek z wełną i nożyczki leżały przed nią w pogotowiu równo ułożone. Dopiero gdy schylona nad robotą podniosła na nas puste źrenice i w ich gładkich kręgach odbiła się miniatura lampy, można było dostrzec, że jej oczy nie były wrażliwe na światło.

– No, Klaro, dotrzyaliśmy słowa? – spytał Condor zbliżając się do niej serdecznie i przemawiając owym tkliwym głosem, zawsze tak miękko płynącym mu z gardła, gdy się do niej zwracał. – Prawda, że nie trwało to zbyt długo? A gdybyś wiedziała, jak się cieszę, że mnie pan porucznik odwiedził! Bo wiesz – ale niechże pan usiądzie, kochany panie! – pan porucznik służy w garnizonie, w tym samym miasteczku, gdzie mieszkają Kekesfalwowie, przypominasz sobie tę małą pacjentkę?

– Ach, to biedne kulawe dziecko, prawda?

– Tak. I teraz zrozumiesz, że przez pana porucznika dowiaduję się od czasu do czasu, co tam słychać nowego, nie potrzebując specjalnie do nich jechać. Bywa u nich prawie codziennie, żeby troszkę biedactwo rozerwać, i dotrzymuje mu towarzystwa.

Niewidoma zwróciła głowę w kierunku, w którym mnie wyczuwała. Miękki wyraz wygładził nagle jej twarde rysy.

– Jaki pan dobry, panie poruczniku! Wyobrażam sobie, jak się dziewczyna cieszy.

Skinęła głową i ręka jej mimo woli posunęła się na stole bliżej w moją stronę.

– Tak, i dla mnie to lepiej – ciągnął Condor – w przeciwnym razie musiałbym jeździć do niej o wiele częściej, aby przeciwdziałać jej nerwowym stanom. Toteż wielkim dla mnie ułatwieniem jest okoliczność, że właśnie przez ten ostatni tydzień, zanim moja chora wyjedzie na kurację do Szwajcarii, pan porucznik Hofmiller będzie na nią troszkę uważał. Nie zawsze łatwo z nią wytrzymać, ale porucznik rzeczywiście doskonale umie postępować z Edytą i wiem, że mi swej pomocy nie odmówi. Mogę na nim polegać pewniej niż na wszystkich moich asystentach i kolegach.

Zrozumiałem natychmiast, że Condor chce mnie jeszcze mocniej związać ze sobą, zobowiązując w obecności tej bezradnej kobiety; ale chętnie dałem mu to przyrzeczenie.

– Oczywiście, może pan na mnie polegać, panie doktorze. Codziennie przez ten tydzień będę tam przesiadywał i w razie gdyby coś zaszło, natychmiast zatelefonuję. Ale – dodałem patrząc na niego ponad głową niewidomej – nie zdarzy się z pewnością nic niespodziewanego ani groźnego. Jestem o tym niemal przekonany.

– Ja również – potwierdził z lekkim uśmiechem. Rozumieliśmy się dobrze. Lecz wokół ust jego żony widać było napięcie – widocznie coś ją dręczyło.

– Jeszcze pana nie przeprosiłam, panie poruczniku. Obawiam się, że byłam może przedtem troszkę... troszkę niegrzeczna. Ale ta głupia dziewczyna nikogo nie zameldowała, nie miałam pojęcia, że ktoś w pokoju czeka, a Emmerich jeszcze mi nigdy o panu nie opowiadał. Sądziłam więc, że to ktoś obcy, kto chce się go poradzić, a mąż po powrocie do domu jest zawsze tak śmiertelnie zmęczony!

– Ma pani zupełną słuszność i powinna być jeszcze surowsza. Obawiam się, proszę mi wybaczyć moją śmiałość, że mąż pani za dużo z siebie daje.

– Wszystko – przerwała mi gwałtownie i raptownym ruchem przysunęła swe krzesło bliżej do mnie – wszystko, powiadam panu, oddaje ludziom: czas, nerwy i pieniądze! Nie jada i nie sypia z powodu swych chorych. Każdy go wyzyskuje, a ja, ślepa, nie mogę mu w niczym pomóc i niczego od niego oddać. Gdyby pan wiedział, jak się o niego martwię! Przez cały dzień myślę: „Jeszcze nic nie jadł, teraz znowu siedzi w pociągu lub jedzie tramwajem, a w nocy znów go będą budzili!” Dla wszystkich ma czas tylko nie dla siebie. A kto mu za to dziękuje? Nikt! Mój Boże, nikt!

– Rzeczywiście nikt? – pochylił się nad wzburzoną z uśmiechem.

– Naturalnie – zaczerwieniła się – a ja przecież nie mogę dla niego nic zrobić! Ilekroć wraca z pracy, jestem po prostu nieprzytomna ze strachu. Ach, gdybyż pan miał na niego wpływ! Potrzeba mi kogoś, kto by go troszeczkę powstrzymywał. Przecież nie można pomóc wszystkim...

– Ale trzeba próbować – odrzekł patrząc na mnie. – Przecież po to się żyje. Tylko po to.

Uczułem, że jego spojrzenie przenika mnie na wskroś. Lecz wytrzymałem to spojrzenie od czasu, gdy wiedziałem, że decyzja zapadła.

Wstałem, złożyłem w tej chwili sobie samemu przyrzeczenie.

Usłyszawszy odsuwanie krzesła niewidoma podniosła oczy.

– Musi pan już iść? – zapytała ze szczerym żalem. – Jaka szkoda, jaka szkoda! Ale przyjdzie pan wkrótce, prawda?

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. „Co to się ze mną dzieje? – dziwiłem się w duchu. – Czemu wszyscy mają do mnie zaufanie, czemu ta niewidoma wznosi ku mnie rozpromieniona swe puste oczy, czemu ten człowiek prawie mi obcy teraz tak przyjaźnie obejmuje mnie ramieniem?” Schodząc ze schodów nie rozumiałem już, co mnie tu przed godziną przygnało. Właściwie dlaczego chciałem uciec? Czyż dlatego, że zgryźliwy przełożony złażał mnie? Dlatego, że jakaś biedna istota, nieszczęsny, okaleczony człowiek szalał z miłości do mnie? Dlatego, że ktoś zapragnął oprzeć się o mnie, że chciał wyprostować się przy mnie? Jakimżeż cudem jest zdolność pomagania, jedynie to ma istotną wartość i przynosi zadowolenie. Zrozumienie tej prawdy nakazywało mi postępować z własnej woli w taki sposób, jaki jeszcze

wczoraj uważałbym za poświęcenie bez granic, musiałem człowiekowi za jego wielką, gorejącą miłość odpłacić wdzięcznością.

Tydzień! Od czasu, gdy Condor ograniczył moje zadanie, czułem się znowu pewny siebie. Tylko jedna chwila przejmowała mnie lękiem, a mianowicie moment, w którym miałem Edytę zobaczyć po raz pierwszy od chwili jej wyznania. Wiedziałem, że całkowita swoboda po tak głębokim wstrząsie nie była już możliwa i że pierwsze spojrzenie po owym palącym pocałunku musiało zawierać pytanie: „Czy mi przebaczyłeś?” – a może jeszcze niebezpieczniejsze: „Czy pragniesz mojej miłości i czy ją odwzajemniasz?” Ów pierwszy moment zawstydzenia, moment powstrzymywanej, a jednak niemożliwej do powściągnięcia niecierpliwości, mógł stać się niebezpieczny, a zarazem decydujący – czułem to wyraźnie. Jedno niezręczne słowo, jeden niewłaściwy gest, a mógłbym popełnić okrutną zdradę, wyjawiając to, czego mi wyjawić nie było wolno, i w mej brutalności obraziłbym Edytę w sposób nieodwracalny, przed czym mnie Condor z takim naciskiem ostrzegał. Jeżeli jednak to pierwsze spojrzenie wytrzymam, uratuję siebie, a może uratuję na zawsze i ją.

Lecz gdy nazajutrz wszedłem do pałacu, od razu się zorientowałem, że Edyta, przewidująca i widocznie powodowana tymi samymi względami, postarała się, abyśmy nie spotkali się sam na sam. Już w przedpokoju usłyszałem dźwięczne głosy kobiece; o tej niezwyklej porze, o której goście nigdy dotąd nam nie przeszkadzali, zaprosiła znajomych ku wspólnej naszej obronie, aby w pierwszym krytycznym momencie przerzucić most pomiędzy nami.

Zanim zdążyłem wejść do salonu, Ilona – może z nakazu Edyty, a może z własnego popędu – pospieszyła mi naprzeciw z nienaturalną radością. Poprowadziła mnie dalej i przedstawiła pani naczelnikowej okręgu oraz jej córce, anemicznej, piegowatej, złośliwej dziewczynie, o której zresztą wiedziałem, że Edyta jej nie cierpi. Ostrze pierwszego momentu było więc stępione i Ilona popchnęła mnie w stronę stołu. Piliśmy herbatę i gawędzili. Rozmawiałem żywo z piegowatą gąską prowincjonalną, zaś Edyta bawiła rozmową jej matkę. Dzięki takiemu przypadkowemu podziałowi ról niewidzialne, lecz wibrujące między nami napięcie zostało złagodzone; mogłem uniknąć patrzenia na Edytę, jakkolwiek czułem, że spojrzenie jej od czasu do czasu niespokojnie na mnie spoczywa. Gdy wreszcie obydwie panie wstały, sprytna Ilona szybkim manewrem natychmiast uratowała sytuację.

– Odprowadzę panie... Możecie już zacząć waszą partię szachów, bo mam jeszcze coś przygotować do podróży, ale za godzinę do was wrócę.

– Ma pani chęć zagrać? – mogłem teraz spokojnie zapytać.

– Owszem – Edyta spuściła oczy.

Pozostałe trzy panie wyszły z pokoju.

Nie podniosła oczu, gdy ustawiałem szachownicę i troskliwie, by zyskać na czasie, porządkowałem pionki. Zazwyczaj według starego prawidła szachistów rozstrzygaliśmy o pierwszeństwie ataku i obrony, chowając za plecami w zaciśniętej pięści biały i czarny pionek. Lecz tego rodzaju wybór miałby już dziś swą wymowę, wymagałby słowa „prawa” albo „lewa”, a ponieważ nawet tego unikaliśmy zgodnie oboje, rozstawiałem figurki w milczeniu. Aby tylko nie mówić! Skupić wszystko na kwadracie czterdziestu sześciu pól! Wpatrywać się w pionki i nie spojrzeć na cudze palce, które je przesuwają! Graliśmy w ten sposób pozornie zatopieni w sytuacjach, co bywa właściwe jedynie zagorzałym mistrzom, zapominającym o wszystkim dookoła i koncentrującym całą uwagę wyłącznie na rozgrywce.

Ale wkrótce sama gra zdradziła nieszczerść naszego postępowania. Przy trzeciej partii siły Edyty wyczerpały się widocznie, bo robiła błędne posunięcia, a po drzeniu jej palców można było zrozumieć, że nie zniesie dłużej tego sztucznego milczenia. Nagle w środku partii odsunęła szachownicę.

– Dosyć, niech mi pan da papierosa!

Wyjąłem go z cyzelowanej, srebrnej szkatułki i uprzedzająco grzecznie podałem zapaloną zapałkę. Gdy rozbłysło światło, nie mogłem uniknąć jej oczu. Patrzyły nieruchomo, nie zwrócone ani na mnie, ani w jakimś innym określonym kierunku; jak zamarłe w lodowatym gniewie stężały bez ruchu, obce w wyrazie, a jednak ściągnięte brwi drgały nad nimi drżącym łukiem. Zrozumiałem od razu ten ostrzegawczy znak, przepowiadający nieomylnie nerwowy wybuch.

– Nie, nie! – zawołałem szczerze przerażony. – Proszę niech się pani uspokoi!

Odrzuciła się w fotelu i drganie wstrząsnęło jej ciałem, a palce coraz głębiej wpijały się kurczowo w poręcz.

– Nie, nie! – poprosiłem jeszcze raz, bo prócz tego jednego błagalnego słowa nic innego nie przychodziło mi na myśl.

Lecz wzbierający szloch już przerwał milczenie. Nie było to łkanie dzikie i głośne, lecz cichy wstrząsający płacz z zaciśniętymi ustami – sprawiało to wrażenie jeszcze straszniejsze! – płacz, wstydzający się samego siebie, nie dający się opanować.

– Nie! Proszę, niech pani nie płacze – rzekłem i pochyliwszy się nad nią, chcąc ją uspokoić, położyłem rękę na jej ramieniu.

Przez ciało dziewczyny przebiegł niby elektryczny prąd i wstrząsnął całą skurczoną postacią.

Nagle uspokoiło się wszystko, ciało jej znieruchomiało i stężało; zdawać się mogło, że czeka, że nasłuchuje, aby pojąć, czego chce ten obcy dotyk; czy oznacza pieszczotę, miłość czy tylko litość. Okropne było to czekanie z zapartym tchem, to oczekiwanie nieruchomego, nasłuchującego ciała... Nie miałem odwagi cofnąć ręki, która w tak przedziwny sposób uciszyła wzbierający płacz, a z drugiej strony nie mogłem zebrać sił, aby zmusić palce do pieszczoty, na którą ciało Edyty i jej rozpalona skóra – czułem to! – czeka z takim napięciem. Pozostawiłem rękę na jej ramieniu niby obcy przedmiot i zdawało mi się, że cała jej ciepła, pulsująca krew zbiega się w to jedno miejsce.

Ręka moja leżała bezwładnie, a nie wiem, jak długo to trwało, gdyż czas stanął nieruchomo jak powietrze w pokoju. Uczułem wreszcie lekki wysiłek jej mięśni. Odwracając spojrzenie i nie patrząc na mnie, łagodnie przesunęła mą rękę z ramienia bliżej ku piersi, z wolna przyciągnęła ją do swego serca, a druga jej ręka nieśmiało i pieszczotliwie zbliżyła się do pierwszej. Obydwie trzymały teraz delikatnie, lecz pewnie moją dużą, ciężką, mocną rękę i leciutko, leciuteńko zaczęły ją lęklonie pieścić. Zrazu cienkie palce powędrowały jakby ciekawie wokół mojej bezbronnej i nieruchomej dłoni, muskając skórę z lekkością oddechu. Potem poczułem jak dziecinne, subtelne dotknięcia ostrożnie posuwają się od przegubu do końca palców, jak od wewnątrz i na zewnątrz, na zewnątrz i od wewnątrz usiłują pieszczotliwie naśladować ich kształt, jak przestraszone zatrzymały się przy twardych paznokciach, okrążyły je i znów pobiegły w górę wzdłuż żył aż do przegubu, by po chwili znów wrócić. Były to jedynie delikatne zwiady, nie zdobyła się na odwagę, aby mą rękę ująć i mocno przytrzymać. Rozigrana pieszczota, pełna czci, a zarazem dziecięca, pełna podziwu i zawstydzenia

opływała moją rękę jak letnia woda. A jednak uczułem, że rozkochana dziewczyna bierze mnie w posiadanie przez tę jedyną, drobną dostępną jej część mego ciała. Głowa jej bezwolnie odchyliła się głębiej w fotelu, aby z tym większą rozkoszą napawać się lekkim dotknięciem rąk. Leżała jak śpiąca, jak pogrążona w snach, z zamkniętymi oczami, z miękko rozchylonymi wargami, a twarz jej promieniała całkowitym odprężeniem, zaś igrające palce wciąż od nowa z coraz większą radością przebiegały moją rękę od przegubu do paznokci. Nie było w tym serdecznym dotyku pożądania, lecz ciche i pełne podziwu uszczęśliwienie, że wolno jej posiadać chociażby pobieżnie jakiś skrawek mego ciała i wyznawać mu bezgraniczną miłość. W najbardziej rozżarzonym uścisku żadnej kobiety nie odczuwałem dotąd tyle wzruszającej tkliwości, ile w tej delikatnej, nieomal sennej pieszczocie.

Nie wiem, jak długo to trwało. Tego rodzaju przeżycia rozgrywają się poza wymiarem czasu. Z tego nieśmiałego głaskania płynęło coś oszołamiającego, upajającego, hipnotycznego, co mnie bardziej wzburzało i podniecało niż ów niespodziany, palący pocałunek. Nie miałem siły cofnąć ręki. „Pozwól mi tylko kochać ciebie” – przypomniałem sobie i bezwolnie jak we śnie wchłaniałem ten ustawiczny dreszcz poprzez skórę aż do nerwów, poddając mu się bezbronny, niemocny, a jednak podświadomie zawstydzony, że jestem tak ponad wszelką miarę kochany, a ze swej strony nie czuję nic poza nieśmiałością i pełnym zakłopotania lękiem.

Stopniowo jednak własne moje stężenie stało mi się nieznośne. Nie męczyła mnie pieszczota, ciepłe głaskanie subtelnych palców ani lekki jak muskanie delikatny dotyk, lecz świadomość, że ręka moja leży jak martwa, jak gdyby nie należała do mnie i jak gdyby pieszczący ją człowiek nie wchodził w orbitę mego życia. Wiedziałem, jak się w półśnie słyszy dzwony z wież, że muszę dać jakąś odpowiedź: albo się cofnąć, albo jakoś odwzajemnić pieszczotę. Lecz nie miałem sił ani do jednego, ani do drugiego – ogarnęło mnie tylko nagle pragnienie, aby zakończyć niebezpieczną grę, i ostrożnie sprężyłem mięśnie. Z wolna, z wolna ręka moja zaczęła się wysuwać z delikatnego ujęcia, a sądziłem, że dzieje się to nieznacznie. Lecz wrażliwa dziewczyna odczuła natychmiast, zanim sam o tym wiedziałem, że się cofam, i raptownie, prawdziwie przestraszona, puściła moją rękę. Palce jej opadły jak zwiędłe i ze skóry mojej znikło nagle ciepło darzące mnie przyjemnym dreszczem. Nieco zakłopotany zdjąłem rękę z jej piersi. Jednocześnie twarz Edyty zgasła, a wokół jej ust znów ukazał się dziecinny, nadaśany wyraz.

– Nie! Nie! – szepnąłem nie znajdując innego słowa. – Zaraz przyjdzie Ilona.

A widząc, że na te puste i bezsilne słowa dziewczyna zaczyna drżeć jeszcze mocniej, poddałem się nagle wybuchającej litości. Schyliłem się i zwiwnym dotknięciem pocałowałem ją w czoło.

Jej źrenice szare i niechętne wpatrywały się we mnie, jak gdyby zgadywały myśli za moim czołem – nie oszukałem jasnowidzącego uczucia tej wrażliwej istoty. Zrozumiała, że z usuwającą się ręką cofałem się cały od jej pieszczoty i że szybki pocałunek nie był wywołany prawdziwą miłością, lecz zakłopotaniem i litością.

Popełniłem w owych dniach błąd, niemożliwy do naprawienia, niewybaczalny błąd. Pomimo gwałtownych wysiłków nie zdobyłem się na najwyższą cierpliwość, nie miałem sił, aby się maskować do końca. Daremnie starałem się nie zdradzić ani słowem, ani spojrzeniem, ani gestem, jak bardzo przykra mi jest jej czułość. Wciąż na nowo uświadamiałem sobie ostrzeżenie Condora, że biorę na siebie wielką odpowiedzialność i że muszę pamiętać, czym grozi każde zranienie tej wrażliwej istoty. „Niechże mnie kocha – powtarzałem sobie – będę się zamykał w sobie, przez ten jeden tydzień będę udawał zgodę, aby oszczędzić jej dumę. Niech się nie domyśli, że ją oszukuję, podwójnie oszukuję, mówiąc z taką pogodną pewnością o jej rychłym wyzdrowieniu, zaś jednocześnie drząc wewnątrz z lęku i wstydu. Trzeba być swobodnym, najzupełniej swobodnym – ostrzegałem siebie stale – trzeba nadać głosowi ton serdeczności, a ręką nakazać delikatność i pieszczotliwość”.

Lecz kobietę, która wyznała ukochanemu swą miłość, i owego mężczyznę otacza gorąca, tajemnicza i niebezpieczna atmosfera. Ludzie kochający obdarzeni są niesamowitym jasnowidztwem i rozpoznają nieomylnie prawdę uczuć tych, których kochają, ponieważ zaś miłość zgodnie z najistotniejszym swym sensem dąży do pełni i pragnie posiadania całkowitego, wszelkie odmierzanie i wszelka wstrzeźliwość musi być dla niej wstrętne i nieznośne. W każdym hamowaniu się i opanowaniu odczuwa wówczas opór, w każdym miarkowanym oddawaniu siebie słusznie wyczuwa skrytą obronę. W postawie mojej musiało się widocznie malować zmieszanie i zakłopotanie, zaś w słowach brzmieć coś nieszczerego i niezręcznego, gdyż żadne moje wysiłki nie mogły omylić jej czujnego wyczekiwania. Nie udawało mi się zdobyć jej zaufania, zaś podejrzliwość dziewczyny stawała się coraz bardziej niespokojna, gdyż nie dawałem jej tego najistotniejszego i jedyne-

czego pragnęła: nie odwzajemniałem jej miłości. Niekiedy w czasie rozmowy – i to właśnie wówczas, gdy najusilniej starałem się wzbudzić w niej ufność i serdeczność, podnosiła na mnie surowe spojrzenie swych szarych oczu, ja zaś spuszczałem powieki. Wydawało mi się, że zapuszcza we mnie sondę, by zbadać do głębi moje serce.

Trwało to przez trzy dni. Przez trzy dni trwała ta jej i moja męka; ustawicznie wyczuwałem ją w niemym, spragnionym wyczekiwaniu Edyty, w jej spojrzeniu, w jej milczeniu. Potem – zdaje się, że na czwarty dzień – zaczęła się rodzić owa dziwna wrogość, której zrazu nie pojmowałem. Przyszedłem jak zazwyczaj wczesnym popołudniem i przyniosłem chorej kwiaty. Wzięła je i nawet nie spojrzawszy na nie odłożyła bukiet niedbale na bok, aby tą podkreśloną obojętnością zaznaczyć, iż nie powinienem mieć nadziei, że wykupię się prezentami. Po nieomal pogardliwym: „Ach, po co takie piękne kwiaty!”, zabarykadowała się znowu za swym demonstracyjnym, a wrogim milczeniem. Spróbowałem rozmawiać swobodnie, lecz w najlepszym razie odpowiadała krótko „tak”, „hm” lub „to dziwne, rzeczywiście”, zaznaczając stale nieomal obraźliwie, że moja rozmowa zupełnie jej nie interesuje. Umyślnie nawet zewnętrznie podkreślała swą obojętność: bawiła się jakąś książką, przeglądała ją, odkładała, igrała innymi przedmiotami, raz czy dwa ostentacyjnie ziewnęła, potem w środku mego opowiadania zawołała służącego, zapytała go, czy zapakowano jej futro szynszylowe, i dopiero po jego twierdzącej odpowiedzi znów zwróciła się do mnie ze słowami:

– Niech pan mówi dalej – chłodnym tonem, dobitnie zdradzającym nie wypowiedziane dalsze wyrazy: „Wszystko mi przecież jedno, co pan mówi”.

Wreszcie poczułem, że opuszczają mnie siły. Coraz częściej spoglądałem na drzwi, czy ktoś nie nadchodzi, aby mnie uwolnić od tego rozpaczliwego monologu. Lecz i to nie uszło jej uwagi. Z ukrywanym szyderstwem spytała pozornie współczująco:

– Czy pan czegoś szuka? Potrzebuje pan czegoś?

Ja zaś, ku memu zawstydzeniu mogłem tylko głupio odpowiedzieć:

– Nie, ależ nie!

Prawdopodobnie byłbym uczynił najrozsądniej, gdybym przyjąwszy otwarcie wyzwanie krzyknął na chorą ostro: „Czego pani właściwie ode mnie chce? Czemu mnie pani dręczy? Jeżeli pani woli, mogę przecież odejść”. Ale

przyrzekłem Condorowi, że będę unikał wszelkiej brutalności i sporów. Zamiast więc odrzucić ciężar jej złośliwego milczenia, wlokłem w głupi sposób rozmowę przez dwie godziny, niby przez oporny, gorący piasek, aż wreszcie zjawił się Kekesfalva, bojaźliwy jak zawsze w ostatnich czasach, i jeszcze bardziej zakłopotany niż zwykle spytał:

– Może pójdziemy na kolację?

Siedzieliśmy wokół okrągłego stołu; Edyta naprzeciwko mnie. Nie podniosła oczu ani razu, do nikogo nie wyrzekła ani słowa. Wszyscy czuliśmy jej oporne, agresywne, obrażające i wymuszone milczenie. Usiłowałem gwałtem wywołać dobry nastrój. Opowiadałem o naszym pułkowniku, który niczym chroniczny alkoholik chorował w czerwcu i lipcu na tak zwaną „chorobę manewrów” i w miarę zbliżania się ich terminu stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej niezdolny. Aby rozdmuchać głupią historię, okraszałem ją naiwnymi detalami, jakkolwiek kołnierz u bluzy coraz mocniej mnie uciskał. Kekesfalva i Ilona śmieli się z przymusem i z widocznym wysiłkiem, by zamaskować przykre milczenie Edyty, która już po raz trzeci ostentacyjnie ziewnęła. „Będę mówił dalej” – pomyślałem i opowiedziałem, że dręczą nas w pułku tak, iż rady sobie dać nie możemy. Jakkolwiek wczoraj dwaj ułani spadli z koni, bo dostali porażenia słonecznego, niegodziwy dręczyciel co dzień ostrzej się do nas zabiera. Nikt nie wie, kiedy będzie mógł zsiąść z siodła, ani nie może przewidzieć, czy w tym zaciętrzewieniu nie każą mu najgłupszego ćwiczenia powtarzać po dwadzieścia lub trzydzieści razy. Ledwo mi się dzisiaj udało w porę wydostać z opałów, lecz nie wiem, czy jutro będę mógł przyjść punktualnie; to zależy od Pana Boga i pana pułkownika, który uważa siebie w tej chwili za Jego namiestnika na ziemi.

Było to niewinne stwierdzenie, nie mające ani nikogo zranić, ani zdenerwować. Powiedziałem to lekko, pogodnie, raczej w stronę pana Kekesfalvy, nie patrząc w ogóle na Edytę, gdyż od dawna już nie mogłem znieść jej nieruchomego spojrzenia, skierowanego w próżnię. Nagle rozległ się głośny szcęk. Nóż, którym przez cały czas nerwowo się bawiła, upadł w poprzek na talerz i dziewczyna wyskandowała ostro, nie zwracając uwagi na nasz przestrach:

– Och, jeżeli ma to panu sprawić taki kłopot, to niech pan raczej pozostanie w koszarach albo pójdzie do kawiarni. Jakoś to przeżyjemy!

Patrzyliśmy na nią bez tchu, jak gdyby ktoś niespodziewanie strzelił przez okno.

– Ależ Edyto... – wyjąkał Kekesfalva zdrętwiały z przerażenia.

Wyprostowała się gwałtownie i rzekła drwiąco:

– Trzeba przecież mieć litość dla tego udręczonego człowieka. Dlaczegoż pan porucznik nie miałby mieć chociażby dnia wolnego od służby u nas! Co do mnie, to chętnie daję mu urlop.

Kekesfalva i Ilona patrzyli na siebie zmieszani. Oboje zrozumieli natychmiast, że ten bezsensowny wybuch był wynikiem długo powstrzymanego wzburzenia chorej. Po lęku, z jakim na mnie spojrzeli, poznałem, iż się obawiają, że na brutalność zareaguję brutalnością. Ale właśnie dlatego z rozmysłem się opanowałem.

– A wie pani, panno Edyto, że właściwie ma pani słuszość – rzekłem z taką serdecznością, na jaką mi pozwoliło bijące serce. – Nie bywam dobrym towarzyszem, gdy jestem do takiego stopnia zmordowany; przez cały czas sam czuję, że panią dzisiaj porządnie znudziłem. Ale przez parę dni mogłaby się pani zadowolić takim wyczerpanym jegomościem. Bo jak długo jeszcze będę mógł tu do was przychodzić? Ledwo się obejrzymy, a dom będzie pusty i państwo wyjedziecie. Nie mogę sobie wcale wyobrazić, że już tylko niecałe cztery dni będziemy razem, cztery, a właściwie trzy i pół, aż państwo...

Lecz nagle rozległ się ostry i przenikliwy śmiech, jak gdyby ktoś przedarł sukno.

– Cha-cha-cha! Trzy i pół dnia! Cha-cha-cha! Nieomal co do godziny wyliczył sobie, kiedy się nas pozbędzie! Prawdopodobnie kupił sobie specjalny kalendarz i czerwono podkreślił: „Święto, wyjeżdżają!” Ale niech no pan słucha, można się czasem grubo przeliczyć! Cha-cha-cha! Trzy i pół dnia, trzy i pół, pół, pół...

Śmiała się coraz gwałtowniej, oczy jej błyszczały srogo, drżała podczas tego śmiechu jakby pod wpływem wysokiej gorączki. Wiedziałem, że najchętniej zerwałaby się, co byłoby najnaturalniejszym, najnormalniejszym odruchem przy tak mocnym wzburzeniu; lecz bezradne nogi przykuwały ją do krzesła. Przymusowe uwięzienie dodawało jej złości, rozdrażniona do najwyższego stopnia miała w sobie coś z tragicznej bezradności zwierzęcia zamkniętego w klatce.

– Zaraz, zaraz pójdę po Józefa! – szepnęła pobladła Ilona, przyzwyczajona od lat do odgadywania każdego jej poruszenia, a ojciec troskliwie zbliżył się do niej.

Lecz nasz strach okazał się zbyt silny, bo wszedł służący, Edyta pozwoliła się jemu i ojcu wyprowadzić bez słowa, nie żegnając się z nikim i nie usprawiedliwiając, zorientowała się jednak, widząc nasze zakłopotanie, że zrobiła nam wszystkim wielką przykrość.

Zostałem z Iloną sam. Czuję się jak człowiek, który budzi się z tępego przerażenia i nie wie, co się właściwie z nim stało.

– Musi pan to zrozumieć – szepnęła Ilona gorączkowo – Edyta nie śpi teraz zupełnie. Myśl o podróży straszliwie ją podnieca, a... przecież pan wie...

– Owszem, panno Ilono, wiem. Wiem wszystko – rzekłem – i właśnie dlatego jutro przyjdę.

„Muszę wytrzymać! Muszę wytrwać!” – mówiłem sobie energicznie po tej scenie, idąc wzburzony do domu, – Za wszelką cenę muszę wytrwać. Obiecałem to Condorowi i w grę wchodzi słowo honoru. Nie dam się zepchnąć z drogi ani jej nerwom, ani humorom. Muszę stale uświadamiać sobie, że owa wrogość jest przecież tylko rozpaczą człowieka, który mnie kocha i wobec którego zawiniłem przez swą oschłość i chłód serca. Muszę wytrzymać aż do ostatniej chwili, przecież to tylko trzy i pół dnia, trzy dni! Wówczas powiem sobie, że wytrzymałem próbę, i będę mógł wypoczywać przez tygodnie, przez długie miesiące! Cierpliwości więc, cierpliwości jeszcze przez ostatni okres, przez ostatnie trzy i pół, a raczej przez trzy dni!

Condor miał słuszość. Przeraża nas wyłącznie niewymierność oraz sprawy niemożliwe do objęcia umysłem, natomiast zadania o ściśle zakreślonych granicach podniecają nas do wypróbowania sił, stając się miarą naszej wytrzymałości. Trzy dni? Czuję, że wytrzymam, a świadomość tego napawa mnie pewnością siebie.

Nazajutrz z rana pełniłem służbę doskonale, co miało swą wymowę, gdyż owego dnia musieliśmy wyjechać na plac ćwiczeń o godzinę wcześniej niż zazwyczaj i manewry prowadzone były z taką zajadłością, że pot lał się z nas strumieniami. Ku memu zdumieniu zdarzyło się, iż nawet nasz zgryźliwy pułkownik zmuszony był mimo woli powiedzieć mi „dobrze”; tym gwałtowniejsza dostała się bura Steinhüblowi. Zakochany w koniach i pasjonujący się nimi wariat kupił sobie właśnie poprzedniego dnia nowego,

wysokonogiego ogiera, młodego nie ujeżdżonego folbluta, a w swej nieostrożności, ufając zbyt swojemu sztuce jeździeckiej, uprzednio go nie wypróbował. Nagle pośrodku parady podła szkapa przeraziła się cieniem ptaka, stanęła dęba, dwukrotnie podczas ataku wyłamała się z szeregu i popędziła w pole; gdyby Steinhübel nie był tak świetnym jeźdźcą, cały front miałby ciekawe widowisko z rotmistrza zlatującego na łeb. Dopiero po walce nieomal akrobatycznej zdołał opanować rozwścieczonego bydlaka, a za ten godny szacunek wyczyn nie usłyszał od pułkownika nic przyjemnego. Wyprasza sobie raz na zawsze, zawarczał na niego, cyrkowe sztuki na placu ćwiczeń; jeżeli pan hrabia nie zna się na koniach, niechże je przynajmniej uprzednio przyzwycięży w manège i nie blamuje się tak skandalicznie przed żołnierzami!

Rotmistrz zgryzł się złośliwą uwagą niezmiernie. Jeszcze podczas jazdy do domu, a potem przy stole, tłumaczył nam wciąż od nowa, jaka go spotkała niesprawiedliwość. Koń jest zbyt krwisty, ale zobaczymy, jaki będzie świetny, gdy mu się wypędzi muchy z nosa! Lecz im bardziej się denerwował, tym więcej podburzali go koledzy.

– Pozwoliłeś się nabrać! – dokuczali mu, doprowadzając go nieomal do rozpaczy.

Rozmowa stawała się coraz głośniejsza, nagle wśród najburzliwszej dyskusji zbliżył się do mnie ordynans.

– Telefon do pana porucznika.

Zerwałem się wiedziony złym przeczuciem. W ostatnich tygodniach wszelkie telefony, depesze i listy sprowadzały wyłącznie zdenerwowanie i wytrącały mnie z równowagi. Czego Edyta znowu chce? Prawdopodobnie żałuje, że dała mi dzisiaj wolne popołudnie. No, tym lepiej, w takim razie wszystko ułoży się pomyślnie. Zamknąłem za sobą dokładnie wymateracowane drzwi kabiny, jak gdybym chciał przerwać kontakt między kręgiem mej służby a tamtym, osobistym. Dzwoniła Ilona.

– Chciałam panu powiedzieć – rzekła nieco zakłopotana, jak mi się wydało – że byłoby lepiej, gdyby pan dziś do nas nie przyszedł. Edyta nie czuje się zupełnie dobrze...

– Chyba nic poważnego? – przerwałem.

– Nie, nie... Tylko zdaje mi się, że będzie lepiej, jeżeli damy jej dziś wypocząć, a zresztą... – pauza była dziwnie długa – a zresztą... nie chodzi już teraz o ten jeden dzień. Musimy przecież... będziemy musieli wyjazd odłożyć.

– Odłożyć? – spytałem to widocznie z bojaźnią w głosie, gdyż dodała spieszenie:

– Tak... ale mamy nadzieję, że tylko na parę dni. Zresztą omówimy to jutro lub pojutrze. Może jeszcze do pana zatelefonuję. Chciałam panu tylko naprędce to powiedzieć. A więc dzisiaj – nie! Do widzenia!

– Ależ, ależ... – wyjąkałem w aparat, ale nie było już odpowiedzi.

Słuchałem przez parę minut – nie, nikt nie odpowiadał. Odłożyłem słuchawkę. Dziwne, czemu zakończyła rozmowę tak raptownie, tak szybko, jak gdyby się obawiała, że będę pytał dalej? To coś znaczy... I czemu odkładają podróż? Przecież wszystko oznaczone było co do dnia. Condor powiedział: „Tydzień”. Tydzień! Przygotowałem się już wewnętrznie na tych siedem dni, a teraz znowu... niemożliwe... to przecież niemożliwe! Nie wytrzymam tej ciągłej huśtawki w górę i w dół. Ja także mam nerwy! Ostatecznie i ja również chciałbym mieć spokój!

Czy rzeczywiście tak gorąco w tej kabinie? Nieomal dusząc się szarpnąłem drzwi i pospieszyłem na swoje miejsce. Nikt widocznie nawet nie dostrzegł mego odejścia i powrotu. Koledzy sprzeczali się ze Steinhübblem i wyśmiewali go nadal, a obok mego pustego krzesła stał wyczekująco ordynans z półmiskiem pieczystego. Machinalnie, aby chłopak odszedł jak najprędzej, wziąłem na talerz dwa czy trzy kawałki, lecz nie ruszyłem widelca ani noża, gdyż w skroniach czułem znowu gwałtowne łupanie, jak gdyby mały młotek nielitościwie kuł mi na wewnętrznej stronie kości słowa: „Odkładają! Odkładają podróż! Musieli mieć chyba jakiś powód? Z pewnością coś się stało. Może poważnie zachorowała? Może ją obraziłem? Dlaczego nagle nie chce wyjechać? Przecież Condor mi przyrzekł, że będę musiał wytrzymać tylko przez tydzień, i już przez pięć dni jakoś przebrnąłem. Ale dłużej nie podołam... po prostu nie mogę!”

– O czym tak myślisz, Tolek? Widzę, że ci nie smakuje nasz klubowy kotlet? Tak, tak, nic dziwnego, jeżeli jest się przyzwyczajonym do prawdziwego wykwintu. Przecież ciągle powtarzam, że obecnie niczym cię u nas nie można zadowolić!

Ach, ten przeklęty Ferenc ze swym dobrodusznym, szerokim uśmiechem i te jego wieczne, niegodziwe uwagi, jak gdybym był u Kekesfalvów pieczeniarem!

– Do wszystkich diabłów, daj mi wreszcie spokój z twoimi żartami! – wykrzyknąłem.

Cała nagromadzona we mnie złość musiała się chyba wyrazić w głosie, gdyż siedzący naprzeciwko dwaj podchorążowie podnieśli zdziwieni głowy. Ferenc odłożył nóż i widelec.

– Słuchaj no, Tolek – rzekł groźnie – wypraszam sobie taki ton. Chyba przy obiedzie wolno zażartować? Jeżeli gdzie indziej smakuje ci lepiej, masz rację, to twoja rzecz i nic mnie to nie obchodzi, ale przy naszym stole wolno mi chyba zauważyć, że nic nie jesz?

Blżej siedzący patrzyli na nas z zainteresowaniem. Szczęk sztucców i talerzy nagle przycichł. Nawet major zmrużył jedno oko i surowo patrzył na nas. Wiedziałem, że był najwyższy czas, aby naprawić swój brak opanowania.

– A ty, Ferenc – odparłem zmuszając się do śmiechu – pozwól łaskawie, że mnie boli głowa i nie czuję się dobrze.

Ferenc natychmiast zmiękł.

– Przepraszam cię Tolku, ale któż mógł wiedzieć? Rzeczywiście wyglądasz pod psem. Widzę już od paru dni, że jakoś z tobą nietęgo. No, wylizasz się, nie boję się o ciebie.

Incydent został szczęśliwie zażegnany, ale złość trzęsła mną nadal. „Co ci Kekesfalwowie ze mną wyprawiają? Tam i z powrotem, to w górę, to w dół, to zimno, to gorąco – nie, nie pozwolę postępować z sobą w taki sposób. Powiedziałem: trzy dni, trzy i pół – ani godziny dłużej! Czy wyjazd odkładają, czy go nie odkładają, to mi obojętne. Nie pozwolę dłużej, aby mi szarpano nerwy, nie dam się już dręczyć tej przeklętej litości. Przecież to można zwariować!”

Musiałem się hamować, by nie zdradzić szalejącej we mnie wściekłości. Najchętniej byłbym chwycił kieliszek i strzaskał go w palcach albo wyrzucił pięścią w stół, czułem, że muszę koniecznie zrobić coś gwałtownego, żeby się pozbyć nieznośnego napięcia. Aby tylko nie siedzieć tak bezradnie i nie trząść się w oczekiwaniu, iż ktoś napisze lub zatelefonuje z wiadomością, iż

przesuwają podróż lub jej nie przesuwają. Nie, po prostu nie mogłem już wytrzymać, musiałem coś przedsięwziąć.

Koledzy po przeciwnej stronie stołu jeszcze ciągle dyskutowali z ożywieniem.

– A ja ci powiadam – ironizował chudy Józsi – że kupiec zwyczajnie cię nabrał. Znam się trochę na koniach, ale z tym bydlakiem nie dasz sobie rady i nikt go nie ujeździ.

– Naprawdę? Chciałbym to zobaczyć – wmieszałem się nagle do rozmowy – chciałbym zobaczyć, czy nie można sobie dać rady z taką szkapą. Powiedz no, Steinhübel, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym wsiadł teraz na twojego ogiera i przez godzinę pokazał mu, gdzie raki zimują?

Nie mam pojęcia, jakim sposobem wpadłem na tę myśl, czułem jednak taką potrzebę, aby swą złość na kimkolwiek lub czymkolwiek wyładować, aby się zmierzyć, aby się bić, że pożądliwie uchwyciłem się tej przypadkowej okazji. Wszyscy spojrzeli na mnie zdziwieni.

– *À la bonheur!* – roześmiał się Steinhübel. – Jeżeli masz odwagę, to mi nawet wyświadcysz przysługę. Aż mnie dziś kurcz w rękach schwycił, tak musiałem szarpać tego bydlaka. Dobrze by było, gdyby ktoś nowy wziął go w obroty. Jeżeli chcesz, możemy zaraz zacząć. A więc chodźmy!

W przeczuciu zajmującego widowiska wszyscy się zerwali. Poszliśmy do stajni, żeby Cezara wyprowadzić. To bohaterskie imię nadał Steinhübel przedwcześnie swemu zuchwałemu rumakowi. Cezarowi od razu wydało się trochę dziwne, gdy ujrzał przed boksem naszą rozgadaną gromadę. Prychając zatańczył w wąskim pomieszczeniu, szarpiąc uzdę, aż deski trzeszczały. Z pewnym trudem wyprowadziliśmy jednak nieufne zwierzę do maneżu.

Na ogół byłem jeźdźcem średniej miary i nie dorównywałem absolutnie tak zapalonemu kawalerzyście, jakim był Steinhübel. Ale dzisiaj mój kolega nie mógłby znaleźć lepszego ujeźdźacza, a nieposkromiony Cezar – niebezpieczniejszego partnera. Wezbrana złość sprężyła mi bowiem mięśnie, a niedobra chęć, aby coś zgnieść, aby coś pokonać, sprawiała mi nieomal sadystyczne zadowolenie, iż będę mógł przynajmniej temu opornemu zwierzęciu pokazać, że moja cierpliwość ma granice. Na nic się nie przydało dzielnemu Cezarowi, że pędził jak rakietą, walił kopytami w ściany, stawał dęba i raptownymi susami starał się mnie zrzucić. Zawzięłem się, nielitościwie ściągałem uzdę, jak gdybym chciał wędzidłem wyłamać mu

zęby, i wpijałem ostrogi w żebra konia, a wobec takiego traktowania wkrótce kaprysy mu przeszły. Jego dziki opór podniecał mnie, zachwycał i wyzywał do walki, a pełne podziwu uwagi oficerów: „Do diabła, a to mu dał bobu!” oraz „Patrzcie, patrzcie na tego Hofmillera!” – dodawały mi odwagi i pewności siebie. Z fizycznych wyczynów spływa bowiem zawsze zadowolenie na psychikę człowieka. Po pół godzinie bezwzględnej walki siedziałem już w siodle zwycięsko, a poskromione zwierzę z pianą u pyska, zgrzane i spienione wyglądało, jak gdyby opuściło gorącą łaźnię. Szyja i uprząż bieleły od piany, uszy leżały płasko i pokornie, a po następnej pół godzinie niezwyknięty rumak szedł posłusznie i miękko według mej woli. Nie potrzebowałem już ścisnąć go łydkami, mogłem spokojnie zsiąść i przyjąć powinszowania kolegów. Czułem jednak jeszcze tyle nagromadzonej w sobie chęci walki, a wysiłek wprowadził mnie w tak dobre samopoczucie, że poprosiłem Steinhübbla, by mi pozwolił na godzinkę lub dwie pojechać na plac ćwiczeń, oczywiście stępa, żeby zgrzane zwierzę ostygło.

– Ależ bardzo cię proszę! – skinał mi Steinhübel ze śmiechem. – Już widzę, że mi go zwrócisz w doskonałym stanie. Odechce mu się teraz wszelkich sztuczek. Brawo, Tolku, podziwiam cię!

Burzliwie oklaskiwany przez kolegów wyjechałem z maneżu, krótko trzymając cugle, i przejechałem na zmęczonym koniu przez miasto na łąki. Poszedł lekko i swobodnie, a ja również czułem się swobodny i lekki. Całą swą złość wywarłem w ciągu tej godziny na krnąbrnym zwierzęciu. Cezar szedł teraz pode mną całkiem niewojowniczo, pokornie, ja zaś musiałem przyznać słusność Steinhüblowi, że jego rumak był świetny. Chyba nie można było galopować piękniej, lotniej i płynniej, toteż moje początkowe niezadowolenie zmieniło się stopniowo w uczucie rozkoszy i nieomal rozmarzenia. Przez godzinę cwałowałem po okolicy, aż wreszcie około wpół do piątej zawróciłem. Obydwaj, ja i Cezar, mieliśmy na dzisiaj dosyć. Wygodnie, stępa, powracałem dobrze mi znaną szosą do miasta, czując się trochę zmęczony. Nagle usłyszałem za sobą głośny, ostry klakson. Nerwowy koń nastawił uszy i zaczął drżeć, lecz w porę wyczuwszy jego lęk, krótko ująłem cugle i kolanami skierowałem go ze środka drogi aż na jej skraj, pod drzewo, chcąc swobodnie przepuścić samochód.

Szofer był widocznie roztropny i dobrze zrozumiał mój przezorny manewr. Powoli, ledwo dudniąc motorem, minał mnie zwolnionym tempem. Właściwie zbyteczna była moja uwaga skupiona na drżącym koniu i niepotrzebnie tak mocno ścisnąłem go łydkami, przygotowany w każdej

chwili na skok w tył lub w bok, gdyż przy mijaniu samochodu zwierzę stało spokojnie. Mogłem rzucić okiem na auto i właśnie w sekundzie, gdy podniosłem wzrok, dostrzegłem, że ktoś z niego macha ku mnie ręką; obok jajowatej, z rozwianym białym włosiem głowy Kekesfalvy poznałem okrągłą łysinę Condora.

Nie wiedziałem, czy drży pode mną koń, czy ja sam. „Co to znaczy, że Condor przyjechał, nie zawiadomiwszy mnie o tym? Był widocznie u Kekesfalwów, bo stary siedział obok niego w aucie. Ale czemu nie stanęli, aby się ze mną przywitać, dlaczego minęli mnie jak obcy i czemu doktor znowu przyjechał? Od drugiej do czwartej ma przecież w Wiedniu godziny przyjęć. Widocznie wezwali go, i to już wczesnym rankiem. Musiało się coś stać. Prawdopodobnie ma to też jakiś związek z telefonem Ilony, zawiadamiającym, że podróż została przesunięta i że prosi, abym dziś nie przychodził. Bezsprzecznie stało się coś, co przede mną ukrywają. Może sobie zrobiła coś złego! Wczoraj wieczorem zachowywała się z jakąś dziwną determinacją, i była jakaś drwiąca, pewna siebie, niby człowiek planujący coś złego, coś niebezpiecznego. Z pewnością coś sobie zrobiła! Może pogalopować za nimi? Może dogonię jeszcze Condora na stacji?

Ale natychmiast zorientowałem się, że doktor nie musiał przecież jeszcze wyjeżdżać. „Nie, w żadnym razie nie wyjeżdżałby, gdyby się rzeczywiście stało coś złego, i dałby mi znać o tym. Może zresztą zastanę od niego wiadomość w koszarach. Wiedziałem, że ten człowiek nie zrobiłby nic potajemnie, nie uczyniłby nic przeciwko mnie, nie opuściłby mnie z pewnością. A więc szybko do domu! Na pewno znajdę tam list, kartkę od niego lub nawet zastanę jego samego. Jak najszybciej do domu!”

W koszarach spiesznie oddałem konia i unikając rozmów oraz powinszowań pobiegłem bocznymi schodami do siebie. I rzeczywiście przed drzwiami do mego pokoju czekał już Kuźma, a po jego wystraszonej twarzy i stulonych ramionach od razu poznałem, że coś się stało. Nieco zakłopotany zameldował, że czeka na mnie jakiś pan w cywilnym ubraniu, a nie miał odwagi go odprawić, bo bardzo był natarczywy. Kuźma miał surowy zakaz pozostawiania kogokolwiek w moim pokoju, lecz prawdopodobnie Condor dał mu napiwek i dlatego mój ordynans był tak przestraszony i zmieszany. Jednak strach zmienił się natychmiast w zdziwienie, gdy zamiast go złajać, mruknałem jowialnie:

– Dobrze, możesz odejść – i pobiegłem do pokoju.

Chwała Bogu, przyszedł Condor i wszystko mi opowie.

Gwałtownie otworzyłem drzwi i z kąta zaciemnionego pokoju (Kuźma spuścił rolety z powodu upału) wyrosła jakaś postać. Serdecznie pospieszyłem jej naprzeciw, lecz nagle poznałem, że to nie był Condor. Czekał tu na mnie ktoś inny, ktoś, kogo się najmniej spodziewałem. Był to Kekesfalva, a gdyby nawet w pokoju panowała głębsza ciemność, poznałbym go wśród tysięcy ludzi po nieśmiałym sposobie wstawania i kłaniania się. Zanim chrząkając zaczął mówić, już wiedziałem, że będzie to głos pokorny i wstrząsający zarazem.

– Proszę wybaczyć, panie poruczniku – rzekł z ukłonem – że wdarłem się tu bez zameldowania. Ale doktor Condor zlecił mi dla pana specjalne pozdrowienia i kazał przeprosić, że nie zatrzymał auta. Było jednak bardzo późno, a musiał koniecznie zdążyć na pospieszny do Wiednia, ponieważ ma tam coś wieczorem... i... i... dlatego mnie prosił, żebym panu powiedział, jak mu przykro... Tylko dlatego... to jest, chciałem powiedzieć, że dlatego pozwoliłem sobie przyjść do pana.

Stał przede mną ze spuszczoną głową, jakby go przygniatało niewidzialne brzemie. W półmroku jaśniała koścista czaszka pod rzadkimi włosami. Zupełnie niepotrzebna służalczość w jego postawie zaczynała mnie irytować, a nieprzyjemne uczucie mówiło mi nieomylnie, że za tymi sztucznymi wykrętami ukrywa się jakiś cel. Przecież tylko dla oddania mi pozdrowień stary, chory na serce człowiek nie wchodzi na trzecie piętro; mógł je równie dobrze przekazać telefonicznie lub zachować do jutra. „Uwaga – powiedziałem sobie. – Ten Kekesfalva czegoś ode mnie chce. Już raz wynurzył się w ten sposób z mroku. Zaczyna pokornie jak żebrak, a ostatecznie wymusi coś na mnie wbrew mej woli jak ów starzec z bajki od owego litościwego człowieka. Nie ulec, nie wydać się w jego ręce, o nic nie pytać, nie żądać żadnych wiadomości, jak najprędzej go pożegnać i wyprowadzić!”

Lecz starzec stał przede mną z pokornie spuszczoną głową. Widziałem jego rzadkie, równo rozdzielone, siwe włosy. Przypominał mi jak przez sen moją babkę, gdy schylona nad robótką opowiadała nam, malcom, bajkę. Przecież nie można starego, chorego człowieka odprawić niegrzecznie, toteż nie bacząc na gorzkie doświadczenie wskazałem mu krzesło:

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że raczył się pan pofatygować osobiście. Doprawdy, bardzo uprzejmie! Może pan spocznie?

Kekesfahra nie odpowiadał. Może nie dosłyszał, ale chyba zrozumiał ruch mojej ręki, bo nieśmiało usiadł na skraju podanego sobie krzesła. Błyskawicznie przeszło mi przez głowę, że tak nieśmiało siadywał pewno za czasów swej młodości u stołu obcych ludzi, karmiących go z łaski. I tak samo obecnie, jako milioner, siedzi w moim ubogim, zniszczonym fotelu trzciniowym. Zdjął troskliwie okulary, wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął z wieloma ceremoniami przecierać szkła. „Och, mój kochany – pomyślałem – nie jestem w ciemną bitą, znam te czyszczenia i te wszystkie triki! Przecierasz szkła, żeby zyskać na czasie, i czekasz, żebym zaczął rozmowę, żebym pytał, a wiem nawet, o co chciałbyś, żebym zapytał: Czy Edyta zachorowała i dlaczego odsunięto wyjazd? Nie, nie, będę się miał na baczności. Zaczynaj sam, jeżeli masz mi coś do powiedzenia. Nie ułatwię ci tego ani słowem. O nie, nie dam się znowu wciągnąć w tę grę. Dość mam tej przeklętej litości i dość tego wiecznego żądania, abym dawał z siebie coraz więcej. Basta, dość tych podejść i zawołanych niedomówień. Jeżeli czegoś ode mnie chcesz, to mów prędko i uczciwie, nie chowając się za tym naiwnym czyszczeniem okularów. Nie dam się już złapać na lep, przejadłem się swoją litością!”

Starzec, jak gdyby usłyszał słowa nie wypowiedziane przez moje zamknięte usta, zrezygnowany położył wreszcie przed sobą przetarte okulary. Prawdopodobnie wyczuł, że nie chciałem mu pomóc i że musi zacząć sam; uparcie nie podnosząc głowy zaczął mówić nie patrząc na mnie. Wyglądało to, jak gdyby mówił do stołu i jak gdyby od twardego, popękane drewna spodziewał się więcej litości niż ode mnie.

– Wiem, panie poruczniku – rzekł z zakłopotaniem – że nie mam prawa, och, z pewnością nie mam prawa, aby zabierać panu czas. Ale cóż mam robić, cóż mamy robić? Nie wiem, jak dalej postępować, my wszyscy tego nie wiemy... Bóg raczy wiedzieć, jak to się stało, jak to na nią przyszło, ale rozmawiać z nią nie można, bo nikogo już nie chce słuchać. A przecież wiem, że nie robi tego rozmyślnie ani ze złej woli. Jest tylko nieszczęśliwa, bezgranicznie nieszczęśliwa. Dręczy nas wyłącznie z rozpacz... niech mi pan wierzy, tylko z rozpacz.

Czekałem, by wyjaśnił, czego chce. Czym ich dręczy? Co się stało? Ach, gdybyż wreszcie powiedział! Czemu mówi ogólnikami, czemu nie powie wprost, co się stało?

Starzec wlepił spojrzenie w stół.

- A przecież wszystko już było omówione, wszystko mieliśmy przygotowane. Miejsca w wagonie sypialnym były zarezerwowane, w sanatorium zamówiliśmy najpiękniejsze pokoje, a jeszcze wczoraj po południu paliła się z niecierpliwości. Sama wybrała książki, które chciała wziąć ze sobą, i przymierzała nowe suknie oraz futro, które sprowadziłem z Wiednia – aż tu naraz coś ją opętało! Nic nie rozumiem, wczoraj wieczorem po kolacji... przypomina pan sobie, jaka była wzburzona? Ani Ilona, ani nikt nie może zrozumieć, co jej się nagle stało. Krzyczy, powtarza i przysięga, że za nic nie wyjedzie, że żadna siła ludzka nie zmusi jej do tego. „Zostanę – powtarza – zostanę, choćby mi się dach nad głową palił!” Powiada, że nie chce brać udziału w tym oszustwie i że nie da się okłamywać, bo wymyśliliśmy tę kurację jedynie po to, aby wyjechała, abyśmy się jej pozbyli. Lecz mylimy się wszyscy, wszyscy, bo ona po prostu nie wyjedzie, zostanie – i koniec!

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. A więc to kryło się za jej złośliwym uśmiechem wczoraj! Czy zauważyła, że jestem u kresu sił, czy też może inscenizuje to wszystko, abym jej przyrzekł, że przyjadę za nią do Szwajcarii?

„Nie, nie dam się w to wciągnąć – powiedziałem sobie i nawet nie dam poznać, że mnie to wzburza! Nie zdradzę też temu staremu człowiekowi, że jej postanowienie szarpie mi nerwy”.

Udając więc umyślnie naiwnego, rzekłem dość obojętnie:

- Ech, jakoś to się ułoży! Przecież pan sam wie najlepiej, że jej kaprysy zmieniają się jak pogoda. Ilona telefonowała mi, że chodzi tu jedynie o przesunięcie wyjazdu o kilka dni.

Starzec westchnął głucho, jak gdyby to westchnienie wyrwało mu się z głębi trzewi i jak gdyby w tym nagłym zrywie ulatniała się z jego piersi resztką sił.

- Ach, Boże, gdyby tak było! Ale straszne w tym wszystkim jest to, czego się obawiam... czego obawiamy się wszyscy – że Edyta w ogóle już nie wyjedzie. Nie wiem, nie mogę tego zrozumieć, ta cała kuracja stała się jej nagle obojętna i obojętne się stało, czy wyzdrowieje, czy nie. „Nie dam się dłużej dręczyć, nie dam robić na sobie doświadczeń, to wszystko razem nie ma sensu!” Ciągle to powtarza, a mówi w taki sposób, że w człowieku serce się kraje. „Nie dam się dłużej oszukiwać – krzyczy i płacze – wszystko teraz widzę jasno, przejrzałam wszystko... wszystko!”

Zastanowiłem się – na litość boską, czyżby coś dostrzegła? Czyżbym się miał zdradzić? Może Condor popełnił nieostrożność? Czyżby z jakiejś drobnej uwagi zaczerpnęła podejrzenie, iż owa szwajcarska kuracja nie jest całkiem pewna? Czyżby jasnowidzenie, straszliwe, a pełne podejrzliwości jasnowidzenie podszeptało jej, że wysyłamy ją właściwie bezcelowo? Ostrożnie zacząłem badać Kekesfalwę.

– Nie pojmuję tego! Przecież córka pana żywi niewzruszone zaufanie do doktora Condora, więc jeżeli z takim naciskiem zalecił jej tę kurację... w takim razie po prostu nie mogę tego zrozumieć.

– Właśnie o to chodzi! To jest właśnie jej *idée fixe*, że w ogóle nie chce się leczyć, nie chce wcale wyzdrowieć! Wie pan, co powiedziała? „Nie wyjadę za nic, dość mam tych kłamstw! Raczej wolę pozostać kaleką i nie wyjeżdżać. Nie chcę wyzdrowieć, nie chcę, to wszystko nie ma sensu!”

– Nie ma sensu? – powtórzyłem bezradnie.

Starzec jeszcze niżej schylił głowę i nie mogłem już dojrzeć ani jego załzawionych oczu, ani okularów. Zobaczyłem tylko po rzadkich, siwych włosach, że zaczął mocno drżeć; wreszcie wymamrotał ledwie zrozumiale:

– „Nie ma sensu, żebym wyzdrowiała – powtarza z płaczem – bo on... on...”

Starzec z wysiłkiem zaczerpnął oddechu. Wreszcie wypalił: – „Bo on... on żywi dla mnie tylko litość”.

Zdjął mnie mróz na dźwięk słowa „on”. Po raz pierwszy Kekesfalwa napomknął o uczuciach swej córki. Już od dawna zwróciło moją uwagę, że starzec z rozmysłem mnie unika i że nawet nie ma odwagi na mnie spojrzeć, a przecież dawniej tak usilnie i delikatnie starał się o moje względy. Wiedziałem jednak, że powstrzymuje go wstyd; przyglądanie się, jak jego córka stara się o człowieka, który od niej ucieka, musiało przecież być dla niego straszne. Jej tajemne wyznania dręczyły go pewno okropnie, a nie ukrywana pożądlivość zawstydziała bezgranicznie. Obydwaj, i ja, i on, straciliśmy swobodę obejścia. Kto coś ukrywa lub ukrywać musi, ten zatracą otwarte i szczere spojrzenie.

Obecnie wszystko zostało wypowiedziane i cios dotknął obydwu nasze serca. Siedzieliśmy po tym jednym jedynym zdradzieckim słowie oniemiały, unikając spojrzenia na siebie. W stężonym powietrzu niewielkiej przestrzeni między nami zawisło milczenie. Stopniowo zaczęło się rozrastać, wzbiło się

aż po sufit, wypełniając cały pokój. Z góry, z dołu, ze wszystkich stron naciskała i napierała na nas przejmująca pustka, a po wysiłonym oddechu starca słyszałem, że go to milczenie formalnie dławi. Jeszcze chwila, a ciężki ucisk zadusiłby nas obojgu. Któryś z nas musiał się zerwać i jakimś słowem rozbić tę dręczącą, zabójczą próżnię.

Nagle zobaczyłem, że Kekesfalva zrobił dziwnie niezgrabny i niezręczny ruch, a potem jak miękka masa spadł z fotela, który przewrócił się z nim z hukiem.

„Atak – pomyślałem w pierwszej chwili – apopleksja, przecież chory jest na serce, a Condor mnie o tym uprzedzał!” Przerażony zerwałem się, aby go podnieść i ułożyć na sofie. Lecz w tej samej chwili zorientowałem się, że starzec nie upadł, lecz świadomie zsunął się z fotela. W pierwszej chwili nie dostrzegłem przerażony, że upadł na kolana, a teraz, gdy usiłowałem go podnieść, przyczołgał się do mnie, chwycił moje ręce i wyszeptał błagalnie:

– Pan musi jej pomóc... tylko pan jej pomoże, tylko pan! Condor także mówi, że tylko pan, a nikt inny. Błagam pana, niech się pan zlituje! Tak dłużej być nie może... ona robi sobie coś złego, zmarnuje się z własnej woli!

Drżącymi rękoma przemocą podniosłem klęczącego. Schwycił mnie za ramiona i uczułem jego rozpaczliwie wpijające się w moje ciało palce jak szpony. Żebrak, żebrak ze snu, gwałcący litościwego!

– Niech ją pan ratuje – wyjęczał. – Na litość boską, niech ją pan ratuje! Przecież nie można pozostawiać jej w tym stanie... przysięgam panu, że tu chodzi o śmierć i życie! Wcale pan sobie nie może wyobrazić, jakie bezsensowne rzeczy mówi w swej rozpacz. Że musi zniknąć, musi zejść z drogi, aby pan miał spokój – szłocha – abyśmy wszyscy mieli wreszcie spokój! A nie mówi tak, aby mówić, to jest poważne, straszliwie poważne. Już dwa razy próbowała otworzyć sobie żyły, a raz usiłowała otruć się środkiem nasennym. Jeżeli czegoś zapragnie, nikt jej nie może odwieść od wykonania zamiaru, nikt. Tylko pan może ją teraz uratować, tylko pan. Przysięgam panu, tylko pan!

– Ależ oczywiście... proszę, niech się pan uspokoi... przecież to zrozumiałe, że zrobię wszystko, co jest w mojej mocy. Jeżeli pan chce, pojedziemy zaraz do niej i spróbuję wszystko jej wyperswadować. Pojadę z panem natychmiast. Niech pan sam postanowi, co mam powiedzieć i co mam zrobić.

Puścił moje ramię i wlepił we mnie spojrzenie.

– Co pan ma zrobić? Czy pan rzeczywiście nie rozumie, czy też zrozumieć nie chce? Przecież otworzyła panu duszę, ofiarowała siebie panu całkowicie, a teraz biedactwo, dręczy się śmiertelnie, że to zrobiła. Napisała do pana, a pan jej nie odpowiedział, więc zamęcza się teraz w dzień i w nocy myślą, że wysyła ją pan, aby się jej pozbyć, bo nią gardzi. Zupełnie oszalała ze strachu, że pan... że pan się jej brzydzi... bo bo... ona... Czyż pan nie rozumie, że takie wyczekiwanie niszczy człowieka, człowieka tak dumnego i namiętnego jak to dziecko? Czemu nie da jej pan choć trochę nadziei? Czemu nie odezwał się pan do niej ani słowem, czemu jest pan dla niej taki okrutny, taki bez serca? Czemu dręczy pan tak straszliwie to biedne, niewinne dziecko?

– Ależ zrobiłem wszystko, żeby ją uspokoić. Powiedziałem jej przecież...

– Nie powiedział jej pan nic! Przecież powinien pan sam zauważyć, że swoimi odwiedzinami i milczeniem doprowadza ją pan do szaleństwa, bo nieboraczka czeka tylko na jedno... na to jedno słowo, którego spodziewa się każda kobieta od ukochanego mężczyzny. Nigdy przecież nie miała odwagi spodziewać się czegokolwiek, dopóki nie uwierzyła w swe wyzdrowienie. Ale teraz, gdy z pewnością będzie zdrowa, gdy wyzdrowieje za parę tygodni, czemu nie miałyby, jak wszystkie dziewczęta, spodziewać się tego, co dane jest innym, czemu nie? Przecież panu powiedziała, przecież okazała, że tylko czeka na to jedno jedyne słowo pana. Nie może zrobić więcej, niż zrobiła. Nie może przecież żebrać! A pan... pan nie mówi ani słowa, nie mówi tego, co by ją uszczęśliwiło! Czy rzeczywiście jest to dla pana takie straszne? Miałyby pan wszystko, co można mieć na świecie. Jestem starym, chorym człowiekiem. Wszystko, co posiadam, pozostawię wam: pałac, majątek ziemski i sześć czy siedem milionów, które zebrałem przez te czterdzieści lat... Wszystko będzie należało do pana. Już jutro, natychmiast może pan to objąć, za godzinę – ja przecież nic już nie chcę. Pragnę tylko, aby się ktoś moim dzieckiem zaopiekował, gdy mnie nie będzie. A wiem, że pan jest dobrym i przyzwoitym człowiekiem, że pan ją będzie ochraniał, że będzie pan dla niej dobry!

Wzruszenie zatamowało mu oddech. Bezsilny, bezbronny, osunął się na fotel. A moje siły wyczerpały się również i opadłem na krzesło naprzeciw niego. Znów siedzieliśmy bez słów, bez spojrzenia, a nie wiem, jak długo to trwało. Czulem tylko od czasu do czasu, jak stół, którego kurczowo się uczeplił, lekko się wstrząsał od nagłych drgań, przebiegających ciałem starca. Po jakimś czasie, którego długości nie mógłbym określić, usłyszałem krótki,

tępy stuk, jak gdyby jakiś tępy przedmiot upadł na coś twardego: schylone czoło Kekesfaby uderzyło o stół. Wiedziałem, jak bardzo cierpi ten człowiek, i czułem nieprzepartą chęć pocieszenia go w jego bólu.

– Drogi panie – schyliłem się nad nim – niechże pan mi zaufa. Trzeba to wszystko przemyśleć, w spokoju przemyśleć. Powtarzam panu, że jestem do pańskiej dyspozycji... że zrobię wszystko, co jest w mojej mocy. Tylko to.,, o czym mi pan napomknął... to... jest niemożliwe... najzupełniej niemożliwe...

Drgnął słabo jak zabijane zwierzę pod ostatnim śmiertelnym ciosem. Jego usta, które ze zdenerwowania lekko oślinił, poruszyły się z wysiłkiem, lecz nie dałem mu czasu na odpowiedź:

– To jest niemożliwe i proszę, abyśmy o tym więcej nie mówili. Niechże się pan sam zastanowi... kimże ja jestem? Podporucznikiem żyjącym z niewielkiej gaży i małej miesięcznej zapomogi. Z tak ograniczonymi środkami nie można przecież budować egzystencji, nie można z nich żyć, żyć we dwoje...

Chciał przerwać.

– Tak, tak, wiem, co pan chce powiedzieć: pieniądze nie grają tu żadnej roli, bo ta sprawa jest załatwiona. Wiem także, że pan jest bogaty i... że mógłbym od pana mieć wszystko. Ale właśnie dlatego, że pan jest bogaczem, a ja niczym, nikiem... właśnie dlatego wszystko staje się niemożliwe. Każdy myślałby, że uczyniłem to dla pieniędzy, że się... A nawet Edyta, niech mi pan wierzy, przez całe życie nie pozbyłaby się podejrzeń, że wziąłem ją tylko dla pieniędzy, pomimo... pomimo tych niezwykłych okoliczności... Niech mi pan wierzy, że to niemożliwe, jakkolwiek szczerze i uczciwie szanuję córkę pańską i... i ją... lubię. Ale to pan przecież musi zrozumieć.

Starzec siedział bez ruchu. Zrazu sądziłem, że mnie wcale nie zrozumiał, lecz stopniowo jego bezsilne ciało nabierało życia. Z trudem podniósł głowę i pustym spojrzeniem zapatrzył się przed siebie. Potem oburącz wsparł się o brzeg stołu i dostrzegłem, że chciał ocieźać ciało podnieść, że zamierzał wstać, lecz mu się to nie udało. Dwa czy trzy razy zawiodły go siły. Nareszcie z trudem wstał chwiejąc się z wysiłku, ciemna sylwetka na tle mrocznego pokoju, z oczami nieruchomymi jak z czarnego szkła. Przemówił, patrząc przed siebie, jakimś obcym, straszliwie obojętnym tonem, jak gdyby jego własny, ludzki głos zamarł:

– W takim razie... w takim razie wszystko skończone...

Okropny był ten ton, okropne to całkowite zdanie się na nieszczęśliwy los. Wciąż jeszcze wpatrzony w pustkę macał ręką po stole, szukając okularów. Nie włożył ich jednak, nie uzbroił w szkła swych kamiennych oczu, lecz niezręcznie włożył je do kieszeni. Po cóż miałyby patrzeć? Po co jeszcze żyć? Sinawe jego palce (w których Condor widział oznakę śmierci) jeszcze raz powędrowały wokół stołu, aż wreszcie na jego skraju odnalazły czarny, zgnieciony kapelusz. Dopiero wtedy odwrócił się i wyjąkał nie patrząc na mnie:

– Proszę łaskawie wybaczyć mi to najście.

Włożył kapelusz krzywo na głowę; nogi nie chciały mu być posłuszne, uginały się i suwały bezsilnie. Poszedł chwiejnie jak lunatyk do drzwi, nagle, jak gdyby sobie coś przypomniał, zdjął kapelusz, ukłonił się i powtórzył:

– Proszę łaskawie wybaczyć mi to najście.

Raz jeszcze ukłonił się ten stary, rozbity człowiek i właśnie ten jego grzeczny gest, zrodzony wśród rozpacz, głęboko mnie wzruszył. Uczułem nagle ciepło, owo gorące źródło wzbierające w mej duszy, którego płomień sięgał aż do oczu, a jednocześnie ogarnęła mnie słabość i miękkość. Górę nade mną znów wzięła litość. Nie mogłem przecież pozwolić, aby w takim stanie wyszedł ode mnie starzec, który chciał mi oddać na własność swe dziecko, swój największy skarb na ziemi. Nie mogłem go pchnąć w odmęty rozpacz i śmierci, nie mogłem gasić życia w żywym cieple. Musiałem mu coś powiedzieć, pocieszyć go, uspokoić, ułagodzić. Szybko pobiegłem za nim.

– Proszę, niech pan mnie źle nie rozumie. Przecież nie może pan wyjść w tym stanie i może nawet opowiedzieć jej... To byłoby przecież okropne i... w dodatku... nieprawdziwe!

Moje wzburzenie stawało się coraz silniejsze, bo czułem, że starzec wcale mnie nie słucha. Stał otępiały z rozpacz, nieruchomy jak słup soli, niby cień na tle mroku, jak żyjąca śmierć. Coraz gwałtowniej pragnąłem uspokoić go.

– To byłoby w istocie nieprawdą, panie Kekesfalva, przysięgam panu. A gdybym miał córkę pańską, gdybym miał *Edytę*... obrazić lub... dać jej do zrozumienia, że nie mam dla niej serca... to byłoby straszne. Nikt chyba nie ma dla niej tyle uczucia, przysięgam panu, nikt jej nie kocha więcej niż ja. To doprawdy jakieś szaleństwo z jej strony, że w siebie wmówiła... iż jest mi obojętna. Przeciwnie... przeciwnie... powiedziałem tylko, że nie miałyby

sensu, gdybym teraz... gdybym dzisiaj coś powiedział. Teraz najważniejsze jest przecież... żeby się oszczędzała, żeby rzeczywiście wyzdrowiała!

– Ale wtedy? Gdy wyzdrowieje?

Odwrócił się do mnie raptownie. Źrenice jego dotąd martwe i tępe fosforyzowały w mroku.

Przeraziłem się, instynktownie odczułem niebezpieczeństwo – jeżeli teraz coś obiecuję, będę zobowiązany! Lecz w tejże chwili wpadło mi na myśl, że wszystko, czego się Edyta spodziewa, jest przecież złudzeniem. Nie wyzdrowieje tak prędko. Trwać to może jeszcze długie lata, a Condor powiedział, że nie trzeba zbyt daleko sięgać w przyszłość, tylko chorą na razie uspokoić, tylko jej dodawać otuchy. Czemuż nie dać biedaczce trochę nadziei, czemu jej nie uszczęśliwić chociażby na krótki czas?

– Ach, gdy wyzdrowieje – rzekłem więc – wówczas naturalnie... wówczas przyszedłbym przecież... sam przyszedłbym do pana.

Wpatrzył się we mnie. Przez ciało jego przebiegł wstrząs, jak gdyby jakaś wewnętrzna siła nieznacznie go ku mnie popychała.

– Czy mogę... czy mogę jej to powiedzieć?

Znów wyczytałem niebezpieczeństwo, lecz nie miałem już siły, by wytrzymać to błagalne spojrzenie.

– Tak, niech jej pan to powie – rzekłem mocnym tonem i podałem mu rękę.

Oczy starca zaiskrzyły się, nabrały życia, wybiegły mi naprzeciw. Tak zapewne wyglądał Łazarz, gdy oszołomiony, wstawszy z grobu, zobaczył znów niebo i jego błogosławione światło. Uczułem, że ręka starca drży w mojej dłoni, drży coraz mocniej. Potem czoło jego zaczęło się chylić coraz niżej i niżej. Przypomniałem sobie w porę, że już kiedyś ten stary człowiek schylił się w ten sposób i pocałował mnie w rękę, toteż gwałtownie wyrwałem ją i powtórzyłem:

– Tak, proszę jej to powiedzieć. Niech jej pan powie, żeby się nie martwiła, a przede wszystkim niech wyzdrowieje, wyzdrowieje jak najprędzej dla siebie i dla nas wszystkich.

– Ach tak! – powtórzył w ekstazie. – Niech będzie zdrowa, niezadługo zupełnie zdrowa! Wyjedzie teraz, natychmiast, och jestem tego zupełnie pewien, wyjedzie zaraz i wyleczy się, przez pana się wyleczy, dzięki panu

będzie zdrowa! Od pierwszej chwili wiedziałem, że Bóg mi pana zesłał. Nie, nie, nie umiem dziękować... niech panu Bóg zapłaci! Idę już. Nie, nie, niech pan zostanie, niech się pan nie troszczy o mnie, już idę.

Krokiem, jakiego nie znałem u niego dotąd, lekkim i sprężystym pobiegł do drzwi, a czarne poły surduta powiewały za nim. Drzwi zatrzasnęły się jasnym, nieomal radosnym stuknięciem. Stałem sam, w ciemnym pokoju, lekko oszołomiony, jak zazwyczaj, gdy dokonuje się coś rozstrzygającego bez uprzedniej wewnętrznej decyzji. Lecz dopiero w godzinę później, gdy mój ordynans nieśmiało zapukawszy przyniósł mi błękitną kopertę znajomego kształtu, uświadomiłem sobie, co bezwolny i powodowany uczuciem litości właściwie przyrzekłem.

Pojutrze wyjeżdżamy! Dałam tatusiowi słowo. Proszę mi wybaczyć ostatnie dni, ale byłam zupełnie nieprzytomna ze strachu, że jestem dla pana ciężarem. Teraz wiem, po co i dla kogo mam być zdrowa. Nie boję się obecnie niczego. Proszę, przyjsć jutro możliwie jak najwcześniej. Jeszcze nigdy nie oczekiwałam pana z taką niecierpliwością. Na zawsze pańska E.

„Na zawsze” – z nagłym przerażeniem uświadomiłem sobie to słowo, wiążące człowieka nieodwołalnie. Ale odwrotu nie było. Już znowu litość silniejsza była ode mnie i od mej woli. Oddałem siebie. Nie należałem już do siebie samego.

„Trzeba się mocno trzymać – powiedziałem sobie. – To połowiczne przyrzeczenie, które się przecież nigdy nie spełni, jest ostatnim aktem, jaki na mnie wymogła. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a potem wyjadą i będę mógł być znowu panem siebie”. Lecz im bardziej zbliżało się popołudnie, tym bardziej rosło moje złe samopoczucie, tym głębiej dręczyła mnie myśl, że będę musiał z kłamstwem w sercu stanąć przed jej ufnym, tkliwym spojrzeniem. Na próżno starałem się swobodnie rozmawiać z kolegami – czułem zbyt mocne, przykre pulsowanie w skroniach, drżenie nerwów i nieprzyjemną suchość języka, jak gdyby tłumiony ogień żarzył się we mnie i dymił. Instynktownie zamówiłem sobie kieliszek koniaku i wypilem go jednym haustem. Nic nie pomogło, a suchość w gardle dławiała mnie nadal. Kazałem więc podać drugi kieliszek i dopiero po trzecim odkryłem mimowolny pęd, żeby alkoholem dodać sobie odwagi, żeby u Kekesfalwów nie stchórzyć lub nie stać się sentymentalnym. Chciałem widocznie uspić coś w

sobie, może lęk, może wstyd, może uczucie dobre, a może złe. Tak, to było to, wyłącznie to jedno, przecież dlatego przed bitwą rozdają żołnierzom podwójne racje wódki. Chciałem się otępić i oszołomić, by nie czuć zbyt dokładnie tych spraw zastanawiających, a może i niebezpiecznych, którym szedłem na spotkanie. Lecz pierwsze działanie trzech kieliszków wywołało jedynie ociężałość nóg, zaś w głowie nadal coś brzęczało i szumiało jak maszyna u dentysty przed rozpoczęciem właściwego, bolesnego zabiegu. Idąc długą szosą w stronę pałacu, nie byłem ani pewny siebie, ani świadom sytuacji, a przede wszystkim nie byłem radosny – i może mi się tylko wydawało, że droga ciągnie się tak nieskończenie długo? Z bijącym sercem szedłem w stronę domu, którego się obawiałem.

Lecz wszystko ułożyło się łatwiej, niż przypuszczałem. Oczekiwało mnie inne oszołomienie, subtelniejsze i czystsze upojenie niż tamto, którego szukałem w ordynarnym fuzlu. Bo upaja także zarozumiałość, oszałamia wdzięczność, a czułość darzy błogostanem. Już przy drzwiach stary, poczciwy Józef wykrzyknął radośnie:

– Och, pan porucznik! – Przełknąwszy ze wzruszenia przestępował z nogi na nogę i od czasu do czasu spoglądał ku mnie w górę – nie umiem tego inaczej określić – tak jak się patrzy w kościele na święty obraz. – Proszę, niech pan porucznik pozwoli od razu do salonu! Panna Edyta czeka już dawno na pana porucznika – dodał szeptem, wzburzony, trochę zawstydzony i zarazem szczęśliwy.

Patrzałem na niego ze zdziwieniem, zapytując samego siebie, czemu ten obcy człowiek, ten stary lokaj, spogląda na mnie z takim zachwytem? Dlaczego mnie tak kocha? Czy ludzie rzeczywiście czują się dobrzy i szczęśliwi, gdy w innych widzą dobroć i litość? Tak, w takim razie Condor ma rację, w takim razie ten, kto dopomógł chociażby jednemu człowiekowi, odgadł istotnie sens życia i doprawdy warto rozdać siebie bliźnim aż po ostatek sił, a nawet poza ich kres. W takim razie każda ofiara miałaby swe uzasadnienie, a nawet kłamstwo, uszczęśliwiając innych, wartościowsze byłoby od wszelkich prawd. Uczułem nagle dziwną pewność siebie, bo człowiek, mający świadomość, że przynosi radość, inaczej się czuje.

Naprzeciw mnie spieszyła już rozpromieniona Ilona, a ciemne oczy objęły mnie serdecznym spojrzeniem. Jej ręka nigdy mnie jeszcze tak serdecznie i tak ciepło nie uścisnęła.

– Dziękuję panu! – rzekła, a zabrzmiało to, jak gdyby mówiła poprzez ciepły, wilgotny deszcz letni. – Nawet pan nie wie, co pan dla tego biednego dziecka zrobił. Uratował ją pan, jak Boga kocham, rzeczywiście ją pan uratował! Niech pan prędko idzie, nie umiem powiedzieć, jak na pana czeka!

Podczas tego lekko poruszały się drzwi naprzeciwko i miałem wrażenie, że ktoś stał za nimi nasłuchując. Wszedł Kekesfalva, lecz w jego oczach nie było wczorajszego wyrazu przerażenia i śmierci, lecz tkliwa promiennosc.

– Jak to dobrze, że pan przyszedł! Zdziwi się pan, jaka w niej zaszła zmiana. Nigdy przez wszystkie te fatalne lata nie widziałem jej tak wesołej i szczęśliwej. To cud, prawdziwy cud! Boże, ileż pan dla niej, ileż pan dla nas wszystkich uczynił!

Wzruszenie przerwało mu dalsze słowa. Zadławił się łzami i załkał, wstydząc się jednocześnie swego wzruszenia, które i mnie stopniowo się udzieliło. Któż bowiem mógłby nieczule oprzeć się takiej wdzięczności? Nie sędzę, abym był człowiekiem zarozumiałym, podziwiającym lub przeceniającym siebie samego, a nawet jeszcze dzisiaj nie wierzę ani w swą dobroć, ani w swą siłę – lecz z tego spontanicznego, a dziękczynnego zachwytu biła ku mnie gorąca fala ufności. Wszelki lęk, wszelkie tchórzostwo rozwiało się nagle jakby uniesione przez złoty wiatr. Dlaczegoż nie miałbym beztrósco zezwolić, aby mnie kochano, gdy innych to tak bardzo uszczęśliwiał? Czekałem już niecierpliwie, aby przejść do pokoju, który onegdaj opuściłem w takiej rozpacz.

Ledwo poznałem tę dziewczynę, siedząca w fotelu, tak jasne i promienne było jej spojrzenie. Ubrano ją w jasno-błękitną sukienkę, w której wyglądała jeszcze bardziej dziewczęco, jeszcze dziecinniej. W rudawych włosach połyskiwały białe kwiaty (może był to mirt?), a wokół fotela stało mnóstwo koszów z kwiatami. Od kogo je dostała? Był to przecież cały kolorowy gaj! Wiedziała już chyba od dawna, że przyszedłem, i z pewnością słyszała radosne powitania oraz mój zbliżający się krok. Lecz w jej spojrzeniu nie było zupełnie owej nerwowości, naprężenia i badawczości, które nieufnie spod na wpół opuszczonych powiek były zawsze ku mnie, gdy wchodziłem. Siedziała w fotelu swobodnie wyprostowana; zapomniałem tym razem zupełnie, że pled skrywał jej ułomność i że głęboki fotel był właściwie jej więzieniem. Z podziwem patrzyłem na tę nową istotę, przejawiającą się dziecinnie w swej radości i kobiecej piękności. Dostrzegła moje zdziwienie i przyjęła je jako podarunek. Dawny ton niefrasobliwych koleżeńskich dni zabrzmiał od razu w jej głosie, gdy mnie zaprosiła:

– Nareszcie! Nareszcie! Proszę, niech pan siada tu przy mnie. I niech pan nic nie mówi. Mam panu powiedzieć coś decydującego.

Usiadłem z zupełną swobodą. Czym można być zakłopotanym lub zmieszonym, gdy ktoś przemawia tak pogodnie i przyjaźnie?

– Niech pan chwilę posłucha. Ale nie będzie pan przerywał, prawda? – Wyczułem, że zastanawia się tym razem nad każdym słowem. – Wiem o wszystkim, co pan powiedział memu ojcu. Wiem, co pan chce dla mnie uczynić. A teraz niech mi pan wierzy, proszę, niech pan wierzy każdemu mojemu słowu: Nigdy – słyszy pan! – nigdy nie spytam pana czemu pan to zrobił, czy jedynie ze względu na mego ojca, czy też rzeczywiście dla mnie. Czy zrobił to pan z litości, czy też... nie, niech pan mi nie przerywa, nie chcę o tym wiedzieć, nie chcę... nie chcę myśleć dłużej ani męczyć siebie i innych. Dość, że znów dzięki panu żyję i będę żyła... że od dnia wczorajszego zaczęłam żyć! Jeżeli wyzdrowieję, będę to miała do zawdzięczenia tylko panu. Jedynie i wyłącznie panu!

Chwilę się zawahała.

– A teraz niech pan posłucha – ciągnęła dalej – co obiecuję panu ze swej strony. Przemyślałam to wszystko w ciągu dzisiejszej nocy. Po raz pierwszy myślałam jasno, jak człowiek zdrowy, nie tak jak dawniej, gdy byłam niepewna, ze wzburzeniem i niecierpliwością. Dopiero teraz rozumiem, jakim szczęściem jest możliwość myślenia bez strachu, jakim szczęściem możliwość odczuwania po raz pierwszy wrażeń normalnego człowieka; i tylko panu, jedynie panu zawdzięczam ten przedsmak. Dlatego będę robiła wszystko, czego lekarze zażądają, wszystko, wszystko, aby z pokraki, jaką dziś jestem, stać się człowiekiem. Nie ustane w staraniach i nie osłabnę, bo wiem teraz, że to warto. Każdym włóknom i każdym nerwem mego ciała, każdą kroplą krwi będę się starała, a sądzę, że jeżeli człowiek pragnie czegoś z taką siłą, może to od Boga osiągnąć. Wszystko to zrobię dla pana, aby nie przyjąć od pana żadnej ofiary. Gdyby się to jednak nie miało udać... proszę nie przerywać! lub nawet gdyby się nie miało udać całkowicie, jeżeli nie będę zupełnie zdrowa i tak zdolna do ruchów jak inni, niech się pan niczego nie obawia! Zniosę to sama! Wiem, że istnieją ofiary, których przyjąć nie wolno, a już najmniej od człowieka, którego się kocha. Gdyby więc zawiodła owa kuracja, w której pokładałam wszystko – wszystko! – nie usłyszysz pan o mnie więcej nigdy i nigdy już pan mnie nie zobaczy. Nie stanę się wówczas ciężarem dla pana, przysięgam, bo w ogóle nie chcę już obciążać sobą nikogo, a przede wszystkim pana. No, to wszystko. I ani słowa więcej!

Pozostało nam tylko kilka godzin przez następne dni, chciałabym być przez ten czas całkowicie szczęśliwa.

Głos, jakim mówiła, był inny, był jak gdyby dorosły. Inne też miała oczy, znikło spojrzenie zaniepokojonego dziecka lub szarpiący i pożądlivy wzrok osoby chorej. Czułem, że kocha mnie dziś inną miłością, że nie jest to ani poprzednie rozigranie, ani uczucie udrećzone pożądlivością ostatnich dni. I ja również inaczej na nią patrzyłem; nie była to litość dla jej nieszczęścia, nie potrzebowałem już postępować bojaźliwie i ostrożnie, mogłem być serdeczny i szczery. Sam nie wiedząc dlaczego, uczułem po raz pierwszy prawdziwą czułość dla tej delikatnej dziewczyny, rozjaśnionej przebłyskiem wyśnionego szczęścia. Nie zdając sobie sprawy ze swego postępowania i nie chcąc go sobie uświadomić, przysunąłem się do niej i ująłem ją za rękę, która pod mym dotknięciem nie zadrżała dziś zmysłowo jak wówczas. Czułem w mej dłoni spoczywającą spokojnie i zezwalającą na uścisk chłodną, wąską rękę, a z radością skonstatowałem, jak równo bił w niej drobny młoteczek pulsu.

Rozmawialiśmy potem swobodnie o podróży i o drobnych zdarzeniach dnia, gawędziliśmy o mieście i o wypadkach w koszarach. Nie pojmowałem już, że mogłem się tak męczyć, a przecież wszystko było takie proste – siedziałem obok człowieka trzymając jego rękę. Nie trzeba już było z wysiłkiem opanowywać się ani skrywać swych uczuć, można było okazywać sobie nawzajem serdeczność, nie bronić się tkliwości, brać uczucie bez wstydu i z prawdziwą wdzięcznością.

Zasiedliśmy potem do stołu. Srebrne lichtarze jaśniały od świec, a kwiaty wychylały się z wazonów jak barwne promienie. W lustrach pozdrawiały się nawzajem światła kryształowego świecznika, a dom milczał niby ciemna muszla, kryjąca połyskliwą perłę. Od czasu do czasu wydawało mi się, że słyszę, jak drzewa na dworze cicho oddychają, a wiatr ciepło i rozkosznie muska trawy, gdyż przez otwarte okna płynął ich zapach. Wszystko było piękniejsze i lepsze niż zazwyczaj; starzec siedział wyprostowany i uroczyście jak kapłan. Nigdy jeszcze Ilona, ani Edyta nie wyglądały tak pogodnie i młodo, nigdy jeszcze nie błyszczał tak biało gors u koszuli lokaja, nigdy nie kraśniała tak barwnie gładka skórka owoców. Siedzieliśmy, jedli, pili, rozmawiali i cieszyliśmy się, że zgoda powróciła pomiędzy nas. Beztrosko, niby ćwierkający ptak, przelatywał między nami śmiech, a wesołość falami wzbierała i odpływała. Dopiero gdy służący

napełnił kieliszki szampanem, ja zaś pierwszy wzniosłem mój w stronę Edyty ze słowami:

– Za pani zdrowie! – zrobiło się nagle cicho.

– Ach, tak, wyzdrowieć! – odetchnęła głęboko, patrząc na mnie z taką ufnością, jak gdyby moje życzenie miało moc darzenia życiem i śmiercią. – Wyzdrowieć dla ciebie!

– Dałby Bóg!

Ojciec wstał, nie mogąc się już pohamować. Łzy zrosiły mu okulary, zdjął je więc i troskliwie zaczął przecierać. Wyczułem, że jego ręce ledwo się powstrzymują, aby mnie nie dotknąć, toteż nie uchylilem się. Ja również czułem potrzebę, aby mu podziękować; zbliżyłem się więc i objąłem go, a jego broda musnęła mi policzek. Gdy mnie puścił, dostrzegłem, że Edyta na mnie patrzy. Jej usta lekko drżały; wiedziałem, jak bardzo te na wpół otwarte wargi tęsknią do serdecznego dotyku. Schyliłem się więc szybko i złożyłem na nich pocałunek.

Były to zaręczyny. Nie pocałowałem tej kochającej mnie dziewczyny świadomie, z rozmysłem, uczyniło to za mnie jakieś czyste i głębokie wzruszenie. Stało się bez mojej wiedzy i woli, lecz nie żałowałem tej drobnej, czystej pieśczoły. Edyta nie prężyła się bowiem ku mnie z dzikim pragnieniem, jak wówczas, i nie przytrzymała mnie, jakkolwiek zarumieniła się ze szczęścia. Jej wargi przyjęły moje usta pokornie jak doniosły podarunek. Wszyscy milczeli. Nagle z kąta pokoju rozległ się szmer. Wydawało się zrazu, że jest to nieśmiałe chrząkanie, lecz gdy podnieśliśmy wzrok, ujrzeliśmy, że stary służący cicho w kącie szłocha. Odstawił butelkę i odwrócił się, abyśmy nie dostrzegli jego nieprzystojnego wruszenia; nam również zwilgotniały oczy i każdy z nas odczuł w sercu te obce, bezradne łzy. Nagle uczułem na swej ręce dłoń Edyty:

– Pozwól, chwileczkę... – Nie wiedziałem jeszcze, co chce zrobić, gdy nagle wsunęła na mój serdeczny palec coś chłodnego i gładkiego; był to pierścionek. – Abyś o mnie myślał, gdy mnie nie będzie – rzekła chcąc się usprawiedliwić.

Nie spojrzałem na pierścionek; wziąłem jej rękę i podniosłem do ust.

Czułem się owego wieczora Bogiem! Stworzyłem świat i oto pełen był dobroci i sprawiedliwości. Stworzyłem człowieka, którego czoło jaśniało jak poranek i w którego oczach odbijała się tęcza szczęścia. Zastawiłem stół

bogactwem i obfitością, wyczarowałem owoce, wino i potrawy. Rozjaśniłem dom i zapaliłem światło w sercach człowieczych. W kieliszkach odbijało się słońce żyrandola, biały adamaszek śnieżyście błyszczał, ja zaś czułem się dumny, że ludzie kochają światło promieniejące ze mnie. Brałem ową miłość i upajałem się nią do woli. Podawano mi wino, które wychylałem kieliszek po kieliszku. Podawano mi owoce i potrawy, ja zaś cieszyłem się ich smakiem. Okazywano mi cześć i wdzięczność – ja zaś przyjmowałem je niby należny mi hołd.

Byłem tego wieczora Bogiem. Lecz z wysokości mego tronu nie spoglądałem chłodno na swe dzieła i uczynki; łaskawy i pogodny siedziałem wśród stworzonych przez siebie istot i niby przez srebrną zasłonę obłoków widziałem niewyraźnie ich oblicza. Po mojej lewicy siedział starzec; wielkie światło dobroci, promieniejące ze mnie, wygładziło mu zmarszczki na zaoranym czole i usunęło cienie omraczające oczy. Odwróciłem od niego śmierć, toteż mówił głosem zmartwychwstałym, z wdzięcznością, zdając sobie sprawę z cudu, jakiego dokonałem. Obok mnie siedziała dziewczyna, chora, skuta niemocą niewolnica swego cierpienia, uwikłana w zły los; obecnie rozświecał ją odblask wyzdrowienia. Oddechem mych ust wyniosłem ją z piekieł strachu w niebo miłości, a jej pierścień na mym palcu błyszczał jak gwiazda poranna. Naprzeciwko niej siedziała inna dziewczyna, również dziękczynnie uśmiechnięta, gdyż przepoiłem oblicze jej pięknnością i owionąłem jaśniejące czoło ciemnym, pachnącym lasem włosów. Obdarowałem wszystkich i podniosłem wszystkich cudem mej obecności. We wszystkich oczach odbijało się światło promieniejące ze mnie, a gdy spoglądali na siebie, w spojrzeniach mieli jasność. Gdy rozmawiali, jedynie Ja, wyłącznie Ja byłem treścią ich słów, a nawet gdy milczeliśmy, przebywałem w ich myślach, bo tylko Ja, wyłącznie Ja byłem początkiem, ośrodkiem i przyczyną ich szczęścia. Gdy chwalili siebie wzajemnie, sławili właściwie mnie, a kochając się, kochali mnie, gdyż byłem stwórcą wszelkiej miłości. Siedziałem wśród nich szczęśliwy z dokonanych dzieł i widziałem, jakim dobrem jest łaskawość okazywana stworzonym przez siebie istotom. Wielkodusznie piłem wraz z winem ich miłość i wraz z potrawami raczyłem się ich szczęściem.

Owego wieczora byłem Bogiem. Uśmierzyłem wody niepokoju i wypłoszyłem ciemność z serc. Lecz i siebie samego wybawiłem z lęku, a duszę miałem tak spokojną jak nigdy dotąd przez całe życie. Dopiero u schyłku wieczora, gdy wstałem od stołu, zrodził się we mnie lekki smutek,

odwieczny smutek Boga w siódmym dniu stworzenia po ukończonym dziele, zaś smutek ten odbił się natychmiast w ich opustoszałych twarzach. Zbliżała się chwila pożegnania. Byliśmy wszyscy dziwnie podnieceni, jak gdybyśmy wiedzieli, że kończy się coś nieporównywalnego, jedna z owych godzin pozbawionych ciężaru i mijających bezpowrotnie, jak obłoki na niebie. Po raz pierwszy ogarnął mnie lęk przed opuszczeniem dziewczyny i niby zakochany odciągałem pożegnanie tej, która mnie kochała. „Jak dobrze byłoby – myślałem – gdybym mógł posiedzieć jeszcze przy jej łóżku, głaszcząc delikatną, nieśmiałą rękę i patrząc na ten różany uśmiech promiennego szczęścia!” Lecz było już późno. Objąłem ją więc szybko i pocałowałem w usta. Czułem, że wstrzymała oddech, jak gdyby chciała ciepło moich warg zachować na zawsze. Poszedłem do drzwi w towarzystwie odprowadzającego mnie ojca. Jeszcze ostatnie spojrzenie, jeszcze jedno skinienie i wyszedłem swobodny, pewny siebie jak zawsze, gdy się odchodzi po dokonanym dziele, po dobrym uczynku.

Przeszedłem kilka kroków do przedpokoju, gdzie stał już służący z moją czapką i szablą. Ach, gdybym był szedł szybciej! Gdybym był bardziej bezwzględny! Lecz stary Kekesfalva nie mógł się ze mną rozstać. Jeszcze raz objął mnie, jeszcze raz pogłaskał po ramieniu i wciąż od nowa powtarzał, jak bardzo jest wdzięczny, bo tyle dla niego zrobiłem. Mówił, że może teraz spokojnie umrzeć, bo jego dziecko wyzdrowieje, zaś wszystko ułożyło się dobrze, i to dzięki mnie, tylko mnie. Robiło mi się coraz nieprzyjemniej, że starzec tak mnie głaszcze i tak mi schlebia w obecności służącego, który ze spuszczoną głową stał obok w cierpliwym oczekiwaniu. Nie miałem siły, aby mu się wyrwać, jakkolwiek niewyraźny głos wewnętrzny naglił: „Dosyć, za dużo tego!”

Nagle zza drzwi dobiegł niespodziany hałas. Nastawiłem uszu. W sąsiednim pokoju wybuchła widocznie kłótnia, bo wyraźnie słyszałem podniesione głosy. Z przestraczem poznałem głos Ilony sprzeczącej się z Edytą. Jedna z nich najwidoczniej czegoś chciała, zaś druga starała się odwieść ją od tego zamiaru.

– Proszę cię – słyszałem dokładnie perswazję Ilony – zostań tutaj!

A na to gniewną, gwałtowną odpowiedź Edyty:

– Nie, puść mnie, puść!

Coraz niespokojniej wsłuchiwałem się poprzez gadaninę starca w spór dziewcząt. Co się działo za tymi drzwiami? Czemu zmarnowały spokój, mój

spokój, boży spokój, tego dnia? Czego tak władczo Edyta żądała i czemu tamta usiłowała przeszkodzić? Nagle rozległ się szkaradny stukot kul: tuk-tuk, tuk-tuk. Na litość boską, chyba bez pomocy Józefa nie zamierzała pójść za mną? Lecz już drewniany stuk zbliżał się tuk-tuk z prawa, tuk-tuk z lewa – mimo woli wyobraziłem sobie przy tym chwiejny korpus – teraz była już chyba tuż za drzwiami. Łoskot, uderzenie, jak gdyby jakaś ciężka masa rzuciła się na drzwi, potem usłyszałem zdyszany oddech gwałtownego wysiłku i klamka mocno naciśnięta odskoczyła.

Okropny był to widok! Wsparta o ramę stała wyczerpana Edyta. Lewą ręką uczepliła się drzwi, aby nie stracić równowagi, a w prawej zaciśniętej dłoni trzymała obydwie kule. Za nią, z rozpaczą malującą się na twarzy, stała Ilona, chcąc ją widocznie podeprzeć lub przemocą zatrzymać. Lecz oczy Edyty błyszczały niecierpliwością i gniewem.

– Puść mnie, puść mnie, mówię ci! – krzyczała na usiłującą jej pomóc kuzynkę. – Nikt nie potrzebuje mi pomagać. Mogę już chodzić sama!

A potem, zanim Kekesfalva lub służący oprzytomnieli, stała się rzecz niewiarygodna. Sparaliżowana dziewczyna w olbrzymim naprężeniu zacisnęła wargi, wpiła we mnie szeroko rozwarte, gorące spojrzenie i niby pływak odbijający się od brzegu, odepchnęła się gwałtownym ruchem od drzwi, dających jej oparcie, po czym bez kul swobodnie ruszyła ku mnie. W chwili odbicia się od drzwi zachwiała się, jak gdyby miała paść w pustkę przestrzeni, lecz szybko, aby utrzymać równowagę, wzniosła w górę obydwie ręce, pustą i tamtą, w której trzymała kule. Zagryzła wargi, wysunęła przed siebie jedną nogę i powoli przyciągnęła do niej drugą; gwałtowne, krótkie poruszenia jej ciała przypominały ruch marionetki. Ale mimo to szła. Szła! Szła z szeroko otwartymi oczami, wlepionymi we mnie, szła, jak gdyby ciągnąc się na niewidzialnym drucie, z zębami wbitymi w wargi, z kurczowo wykrzywioną twarzą. Szła podrywając się jak łódź na fali podczas burzy, ale szła, szła po raz pierwszy samodzielnie bez kul i bez pomocy – cud woli obudził jej martwe nogi! Żaden lekarz nie umiał mi potem nigdy wytłumaczyć, jakim sposobem sparaliżowana chora zdołała ten jeden jedyny raz wyrwać swe bezwładne nogi z drętwy i bezruchu. Ja również nie potrafię opisać, jak to się stało, bo wszyscy jak skamieniali patrzyliśmy bez słowa w jej ekstatyczne oczy. Nawet Ilona zapomniała pospieszyć za nią i chorą podeprzeć. A Edyta zrobiła kilka chwiejnych kroków, jak gdyby ją popychał wewnętrzny wicher. Nie był to chód, lecz jakby lot tuż nad ziemią, niepewne, rozpaczliwe podlatywanie ptaka o przyciętych skrzydłach. Lecz

wola, ten demon serca, pchała ją naprzód. Już była blisko, już z triumfem dokonanego czynu wyciągała do mnie tęskne ramiona utrzymujące dotąd, niby lotki, równowagę, a naprężone rysy jej twarzy rozjaśniły się w uśmiechu nadludzkiego uszczęśliwienia. Dokonała cudu – jeszcze dwa kroki, nie, jeszcze jeden, ostatni! Już nieomal czułem oddech jej roześmianych ust, gdy nagle stała się rzecz okropna. Gwałtowny, pełen tęsknoty ruch, jakim zbyt wcześnie, w pragnieniu uścisku, wyciągnęła ramiona, spowodował utratę równowagi. Kolana jej, jak podcięte kosą, ugięły się i dziewczyna upadła u mych stóp, a kule z trzaskiem uderzyły o twarde flizy. W nagłym odruchu przerażenia cofnąłem się mimo woli, zamiast uczynić gest najnaturalniejszy w tym wypadku, zamiast podbiec i pomóc się podnieść nieszczęśliwej.

Lecz jednocześnie rzucił się ku niej ojciec, a Ilona i Józef skoczyli, by podnieść jęczącą. Widziałem, wciąż jeszcze nie będąc w stanie patrzeć, jak ją wspólnie wynosili. Słyszałem tylko jej zduszone łkanie rozpacz i gniewu oraz człapiące kroki, ostrożnie oddalające się z niesionym ciężarem. W owej sekundzie rozviała się nagle mgła uniesienia przesłaniająca mi przez cały wieczór orientację. W owej chwili wewnętrznej jasności ujrzałem wszystko z okrutną wyrazistością; wiedziałem, że nieszczęsna dziewczyna nigdy nie wyzdrowieje! Cud, jakiego się ode mnie spodziewano, nie został dokonany. Nie byłem już Bogiem, lecz małym, żalonym człowiekiem, który swą słabością podle szkodził, a litością rujnował i niszczył. Ze straszliwą dokładnością zdałem sobie w tym momencie sprawę z mego obowiązku: teraz albo nigdy musiałem dochować jej wierności. Teraz albo nigdy powinienem był pomóc, pobiec za tamtymi, usiąść przy jej łóżku, uspokajać ją i okłamywać, że szła wspaniale, że wyzdrowieje zupełnie. Lecz nie miałem już sił do tak rozpaczliwego oszustwa. Zdjął mnie strach, okropny strach przed jej lękliwie proszącymi i pożądanymi oczami, strach przed niecierpliwością tego nieokiełznanego serca, strach przed cudzym nieszczęściem, którego nie byłem w stanie opanować. Bezwiednie chwyciłem szablę i czapkę. Po raz trzeci, po raz ostatni, uciekłem jak zbrodniarz z tego domu.

Powietrza! Zaczerpnąć powietrza! Myślałem, że się chyba uduszę. Czy to noc winna, że tak duszno tu między drzewami, czy alkohol, duża ilość wina, którą wypilem? Bluza była mi za ciasna; szarpnąłem kołnierz i ledwo się powstrzymałem, aby nie rzucić płaszcza ciężącego mi na ramionach. Powietrza, zaczerpnąć oddechu! Wydawało mi się, że krew przesiąkła mi przez skórę, a w uszach miałem szum i ucisk: tuk-tuk, tuk-tuk. Czy to tamte

wstrętne kule, czy pulsowanie w mych skroniach? I czemu właściwie tak pędzę? Co się stało? Trzeba myśleć rozsądnie. Co się właściwie stało? Myśleć spokojnie, powoli, nie słuchać tego szkaradnego stukania. A więc – zaręczyłem się... Nie, zaręczono mnie... przecież sam nie chciałem, przecież nigdy o tym nie myślałem. A teraz jestem zaręczony, związany. Ale nie... to przecież nieprawda! Przecież powiedziałem temu staremu, że dopiero wówczas, gdy będzie zdrowa – a zdrowa nigdy nie będzie – moja obietnica będzie miała dopiero wartość... Nie, w ogóle wartości nie ma! Nic się nie stało, nic. Ale czemu w takim razie pocałowałem ją, pocałowałem w usta? Przecież wcale nie chciałem. Ach, ta litość, ta przekłeta litość! Ach, jakież wstrętne jest to ciągle stukanie w skroniach: tuk-tuk, tuk-tuk. Będzie mi teraz stale brzmiało w uszach... ciągle będzie biegła za mną na tych okropnych kulach. Stało się, stało się nieodwołalnie. Ja oszukałem ich, a oni oszukali mnie. Zawsze brali mnie na lep i oto dałem się schwytać. Zaręczyłem się według wszelkich prawideł, a byli przy tym tamci: i ojciec, i Ilona, i służący. Ale ja nie chcę, ja przecież nie chcę! Co począć? Spokojnie! Myśleć spokojnie! Zaręczyłem się. Zaręczono mnie...

Co to jest? Czemu te drzewa tak się chwieją? A gwiazdy? Jak to boli i mieni się w oczach, aż się wszystko kręci dookoła. Jaki ucisk mam w głowie! Ach, jak duszno! Trzeba by gdzieś ochłodzić czoło, aby znów myśleć logicznie. Albo może coś wypić, żeby splukać tę lepką gorycz w ustach. Gdzieś w pobliżu była tu przy drodze studnia – tyle razy tędy przejeżdżałem. Nie, już ją dawno minąłem, widocznie biegłem jak szalony i stąd to pulsowanie w skroniach, to okropne pulsowanie! Och, napić się czegoś, aby znów można było jasno myśleć.

Wreszcie z pierwszych niskich domów zabłysło ku mnie przez na wpół zasłoniętą szybę żółte światło lampy naftowej. Prawda – przypomniałem sobie teraz – to ta mała karczma podmiejska, w której zatrzymują się z rana furmani, by się napędce rozgrzać kieliszkiem wódki. Poproszę o szklanekę wody albo o coś palącego lub gorzkiego, co przeżarłoby lepkość sklejącą gardło! Napić się czegoś, wszystko jedno czego. Nie namyślając się, chciwie, jak umierający z pragnienia, pchnąłem drzwi.

Z mrocznego wnętrza buchnął na mnie dusznością zapach marnego tytoniu. W głębi stał szynkwias z wódką, bliżej drzwi stół, przy którym siedzieli robotnicy drogowi, grający w karty. Oparty o szynkwias, odwrócony plecami, stał ułan żartując z gospodynią. Poczul świeży powiew, toteż odwrócił się i zaskoczony otworzył usta; natychmiast jednak oprzytomniał i

stanał na baczność. Czemu tak się przeraził? Ach, tak, prawdopodobnie wziął mnie za oficera inspekcyjnego, a przecież od dawna powinien już być spać. Gospodyni spojrzała zaniepokojona, a robotnicy przerwali grę. Widocznie coś we mnie zwróciło ogólną uwagę. Dopiero teraz, zbyt późno, zorientowałem się, że był to niewątpliwie jeden z lokali, w których bywali tylko żołnierze, mnie zaś jako oficerowi w ogóle nie wolno było tu przychodzić. Instynktownie zawróciłem.

Ale oto podbiegła już gospodyni pytając uniżenie, czym może służyć. Czuję, że muszę jakoś usprawiedliwić mój mimowolny *faux pas*. Powiedziałem więc, że jest mi niedobrze, czy może mi dać szklanek wody sodowej i kieliszek śliwownicy.

– Proszę, proszę! – i szybko odbiegła.

Zamierzałem naprędce i przy szynkwasiu wychylić przygotowany napój, lecz nagle naftowa lampa u sufitu zaczęła się kołysać, butelki na półce przesuwają się bezgłośnie w górę i w dół, a drewniana podłoga pod moimi butami niespodzianie rozmiękła i zachwiała się tak mocno, że się zatoczyłem. „Trzeba usiąść” – pomyślałem. Ostatkiem sił dojrzałem do pustego stołu, a gdy podano mi wodę, wypilem ją jednym haustem. Ach, jaka zimna i smaczna – usunęła na chwilę przykry smak, budzący wymioty. Teraz jeszcze szybkim ruchem połknąć pałacy napój i wstać. Ale nie mogłem się podnieść; wydawało mi się, że nogi wrosły mi w podłogę, a w głowie coś dziwnie dźwięczało. Zamówiłem jeszcze raz śliwownicę; potem papieros i jak najprędzej wyjść!

Zapaliłem papierosa. Ach, jeszcze chwilę tak posiedzieć z mętną głową wspartą na obydwóch rękach i myśleć, rozmyślać, przemyśleć wszystko, jedno po drugim! A więc – zaręczyłem się... zaręczono mnie. Ale to ma znaczenie tylko... nie, żadnych wykrętów, to ma znaczenie, ma. Pocałowałem ją w usta i zrobiłem to z własnej woli. Ale przecież tylko po to, aby ją uspokoić, i dlatego, że wiedziałem, że nigdy nie wyzdrowieje. Znowu przecież upadła jak kłoda! Z kimś takim nie można się żenić, bo przecież to nie jest prawdziwa kobieta, to jest... Ale oni mnie już nie puszczą, już mnie nie uwolnią! Ten stary z bajki, ten zły duch, ten okrutnik z melancholijną twarzą poczciwca w złotych okularach, uczepił się mnie i nie będę go już mógł rzucić. Trzyma mnie za ramię i stale będzie szarpał uzdą mej litości, mej przeklętej litości! Jutro całe miasto będzie o tym mówiło, gazety podadzą wiadomość o zdarzeniu i odwrót będę miał odcięty. Może by lepiej od razu przygotować na to moją rodzinę, aby ojciec i matka nie dowiedzieli się od

obcych lub co gorsza z gazet. Może wyjaśnić im, dlaczego i jak do tego doszło, że się zaręczyłem... że nie chodzi tu o pośpiech i że nie starałem się o to, bo tylko litość zapłatała mnie w tę całą sprawę. Ach, ta przekłeta, przekłeta litość! A w pułku absolutnie tego nie rozumieją – ani jeden z kolegów. Jakże to Steinhübel mówi o Balinkayu? „Jeżeli się człowiek ma sprzedać, to przynajmniej drogo!” O Boże, co oni będą wyprawiali! Przecież ja sam nie bardzo pojmuję, jak mogłem się zaręczyć z tym... z tym chorym stworzeniem. A gdy się dowie ciotka Daisy – tej nie można nic nablagować, ta nie da się wziąć na żadne piękne słówka i nie zna żartów! Nie będzie można jej nakłamać o szlachectwie i o pałacach, bo natychmiast zajrzy do Almanachu Gotajskiego i po dwóch dniach będzie wiedziała, że Kekesfalva nazywał się dawniej Lammel Kanitz, a Edyta jest pół-Żydówką... Dla ciotki nie istnieje na świecie nic równie okropnego jak Żydzi w rodzinie. Z matką jakoś by poszło łatwiej, bo pieniądze jej imponują – sześć czy siedem milionów, powiedział? Ach, za nic na świecie! Obiecałem to przecież tylko w wypadku, gdyby wyzdrowiała, tylko wtedy! Ale jak im to wytłumaczyć? Wszyscy w pułku mają w ogóle coś przeciw staremu, a w takich sprawach są niesłychanie drażliwi. Honor pułku, wiem, wiem. Nawet Balinkayowi nie przebaczyli. „Sprzedał się – drwili – sprzedał się starej holenderskiej krowie”. A gdy zobaczą te kule! Nie, lepiej nic nie pisać do domu, żeby na razie nikt o tym nie wiedział. Nie chcę się także wystawiać na śmieszność wobec całego stołu oficerskiego! Ale jak się z tego wyplątać? Może jednak pojechać do Holandii, do Balinkaya? Prawda, przecież mu jeszcze nie odmówiłem i mogę choćby jutro zwać do Rotterdamu, a Condor niech sam wypije, co nawarzył. Niech sam tę sprawę doprowadzi do porządku, bo sam jest winien wszystkiemu. Najlepiej zrobię, jeżeli natychmiast do niego pojedę i wszystko mu wyjaśnię... że po prostu nie mogę. Jakież to było okropne, gdy upadła jak kłoda! Z kimś takim nie można się przecież żenić! Tak, tak, powiem mu od razu, że się cofam. Pojadę w tej chwili do Condora, w tej chwili! Dorożka! Dorożka! Dokąd? Florianigasse... jakież to był numer? Aha, Florianigasse 97! Szybko, jak najszybciej, dostaniecie duży napiwek, tylko prędzej... Poganiajcież tego konia! Ach, nareszcie jesteśmy. Już poznaję ten nędzny dom, w którym doktor mieszka, poznaję wstętne, brudne schody. Na szczęście są bardzo wysokie, cha-cha-cha, nie nadaży za mną na tych kulach, nie wejdzie na górę, przynajmniej tutaj jestem bezpieczny od tego tuk-tuk! Co to? Znowu ta brudna służąca przed drzwiami? Czyż stale ten brudas tak stoi przed drzwiami? „Czy pan doktor jest w domu?” „Nie, ale niech pan wejdzie, doktor zaraz wróci”. Czeskie popychadło! No, trzeba wejść

i poczekać. Ciagle czekać na tego jegomościa... którego nigdy nie ma w domu. Och, Boże, żeby tylko ta ślepa tu nie przylazła! Moje nerwy nie wytrzymałyby, nie mogę wiecznie dla kogoś mieć względów. Jezus, Maria, już idzie... już słyszę jej kroki. Nie, chwała Bogu, nie, to nie może być ona, niewidoma nie chodzi tak pewnie; to ktoś inny chodzi tam i mówi. Ale przecież znam ten głos. Jak to? Jakim sposobem? Przecież to... przecież to głos ciotki Daisy, a ten drugi... czyż to możliwe? Skąd się tu wzięła ciotka Bela, mama, mój brat i bratowa? Nonsens... niemożliwe... przecież czekam u doktora Condora. Wcale go nie znają w mojej rodzinie, więc skąd właśnie u niego mogliby się zejść. A jednak... to oni, poznają głosy, skrzeczący głos ciotki Daisy. Na litość boską, gdzie by się tu ukryć? Są coraz bliżej... drzwi się otwierają... otwierają się same, obydwie skrzydła... i oto – jak Boga kocham! – stoją półkregiem jak u fotografa i patrzą na mnie. Mama jest w czarnej taftowej sukni z białymi riuszkami, którą miała na weselu Ferdynanda, a ciotka Daisy siedzi w bufiastych rękawach. Złote lorgnon wsparła na wyniosłym, ostrym nosie, na tym obrzydliwym spiczastym nosie, którego już nienawidziłem mając cztery lata! Mój brat we fraku... frak w biały dzień? ... i bratowa z tą tłustą, nalaną twarzą. Ach, jakież to wstrętne, szkaradne! Wlepili we mnie oczy, ciotka Bela uśmiecha się złośliwie, jak gdyby na coś czekała... i wszyscy stoją półkolem, niby na audyencji, czekając na coś, czekając... właściwie na co oni czekają?

Nagle mój brat z uroczystym „winszuję” występuje z pół-kregu i nie wiadomo skąd trzyma w ręku cylinder. Zdaje się, że ten obrzydliwiec powiedział to z lekką ironią. „Winszujemy... winszujemy” – pokiwali głowami pozostali. Ale... skąd o tym już wiedzą i skąd się tu razem wzięli? Ciotka Daisy jest przecież z Ferdynandem na noże... a ja nikomu nic nie mówiłem...

„Powinszować, brawo, brawo... siedem milionów to gratka, świetnie się urządziłeś! Siedem milionów – znajdzie się i dla rodziny coś niecoś!” – zagadywali wszyscy razem, szczerząc zęby. „Świetnie, doskonale – zamlaskała językiem ciocia Bela. – Frania będzie mogła studiować. Będzie dobrą partią!” „I podobno jest szlachcianką” – zaskrzeczał mój brat, ale już przerwał mu papuzi głos ciotki Daisy: „No, to się jeszcze okaże!” Moja matka zbliżyła się i zaszepotała nieśmiało: „Może byś nam wreszcie przedstawił swoją narzeczoną?” Przedstawić? Tylko by tego jeszcze brakowało, żeby zobaczyli te kule i żeby się zorientowali, jak pięknie się urządziłem przez tę idiotyczną litość! Ani mi się śni! A zresztą – jakże ją mogę przedstawić, gdy jesteśmy u Condora na trzecim piętrze? Kaleka nigdy w życiu nie weszłaby

na te osiemdziesiąt stopni... Czemuż się teraz wszyscy odwracają, jak gdyby w sąsiednim pokoju coś się stało? Ja sam czuję chłodny powiew za plecami... widocznie otworzono drzwi. Czyżby ktoś nadchodził? Tak, już słyszę... Od strony schodów dobiega stuk, coś piszczy, coś trzeszczy, coś wlecze się i szarpie, i dyszy... tuk-tuk, tuk-tuk... Na litość boską, to chyba nie ona? Przecież nie będzie chciała narobić mi wstydu swymi kulami! Zapadłbym się pod ziemię przed tą drwiącą zgrają. Okropność, to rzeczywiście ona, to może być tylko ona... tuk-tuk, tuk-tuk. Znam przecież ten odgłos... tuk-tuk, tuk-tuk... coraz bliżej... zaraz będzie na górze. Zamknę drzwi. Ale już mój brat wziął cylinder i widzę, że kłania się komuś za moimi plecami, owemu... owemu tuk-tuk. Komu się tak kłania, dlaczego tak głęboko? Nagle wszyscy zaczynają się śmiać, aż szyby dźwięczą. „Ach, tak, ach, tak, ach, więc to tak, taak? Cha-cha-cha... cha-cha-cha, a więc tak wyglądają te miliony, te siedem milionów? ... Ahaaa, ahaaa... a kule jako posag? Ahaaa! ...”

Ach, drgnąłem, gdzie jestem? Spojrzałem dookoła nieprzytomnie. Mój Boże, widocznie zasnąłem, widocznie zdrzemnąłem się w tej nędznej karczmie. Nieśmiało rozejrzałem się po izbie. Czy ktoś to zauważył? Gospodyni obojętnie przecierała szklanki, zaś ułan wytrwale stał obrócony do mnie szerokimi plecami. Może wcale nie zauważyli. Widocznie drzemałem tylko minutę, najwyżej dwie, bo niedopałek papierosa jeszcze się żarzył w popielniczce. Splotany, ciężki sen trwał tylko parę chwil, ale wyssał ze mnie wszelkie ciepło i usunął ociężałość. Zziębnięty na lód zdałem sobie nagle z całą dokładnością sprawę, co się stało. Trzeba wyjść, przede wszystkim wyjść z tej spelunki. Z brzękiem rzuciłem pieniądze na stół i poszedłem do drzwi, a ułan natychmiast stanął na baczność. Dostrzegłem jeszcze zdziwione spojrzenia robotników, podnoszących głowy znad kart, i wiedziałem, że gdy tylko zamknę za sobą drzwi, zaczną plotkować o dziwaku w oficerskim mundurze, jak wszyscy, którzy od dnia dzisiejszego będą się ze mnie za moimi plecami wyśmiewali. Wszyscy, wszyscy, wszyscy, a nikt nie będzie miał litości dla głupca, dla ofiary litości.

Dokąd teraz pójść? Aby tylko nie do domu! Aby tylko nie do pustego pokoju, nie siedzieć samotnie z tymi obrzydliwymi myślami! Najlepiej byłoby napić się czegoś zimnego, czegoś mocnego, bo już znowu czułem na podniebieniu szkaradny smak żółci. Czyżby to były te myśli, które chciałbym zwymiotować? Spłukać to wszystko, spalić, stępić, zagłuszyć! Ach, jakież okropne jest to uczucie obrzydzenia! Do miasta! Jak dobrze, że kawiarnia na

Placu Ratuszowym jest jeszcze otwarta! Za zasłoniętymi szybami prześwieca przez szczeliny światło. Ach, napić się teraz czegoś, napić!

Wszedłem i zaraz przy drzwiach ujrzałem przy zwykłym stole zebrana całą naszą paczkę. Siedział Ferenc, Józsi Steinhübel i lekarz pułkowy. Ale czemu ten Józsi wpatrzył się we mnie taki zdumiony, czemu ukradkiem trącił w bok swego sąsiada i czemu wszyscy wlepili we mnie tak przenikliwe spojrzenia? Czemu rozmowa raptownie ucichła? Przecież dyskutowano głośno i krzyczano tak, że słyszałem hałas jeszcze przed drzwiami; teraz, gdy mnie spostrzegli, umilkli zmieszani. Musiało się coś stać.

Trudno, zawrócić nie mogłem, bo mnie już widzieli. Zbliżyłem się więc, udając swobodę, jakkolwiek nie czułem się swobodny i nie miałem najmniejszej chęci do żartów lub pogawędki. A przy tym wyczuwałem w powietrzu jakieś napięcie. Zazwyczaj kiwano na przybyłego lub rzucono mu „serwus!” jak blaszaną piłkę przez pół kawiarni. Dzisiaj siedzieli wszyscy cicho niby uczniacy zaskoczeni na jakiejś sprawce. Niemądrze zmieszany rzekłem przysuwając sobie krzesło:

– Pozwolicie?

Józsi dziwnie na mnie spojrzał.

– No, co wy na to? – skinął na tamtych. – Czy pozwolimy! Jak wam się podobają takie ceremonie? Tak, Hofmiller przyzwyczajony jest do ceremonii!

Widocznie miał to być dowcip tego złośliwca, bo pozostali uśmiechali się bądź z trudem tłumili paskudny śmiech. Tak, coś się stało. Zazwyczaj, gdy któryś z nas przychodził tu po północy, wypytywano go dokumentnie „skąd” i „dlaczego”, szpikując żarty soczystymi przypuszczeniami. Dzisiaj żaden nie odwrócił się do mnie i wszyscy okazywali jakieś zakłopotanie. Widocznie wpadłem w ich przyjemne zebranie niczym śliwka w kompot. Wreszcie Józsi rozparł się na krześle, przymknął lewe oko jak przy ostrym strzale i spytał:

– No, można już powinszować?

– Powinszować czego?

Byłem tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co ma na myśli.

– No, aptekarz właśnie stąd odszedł, opowiadał, iż podobno służący z pałacu telefonował do niego, że się z tym... z tą... no, powiedzmy, z tą młodą panną zaręczyłeś.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Dwie, cztery, sześć, osiem, dziesięć, dwanaście par oczu wlepiło się w moje usta. Wiedziałem, że jeżeli się przyznam, wybuchnie w następnej chwili szalony hałas, rozpoczną się dowcipy, drwinki, kpinki i ironiczne powinszowania. Nie, nie mogłem przytaknąć. To niemożliwe wobec tych rozswawolonych żartownisiów!

– Nonsens – mruknąłem, aby się ratować.

Lecz ta wymijająca odpowiedź wcale ich nie zadowoliła. Poczciwy Ferenc szczerze zaciekawiony uderzył mnie po ramieniu.

– Powiedz no, Tolek, przecież mam rację... to nieprawda?

Wierny dobry kolega miał jak najlepsze chęci, ale nie powinien był owego „nie” tak ułatwić. Zdjęła mnie bezgraniczna odraza do tej ciekawości rozdokazywanych kolegów, gotowych do wyśmiania mnie. Uczułem, że absurdem byłoby tłumaczenie im przy stoliku w kawiarni tego wszystkiego, czego sam sobie w głębi duszy nie umiałem wyjaśnić. Nie namyślając się, rzekłem niechętnie:

– Ani mi się śniło!

Przez chwilę panowało milczenie. Spoglądali na siebie zaskoczeni i jak mi się zdawało, troszkę zawiedzeni. Widocznie zepsułem im zabawę. Ale Ferenc oparł łokcie na stole i z dumą ryknął triumfująco:

– No! Czy nie mówiłem? Znam Hofmillera jak własną kieszeń! Zaraz powiedziałem, że to kłamstwo, szkaradne kłamstwo tego aptekarza. No, już ja mu jutro pokażę, temu głupiemu pigularzowi! Niech innych nabiera na swoje głupie kawały, a nie nas! Wezmę go na spytki i dostanie porządnie po buzi. Na cóż to sobie taki jegomość pozwala? Ni z tego, ni z owego wpakować przyzwoitego człowieka w takie świństwo! Rozpuszczać gębę i opowiadać naokoło takie łajdactwa! A widzicie, zaraz powiedziałem! Hofmiller tego nie zrobi! Nie sprzeda swoich zdrowych nóg nawet za furę złota!

Odwrócił się i serdecznie, dobrotliwie poklepał mnie swą ciężką łapą po ramieniu.

– Naprawdę, Tolku, cieszę się jak wariat, że to nieprawda. Przecież to byłby wstyd dla ciebie, dla nas wszystkich, dla całego pułku.

– I to jaki wstyd! – dodał hrabia Steinhübel. – Właśnie z córką tego starego lichwiarza, na którym w swoim czasie złamał kark Uli Neuendorff z powodu tej historii wekslowej! To przecież skandal, żeby ludzie tego pokroju

mogli się tu osiedlać i kupować pałace, a do tego nabywać szlachectwo. Owszem, chciałoby mu się zapewne dla szanownej córeczki złapać jednego z nas. Co za łotr! Dobrze wie, czemu mnie wymija przy spotkaniu na ulicy!

Wśród wzrastającego hałasu Ferenc burzył się coraz bardziej.

– Ten aptekarz to łajdak! Jak Boga kocham, mam chęć zadzwonić teraz w nocy do apteki i dać mu parę razy porządnie w pysk. A to bezczelność! Tylko dlatego, że tam kilka razy byłeś, chciał cię wpakować w takie obrzydliwe kłamstwo.

Do rozmowy wmieszał się teraz baron Schönthaler, szczupły, arystokratyczny chart:

– Wiesz co, Hofmiller, nie chciałem wtrącać nosa do twoich spraw – *chacun à son goût!* – lecz mówiąc szczerze, od początku mi się nie podobało, kiedy usłyszałem, że ciągle tam u nich siedzisz. Człowiek naszego stanowiska powinien się dobrze zastanowić, komu ma wyświadczyć honor, aby u niego bywać. Nie wiem i wcale mnie nie obchodzi, jakie ten stary robił interesy. Nic nikomu nie liczę. Ale my, oficerowie, powinniśmy zachowywać się z rezerwą, przecież widzisz, że ni z tego, ni z owego rodzi się głupia plotka. Najlepiej nie dotykać ludzi, których się dobrze nie zna. Powinniśmy być zawsze jak z igły, a przecież czasem, ocierając się o kogoś, już się można pobrudzić. No, bądź zadowolony, żeś się w to głębiej nie wplątał.

Wzburzeni krzyczeli wszyscy naraz, wymyślali na starego Kekesfalwę, wyciągając najdziwaczniejsze historie o nim i wyśmiewając się z kusztykania jego córki. Wszyscy zwracali się w moją stronę chwając mnie, że się z tą „bandą” bliżej nie wdałem. A ja? Siedziałem otepiały i niemy; ich wstrętne pochwały dręczyły mnie, a najchętniej byłbym wykrzyknął: „Zamknijcie niegodziwe gęby!” albo „To ja jestem łajdakiem! Nie ja powiedziałem prawdę, lecz aptekarz! Nie on skłamał, lecz ja. Ja, ja jestem tchórzem i nędznym kłamcą!” Ale wiedziałem, że już było za późno, za późno na wszystko... Nie mogłem teraz nic osłabić i niczego się wyprzeć. Siedziałem więc, patrząc przed siebie, ze zgasłym cygarem w zaciśniętych zębach, zdając sobie z całym okrucieństwem sprawę, że tym milczeniem popełniam niegodziwą, podłą zdradę w stosunku do biednej, nieszczęśliwej dziewczyny. Ach, gdybyż zapaść się pod ziemię! Gdybyż można było zniszczyć siebie! Zmarnować. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać, nie wiedziałem, co zrobić z rękami, których drżenie mogłoby mnie zdradzić. Ostrożnie przyciągnąłem je ku sobie i

zaciśnąłem palce boleśnie, by tym kurczowym wysiłkiem opanować jeszcze na parę minut wewnętrzne napięcie.

Lecz w chwili gdy palce moje zetknęły się ze sobą, poczułem między nimi coś twardego, coś obcego. Mimo woli sprawdziłem: był to pierścionek, który przed godziną zarumieniona Edyta wsunęła mi na palec! Zaręczynowy pierścionek, który przyjąłem na znak zgody! Nie miałem już siły, aby ten błyszczący dowód mego kłamstwa zerwać z palca. Tchórzliwym gestem, jak złodziej, szybko przekręciłem go kamieniem do wewnątrz, zanim podałem kolegom rękę na pożegnanie.

Plac Ratuszowy jaśniał widmowo, jak lodowiec, w świetle księżyca. Każdy kamień w bruku znaczył się wyraźnie, każda linia zarysowana była ostro aż po dachy i szczyty domów. I taka sama lodowata jasność panowała we mnie. Jeszcze nigdy nie myślałem z taką wyrazistością, bez zaciemnień, jak w owym momencie. Wiedziałem, co zrobiłem, i wiedziałem, jaki obowiązek miałem teraz do spełnienia. O dziesiątej wieczorem zaręczyłem się, a w trzy godziny później tchórzliwie wyparłem się owych zaręczyn. Wobec siedmiu świadków, przy moim rotmistrzu, dwóch porucznikach, lekarzu pułkowym, dwóch podporucznikach i podchorążych z mego pułku pozwoliłem, aby mnie chwalono za moje nikczemne kłamstwo, mając już na palcu pierścień zaręczynowy. Podstępnie skompromitowałem dziewczynę kochającą mnie namiętnie, cierpiącą, bezsilną, nic nie podejrzewającą stworzenie, i nie zaprotestowałem, gdy rzucano obelgi na jej ojca, a pozwoliłem jak krzywoprzysięzca, aby obcego człowieka, który powiedział prawdę, nazywano oszustem. Już jutro rano pułk dowie się o tej hańbie, a wówczas wszystko będzie skończone. Koledzy, którzy mnie dziś po bratersku klepali po ramionach, jutro nie podadzą mi ręki i nie odpowiedzą na mój ukłon. Jako zdemaskowany kłamca nie będę już mógł nosić szlifów oficerskich, zaś do tamtych... do ludzi zdradzonych, do spotwarzonych również nie będę mógł powrócić. Jestem człowiekiem straconym nawet dla Balinkaya. Trzy minuty tchórzostwa zniszczyły mi życie – nie miałem innego wyboru niż rewolwer.

Już przy stole w kawiarni zdawałem sobie dokładnie sprawę, że jest to jedyny sposób, w jaki mogłem uratować mój honor, zaś obecnie wędrując samotnie ulicami rozmyślałem jedynie nad formą wykonania swego zamiaru. Myśli układały mi się teraz w głowie przejrzyście, jak gdyby białe światło księżyca przenikało przez czaszkę. Obojętnie, jak przy rozbieraniu karabinu na części, wyznaczałem sobie czynności na najbliższe dwie czy trzy godziny,

ostatnie w moim życiu. Trzeba wszystko załatwić porządnie, o niczym nie zapomnieć i nic nie przeoczyć! Przede wszystkim list do rodziców, przeprosić ich, że ranię ich tak boleśnie. Następnie poprosić pisemnie Ferenca, aby nie brał aptekarza na spytki, bo sprawa jest załatwiona przez moją śmierć. Trzeci list – do pułkownika; poprosić go, aby w miarę możliwości zapobiegł rozgłosowi, i powiedzieć mu, że chciałbym być pochowany w Wiedniu, bez delegacji i bez wieńców. Potem kilka krótkich, zwięzłych słów do Kekesfalvy, aby zechciał zapewnić Edytę o mojej serdecznej sympatii – niech o mnie źle nie myśli. Następnie zrobić u siebie nienaganny porządek, spisać drobne długi na kartce i wydać polecenie, aby sprzedano mego konia na pokrycie wszelkich należności. Do zapisania nie miałem nic. Zegarek i trochę bielizny miał dostać mój ordynans. Ach, prawda, pierścionek i złotą papierośnicę niech zwróca panu von Kekesfalva.

Cóż jeszcze? Tak, tak, spalić obydwie listy Edyty i w ogóle wszystkie listy oraz fotografie. Nie pozostawić po sobie nic, najmniejszego wspomnienia, najdrobniejszego śladu. Zniknąć, możliwie nie zwracając na siebie, tak samo jak za życia, niczyjej uwagi. W każdym razie dość będzie roboty na dwie do trzech godzin, bo każdy list trzeba napisać porządnie, żeby nikt nie mógł mnie podejrzewać o strach lub zamroczenie umysłu. A potem – to ostatnie, najłatwiejsze: położyć się do łóżka, naciągnąć na głowę dwie czy trzy kołdry, a na wierzch ciężką pierzynę, aby w sąsiednim pokoju lub na ulicy nikt nie usłyszał wystrzału... Tak w swoim czasie zrobił rotmistrz Felber. Zastrzelił się o północy, a nikt nic nie słyszał i dopiero z rana znaleziono go z roztrzaskaną głową. Potem pod wszystkimi tymi kołdrami przycisnąć mocno lufę do skroni. Na moim rewolwerze można polegać, zresztą przypadkowo onegdaj świeżo naoliwiłem zamek. Rękę mam pewną, wiem o tym.

Nigdy w życiu – muszę to jeszcze raz powtórzyć – nie układałem niczego tak jasno, precyzyjnie i dokładnie jak wówczas własnej śmierci. Wszystko, niby w registraturze, ułożyłem sobie przezornie i gdy po godzinie na pozór bezcelowego błędzenia po mieście stanąłem przed koszarami, wszystko było już ustalone minuta po minucie. Krok mój przez cały czas był zupełnie spokojny, puls bił równomiernie, rękę miałem pewną, toteż zauważyłem z dumą wkładając klucz do zamka w małych, bocznych drzwiach – którymi oficerowie zawsze po północy wracali – że nie omyliłem się w wąskim otworze ani o cal, choć było ciemno. Teraz trzeba było jeszcze przejść przez podwórze i wejść na trzecie piętro. Wówczas będę wreszcie sam, wszystko od razu

zaczę i skończę zarazem. Gdy jednak z jasno oświetlonego kwadratu zbliżyłem się do ciemniejących drzwi, prowadzących na schody, poruszyła się w nich jakaś postać. „Przekleństwo – pomyślałem – jakiś kolega wrócił pewnie tuż przede mną do domu i chce się jeszcze przywitać i pogadać ze mną”. W następnej jednak chwili poznałem, nieprzyjemnie zdziwiony, szerokie ramiona pułkownika Bubencica, który przed kilkoma dniami tak mnie zbeształ... Widocznie z rozmysłem stanął pod łukiem drzwi. Wiedziałem, że ten zawzięty służbista nie lubił, gdy wracaliśmy późno do domu, ale cóż mnie to, do diabła, mogło teraz obchodzić. Z rana stanę do raportu przed kimś zupełnie innym... Zacięty i zdecydowany chciałem go wyminąć, udając, że go nie zauważyłem, lecz pułkownik wysunął się z cienia. Jego chrapliwy głos zabrzmiał surowo:

– Panie poruczniku!

Zbliżyłem się i wyprostowałem. Popatrzał na mnie bacznie.

– To widocznie taka najnowsza moda u młodych panów oficerów, żeby nosić płaszcz na wpół rozpięty? Panowie myślicie zapewne, że po północy możecie latać byle jak, jak świnie z wiszącymi cyckami? Niedługo będziecie łązić z otwartymi spodniami! Wypraszam to sobie! Moi oficerowie nawet po północy mają być ubrani przyzwoicie. Zrozumiano?

Posłusznie stuknąłem obcasami.

– Rozkaz, panie pułkowniku.

Rzuciwszy mi wzgardliwe spojrzenie odwrócił się i nawet nie skinąwszy głową poszedł schodami, szeroki i krępy w świetle księżyca. Ogarnęła mnie złość, że ostatnie słowa, jakie miałem w życiu usłyszeć, były wymyślaniami. Ku memu własnemu zdziwieniu zrobiłem bezwiednie coś, co właściwie było tylko sprawą mego ciała – gwałtownymi krokami pospieszyłem za nim. Wiedziałem, że było to całkowicie bez sensu, po co na godzinę przed zakończeniem życia wyjaśniać coś lub tłumaczyć jakiejś tępej głowie? Ale absurdalna ta niekonsekwencja właściwa jest przecież wszystkim samobójcom. Na dziesięć minut przed chwilą, gdy staną się zniekształconym trupem, ulegają próżności, aby koniecznie pożegnać się z życiem jak najprzyzwoiciej (z życiem, którego dalej prowadzić nie mogą). Przed wpakowaniem sobie kuli w łeb gola się (dla kogo?) i wkładają czystą bieliznę (dla kogo?), a słyszałem nawet, że pewna kobieta, zanim się rzuciła z czwartego piętra kazała sobie zaondulować włosy, uszminkowała się i uperfumowała najdroższymi perfumami Coty'ego. Jedynie owo uczucie tak nielogiczne i niewytłuma-

czalne sprężyło moje mięśnie. Gdy spieszyłem teraz za pułkownikiem, nie czyniłem tego – podkreślam! – ze strachu przed śmiercią lub z nagłego tchórzostwa, lecz wyłącznie z owego absurdalnego instynktu czystości, aby nie odejść w Nicość nieporządnie i zabrudzony.

Widocznie pułkownik usłyszał moje kroki, bo raptownie odwrócił się i małymi kłującymi oczami pod krzaczastymi brwiami patrzył na mnie zdumiony. Nie mógł pojąć tej niesłychanej niesubordynacji, aby podległy mu oficer bez pozwolenia odważył się iść za nim. Stałem w odległości dwóch kroków, przyłożyłem rękę do czapki i spokojnie wytrzymując jego niebezpieczny wzrok, rzekłem głosem, który musiał być blady jak to księżycowe światło:

– Melduję posłusznie, panie pułkowniku... chciałbym prosić o parę chwil rozmowy.

Krzaczaste brwi zbiegły się w zdziwiony łuk.

– Co? Teraz? O wpół do drugiej w nocy?

Patrzył na mnie zniecierpliwiony, za chwilę brutalnie zwymyśla mnie albo każe stanąć do raportu. Coś jednak w mojej twarzy musiało go zaniepokoić, bo twarde, świdrujące oczy badały mnie przez minutę, dwie...

– Muszą to być piękne rzeczy! – warknął nareszcie. – Ale, jak chcesz, no to chodź na górę i gadaj prędko.

Ów pułkownik Svetozar Bubencic, za którym szedłem teraz jak cień przez korytarze i schody słabo oświetlone naftowymi lampami, puste i głuche, a jednak przepelnione wyziewami mnóstwa ludzi – był stuprocentowym wojakiem oraz przełożonym, którego obawialiśmy się z wszystkich najbardziej. O krótkich nogach, krótkiej szyi i niskim czole – skrywał pod nastroszonymi brwiami głęboko osadzone, jarzące się oczy, które rzadko bywały pogodne. Krępe ciało i ciężki, masywny krok zdradzały niewątpliwe chłopskie pochodzenie (pochodził z Banatu). Lecz przy pomocy tego niskiego, bawolego czoła i twardej jak żelazo głowy pomału, a wytrwale wybił się aż na stanowisko pułkownika. Z powodu rzucającego się w oczy braku wykształcenia, wulgarnego sposobu wymyślania, ordynarnego słownictwa i mało reprezentacyjnej powierzchowności – ministerstwo od lat przesuwalo go z jednego prowincjonalnego garnizonu do drugiego, a w wyższych sferach doskonale sobie uświadamiano, że zanim Bubencic

zdobędzie czerwone lampasy generała, będzie przeniesiony w stan spoczynku. Jakkolwiek jednak niewytworny, a raczej ordynarny, w koszarach i na placu ćwiczeń nie miał sobie równego. Najdrobniejsze paragrafy regulaminu znał niby szkocki purytanin Biblię, a nie miały one dla niego znaczenia elastycznych praw, które zręczna ręka potrafi powiązać harmonijnie, lecz nieomal religijnych przykazań, których sensu lub sprzeczności żołnierz nie powinien komentować. Żył dla wykonywania swej służby, podobnie jak człowiek wierzący żyje dla Boga. Nie zadawał się z kobietami, nie palił, nie grał i chyba przez całe swe życie nie był w teatrze ani na koncercie i jak najwyższy jego wódz, Franciszek Józef, nie czytał nic poza regulaminem służbowym i gazetą wojskową. Nie egzystowało dla niego nic na świecie, nic prócz cesarsko-królewskiej armii, w armii – kawalerii, ułanów, a w ułanach istniało tylko jedno – jego pułk. Treścią życia Bubencica była ambicja, aby w jego pułku działo się lepiej niż w każdym innym.

Człowiek o ciasnych horyzontach trudny jest do zniesienia na każdym stanowisku, gdzie piastuje władzę, zaś najstraszliwszy bywa w wojsku. Ponieważ służba w armii składa się z tysięcy przesadnie dokładnych, a w większości wypadków już przestarzałych i skostniałych przepisów, których jedynie zaciętrzewiony wojskowy uczy się na pamięć i jedynie głupiec wymaga spełniania ich dokładnie co do joty – nikt w koszarach nie czuł się bezpieczny przed tym fanatykiem świętego regulaminu. Terror dokładności wcielony był w tej krępej postaci siedzącej na koniu, tronował przy stole z ostrymi jak szpilki oczami, był postrachem kantyn i kancelarii. Zimny powiew strachu wyprzedzał zawsze jego nadejście, a gdy pułk stał przygotowany do inspekcji i Bubencic na swoim niskim, gniadym wałachu nadjeżdżał powoli, z głową nieco schyloną jak byk przed natarciem, w szeregach zamierał wszelki ruch, jak gdyby zbliżała się obca artyleria z groźnie wycelowaną bronią. Każdy wiedział, że lada chwila uderzy piorun, którego ani powstrzymać, ani odwrócić nie było można, a nikt nie mógł przewidzieć, czy nie strzeli właśnie w niego. Nawet konie stały nieruchomo, zlodowaciałe, nie strzygąc uszami; nie słyhać było dźwięku ostrogi ani najłżejszego oddechu. Spokojnie, z zadowoleniem, najwidoczniej rozkoszując się strachem, jakiego był przyczyną, tyran najeżdżał, biorąc jednego po drugim na pikę swego przenikliwego spojrzenia, któremu nic nie uchodziło. Ten metaliczny wzrok służbisty widział wszystko, dostrzegał każdą czapkę włożoną o szerokość palca za nisko, każdy źle oczyszczony guzik, każdą plamkę rdzy na szabli, każdy ślad po błocie na koniu; a gdy tylko zauważył

najmniejsze przekroczenie przepisu, wybuchał burzą, a raczej prawdziwym potokiem brudnych przekleństw. Grdyka pod ciasnym kołnierzem munduru pęczniała mu nagle apoplektycznie, niby raptowna opuchlizna, czoło pod krótko ostrzyżonymi włosami czerwieniało jak krew, a grube żyły znaczyły się sinymi pręgami na skroniach. Szorstkim, chrapliwym głosem zlewał wówczas całe potoki wstrętnych słów na winne i niewinne ofiary, a jego brutalne wyrażenia były niekiedy tak przykre, że oficerowie zmieszani spoglądali w ziemię, wstydząc się przed żołnierzami. Żołnierze bali się go jak wcielonego szatana, który za lada błahostkę skazywał na „szpangi” i areszt, a niekiedy w złości potrafił zaciśniętą pięścią wyrżnąć w twarz. Sam byłem kiedyś świadkiem, jak ułan-Rusin pewnego dnia, gdy „stara żaba” – tak nazywaliśmy pułkownika, bo jego krótka szyja w atakach wściekłości rozdymała się i nieomal pękała – jak więc ów ułan, w czasie gdy nasza „żaba” w sąsiednim boksie wymyślała i szalała, ruskim sposobem przeżegnał się i drżącymi wargami zaczął mówić pacierz. Bubencic dręczył biednych chłopaków aż do wyczerpania, przyczepiał się do byle czego, kazał powtarzać ćwiczenia z karabinem, aż kości trzeszczały, i tak długo ujeżdżać odporne konie, aż żołnierzom krew przesiąkała przez spodnie. Dziwne jednak, że poczciwe te chłopskie ofiary w jakiś niezrozumiały, a bojaźliwy sposób więcej kochały swego tyrana niż oficerów łagodniejszych i utrzymujących pewien dystans. Wydawało się, iż jakiś instynkt im mówił, że ta surowość wypływa z upartej woli, aby wszystko działo się zgodnie z porządkiem ustanowionym przez Boga. Poza tym nieboraki pocieszały się świadomością, że i nam, oficerom, nie było lepiej. Nawet najsurowszą chłostę człowiek przyjmuje lżej, wiedząc, że spadnie ona tak samo nieubłaganie na kark sąsiada. Sprawiedliwość jakoś dziwnie i tajemniczo wyrównuje przemoc; żołnierze stale odgrzewali z zadowoleniem historyjkę o młodym księciu, który spokrewniony był z cesarskim domem panującym i dlatego przypuszczał, że może sobie pozwolić na rozmaite wybryki. Ale Bubencic nielitościwie wpakował go na dwa tygodnie do aresztu jak pospolitego syna domokrażcy. Daremnie telefonowały z Wiednia rozmaite ekscelencje – Bubencic nie darował wysoko urodzonemu delikwentowi ani jednego dnia kary. Upór ten kosztował go zresztą awans.

Dziwniejsze jednak, iż nawet my, oficerowie, nie mogliśmy się oprzeć pewnej dla niego sympatii. Imponowała nam ślepa uczciwość jego nieubłaganego postępowania, a przede wszystkim bezwzględna, koleżeńska solidarność. Jak nie znosił okruszynki pyłu na mundurze lub najdrobniejszego odprysku błota na siodle pospolitego żołnierza, tak nie

cierpiał najdrobniejszej niesprawiedliwości. Każdy skandal w pułku odczuwał jak cios wymierzony w swój własny honor. Należeliśmy do niego i wiedzieliśmy doskonale, że gdy któryś z nas narobił głupstw, najmądrzej postąpi, idąc wprost do niego. Z początku pułkownik ordynarnie go beształ, a potem zbierał się i szedł wyciągać nieszczęśnika z opresji. Gdy chodziło o przeforsowanie awansu lub o wyrobienie któremuś z nas, zadłużonemu po uszy, zaliczki, nie ustawał, jechał prosto do ministerstwa i swym uporem osiągał cel. Jakkolwiek złościł nas i dopiekał nam do żywego, czuliśmy wszyscy w głębi serca, że ten chłop z Banatu w swój wulgarny i przykry sposób wierniej i uczciwiej od wszystkich eleganckich oficerów stoi na straży istotnej treści oraz tradycji armii, owej niewidzialnej świetności, którą żyliśmy wewnętrznie intensywniej niż z naszej szczupłej gaży.

Takim oto człowiekiem był pułkownik Svetozar Bubencic, najbardziej dokuczliwy przełożony w pułku, za którym szedłem teraz po schodach. W sposób równie męski jak ograniczony, głupio uczciwy i szlachetny, w jaki postępował z nami, traktował też sam siebie. Gdy w wyprawie serbskiej po klęsce Potioreka z naszego doskonale wyposażonego, świetnego pułku pozostało zaledwie czterdziestu dziewięciu ułanów, którzy szczęśliwie przedostali się przez rzekę, nasz pułkownik pozostał jako ostatni na nieprzyjacielskim brzegu. Uważając, że paniczny odwrót jest hańbą dla honoru armii, uczynił rzecz, na którą zdobyło się może kilku ze wszystkich wodzów i wysokich oficerów po klęskach w wojnie światowej. Wziął swój ciężki służbowy rewolwer i palnął sobie w łeb, aby nie być świadkiem upadku Austrii, który swymi tępymi zmysłami jednak proroczo wyczuł w strasliwym obrazie uciekającego pułku.

Pułkownik otworzył drzwi. Weszliśmy do pokoju podobnego w swej spartańskiej skromności raczej do studenckiej izdebki; żelazne polowe łóżko – nie chciał sypiać lepiej niż Franciszek Józef w pałacu cesarskim – dwa oleodruki, na prawo cesarz, na lewo cesarzowa, kilka tanio oprawionych, pamiątkowych fotografii z inspekcji i uroczystości pułkowych, parę skrzyżowanych szabel i dwa tureckie pistolety – to wszystko. Ani wygodnego fotela, ani książek, cztery trzcinowe krzesła wokół zwykłego, pustego stołu.

Bubencic gwałtownie przesunął kilka razy ręką po wąsach. Zналиśmy ten nagły, kanciasty ruch, nieomylnie oznaczał groźne zniecierpliwienie. Wreszcie dysząc warknął, nie prosząc, bym usiadł:

– No, rozgość się! I bez żadnych komedii, gadaj. Tarapaty pieniężne czy awantura z babą?

Było mi nieprzyjemnie, że muszę mówić stojąc, a prócz tego w jaskrawym świetle wystawiony byłem na jego niecierpliwe spojrzenie. Szybko więc zaprzeczyłem, iż nie chodzi tu o sprawy pieniężne.

– Więc historia z jakąś kobietą! Już znowu! Że też nie możecie żyć spokojnie. Jak gdyby nie było dość bab, z którymi te sprawy są bardzo proste. No dalej i bez zbytecznej gadaniny, o co chodzi?

W jak największym skrócie zreferowałem, że zaręczyłem się dziś z córką pana von Kekesfalva, a trzy godziny później po prostu temu zaprzeczyłem. Niech jednak w żadnym razie nie przypuszcza, że chciałbym teraz nieuczciwość mego postępowania złagodzić, przeciwnie, przyszedłem tylko, aby go jako przełożonego prywatnie zawiadomić, iż całkowicie zdaję sobie sprawę z konsekwencji, które jako oficer muszę wyciągnąć z mego niewłaściwego zachowania. Wiem, jaki jest mój obowiązek, i na pewno go wykonam.

Bubencic wpatrzył się we mnie, nic nie rozumiejąc.

– Co ty za głupstwa gadasz? Niehonorowo i konsekwencje? Ależ jak to, skąd? Przecież to nie ma żadnego sensu. Zaręczyłeś się, powiadasz, z córką Kekesfalvy? Raz ją kiedyś widziałem, dziwny masz gust, przecież to osoba ułomna, kaleka! No, widocznie później rozmyśliłeś się, to nic nie szkodzi, nic strasznego. To już niejeden zrobił, a jednak nie jest szubrawcem. Tylko może... – zbliżył się do mnie – może ty z nią... tego? ... a teraz coś się stało? W takim razie rzeczywiście sprawa byłaby paskudna.

Złościłem się i wstydziłem. Irytował mnie lekki, może umyślnie lekki sposób, w jaki wszystko przekręcał. Stuknąłem obcasami:

– Pozwoli pan pułkownik, że posłusznie zamelduję: owo bezwstydnie kłamstwo, że się nie zaręczyłem, powiedziałem wobec siedmiu oficerów z naszego pułku przy stoliku w kawiarni. Skłamałem kolegom z tchórzostwa i zmieszania. Jutro rano porucznik Hawliczek ma rozmówić się z aptekarzem, który przyniósł im wiadomość prawdziwą. Jutro będzie całe miasto wiedziało, że powiedziałem nieprawdę i zachowałem się niezgodnie z honorem oficera.

Patrzył teraz na mnie zdumiony. Jego ociężała myśl zaczęła widocznie dopiero teraz funkcjonować. Twarz stopniowo mu ciemniała.

– Gdzie to było, powiadasz?

- Przy naszym stoliku, w kawiarni.
- Wobec kolegów, powiadasz? I wszyscy to słyszeli?
- Tak jest, panie pułkowniku.
- A ten aptekarz wie, że się wszystkiego wyparłeś?
- Jutro się o tym dowie. I on, i całe miasto.

Pułkownik tak mocno skręcał i szarpał swe grube wąsy, jak gdyby je chciał wyrwać. Widać było, że jakaś myśl pracuje za jego niskim czołem. Ze złością, założywszy ręce za plecy, zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, raz, dwa, dziesięć razy, dwadzieścia... Podłoga trzęsła się pod jego ciężkim krokiem i ostrogi z cicha dzwoniły. Wreszcie zatrzymał się przede mną raptownie.

- No, i co chcesz zrobić, powiadasz?

- Jest tylko jedno wyjście, pan pułkownik sam wie. Przyszedłem, żeby pana pułkownika pożegnać i prosić go posłusznie, aby zechciał zarządzić, iżby wszystko później załatwione było po cichu i bez wywoływania komentarzy. Żadna hańba nie powinna przeze mnie spaść na pułk.

- Zawracanie głowy! - mruknął. - Zawracanie głowy! Z takiego powodu! Taki porządny, zdrowy, przyzwoity człowiek jak ty, z powodu jakiejś kaleki! Prawdopodobnie ten stary lis dopiekl ci porządnie i nie umiałeś się w przyzwoity sposób z tego wykręcić. No, jeżeli chodzi o nich, to mi obojętne... co oni nas obchodzą! Ale że koledzy i ten głupi wszarz, ten aptekarz, wiedzą o tym, to naturalnie paskudna historia!

Zaczął się znów przechadzać gwałtowniej niż przedtem. Zdawało się, że myślenie go wyczerpuje. Ilekroć zawracał, twarz jego była o ton ciemniejsza, a na skroniach grube, czarne żyły rosły jak korzenie. Wreszcie stanął zdecydowany.

- Więc uważaj. Takiej rzeczy trzeba jak najprędzej skręcić kark, jeżeli się rozniesie, to naturalnie nic nie będzie można zrobić. Więc przede wszystkim - kto z naszych był przy tym?

Wymieniłem nazwiska. Bubencic wyciągnął z kieszeni na piersiach notes - mały, osławiony, oprawny w czerwoną skórę notes, który zawsze wyjmował jak broń, gdy przyłapał kogokolwiek z pułku na czymś niewłaściwym. Kto się dostał na jego kartki, ten mógł pożegnać się z najbliższym urlopem. Według chłopskiego zwyczaju zwilżył ołówek między

wargami, zanim swymi grubymi palcami o szerokich paznokciach naskrobał jedno nazwisko po drugim.

– To wszyscy?

– Tak jest.

– Na pewno?

– Rozkaz.

– Taak.

Wpakował notes z powrotem do kieszeni ruchem takim, jakby chował szablę do pochwy. W owym „taak” zabrzmiał także ów szcęk broni.

– Tak. Więc to już załatwione. Jutro z rana, zanim wysuną nos na plac ćwiczeń, każę im tu przyjść wszystkim siedmiu, jednemu po drugim, i niech Bóg będzie miłościw temu, który sobie jeszcze potem przypomni, co mówiłeś! Z aptekarzem rozprawię się później osobno. Dam sobie z nim radę, możesz być pewien, już ja coś wynajdę. Może powiem, że wpierw chciałeś mnie spytać o pozwolenie, aby się oficjalnie zaręczyć, albo... czekaj no! – podbiegł do mnie tak raptownie, że poczułem jego oddech, i swym kłującym spojrzeniem wbił się w moje oczy – powiedz no szczerze, ale naprawdę szczerze. Piłeś coś przedtem, to jest przedtem, zanim zrobiłeś to głupstwo?

Zawstydzilem się.

– Tak jest, panie pułkowniku, wypilem parę koniaków, zanim poszedłem do kawiarni, a jeszcze przedtem tam... przy kolacji... dość dużo... Ale...

Przygotowany byłem na wybuch wściekłości. Lecz twarz pułkownika nagle się rozjaśniła i rozszerzyła w uśmiechu. Klasnął w dłonie i roześmiał się głośno, grzmiąco, z zadowoleniem.

– Świetnie, doskonale! Już wiem, co zrobię! Wyciągniemy cię z tej historii! Ależ to proste jak obręcz! Wytlumaczę im wszystkim, że pijany byłeś jak świnia i nie wiedziałeś, co gadasz! Słowa honoru nie dawałeś?

– Nie, panie pułkowniku.

– W takim razie... dobra! Byłeś urżnięty! Tak im powiem. To już się zdarzało i wyobraź sobie... nawet arcyksiężtom! Byłeś urżnięty w sztok i nie miałeś zielonego pojęcia, co gadasz, nie bardzo nawet słuchałeś, co mówią, i nie wszystko rozumiałeś, o co cię pytali. Przecież to logiczne! A temu

aptekarzowi nablaguję, że cię porządnie zbeształam, bo urżnięty wlałeś do kawiarni. No, numer pierwszy załatwiliśmy.

Rozgoryczenie, że nic nie zrozumiał, rosło we mnie. Złościło mnie, że ten w gruncie rzeczy dobroduszny uparciuch koniecznie chce mi podać rękę. Ostatecznie myśli może nawet, że z tchórzostwa uchwyciłem się jego rękawa, żeby się wyratować. Czyżby, do diabła, za nic nie chciał zrozumieć mojej nikczemności! Zebrałem się na odwagę;

– Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że w ten sposób sprawa dla mnie w żadnym wypadku nie jest załatwiona. Wiem, co zrobiłem, i wiem, że przyzwoitemu człowiekowi nie będę mógł spojrzeć w oczy. Nie mogę żyć dalej jako łajdak i...

– Zamknij gębę! – przerwał mi groźnie. – Och przepraszam, daj że spokojnie pomyśleć i nie gadaj ciągle głupstw! Już ja sam wiem, co mam zrobić, i nie potrzebuję od ciebie, żółtodzioba, nauk. Myślisz, że tu chodzi tylko o ciebie? Nie, mój kochany, to był tylko numer pierwszy, a teraz numer drugi: jutro z rana już ciebie tu nie będzie, nie chcę cię mieć u siebie. Taka sprawa musi przycichnąć, toteż nie możesz tutaj pozostać ani dnia dłużej, w przeciwnym razie zaczniesz się idiotyczne wypytywanie i plotkowanie, a tego wcale sobie nie życzę. Oficer, należący do mojego pułku, nie może być przez nikogo nagabywany i nikt na niego nie może krzywo patrzeć. Tego nie ścierpię... Od jutra będziesz przeniesiony do szwadronu zapasowego w Czaslau. Napiszę ci sam rozkaz i dam list do podpułkownika; nic cię nie obchodzi, co tam będzie napisane. Twoja rzecz to zniknąć, a co ja zrobię, to moja sprawa. Przygotujesz się dziś w nocy razem z ordynansem, a jutro rano wyjedziesz z koszar tak wcześnie, że z całego towarzystwa nie zobaczysz żywej duszy. W południe przy raporcie odczytane będzie, że jesteś odkomenderowany z pilnym zleceniem, żeby nikt się niczego nie domyślił. A w jaki sposób potem wyjaśnisz sprawę temu staremu i dziewczynie, to mi obojętne. Wypij sam swoje piwo, mnie obchodzi tylko, żeby w koszarach nie było smrodu i gadaniny... Więc załatwione, o wpół do szóstej z rana będziesz gotów do drogi, dam ci list i zmiataj! Zrozumiano?

Zawahałem się – nie po to tu przyszedłem. Przecież nie chciałem uciekać! Bubencic zauważył mój opór i powtórzył prawie groźnie:

– Zrozumiano?

– Rozkaz, panie pułkowniku – odparłem służbiście i chłodno, lecz w duszy powiedziałem sobie: „Niech sobie ten stary głupiec gada, co chce. Zrobię, co zrobić powinienem”.

– No, na dzisiaj dość. A jutro z rana o wpół do szóstej.

Stanąłem na baczność. Pułkownik zbliżył się do mnie.

– Wiesz, że akurat ty musiałeś narobić takich głupstw. Niechętnie odstępuję cię tym w Czaslau. Ze wszystkich moich młodych oficerów lubiłem cię najbardziej.

Wyczułem, że się zastanawia, czy mi podać rękę. Spojrzenie jego zmiękło.

– Może ci jeszcze czegoś potrzeba? Jeżeli mogę ci czymś pomóc, nie krępuj się, zrobię to chętnie. Nie chciałbym, żeby ludzie sądzili, że się wplątałeś w jakieś świństwo albo coś podobnego. Niczego ci nie potrzeba?

– Nie, panie pułkowniku, dziękuję posłusznie.

– Tym lepiej. No, to z Bogiem! Jutro z rana o wpół do szóstej.

– Rozkaz, panie pułkowniku.

Patrzyłem na niego, jak się patrzy na człowieka po raz ostatni. Wiedziałem, że jest ostatnim, z którym mówię na tej ziemi. Jutro będzie jedynym, który będzie znać całą prawdę... Wyprostowany stuknąłem obcasami, uniosłem ramiona i zawróciłem.

Lecz ociężały ten człowiek musiał coś widocznie zauważyć. Coś w moim spojrzeniu albo w chodzie wydało mu się prawdopodobnie podejrzane, bo nagle surowo zakomenderował:

– Hoffmiller, wróć!

Odwróciłem się na miejscu. Z wysoko podniesionymi brwiami wpatrzył się we mnie badawczo i wreszcie rzekł zgryźliwie, a zarazem dobrotliwie:

– Te, bratku, jakoś mi się nie podobasz! Coś ci jest, zdaje się, że chcesz mnie wystrychnąć na dudka i że masz zamiar zrobić jakieś głupstwo. Ale nie pozwolę, żebyś z powodu takiej zasranej sprawy zrobił idiotyzm... rewolwerem... albo coś podobnego... nie pozwolę... zrozumiano?

– Rozkaz, panie pułkowniku.

– Ach, co tam „rozkaz”! Nie zamydlisz mi oczu. Ja jestem człowiekiem dzisiejszym! – Głos mu znowu zmiękł. – Daj no rękę.

Wyciągnąłem do niego rękę, przytrzymał ją mocno.

– A teraz – patrzył mi surowo w oczy – teraz, Hofmiller, daj mi słowo honoru, że nie zrobisz dziś w nocy żadnego głupstwa. Daj słowo honoru, że jutro o wpół do szóstej z rana stawisz się u mnie i wyjedziesz do Czaslau.

Nie wytrzymałem jego wzroku.

– Słowo honoru, panie pułkowniku.

– No, to dobrze. Wiesz, tak mi jakoś przeszło przez myśl, że w pierwszym rozpędzie zrobisz jakiś idiotyzm. Przecież z wami, narwaną młodzieżą, nic nigdy nie wiadomo... Dla was od razu wszystko jest załatwione, nawet sprawa rewolweru. Trochę później opamiętasz się. Człowiek nad takimi rzeczami jakoś przechodzi. Zobacysz, Hofmiller, zobacysz, że cała ta sprawa rozejdzie się po kościach. Wszystko się wygładzi, a po raz drugi już ci się takie głupstwo w życiu nie zdarzy. No, teraz idź, szkoda by przecież było takiego chłopaka jak ty!

Nasze postanowienia są w znacznie większym stopniu zależne od sytuacji i otoczenia, niż skłonni jesteśmy przyznać się do tego. Znaczna część naszych myśli automatycznie przekazuje dalej odebrane wrażenia i uczucia, a zwłaszcza człowiek wychowany od dzieciństwa w drylu wojskowym podlega psychozie rozkazu z przymusem niemożliwym do zwalczania. Każda wojskowa komenda ma nad nim całkowitą, logicznie niewytłumaczalną moc, rozluźniającą wszelką wolę. Człowiek przemocą wciśnięty w mundur, chociażby zdawał sobie sprawę z bezsensu polecenia, spełni rozkaz jak lunatyk, bez oporu i prawie nieświadomie.

I ja również mając za sobą z przeżytych dwudziestu pięciu lat aż piętnaście spędzonych w szkole wojskowej i w koszarach kształtujących moją psychikę, usłyszawszy rozkaz pułkownika, w tejże sekundzie przestałem samodzielnie myśleć i działać. Już się nie zastanawiałem, wykonywałem tylko rozkaz. Mój mózg zapamiętał tylko jedno, że mam nazajutrz o wpół do szóstej stawić się gotów do wymarszu i na tę godzinę przygotować wszystko bez sprzeciwu. Obudziłem więc ordynansa, krótko wyjaśniłem mu, że nazajutrz wskutek nagłego rozkazu mamy wyjechać do Czaslau, i wspólnie z nim spakowałem rzeczy. Z trudem zdążyliśmy przed oznaczoną godziną i punktualnie o wpół do szóstej stałem zgodnie z

poleceniem w pokoju pułkownika, aby przyjąć służbowe dokumenty. Nie zauważony, jak rozkazał, opuściłem koszary.

Oczywiście, to hipnotyczne uśpienie woli trwało tylko dopóty, dopóki znajdowałem się w obrębie jego wojskowej władzy i dopóki dane mi zlecenie nie było całkowicie wykonane. Z pierwszym drgnieniem lokomotywy, gdy pociąg ruszył, oszołomienie znikło i ocknąłem się, podobnie jak człowiek przewrócony pędem powietrza na skutek wybuchającego pocisku, podniósłszy się chwiejnie, odkrywa ze zdumieniem, że jest cały. Najpierw zdziwiłem się, że jeszcze żyję. Potem, że siedzę w pędzącym pociągu, oderwany od codziennej zwykłej egzystencji. I gdy tylko zacząłem sobie wszystko przypominać, obrazy napłynęły z gorączkową szybkością.

Przecież chciałem wszystkiemu położyć kres, a ktoś wyrwał mi z ręki rewolwer! Pułkownik powiedział, że uporządkuje resztę, ale przecież uporządkuje tylko – skonstatowałem w najwyższym zmieszaniu – wyłącznie to, co dotyczy pułku i mojej tak zwanej dobrej opinii oficera. Może już teraz koledzy stoją przed nim i oczywiście zaręczają słowem honoru, że ani słowa nie pisną o całym zdarzeniu. Ale żaden rozkaz nie przeszkodzi im myśleć, zaś wszyscy chyba rozumieją, że zwiąłem tchórzliwie. Może aptekarz da sobie nablagować, ale Edyta, jej ojciec i inni? Kto ich o tym wszystkim zawiadomi, kto im to wytłumaczy? Już siódma – Edyta obudziła się i pierwszą jej myślą jestem ja. Może spogląda już z tarasu. Ach, ten taras! Czemu przebiega mnie zawsze dreszcz, ilekroć myślę o jego balustradzie? ... Może przez lunetę patrzy na plac ćwiczeń, widzi nasz pułk na koniach i nie wie, i nie przeczuwa, że jednego z oficerów tam brak. Ale po południu zacznę czekać, a ja nie przyjdę i nikt jej nic nie powie. Nie napisałem ani słowa. Gdy zatelefonuje, powiedzą jej, że jestem odkomenderowany, a ona tego nie zrozumie, nie pojmie. A jeszcze gorzej może być, jeżeli natychmiast zrozumie i pojmie... wtedy... Nagle ujrzałem groźne spojrzenie Condora za błyszczącymi okularami i usłyszałem, jak krzyczy: „To byłaby zbrodnia, morderstwo!” I już inny obraz zasłonił pierwszy: Edyta wsparta o fotel przerzuca się przez balustradę w kierunku przepaści, z twarzą samobójcy...

Trzeba coś zrobić, natychmiast coś zrobić! Od razu z dworca zatelegrafuję, zatelegrafuję cokolwiek. Koniecznie muszę zapobiec, aby w swej rozpacz nie popełniła czegoś gwałtownego, czegoś nieodwracalnego. Nie, przecież to mnie nie wolno postępować w sposób gwałtowny nieodwracalny – tak powiedział Condor – a gdyby się miało zdarzyć coś złego, miałem go natychmiast zawiadomić. Dałem mu na to rękę, a słowo honoru

jest słowem honoru. Chwała Bogu, że w Wiedniu mam dwie godziny czasu, bo pociąg idzie dalej dopiero w południe. Może jeszcze złapię gdzieś Condora, koniecznie muszę się z nim zobaczyć.

Natychmiast po przyjeździe oddałem rzeczy ordynansowi i kazałem mu pojechać na Dworzec Północno-Zachodni, gdzie miał na mnie czekać. Popędziłem dorożką do Condora, modląc się (zazwyczaj nie jestem pobożny): „Boże, zrób, żeby był w domu, żeby był w domu! Tylko jemu mogę wyjaśnić, tylko on mnie zrozumie, tylko on może mi pomóc!”

Lecz służąca z obowiązana do sprzątania głową niedbale odrzekła, że pana doktora nie ma w domu.

- Czy mógłbym więc zaczekać?
- Och, przed południem nie wróci.
- Czy wie pani, gdzie go można znaleźć?
- Nie, nie wiem, chodzi od jednego chorego do drugiego.
- Może bym mógł pomówić z panią doktorową?

Zapytana wzruszyła ramionami i weszła do pokoju.

Zaczęło się oczekiwanie. Ten sam pokój i to samo czekanie jak wtedy, a teraz – chwała Bogu! – teraz w sąsiednim pokoju słychać te same posuwiste kroki.

Drzwi otworzyły się nieśmiało, niepewnie. Wydawało się jak wówczas, że otworzył je powiew, ale tym razem głos powitał mnie dobrotliwie i serdecznie:

- To pan, panie poruczniku?
- Tak – odparłem kłaniając się niewidomej, znów ta głupota!
- Ach, mój mąż będzie bardzo żałował! Wiem, że ogromnie... Ale mam nadzieję, że pan może poczekać. Wróci najpóźniej o pierwszej.
- Nie, niestety, nie mogę czekać. Ale... ale to jest bardzo ważne... czy mógłbym telefonicznie osiągnąć go u któregoś pacjenta?

Westchnęła.

– Nie, obawiam się, że to niemożliwe. Nie wiem, gdzie jest... i wie pan... ludzie, których najchętniej leczy, nie mają telefonów. Ale może bym mogła...

Zbliżyła się, a przez twarz jej przemknął nieśmiały wyraz. Chciała coś powiedzieć, ale widziałem, że się krępuje. Wreszcie zaczęła:

– Czuje... zdaje mi się... że to chyba coś bardzo ważnego... Toteż gdyby istniała możliwość, powiedziałabym panu... naturalnie, powiedziałabym panu, gdzie go można zastać. Ale... ale... mogłabym mu to może powtórzyć, gdy wróci? Prawdopodobnie zajęty jest tą biedną dziewczyną, dla której i pan jest taki dobry. Jeżeli pan chce, to chętnie...

I oto zdarzyła się rzecz bezsensowna, nie miałem odwagi spojrzeć w te ślepe oczy, bo ogarnęło mnie uczucie – nie wiem jakim sposobem – że ta niewidoma wie już o wszystkim, że wszystko odgadła. Do głębi zawstydzony wyjąkałem tylko:

– Szanowna pani bardzo łaskawa, ale... nie chciałbym jej trudzić. Jeżeli pani pozwoli, mogę tę sprawę załatwić pisemnie. Przecież to nie jest pewne, że wróci przed drugą? Tuż po drugiej odchodzi pociąg, którym musiałby pojechać do nich, to znaczy... trzeba koniecznie, proszę mi wierzyć, trzeba, żeby tam pojechał. Doprawdy, nie przesadzam.

Wyczułem, że i ona w to nie wątpi. Zbliżyła się jeszcze bardziej i zobaczyłem jej rękę nieświadomie czyniącą gest, jak gdyby mnie chciała uspokoić i uciszyć.

– Oczywiście, wierzę, gdy pan mówi. Niech się pan nie martwi. Zrobi, co będzie mógł.

– Czy mogę mu to napisać?

– Owszem, niech pan napisze... o, tam.

Poszła przodem z ową dziwną pewnością człowieka, znajdującego w danym pokoju każdy przedmiot. Widocznie dzień w dzień porządkowała i dotykała troskliwymi palcami jego biurka, gdyż nieomylnym ruchem wyjęła z lewej szuflady trzy czy cztery arkusze papieru i położyła mi je równo na teczce.

– Tu znajdzie pan pióro i atrament – wskazała znowu najdokładniej we właściwym kierunku.

Zapisałem pospiesznie pięć stron, zaklinając Condora, aby pojechał tam natychmiast, i słowo „natychmiast” trzykrotnie podkreśliłem. W skrócie, lecz bardzo szczerze, opowiedziałem mu wszystko: że nie dotrzymałem placu, że wobec kolegów wyparłem się zaręczyn i że jedynie on poznał od początku, iż przyczyną mojej słabości jest strach przed ludźmi, małoduszny strach

przed obmową i plotką. Nie przemilczałem mu, że postanowiłem sam wymierzyć sobie sprawiedliwość i że pułkownik uratował mnie wbrew mej woli. Do tej chwili myślałem wyłącznie o sobie, teraz zaś pojmuję, iż pociągam za sobą tamtą, niewinną. Niechże natychmiast, chyba rozumie, jak bardzo czas nagli, tam pojedzie – znów podkreśliłem słowo „natychmiast” – i niech im powie prawdę, całą prawdę. Niech nic nie upiększa. Niech mnie nie przedstawia ani lepszym, ani niewinnym, a gdyby pomimo mej słabości przebaczyła mi, będę uważał zaręczyny, za bardziej zobowiązujące niż dotychczas. Dopiero teraz mają one dla mnie rzeczywiste znaczenie, toteż jeżeli Edyta pozwoli, pojedę z nią do Szwajcarii, podam się do dymisji i pozostanę przy niej bez względu na to, czy będzie później uleczona, czy też nie. Zrobię wszystko, aby naprawić swoje tchórzostwo, swoje kłamstwo, bo tylko jedno ma dla mnie wartość w życiu: dowieść jej, iż nie ja, lecz tamtych oszukałem. Niechże jej to wszystko uczciwie powie, całą prawdę, bo dopiero teraz wiem, jak bardzo jestem jej zobowiązany, więcej niż komukolwiek z ludzi, z kolegów, więcej niż wojsku. Jedyne ona może mnie sądzić, jedynie ona przebaczyć. W jej rękach spoczywa decyzja, czy może mi przebaczyć, on zaś – chodzi przecież o śmierć – niech wszystko rzuci i popołudniowym pociągiem pojedzie. Musi tam być koniecznie o wpół do piątej, nie później, koniecznie jeszcze o tym czasie, kiedy mnie Edyta zawsze oczekiwała. Jest to moja ostatnia prośba do niego. Niechże mi pomoże ten jeden jedyny raz, niech natychmiast – czterokrotnie podkreśliłem naglące „natychmiast” – jedzie, aby nie było za późno.

Odłożywszy pióro zorientowałem się, że po raz pierwszy sam w sposób stanowczy coś rozstrzygnąłem. Dopiero podczas pisania zdałem sobie sprawę z tego, jak mam postąpić. Po raz pierwszy uczułem wdzięczność dla pułkownika, który mnie uratował. Wiedziałem, że od tej chwili obowiązywałem się oddać swe życie jednemu człowiekowi: tej, która mnie kocha. Zauważyłem w tej chwili, że niewidoma stała bez ruchu obok mnie i znów ogarnęło mnie bezsensowne wrażenie, że słowo po słowie przeczytała cały list i że wszystko o mnie wie.

– Proszę wybaczyć moją niegrzeczność – zerwałem się. – Zupełnie zapomniałem... ale... to było tak ważne, że musiałem męża pani zaraz o tym zawiadomić.

Uśmiechnęła się do mnie.

– To przecież nic nie szkodzi, że troszkę przy panu postąpiłam. Ważne było tamto. Mój mąż z pewnością zrobi, o cokolwiek go pan poprosi. Zaraz

wyczułam – znam przecież w jego głosie każdy ton – że pana wyjątkowo lubi... Niechże się pan nie dręczy – jej głos stawał się coraz cieplejszy – proszę, niechże się pan nie dręczy... z pewnością wszystko ułoży się dobrze.

– Oby Bóg dał! – rzekłem szczerze i z głęboką nadzieją.

Czyż nie mówią, że ślepi umieją przepowiadać przyszłość?

Schyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Gdy podniosłem głowę, nie mogłem zrozumieć, dlaczego ta kobieta o siwych włosach, surowych ustach i gorzkim wyrazie oślepych oczu, wydawała mi się zrazu tak brzydka – jej twarz promieniała miłością i głębokim ludzkim współczuciem. Wydawało mi się, jak gdyby te oczy, w których odbijała się jedynie wieczna ciemność, więcej wiedziały o prawdzie życia niż inne, patrzące na świat jasno i promiennie.

Żegnałem się jak człowiek powracający do zdrowia. Nie wydawało mi się już, że obiecywanie sobie zmarnowanej i odepchniętej od życia istocie jest z mej strony ofiarą. Nie ma potrzeby kochać zdrowych, pewnych siebie, dumnych, zadowolonych i wesołych, ci tego nie potrzebują! Przyjmują oni miłość jako należy im hołd lub jako czyjś obowiązek, do którego mają prawo, wyniośli i obojętni. Byle błahostka, jakaś ozdoba do włosów lub zapinka na ramię, jest dla nich oznaką sympatii i nie stanowi całej treści i szczęścia ich życia. Istotnie pomóc miłością można jedynie tym, których los skrzywdził, jedynie zrujnowanym, odepchniętym, niepewnym, brzydkim i upokorzonym. Kto oddaje im życie, wynagradza ich za to, co im życie odebrało. I tylko oni wiedzą, jak trzeba kochać i być kochanym, jak kochać należy – z wdzięcznością i pokorą.

Mój ordynans siedział cierpliwie w poczekalni dworcowej.

– Chodź! – uśmiechnąłem się do niego.

Zrobiło mi się nagle dziwnie na sercu. Z nie znaną dotąd swobodą zdawałem sobie sprawę, że wreszcie uczyniłem rzecz właściwą – uratowałem siebie i uratowałem drugiego człowieka. Nie żałowałem już nawet bezsensownego tchórzostwa ostatniej nocy. Przeciwnie, powiedziałem sobie: „Stało się lepiej”. Lepiej się stało, że ludzie, którzy mi tak ufali, wiedzą teraz, że nie jestem bohaterem ani świętym, ani Bogiem, który wychylając się z obłoków, raczy podnieść ku sobie biedne, chore stworzenie. Jeżeli przyjmę teraz jej miłość, nie będzie to już ofiarą. Nie, teraz ja powinienem prosić o przebaczenie, a ona może mi go udzielić. Stało się lepiej.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak pewny siebie. Tylko jeden raz ogarnął mnie cień przestachu, gdy w Ludenburgu do przedziału wpadł jakiś gruby jegomość i sapiąc padł na ławkę:

– Chwała Bogu, że jeszcze zdążyłem. Żeby nie te sześć minut opóźnienia, byłbym nie zdążył.

Uderzyło mnie to mimo woli. Co będzie, jeżeli Condor nie przyszedł w południe do domu? Jeżeli przyszedł zbyt późno, aby zdążyć na pociąg popołudniowy? Wtedy wszystko byłoby daremne! Wtedy Edyta czekałaby, czekała... Ujrzałem nagle znów przerażający obraz: taras i ją uczepioną balustrady, patrzącą w dół i przechylającą się w przepaść... Na litość boską, przecież Edyta musi dowiedzieć się w porę, jak bardzo żałuję mej zdrady! W porę, zanim ogarnie ją rozpacz, zanim stać się może coś okropnego! Najlepiej zrobię, gdy z pierwszej stacji zatelegrafuję parę słów, aby ją uspokoić na wypadek, gdyby Condor nie mógł jej jeszcze zawiadomić.

W Brnie, na najbliższej stacji, wyskoczyłem z pociągu i pobiegłem do urzędu telegraficznego na dworcu. Ale co to się stało? Przed drzwiami stała zbita i skupiona czarna masa, wzburzona gromada ludzi, czytająca plakat. Brutalnie przebijając się łokciami i pomagając sobie wulgarną siłą przedostałem się do małych, szklanych drzwi poczty. A teraz blankiet! Lecz co tu napisać? Aby tylko nie za dużo.

Edyta von Kekesfaka. Tysiące pozdrowień z drogi i najlepsze myśli. Zlecenie służbowe. Wkrótce powrócę. Condor wyjaśni bliżej. Napiszę po przybyciu. Głęboko oddany

Antoni

Podąłem urzędniczce telegram. Och, jakże go powoli załatwiała i ileż miała zapytań! Nazwisko wysyłającego, adres, jedna formalność za drugą. A pociąg odchodził za dwie minuty. Znów musiałem użyć przemocy, aby się przebić przez gromadę ciekawych, która tymczasem wzrosła. Co się właściwie stało? Chciałem właśnie o to spytać, gdy rozległ się sygnał odjazdu i pozostało mi tylko tyle czasu, żeby wskoczyć do wagonu. Chwała Bogu, zrobiłem więc wszystko, aby nie powzięła jakichś podejrzeń i nie zaniepokoiła się bez potrzeby. Dopiero teraz uczułem, jak zmęczony byłem tymi dwoma wyczerpującymi dniami i dwiema bezsennymi nocami.

Przybywszy wieczorem do Czaslau musiałem zebrać ostatki sił, aby wejść na pierwsze piętro do mego pokoju w hotelu, i zapadłem w sen jak w przepaść bez dna.

Sądzę, że zasnąłem już w chwili wyciągania się na pościeli. Było to niby zatapanie się ze sparaliżowanymi zmysłami w ciemny, głęboki prąd, głęboko, głęboko, aż na dno nie znanego dotąd nigdy uczucia niebytu. Dopiero później, o wiele później, zaczął mi się majaczyć sen, którego początku nie zapamiętałem. Pamiętam natomiast jeszcze dziś, że stałem jakoby w pokoju, zdaje się, że w poczekalni Condora, i nagle usłyszałem znów to straszliwe stukanie, które od tyłu dni pulsowało mi w skroniach – rytmiczny stuk kul, owe okropne: tuk-tuk, tuk-tuk. Najpierw stukanie to dochodziło z oddali, niby z ulicy, potem zbliżyło się, tuk-tuk, tuk-tuk, aż wreszcie odezwało się tak straszliwie blisko drzwi, że obudziłem się i wytrzeźwiałem.

Z otwartymi oczami wpatrzyłem się w ciemność obcego pokoju. Nagle usłyszałem znów owo: tuk-tuk, mocne pukanie twardym palcem. Nie, to nie sen, ktoś pukał. Ktoś pukał z zewnątrz do moich drzwi. Wyskoczyłem z łóżka i spiesznie otworzyłem. W korytarzu stał nocny portier.

– Pan porucznik proszony jest do telefonu.

Wlepiłem w niego zdumione oczy. Ja? Do telefonu?

Gdzież... gdzież właściwie jestem? Obcy pokój, obce łóżko... ach, prawda... jestem w Czaslau. Ale nie znam tu przecież żywej duszy i któż mógłby mnie w środku nocy wołać do telefonu? Nonsens! Już jest chyba po północy. Ale portier naglił:

– Proszę szybko, panie poruczniku, wezwanie z Wiednia, ale nie zrozumiałem dokładnie nazwiska.

Natychmiast otrzeźwiałem całkowicie. Z Wiednia mógł być tylko Condor. Prawdopodobnie chciał mnie zawiadomić, że Edyta mi przebaczyła i że wszystko jest w porządku.

– Niech pan biegnie na dół – krzyknąłem rozkazująco portierowi – i niech pan powie, że zaraz idę!

Portier znikł, ja zaś spiesznie narzuciłem płaszcz na koszulę i pobiegłem za nim. Telefon znajdował się na parterze, w kącie biura, i portier

już trzymał słuchawkę przy uchu. Niecierpliwie odepchnąłem go, jakkolwiek powiedział:

– Połączenie przerwane! – i zacząłem nasłuchiwać.

Nic – absolutnie nic. Jakieś dalekie dźwięczenie i brzęk: ssff, ssff rrr, niby metalowe skrzydła moskita.

– Halo, halo! – krzychałem czekając wytrwale.

Odpowiedzi nie było. Wciąż słyszałem szyderczy, bezsensowny brzęk. Czy trząsałem się dlatego, że pod narzuconym płaszczem nic na sobie nie miałem, czy też może dygotałem ze strachu? Może jednak coś się stało? A może... Czekałem i słuchałem przyciskając do ucha rozgrzaną słuchawkę. Wreszcie... krr... krr jakieś połączenie i głos telefonistki:

– Mówi się?

– Nie!

– Ależ połączenie było, dzwonił Wiedeń... Chwileczkę! Zaraz zobaczę.

Znowu... krr... krrr... Coś trzaska w aparacie, coś brzęczy, dźwięczy i trzeszczy. Coś świszcze i gwizdże coraz słabiej. Słychać już tylko cieniutkie dźwięczenie drutów. Nagle głos, twardy głęboki bas:

– Tu Praga, komenda placu. Czy to ministerstwo spraw wojskowych?

– Nie, nie! – wykrzyknąłem z rozpaczą.

Głos niewyraźnie coś wrzeszczał i pomału zatarł się, znikł w pustce. Znów odezwało się monotonne gwizdanie i dźwięczenie, znów usłyszałem splecione dalekie rozmowy i niezrozumiałe głosy. Wreszcie odezwała się telefonistka:

– Przepraszam, ale dopiero teraz mogłam sprawdzić. Połączenie zostało przerwane. Terminowa rozmowa służbowa. Gdy abonent się odezwie, natychmiast dam znać. Proszę tymczasem powiesić słuchawkę.

Wyczerpany, zawiedziony i rozgoryczony odłożyłem telefon. Nie ma chyba nic przykrzejszego niż usłyszenie z odległości głosu, którego nie można przytrzymać. Serce biło mi w piersi, jak gdybym zbyt szybko wszedł na olbrzymią górę. Co to było? Mógł to być tylko Condor. Ale czemu telefonuje do mnie teraz, o wpół do pierwszej w nocy?

Portier zbliżył się uprzejmie.

– Pan porucznik może spokojnie czekać u siebie w pokoju. Gdy będzie wezwanie, natychmiast przybiegnę.

Odmówiłem, nie chciałem po raz drugi przegapić rozmowy. Nie chciałem stracić ani chwili. Musiałem się dowiedzieć, co się stało, bo że się coś stało, czułem już na odległość wielu kilometrów. Mógł przecież telefonować tylko Condor albo tamci, z pałacu. Tylko on mógł im podać adres hotelu. W każdym razie musiało to być coś ważnego, w przeciwnym bowiem razie nie wyrywa się człowieka wśród nocy z łóżka. Dygotały we mnie wszystkie nerwy: „Potrzebują mnie gdzieś, jestem komuś potrzebny! Ktoś żąda ode mnie czegoś! Ktoś ma mi do powiedzenia coś decydującego, coś, od czego zależy śmierć lub życie”. Nie, nie mogłem odejść, musiałem zostać na posterunku. Nie chciałem spóźnić się ani o minutę.

Usiadłem więc na twardym, drewnianym stołku, który mi podał nieco zdziwiony portier, i zacząłem czekać chowając gołe nogi pod płaszcz i utkwivszy tępe spojrzenie w aparacie. Czekałem tak kwadrans, pół godziny, drżąc z niecierpliwości, a może z chłodu, i od czasu do czasu rękawem koszuli ocierałem z czoła nagle występujący pot. Wreszcie – rrr... rrr... dzwonek. Dopadłem telefonu i chwyciłem słuchawkę. Teraz, teraz dowiem się wszystkiego!

Lecz była to z mej strony głupia pomyłka, na którą mi portier zaraz zwrócił uwagę. Nie odezwał się telefon, lecz dzwonek przy drzwiach wejściowych, i portier spiesznie otworzył spóźnionej parce. W drzwiach ukazał się rotmistrz z dziewczyną, rzucił zdumione spojrzenie do łoża portiera na dziwnego człowieka w oficerskim płaszczu, lecz bosą i z nagą szyją, a potem lekko się ukloniwszy znikł ze swą towarzyszką na przyciemnionych schodach.

Czułem, że dłużej nie wytrzymam. Zakręciłem korbą i spytałem telefonistkę:

– Nie było jeszcze wezwania?

– Jakiego wezwania?

– Z Wiednia... zdaje się, że z Wiednia... było mniej więcej przed pół godziną.

– Zaraz się dowiem. Chwileczkę.

Chwileczka trwała długo. Wreszcie odezwał się sygnał, ale to tylko telefonistka mnie uspokajała:

– Ponaglam, ale nie mam odpowiedzi. Jeszcze kilka minut, zadzwonię.

Czekać! Czekać jeszcze kilka minut. Minut! Minut! W przeciągu sekundy może umrzeć człowiek, może rozstrzygnąć się czyjś los, może zapaść się świat. Dlaczego każą mi tak czekać? To zbrodnia, żeby człowiek musiał tak czekać. To męka, to szaleństwo! Zegar wskazuje już wpół do drugiej. Siedzę tu od godziny, trzęsę się, drzę i czekam.

Wreszcie, wreszcie, sygnał. Ze sprężonymi zmysłami wsłuchałem się w aparat, lecz telefonistka oświadczyła tylko:

– Dostałam odpowiedź. Rozmowa jest skreślona.

Skreślona? Dlaczego? Dlaczego wzywają mnie o wpół do pierwszej w nocy, a potem rozmowę skreślają? Widocznie stało się coś, czego nie wiem, a o czym wiedzieć powinienem. Jakież to okropne, że nie można przebić świadomością odległości, ani czasu! Czy zatelefonować do Condora? Nie, przecież to noc. Jego żona przestraszyłaby się niepotrzebnie. Pewno zrobiło się za późno i doktor woli zadzwonić do mnie jutro z rana po raz drugi.

Nie umiem opisać tej nocy. W potopie bezsensownych myśli przesuwały się w gwałtownym pędzie splecione obrazy, ja zaś siedziałem znużony, a jednocześnie czujny, czekając wszystkimi nerwami, wsłuchując się w każdy krok na schodach i w korytarzu, w każdy dźwięk i brzęk na ulicy, w każdy ruch i odgłos, a jednocześnie zataczając się ze zmęczenia, wyczerpany i zmożony udawką. I wreszcie sen, zbyt głęboki i zbyt długi, sen bez kresu jak śmierć, bezdenne jak nicość.

Gdy się obudziłem, w pokoju było widno. Rzuciłem spojrzenie na zegar: wpół do jedenastej. Na litość boską, przecież pułkownik kazał, abym się natychmiast zameldował! Zanim pomyślałem o sprawach osobistych, znów automatycznie zaczął we mnie działać dryl wojskowy. Narzuciłem na siebie mundur i zbiegłem ze schodów. Portier chciał mnie zatrzymać. Nie – to później! Wpierw muszę się zameldować, bo słowem honoru obiecałem to pułkownikowi.

Z paskiem u czapki przepisowo podpiętym wszedłem do kancelarii. Ale zastałem tam tylko niskiego, rudowłosego podoficera, który ujrawszy mnie wlepił we mnie przerażone oczy.

– Proszę jak najszybciej na dół, panie poruczniku. Rozkaz! Pan major wyraźnie kazał, żeby wszyscy oficerowie i żołnierze garnizonu stawili się punktualnie o jedenastej. Proszę jak najprędzej na dół.

Zbiegłem ze schodów. Rzeczywiście, na podwórzu zebrany już był cały garnizon i ledwo miałem czas stanąć we wskazanym miejscu, gdy zjawił się dowódca dywizji. Szedł dziwnie powoli i uroczyście, rozwinął jakiś arkusz i donośnym głosem zaczął:

– „Popelniono straszliwą zbrodnię, przejmującą Austro-Węgry i cały świat cywilizowany wstrętem. (Jaką zbrodnię? – pomyślałem przestraszony. Mimo woli zaczynałem drzeć, jak gdybym to ja ją popełnił). Podstępne morderstwo (Jakie morderstwo?) dokonane na naszym ukochanym następcy tronu, Jego Cesarsko-Królewskiej Wysokości Arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie i Jej Cesarsko-Królewskiej Wysokości jego Małżonce (Jak to? Zamordowano następcę tronu? Kiedy? Prawda, przecież wczoraj w Brnie mnóstwo ludzi cisnęło się do plakatu – więc to dlatego!) pogrążyło najwyższy dom cesarski w głębokiej żałobie i rozpacz. Ale cesarsko-królewska armia przede wszystkim...”

Nie słyszałem wyraźnie dalszych słów. Nie wiem czemu, ale wyrazy „zbrodnia” i „mord” uderzyły w me serce jak młot. Nie przestraszyłem się bardziej, gdybym sam był owym zbrodniarzem. „Zbrodnia, morderstwo” – to przecież powiedział Condor! Nagle przestałem słuchać, co ten błękitny, ozdobiony wieloma orderami i pióropuszem oficer gada i donośnie huczy przed frontem. Przypomniałem sobie raptownie telefoniczne wezwanie w nocy. Dlaczego doktor nie zawiadomił mnie o niczym dziś z rana? Czy nie stało się tam coś złego?

Nie meldując się majorowi skorzystałem z ogólnego zamieszania i pobiegłem czym prędzej do hotelu – może tymczasem telefonowano do mnie?

Portier podał mi depeszę. Nadeszła już dziś z rana – wyjaśnił, lecz minąłem go tak szybko, że nie zdążył mi jej wręczyć. Rozdarłem formularz. W pierwszej chwili nic nie zrozumiałem: bez podpisu, treść całkowicie niezrozumiała. Wreszcie zorientowałem się, że było to zawiadomienie z poczty, iż mój telegram, nadany w Brnie o trzeciej pięćdziesiąt osiem nie mógł być doręczony.

Nie mógł być doręczony? Wpatrzyłem się w te słowa. Telegram do Edyty von Kekesfalva nie mógł być doręczony? Przecież zna ją w tej dziurze każdy.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać naprężenia. Kazałem natychmiast połączyć się telefonicznie z Wiedniem i wezwać doktora Condora.

– Rozmowa pilna? – spytał portier.

– Tak! Pilna!

Po dwudziestu minutach dostałem połączenie i – o dziwo! Condor był w domu i sam przyjął wezwanie. W trzy minuty wiedziałem już wszystko, bo w rozmowie na taką odległość nie ma czasu, aby mówić oględnie.

Otóż jakiś diabelski przypadek wszystko zmarnował i nieszczęśliwa dziewczyna nie dowiedziała się ani o mojej skrusze, ani o moim szczerym postanowieniu. Wszelkie wysiłki pułkownika, aby sprawę zatuszować, okazały się daremne. Ferenc i koledzy nie poszli z kawiarni do domu, lecz do winiarni. Na nieszczęście spotkali tam aptekarza w dużym towarzystwie, a Ferenc, poczciwy głupiec, z miłości dla mnie od razu się na niego rzucił. Wobec wszystkich kazał mu się tłumaczyć i oskarżył go, że rozsiewa o mnie nikczemne kłamstwa. Zrobił się straszliwy skandal, a nazajutrz wiedziało o tym całe miasto, bo aptekarz, głęboko dotknięty, z samego rana pobiegł do koszar, aby wymusić ode mnie zaświadczenie, iż powiedział prawdę, a wobec podejrzanej odpowiedzi, że zniknąłem, natychmiast wziął dorożkę i pojechał do Kekesfalvów. Wpadł tam w biurze na starego i zaczął wrzeszczeć, aż drżały szyby, że przez „to głupie telefonowanie” zrobili z niego durnia, on zaś jako obywatel z dawna tu osiadły nie pozwoli, aby ta bezczelna banda oficerska występowała przeciwko niemu w taki sposób! Wie też, czemu tak tchórzliwie zwałem! Jemu nie można blagować, że wszystko było żartem. Ukrywa się w tym bezwzględnie jakaś nikczemna podłość z mojej strony, ale choćby miał pójść do ministerstwa, wyjaśni to i w żadnym razie nie pozwoli, aby tacy smarkacze robili mu w publicznym lokalu afronty.

Z trudem udało się rozwścieczonego uspokoić i wyprowadzić. Przerażony Kekesfalva miał tylko nadzieję, że Edyta nic z tych okrutnych podejrzeń nie słyszała. Ale fatalność chciała, że okna w biurze stały otworem i przez całe podwórze słyhać było jak najdokładniej straszliwe słowa aż w salonie, gdzie siedziała dziewczyna. Prawdopodobnie od razu zdecydowała się wykonać plan z dawna ułożony, lecz potrafiła się opanować. Jeszcze raz pokazała się w nowych sukniach, śmiała się z Iloną, żartobliwie rozmawiała z ojcem i pytała o sto szczegółów, chcąc wiedzieć, czy wszystko już przygotowane i zapakowane. Co prawda po kryjomu kazała Józefowi

zatelefonować do koszar z zapytaniem, kiedy powrócę i czy nic dla niej nie zostawiłem. Jakiś ordynans zgodnie z prawdą odpowiedział, że zostałem na niewiadomy czas służbowo odkomenderowany i dla nikogo nie zostawiłem żadnej wiadomości. To zdecydowało – powodowana niecierpliwością serca nie chciała czekać ani dnia, ani godziny. Zbyt głęboko ją zawiodłem i śmiertelnie dotknąłem, aby mogła mi jeszcze wierzyć, zaś moja słabość dodała jej sił. Po obiedzie kazała się zawieźć na taras, zaś Ilona, zaniepokojona jej niezwykłą wesołością i zdjeta jakimś złym przeczuciem, nie odstępowała jej ani na krok. O wpół do piątej – właśnie w porze gdy zazwyczaj przychodziłem, a na kwadrans przed nadejściem jednocześnie dwóch telegramów, mojego i Condora – Edyta poprosiła wierną przyjaciółkę, aby jej przyniosła książkę, zaś Ilona na nieszczęście uległa tej na pozór niewinnej prośbie. Niecierpliwa dziewczyna nie mogąc pohamować swego serca skorzystała z tej jednej jedynej minuty, aby spełnić, co uplanowała. Dokładnie w ten sposób, w jaki mi to kiedyś na tarasie pokazywała, dokładnie tak, jak widywałem to w mych sennyh widziadłach, wykonała okropny zamiar...

Condor zastał ją jeszcze żyjącą. Lekkie ciało w niepojęty sposób nie wykazywało zewnętrznych obrażeń. Zawieziono nieprzytomną sanitarnym autem do Wiednia. Aż do późnej nocy lekarze mieli nadzieję, że ją jeszcze uratują, i doktor o ósmej wieczorem zamówiwszy pilną rozmowę wezwał mnie z sanatorium. Lecz owej nocy dwudziestego dziewiątego czerwca po zamordowaniu następcy tronu we wszystkich urzędach w państwie panował chaos, a linie telefoniczne były ustawicznie zajęte przez władze cywilne i wojskowe. Przez cztery godziny Condor daremnie czekał na połączenie. Dopiero po północy, gdy lekarze stwierdzili, że nie ma już nadziei, kazał rozmowę odwołać. W pół godziny później Edyta umarła.

Pewien jestem, że wśród setek tysięcy, które w owe sierpniowe dni powołano do wojska, mało było ludzi z taką obojętnością, a nawet niecierpliwością wyjeżdżających na front. I to nie dlatego, abym pałał żądzą wojny – było to dla mnie jedynym wyjściem i ratunkiem. Zatraciłem się w zawierusze wojennej jak zbrodniarz w ciemnościach. Cztery tygodnie przed zapadnięciem decyzji przeżyłem w stanie takiej pogardy dla samego siebie, takiej wewnętrznej rozterki i rozpaczki, że jeszcze dzisiaj przypominam sobie owe godziny ze zgrozą, jako straszliwsze od tamtych na polach walki. Byłem przekonany, że przez moją słabość, przez zwodniczą, a potem cofającą się litość zamordowałem człowieka, i to jedyne go człowieka, który kochał mnie

głęboko. Nie miałem odwagi wyjść na ulicę; zameldowałem, że jestem chory, i zamknąłem się w swym pokoju. Napisałem do Kekesfalvy, aby wyrazić mu współczucie (Ach, rzeczywiście to moje współczucie!) – nie odpowiedział. Zasypywałem Condora wyjaśnieniami, aby się usprawiedliwić – nie odpowiedział. Ani od kolegów, ani od ojca nie dostałem ani słowa, prawdopodobnie dlatego, że ministerstwa w owych krytycznych tygodniach były zawałone pracą. Ale ja widziałem w tym jednomyślnym milczeniu zmoję i wyrok. Coraz głębiej wpędzałem się w przekonanie, że wszyscy mnie potępili, jak ja sam siebie potępiałem, i że uważają mnie za mordercę, ponieważ sam siebie tak nazywałem. Gdy całe państwo drżało ze wzburzenia, gdy w całej Europie wszystkie druty rozżarzały się i drgały od nadmiaru straszliwych wiadomości, gdy giełdy chwiały się, armie zaś mobilizowały, a ostrożni i przezorni już pakowali kufry, rozmyślałem wyłącznie o swej tchórzliwej zdradzie, o swej winie. Dlatego odwołanie mnie od tych myśli było mi oswobodzeniem, wojna, pochłaniająca miliony ludzi niewinnych, uratowała mnie, winnego, od rozpacz. Lecz nie sławię jej za to.

Mam odrazę do słów patetycznych i dlatego nie mówię, że na przykład szukałem wówczas śmierci. Mówię natomiast, że się jej nie bałem, a co najmniej nie bałem się jej tak jak inni, gdyż w niektórych chwilach powrót w głąb kraju, gdzie przecież przebywali świadkowie mej winy, wydawał mi się straszliwszy od całej grozy frontu. I dokądże miałbym powrócić, kto mnie potrzebował, kto mnie jeszcze kochał i dla kogo, dla czego miałbym żyć? Jeżeli dzielność nie oznacza nic innego ani wyższego niż brak obawy, mogę śmiało i uczciwie twierdzić, że byłem na wojnie rzeczywiście dzielny, gdyż okoliczności, wydające się najbardziej odważnym moim kolegom gorsze od śmierci – a więc możliwość zostania kaleką – nie przerażały mnie wcale. Gdybym został kaleką, gdybym sam stał się bezradny, uważałbym to prawdopodobnie za karę i za sprawiedliwą zemstę, zwłaszcza gdybym się stał ofiarą cudzej litości, ponieważ moja litość była niegdyś tchórzliwa i nędzna. Nie za moją więc przyczyną śmierć mnie nie spotkała – z zimnym spojrzeniem zobojętniałego człowieka dziesiątki razy szedłem jej na spotkanie. Gdziekolwiek było do wykonania coś trudnego, gdzie trzeba było iść na ochotnika, zgłaszałem się natychmiast. W najgorętszych bitwach czułem się dobrze. Po pierwszej ranie poprosiłem o przeniesienie mnie do kompanii karabinów maszynowych, a potem do lotników; na naszych marnych aparatach udało mi się dokonać niejednego. Zawsze jednak, ilekroć w rozkazie znalazłem w związku z moim nazwiskiem wydrukowane słowo

„dzielność”, miałem uczucie oszusta, a gdy ktoś ciekawie przyglądał się moim odznaczeniom, cofałem się z zasięgu jego spojrzenia.

Gdy minęły wreszcie owe cztery nie kończące się lata, ku własnemu zdumieniu zorientowałem się, że mimo wszystko potrafię żyć nadal w świecie dawnym, gdyż dla powracającego z Hadesu wszelkie sprawy nabierają nowej wagi. Obciążająca sumienie śmierć człowieka nie miała dla żołnierza z wojny światowej tego znaczenia, jakie nadawał jej człowiek z czasów pokoju. Moja własna, prywatna wina roztopiła się w olbrzymim, powszechnym potopie krwi. To samo „ja”, te same oczy, te same ręce musiały przecież kierować karabinem maszynowym, który pod Limanową zmiotł sprzed naszych okopów pierwszą falę rosyjskiej piechoty. Przez lunetę polową sam przecież widziałem wytrzeszczone oczy zabitych i rannych z mojej winy, którzy przez długie godziny jęczeli zaplątani w druty kolczaste, zanim wreszcie skonali. Pod Gorycją straciłem samolot; trzykrotnie przeokoziółkował w powietrzu, zanim roztrzaskał się na kamieniach w słupie ognia, a zwęglone i okropnie jeszcze dymiące trupy obszukaliśmy później własnymi rękami, aby znaleźć znaki rozpoznawcze. Tysiące, tysiące żołnierzy maszerujących wraz ze mną robiło to samo bądź karabinem, bądź bagnetem, bądź miotaczami ognia, karabinem maszynowym lub wprost pięścią... Setki tysięcy, miliony ludzi z mojego pokolenia we Francji, w Rosji, w Niemczech... Cóż znaczyło jedno morderstwo, co znaczyła jakaś prywatna, osobista wina wśród wielotysięcznego kosmicznego, najokrutniejszego, masowego niszczenia, wśród masowego druzgotania ludzkich istnień, najstraszliwszej zbrodni, jaką dotąd znała historia?

A zresztą – było to dla mnie również odciążeniem – w świecie pozafrontowym nie było już ludzi, którzy świadczyliby przeciwko mnie. Nikt nie mógł przecież zarzucać tchórzostwa człowiekowi odznaczonemu za wybitną odwagę, nikt nie mógł już przypomnieć mi ówczesnej fatalnej słabości. Kekesfalva przeżył śmierć swego dziecka zaledwie o parę dni, Ilona mieszkała jako żona skromnego reagenta gdzieś na wsi w Jugosławii, pułkownik Bubencic zastrzelił się nad Sawą, moi koledzy bądź padli na wojnie, bądź od dawna zapomnieli o błahym epizodzie. Wszelkie „przedtem” było przecież wobec tych czterech apokaliptycznych lat tak samo nieważne jak dawniej pieniądze. Nikt nie mógł mnie o nic oskarżyć, nikt nie mógł mnie teraz sądzić. Byłem jak morderca, który trupa swej ofiary pogrzebał w zaroślach, a śnieg zaczyna nań padać gęsty, biały i ciężki. Miałem świadomość, że jeszcze przez długie miesiące chroniąca go powłoka

przykrywać będzie zbrodnię, a potem ślad jej zniknie na zawsze. Nabrałem więc odwagi i znów zacząłem żyć. Ponieważ nikt mi nic nie przypominał, sam zapomniałem o własnej winie. Bo serce chętnie i szybko zapomina, o czym chce zapomnieć jak najprędzej...

Tylko raz jeden powróciłem wspomnieniem na tamten brzeg. Siedziałem w wiedeńskiej operze w krzesłach ostatniego rzędu, aby posłuchać *Orfeusza* Glucka, którego czysty, ukryty smutek wzrusza mnie głębiej niż każda inna muzyka. Właśnie skończono uwerturę i na krótką przerwę słabo rozświetlono ciemną salę, aby spóźnionym dać możliwość udania się na miejsca. Do mojego rzędu również zbliżyła się w półmroku spóźniona para, pan i pani.

– Przepraszam – grzecznie pochylił się nade mną ów pan.

Nie zwracając na nich uwagi i nie patrząc wstałem, aby ich przepuścić. Zamiast jednak od razu usiąść na wolnym miejscu obok mnie, ów pan delikatnie i ostrożnie przesunął wpierw przed sobą swą towarzyszkę. Wskazywał jej i torował jednocześnie drogę, a oprócz tego przewidująco spuścił siedzenie, zanim zajęła miejsce w fotelu. Ta niezwykła zapobiegliwość zwróciła moją uwagę. „Ach – pomyślałem – niewidoma!” W tejże chwili ów tęgawy pan usiadł obok mnie i nagle serce stanęło mi w piersi, poznałem go – to był Condor! Jedyne człowiek, który wszystko wiedział, który mnie znał aż do najgłębszych pokładów mej winy, siedział tuż obok mnie, on, którego współczucie nie było zbrodnicze tak jak moje, lecz miało pełną poświęcenia siłę, on, jedyny, który mnie mógł sądzić, jedyny, przed którym mogłbym się wstydzić! Gdy w pauzie między aktami zapalały świeczniki pozna mnie natychmiast...

Wzdrygnąłem się i szybko przysłoniłem twarz ręką, by być przynajmniej w ciemności bezpiecznym. Nie słyszałem z ulubionych melodii ani jednego tonu, gdyż serce biło mi zbyt gwałtownie. Przygniotła mnie bliskość jedyne człowieka na ziemi, który znał mnie istotnie. Jak gdybym w owych ciemnościach siedział nagi wśród tyłu dobrze ubranych i przyzwoitych ludzi, już teraz wzdrygałem się przed momentem, gdy zdradzi mnie rozbłyskujące światło. Toteż w krótkiej przerwie pomiędzy ciemnością a zapaleniem świeczników, gdy po pierwszym akcie kurtyna z wolna zaczynała się opuszczać, spieszenie schyliłem głowę i zemknąłem środkowym przejściem, jak sądzę dość szybko, aby mnie nikt nie zobaczył i nie poznał.

Jednak od owej chwili wiem, iż żadna wina nie jest zapomniana, dopóki pamięta ją sumienie.